

FELIKS W. KRES
KRÓL BEZMIARÓW



Feliks W. Kres

Król Bezmiarów

Król Bezmiarów

Mapa

SZERER



Prolog

Brudnoszare, ciężkie chmury nisko wisały nad Ahelą. Wiał silny i zimny wiatr, zrodzony gdzieś w sercu morza; porywisty, zwiastował rychłą burzę, właściwie był jej początkiem. Zamknięto wszystkie okna tawerny, kłębił się teraz we wnętrzu gesty dym fajkowy, zmieszany z zapachem potu i kwaśnego piwa. Na krzywych ławach i koślawych zydlach siedzieli majtkowie, włóczędzy, kilku wielorybników z południowego wybrzeża, jakiś żołnierz, parę brudnych, hałaśliwych kobiet. Gwar to wzrastał się, to przycichał na krótko; czasem wybijały się zeń ostre głosy kłótni.

Stary, garbaty gawędziarz w kącie izby nucił coś cicho i trącał struny trzymanego na kolanach dziwnego instrumentu. Zachęcony miedziakiem, rozpoczął niegłośną opowieść, podkreślając niektóre fragmenty brzękiem strun.

Tutaj, na dalekich Agarach, wędrowny grajek-gawędziarz był kimś bardzo niezwykłym. Miejscowi pieśniarze nie trudnili się śpiewaniem dla zarobku; nie znali świata, o czym mieliby mówić, by przyciągnąć uwagę słuchaczy, skąd brać nowe pieśni? Znać ich trzeba setki, by śpiewaniem zarobić na chleb. Siedzący w tawernie garbus pochodził z kontynentu. Płynął do Dranu na pokładzie kogi, którą wczesnojesienny wiatr południowo-zachodni, słynny „kaszel”, zagnał do brzegów Agarów; tkwiła teraz uwięziona w Aheli, nie mogąc wyjść w morze z obawy przed falami i wichrem. Zwykły zatem przypadek rzucił gawędziarza w te strony. Znalazł wielu słuchaczy, bo prawił rzeczy ciekawe i dziwne, nawet dla żołnierzy i majtków, którzy przecież w licznych portach widzieli niejedno.

Ale — była jesień. Zamarł już dawno ruch na kupieckich szlakach, ukryte w portach i bezpiecznych zatokach statki czekały na nadejście zimy. Ich załogi — żołnierze, marynarze — wałęsały się beczynnie po wszystkich portowych miasteczkach i miastach imperium. Żołnierzy trzymała dyscyplina i żołd, wypłacany sumiennie co tydzień; z majtkami rzecz się miała inaczej. Nikt im płacić za beczynność nie myślał, oszczędności nie mieli, a ci co mieli, przetrącili już dawno. Łazili teraz

tam i sam, szukając mniej lub bardziej uczciwego zajęcia, siłowali się na ręce w tawernach, czasem kłuli nożami. Stary grajek, prawiący historie o niezwykłych zdarzeniach i dziwnych krainach, był jedyną tych ludzi rozrywką; chętnie dali ostatniego miedziaka, za którego ni napić się, ni nasycić nie mogli, by spędzić czas nasłuchaniu, zabić dzień, dwa może, o krok przybliżyć zimę, a z nią zaciąg na statki.

Teraz garbus snuł kolejną opowieść.

Gwar przycichał stopniowo, coraz wyraźniej słyhać było powolny głos grajka. Opowiadał niezwykłą historię, bez początku i końca, o morzu, o sztormach, o statkach, o potworach z głębin i piratach... o Piracie, o Demonie Walki.

Struny ucichły.

— Żaglowce wyspiarskie zniszczyły okręt króla mórz — rzekł starzec pół w przestrzeń, trochę do słuchaczy, a trochę do siebie. Zamilkł na krótko, potem powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach, na których malowało się zdziwienie i namysł, bo to nie była zwykła opowieść, nie taka jak inne. — Wasze żaglowce, Agarczycy.

Struny zabrzmiały ponuro, zgrzytliwie, niespodziewanie fałszywie.

— Okryliście się sławą...

Uroczysty ton znów przemienił się w przykre zgrzytanie.

— Posłuchajcie zatem, co powiem. Klątwa wisi nad waszymi wyspami; przeklęte są Agary i wy, Agarczycy. Oto bowiem synowie wasi spalili okręt Demona, okręt noszący imię Pana Wód i będący pod jego szczególną opieką. I stanie się, że za sprawą posłańca Bezmiarów i córki króla piratów, dosięgnie was klęska wojny; tu, na Agarach, wybuchnąc ma płomień, który rozleje się po całym Wiecznym Cesarstwie. Tak mówi Przepowiednia, zapisana w Księdze Całości, pośród Praw.

Część pierwsza. Demon Walki

1.

— Wszyscy na pokład. Już.

Spokojne, niegłośno wypowiedziane słowa utknęły w gwarze licznych rozmów i zrazu nie przyniosły żadnego efektu. Jednak już po chwili ich sens dotarł do jakiegoś marynarza — i człowiek ów zamilkł, zamilkli też jego najbliżsi towarzysze, potem następni, zdziwieni nagłą ciszą tu i tam... Minęło niewiele czasu, a w dziobówce słychać było tylko poskrzypywanie poszycia okrętu.

— Wszyscy na pokład. Wołać mi tu bosmana.

Majtkowie na łeb, na szyję wyskakiwali z hamaków, odrzucali wilgotne pledy, ciskali precz kości do gry. Kapitan K. D. Rapis, dowódca największego żaglowca na Bezmiarach, usunął się z drogi pędzącego tłumu. Rzadko bywał w dziobówce; jego widok prawdziwie przeraził marynarzy. Kłębili się teraz na wąskich stopniach, przepychali, próbując jak najszybciej wypełnić — osobiście wydany przez kapitana! — rozkaz. Wkrótce Rapis był sam.

Niespiesznie zlustrował pomieszczenie załogi. Smród był nie do wytrzymania. Jakieś zbutwiałe szmaty, przepocone pledy, wyziewy ciał, cuchnący dym tytoniowy... Kilka latarń słabiutko chwiało się na hakach, w rytm uderzeń martwej fali, napierającej na burty żaglowca. W kącie płonęły podłe łojowe świece.

Załomotały bosc pięty bosmana.

— Tak, panie!

Kapitan odwrócił się powoli.

— Słuchaj, Dorol, co to jest? Co ja tu widzę? Myślisz, że jak pływamy razem od paru lat, to co, to już nie musisz nic robić? Co, wszystko masz w dupie? Chcesz zarazy na statku? Ja nie chcę. Jeśli nie potrafisz wytłumaczyć tej zbieraniny, gdzie chodzi się za potrzebą, toś kiepski bosman, a taki mi na nic. Jeszcze dziś mają być wywietrzone pledy i

hamaki. Przegnięła za burtę.

Bosman potakiwał gorliwie.

— Jeszcze dziś zgłosisz się do mnie po latarnie — dorzucił Rapis. — Ci tutaj postawili sobie świece. Kilka następnych każe wytopić z twojego własnego brzucha, jeśli jeszcze raz zobaczę na statku otwarty ogień. A to — kopnął leżący na podłodze nóż — jest broń. Nie powinna być zardzewiała, Dorol. Wierzysz mi? Zabierz tę bandę z pokładu i zrób tutaj porządek. Won.

Bosman zniknął. Rapis pogasił świece i wyszedł na pokład. Zacerpnął świeżego powietrza. Przez chwilę słuchał ryków Dorola, potem ruszył ku rufie. Uciekający przed rozwścieczonym bosmanem majtkowie omijali go dużymi łukami. Jeden zagapił się i wpadł wprost na kapitana. Ujrawszy, kogo staranował, marynarz chciał się cofnąć, ale dowódca pochwycił go za koszulę, drugą ręką za hajdawery, rozkołysał i wyrzucił za burtę.

— Wyłowić, jak trochę ochłonie — rozkazał.

Pyszny żart kapitana przypadł załodze do serca. Gruchnął śmiech. Rapis zauważył pilota, nieruchomo stojącego pod masztem. Podeszedł doń.

— Co tam, Raladan? — zagadnął.

— W porządku, kapitanie. Rapis potarł podbródek.

— Co myślisz o tej pogodzie? Pilot uśmiechnął się lekko.

— Zdaje się, że to samo co kapitan... Zmieni się. Myślę, że jeszcze dziś. Może w nocy.

— Też tak czuję.

Przekłęta cisza trzymała ich w miejscu już sześć dni. Nic nie zapowiadało jej końca. Jednak zarówno Rapis, jak i jego pilot mieli przeczucie, że kłopoty dobiegają kresu. Żaden z nich nie potrafił powiedzieć, skąd ta pewność.

— Jakby coś się zmieniło, daj mi znać.

— Tak, panie.

Kapitan postął jeszcze trochę i odszedł. Po chwili był w kajucie na rufie. Uniósł brwi, ujrawszy swego zastępcę. Ehaden siedział na stole, postukując palcami w deski blatu.

— Czekam na ciebie — wyjaśnił.

— Nie trzeba było posłać kogoś?

— Mówiono mi, że poszedłeś do dziobówki — powiedział Ehaden.
— Nie wiem, po co, ale widać miałaś jakąś sprawę.

— Ty też masz chyba sprawę — zauważył kapitan.

— Ale niezbyt pilną.

Rapis skinął głową. Oparł ramiona o stół i, pochylony, badał wzrokiem mapę Zachodniego Bezmiaru, na której siedział oficer.

— Powiedz mi, co za żeglarze pływali po tych wodach, skoro wyspy jak ta, którą mamy na lewym trawersie, nie są zaznaczone na mapach? — zagadnął po długiej chwili.

— Dziwi cię to? A ilu żeglarzy wypływa tak daleko na południowy wschód od Garry?

— Jednak jacyś wypłynęli, skoro są mapy, choćby i niedokładne. Ehaden wzruszył ramionami. Rapis w zamyśleniu kręcił głową.

— Ta pogoda doprowadzi mnie do szału. Raladan mówi, że dostaniemy wiatr i ja też tak myślę. Czas najwyższy, tkwimy tu już tydzień. Słyszałeś kiedy o czymś takim na Bezmiarach?

— Bezmiary są duże...

— Nie wiadomo, jakie są — uciął Rapis. — Pytam: słyszałeś kiedy o takiej pogodzie? Wczoraj była sztormowa fala!

— Nie słyszałem o wielu rzeczach. Na przykład o ptakach wielkich jak okręt — przypomniał skrzydlate olbrzymy, widziane przed trzema dniami.

Rapis w milczeniu obserwował twarz swego zastępcy.

— Ostatnio jakoś nie możemy się dogadać — skonstatował wreszcie. — Co mnie obchodzą wielkie ptaki, Ehaden? Jak nasra taki do morza, to będzie wielki plusk. Mówię o pogodzie. Mówię, że zmieni się dzisiaj. Tak uważam, tak myślę, a skoro potwierdza to Raladan, to możemy być prawie pewni. Będzie wiatr. Bierzymy jakiś kurs. Jaki to będzie kurs? Powrotny? — pytał, nie kryjąc złości. — Teraz dobrze? Takich pytań ci trzeba, żebyś pojął, co chcę od ciebie wyciągnąć, mówiąc o pogodzie?

— Chcesz wracać?

— Chcę wracać.

— Chyba jeszcze za wcześnie. Cesarskie eskadry na pewno wciąż kręcą się po morzu.

— Albo sterczą w miejscu, jak my — przytwierdził Rapis. — No i

może dzięki temu spotkamy parę holców. Wspaniałych holców straży morskiej, z żółtymi, albo i niebieskimi żaglami...

— Oszalałeś?

— Nie. Nie oszalałem.

Ehaden otworzył usta, lecz kapitan ostrzegawczo uniósł rękę.

— Ani słowa, Ehaden. Wystarczy. Jak długo jeszcze będziemy uciekać? Co się z nami stało? Cesarskie okręty, pomyśl, przecież to śmieszne! Dawniej, zamiast uciekać, spalilibyśmy jeden albo dwa, prześlizgnęli się między pozostałymi po to tylko, żeby znów doskoczyć z boku... Bywało tak przecież, bywało! Pamiętasz, jak pływalibyśmy na „Mewie”? Ściagała nas Flota Dartańska, i co? Spaliliśmy dwa holki, a potem portową dzielnicę w Lla. Jaka sława, Ehaden, jakie łupy! A dziś? Nie siedzimy już na starej „Mewie”, ależ! Siedzimy na „Wężu Morskim”, pływającej fortecy, większej od czegokolwiek, co pływa po morzach Szereru! Ale ujrzyliśmy armektańskie szniki, olbrzymie szniki, tak wielkie, że mogliśmy przejechać po nich bez obawy o całość dziobnicy!

— Rapis zaczynał wpadać we wściekłość. — Robimy zwrot i zamiast na północ, płyniemy na południowy wschód. I to jak! Gdyby nie ta przekłeta cisza, byłibyśmy już nie wiadomo gdzie!

— Uspokój się, Rap.

— Uspokój? Ależ człowieku, jestem tak spokojny, że mógłbym nianńczyć cesarskich wojaków! Mówisz „uspokój się”?

— Uspokój się. Być może rzeczywiście staliśmy się nazbyt ostrożni. Ale nie tym razem. Nie uciekaliśmy przed armektańskimi sznikami, dobrze wiesz. To nie były okręty kurierskie, bo takie pływają samotnie. To była eskadra rozpoznawcza, albo i pościgowa. Dobrze wiesz, że nie mogliśmy po nich przejechać, bo są na to za szybkie, mogliśmy co najwyżej czekać, aż się rozdziela i zawezwą ciężkie eskadry. Za tymi sznikami stały armektańskie holki, to obława.

Rapis westchnął.

— No i to właśnie próbuję ci wytłumaczyć. Pływamy na okręcie, który może i powinien stawić czoło obławie. Powinniśmy topić strażników, zamiast uciekać przed nimi. Wszystkiego mamy za dużo. Za dużo prochu, za dużo strzał, a zwłaszcza za dużo ludzi. Mamy tylu ludzi, ilu siedzi na dwóch holkach. To świeży zaciąg, marzyli o stosach złota i klejnotów, o walce, walce, słyszysz?! Walce pod kapitanem Rapisem,

legendarnym Demonem, który wziął ich na „Węza Morskiego”. A kapitan uciekł, jak tylko dojrzał cesarski okręt. Potrząsnął głową.

— Jak tylko dostaniemy trochę wiatru, wracamy. Kurs na Garrę. Na Garrę, słyszysz? Choćby przyszło halsować bez końca.

— Na Garrę? Z tym co mamy w ładowni?

— A co my tam mamy, Ehaden? Rano żyło siedemdziesięciu. Jeśli teraz popłyniemy do Bany, to ilu tam dowieziemy? I w jakim będą stanie? Musimy nałapać nowego towaru.

Ehaden myślał.

— Dobrze, w końcu to ty dowodzisz okrętem. — Zsunął się ze stołu. — Jakie rozkazy?

— Na razie każ wydać po pół kubka rumu na głowę. Wyjmij z ładowni kobiety, kilka się jeszcze rusza. Daj je załodze, bo i tak pójda na straty. Niech ludzie pobawią się do wieczora, skorzystają, a potem za burtę. Albo nie — zmienił zdanie. — Od razu za burtę, nie chcę żadnych przepychanek... Miałeś jakąś sprawę? — przypomniał.

— Już nie — odparł oficer. — Myślałem o górnym biegu tego prądu, który w zeszłym roku pociągnął nas aż pod Kirlan. To może być gdzieś tutaj, dziś rano zdawało mi się, że niedaleko tej wyspy woda ma inny kolor i łamie się, wiesz jak. Ale skoro płyniemy na Garrę...

Rapis skinął głową.

— Sprawdzimy, czy to ten prąd. Pogadaj z Raladanem. Bez względu na to, dokąd płyniemy, warto wiedzieć, czy jest tu coś takiego.

Ehaden skinął głową i wyszedł. Ale wrócił prawie natychmiast. Towarzyszył mu wachtowy.

— Co tam? — zapytał Rapis.

— Wiatr, panie! — odparł marynarz. — Z południowego zachodu!

2.

Na Morzu Garyjskim spotkali okręt-widmo.

Marynarze tłoczyli się w ciszy wzdłuż bakburty. Zimny już, doszczętnie wypalony wrak, powoli dryfował z wiatrem na północny wschód. Na wytrawionej ogniem rufie nie dało się odczytać nazwy żaglowca — ale wszyscy dobrze ją znali... „Północ”. Widzieli oto resztki wielkiej kogi Alagery. Ona sama (poznano ją po szkarłatnej odzieży i turkoczających na wietrze złotych włosach) powieszona za nogi, kołysała się na zachowanym od ognia bukszprycie.

— Obława — skwitował Ehaden. — Mieliśmy rację, uciekając, Rap. Złapała ją silna eskadra, to nie był jeden holk. Jeśli Kitar i Brorrok tak samo...

— Kitar kiepsko się bije, ale ma swoją „Kołysankę”, a na niej najlepszych żeglarzy świata — ostudził go Rapis. — Nikt nie dogoni tej karaweli, odkąd ma dość płótna. U tego kupczyny zawsze pływała niedożaglona i tylko dlatego Kitar zdobył swoje cacko. A starego Brorroka nie złapią wszyscy cesarscy razem wzięci. Co innego ta tutaj — pokazał powieszoną kobietę. — To był okręt? Burdel i tyle.

— Nie uwierzysz: nigdy mi nie dała — rzekł Ehaden. — Chociaż widzieliśmy się aż cztery razy.

— No to jesteś jedynym żeglarzem na świecie, który widział ją aż cztery razy i nie wlaź z kopytami do środka — skonstatował Rapis. — I pewnie tak już zostanie. Chyba że chcesz teraz? Możemy podpłynąć bliżej.

Wzruszył ramionami.

— Daj rozkaz przy działach — rzekł, z całkiem innej beczki. Wypada puścić ją na dno.

Wkrótce powietrze rozdarł szereg potężnych, prawie jednoczesnych grzmotów. Kamienne kule z łoskotem uderzyły w zniszczony kadłub. Zrobili zgrabny nawrót i poprawili drugą pełnoburtową salwą. Kanonierzy Rapisa mogli mierzyć spokojnie, to nie była bitwa... „Wąż Morski” wolno odchodził na zachód. Załoga spoglądała na tonący okręt do chwili, aż skrył się pod falami.

— Morze wzięło — rzekł Rapis. — Chodź, Ehaden, pomyślimy, co dalej. Zmienimy trochę plany. Nie lubiłem tej zdziiry, ale cesarskim nic do tego... Mam pomysł, jak nałapać towaru, a zarazem wyrównać rachunek Alagery.

Udali się na rufę.

*

Następnego dnia, wieczorem, stojący na oku marynarz obwołał ziemię. To była Garra, a raczej jedna z przyległych wysepek. Rapis dobrze znał ten kawałek lądu. Był tu niewielki port, w którym, oprócz łajb rybackich, stacjonowały dwa lub trzy małe okręciki straży morskiej. Dla pirackiej karaki nie były one żadnym zagrożeniem; cóż w końcu mogły poradzić trzy stare jak świat szniki przeciw największemu okrętowi Bezmiarów? Dlatego Rapis już parokrotnie zawijał do przystani, by uzupełnić zapasy żywności i słodkiej wody. Mógł pozwolić sobie na bezczelność; gdy przyplýwał, strażnicy zwykle siedzieli zupełnie cicho, udając, że ich w ogóle nie ma... Prawdę rzekłszy, nic lepszego do roboty nie mieli. Przeważnie „Wąż Morski” stał na redzie, czekając na powrót wysłanych po zaopatrzenie łodzi. Jednak tym razem kapitan miał inne plany. Port był wystarczająco głęboki, by przyjąć jego karakę.

Panowała głucha noc, gdy okręt wpływał do przystani, holowany przez własne łodzie. W niedalekiej wartowni zabłysło wątle światełko; z brzegu dobiegł okrzyk:

— Ktoś ty?!

Cisza. Olbrzymia bryła okrętu, skrzypiąc, naparła na belki pomostu. Marynarze rzucili cumy.

— Ktoś ty?!

Rzucono trap. Tuż przy nim jeden z majtków postawił maźnicę z płonąącą smołą. Trap rozjęczał się pod uderzeniami marynarskich nóg. Każdy z zabijaków niósł pochodnię, którą zanurzał w maźnicy. Wkrótce dwie setki ruchomych ogni rozświetliły port. Natarczywy głos z wybrzeża ucichł, w leżącej nieopodal wiosce zalśniły migocące światełka w oknach. Chwilę potem z pokładu zabrzmiał silny, wyraźny głos:

— Wieśniaków żywcem, ale tylko wieśniaków! Naprzód!

Gromada półdzikich marynarzy runęła w stronę wartowni.

Lecz żołnierze postanowili drogo sprzedać swe życie. Nigdy nie zaczepiali załogi pirackiego żaglowca, bo byłoby to czyste szaleństwo.

Zresztą, nigdy dotąd nie zdarzyło się nic, co zmusiłoby ich do działania. Poczynania morskich rozbójników były bezczelne i zuchwałe, lecz poza tym... właściwie zgodne z prawem. Owszem, „Wąż Morski” uzupełniał zapasy, jednak płacono za nie miejscowemu oberżyscie (choć prawda, że była to zapłata śmiechu warta); pirackiemu kapitanowi z oczywistych powodów nie zależało na puszczeniu karczmarza z torbami. Lecz teraz, w obliczu ataku dzikiej bandy, cesarscy żołnierze nieoczekiwanie wykazali swą sprawność. Nadzieje Rapisa na zaskoczenie maleńkiego garnizonu zawiodły. Jego ludzie ujrzeli nagle w półmroku zwarty, równy szereg wyćwiczonej piechoty, stanowiącej uzupełnienie załóg stojących w porcie okrętów. Większość wyrwana ze snu, bez zbroi, czasem w groteskowych koszulach — a przecież prezentowali się groźnie. Od strony przystani doleciał potężny huk: to „Wąż Morski” rzucił cumy i ogniem swych dział rozstrzeliwał bezbronne cesarskie okręciki. W tej samej chwili, jakby na umówiony sygnał, pierwszy szereg żołnierzy przyklęknął, celując z kusz, żołnierze w drugim szeregu unieśli napięte łuki. Świsnęły bełty i strzały, grupa piratów zatrzymała się nagle, na jej czele padali trafieni. Przez jęki i agonalne wrzaski przebił się głos Rapisa:

— Dalej! Alagera i „Północ”!

— Alagera! — podchwycili z bojową wściekłością inni. Żołnierze dalej strzelali z łuków, lecz kusze, broń o wiele bardziej śmiercionośna, były już bezużyteczne. Dzika zgraja, wyrzaskując hasło zemsty, runęła z zaciekłością stada wilków. Szczęknęły krzyżowane miecze, gdzieś zaledwie w migotliwym blasku deptanych pochodni grot włóczni bądź szerokie żeleźce topora. Kuszownicy, chwyciwszy za miecze, próbowali osłonić wciąż strzelających łuczników, ale wobec liczebnej przewagi wroga, udawało się to tylko przez chwilę. Linia strażników pękła, rozpadła się na dwie osobne grupy, które natychmiast otoczono. W poblasku ostatnich gasnących iskier żołnierze toczyli beznadziejną walkę. Bili się zawzięcie, w milczeniu — każdy na własną rękę, ale sprawnie, tak sprawnie, że trup po strome piratów ścielił się bardzo gęsto. Wkrótce stłoczono ich jednak, przemieszano. Walka zmieniła się w masakrę.

Tymczasem druga setka zbójów pustoszyła wieś. Tu dowodził Ehaden. Gdy Rapis dorzynał żołnierzy, płonęły już niepewnie pierwsze domy. Grupy zbirów wpadały do chałup, skąd natychmiast dobiegały

wycia, płacz i krzyki rybaków. Rozhukani majtkowie rzucali się pośród domów jak wściekli, psy ujadły na łańcuchach, z ogarniętego pożarem kurnika wysypały się otumanione dymem kaczką i kury, powiększając jeszcze zamieszanie. Tam, gdzie wieśniacy stawiali rozpaczliwy opór — zabijano bez cienia litości. Krew płynęła obficie, mordercy Ehadena rąbali mieczami i toporami wysunięte w obronnym geście ręce, dźgali pozbawione osłon brzuchy, rozbijali głowy. Jęki gwałconych brutalnie kobiet ginęły w przeraźliwym płaczu dzieci, które jako nieprzydatne do transportu, siłą odrywano od matek. Strzechy chałup płonęły coraz jaśniej, trzask gorejących krokwi mieszał się z dobiegającym od strony portu zwycięskim grzmotem dział „Węza Morskiego”.

Ehaden nie brał udziału w rzezi. Stał pośrodku wioski z mieczem pod pachą i ze zwykłym spokojem wydawał polecenia coraz to podbiegającym doń piratom. Baczył, by nikt z mieszkańców wioski nie zdołał zbiec do pobliskiego lasu, czasem w milczeniu wskazywał cel trzem najlepszym łucznikom z załogi, których trzymał przy sobie. Tak zastał go Rapis, nadciągający na czele zziębniętych, pokrwawionych i rozradowanych wojowników.

— Za dużo trupów! — powiedział ostro. — Mamy prawie puste ładownie.

— To ludna wioska — mruknął oficer, wskazując wyłaniającą się spomiędzy chałup kolumnę kilkudziesięciu związanych wieśniaków. Połowę stanowiły kobiety. Jeńców popychano brutalnie, ale z umiarem. Eskorta dbała o towar.

Z pobliskiej chaty wytoczył się rybak z krwią na twarzy. Trzymał gruby drąg. Rapis przymierzył się, zakręcił toporem nad głową i trafił wieśniaka prosto w łeb. Miał krzepę. Rozbrzmiały pochwalne okrzyki łuczników Ehadena i paru innych piratów. Marynarze cieszyli się, że mają kapitana, który umie im zaimponować! Ktoś podbiegł do zabitego; przydepnąwszy go, wyrwał topór i odniósł dowódcy.

— Wyślij ludzi do oberży — powiedział Rapis, ocierając ostrze. Cesarscy niewiele mają na składzie. Słyszysz, Ehaden? Oficer skinął głową.

— Raladan się tym zajął. Załadunek prowiantu i słodkiej wody zakończymy przed świtem. Ale na razie były tylko trzy salwy. Machnął ręką w stronę przystani. — Dwie burtowe i jedna z pościgowych albo

rejteradowych. To za mało na trzy szniki. Jak się nie pospieszą i nie staną zaraz u nabrzeża... — Urwał, bo właśnie dało się słyszeć grzmot kolejnej salwy burtowej. — No, to znakomicie.

Przechodzący obok zziąjany marynarz cisnął pochodnię na dach pobliskiego domu. Buchnęły płomienie.

Powoli milkły ostatnie wrzaski mordowanych. Rozwrzeszczane dotąd bezładnie głosy zaczęły się łączyć w starą, ponurą morską pieśń:

Podmorskie fale zielonym echem
podwodnej trawy przynoszą szmer,
przegniłe dłonie martwego szypra
na dnie otchłani trzymają ster.

Rapis przytknął do ust krótki, gliniany gwizdek. Głosy umilkły, w ciągu kilku chwil miał przed sobą całą załogę. Płomienie huczały. Z trzaskiem zawalił się dach jednej z chat.

— Wracamy na okręt — powiedział kapitan. — Bosman do mnie. Grube chłopisko natychmiast wysunęło się z tłumu.

— Weź dziesięciu ludzi pod strażnicę i pozbierajcie wszystko, co może się przydać, zwłaszcza niezbyt poszarpane zbroje. Kto nie ma, może wybrać dla siebie. To samo miecze, kusze i reszta. Sprawdź, Dorol, graty płatnika, to mały garnizon, ale mogą mieć trochę srebra. Pozostali na okręt!

Szli zwartą gromadą, otaczając grupę zawodzących jeńców. Jakiś gruby, chropawy głos podjął:

A nad powierzchnią niebo się chmurzy
— z mocami sztormu siądźmy do gry;
śpiewa wiatr w wantach, śpiewa o burzy,
więc zaśpiewajmy i my:
Podmorskie fale zielonym echem...

Rapis nie ruszył z innymi. Patrzył za oddalającą się grupą, potem powiódł spojrzeniem dokoła. Miał tu jeszcze coś do zrobienia... ale zapomniał, co.

Huk pożarów narastał, płonęły już nie tylko strzechy, ale i ściany chałup; z trzaskiem i łomotem spadały jakieś zwęglone belki i żerdzie. W kłębach wszechobecnego dymu majaczyły, coraz bardziej rozmazane, wielkie plamy ognia. Gdzieś rozległ się krzyk krótki, urywany.

Rapis stał i spoglądał dokoła.

Tak płonęły żaglowce. We mgle...

Skazane na zagładę żaglowce...

Wielki holk, gnany wiatrem, niosąc w takielunku burzę szybkich płomieni, podchodził od zawietrznej — i zderzenie było nieuniknione. Rapis ujrzał nagle całe swoje nieudane życie, które miało oto dobiec kresu w kłębach ognia lub pośród słonej, morskiej wody. Płonący holk zbliżał się niczym przeznaczenie, wreszcie z łoskotem i trzaskiem uderzył w burtę „Węża” — a wtedy potworny wstrząs wyrzucił kapitana do morza. Poczł zimne, twarde uderzenie fali.

— Zasnęłeś?

Chałupy płonęły. Gęsty dym utrudniał oddychanie.

— Zasnęłeś? — powtórzył Ehaden. — Wróciłem po ciebie, bo... Rapis rzucił mu szybkie spojrzenie i głośno przełknął ślinę.

— Nie, nie zasnęłem... — rzekł powoli. — Przywidziało mi się tylko. Ten płonący holk, co nas wtedy staranował, pamiętasz. Ile to? Rok, dwa lata temu?

Odwrócił się i ruszył ku przystani.

Płonący holk...

Ehaden stał zamyślony, spoglądając za odchodzącym.

— Nigdy nic nas nie staranowało, Rapis — rzekł pół do siebie, pół w przestrzeń. — Żaden płonący holk.

Kapitan zniknął za kotarą dymu. Oficer zaniósł się kaszlem i ruszył śladem dowódcy, kryjąc twarz w zgięciu łokcia. Oczy zaczęły mu łzawić.

Skojarzenia... Dziwne skojarzenia, uznawane za rzeczywistość. To nie po raz pierwszy. Ehaden był szczerze zaniepokojony. Bał się o przyjaciela.

Powiew wiatru zepchnął na bok kłęby dymu. Wieś stała się jednym wielkim morzem ognia.

3.

Szczęśliwa gwiazda znów się do niego uśmiechała.

Znał małą, dziką zatoczkę w okolicach Bany. Tam ukrył „Węża Morskiego”, sam zaś, wraz z paroma pewnymi ludźmi, dowiózł szalupami na ląd prawie setkę niewolników i niewolnic. Musieli obrócić kilka razy, było już ciemno, gdy skończyli wyładunek. „Wąż Morski” natychmiast odszedł na pełne morze; wrócić miał dopiero za dwa dni. Rapis wiedział, że ostrożność popłaca; miejsce było odludne, jednak nie chciał narażać swego cennego żaglowca bardziej niż to konieczne.

Jeszcze przed świtem starannie ukryli łodzie, po czym stado więźniów, eskortowane przez marynarzy, zostało poprowadzone w głąb pobliskiego lasu. Rapis, mając przy sobie tylko pilota Raladana, przesiedział do świtu na plaży. O brzasku ruszyli w stronę niedalekiej wioski. Kapitan trzymał tam dwa konie u bogatego chłopca. Wieśniak mógł ich używać do woli, w zamian miał tylko dbać o zwierzęta i... milczeć. Chętnie czynił jedno i drugie; wielki pirat upominał się o wierzchowce raz, czasem dwa razy do roku. I bywało — potrafił być hojny...

Wkrótce Raladan i Rapis kłusowali gościńcem w stronę Bany — największego miasta w południowo-zachodnim Armeckie.

Bana była miastem młodym, czy też może lepiej: odmłodzonym i świeżo rozkwitłym. Po zajęciu Dartanu, a potem Garry i Wysp, wielki port na zachodnim wybrzeżu Armecktu okazał się bardzo potrzebny. Po zjednoczeniu Szereru w granicach Wiecznego Cesarstwa Armeck częściowo przejął dartańskie rynki zbożowe, a największym rynkiem zbytu dla zboża — była właśnie Garra. Bana, małe portowe miasteczko, zaczęła rozrastać się gwałtownie jeszcze w okresie armektańskich wojen morskich. Trzy Porty, położone nad Zatoką Królewską, były zbyt oddalone od teatru działań; potrzebny okazał się wielki port wojenny, gdzie mogłyby zbierać się siły niezbędne do podboju zamorskich terytoriów. Osłonięta zakrzywionym jak pazur półwyspem Zatoka Akara, nad którą położona była Bana, zapewniała idealne warunki. Miasto bogaciło się, piękniało i rosło. Dartańska architektura, od chwili

przyłączenia Dartanu do imperium święcąca istne triumfy w całym Wiecznym Cesarstwie, zaanektowała Banę bez reszty, czyniąc z niej „Rollaynę Zachodu” — bo istotnie uderzało podobieństwo między młodym wielkim portem a dartańską stolicą. Strzeliste, bielone budowle nie miały nic wspólnego z oszczędnym armektańskim stylem; ktoś, kto zbliżał się ku nim, łatwo mógł odnieść wrażenie, że oto za sprawą jakichś czarów przeniesiono go do serca Złotej Prowincji...

Jednakże, jeśli nawet Rapis i Raladan dostrzegli piękno wyłaniającego się przed nimi miasta, to nie dali tego poznać po sobie. Także i później, przemierzając przestronne, jasne ulice, wykazywali zupełną obojętność dla uroków dartańskiej architektury. Gdy wreszcie zatrzymali się przed jednym z domów-pałacyków, bynajmniej nie uczynili tego po to, by podziwiać świetne kształty i proporcje budowli. Stali u celu swej podróży.

Zarówno kapitan pirackiego żaglowca, jak i jego pilot, zupełnie nie przypominali morskich rozbójników. Odziani byli inaczej niż na pokładzie „Węza Morskiego”; nosili proste w kroju i wygodne, ale bynajmniej nie siermiężne, armektańskie stroje podróżne. Także końskie rzędy wydawały się być świadectwem dyskretnej zamożności obu jeźdźców. W oczach postronnego obserwatora ci mężczyźni mogli uchodzić zarówno za kupców, jak też właścicieli niedużych, lecz zapewniających dostatek dóbr ziemskich. Lekkie, trochę dłuższe od wojskowych miecze, zdawały się wprawdzie zaświadczać o Czystej Krwi płynącej w żyłach jeźdźców. Z drugiej jednak strony, prawo do noszenia miecza łatwo mógł uzyskać w Armekcie prawie każdy wolny, niesplamiony przestępstwem człowiek.

Na niewielkim dziedzińcu przed domem podróżni zsiadli z koni i powierzyli je służbie. Zaraz potem, poprzedzani przez niewolnika, weszli do wnętrza pałacyku. Podali nazwiska, pod którymi byli znani gospodarzowi. Nie musieli długo czekać.

Pod nieobecność właściciela hodowli, odbywającego podróż w interesach, przyjęła ich Perła Domu. Rapis znał tę niewolnicę i wiedział, że zupełnie otwarcie może z nią omówić wszystkie sprawy. Żona właściciela hodowli nie mieszała się do interesów męża; Perła Domu przeciwnie — miała wszelkie pełnomocnictwa i była pełnoprawną zastępczynią pryncypała. Na pierwszy rzut oka niewolnica warta była

osiemset do tysiąca sztuk złota, jednak kapitan „Węza Morskiego” miał świadomość, że to niemożliwe; właściciele hodowli nie byli aż tak rozrzutni. Nie zauważył, by kiedykolwiek chodziła brzemienna, nie była więc egzemplarzem rozplodowym. Oznaczało to, że musiała mieć jakieś ukryte wady, drastycznie zbijające cenę; był to najczęstszy powód, dla którego takie kobiety zatrzymywano na stałe w przedsiębiorstwach hodowlanych.

Niewolnica, ubrana w świetnie skrojoną domową suknię, powitała przybyłych i przez chwilę prowadziła lekką, żartobliwą rozmowę, ze względu na Raladana posługując się Kinenem — uproszczoną wersją armektańskiego. Zręcznie zmieniała tok rozmowy, omal niepostrzeżenie przechodząc do interesów. Rapis, najwyraźniej czujący się w tym domu równie dobrze, jak na pokładzie okrętu, gładko i rzeczowo, bez żadnych niedomówień, przedstawił swoją ofertę, podał liczbę i szacunkową wartość towaru.

— Widzisz więc, pani — zakończył (niewolnicy o statusie Perły Domu, reprezentującej właściciela, przysługiwał tytuł jak kobiecie Czystej Krwi) — że sprawa jest nieco poważniejsza niż zwykle. Ze względu na wartość transakcji.

Kobieta zmarszczyła lekko brwi, rozważając coś w myślach.

— Tak — odparła krótko. — Poważniejsza, ale i bardziej kłopotliwa — dorzuciła po krótkiej chwili. — Przecież zdajesz sobie sprawę, wasza godność, że towar czwartego sortu znajdzie nabywcę natychmiast, siła robocza w kopalniach i kamieniołomach jest bardzo potrzebna. Obojętne jest mi zatem, czy nabędę partię stu, czy dwustu sztuk; owszem, im więcej, tym lepiej. Nikogo nie interesuje tak naprawdę, skąd biorą się niewolni robotnicy w kopalniach. Zwłaszcza, jeśli są Wyspiarzami albo Garyjczykami. — Uśmiechnęła się z lekką ironią. — Tu akurat nic się nie zmieniło.

Rapis skinął głową. To prawda, surowe prawo imperium, regulujące zasady handlu żywym towarem, w niektórych wypadkach było dziwnie bezsilne... W Kirlanie pewnych rzeczy po prostu nie dostrzegano. Rybackie wioski na Wyspach nie przysparzały dużych wpływów do imperialnej szkatuły, podczas gdy kopalnie soli — i owszem. Nawet, jeśli były w rękach prywatnych, zapewniały niemałe dochody z podatków. Utrzymujący się w rozsądnych granicach nielegalny handel niewolnikami

był zjawiskiem zwyczajnie pożądanym. Oczywiście, okręt piracki, przychwycony z ładownią pełną jeńców, nie mógł liczyć na żadne względy. Z drugiej strony jednak, prywatne kopalnie, kamieniołomy, a czasem nawet plantacje bawełny, kontrolowane były przez cesarskich urzędników zdumiewająco pobieżnie...

— Obawiam się jednak, wasza godność — podjęła Perła Domu — że wyjątkowo duża, jak zapewniasz, ilość młodych i ładnych kobiet, zamiast spodziewanego zysku przyniesie ci tylko kłopot. Nie kupię, panie — rzekła prosto z mostu. — Popyt — wyjaśniła zwięźle, widząc zdziwione spojrzenie kapitana. — Nie ma popytu. Domy publiczne są przepełnione, niewolnice-prostytutki nie mają w tym roku prawie żadnej wartości. Nieurodzaj — znów wytłumaczyła zwięźle i krótko. — Czyżbyś nic, panie, nie wiedział? Jak to możliwe?

— Słyszałem. Ale nie sądziłem, że aż tak.

— Klęska — posumowała Perła. — Klęska nieurodzaju. Wiele rodzin znalazło się na skraju nędzy. Codziennie pojawia się tutaj jakaś dziewczyna, a czasem kilka dziewczyn. Jeszcze tydzień temu kupiłam dwie, ale rzeczywiście było co kupować.

Pozostałe odprawiłam i, o ile wiem, nie kupuje ich także nikt inny. Żywy towar, wasza godność, jest właśnie żywym towarem i jeżeli w krótkim czasie nie znajdzie nabywcy, to zacznie przejadać spodziewane zyski. Można, przez lat kilkanaście, wychowywać, uczyć i szlifować dziewczynę ze starannie dobranej pary rozplodowej, żeby potem sprzedać jako Perłę za dziewięćset lub tysiąc sztuk złota. Przecież, jeśli nawet nie uzyska certyfikatu Perły, to tak czy owak będzie niewolnicą pierwszego sortu i przynajmniej nie przyniesie strat. Ale materiał na tanią prostytutkę? Koniunktura poprawi się najprędzej za rok, a kto wie, czy nie za dwa lata. Sprzedać taką dziewczynę mogę za dwadzieścia, trzydzieści, no, niechby czterdzieści sztuk złota, jeśli wyjątkowo młoda i ładna. Więc za ile mogę ją kupić, by różnica w cenie pokryła koszty rocznego utrzymania? Dzisiaj, wasza godność, musiałbyś mi dopłacić, żebym zgodziła się wziąć te Wyspiarki. Mężczyźni to co innego, zawsze ich brakuje i brakować będzie. Dobrowolnie żaden nie sprzeda się do hodowli, choćby przymierał głodem. To puste prawo, z którego niemal nikt nie korzysta, wasza godność, przecież wiesz. Taki mężczyzna może mieć pewność, że trafi do kamieniołomu i pożyje najwyżej dwa-trzy lata.

Rapis, otrząsnąwszy się z zamyślenia, uniósł rękę.

— Wystarczy, pani — uciął, trochę zniecierpliwiony — wiem, jak działa rynek. Zapomnijmy o kobietach. Nabędziesz więc samych mężczyzn?

— Kilka kobiet, może... Jeśli silne i niezbyt ładne. Naprawdę silne i naprawdę nieładne — podkreśliła. — Kobiety przy pracy w kopalniach niezbyt się opłacają i zbyttnio zwracają uwagę. Trzeba je przebierać za mężczyzn. Mogę wziąć kilka, panie, ale prawdę mówiąc, raczej dla podtrzymania dobrych stosunków handlowych...

Przez chwilę liczyła coś w myślach, po czym wymieniła sumę.

— To przybliżona oferta, oczywiście — uściśliła. — Jak zwykle otrzymasz panie kogoś, kto oceni towar na miejscu. Liczę, że przystaniesz na ostateczną cenę? Nie leży w moim interesie obłupienie cię ze skóry, wasza godność — zmarszczyła lekko nos i zaśmiała się — bo następnym razem pójdziesz do konkurencji... Zapewniam, że jak zawsze, tak i teraz ostateczna cena będzie miała odbicie w rzeczywistej wartości towaru. Czy tak?

Rapis skinął głową. Nigdy nie żałował kontaktów z tą hodowlą; miał pewność, że nie pożałuje i tym razem. Spadek koniunktury nie był przecież winą przedsiębiorstwa. Perła, w imieniu swego właściciela, prowadziła z nim uczciwą grę. Wymieniona przez nią orientacyjna suma była zupełnie rozsądna.

*

Przenocowali w niezłym zajeździe i wyruszyli w drogę powrotną następnego dnia rano, gdy tylko pojawili się zapowiedziani przez Perłę Domu ludzie. Jednego z nich Rapis znał; mężczyzna ten już dwa razy towarzyszył mu, by obejrzeć i wycenić przywieziony towar.

Do lasu dotarli jeszcze przed zmierzchem. Dwaj marynarze natychmiast wyłonili się spomiędzy drzew. Jeden zabrał konie Rapis i Raladana, by odprowadzić do wioski; drugi powiódł przybyłych ku miejscu, gdzie trzymani byli niewolnicy. Kapitan upewnił się, że pod jego nieobecność nie zaszło nic godnego uwagi. Wystawione warty tylko raz przepłoszyły jakichś grzybiarzy. Mało kto zapuszczał się na podobne odludzie.

Po przybyciu na miejsce przedstawiciel hodowli szybko i z wielką znajomością rzeczy dokonał przeglądu towaru. Mężczyźni, choć

zabiedzeni (Rapis nie przekarmił ich na „Wężu”) na ogół prezentowali się nieźle — rzecz zrozumiała, bo cherlaków i starców nie brano, zaś chorzy i ranni prawie wszyscy poszli za burtę w trakcie morskiej podróży. Dodatkowo, zgodnie ze złożoną przez Perłę obietnicą, zakupiono kilka silnych, zdrowych kobiet, co prawda za cenę bardzo niewygórowaną. Jednak Rapis był zadowolony, bo udało mu się jeszcze sprzedać trzy ładne, dwunasto-, trzynastoletnie dziewczyny; uzyskał za nie nawet całkiem przyzwoitą cenę, szczególnie za najmłodszą, która była dziewczicą. Dobiwszy targu, wysłannik hodowli pożegnał się bez zwłoki i nie bacząc na gęstniejący mrok, zabrał całą nabytą grupę pod eskortą własnych, przyprowadzonych z Bany ludzi. Rapis wiedział, że gdzieś tam, w umówionym miejscu na gościńcu, prawdopodobnie czeka na towar mała karawana wozów... Ale to już nie był jego kłopot i nie jego interes. Złoto miał. Nie tyle, ile się spodziewał, lądując z towarem na wybrzeżu; z drugiej strony jednak — wcale niewiele mniej, niż uzyskiwał zwykle. Przywiózł po prostu wyjątkowo dużą partię.

Pozostała przy nim grupa blisko czterdziestu kobiet. Ponadto było dwóch niespełniających wymagań mężczyzn. Kapitan nakazał marsz ku plaży, gdzie miał ukryte łodzie. „Wąż Morski” prawdopodobnie już kotwiczył niedaleko brzegu... Niosąc spory, brzęczący złotem i srebrem worek, Rapis trzymał się końca oddziału. Gdy zbliżyli się do skraju lasu, przywołał Raladana.

— Radź — zażądał krótko. — Nie możemy zostawić tutaj czterdziestu paru trupów; prędzej czy później ktoś to znajdzie. Chcę, żeby to miejsce było czyste. Radź, Raladan. Kamień do szyi? Dwa, a niechby i cztery topielce, nawet jak wypłyną, to nic się nie stanie...

Pilot zaklął w ciemnościach, smagnięty w twarz jakąś gałęzią. Nocny marsz przez las nie należał do przyjemności.

— Dużo zarobiliśmy? — zapytał.

— Tak sobie — niechętnie odrzekł Rapis i pilot uśmiechnął się lekko; kapitan bywał szczodry, ale czasem dla odmiany wręcz skąpy. — Dla ciebie wystarczy, Raladan.

— Nie o tym myślę, kapitanie. Jeśli przywieziemy towar z powrotem na pokład, załoga przekona się, że interes poszedł kiepsko. Nie zdziwią się, gdy niewiele wypadnie na głowę. Nikt nie wie, ile naprawdę jest w tym worku, kapitanie.

— Nie, Raladan. Nawet, gdyby mi się chciało targać całe to stado z powrotem na „Węza”, to załoga musi zarobić swoje. Chcesz buntu? Ja nie chcę.

— Jest na to lekarstwo. Mamy czterdzieści kobiet, kapitanie. Trzeba było oszczędzać towar, ale teraz to już nie towar. To kłopot. Albo prezent dla załogi, prezent może nawet miłszy niż srebro. Dostaną mniej niż zwykle, ale za to będą kobiety. Darmo.

Dotarli do plaży. Rozmowa, prowadzona dość cicho, by majtkowie nie mogli nic usłyszeć, zakończyła się śmiechem Rapisy.

— Dobry pomysł, Raladan, naprawdę dobry pomysł. Tak zrobimy.

Niedaleko od brzegu co jakiś czas błyskało drobne, wątle światło. Żaglowiec już na nich czekał.

Łodzie dotarły do „Węza Morskiego”, po czym zawróciły. Nawet mocno przeciążone, nie mogły zabrać na raz wioślarzy i czterdziestu kobiet. Rapis nie popłynął z pierwszą partią, czekał na plaży. Zakotwiczony o ćwierć mili od brzegu żaglowiec od wielu lat był jego domem — jednak nawet do domu nie zawsze chce się wracać. Kapitan zdziwiłby się pewnie, gdyby mu powiedziano, że został, bo urzekła go ciepła, gwiazdzista noc. Zapomniał już prawie, co to znaczy być urzeczonym; na pokładzie pirackiego okrętu nie było miejsca dla takich uczuć, ani nawet dla takich słów. A jednak to właśnie granatowa, roziskrzona kopuła nad głową, miękki piasek plaży i szmer fal liżących płaski brzeg kazały mu zwlekać z powrotem na pokład karaki.

Nieopodal majaczyło kilkanaście ciemnych, nieruchomych sylwetek. Dwaj marynarze pilnowali kobiet. Wycieńczone, zastraszone, bały się głośno oddychać. Milcząca obecność „towaru” stała się nagle Rapisowi przykra; powstał i rzuciwszy swoim ludziom krótkie „czekać” — powoli ruszył wzdłuż plaży. Wkrótce kalające piasek cienie roztopiły się w mroku i kapitan uświadomił sobie nagle, że jest sam. Inaczej niż w kajucie na „Węzu”. Sam. Mógł iść dokądkolwiek, przed siebie, tak długo, jak długo chciał.

Fale cicho szemrały na piasku.

Idąc przypomniał sobie taką samą noc i taką samą plażę, przed laty. I zatęsknił do tego wszystkiego, co wtedy, na plaży, raz na zawsze pozostawił za sobą. Zatęsknił do młodego oficera Straży Morskiej Armektu, którym był, i do pięknej, szlachetnie urodzonej Garyjki, która

go oszukała.

Zawrócił. Wydało mu się nagle, że jeśli pójdzie jeszcze trochę dalej, to dojdzie do miejsca, gdzie odnajdzie całe swoje dawne, zdradzone życie. Ależ tak, był zupełnie pewien, że ona... ona tam czeka. Zabiłby ją. Nie chciał tego. Wracił coraz szybciej, jakby bojąc się, że majtkowie i kobiety znikną z plaży... Cicha noc armektańska wydała mu się nagle wroga i nieprzyjazna. Miał swój okręt, swoich marynarzy, swoją morską legendę — i nie chciał tego tracić. Nawet na chwilę. Ten okręt i ci marynarze...

Skrzywił usta. Mocno wątpił, by ktokolwiek z załogi rozmyślał nad sensem istnienia, ba! oceniał swoje własne życie. W pewien sposób kochał ich wszystkich. Może właśnie za to? Oni zaś kochali swego kapitana. Żaden nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Ale czy to miało jakieś znaczenie? Ważne było zupełnie co innego: to mianowicie, że krwawy przywódca morderców, Demon Walki, jak go nazywano, mógł być kochany przez ćwierć tysiąca ludzi, którzy nigdy go nie zdradzili. Ludzi. Obojętnie jakich. Dość, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, mało który z zacnych moralistów, tak chętnie dzielących świat na zło i dobro, mógł się poszczycić miłością choć dziesięciu osób, cóż dopiero mówić o setkach. Rapis miał świadomość, że gdy wreszcie odejdzie, pozostawi po sobie dobrą pamięć w sercach wszystkich marynarzy pływających pod jego banderą. Zależało mu na tym.

I dlatego nie lubił wspomnień z odległej przeszłości. Starał się ich nie przywoływać. Kawał życia miał jeszcze przed sobą — ale już żałował roztrwonionych za młodu lat. Wyjęty spod prawa, przeklęty przez setki, a może i tysiące ludzi — znalazł swoje dobro. Swoje miejsce.

Wrócił w chwili, gdy pierwsza z łodzi zaszurała dnem o piasek. Zaraz pojawiła się druga. Majtkowie bez komendy rozpoczęli załadunek niewolnic. Kapitan stał i patrzył bez słowa.

Kobiety niezgrabnie gramoliły się przez burty łodzi. Miały nogi spętane w sposób umożliwiający stawianie małych kroków, oprócz tego związane były wspólnym sznurem, tworzącym pętlę na szyi każdej. Teraz sznur porozcinano, by rozmieścić ładunek w szalupach.

Na stratowanym piasku pozostały tylko jakieś szmaty, widoczne w półmroku jasnej nocy. Marynarze, oglądając się na kapitana, zaczęli już spychać łodzie na wodę. Rapis pochylił się i podniósł z plaży brudny

gałgan. Nie chciał zostawiać żadnych zbędnych śladów w tym miejscu. Może był to zbytek ostrożności, ale... Zrobił parę kroków w stronę drugiej szmaty i... nastąpił na żywe, zagrzebane w piasku ciało. Powoli cofnął się o pół kroku. Odkrył uciekinierkę.

Marynarze, stojąc po pas w wodzie, z trudem przytrzymywali kołyszące się ciężko szalupy. Rapis przysiadł na piętach, oparł łokcie na udach i splótł dłonie, z bliska przyglądając się temu, co znalazł. Rozejrzał się dokoła, próbując zrozumieć. Tak, to było na samym obrzeżu stłoczonego stada niewolnic, za plecami pilnujących towaru marynarzy. Nie miał pojęcia, w jaki sposób ta kobieta zdołała, bez zwrócenia uwagi strażników, zwlec z siebie postrzępione gałgany i częściowo zagrzebać się w piasku. Bardzo niedokładnie; spod szarych ziarenek w wielu miejscach przebijała naga skóra. Jednak, w mroku nocy, ciało i plaża miały tę samą barwę... Jak uwolniła się od sznura? Poczł mimowolny podziw dla sprytu i zimnej krwi uciekinierki. Zastanawiał się przez chwilę, czy to dygoczące ze strachu stworzenie wie już, że zostało odkryte. Musiała poczuć nacisk jego nogi. Ale nie wiedziała, czy ją znaleziono, czy też może tylko nadepnięto przypadkiem...

Obejrzał się na majtków przy łodziach. Nie mogli mieć pojęcia o tym, co odkrył. Wezbrał mu w piersi szczery śmiech; przez chwilę walczył z pokusą poklepania spryciary po gołej łydce i zostawienia tak. Zacisnął dłoń na szczupłej, zaskakująco rasowej pęcinnie i wyprostował się, a potem ruszył przed siebie, wlokąc bezwonną kobietę po plaży. Wydała z siebie coś, co brzmiało jak krótki szloch — a potem już nic więcej, choć szorstki piach, kamienie i odłamki muszli musiały dotkliwie ranić. Usłyszał zdumione okrzyki marynarzy. Wskoczyli mu na spotkanie. Zostawił znalezisko w miejscu, do którego sięgały pierwsze fale, wszedł do wody i wkrótce znalazł się w łodzi. Dopiero wtedy spojrzł za siebie. Marynarze wlekli kobietę w kierunku drugiej szalupy.

— Na „Wężu” — powiedział głośno — przyprowadzić mi ją do kajuty. Pilnować! Bo gotowa wymyśleć jakiś nowy żart.

— Tak, panie!

W głosie marynarza brzmiała ulga. Był jednym z pilnujących towaru na plaży. Właśnie ominęła go kara.

4.

Kobiety spędzono do ładowni. Nikt na „Wężu Morskim” nie wiedział jeszcze, co z nimi będzie. Rapis nie spieszył się z przekazaniem prezentu załodze. Zatoczka u wybrzeża Armektu nie była dobrym miejscem do zabawy. Należało wyjść na pełne morze, zyskać swobodę szybkości i manewru, a przede wszystkim ukryć się za horyzontem dość głęboko, by niepowołane oczy na brzegu nie mogły dostrzec karaki.

Przekazawszy Ehadenowi rozkazy dotyczące kursu, kapitan poszedł do siebie. W kajucie odpiął pas z mieczem, zrzucił kaftan i koszulę. Było niezwykle parno. Usiadł na wielkiej skrzyni pod ścianą i przeciągnął się. Zdążył już zapomnieć o wygrzebanej z piasku niewolnicy i aż uniósł brwi ze zdziwienia, gdy do drzwi kajuty załomotał Tares. Oficer zaciskał dłoń na karku zgiętej wpół, nagiej kobiety.

— Podobno...

Rapis machnął ręką; głupota tego człowieka czasem go zdumiewała. Tares był drugim jego zastępcą, oficerem sumiennym, dokładnym i posłusznym aż do... bezmyślności.

— Dobrze, daj ją tutaj — polecił, czyniąc mimowolny gest ukazujący środek kajuty... i aż westchnął, bo Tares jeszcze mocniej zacisnął dłoń na karku jęczącej z bólu branki i pchnął z całej siły, aż wylądowała na podłodze, dokładnie we wskazanym miejscu.

— Dobrze — powtórzył kapitan.

Tares odszedł, zamykając drzwi.

Skulona na podłodze kobieta nie poruszała się. Rapis przechylił się na swojej skrzyni i ujął ją pod brodę. Ujrzał twarz, częściowo przysłoniętą przez potargane włosy. Cofnął się odruchowo — dziewczyna nie miała oka. Ohydny, świeżo zablizniony oczodół mógł poruszyć każdego. Przypomniał ją sobie od razu. Straciła oko podczas napadu na wioskę, poza tym jednak była młoda, zdrowa, miała znakomitą figurę i nieprzeciętną urodę. Nosila opaskę z jakiejś szmaty i z tą opaską wcale nie była odrażająca. Sortując towar w ładowni, poszedł za radą Ehadena i podjął decyzję o zostawieniu jej. Mogła znaleźć nabywcę; wtedy jeszcze nie wiedział, że w Armekcie wcale nie ma

popytu na kobiety. Prawdę rzekłszy, gdyby nie ta fatalna rana, byłaby najdroższą sztuką ze wszystkich, jakie wiózł. Aż dziwne. Takich kobiet nie widywało się w rybackich wioskach.

— Jak się nazywasz?

Milczała, skulona na podłodze, tak jak cisnął ją Tares.

— Nie rozumiesz Kinenu?

Chyba istotnie nie rozumiała. Nic nadzwyczajnego. Garyjczycy nie lubili tego, wspólnego dla całego imperium, języka, będącego szkieletem mowy armektańskiej. Nie lubili go, jak i zresztą wszystkich innych rzeczy, narzuconych przez Kirlan. Prawdę mówiąc Rapis, choć sam był Armektańczykiem, wcale się temu nie dziwił. Ale teraz miał twarde orzech do zgryzienia. Znakomicie rozumiał garyjski, ale z mówieniem szło gorzej. Akcent był dla niego istną magią. Zdawał sobie sprawę, jak niezrozumiałe i prostacko brzmią w jego ustach garyjskie słowa.

— Jak się nazywasz? — spróbował.

Drgnęła i uniosła lekko głowę. Ale nie spojrzała na niego.

— Ridarethe — powiedziała ochryple.

— Ridareta — poprawił, wymawiając imię w armektańskim brzmieniu. — Ridareta... — powtórzył. — No, no. Dumne imię. Rzadkie. Zamyślony, bębnił palcami w wieko skrzyni, na której siedział. Coś uwierało go w gardle. Przełknął ślinę. Nagle o czymś sobie przypomniał. Wstał.

— Podnieś się — rozkazał.

Spełniła rozkaz. Głowę wciąż miała pochyloną, ale poza tym stała wyprostowana, nie garbiła się, nie zwieszała rąk. Tylko patrzeć, a ujmie się pod boki... Z coraz głębszą zadumą spoglądał na duże, twarde piersi, ocenił płaski brzuch i linię nóg.

— Odwróć się.

Z tyłu wyglądała równie dobrze; pośladki i plecy miały znakomity kształt.

Trzymał na statku kufer pełen kobiecych strojów. Siedział na nim przed chwilą... Suknie i spódnice były bardzo kosztowne, często haftowane złotem, zdobione perłami. Łup z kupieckiej kogi. Chciał to wszystko sprzedać przy jakiejś okazji, ale nie zdarzyła się dotąd.

— W tej skrzyni — powiedział — są suknie. Wybierz sobie, co ci się podoba. Nie zareagowała.

— Usłyszałaś? Załóż coś na siebie. — Otworzył wieko skrzyni, przez chwilę grzebał w środku, po czym wyciągnął jakiś czarny aksamit. — Podrzyj to i zrób sobie opaskę, ta dziura zamiast oka to nie jest dobry pomysł. Czekał. Najpierw umył się i uczeszał. Popchnął ją ku niewielkim drzwiom w kącie kajuty. — Tam znajdziesz dzban z wodą, jest też zwierciadło i miedziany grzebień. Wiem, że to za mało dla damy — uśmiechnął się nagle — ale to niestety wszystko, co mogę waszej godności ofiarować.

Mówił powoli, starannie. Miał nadzieję, że można go zrozumieć. Wrzasnął po garyjsku „Za mną!” albo „Nie brać jeńców!” nie było trudną sztuką. Co innego rozmawiać o zwierciadłach i strojach.

Dziewczyna zniknęła za wskazanymi drzwiami. Rapis otworzył sąsiednie, wiodące do sypialni. Odziedziczył te apartamenty po armektańskim dowódcy eskadry. Bardzo niewiele okrętów zapewniało swoim kapitanom podobne luksusy. Ogarnął wzrokiem rozbebeszoną pościel, porzucane odzienie, broń i wszelkie kłamoty. Cóż, dziewczyna mogła się przydać. Zresztą nie tylko do sprzątnięcia... Nie tolerował kobiet w załodze, wiedział, czym to się kończy. Jak u Alagery. Jej mieszana banda więcej gziła się pod pokładem, niż myślała o stawianiu żagli. Alagera była kapitanem tylko z tytułu, tak naprawdę nikt jej nie słuchał. W takich warunkach każdy zwrot okrętu, każde ostrzenie urastało do rangi wielkiego manewru. Na kobiety był czas w tawernach, na lądzie. Ale teraz... Skoro czynił odstępstwa od zasad, dając załodze prezent, mógł pofolgować i sobie. Zresztą... Chodziło o dzień, może dwa.

Usiadł na pościeli i przetarł twarz dłońmi. Coś go niepokoiło — i chyba wiedział co. Twarz tej dziewczyny była przerażająca. Nigdy dotąd nie sądził, że widok jakiegokolwiek rany wyzwoli w nim taki... lęk. Właśnie lęk. Miał ochotę uderzyć tę kobietę; sprawić jakoś, żeby jej nie było. Pusty, ohydny oczodół... Ale przecież widywał daleko gorsze rany. Dlaczego właśnie ta twarz tak bardzo go poruszyła? Prawie... zabolęła.

Uciekając od niewygodnych myśli, zaczął snuć plany. Nie miał pojęcia, gdzie skierować „Węża Morskiego”. Cóż za fatalny rok... Zwykle miał dokładne, sprawdzone wieści o cennych ładunkach i okazjach wszelkiego rodzaju, które mogły dać pieniądze. Jeśli mu czegoś brakowało — to czasu, by wykorzystać je wszystkie. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio musiał szukać zajęcia dla swojego żaglowca. Fatalny rok, naprawdę.

Nadciągała jesień, pora burz. Była zbyt blisko, by przedsięwziąć jakąś poważniejszą wyprawę — i zbyt daleko, by nic nie robić do jej nadejścia. Kręcić się po Morzu Zwartym, licząc na szczęśliwy traf? Odwykł już od takich polowań...

Potarł dłonią podbródek. A może do Bezimiennego Obszaru? Po Porzucone Przedmioty? W Obszarze czas płynął inaczej, to nie było zwykłe miejsce... Mógłby tam przeczekać porę burz. Ryzykowne, ale...?

Był już kiedyś w Obszarze. Nie bez kozery zwano to miejsce Złym Krajem. Stracił trzy czwarte załogi. Ale ci, co przeżyli, mogli sobie winzować. Za Porzucone Przedmioty płacono już nie srebrem, a złotem. Marynarze, przepełnieni zabobonnym lękiem, na wyścigi wyzbywali się drogocennej, „magicznej” zdobyczy. Pierwotnie on także zamierzał jak najszybciej prehandlować swój łup. Jednak po namyśle zostawił sobie Rubin Córki Błyskawic, Geerkoto, potężny Ciemny Przedmiot. Nigdy nie żałował tej decyzji. Nie potrafił w pełni wykorzystać drzemających w Rubinie sił, ale samo jego posiadanie potęgowało odporność na zmęczenie i ból, czyniło właściciela zdrowszym, silniejszym i zręczniejszym...

Odegnął pokusę. Nie mógł ponownie płynąć do Obszaru. Ludzie. Ludzie byli niepewni, nowi. Gdyby miał na „Wężu” starą, wypróbowaną załogę, na czele której zdobył swój wojenny przydomek...

Uśmiechnął się do wspomnień.

Parę lat minęło od czasu, gdy wyrznął do nogi maleńki garnizon straży morskiej na jednej z wysepek Morza Garyjskiego. Nic tam nie było, tylko resztki starej rybackiej przystani i parę chylących się ku upadkowi domów. W kilku z nich siedzieli żołnierze — nie wiadomo po co, doprawdy. Chodziły słuchy, że dowództwo Straży Morskiej Garry i Wysp nosi się z zamiarem odbudowania przystani i wzniesienia kwater dla załóg dwóch czy trzech małych okrętów Floty Rezerwowej. Krótko mówiąc, na porzuconej wysepce miał powstać niewielki port wojenny. Rapis słyszał o tym od zawsze. Mijały lata, a plany strażników wciąż były tylko planami. „Wąż Morski” zawinął kiedyś do przystani, a gdy odpływał — nad wyspą powiewała wojenna, purpurowo-zielona bandera Rapisy. Minęły miesiące, nim do brzegów wysepki przybił okręt straży morskiej, wiozący zaopatrzenie; wyszło na jaw, że po żołnierzach na wyspie nie został nawet ślad. Po pewnym czasie osadzono tam nowy garnizon — i

czysty przypadek sprawił, że „Wąż Morski” ponownie zawitał do starej przystani. Tym razem żołnierze uszli z życiem — zasilając załogę Rapisy. Nic dziwnego; nie byli to ludzie pocziwi... Do służby w takim miejscu, jak zapomniana przez cały świat wysepka, posyłano żołnierzy za karę; wszyscy, łącznie z dowódcą, dopuścili się różnych wykroczeń. Rapis po raz drugi wywiesił swoją banderę i wrócił po kilku miesiącach, by sprawdzić, czy wisi nadal. Nie wisała. Załoga „Węża” musiała tym razem stoczyć regularną bitwę ze wzmocnionym garnizonem, liczącym kilkudziesięciu dobrze uzbrojonych i wyposażonych ludzi. Po raz trzeci purpurowo-zielona bandera załopotąła nad wyspą. Kapitan pirackiej karaki wydał otwartą wojnę Wiecznemu Cesarstwu.

W komendanturze Straży Morskiej Garry i Wysp nikt nie potrafił zrozumieć, o co w ogóle chodzi. Bezludna wysepka nie miała żadnej wartości, mógł tam powstać mały port wojenny, ale już naprawdę nic więcej. Trudno podejrzewać, by załoga tajemniczego pirackiego żaglowca zamierzała osiedlić się na takim lądzie. Nie miało to wcale sensu. Dokładnie zbadano wyspę. Zgodnie z oczekiwaniami, nie było tam nic, zupełnie nic. Pomimo to, wyzwanie rzucone przez morskich bandytów zostało podjęte. Plaga piractwa dotkliwie dawała się imperium we znaki; oto nadarzała się okazja do zniszczenia zuchwałego żaglowca. Otrzymawszy pomoc wojsk lądowych, straż morską wysadziła na nieszczęsnej skale pełny półlegion — przeszło trzystu ludzi Legii Garyjskiej. Po morzu krążyły dwie eskadry, stanowiące trzon Floty Rezerwowej.

Rapis, wszędzie mający swoich szpiegów, wiedział o tych wszystkich posunięciach; rozmach przedsięwzięcia uniemożliwił zachowanie pełnej tajemnicy. Wygrał wojnę. Legendy o skarbach, jakie zebrał, znalazły nagle zaskakujące potwierdzenie: kapitan „Węża Morskiego” kupił sobie pomoc, i to pomoc nie byle jaką... Ataku na wyspę (nazwano ją później Barirra — Dziwna) dokonały cztery duże i dwa mniejsze okręty, a ponadto kilkanaście śmigłych łodzi szakali morza — rybaków-piratów, dobijających i grabiących zwabione na mielizny statki. Wydano bitwę cesarskim eskadrom, dwa holki puszczono na dno, dwa inne zostały zmuszone do ucieczki. Trzystu legionistów uwięzionych na wyspie wyrznięto do ostatniego. Straż morską desperacko tuszowała sprawę, dowództwo wojsk lądowych żądało wyjaśnień w związku z

masakrą swych oddziałów na wyspie. Trybunał Imperialny wszczął dochodzenie; było jasne, że wódz piratów miał w dowództwie straży swych donosicieli. Okazało się szybko, że cesarstwa nie stać na prowadzenie niezwykle kosztownych, a zarazem przynoszących same klęski operacji w obronie bezwartościowej, sterczącej z wody skały. Uczyniono wszystko, by przegraną przemienić w zwycięstwo: wszem i wobec trąbiono o ogromnych stratach piratów, o potopionych żaglowcach, o szubienicach... Udało się ocalić prestiż wojsk imperialnych — ale kosztem wyspy. Demon Walki, jak tu i ówdzie zaczęto nazywać kapitana pirackiej karaki, zdobył swoją Barirę. Zrezygnowano z utrzymywania garnizonu. Czasem tylko ostrożnie przybijały do wyspy patrolowe szniki straży morskiej. Zawsze znajdowały łopoczącą zwycięsko czerwono-zieloną banderę i — nic więcej. Widać było, że piracki żaglowiec zawija czasem do przystani; banderę zmieniano, zabierano podartą przez wichry i wywieszano nową. Poza tym jednak wyspa trwała porzucona, zapomniana. Demon Walki nie potrzebował jej...

Siedzący w kajucie, pośród rozgrzebanej pościeli Rapis, przesunął dłonią po twarzy. Zdał sobie sprawę, jak często (o wiele za często!) nawiedzają go ostatnio wspomnienia. Zaczynał się zastanawiać, czy nie jest to oznaka starości. Coraz częściej zajmował się przeszłością, a coraz rzadziej przyszłością... Powstał i wyjrzał z sypialni. Dziewczyna — już ubrana — poprawiała fałdy bajecznie bogatej, chociaż nieco zakurzonej i wymiętej sukni.

Przyglądał się w milczeniu. Wiedział już, że ma w kajucie — kłopot... To nie była wieśniaczka. Córka rybaka z wyspiarskiej osady nie umiałaby nawet zasznurować stanika tej szaty. Jednookie, przekreślone czernią opaski spojrzenie, kryło w sobie jakąś mroczną, posępną egzotykę, ale przede wszystkim — wyzwanie.

— Wasza godność — powiedział — jestem kapitanem pirackiego żaglowca, ale przede wszystkim jestem mężczyzną Czystej Krwi. Nie porywam kobiet równych mi urodzeniem, by sprzedać właścicielom hodowli. Mógłbym może zażądać okupu. Zaszła przykra pomyłka... Ridareta, czy tak? A oprócz tego?

Z wysiłkiem składał gardłowe dźwięki w wyrazy, a te z kolei w zdania.

Milczała.

— Twoje nazwisko, pani — zażądał bardziej stanowczo. — Być może kaleczę język, ale jestem pewien, że można mnie zrozumieć. Proszę o pełne nazwisko, lub monogramy twoich imion rodowych. To nie jest prośba, lecz polecenie.

Kirlan próbował kiedyś rzeczy niemożliwej — przeszczepienia rodowych monogramów na garyjski grunt. Imiona rodowe pojawiły się przed wiekami w Dartanie, potem przejął je Armekt. Były jednak najzupełniej obce garyjskiej obyczajowości i tradycji. Przyjęły się tylko na wyspach; ich mieszkańcy nie mający własnej arystokracji nie protestowali, gdy cesarz, nagradzając za różne zasługi, nadawał niektórym rodzinom status Czystej Krwi.

Dziewczyna przygryzła usta.

— Tylko... Ridareta — odparła po długiej chwili.

Milczenie przedłużało się. Patrzył jej prosto w twarz; odpowiadała dziwnie upartym, zawziętym i niepokornym spojrzeniem. Kim była, do pioruna?

— Możesz być cenną zakładniczką — powiedział — ale możesz być także niewolnicą, jak dotąd. Wybieraj. Zakładniczkę mogę wymienić na złoto. Niewolnice już próbowałem, nic z tego. Wszystkie kobiety, jakie są na statku, dostaną się jutro marynarzom. Ale to jest okręt wojenny, nie burdel, i dlatego marynarskie uciechy potrważą co najwyżej jeden dzień. Potem niewolnicami będą się bawić ryby.

Po raz pierwszy dostrzegł na jej twarzy cień strachu. I zgrozy.

Usiadł w obszernym, wygodnym fotelu i wyciągnął nogi na środek kajuty. Cesarscy oficerowie nie mieli takich foteli. Przywłókł go sobie z tej samej kogi, z której pochodziły kobiece stroje w skrzyni.

— Nie mam cierpliwości ani czasu, wasza godność, by bawić się w pytania bez odpowiedzi — rzekł uprzejmie. — Chcę usłyszeć twoje pełne nazwisko. Pytam po raz ostatni.

Zacisnęła usta.

Czekał.

Za drzwiami rozbrzmiały kroki. Ehaden wszedł do kajuty, jak zwykle bez zapowiedzi.

— Słyszałem... — zaczął i urwał. Wyglądał na przerażonego. Rapis uczynił ruch dłonią, prezentując swemu zastępcy dziewczynę w świetnej

sukni.

— Córka rybojada — przedstawił. — Nazywa się Ridareta. I nic więcej. Przejdź się — rozkazał dziewczynie. — Tam i z powrotem, no już.

Spełniła polecenie. Nawet nie próbowała udawać... Ehaden doszedł do siebie. Cofnął się trochę i ze zdumieniem patrzył na spokojny krok, proste plecy i właściwie ustawioną głowę branki. Stopy stawiała z palców, nie z pięty, równoległe do siebie, nie plątała się w sukni.

— Skąd się wzięłaś, pani, w tej wiosce? Dlaczego nie powiedziałaś...
— zaczął oficer. Rapis uśmiechnął się.

— No proszę — rzekł — zawołaj jeszcze Taresa, a okaże się, że wszyscy oficerowie, jacy są na „Wężu”, pytają jej godność o to samo. Chociaż, Tares jest za głupi... Ale Raladan na pewno by zapytał. Nieźle otrząskał się w świecie.

Wzruszył ramionami.

— Weź ją sobie — dorzucił nieoczekiwanie. — Ja do tego nie mam cierpliwości. Nasza dama — ciągnął, używając Kinenu — powiedziała po garyjsku dwa albo trzy słowa, ale za to z taką dykcją, jakiej mieć nie będę, choćbym żył sto lat. Nawet nie próbuje ukrywać, że świetnie się czuje w tej sukni, ale pełnego nazwiska ci nie poda, choćbyś groził śmiercią. Nie mam do tego cierpliwości — powtórzył. — Weź ją sobie i dowiedz się, kto to jest, pogwarzycie sobie po garyjsku. Ja już mam szczerze dosyć tego twojego parszywego języka. Niewolnice daj jutro marynarzom, interes źle poszedł — zmrużył oko — i dostaną kobiety zamiast srebra. A z tą tutaj zrób, co ci się podoba. Tylko zabierz mi ją sprzed oczu, bo po tym, co zaraz jej zrobię, będzie miała taką wartość jak Alagera, kiedy ją ostatnio widzieliśmy...

5.

Wiało od zachodu. „Wąż Morski” szparko płynął półwiatrem wprost na południe. Minęli Wyspy Okrągłe, wyostrzyli i poszli dalej, przez Morze Zwarte.

Nastroje wśród załogi były niezłe, choć po niewolnicach darowanych przez Rapisa zostały już tylko wspomnienia. I to wspomnienia bardzo skrętnie skrywane... Kapitan wpadł we wściekłość, kiedy wyszło na jaw, jak mądre były jego zasady — i jak głupio zrobił, odstępując od nich. Kobiet było zaledwie czterdzieści; najmłodsze i najładniejsze stały się przyczyną bójek. Poszło na noże, kilku marynarzy było rannych, a dwaj zginęli. Bosman i przyboczni gwardziści Rapisa, wywodzący się jeszcze ze starej załogi, musieli użyć pałek i batów, by przywrócić porządek. Niewolnicom poderżnięto gardła i powyrzucano je za burtę. Tak skończyły się marynarskie figle.

Rozdrażniony Rapis z wielką niechęcią uległ namowom Ehadena, by zatrzymać jeszcze przez jakiś czas tajemniczą jednooką brankę. W końcu dał się przekonać, ale zapowiedział, że gdy tylko ujrzy dziewczynę „gdziekolwiek na okręcie”, każe ją z miejsca wyrzucić do morza. „Pamiętaj! — przykazał. — Trzymaj ją na smyczy, u siebie, nie chce więcej nic słyszeć o żadnym zwierzęciu na pokładzie! I na tym stanęło.

*

Była noc. Ehaden sprawdził pokładowe wachty i wrócił do kajuty. Ridareta obudziła się. W słabym świetle rozkołysanej latarni patrzyła, jak mężczyzna odpina pas, zdejmuje kaftan, a potem zzuwa buty i ściąga hajdawery. Został w samej koszuli.

— Nie śpię — powiedziała.

— Widzę.

Przysiadł obok niej na posłaniu i przez długą chwilę trwał w zamyśleniu.

— Wkrótce jesień — rzekł. — Pora postanowić, co dalej.

— Co będzie jesienią? Ach, sztormy...

— Sztormy — przytwierdził. — Pora burz. Nikt nie pływa jesienią. „Wąż Morski” ma kilka kryjówek. Załoga zejdzie na ląd, będzie wydawać

zarobione srebro. Na pokładzie zostanie kilku majtków i ktoś jeszcze. Może ja, może on... Ale ty nie zostaniesz na pewno. Wymyśl coś. Musi być ktoś, kto zapłaci za ciebie. Nie mogę cię dłużej chronić.

— Ucieknijmy — podsunęła. Pokręcił głową.

— Zdaje się, że już próbowałaś? — zapytał z ponurą ironią. — Straciłem fortunę, płacąc temu marynarzowi tylko za to, żeby nie pilnował cię za bardzo. I co? W lesie nie było okazji, a na plaży...

— Wtedy, na plaży, prawie mi się udało — zaoponowała.

— Prawie.

— Boisz się go — zauważyła.

— Nie znam nikogo, kto by się go nie bał. Demon Walki. To nie jest zwykły wojenny przydomek. Ten człowiek jest... stał się demonem. Już prawie nie potrafię z nim rozmawiać. Z każdym miesiącem, z każdym tygodniem, jest gorzej. Może to ten klejnot Geerkoto. Nie wiem. Nie poznał cię. — Rozłożył ręce i bezradnie pokręcił głową. — Nie poznał cię... — powtórzył.

— Straciłam oko — przypomniała cicho. Wciąż kręcił głową.

— Ridareta, on cię nie poznał... Nie poznał twarzy jedynej kobiety, którą kochał w całym swoim życiu. Rozumiesz? Popatrz — wskazał własną twarz — jestem do niej podobny, nawet dziś, po tylu latach. Tak czy nie? I ty jesteś do mnie podobna, bardzo podobna. On tego nie zauważył.

— Matka opowiadała... Nie słuchał.

— Ubrał cię w suknię, kazał chodzić... A wcześniej oglądał cię nagą. Masz jej wzrost, jej figurę, takie same włosy... — mówił jakby do siebie. — Wyglądasz dokładnie tak, jak ona wyglądała przed parunastu laty. Przecież oglądałem ją od dziecka, zawsze razem, kiedy miała lat dziesięć... i szesnaście jak ty teraz... Nie kłóć się ze mną — dorzucił, choć dziewczyna milczała. — Jeśli czyjąkolwiek twarz pamięta się przez całe życie, to twarz własnej siostry... Co ty możesz o tym wiedzieć — zreflektował się, machając ręką.

Ridareta milczała.

— A po nim masz podbródek i usta — dorzucił. — Tego też nie zauważył.

— Powiedz mu — zażądała cicho, lecz stanowczo.

— Nie! — zaprotestował gwałtownie. — Nie wiesz, co mówisz,

próbowałem ci to już... On cię po prostu zabije! On nie panuje nad sobą, zrozum to! On naprawdę kocha swoich marynarzy, i co? Jeszcze raz mam ci opowiedzieć, co wczoraj kazał zrobić z tym przygłupim majtkiem?

Potrząsnęła głową. Marynarza przeciągnięto pod kilem. Za drobne, bardzo drobne zaniedbanie. Umarł.

— Zabije cię — powtórzył Ehaden. — To Armektańczyk. Był nim, jest i pozostanie. Nie uwierzy! Od szesnastu lat jest przekonany, że Agenea zdradziła go, uciekła, zostawiła... To Armektańczyk! — rzekł raz jeszcze. — Nie uwierzy, że szlachetnie urodzona Garyjka, brzemienna z armektańskim oficerem straży, tylko z tego powodu mogła być więziona w domu własnego ojca przez dwanaście lat! A tym bardziej nie uwierzy, że po jej śmierci wypędzono cię na ulicę, jak psa! To nie po armektańsku, rozumiesz? Na Szerń, jak ja tego nienawidziłem! — cisnął. — „Świętej sprawy niepodległości Garry”! Świętej, stuletniej nienawiści do Armektu i Armektańczyków! Tak, zostaliśmy podbici! Tak, była kiedyś wojna! Ale na tej przeklętej wyspie po prostu nie da się żyć, a to z winy takich starych pomyleńców jak mój ojciec! Twój dziadek! — wybuchnął. — Który przeklął mnie i wydziedziczył tylko za to, że chciałem pływać na cesarskim żaglowcu, że znalazłem prawdziwego przyjaciela w osobie armektańskiego żołnierza. A ja ci mówię, Ridareta, że gdybym jutro miał umrzeć, to ta przyjaźń była warta więcej niż cokolwiek innego w moim życiu! Agenea to rozumiała. Jakże się cieszę — zawołał — że ten stary zwyrodnialec wreszcie umarł! Na Szerń, a takich jak ja i Rapis nazywa się bandytami!

— Przestań — powiedziała cicho. — Krzyczysz. Przełknął ślinę.

— Krzyczę.

Przetarł dłońmi twarz.

— Rapis cię zabije — rzekł raz jeszcze. — A mnie razem z tobą. Nie uwierzy, nawet nie spróbuje zrozumieć. Nie poznał cię, rozumiesz? Uznał, że został zdradzony przez kobietę i wbijał to sobie do głowy przez szesnaście lat. Nie poznał cię. Zrobił wszystko, żeby zapomnieć o tej zdradzie, i udało mu się. Zapomniał.

— Przecież zna twoją historię, więc może...

— Tak, zna moją historię, ale w nią nie wierzy — przerwał. A może nawet wierzy, ale... — Uniósł ręce w bezradnym geście. Wiesz o istnieniu Pasm Szerni, każdy wie. I co z tego? Rozumiesz, o co w tym chodzi?

Wiesz, na czym polega Szerń? Tutaj jest tak samo. Rapis zna moją historię, ale nic z tego nie rozumie. Pójdiesz teraz do niego i co powiesz? Że podróżowałaś z biednym kupcem, że trafiłaś na wyspę akurat wtedy, gdy... A wcześniej o powstaniu i o tym, że Agenea... — Bezradnie rozłożył ręce. — Słyszysz, jak to brzmi? Co z tego, że taka jest prawda?

Zamilkli.

— Śpij — zarządził po pewnym czasie.

Posłała mu smutny uśmiech.

Położył się obok dziewczyny i odwrócił plecami do niej. Ale nie potrafił zasnąć aż do rana. Zdał sobie sprawę, jak wielki wpływ na losy pojedynczych ludzi mają zamierzchłe, historyczne wydarzenia. Życie Ridarety, życie Rapisy, czy, na koniec, jego własne życie... Wszystko zostało rozstrzygnięte jeszcze wtedy, gdy żadne z nich nie istniało na świecie.

Garę podbito nie bez powodu. Władca Królestwa Armektu mógł znieść uciążliwe napady piratów z Wysp na południowoarmektańskie wsie; jednak po zajęciu Dartanu król Armektu stał się władcą Wiecznego Cesarstwa i nie mógł tolerować spustoszeń w nowo zyskanych, najbogatszych okręgach imperium. Archipelagi Morza Zwartego ciężko było zająć, jeszcze trudniej zaś kontrolować i utrzymać. Z odległego o setki mil Kirlanu Wyspy jawiły się lądami na końcu świata, choć wcale nie leżały dalej niż północne krańce Grombelardu, lub południowo-wschodnie — Dartanu. Jednak w Grombelardzie i Dartanie trzymano imperialne legie, władzę zaś sprawowali cesarscy Książęta Przedstawiciele. Tymczasem spośród setek i tysięcy wysp Morza Zwartego żadna nie nadawała się na ośrodek kontroli nad tak dużym morskim obszarem. Jedyne miejsce, skąd taką kontrolę dało się sprawować, była Garra. Trzeba przyznać, że pierwszym krokiem cesarstwa była próba zawarcia zbrojnego przymierza z zamorskim królestwem; awanturnicze ludy, zamieszkałe na wyspach, dokuczały przecież tak samo Armektańczykom jak Garyjczykom. Lecz przymierza nie zawarto...

Żadna wojna nie była dla Armektu tak krwawa.

Pierwsze ostrzeżenie przyszło wraz z podbojem Morza Zwartego. Wysepki rybaków-piratów, przy samych brzegach kontynentu, spacyfikowano dość łatwo. Dalej jednak rozciągał się przestwór Morza

Zwartego, ujęty w kleszcze licznych archipelagów, tworzących dwa olbrzymie ramiona. Okręty piratów z Wysp puszczały na dno jeden cesarski żaglowiec po drugim. Ostatecznie odniesiono zwycięstwo, ale tylko dlatego, że morskcy zbóje nie umieli zawrzeć żadnego sojuszu; zostali wygnieci po kolei.

A potem przyszła wojna z Garrą. Bitwy morskie imperium przegrało... wszystkie. Przez kilka lat odtwarzano, unicestwioną niemal, flotę, tracąc w tym czasie połowę ciężko zdobytych wysp. Przebrojono morskie siły cesarstwa — podstawowym okrętem stał się holk, zbudowany na wzór okrętu garyjskiego; ciężka, głęboko zanurzona i mało zwrotna koga nie nadawała się zupełnie do działań na otaczających Garrę, najbardziej zdradliwych wodach świata. Pod osłoną potężnej armady statki wiozące kontyngent wojsk lądowych raz jeszcze wyruszyły na podbój zamorskiego kraju. Żaglowce Garyjczyków, w największej morskiej bitwie wszystkich czasów, urządziły nowym holkom imperialnym prawdziwą masakrę. Jednak część statków transportowych dotarła na Garrę. Siły lądowe wyspy były słabe i źle dowodzone. Cesarscy legionieści, działając w niebywale trudnych warunkach, na obcym terytorium, pozbawieni posiłków i zaopatrzenia, zdołali jednak zająć wielkie miasta portowe. Morskie siły Garyjczyków, skazane na działanie w oparciu o przypadkowe przystanie, nieprzystosowane do przyjmowania okrętów wojennych, przestały się liczyć jako decydująca siła...

Rozwścieczeni ogromem strat Armektańscy, zwykle bardzo łagodni wobec podbitych ludów, spacyfikowali Garrę tak strasznie, że nieomal trudno było znaleźć rodzinę, gdzie nie opłakiwano męża, syna lub brata. Wyspę przemieniono w gigantyczny plac kaźni, bezwzględnie tłumiono najmniejsze nawet przejawy niechęci (a cóż dopiero wrogości!) wobec nowej władzy. Dorrgeł, stolicę i największy port Garry, bratnie miasto starej Dorony, zrównano dosłownie z ziemią, podpalając wciąż na nowo nie do końca strawione przez płomień zgliszcza. Efekty tych poczynań nie kazały długo czekać na siebie. Odwieczna niechęć Garyjczyków do wszystkiego co kontynentalne przemieniła się w istną nienawiść. Być prawdziwym Garyjczykiem oznaczało: nie tolerować niczego co armektańskie. Morska prowincja stała się wiecznym siedliskiem niepokoju. Dawno już poumierali ludzie, pamiętający

niepodległe Królestwo Garry. Ale wciąż, dla wielu garyjskich rodów, Garyjka wiążąca się z Armektańczykiem zasługiwała tylko na pogardę.

Rapis i jego córka byli ofiarami zakończonej przed stuleciem wojny.

Wstawał dzień, gdy z pokładu dobiegło stłumione wołanie stojącego na oku majtka. Wkrótce potem dało się słyszeć zmieszany gwar marynarskich głosów. Ehaden, znużony i niewyspany, odrzucił okrycie. W tej samej chwili gdzieś blisko trzasnęły drzwi.

— Wachtowy!

Ehaden poznał głos Rapisa. Usłyszał kroki. Jakiś marynarz zaczął mówić szybko i ze strachem:

— Panie, ja chciałem...

— Kazałem się budzić przed świtem! Kazałem?!

— No to jak?!

Huknęło coś, marynarz zawył, jakby obdzierano go ze skóry. Zaraz potem z hałasem otwarły się drzwi i Rapis wtargnął do kajuty Ehadena. Oficer poderwał się na równe nogi.

— Ty z dziwką?! — ryknął kapitan. — Gdzie ja jestem, co to za okręt?! Ehaden uczuł nagły gniew.

— Nie mów na nią dziwka! — zawołał.

— Wiesz, co się dzieje?! Siedzimy w samym środku konwoju! Miałeś komendę tej nocy!

— Nie mów na nią dziwka!

— Dziwka i dziwka! Na wszystkie morza świata, co z tobą?! Mówię: konwój!

Z furią pchnął oficera w pierś. Ehaden poleciał na ścianę. Porwał miecz. Milcząca dotąd dziewczyna krzyknęła. Roztrzęsiony Ehaden zamierzył się na nią, niespodziewanie dla samego siebie.

— Dosyć! — wrzasnął. Zamilkła.

W kajucie zapanowała nagła cisza. Przez chwilę wszyscy troje trwali nieruchomo. Pierwszy oprzytomniał kapitan.

— Ehaden, jesteśmy w środku konwoju — rzekł z wysiłonym spokojem. — Na pokład.

Odwrócił się i wyszedł z izdebki. Ehaden bez słowa, tak jak stał, w samej koszuli i z mieczem, ruszył za nim.

Na pokładzie była cała załoga. Przybiegł bosman.

— Dwa kupce i żołnierz z prawej burty, kapitanie!

Rapis rozepchnął tłum majtków i stanął przy nadburciu. W szarym świetle świtu, pośród mgły, majaczyły nie dalej, jak pół mili na skos od dziobu, trzy maszty i rozpięte na nich niebieskie żagle. To był duży holk. Nieco dalej płynęły dwie niezgrabne kogi kupieckie.

Rapis i Ehaden porozumieli się wzrokiem. Oficer stanął pod grotmasztem.

— Baterie burtowe!

Zakotłowało się na pokładzie. Kanonierzy biegli do dział.

— Grupy abordażowe!

Marynarze, pod wodzą Taresa, pognali do okrętowych zbrojowni.

Rapis spokojnie przyglądał się płynącemu z południowego wschodu holkowi. Pełził powoli półwiatrem, dostosowując prędkość do ociężałych, głęboko osadzonych w wodzie kog. Mgła opadała; na strażniku dostrzeżono już piracką karakę, trwały tam gorączkowe przygotowania do walki i wytężona praca przy żaglach. Jeszcze chwila — i cesarscy zmienili kurs. Holk płynął teraz pełnym wiatrem wprost na przecięcie kursu „Węza Morskiego”. Coraz wyraźniej było widać srebrzyste kapaliny stłoczonych na kasztelach łuczników. Dziób żaglowca okrył się dymem; pośród huku, dwie działowe kule wzbiły wysokie fontanny wody. Strażnik próbował donośności swoich dział pościgowych, jednak odległość była jeszcze zbyt duża. Rapis nie mógł się nadziwić podobnemu marnowaniu prochu. Cesarscy uważali działa za coś w rodzaju hałaśliwych łuków — i używali tak samo. Straż morską nie wypracowała dotąd żadnej rozsądnej koncepcji użycia tej — w niektórych wypadkach bardzo skutecznej przeciw — broni.

— Poprowadzę abordaż! — zawołał do Ehadena.

Oficer skinął głową. Rapis przywołał bosmana, który natychmiast wręczył mu topór o szerokim żeleźcu. Majtkowie zaczęli skupiać się wokół swego kapitana. Spod masztu sypały się komendy na żagle i ster.

— Raladan, ster prawo! — wrzeszczał Ehaden. — Bezana szot wybierać! Lewy grot szot..!

Zamieszanie na „Węzu” zdawało się narastać, żagle wpadały w łopot. Był to jednak chaos pozorny — bo oto karaka położyła się w głębokim przechyle...

— Raladan, tak trzymać! Ster, tak trzymać! Oba okręty płynęły teraz wprost na siebie. Gdy do przebycia pozostało może sto kroków, na

pokład „Węza” spadły pierwsze strzały, wysłane z dziobowego kasztelu holka. Łomotnęły o deski padające ciała, rozległy się krzyki bólu i przekleństwa. Holk próbował wykonać zwrot, ale w połowie manewru ktoś tam najwyraźniej się rozmyślił... Rapis wzruszył ramionami, gdy cesarski okręt po raz drugi okrył się chmurą dymu. Kule poszły w morze. Kapitan „Węza Morskiego” wiedział, skąd całe to zamieszanie. Cesarscy wiecznie brali cięgi od pirackich tłumów, bo na przestrzeni dziesiątków lat nie zdołali ustalić różnic między walką lądową, a morską... Imperialne wojska, tak legie, jak i straż morską, działały w oparciu o świętą armektańską zasadę, która nakazywała rozdzielenie żołnierzy od wszelkiego zaplecza i służb. Żołnierskie rzemiosło było zawodem uświęconym przez tradycję; obsługa taborów na lądzie, a marynarze na wodzie, nie byli żołnierzami. Lecz na armektańskich równinach nie prowadzono taborowych wozów w pierwszej linii — gdy na morzu trudno było wysadzić marynarzy przed bitwą... Na zbliżającym się holku kto inny dowodził wojskiem, a kto inny kierował okrętem... Kapitan, nominalnie dowodzący żaglowcem, faktycznie był tylko komendantem pokładowych żołnierzy, nie mając pojęcia, czym różnią się szlagi od wantów. Skazany był na działanie poprzez swego zastępcę-żeglarza (który, naturalnie nie mógł być żołnierzem), co w bitewnej gorączce przynosiło opłakane rezultaty. Jednak Armektańczycy, z godnym lepszej sprawy uporem, oddawali swe żaglowce pod komendę świetnych, zasłużonych wojowników... w ogóle nie znających się na morzu. Rapis sam był Armektańczykiem; znał i cenił tradycje swego kraju. Przytomnie jednak uważał, że tutaj, na Bezmiarach, nie ma dla nich miejsca.

Odległość między wrogimi okrętami malała, strzały coraz groźniej sypały się na pokład karaki. Piracka załoga nie pozostawała dłużna, lecz strażnicy strzelali celniej... Wielki, barczysty Rapis cofnął się o pół kroku — i z prawdziwym zdumieniem spojrzął na tkwiącą tuż pod obojczykiem strzałę. Otaczający go marynarze wrzasnęli przerażeni. Kapitan spokojnie zacisnął dłoń na drzewcu i wyszarpnął grot z ciała, oglądając go z rosnącym zdziwieniem. Nie czuł najmniejszego bólu... Dawno nie odniósł żadnej rany, ani nawet kontuzji, i nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo sprzyja mu Geerkoto, którego był posiadaczem.

Marynarze, widząc pogardę, z jaką ich dowódca odrzucił wyrwaną z piersi strzałę, zaczęli wiwatować i wznosić triumfalne okrzyki. Wokół

padali zabici i ranni, okręty spotkały się, zeszyły niemal równo burta w burtę — i dopiero wtedy, z najmniejszej odległości, przemówiły działa „Węza Morskiego”. Karaka drgnęła i przechyliła się ciężko, kłęby cuchnącego dymu prochowego spowiły cały okręt, ale przez krótką chwilę dało się dostrzec poszczerbione nadburcie holka, zdemolowany kasztel dziobowy i spustoszenie poczynione w takielunku. Żaglowce minęły się i rozeszły dwie strony świata. Lecz na „Węzu Morskim” padały już rozkazy do nawrotu, gdy raniony holk przewalał się z fali na fale, utrzymując poprzedni kurs, niezdolny do podjęcia sprawnych manewrów. Rapis i Ehaden bez przeszkód mogli ruszyć śladem przeciwnika, dogonić go i zdemolować do reszty przy użyciu prawoburtowych baterii. Zważywszy na czas potrzebny do nabicia dział, zatopienie wojennego okrętu za pomocą samej artylerii było właściwie nierealne. Ale też na „Węzu Morskim” nikt nie zamierzał bawić się w ten sposób. Chodziło o spowodowanie jak największych zniszczeń, a potem przeprowadzenie abordażu.

Ścigany holk próbował ostrzeliwać się z dział rejteradowych, ale skutek był taki jak poprzednio. „Wąż Morski” bez trudu zrównał się z obezwładnionym żaglowcem. Rozpaczliwie próbowano tam uwolnić okręt od uciążliwego balastu, jakim stał się zwalony maszt; żołnierze i marynarze desperacko plątali się w pozrywanym olinowaniu. Idąca bok w bok z holkiem karaka udaremniła te poczynania pełnoburtową salwą. Nie bacząc na strzały, sypiące się z kaszteli strażnika, marynarze Rapisa z wprawą rzucili kotwice abordażowe, spięli okręty linami, zderzyli burtami, zaczepili bosaki. Dzikie RYK, wydarty z dwóch setek piersi, zagłuszył komendy cesarskich oficerów. Ogromna masa ludzi i broni runęła na pokład mniejszego okrętu. Majtkowie skakali przez nadburcia, czepiali się na wantach, spadali wprost na kasztele, prowadzeni przez kilkunastu najbardziej doświadczonych rzemieślników — resztki starej załogi Rapisa. Zgnieciono żołnierzy samą liczbą; zorganizowany opór stłumiono po paru chwilach walki. Zaczęła się mordercza gonitwa; rozbójnicy chwyтали uciekających żołnierzy i marynarzy, po czym bez ceremonii wyrzucali za burtę. Bitwa dogasała. Na znak swego kapitana piraci sprawnie podłożyli ogień pod kasztel rufowy i dziobowy. Gdy tylko deski zostały ogarnięte przez płomień, Rapis dał sygnał do odwrotu. Nie brano łupów — były przecież jeszcze dwie wielkie, wyładowane

towarem kogi; zajmowanie się rabunkiem na strażniku pozwoliłoby im na ucieczkę. Przecięto liny spinające żaglowce, odrzucono bosaki. Uczepieni burty majtkowie Rapisa z hałaśliwą wesołością oglądali, miotających się bezradnie wśród płomieni, pozostałych przy życiu żołnierzy i marynarzy. Ogień rozprzestrzenił się szybko, zapłonęły żagle, olinowanie i drzewca masztów. „Wąż Morski” odszedł na odległość najwyżej czterystu kroków od gorejącego jak pochodnia okrętu, gdy dojrzano, wyskakujące w panice do morza, figurki załogi. Zaraz potem wyleciały w powietrze rufowe prochownie. Statek przechylił się gwałtownie, krzyki i wrzaski doleciały aż na pokład pirackiej karaki. Potem eksplodowały zapasy prochu na kasztelu dziobowym. Załoga „Węza” wiwatowała.

Rapis z uśmiechem oglądał widowisko. Potem odwrócił się i zmierzył wzrokiem odległość dzielącą „Węza Morskiego” od uciekających kupców. Kogi rozdzieliły się; niegłupie posuniecie. Mógł zdobyć tylko jedną. Cztery mile, nie więcej. Wezwał pilota i rozmawiał z nim przez krótką chwilę. Potem zbliżył się do Ehadena.

— Raladan twierdzi, że trochę to potrwa. Też tak sądzę. Możemy kłócić się dalej — powiedział bez uśmiechu, — ale nie wiem, czy warto.

Oficer pokręcił głową.

— Zdaje się, że jesteś ranny? Opatrz to.

Rapis odruchowo uniósł dłoń do obojczyka.

— Zapomniałem... — powiedział ze szczerym zdziwieniem i niedowierzaniem. — Nic nie czuję.

— Zaimponowałeś załodze — potwierdził Ehaden z lekko drwiącym uznaniem. — Trzeba przyznać, że ta nonszalancja naprawdę robiła wrażenie...

Rapis popatrzył uważniej.

— Nie zrozumiałeś — rzekł z lekkim naciskiem. — To nie bolało, Ehaden. Słyszysz mnie? Mam gdzieś uznanie załogi, nie chciałem robić dobrego wrażenia, po prostu nic nie poczułem. Jest... niedobrze — zakończył niejasno.

Przez chwilę patrzyli na majtków, wciąż oglądających płonący wrak holka. Ehaden marszczył brwi.

— Czy to ten klejnot? — zapytał, unikając spojrzenia kapitana. Ten Rubin?

Rapis z wahaniem skinął głową.

— Chyba tak.

Po czym dodał stłumionym głosem, choć pośród wrzasków załogi i tak nie mógł go dosłyszeć nikt postronny:

— Boję się tego, Ehaden... Słyszysz mnie? Nie wiedziałem, że to aż tak...

Zamilkł.

„Boję się”. Ehaden wciąż unikał spojrzenia dowódcy. Rapis przyznający się do strachu był... przerażający.

— Pogadajmy. Ubiorę się — pokazał koszulę, stanowiącą cały jego strój — i pogadamy. U ciebie? — pół zaproponował, pół zapytał.

Kapitan pokręcił głową.

— Nie chcę rozmawiać, Ehaden, nie teraz. Chcę się bić. Spalę tego kupca, potem przyjdę gadać. Chcę sprawdzić... — Urwał. Powiedz — podjął nieoczekiwanie — czy zauważyłeś, żebym jakoś się... zmienił? Ehaden poczuł nagły ucisk w gardle.

— Na wszystkie moce świata, człowieku — powiedział niewyraźnie — sto razy mówiłem, żebyś wyrzucił to świństwo do morza. Zrób to wreszcie. Nikt z nas tutaj nie ma pojęcia, co to właściwie jest i do czego służy. Wyrzuć to.

— Zmieniłem się? — nalegał Rapis.

Oficer ruszył w stronę rufy. Zrobił dwa kroki, przystanął i odwrócił się. Przytknął palec do czoła.

— Tutaj — rzekł. — Wszystko ci się poprzestawiało, od pół roku niepodobna dogadać się z tobą. Uciekasz przed jednym okrętem, potem wołasz, żeby atakować wszystkie floty imperium. Mordujesz marynarzy, którzy nic nie zrobili. Opowiadasz o rzeczach, których nigdy nie było. Nie poznajesz... — Urwał i odetchnął głęboko. — Wyrzuć ten kamień. Najlepiej teraz, już! Ty mnie pytasz, czy się zmieniłeś? Ja, przyjacielu, mam tylko nadzieję, że to wszystko z winy tego Geerkoto. Wyrzuć to!

Okręcił się na pięcie i ruszył do swojej kajuty, zostawiając kapitana samotnie stojącego pod grotmasztem.

6.

Nieuzbrojoną kogę zdemolowano tak samo jak wcześniej holk straży morskiej. Gdyby to był inny statek, Rapis pomyślałby może o zdobyciu go i obsadzeniu załogą przyzową, ale teraz nie miało to sensu — powolna, stara trumna wlokłaby się za „Wężem” jak kula u nogi. Przeładunek towarów (jeśli były tego warte) wydawał się mniej kłopotliwy niż takie towarzystwo.

Wstrząs, towarzyszący zetknięciu burt obu żaglowców, omal ni: zbił kapitana z nóg. Garstka zbrojnych, eskortujących ładunek, skupiła się wokół masztu. Wyrżnięto ich w mgnieniu oka, chociaż złożyli broń; potem majtkowie rozbiegli się po wszystkich zakamarkach statku w poszukiwaniu łupów.

Gdy Rapis dotarł na rufę, byli tam już jego zabijacy. Szturmowano drzwi, wiodące do pomieszczeń pod kasztelem.

Kapitan, wsparty na swoim toporze, cierpliwie czekał aż puszcza zawiasy. Doczekał się; horda majtków wtargnęła do środka. Ruszył w ich ślady. W kącie dość dużego, kwadratowego pomieszczenia, mordowano właśnie jakiegoś mężczyznę, obok dwaj marynarze trzymali za włosy niestara jeszcze, skowyczącą kobietę. Rozjuszeni, zaczęli tłuc jej głową o ścianę, aż zaprzestała oporu. Trzasnęła zrywana suknia. Rapis dmuchnął w swoją świstawkę.

— Wynocha. Zabrać trupa. I to zwierzę też.

Marynarzy wymiotło. Gdy pochwycona kobieta została wywleczona z kajuty, wrzaski na pokładzie przybrały na sile. Rapis zaczął przeszukiwać pomieszczenie. Majtkowie mieli cały okręt, ale pokój dowódcy kogi należał tylko do niego. Znalazłszy mapy, kapitan przejrzał je pobieżnie, kilka odrzucił, inne zwinął w rulon i wepchnął za koszulę na piersi. Potem pozbierał wszystkie przedmioty, które można było wymienić na złoto. Włożył je do dużej, stojącej w kącie kajuty skrzynki i zajął się plądrowaniem kufrów. W jednym z nich znalazł sporą szkatułkę. Otworzył. Złoto.

Z aprobatą skinąwszy głową, wrzucił szkatułkę do swojej skrzyni, zabrał jeszcze kilka drobnych przedmiotów, na koniec zerwał

zasłaniającą łóżko kotarę z wyśmienitego aksamitu. Potrzebował takiej. Wziął skrzynkę na ramię i wyszedł.

Ujrzał swoich majtków, płasających wokół wielkiej, otwartej beczki, w której utopiono zdobytą kobietę; wystawały tylko gołe nogi i wypięty tyłek, masowany i klepany ku powszechnej uciechu. Ktoś wymierzył tęgiego kopniaka, dając przykład innym. Trup podrygiwał w beczce. Ryczący ze szczęścia marynarze raczyli się czerwonym napojem. Rapis zrozumiał w jednej chwili: statek szedł z ładunkiem win.

— Precz! — krzyknął. — Precz od beczki!

Podbiegł, wyrwał jednemu z majtków napełniony trunkiem hełm i sam spróbował. Wino było przednie, a co za tym idzie — drogie. Już kiedyś, w taki sam sposób, zdobył majątek. Odrzucił hełm i odepchnął wielkiego draba, chłepczącego pyszny napój prosto z beczki wypełnionej, jak się zdawało, głównie kłębami pływających w winie, jasnych kobiecych włosów.

— Precz! — powtórzył. Przywołał Taresa.

— Zajmij się przeładunkiem — zarządził. — Trudno wyobrazić sobie coś, co łatwiej sprzedać. Tylko piorunem!

— Tak, panie kapitanie!

Targając swoją skrzynkę, przełazi z powrotem na „Węza Morskiego”. Za plecami usłyszał wesołe przyśpiewki marynarzy:

Wiatr morski, żeglarze, tę prawdę wam powie

hej, ha! hejże ha!

Radujcie się bracia, gdy giną wrogowie

hej, heja-ha!

Bo gruby grubego grubasa jest trup

hej, ha! hejże ha!

Radujmy się bracia i zgarniajmy łup!

hej, heja-ha!

Ehaden stał na swoim miejscu, pod masztem. Rapis zbliżył się doń.

— Stoisz? — zapytał wesoło. — No to stój. Dopilnuj przeładunku, mają dobre wina. Kazałem Taresowi, ale Tares... wiesz.

Ehaden skinął głową, nie mówiąc ani słowa.

Chwilę później Rapis stanął przed drzwiami swojej kajuty. Zawahał się, ale po krótkim namyśle wszedł do środka i postawił skrzynkę na podłodze. Ostrożnie wyjął mapy i dopiero wtedy beztrąsko i z hałasem, przeciągnął skrzynię w kąt. Wyjął szkatułkę, przez chwilę ważył ją w

dłoni, po czym poszedł do kajuty Ehadena, uchylił drzwi i wrzucił pudełko do środka. Prezent dla przyjaciela.

O jednookiej przypomniał sobie dopiero wtedy, gdy poderwała się, przestraszona hałasem, jakiego narobiły spadające na podłogę złote monety. Przez chwilę spoglądali po sobie.

— Czy pani niewolnica ma już jakieś nazwisko? — zapytał kpiąco, ale bez żadnej złej myśli; był w nienajgorszym humorze.

— Wyjdź stąd! — zawołała gwałtownie, ciągle przestraszona, i natychmiast pożałowała tej, wynikłej z lęku, gwałtowności. Kapitan zeszywniał.

— Chodź no tutaj — powiedział. — Nikt na tym okręcie nie będzie tak do mnie mówił. Dostałaś ode mnie w prezencie starą szmatę i wydało ci się, że kim tutaj jesteś?

Cofnęła się. Wszedł do kajuty, uczynił trzy szybkie kroki, po czym chwycił dziewczynę za twarz i uderzył jej głową o ścianę, dokładnie tak samo, jak zrobili to majtkowie z kobietą na kupieckiej kodze. Krzyknęła boleśnie; ucapił ją dłonią za kark, okręcił i pchnął potężnie ku drzwiom. Runęła na podłogę, tuż przy progu, uderzając głową w ościeżnicę. Poczęstował leżące ciało kopniakiem, potem pełną garścią chwycił gęste, brązowe włosy i wywlókł dziewczynę z powrotem na środek kajuty. Stękając, gramoliła się za nim na czworakach, próbując złagodzić ból.

— Zrobiłem burdel z okrętu... i żałuję... — mówił urywanie, z narastającą wściekłością. — Pora przywrócić porządek...

Pochyliwszy się, chwycił ją za gardło, bez wysiłku poderwał na nogi i cisnął plecami na ścianę. Jęknęła głucho. Puścił ją, cofnął się i wyciągnął miecz. Odczuł... niezwykłą ulgę. Jakby naprawiał jakieś zaniedbanie.

— Przestań! — powiedziała niewyraźnie, ze szlochem, oszołomiona uderzeniem i bólem. — Przestań, proszę...

Nieoczekiwanie — wrócił ten dziwny lęk, który dopadł go wtedy, w kajucie, gdy rozmawiał z nią po raz pierwszy. Ale teraz nie było już wstrętnego pustego oczodołu, zburzone włosy zakrywały nawet opaskę na oku... i ta twarz była normalną twarzą kobiety. A jednak bał się tym bardziej i rozpaczliwie zapragnął zetrzeć te rysy, strącić w niebyt, może w przeszłość... między stare, pogrzebane wspomnienia... bo tam chyba było ich miejsce. W przeszłości... Tak, w przeszłości...

Dotknął sztychem szyi, po czym uniósł nieco nadgarstek,

zamierzając pchnąć pod kątem, w dół. Przełykał ślinę, szybko, raz za razem. Wyglądał okropnie... Dziewczyna chwyciła się za włosy przy skroniach.

— Przestań! — krzyknęła z płaczem. — Nie poznajesz mnie?! Ja przecież... Nie poznajesz mnie? Nie poznajesz? — pytała z nowymi łzami; może chciała powiedzieć „ojcze”... ale nigdy dotąd nie wypowiedziała tego słowa i teraz nie przeszło jej przez gardło. — Nie poznajesz mnie, Rapis?... Popatrz na mnie, proszę... Proszę cię. Ja wierzę, że ty mnie poznasz...

Łzy spływały po okaleczonej twarzy, zaczynały kapać na podłogę. Kapitan cofnął się o pół kroku i wolno odsunął ostrze w bok. Nagle odrzucił miecz, uniósł dłonie i zaczął przecierać nimi twarz. Dziewczyna osunęła się wzdłuż ściany i skuliła na podłodze, nie przestając płakać. Rapis stał nieruchomo, wciąż z rękami przy twarzy; opuścił je wreszcie, pokazując błyszczące, rozbiegane, szeroko otwarte oczy pomyleńca.

— Niepotrzebnie tu przyszłaś, Agenea — powiedział niewyraźnie i ochryple. Znowu przełknął ślinę. — Szukałem cię tyle lat, chciałem... Ale potem bałem się, że znajdę... — bełkotał. — Że cię znajdę i że będę musiał zabić, Agenea... Niepotrzebnie tu przyszłaś. Odeszłaś... i nie trzeba było wracać, bo już było dobrze... Ja myślałem o tobie na tej plaży, tam gdzie niewolnice... Myślałem o tobie, wiesz?

Dziewczyna prostowała się powoli, z narastającym przerażeniem. Mocno przywierając do ściany, wsparta o nią plecami i dłońmi, uczyniła słaby krok w kierunku wyjścia. Potem drugi. Zaczęła dygotać.

— Niepotrzebnie... — mamrotał kapitan, kręcąc głową. — Niepotrzebnie, Agenea. Niepotrzebnie...

Wyciągnął ramiona i ująwszy jej twarz w obie dłonie, delikatnie musnął kciukami drżące wargi. Potem opuścił ręce niżej i zacisnął palce na gardle jedynej kobiety, którą kochał, a która odpłaciła mu zdradą.

Przełknął ślinę.

*

Morze było spokojne i Ehaden sądził, że z przeładunkiem nie będzie kłopotów. Mocniej spięto dzioby żaglowców, zaś uwolniono części rufowe, by odsłonić furtę ładunkową kogi. Był to zabieg dość ryzykowny, albowiem kadłuby okrętów mogły zetknąć się z powrotem na całej długości, miażdżąc wszystkich, którzy znaleźliby się między nimi. Jednak

Ehaden, naradziwszy się z cieślami, Raladanem i Taresem, uznał że warto spróbować; wyciąganie wielkich beczek przez luki pokładowe wydawało się przedsięwzięciem bardziej czaso — i pracochłonnym. Obsadzono obie łodzie „Węza Morskiego” i połączono je linami z rufami obu żaglowców; czuwający przy wiosłach marynarze mieli baczyć, by kadłuby nie zbliżały się do siebie bardziej, niż jest to potrzebne. Na kasztelach postawiono majtków z bosakami. Ehaden, nie namyślając się wiele, kazał wybić dziurę w nadburciu karaki, na wprost furty ładunkowej kogi. Dla pokładowych cieśli usunięcie szkód po zakończeniu przeładunku nie było żadnym problemem. Wyszukano odpowiednio grube i długie belki (przydatne były wsporniki dziobowego kasztelu kogi) po czym połączono żaglowce dość solidnym, a zarazem kołyszącym się w rytm chwiejby kadłubów pomostem. Wkrótce przetoczono pierwszą beczkę. Za pomocą dość skomplikowanego systemu lin i wielokrążków, spuszczone ją do ładowni „Węza”. Ehaden miał powody do zadowolenia. Przekazał Taresowi komendę nad przeładunkiem, Raladanowi zaś opiekę nad okrętem, po czym udał się na rufę, by powiedzieć kapitanowi, że wszystko idzie jak z płatka. Najpierw jednak zaszedł do swojej kajuty, chcąc pozbyć się niewygodnej, niepotrzebnej już kolczugi, a także miecza, będącego zawadą przy pracy. Otworzył drzwi — i uczynił chwiejny, słaby krok...

Dziewczyna, w poszarpanej sukni, półnaga, leżała na podłodze, nie dając żadnego znaku życia. Uda miała szeroko rozłożone. Rapis siedział na podwiniętych nogach, między jej kolanami. Krztusząc się z przerażenia, Ehaden krok za krokiem obszedł go tak wielkim łukiem, jak to było możliwe, wzdłuż ścian. Kurczowo chwytając powietrze, patrzył na twarz przyjaciela, to znów na pozlepiane kleistą ciecżą, łonowe włosy dziewczyny... Czoło zroszone miał potem.

— Nie, na Szerń... — wychrypiał. — Coś ty zrobił, Rapis... Coś ty zrobił?

Siedzący uniósł ku niemu przygaszone spojrzenie. Kołysał się monotonnie — w przód i w tył...

— Niepotrzebnie wróciła — powiedział. — Po co ją sprowadziłeś? — pytał z żalem. — No? Po co?

Powoli sięgnął w zanadrze i wydobyl wielki, czerwony klejnot. Rubin Córki Błyskawic, Geerkoto.

— Chciałem go dzisiaj wyrzucić. Niepotrzebnie... Przedmioty są wierne, zdradzają tylko ludzie. Twoja siostra... — Urwał nagle.

— Twoja siostra — powtórzył z namysłem po chwili — prawda... Wiesz, że prawie zapomniałem. Zapomniałem, że ona jest twoją siostrą. Agenea. Półprzytomny Ehaden wyjął miecz.

— Już nie będziemy pływać razem — powiedział. — Nie próbuj zbliżyć się do mnie. Jesteś... obłąkany. Czy ty wiesz, kogo zabiłeś? Wiesz, z kim... komu... — Oddychał coraz szybciej. — Ona była... — Wyciągnął broń przed siebie. — Już po tobie, Rapis. Już po tobie... Nic ci nie zostało, zupełnie.

Zgaszone spojrzenie szaleńca rozbłysło niespodziewanie; Rapis zerwał się i pochwycił człowieka grożącego mu mieczem. Runęli na podłogę. Tarzali się przez chwilę, lecz olbrzymi kapitan „Węza Morskiego” bardzo szybko wziął górę. Wyrwał miecz z ręki oficera, przydusił kolanem wijące się ciało — i uderzył sztychem, od góry. Kolczuga puściła. Ehaden targnął się i wyprężył.

Rapis wstał powoli.

— Sami zdrajcy — powiedział, ciężko dysząc. — Niepotrzebnie mi to zrobiłeś. Nie trzeba było sprowadzać jej tutaj... Zdrada, wszędzie zdrada. Sprowadziłeś ją! — wybuchnął.

Twarz konającego była blada, prawie biała. Palce krwawiły, trzymając tkwiące w piersi ostrze.

— Skąd ją... sprowadziłem? — zapytał słabo. — Z przeszłości?... Kapitan wziął oddech. Ehaden rozkaszał się krwią.

— Durniu... — wykrztusił. — Popatrz na nią. No... popatrz. Czy to może być Agenea? Zgwałciłeś... zabi... jej córkę. Waszą... twoją córkę. Zrozu... miałeś? Córkę...

Rapis przekrzywił głowę i poruszył wargami. Córkę...

Ehaden umarł.

Kapitan stał nad ciałem.

Po pewnym czasie spojrzał na upuszczony Rubin. Przeniósł wzrok na twarz leżącej nieruchomo dziewczyny, potem znowu patrzył na Rubin, na Ehadena, na Rubin, na dziewczynę... Oparł plecy o ścianę i westchnął cicho, ciężko — jak dziecko. Wolno przykucnął przy leżącej, wziął ją na ręce i położył na łóżku Ehadena. Poprawił strzępy sukni. Dziewczyna drgnęła lekko i znów znieruchomiała. Oddychała płytko,

nierówno.

— Nie zabiłem jej, Ehaden. Chciałem... ale nie mogłem. Nie umiałem...

Poczuł zawrót głowy. Raz jeszcze pochylił się nad leżącą, ale nieoczekiwanie stracił równowagę i znalazł się na podłodze. Chciał wstać — i włożył rękę między skrwawione, pocięte ostrzem wnętrzości, które wysunęły się spod kaftana i koszuli. Patrzył, lecz nie rozumiał, co widzi. Nie czuł bólu.

Nic nie czuł...

Lecz Ehaden potrafił trzymać miecz. I nie oddał go tak po prostu.

Kapitan przymknął oczy. Potem ciężko przetoczył się na plecy i podparł na łokciu. Spoglądał na skrzywdzoną dziewczynę.

— Co ty mówiłeś, Ehaden? Że kto... że to jest kto?... Powtórz mi, Ehaden.

Zapłakał nagle. I powiedział:

— Córka. Moja córka... Tylko że już jest za późno, Ehaden. Co my żeśmy zrobili z naszym życiem, Ehaden? A może ktoś nam to zrobił? Powiedz mi, przyjacielu.

Ukląkł z wysiłkiem, wyciągnął wielką dłoń i ostrożnie, drżącymi palcami musnął policzek dziewczyny.

— Ridareta — powiedział, ciągle płacząc. — Moja córka ma na imię Ridareta... Mała garyjska księżniczka. Powstał z wielkim trudem i przytrzymując się ścian, chwiejnie opuścił kajutę. Przez jakiś czas stał w cieniu kasztelu, zamglonymi oczyma obserwując sprawny przeładunek win z kupieckiej koi. Długo coś rozważał, wreszcie krzyknął, czy też raczej chciał krzyknąć, a powiedział:

— Raladan!

Dosłyszał go jakiś marynarz.

— Tak, panie kapitanie! — zawołał gorliwie. — Pilot! Pilot do kapitana!

Rapis odwrócił się i poszedł do swojej kajuty. Słabnącymi dłońmi przytrzymał miękką, gorącą tobołek, skryty pod kaftanem i koszulą. Po drodze raz jeszcze zajrzał do izdebki Ehadena. Musnął wzrokiem twarz przyjaciela, pochwycił błysk Rubinu, wreszcie długo spoglądał na wciąż nieruchomą Ridaretę. Ruszył dalej, wzdłuż ściany. Otworzył drzwi do swojej kajuty, uczynił dwa chwiejne kroki — i przewrócił się.

— Szybciej, Raladan — rzekł cicho. — Szybko, Raladan. Przyjdź tutaj. Powieki zaczynały mu ciążyć. Wciąż nie czuł żadnego bólu.
— Przychodź, Raladan. Szybciej...

7.

Świtało. Morze było gładkie, wiał bardzo lekki wiatr z północnego zachodu. Pokład olbrzymiego, tnącego powierzchnię morza okrętu bez flagi na maszcie był pusty, jeśli nie liczyć śpiącego wśród lin, na rufowym kasztelu, majtka i tkwiącego nieruchomo pod masztem pilota. Pilot miał oczy lekko zmrużone i nieruchomym spojrzeniem wbite gdzieś pod linię horyzontu. Zdawać by się mogło, że to nie człowiek, a kamienna figura.

Oprócz niemrawego poskrzypywania takielunku i bulgotu wody za rufą, nie słychać było na pokładzie żadnych innych dźwięków. Ale oto gdzieś, w głębi statku, rozległ się łomot, właściwie trzask, jakby zamykanych z rozmachem drzwi.

Pilot nie drgnął.

Jeszcze raz coś stuknęło i z luku na pokładzie wynurzyła się najpierw głowa, a potem cała zwalista sylwetka starego bosmana. Stanął na deskach i powiódł wzrokiem dokoła.

— Raladan — powiedział ochryple — co jest? Pytanie było niejasne, ale pilot zrozumiał je widać, bo pokręcił głową i — wciąż śledząc horyzont — odparł krótko:

— Bez Rapisa nic z tym bydłem nie zrobisz.

Bosman jeszcze raz obejrzał niewyszorowany pokład, po którym walały się jakieś szmaty i kawałek zardzewiałego żelastwa, zerknął na niedbale postawione żagle i zacisnął pięści.

— Sukinsyny — wymamrotał. — Jedna doba... Nawet wachty. Sukinsyny... Ja ich, sukinsynów, nauczę.

Jakby w odpowiedzi na słowa bosmana spod pokładu doleciały głosy awantury: ktoś krzyczał, drugi usiłował go przekrzyczeć. W tle tego rozbrzmiał pijacki śpiew.

— Oni są jeszcze pijani, Dorol — rzekł pilot. — Pili całą noc. A ty z nimi. Ale tyś przestał, a oni nie przestaną, aż zabraknie rumu. Wtedy wyrzucą nas za burtę.

— Nie wyrzucą. Nie wyrzucą, Raladan.

Dorol zlął pod pokład. Jeszcze chwila — i śpiewy umilkły. Potem kilka głosów zaczęło ryczeć wściekle, brzmiała w nich groźba. Ktoś

zaskowyczał przeraźliwie, łomotnęło coś potężnie, potem jeszcze raz, hałas przybliżał się do luku, wreszcie na pokład wyskoczył wielki, chudy drab w samych portkach. W ślad za nim ukazało się grube cielsko bosmana. Drab doskoczył z wyciem, uderzając pięścią w wielki brzuch. Dorol sapnął i walnął na odlew. Pirat nakrył się nogami.

W ślad za ową dwójką wyłazić na pokład zaczęła reszta załogi. Niektórzy wymachiwali nożami, a jeden trzymał topór. Pod adresem bosmana posypały się wściekłe, obelżywe słowa.

Chudzielec wstał i znów zaatakował. Dorol pchnął go w pierś, przewracając po raz drugi. Potem odwrócił się ku reszcie i szedł nieustraszenie sam przeciwko czterdziestu. Pijackie wrzaski przybrały na sile, wreszcie trzech rzuciło się z nożami. Dorol chwycił dwóch za gardła i z rozmachem zderzył głowami, odrzucając — krwawiących — jak szmaciane kukły. Wyciągnął przed siebie rozharataną nożem pięść i czekał na trzeciego.

Ten zląkł się. Ale po krótkiej chwili wycia rozbrzmiały ze zdwojoną mocą i wszyscy naraz postąpili do przodu.

Wtem ktoś potknął się i upadł, drgając konwulsyjnie.

Zapadła głęboka cisza. Ciało zastygło na deskach. Pijacy odstępili na boki, patrząc z nagłym strachem.

Stojący pod masztem Raladan wzrok miał utkwiony w morzu, ale prawe jego ramię poruszało się rytmicznie. Trzy noże migotały w powietrzu, kreśląc krótkie łuki i pewnie wracając do dłoni.

Bosman nie był sam.

W ciszy, przeklinając tylko z rzadka i zerkając spode łba na trupa, zbiry zlazły z powrotem pod pokład, przepychając się i tłocząc w ciasnym otworze. Jako ostatni zwlekli się pobici. Dorol podniósł trupa z desek i wyrzucił za burtę.

— Morze wzięło — powiedział i splunął.

Raladan skinął lekko głową i — wciąż patrząc pod horyzont schwytał noże i utknął za pasem i cholewą. Dorol usiadł na zwoju lin pod masztem, zerwał z szyi chustkę i okręcił nią rękę.

— Rozwalił zem dwie beczki — powiedział. — Gdzie Tares i nasi? Pilot skinął ku rufie.

— Tares z Jednooką. A reszta też zachlała. Bosman rąbnął pięścią w maszt i splunął po raz drugi, krzywiąc się boleśnie.

— Opętała Ehadena, teraz tego — rzekł ze złością. Znów splunął przesądnie. — Do pioruna, żeby tak choć Ehaden! Tego też się bali. Nie to co kapitana, ale przecie. A Tares za słaby. Ludzie go lubią, a nikt się nie boi. Żeby ciut się bali, ale nie, nikt się nie boi.

— Zna mapy i przyrządy. I czytać potrafi.

— To co, że zna mapy? Ty też znasz mapy, a i bez map dasz se rady. Sam żem widział, jak żeś wiódł okręt w sztormie, a on szedł między rafy, jakby sam miał oczy. A ty to nie znasz literów?

Raladan milczał.

— Ze starej załogi mało kto został — gadał Dorol — a ci nowi to nie żaden marynarz. Rapis mógł mieć z nich załogę, bo się bali i był przez to posłuch. Ale Tares to nie Rapis. Ani nawet Ehaden...

Powstał ociężale.

— Trza go zbudzić.

Szerokim, okrętowym krokiem poszedł ku rufie. W korytarzu natknął się na dziewczynę. Na jego widok cofnęła się szybko do kajuty, zajmowanej dotąd przez Ehadena. Ten przestraszony dziwnie ułagodził szorstkiego żeglarza. Zamiast zabawiającą się z Taresem zastał ją wylęknioną i kryjącą się po kątach.

— Nie bój się, mała — łagodny ton nie pasował do schrypniętego basu i słowa, wbrew intencjom, zabrzmiały szyderczo. — Ja nie rekin...

Lecz ona już zamknęła drzwi. Poszedł dalej i zapukał do kajuty kapitana. Przez chwilę chciał wierzyć, że usłyszy z wnętrza mocny głos Demona...

*

Ale nie.

Wszedł do środka. Tares, pół leżał na stole, pochrapując cicho. Dorol potrząsnął go za ramię.

— Ranek, panie.

Oficer obudził się natychmiast i spojrzał prawie przytomnie.

— Co?

— Ranek, panie — powtórzył bosman.

— Ranek... — Tares potrząsnął głową i przetarł twarz. Bosman stał dalej.

— Co tam, Dorol?

— Źle, panie. Pijaństwo. Nikogo na wachcie, nikogo na oku. Burdel

się zrobił, nie okręt. Tares zmarszczył czoło.

— Dobrze, Dorol, weźmiemy się za to — powiedział. — Wracaj na pokład. — Tak, panie.

Bosman wyszedł, uśmiechając się gorzko. „Weźmiemy się”... Nie było żadnych rozkazów.

Tares pogładził rękojeść leżącego na blacie miecza. Pojmował sytuację, w jakiej się znalazł. Pojmował lepiej, niż Dorol mógł się domyślać.

Był za słaby, by utrzymać ich w ryzach. Wiedział o tym. Mógł wyjść na pokład i wydać komendy o stawianiu żagli. Mógł podać kurs i zaprowadzić jaki taki porządek. Był u Rapisy drugim oficerem i załoga przywykła słuchać jego poleceń. Ale nic więcej.

Kapitan to nie tylko dowódca. To także sędzia... Miał nagradzać i karać. I wiedział, że tego od niego nie przyjmą. Tylko Rapis miał prawo karać. Tylko kary wymierzone przez Rapisę były słuszne. Tylko nagrody rozdzielane przez Rapisę były sprawiedliwe.

A teraz miał karać. Za nieporządek, za bałagan na statku, za samowolę, pijaństwo... Jeśli teraz puści im to płazem, będzie musiał już zawsze i na wszystko przymykać oczy — pierwszy krok w stronę rozprzężenia i upadku dyscypliny. Potem nie posłuchają już nawet komend o stawianiu żagli. Będą grabili wszystko, co da się zagrabić, bezmyślnie, dziko... i skończą na rejach jakiegoś strażnika. A wcześniej dzielenie łupów odbywać się będzie pośród bijatyk i zabójstw, on nie będzie miał nic do powiedzenia... Nie. Nie mógł do tego dopuścić.

Ale nie umiał też temu zapobiec. Był za słaby. Był dla nich tylko drugim zastępcą kapitana. I wiedział, że pozostanie nim do końca, bez względu na to, jak go będą tytułować. Człowiekiem, który dba o zaopatrzenie w żywność, broń i słodką wodę. Nikim więcej.

Czas płynął... Tares siedział, zatopiony w myślach, nieruchomy. Drgnął dopiero, gdy cicho skrzypnęły drzwi.

Stał w nich Raladan.

*

Gdy Dorol poszedł budzić Taresa, pilot odszukał dziewczynę. Tak, jak się spodziewał, była w kajucie Ehadena. Siedziała na dużej skrzyni pod ścianą; gdy wszedł, spojrzała z mieszaniną wrogości i obawy. Zamknęła za sobą drzwi.

— Wiem kim jesteś, pani — powiedział bez wstępów.

Wstała powoli. Teraz w jej oczach był tajony strach i zdumienie.

— Jakim... cudem? — zapytała z lekką chrypką. Wskazał niski taboret.

— Czy mogę usiąść, pani? Machinalnie skinęła głową.

Pilot usiadł i splótł dłonie, opierając łokcie na udach. Spoglądając jej w twarz, powiedział:

— Jestem przyjacielem i chciałbym, żebyś mi zaufała... Tak, wiem, pirat i bandyta — zdawał się śledzić jej myśli — ale przede wszystkim człowiek, któremu twój ojciec dwukrotnie uratował życie... Nie zdążyłem spłacić tego długu.

Zamilkł na chwilę.

— Twój ojciec, pani, zostawił jednak testament. I ja jestem jego wykonawcą. Rozmawiałem z kapitanem, zanim... umarł. Znów usiadła na swojej skrzyni.

— Nie obchodzi mnie to — rzekła cicho. Skinął głową.

— Być może... Ale to mnie nie zwalnia z zobowiązań wobec kapitana. Milczała.

— Wiem, a raczej domyślam się, co zaszło... wtedy — powiedział z wahaniem, szukając jej wzroku. Dziewczyna pobladła gwałtownie. — Wiem też, że twój ojciec nie do końca był sobą, dostał się we władzę pewnego... pewnych sił. Myślę, że powinnaś o tym wiedzieć.

— Opuściła głowę.

— Nie obchodzi mnie to — powiedziała jeszcze ciszej niż poprzednio.

— Dobrze, pani. Ale bez względu na to, co cię obchodzi, a co nie, musisz wiedzieć, że twój ojciec przed śmiercią zlecił mi opiekę nad tobą. To jego ostatnia wola.

Uniosła głowę i przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem.

— Nie chcę żadnej opieki. Pilot rozłożył ręce.

— Nie obchodzi mnie to — rzekł, naśladując jej własne słowa. Cisza przedłużała się.

— Być może jest to pierwsza i ostatnia nasza rozmowa, widzę bowiem, że pragniesz w miarę sił utrudnić mi zadanie. Ale ja nie wyjdę stąd dopóty, dopóki nie powiem wszystkiego. Krzywda, jaką wyrządził ci Rapis, jest wielka. Nie namawiam, byś wybaczyła mu wszystko,

pokochała jego samego i życie, jakie wiódł. Wolno ci czuć nienawiść, pogardę, wstręt... co tylko chcesz. Ale są ludzie, którym kapitan wyświadczył w ciągu jednej chwili więcej dobra, niż ty go uczyniłaś przez całe swoje życie. Żądam, byś to uszanowała. Żądam i nalegam, pani.

Zauważył, jak drgnęły jej mięśnie szczęk i odgadł, że poruszył właściwą strunę.

Odczekał chwilę. Nie poprosiła, by mówił — ale także nie zażądała, by wyszedł. Zrozumiał, że jest to przyzwolenie. Starannie dobrał słowa.

— Jesteś na okręcie pirackim — powiedział. — Czy chcesz tego, czy nie, pozostaniesz na nim, przynajmniej tak długo, aż dobijemy do jakiegoś lądu. A teraz zdaj sobie sprawę z tego, kim jesteś, pani, co ci wolno, a co ci grozi... Tares nigdy nie będzie kapitanem tego okrętu — ciągnął dalej po krótkiej przerwie. A jeżeli nawet tak go nazwą, to nic nie zmieni. „Wąż Morski” jest skazany, pójdzie na dno prędzej, niż sądzi ktokolwiek z jego załogi.

Wzruszyła ramionami.

— Nic mnie to...

Urwała i nagle uśmiechnęła się blado.

— Tak, ale tym razem naprawdę nic mnie to nie obchodzi — dokończyła po chwili. Potrząsnęła głową.

— Mnie także — zapewnił. — Niech idzie na dno. Ale może tak... bez nas? Zmarszczyła brwi.

— Słusznie...

Milczał przez chwilę, ważąc słowa.

— Musisz objąć dowództwo, pani — rzekł wreszcie bez ogródek. Spojrzała zdumiona.

— Czy to żart? — zapytała. Pokręcił głową.

— Jesteś córką Demona. To wystarczy by się bali. Od strachu do posłuszeństwa krótka droga.

Patrzyła mu w oczy, nic nie mówiąc, wciąż z tym samym zdumieniem. Wreszcie lekko przygryzła usta.

— Rozumiem. Tyś oszalał albo kpisz sobie ze mnie. Mam być przewodniczką bandytów?

— Są w tej załodze tacy, co nie posłuchają nikogo, jeśli nie będą się bać. Takich jest najwięcej.

— Więc cóż z tego? Wstała nagle.

— Czego ty chcesz ode mnie? — zapytała. Jej zdumienie nie malało, wręcz przeciwnie, zdawało się rosnać coraz bardziej, w miarę, jak uświadamiała sobie, co właściwie znaczy propozycja pilota. — Czego ty chcesz ode mnie? — powtórzyła. — Żebym prowadziła morderców do rzezi, żebym porywała ludzi z wiosek, tak jak mnie porwano? Żebym zabijała i kazała zabijać? Żebym wzbudzała strach w gromadzie dzikich, zbydlęconych majtków? Tego żądasz? Mam zawiązać sobie szmatę na głowie i wpiąć kolczyk w nos? Parsknęła szyderczo i gniewnie.

Pilot zachował niezmałony spokój.

— Nie, pani. Nie żądam żadnej z tych rzeczy... prócz może dwóch ostatnich.

— Dwóch... ostatnich?

— Tak właśnie. Jest tu dość odpowiednich strojów, by cię przebrać za królową piratów... No i jeszcze trzeba, byś istotnie wzbudzała strach, duży strach i szacunek.

Zaczęła coś pojmosferać. Usiadła na powrót.

— Mów dalej.

— Pomyśl, pani: dziewczyna, kobieta na okręcie. Jedyna. Jedna jedyna. Kim może na nim być, jeśli nie będzie kapitanem? Pokiwał głową.

— No więc właśnie — podjął po chwili. — Dlatego trzeba, byś objęła dowództwo. Załoga musi się dowiedzieć, kim jesteś. A gdy raz zaczną słuchać, dalej wszystko pójdzie gładko. Nie trzeba żadnych rzezi, bitew czy rabunków. Tylko do najbliższego brzegu, pani. Kilka dni, które jednak trzeba jakoś przeżyć.

Słuchała, przygryzając wargę.

— To, co mówisz, wydaje się słuszne... Ale ja nie umiem. Nie potrafię. Co mam robić, co mówić? Jak wyglądać?

— Czeka cię trudne zadanie, pani — przyznał. — Ale myślę, że dasz obie radę. Spróbuję pomóc. Ale ty spróbuj mi nie przeszkadzać.

Wstał.

— Najpierw porozmawiam z Taresem.

8.

Ocenili ją wzrokiem.

— Nie, na Szerń — rzekł oficer.

Opanowany, nigdy nie tracący zimnej krwi Raladan, klęczał teraz pod ścianą, niecierpliwie grzebiąc w kufrze.

— Ta dziewczyna jest zbyt ładna — rzekł niemal ze złością, gdy wyszła, by przymierzyć kolejną suknię. — Jednooka... i wciąż zbyt ładna. A czas płynie.

Spojrzeli po sobie. Było już południe.

Wzrok pilota spoczął na ciśniętej w kąt pokoju czarnej, atlasowej sukni.

— To jest to — mruknął.

Załomotał w drzwi wiodące do kapitańskiej sypialni i wszedł.

— Pani...

Stała oparta o ścianę, z nieruchomym wzrokiem wbitym w kąt pomieszczenia. Chyba zdążyła zapomnieć, że niczego na sobie nie ma. Suknia, którą miała założyć, leżała na podłodze.

— Nie — powiedziała beznamiętnie. — Cały ten pomysł to bzdura. Oderwała plecy od ściany i chciała go minąć, ale stanął na drodze.

— Dokąd, gdzie? — Wyciągnął rękę z czarną suknią. — Czas ucieka, pani. Tak czy owak, jakiś strój chyba będzie potrzebny, nieprawdaż? To już ostatnia przymiarka, obiecuję.

Patrzyła mu w twarz.

— Nie zrobisz ze mnie pirata, tylko pośmiewisko. Czy o to chodzi?

Wciąż trzymał suknię w wyciągniętej ręce.

— Ostatnia suknia, pani.

Wzięła ją powoli.

Czekali w milczeniu. Tares krążył po pokoju. Raladan stał, oparty o ścianę. Wreszcie — skrzypnęły drzwi.

Czerń sukni odmieniła ją bardzo: wywyższyła, dodała surowości i powagi, postarzyła. Wyglądała prawie tak, jak chcieli, by wyglądała.

— Klejnoty — rzekł Raladan.

Minęła chwila, nim Tares pojawił, co pilot ma na myśli. Zmarszczył

brwi i chciał coś powiedzieć, ale odwrócił się tylko i wyszedł. Po chwili był w swojej kajucie. Wywłókł na środek pomieszczenia dość dużą, ciężką skrzynkę i otworzył wieko. Błysnęło złoto i drogie kamienie.

Zadrżały mu ręce, gdy przerzucał to bogactwo. Wybrał najpiękniejsze bransolety i pierścienie, a także przebogaty naszyjnik. Po namyśle odsunął go jednak i zastąpił innym. Podobnie wymienił część bransolet. Wymieniał pierścień po pierścieniu, klejnot po klejnocie na mniej lśniącej, mniej bogate, wreszcie leżał przed nim stos tanich, często pozłacanych tylko ozdóbek — niewiele albo zgoła nic nie wartych... Nie mógł przecież zanieść jej — tego.

Z mimowolnym ciężkim westchnieniem zaczął grzebać znowu. Ale najpiękniejszych nie tykał. Nie potrafił rozstać się z tymi cacuszkami... Wybrał w końcu tylko zimne srebra, ale za to najprzedniejszej roboty, małe arcydzieła. Dodał naszyjnik z brylantem. Zawinał to wszystko w kawał kolorowej szmaty, a resztę schował szybko do skrzynki, tę zaś — z ulgą — ukrył pod łóżkiem. Wrócił do kapitańskiego pokoju.

— To dla ciebie, pani — powiedział, wysypując klejnoty na stół. Srebro zaśpiewało czystym, wysokim tonem. — Pożyczam tylko — zastrzegł.

Uśmiechnęła się mimo woli.

Raladan przyniósł zwierciadło. Trzymał je przed sobą, gdy przymierzała srebra. Wraz z Taresem przyglądali się uważnie, z ową wciąż narastającą fascynacją, właściwą mężczyznom, którzy oglądają strojącą się kobietę. Poważny Raladan, marszcząc brwi, usiłował reagować na każdy gest dziewczyny dotyczący ustawienia lustra. Wyżej... niżej... przechył... Skończyła i parsknęła krótkim śmiechem, ujrawszy nieprawdopodobnie skupione miny obu mężczyzn. Pomimo niedawnych ciężkich przeżyć, beztraska dziewczęca natura chwilami brała w niej górę.

— Co teraz?

Prezentowała się znakomicie.

— Nie wiem — powiedział Tares. — Co miała Alegera?

— Bat — odrzekła Raladan. — Ale nikt się go nie bał.

— Bat? — spytała zdumiona.

— Bat. Nosila go stale. Przez krótką chwilę milczeli.

— Zawiąż coś na włosach, pani. Chustkę. Wyglądasz nieprzystępnie,

i to dobrze, ale muszą w tobie widzieć także coś swojskiego. Bata nie będzie — zawyrokował pilot. Wyraźnie przejął komendę.

— Znajdź Dorola, panie — zwrócił się do Taresa. — Niech przyśle dwóch ludzi z pałkami. Naszych, ze starej załogi. Powiedz mu, kto od dzisiaj dowodzi okrętem, ale tak, żeby wieść się rozeszła.

Kapitan — rzekł do Ridarety — lubił stać na kasztelu rufowym, skąd było widać cały okręt. Pójdziemy tam. Oprzesz się wygodnie o reling, będziesz stać i patrzeć, nic więcej. My weźmiemy załogę do galopu. Będą biegać po pokładzie i wytrzeszczać gały na ciebie.

Masz zachowywać się tak, jakby na „Wężu” nie było nikogo oprócz ciebie. Zrozumiałaś, pani? Machinalnie skinęła głową; jej dobry nastrój ulatniał się szybko.

— Idź, panie — rzekł Raladan do oficera. Tares skinął głową i wyszedł.

— Oni jeszcze nie wiedzą, że okręt jest bez dowódcy — mówił dalej Raladan, kołyszając się na obcasach. — Wczoraj oddali morzu kapitana i pierwszego zastępcę, ale teraz pili całą noc i nie dociera do nich, co się stało. Gdyby Demon zmartwychwstał i pojawił się tutaj, nawet by się temu nie dziwili... Zamiast niego pojawisz się ty, pani. Oswoją się z twoją obecnością w miejscu, gdzie zawsze widzieli kapitana. Rozejdzie się wieść, że jesteś jego córką. A potem zaczną padać rozkazy, zwykłe zrozumiałe rozkazy, takie jak zawsze. Zupełnie, jakby nic się nie zmieniło, jakby Demon zszedł na ląd w jakiejś sprawie i przekazał komendę córce. Uda się — rzekł z głęboką wiarą. Wystraszona, pokręciła głową: nie.

— Uda się — powtórzył. — Znam tych ludzi, wiem jak myślą i czują. Wyglądasz bardzo dobrze i jeśli nie zemdlejesz, nie wyskoczysz za burtę lub nie zaczniesz krzyczeć, to po prostu nie może się nie udać. Słyszysz, pani?

Łagodnie lecz stanowczo ujął ją pod ramię.

— No, maszeruj na pokład... kapitanie. Nie zapłacz się w tej sukni, gdy będziesz włąziła na kasztel. Alagera miała hajdawery. Tylko że Alagera nikt nie słuchał... No, już!

Prawie siłą wywłókł ją z kajuty. Znaleźli się na pokładzie.

— Do góry — rozkazał, wskazując drabiniaste schodki. — Na kasztel. Zaraz wróć! — obiecał, widząc jej przerażone spojrzenie.

Zostawiłem paru pewnych ludzi przy sterze, ale muszę ich sprawdzić...
Idź już! — syknął niecierpliwie.

Kilku majtków grało w kości na samym środku głównego pokładu. Z luku za ich plecami wyłoniło się dwóch tęgich osiłków, a zaraz potem paru innych marynarzy. Raladan wezwał, pierwszą dwójkę i kciukiem wskazał Ridaretę stojącą na rufowym kasztelu. Przez długą chwilę klarował im coś, pochylony. Potwierdziwszy rozpuszczone przez Taresa i bosmana wieści, dorzucił:

— Pilnować mi jej. Jak ktokolwiek źle spojrzy na jej godność to od razu macie dać mu po pysku. Demon zlecił wam opiekę nad swoją córką. Macie się nią opiekować! — powtórzył z naciskiem, dobitnie. — Zrozumiano?

Starzy gwardziści kapitana Rapisa bez namysłu skinęli głowami Raladan poszedł do steru.

Niezwykła wieść wywołała poruszenie w załodze. Coraz więcej majtków wyłaziło na główny pokład. Skupieni w grupki włączyli się tam i siam, co i rusz obrzucając niepewnymi spojrzeniami samotną, czarną postać na rufowym kasztelu. Wsparta ramionami o solidną, drewnianą barierkę, zdawała się nie poświęcać im najmniejszej uwagi. Gdy tylko Raladan i Tares na powrót znaleźli się przy niej, natychmiast zwróciła ku nim pytające spojrzenie. Była trochę blada, ale panowała nad sobą.

— No i? — zapytała.

— Przełknęli to — spokojnie ocenił Raladan. — Widzę, że przełknęli. Dorol zbierze ich zaraz na pokładzie rufowym.

Tares skinął głową.

Zaraz potem, jakby na umówione hasło, rozbrzmiały wrzaski bosmana. Kilku „starych”, pod jego komendą, skupiało majtków w wielkie stado na pokładzie rufowym. Stado... Zwykle bydło, nic więcej; Ridareta widziała to zupełnie wyraźnie. Przybladła jeszcze bardziej.

— I ja mam... teraz... — zaczęła urywanie.

— Masz stać, pani — rzekł z krzywym uśmieszkiem Raladan. Tylko stać i nic więcej. Na razie ani słowa.

Tłum poniżej uspokajał się z wolna, majtkowie spoglądali tępo, bezmyślnie. Ktoś chrząknął i chciał chyba splunąć, ale powstrzymał się w porę. Inny obejrzał się na towarzyszy.

Fale rytmicznie łomotały o burty, wiatr jęczał w takielunku.

Była córką kapitana...

Widzieli ją nie po raz pierwszy przecież. Ale teraz... teraz patrzyli inaczej, bo były w tej twarzy rysy Demona. Jego mocno zarysowane usta. Kształt podbródka. Bez żadnej wątpliwości — to była córka Demona...

Stali i patrzyli, milcząc.

Znajdujący się tuż obok dziewczyny Raladan, pochylił ku niej głowę.

— Powiedz coś, pani — rzekł niegłośnie. — Do mnie, dwa słowa.

— Ale co? — zapytała w ten sam sposób; stał tak blisko, że widział, jak drżą jej kolana. — Do... ciebie?

— Cokolwiek, i tak nie usłyszą. A może zostaniesz prawdziwym kapitanem? Spalimy jakąś wioskę, tylko pomyśl. Spojrzała, marszcząc brwi.

— Świetnie, potrzebowałem właśnie trochę gniewu... Dorol!

Żałoga z napięciem śledziła cichą wymianę zdań. Raladan wiedział, co robi, odwoływał się do skojarzeń: tak właśnie Demon rozmawiał ze swoimi oficerami.

Bosman wyszedł przed szereg.

— Odnajdziesz winnych nieporządku — rzekł Raladan. — Po trzydzieści batów, Dorol.

Ponownie zwrócił się do Ridarety:

— Pojmujesz, pani? Skinęła głową.

— Cały rum za burtę! — znów przekrzyczał szum morza. — Natychmiast!

Zarówno on, jak i Tares wiedzieli już, że wygrali. Uszczęśliwiony Dorol, który, jak każdy bosman, miał największe powody, by obawiać się samowoli i upadku dyscypliny w załodze, zamierzył się tęgą pałką.

— Jazda! — ryknął. — Co jest? Ścierwa! Tłum majtków ożył. Raladan ze skrywaną satysfakcją patrzył to na nich, to na Ridarecę.

— Ot, cała tajemnica władzy — powiedział. — Przedstawienie, pani. Jak widzisz, wcale nie trzeba, byś rozkazywała. Wystarczy, jeśli oni tak będą myśleli.

Przez chwilę obserwowali krzątanicę załogi.

— Co dalej? — zapytała, nie kryjąc ogromnej ulgi.

— Co rozkażesz, kapitanie.

Niepewnie spojrzała na Taresa. Również wyglądał na zadowolonego.

— Myślę, że pora obrać jakiś rozsądny kurs — powiedział. — Nie możemy kręcić się w kółko. W każdym razie nie na tych wodach.

— To prawda — potwierdził Raladan. — Kajuty kapitańskie należą odtąd do ciebie, pani. Idź tam. Nie możesz stać tutaj i patrzeć tak, jakbyś nie była pewna, czy twoje rozkazy zostaną wykonane. A ty, panie — zwrócił się z kolei do Taresa — zajmij kajutę zastępcy. Ja zajmę twoją. Dopilnuję tu teraz wszystkiego, a potem przyjdę do ciebie z mapami i przyrzadami.

Przez chwilę patrzył za schodzącą z kasztelu parą, potem przywołał Dorola. Wydał kilka poleceń.

Ridareta i Tares zniknęli w swoich kajutach.

*

„Wąż Morski” szparko płynął półwiatrem na południowy wschód, wprost ku brzegom Garry. Już wkrótce ujrzeć mieli otaczające ją wyspy, ale tylko z daleka. Nie mogli przybić do żadnej, te od strony kontynentu były zbyt gęsto zaludnione i zwykle stacjonowały na nich garnizony Straży Morskiej Garry i Wysp, a czasem i Legii Garyjskiej. Należało raczej opłynąć Garrę dookoła i wylądować na południowej stronie. Było tam trochę małych przystani i portów rybackich, słabo obsadzonych przez wojsko, a często zapomnianych w ogóle. Musieli się spieszyć: nadchodziła jesień, pora burz. Jesienią zamierał ruch na Bezmiarach; morze kaprysiło tak bardzo, że trudno było nawet myśleć o żegludze. Wściekłe sztormy strzaskać mogły każdy statek. Nawet tak wielki, wytrzymały i sprawny, jak „Wąż Morski”.

Zwykle z początkiem jesieni Rapis rozpuszczał załogę, z niewielką zaś grupką najbardziej zaufanych odprowadzał okręt do jakiejś kryjówki. Czynił potem wyprawy na ląd, zbierając wieści od dobrze opłacanych szpiegów. Gdy z początkiem zimy załoga zbierała się znowu, dysponował już wiadomościami o statkach, które wieźć miały szczególnie cenne towary: złoto, hodowlanych niewolników, drogie tkaniny, znamienitą osobę, za którą można było wziąć okup...

Tares wiedział, że dziewczyna i pilot nie zamierzają naśladować Demona. Raladan pragnął doprowadzić okręt do miejsca, gdzie mogliby zejść na ląd — i to wszystko. Dalszy los „Węża Morskiego” i jego załogi były mu obojętne. Pierwotnie Tares popierał te plany; nie wierzył, by udało się zaprowadzić trwałą ład na okręcie. Teraz jednak widział rzecz

inaczej.

Dokonało się coś nieprawdopodobnego i niezwykłego: dyscyplina okrzepła, była nie gorsza od tej, jaką utrzymywał Rapis. Majtkowie chcieli być rządzeni! Oczywiście — nie przez byle kogo. Jednak pamięć o Demonie Walki była bardzo świeża; jego legenda, wielka już za życia, teraz utrwalała się i wzbogaciła. Jego córka czerpała siłę z nazwiska i teje legendy, rządziła niejako w jego imieniu — tak to odczuwano.

I posłuch był zupełny. Bez szemrania wzięto baty, pogodzono się też z wyrzuceniem za burtę baryłek wódki. Szorowano pokład z zaciekłością zgoła niezwykłą, jakby próbując odrobić zaniedbania. Praca przy żaglach szła jak z płatka, każde polecenie spełniano w mig. Dzień po dniu pełniono wachty z sumiennością, którą pochwaliby nawet Rapis. A w dniu, w którym Raladan zezwolił w imieniu Ridarety naruszyć przejęty z kupieckiej kogi zapas win, wybuchł prawdziwy entuzjazm: do późnej nocy majtkowie pili zdrowie Jednookiej. Tares pomyślał wtedy, że gdyby dało się przez dłuższy czas rządzić w jej imieniu, „Wąż Morski” znów mógłby być najgroźniejszym żaglowcem na Bezmiarach. Wiedział jednak, że dziewczyna przekonać się nie da. Może mógłby pomóc Raladan, którego Jednooka jako jedyne obdarzała pewnym zaufaniem. Ale Raladan nie dbał o statek. Nie dbał o nic. Obchodziła go, jak się zdawało, tylko dziewczyna.

Raladan był na okręcie kimś naprawdę ważnym. Mocno się go bano, nie tylko dla jego noża... Był najlepszym pilotem, jakiego Tares znał i o jakim słyszał, czyli po prostu — najlepszym na Bezmiarach. Jego umiejętności kojarzono wręcz z magią. Umiał wieść okręt na każdych wodach i w każdą pogodę; całe eskadry ścigających „Węża Morskiego” żaglowców, mniejszych przeważnie i nie tak głęboko zanurzonych, rozбивały się na rafach, wśród których wiedziona przez Raladana karaka przepływała nienaruszona. Między otaczającymi Garre wyspami nigdy nie pływały tak wielkie okręty, używano tylko Kilku dobrze znanych szlaków. „Wąż Morski” był wyjątkiem. Trąc poszyciem o skały, trzeszcząc i skrzypiąc, wpływał do ukrytych zatoczek, które podczas odpływu stawały się omal małymi jeziorami. Majtkowie powiadali, że jeśli w rafach jest przejście szersze od okrętu o łokieć, to Raladan przez nie przepływie, jeśli tylko znajdzie na palec wody pod kilem.

Nawet Rapis bardzo liczył się z Raladanem. Wiele razy słyszano, jak

zasięgał rady u pilota. Może jeszcze tylko Ehaden cieszył się podobnymi względami.

Tares rozumiał świetnie, że wobec legendy, której dziewczyna była żywą kontynuacją, i wobec popularności, jaką cieszył się Raladan, jego wpływy w załodze są właściwie żadne. Nie był w stanie zmusić tej pary do pozostania na statku, tym bardziej zaś nie potrafił sprawić, by dziewczyna udawała kapitana wbrew swej woli...

Strapiony oficer nie wiedział (zresztą wiedzieć nie mógł), że Raladan i Ridareta stoją przed problemami znacznie poważniejszymi niż kwestia dowodzenia okrętem...

9.

Skamieniałe fale miały ołowianoszarą barwę; nawet korony pian na ich grzbietach nie lśniły zwykłą bielą. Brudnoszare niebo, nieruchome tak samo jak woda, pozbawione było chmur. Nie istniała linia horyzontu. Gdzieś tam, hen!, w oddali, kamienne morze stapiało się ze stalową kopułą w jedną całość, ale nie było niczego, co by można nazwać granicą styku obu ogromów. Raladan stał na wysokim, skalistym cyplu i patrzył. Martwe niebo, po którym nie przemykały chmury, było mu obojętne. Ale widok zastygłego w bezruchu morza sprawiał ból. Bezmiary, symbol wiecznego życia i trwania po wiek wieków, na przekór wszystkim potęgom, nie mogły być skamieniałe.

Pilot zamknął oczy, a gdy je otworzył na powrót — ujrzał Ridaretę. Pośród głuchoj ciszy biegła po falach w stronę brzegu, a za nią toczyła się ciemność, ścigając. Jedyne ruch na pustyni bezruchu — mroczna, czarna nawała, przywodząca na myśl chmurę, a może gęsty kłęb dymu. Raladan pobiegł aż na skraj cypla, chciał pomóc dziewczynie, ale w jakiś sposób był pewien, że nie wolno mu dotknąć stopami twardych fal — bo skamienieje jak one.

Drapieżna ciemność kłębiła się coraz bliżej i bliżej uciekającej resztkami sił dziewczyny.

Ridareta nie widziała stalowego nieba ani morza z granitu. Nie widziała posępnej chmury, pędzącej jej śladem. Uwięziona w olbrzymiej sali-jaskini, nie potrafiła ocenić, w którym miejscu brunatne ściany przechodzą w posadzkę... Nie było uchwytniej granicy. Słyszała monotonny chrobot, narastający nad głową; brzmiało to tak, jakby ciężki blok kamienny przesuwano po innym. Zadzierając głowę, próbowała dojrzeć strop niesamowitej komnaty, lecz spojrzenie ugrzęzło w zimnym mroku. Chrobot narastał, potężniał — i dziewczyna zrozumiała nagle, że to właśnie sklepienie powoli osuwa się ku niej. Wiedziała na pewno i poczuła lęk, bo zatrzymanie tej monumentalnej płyty przekraczało możliwości człowieka. Była zdana na łaskę mechanizmu, który mógł się zatrzymać — albo nie.

Chroboczące sklepienie, wciąż ukryte w ciemności, coraz szybciej

osuwano się w dół.

Przerażony Raladan miał pewność, że potworny kłęb ścigający dziewczynę to śmierć. Nie mógł pomóc, nie umiał! Był ostatnią żywą częścią Bezmiarów i wiedział z całą pewnością, że gdy tylko ruszy po falach, skamienieje na ich podobieństwo. Dziewczyna była bez szans. Miała skonać pośród wszechobecnej ciszy, ogarnięta przez złowrogą ciemność. W jaki sposób mógł udzielić pomocy? Jak miał walczyć z tym, co ją ściagało?

Daleko, na granicy poza którą nie sięgał wzrok, widział czarny punkcik, tak maleńki, że zupełnie bezkształtny, zaklęty w postaci ciemnej kropki... Raladan pojął w nagłym olśnieniu, że jest to drobna część tej ogromnej skłębionej chmury, część pozostawiona daleko, by nie przeszkadzała! Pojął, że to jest ratunek... i w tej samej chwili, jakby niezbędne było właśnie odkrycie owej tajemnicy, cisza pękła! Dziwny punkt na horyzoncie nie był już nieruchomy; drgał teraz, jakby szarpiąc niewidzialne więzy. Pośród huku, wstrząsnęło morzem i niebem imię:

RALADAN!

Przybył wicher. Dziewczyna była blisko brzegu, ale już nie biegła. Leżała na grzbiecie nieruchomej fali, zasłaniając głowę przed nadciągającą czernią. Ten sam głos, głos który Raladan znał tak dobrze, walczył z wichrem:

RALADAN! RALADAN, MUSISZ MNIE WEZWAĆ! TO PRZEKŁĘTA WOJNA I PRZEKŁĘTE PRZYMIERZE! WEZWIJ MNIE! MUSZĄ MNIE WEZWAĆ BEZMIARY!

Pilot wyciągnął ręce ku czarnej kropce w nieodgadnionej dali. Nie mógł wydobyć głosu, ale sam ten gest wystarczył za wezwanie, którego żądał Demon...

Niewidzialne więzy puściły! Czarny punkt pomknął ku mrocznej nawale, powiększał się, był plamą, wielką bryłą roztrzaskującą skamieniałe fale, rozmazanym przez pęd kształtem. Nagle Bezmiary ożyły! Zwarte kłęby ciemności, niosące śmierć Ridarecie, spowolniły swój ruch — ale pozostały bez wpływu na szybkość cienia niosącego ratunek...

Raladan pochwycił krzyk tonącej w morzu dziewczyny i rzucił się między fale. Gdy wynurzył z topieli głowę i ramiona, ujrzał, jak mknące widmo uderza w ścianę mroku.

Jęcząc z przerażenia, Ridareta klęczała na twardej posadzce, spoglądając na widoczne już, chropowate sklepienie, wolno lecz nieubłagane zbliżające się ku niej. Ogłuszający chrobot nie ustawał, gigantyczna płyta była niemal w zasięgu jej ręki, gdyby tylko wstała... Zaczęła krzyczeć, ale pośród nieopisanego hałasu jej głos był zupełnie niczym. Ogłuszona, skulona na posadzce, była pewna, że nadciąga koniec. Poderwała się nagle, w desperackim, beznadziejnym odruchu wydając walkę nieuniknionemu; gotowa była podtrzymać opadający strop...

NIE WSTAWAJ!

Pomoc przybyła znikąd. W dziwnym, krwawym błysku, półmrok wypełniający przestrzeń między posadzką a sklepieniem zgęstniał nagle, zawirował, skupiając się w zwarty kształt. Znajomy głos huczał potężniej niż osuwająca się płyta:

„NIE WSTAWAJ! To PRZYSZŁO PO CIEBIE!”

Upadła na kolana, obejmując głowę rękami. Nie chciała nic widzieć, ale wciąż słyszała grzmiący, przepętniony gniewem i rozpaczą głos:

„NIE WSTAWAJ, RIDARETA! MASZ NIE WSTAWAĆ!”

Otuliło ją coś jak kula szkarłatnego światła. Potężne uderzenia wstrząsały opadającym sklepieniem. Z hukiem i łoskotem spadały wszędzie wokół pokruszone, twarde bryły gruzu, omijając szkarłatną kulę, ześlizgując się po jej powierzchni, zaścielając posadzkę tysiącami okruchów. Jęczała, z całej siły przyciskając przedramiona do skroni. Na krótką chwilę rozwarła powieki — i ujrzała cień olbrzymiego mężczyzny, zgiętego pod ciężarem stropu. Wielka pięść z siłą setki młotów tłukła popękana płytę... Zamknęła oczy na powrót. „NIE WSTAWAJ, RIDARETA! NIE WSTAWAJ”.

Wciąż krzycząc, Raladan odrzucił pled, zerwał się, zatoczył, uderzając głową o ścianę. Ból przywrócił przytomność, ale nie zabrał strachu; z rozsadzającym pierś sercem pobiegł do Ridarety, niemal wyważając z rozpędu drzwi. Stał w progu kapitańskiej sypialni, oddychając ciężko. Zawieszona u sufitu za jego plecami latarnia wrzucała do izby rozchwianą smugę szarego światła; dość go było, by wyłowić z ciemności leżącą w skłębionej pościeli dziewczynę. Twarz miała mokrą od potu, pierś jednak poruszała się spokojnie i miarowo. Przez chwilę ulegał złudzeniu, że wokół śpiącej roztacza się w powietrzu delikatna, czerwona aureola. Ale nie... Nawet, jeśli coś takiego było — to zniknęło.

Oparł drżące ramię o ścianę.

Stał tak przez jakiś czas, wreszcie wyprostował się i już miał wyjść, gdy wzrok jego spoczął na leżącym w kącie pokoju brunatnoczerwonym klejnocie. Zdumienie zabłysło w oczach pilota, ale w tej samej chwili załomotano do drzwi. Wyszedł z sypialni i otworzył. W półmroku bieleły twarze majtków z nocnej wachty.

— Panie...

Ze znużeniem pokręcił głową.

— Wszystko w porządku. Trzymać wachtę. Odeszli.

Zamknął drzwi i stał jeszcze przez chwilę bez ruchu. Za jego plecami rubin rozgorzał na chwilę silnym, czerwonym światłem.

*

Klejnot leżał na stole: wielki, ciemnoczerwony, czarny niemal, martwy. Patrzyli nań w milczeniu.

— To tylko sny... — powiedziała, ale urwała zaraz, bo rubin snem nie był. Zaraz po żeglarskim pochówku Demona wrzucono go do morza... Lecz wrócił.

Raladan myślał o tym samym.

— Nie, na Szerń — rzekł, wskazując klejnot. — Nie, pani. Nigdy dotąd nie śniłem podobnego koszmaru — dorzucił po chwili. — Dwa koszmary tej samej nocy... o tej samej treści... To było, pani. Zdążył już opowiedzieć jej wszystko, przemilczał tylko swoją rolę walce z czarną nawałą, bo brzmiałoby to jak samochwalstwo.

— Jeżeli masz rację, to znaczy... że on, twój kapitan, w jakiś sposób... żyje — powiedziała powoli. — Nie, nie mogę uwierzyć. On być może uratował mi życie, choć brzmi to jak bzdura... Ale ja nie chcę, rozumiesz? Nie chcę mu niczego zawdzięczać! Wstała nagle, strącając rubin ze stołu.

— Precz z tym! — warknęła. W złości jej twarz stawała się brzydka, opaska na oku, do której już przywykł, jawiła się niespodziewanie wyraźnie, na zupełnie nowym tle. Schylił się i ostrożnie podniósł kamień.

— Myślę, że to nierozważne, pani. Ten rubin to Geerkoto, Ciemny Przedmiot.. Lepiej nim nie rzucać. Uniósł wzrok.

— Chyba powinnaś go nosić. Potrząsnęła tylko głową, zaciskając usta.

— Więc co z nim zrobić? Myślę, że Demon... że twój ojciec dał ci go. Znów potrząsnęła głową.

— Nie chcę, by dawał mi cokolwiek... Na Szerń, czy ten człowiek nawet po śmierci musi walczyć, niszczyć...

— Bronił ciebie, pani.

— I co z tego? Nie prosiłam o pomoc, nie jego... Walka jest walką. Pilot wstał, założywszy z tyłu ręce zrobił kilka kroków. Stał pod ścianą i zamyślony kołysał się na obcasach. Nosił buty, jako jeden z nielicznych. Nawet Dorol biegał na bosaka. Ale Raladan nie musiał skakać po wantach.

— Dlaczego tak uparcie potępiasz go za wszystko, pani? — zapytał.
— Wysłuchaj, proszę... Nic na świecie nie jest zupełnie białe, ale też nic nie jest całkiem czarne. Już raz próbowałam ci to wytłumaczyć. Rapis umarł, ale z jakichś przyczyn nie został przyjęty przez Szerń. Był człowiekiem niezwykłym i pozostał takim nawet teraz, po śmierci. Myślę, że on pragnie jakoś... odkupić swe winy, jeśli nawet nie wszystkie, to te względem ciebie. Mo że grozi ci jakieś niebezpieczeństwo, przed którym on próbuje cię ustrzec...

— To wszystko jest zbyt wydumane. Będziesz teraz chodził i wyjaśniał sny? Nawet, gdyby miały jakieś znaczenie, wątpię, byśmy umieli je odgadnąć.

Pokręcił głową.

— Ale kapitan... stał się jakiś inny. Powiedz: czy gdyby żył i zapragnął stać się inny, również próbowałabyś mu w rym przeszkodzić?

Siedziała na brzegu stołu, bezwiednie muskając dłonią jego krawędź.

— To nie on stał się inny... On chce, żebym ja stała się inna. Cisza.

— Dziwny z ciebie pirat, dziwny człowiek... Co sprawiło, że trafiłeś na pokład takiego okrętu? Kim ty właściwie jesteś? Nie odpowiedział. Uniosła wzrok.

— Gdyby ten człowiek żył, nie chciałabym mieć z nim nic do czynienia.

— Nawet, gdyby przez to miał pozostać piratem?

Długo nie odpowiadała. Na jej twarzy pojawiło się znużenie.

— Nie wiem... Nie wiem, nie męcz mnie. Cisza wisiała długo.

— To jest Rubin Córki Błyskawic, tak go nazywają, prawda?

— Tak, pani.

— Dziwna nazwa... Słyszałam, że jest silny, prawie tak silny, jak

Srebrne Pióra. Ale bardziej tajemniczy i stokroć więcej w nim zła. Podobno zabija, gdy jego posiadacz czyni zbyt wiele dobra. Czy to prawda?

— Nie wiem, pani. Nikt nie zna Rubinu do końca. Krążą o nim różne historie. Jest dartańska legenda o Trzech Siostrach, które Szerń zesłała do walki ze złem. Słyszałem kiedyś tę bajkę w tawernie. Delara, najmłodsza z sióstr, stanęła na kontynencie Szereru, gdy szalała bardzo silna burza, dlatego nazwano ją Córką Błyskawic. Miała walczyć ze złym magiem, którego taki Rubin opętał. Ponoć dwa Ciemne Pasma zostały kiedyś przez Szerń odrzucone. Rubin należy właśnie do tych Pasm.

Pokiwała głową.

— I ty każesz mi wierzyć, że istota, którą ten klejnot przywołuje, przybywa w imię dobra? Raladan zmarszczył brwi.

— Przecież to tylko legenda.

Z zewnątrz, od śródkręcia, dobiegł jakiś hałas. Wymienili spojrzenia, po czym pilot ruszył ku drzwiom. W tej samej chwili ktoś zaczął się do nich dobijać. Raladan otworzył.

— Co tam?

— Żagiel na horyzoncie — rzekł majtek, kłaniając się niezgrabnie, ni w pięć, ni w dziewięć, na widok Ridarety. Raladan obejrzał się.

— Pójdziemy, pani?

Skinęła głową.

Po chwili stali obok opartego o nadburcie Taresa.

— Gdzie?

Oficer wskazał palcem. Osłonili oczy dłońmi.

— To Dartańczyk — rzekł Tares. — Chyba sam.

Wciąż nie mogła dostrzec żagla, ale nie powiedziała im o tym.

— Jak poznajesz? — zapytała.

— Ma czerwony żagiel.

— Chyba szary?

— Szary z tej odległości. Taka szarość jak ta, to jest czerwień. Czerwony żagiel. Raladan w skupieniu przepatrywał widnokrąg.

— Czerwono-szary — rzekł po chwili. — Pół na pół. Tares spojrzał mu w oczy i bez słowa pobiegł do masztu. Po chwili laźł w górę po wantach.

— Dartan ma tylko kilka eskadr — Raladan mówił w przestrzeń, ni

to do siebie, ni do niej. — Żagle okrętów są takie jak tuniki żołnierzy. Czerwone. To zwyczajne okręty, straż morska. Ale ten ma żagiel czerwono-szary. To nie strażnik, lecz gwardzista. Gwardia Morska, pani. Jeżeli jakkolwiek Dartańczyk godzien jest, by go nazwać żołnierzem, to na pewno płynie pod tym żaglem.

Spojrzała pytająco.

— Dartańczycy to kiepscy wojacy — wyjaśnił. — Tak legie, jak i straż morska. Ale jest kilka doborowych oddziałów, złożonych zresztą w dużej mierze z Armektańczyków. Choćby przyboczni Księcia Przedstawiciela. No i ci. — Wskazał horyzont. — Są dwie wielkie karaki, obsadzone nie przez strażników, lecz gwardzistów. Wielkie jak „Wąż Morski”. Dartan to bogata prowincja, pani. Te okręty eskortują lub przewożą ładunki o największej wartości. Zamilkł i znów osłonił oczy ręką.

— Sam! — zawołał z masztu Tares. — Hej, na dole! Sa-am! Raladan skrzywił usta w niejasnym grymasie.

— Płynie sam, pani. Nie osłania kupca. I o tej porze roku, tuż przed jesiennymi sztormami, raczej nie wiezie cennego ładunku. Płynie sam. To obława.

— Obława?

Pilot spojrzał w niebo.

— Do nocy sporo czasu — rzekł pozornie bez związku. — „Wąż Morski” zatopił wiele statków, pani. A są jeszcze inne żaglowce, takie jak nasz. Jest ich dużo. Więcej, niż myślisz. Ostatnio mało który kupiec mógł być pewien, że dowiezie ładunek. Więc zaczęli robić obławy. Armekt, Garra, czasem nawet Dartan. Tworzą lotne eskadry, zamykają Morze Zwarte i wyłapują okręty pirackie. W tym roku to już po raz drugi.

— Przecież to jeden statek, nie eskadra. Raladan skinął głową.

— Takich żaglowców imperium ma może osiem... Jeden Demon mógłby się porwać na taką fortecę. To olbrzymia karaka, podobna do naszej. A na niej dwustu żołnierzy. I dwadzieścia dział na kasztelach. Może pływać samotnie. — Twój ojciec...

Zamilkł. Gdy cisza przedłużała się, ponagliła:

— Cóż mój ojciec? Potrzęsnał głową.

— Zapomniałem się, pani. Wiem, że nie masz ochoty słuchać opowieści o zbójckich wyczynach. Skinęła głową. Tym bardziej

zaskoczyło go niegłośnie:

— Opowiedz. Zdziwił się.

— Dobrze, pani. Pływaliśmy jeszcze na „Mewie”, starej, pękatej kodze handlowej, ledwie co uzbrojonej. Twój ojciec zaatakował jedną z tych karak „Dumę Imperium”. Największą i najmocniejszą ze wszystkich.

— Zatopił ją?

— Nie, pani... „Durna Imperium” dzisiaj nazywa się „Wąż Morski”.

Stanął za nimi Tares.

— Już nas widzą — powiedział. — To obława.

Na pokładzie od dawna była cała załoga. Majtkowie stali przy burcie, wisieli na wantach, patrząc pod horyzont. Widniały tam, wyraźnie już widoczne, szaro-czerwone żagle.

— Musimy uciekać.

Tares odszedł pod grotmaszt.

— Do żagli! — wrzasnął. — Jazda, chłopcy! Zobaczymy, kto ma więcej wiatru! Posypały się komendy.

— Chodźmy, pani — rzekł pilot. — Muszę zająć się sterem, odprowadzę cię do kajuty.

Poszli.

Dartańczyk zmierzał na przecięcie ich kursu. Tares miał sokoli wzrok, widział błyski na okutym posrebrzaną blachą dziobie. Zagryzł usta. Uciekali przed bogactwem. Jeden okręt dartański bardziej wart był zdobycia niż pięć innych. Dartańczycy kochali się w przepychu — i byli bogaci. Dowódcą tego żaglowca był zapewne mężczyzna dość zamożny, by kupić sobie patent kapitana gwardyjskiej karaki. Okup za takiego jeńca...

Z gniewem odwrócił się plecami i patrzył na załogę. Krzątała się sprawnie. Majtkowie niepotrzebni przy żaglach bez komendy ruszyli do dział, nabijali je na nowo. Grupy abordażowe wyłaziły na pokład w pełnym uzbrojeniu, ciskano topory na deski. Na kasztelach łucznicy wbijali strzały w drewno, by mieć je pod ręką. Kilku starych pod komendą Dorola szykowało liny z hakami. Ktoś przyniósł bosaki. Okręt, pewną ręką pilota ustawiony równo na linii wiatru, pruł wodę coraz szybciej, bez najmniejszego przechyłu. Na razie nic nie wskazywało na to, by rychło oderwał się od pościgu. Tares jednak wiedział, że sytuacja wkrótce ulegnie zmianie: „Wąż Morski” miał ogromną powierzchnię

plótna. Ale był zbyt duży i ciężki, by szybko osiągnąć pełną prędkość.

Spojrzał w niebo, jak wcześniej Raladan. Musieli czekać do nocy. W nocy mogli zmienić kurs i ująć pogoni.

Od strony rufy doleciał podwójny, przytłumiony huk. Nie obejrzał się. Wiedział, że działa tamtego nie doniosą; gwardzista straszył, i tyle. Ale huk był dość silny. Znaczyło to, że Dartańczyk ma na dziobie ciężkie działa. Nowinka. Postęp w uzbrajaniu okrętów był szybki. Tares świetnie pamiętał czasy, gdy na kasztelach wozilo się maszyny miotające, a potem dwie, trzy kiepskie bombardy. „Węza Morskiego” należałoby dozbroić. Nie było to jednak takie proste. Przeniesienie zdobycznych dział z pokładu opanowanego okrętu na pełnym morzu nastroczało niemałych trudności. No i trzeba było znaleźć miejsce na te działa; okręt to nie twierdza lądowa, której mury wytrzymają wszystko... Stabilność i rozmieszczenie ładunku miały pierwszorzędne znaczenie. A jeszcze takiego ładunku! Przy każdej salwie trzeszczały wiązania... Dalsze powiększanie ciężaru ognia mogło naruszyć konstrukcję kadłuba.

Na pokładzie zakończono przygotowania do walki, teraz pozostawało tylko czekać. Marynarze uczepili się nadburcia i stłoczyli na kasztelu rufowym. Tares pomyślał, że będą tak stać i patrzeć na goniący ich okręt, aż zapadnie ciemność. Będą żałować niedosiężnych bogactw, przeklinając wszystko i wszystkich.

Ruszył do kajuty kapitańskiej; chciał rozmówić się z Ridaretą. Ale nieoczekiwanie zobaczył Raladana, zmierzającego w tym samym kierunku. Wiedziony dziwnym impulsem ukrył się przed wzrokiem pilota...

Gdy Raladan wszedł do kapitańskiej kajuty, zastał Ridaretę niespokojnie krążącą wzdłuż ścian. Obrzuciła go spojrzeniem i gdy tylko zamknął drzwi, powiedziała:

— Uciekamy.

Zaskoczyła go. Nim otrząsnął się ze zdumienia, podjęła:

— Holujemy za rufą dwie łodzie. W nocy przejdziemy do jednej. Ten żaglowiec nas wyłowi. Podamy się za jeńców, którym udało się zbiec. Uwierzą?

Szybko pozbierał myśli.

— Kto wie? — mruknął. — Nie wyglądamy na jeńców, ale parę niegroźnych zadrapań... poszarpane odzienie... To duże ryzyko, pani.

Znacznie większe, niż myślisz.

Chciała coś powiedzieć, ale uniósł rękę.

— Poczekaj, pani. Nie mówię, że tego nie zrobimy. Ale rozważmy wszystko dokładnie i bez pośpiechu. Do nocy jeszcze daleko. Po namyśle skinęła głową.

— Zbliży się jesień — rzekł pilot. — Jeśli nie wyłowi nas ten gwardzista, to niewielkie są szanse, że ujrzymy jakiś inny statek. O tej porze roku mało kto pływa po tych wodach.

— Jest obława...

— Co z tego?

Podszedł do skrzyni i wyjął z niej mapę Garry i Wysp, obejmującą także część Morza Zwartego.

— Spójrz, pani. To Morze Zwarte, to Garra... My jesteśmy tutaj. Ale teraz, gdybyś dowodziła obławą, gdzie posłałabyś swoje eskadry, żeby zamknęły pułapkę?

Zastanowiła się i wskazała palcem.

— Właśnie. Wzdłuż wysp otaczających Morze Zwarte. Te, tutaj, nazywają się zresztą Barrierowe. To naturalny kocioł. Okręty krążące po tych liniach to myśliwi. Karaka za nami to nagonka. Sądzę, że niewiele okrętów przeczesuje Morze Zwarte. Większość tworzy łańcuch na obrzeżach.

Marszcząc brwi, patrzyła na mapę.

— Czy nie zdołalibyśmy, w najgorszym wypadku, o własnych siłach dopłynąć do najbliższego lądu?

— Jeśli wiatr się nie zmieni... Ale jednak, zważywszy, że na tej dartańskiej karace raczej nam nie uwierzą... myślę, że rozsądniej byłoby trzymać się pierwotnego planu.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Raladan — po raz pierwszy powiedziała jego imię — a jeśli nas dogonią? Ta karaka albo inne cesarskie okręty? Wszyscy zawisną na rejach, i my także. Nie, Raladan. Uciekajmy dziś w nocy.

Pomyślał, że dziewczyna może mieć rację.

— A Tares?

— Tares...

Pokręciła głową.

Na ustach opartego o drzwi kapitańskiej kajuty oficera pojawił się

blady uśmiech. Nie sądził, by coś jeszcze było do usłyszenia. Oddalił się ostrożnie i cicho.

Obecność dziewczyny i pilota na okręcie była teraz bardziej nieodzowna, niż kiedykolwiek. Myślał o tym, wracając na swoje miejsce pod masztem. W obliczu obławy i niedalekich sztormów, zniknięcie tej dwójki musiało odbić się niekorzystnie na dyscyplinie i morale załogi. Musiał pokrzyżować ich plany. Zresztą — znów uśmiechnął się ponuro — nie pozostawili mu wyboru...

Wieczorem, gdy było już wystarczająco ciemno, by nikt nie zdołał spostrzec braku łodzi, poszedł na rufę i po prostu przeciął liny.

10.

— Łodzie zniknęły — rzekł Raladan. — Ktoś słyszał naszą rozmowę. Znieruchomiła. Był spokojny jak zwykle, ale w kącikach ust dostrzegła grymas, którego dotąd nie znała.

— Ktoś z załogi?

— Wątpię.

Tknęła ją nagła myśl.

— Czy to aby... nie twoja robota?...

Położył na stole przygotowany worek z prowiantem.

— Za kogo mnie masz? — zapytał takim tonem, że natychmiast, prawie odruchowo, zrobiła przeproszający ruch ręką.

— W takim razie... prawdę mówiąc, tylko jedna osoba przychodzi mi na myśl. Milcząco przyznał jej rację.

— To wszystko szło zbyt łatwo — powiedziała po chwili.

— Tares nie jest naszym wrogiem, pani. Gdybyś tylko wyrzekła się myśli o opuszczeniu „Węża”, byłby wiernym i oddanym oficerem.

— Więc ty też pragniesz zrobić ze mnie prawdziwą królową piratów?

Żachnął się.

— Pragnę tylko twego bezpieczeństwa, niczego więcej. Mówię po prostu, jak widzą rzecz inni. Jestem dość dobrym pilotem, by nie umrzeć z głodu, mogę pływać pod banderą piracką równie dobrze, jak i pod cesarską, nie ciąży nade mną żaden wyrok. Ale postaw się w sytuacji Taresa. Jego świat zaczyna się i kończy tu, na tym pokładzie. Jest winien wzniecenia buntu na cesarskim okręcie, wyznaczono nagrodę za jego głowę.

— Nagrabił dość, by wyjechać gdzieś daleko, choćby do Grombelardu, i zacząć zwyczajne życie — powiedziała ostro. Mam dość słuchania o biednym Taresie. Ten człowiek pomieszał nam szyki.

— Mam go zabić?

— Nie! Ja nie o tym... — Przestraszyła się.

— Więc trzymajmy się pierwotnego planu. W końcu dotrzemy do brzegu. Wtedy nas nie zatrzyma.

— Nie jestem tego taka pewna. Potrząsnął głową.

— Czego ty w końcu chcesz, pani? Oczekujesz cudu ode mnie? Mam może skoczyć do wody i przywlec te łodzie z powrotem? Zaległo milczenie.

— Myślę, że powinnaś się położyć. I mnie się to przyda. Miniona noc nie należała do przyjemnych. Zadrzała.

— Nie zasnę...

— Chcesz, bym został tu z tobą?

— Licząc na co? Lekko uniósł brwi.

— Już kilka razy powinienem cię uderzyć, panienko.

— Przepraszam — powiedziała. Milczeli przez jakiś czas.

— To dziwne, ale... już to mówiłam... różnisz się od reszty. Gdybym nie wiedziała, nigdy nie pomyślałabym, że jesteś... Urwała.

— Złoczyńcą — dokończył za nią, siadając przy stole. — I mordercą, a jakże. Morskim zbójem. Znów zaległo milczenie.

— Może to nawet dobrze — rzekł wreszcie — że możemy spokojnie porozmawiać. Już dawno chciałem ci wyjaśnić kilka rzeczy, ale zawsze byłaś taka... — zawahał się — nieprzystępna.

— Nieprzystępna? Pokiwał głową.

— Widzisz, pani — podjął po chwili — czasem zazdroścę tej prostoty, z jaką patrzysz na wszystko. Piraci są źli, a żołnierze dobrzy, chociaż zabijają jedni i drudzy. Kupiec zakopany po uszy we własnych oszustwach to człowiek porządny, ale rzezimieszek kradnący mu sakiewkę to podły złodziej. Załoga tego statku, Tares, Dorol i cała reszta, to po prostu piraci. A czy myślałaś kiedy, skąd się biorą piraci?

Patrzyła pytająco.

— Jak to... skąd?

— Czy wiesz, pani, jak wygląda służba na cesarskim okręcie? Albo kupieckiej kodze? Na żywności wszyscy robią złote interesy: dostawca, bo sprzedaje dawno popsute mięso; kapitan, bo przymyka na to oczy. A marynarz to żre. Najpierw wyławia z kotła robaki, a potem siorbie ciepłe pomyje, które kucharz celowo gotował tak długo, aż rozgotowało się wszystko; nikt nie pozna, że to co najlepsze, czy choćby tylko jadalne, zostawił dla siebie. A może wiesz, pani, jakie kary grożą na cesarskim żaglowcu? Bardzo łagodne: zwykłą karą za lekkie przewinienie jest pięć kijów. To naprawdę niewiele. Wymyślono więc sposób, który marynarze

nazywają „oficerską legendą”. Dam ci przykład: majtek spóźnia się na wachtę. Pięć kijów za spóźnienie. Ale jeszcze pięć za lekceważenie oficera, bo — spóźniony — objął wachtę, zamiast iść się usprawiedliwić. Ale jeszcze pięć, bo daje zły przykład załodze. Ale jeszcze pięć, bo bezczelnie ukrywa wszystkie swoje winy, wymieniając tylko jedną: spóźnienie. To jest właśnie „oficerska legenda”. Przekrzywiła głowę.

— Nie patrz, pani, tak jakbym kłamał — rzekł sucho. — Spróbuj zrozumieć, że mało który z nich ma coś do stracenia. Praca na żaglowcu pirackim jest równie ciężka jak na każdym innym. Szorstkie liny zdzierają skórę tak samo, wieczna wilgoć też jest ta sama. Ale żarcie nie śmierdzi, nie ma „oficerskiej legendy”, a w sakiewkach brzęczą nie niezbędne miedziaki, lecz złoto. Oto cała różnica.

— Wszyscy byli skrzywdzeni i uciekli na okręt piracki, bo na innym już nie mogli wytrzymać — powiedziała z powątpiewaniem.

— Otóż, pani, w wielu przypadkach właśnie tak. Rzecz jasna, są też wśród nich bandyci od dziecka. Ale większość to prości ludzie, dla których myślenie kategoriami dobra i zła nie ma żadnego sensu; chcą po prostu żyć, jeść, czasem móc się zabawić. Mordują, rzecz jasna; zmuszano ich do tego i na cesarskich okrętach. Podczas ostatniej rebelii, czy wiesz, ile garyjskich załóg zbuntowało się? Większa część tych marynarzy skonała potem w kazamatach Trybunału. Ci ludzie gotowi byli konwojować kupców i walczyć z piratami, lecz nie chcieli palić własnych wiosek.

— Ci zaś, których nie skazał Trybunał, mordują teraz takich samych biedaków, jakimi kiedyś byli, tyle że na kogach kupieckich. Nie palili wiosek w interesie imperium, no to palą teraz dla zdobycia niewolników — rzekła, nie kryjąc znużenia. — Myślę, że nie zdołasz mnie przekonać, choć pewnie jest trochę racji w tym, co mówisz. Do czego właściwie zmierzasz?

— Chcę pokazać ci, że ta gromada morderców składa się ze zwykłych ludzi, pani. Ludzi, których losy ułożyły się tak, a nie inaczej. Bo wytłumacz mi, jak to właściwie jest, że wystarczy poznać bliżej któregoś, a zaraz okazuje się... inny? Mam tu na myśli siebie, ale przede wszystkim Ehadena.

Dziewczyna pobladła.

— Nie mów o Ehadenie — powiedziała. — Nie o nim.

— Czemu nie, pani? Był piratem, i to jakim... Zdziwiłabyś się, gdybym ci opowiedział. I jak to się stało, że ten pirat, morderca...

— Ehaden był bratem mojej matki — powiedziała z chrypką. Nie mówmy o tym.

— Wiem kim był. Ale pomimo wszystko... Wstała gwałtownie.

— Zostaw to, Raladan! — wykrztusiła. — Ja już nie chcę tego wszystkiego, nie chcę o tym mówić i nie chcę o tym słyszeć! Zostaw to wszystko! Nareszcie... nareszcie jestem sama. Rozumiesz to? Nie mam żadnej rodziny, nikogo, i to jest najpiękniejsze, co dotąd spotkało mnie w życiu! Nawet matce potrzebna byłam tylko do tego, żeby miała komu opowiadać o swoim cudownym Rapisie. Ja wiem, że byłoby inaczej... ja kochałam matkę... — rozgorączkowana, mówiła coraz bardziej chaotycznie. — Ale nie chcę już, słyszysz? Chce po prostu zejść z tego przeklętego okrętu i zacząć normalnie żyć. Naprawdę, Raladan, ja... ja gotowa jestem zabijać, żeby to osiągnąć. To dobrze, że Rapis... że mój... ojciec... po raz pierwszy, z wysiłkiem, użyła tego słowa — że on umarł. Bo inaczej zabiłabym go!

Przeniknął ją dreszcz.

— Nie jestem znów takim niewiniątkiem... Nie opowiem ci, gdzie i jak zarabiałam na chleb. A nawet nie musiałam, chciałam, tak! Myślisz, że niczego w życiu nie ukradłam? — zapytała szyderczo i gniewnie. — O, jak ja dobrze rozumiałam, co mi mówił Ehaden... O wielkiej wyspie, gdzie mieszkają tylko obłąkani. Dziadka... swojego ojca nazwał zwyrodnialcem i taka jest prawda, Raladan! Tutaj, na tym statku, potraktowano mnie lepiej, niż byłam traktowana w domu matki, ale tu byłam niewolnicą wartą sztukę złota, a tam... tylko odpadkiem, armektańskim pomiotem — mówiła chaotycznie, z bólem. — I po śmierci matki otworzono drzwi i wyrzucono mnie na ulicę, właśnie tak, jak wyrzuca się odpadki, więc postanowiłam zostać tym właśnie, za co mnie uważano... Nie jestem taka głupia, jak sądzisz. Wiem, że nie ma prostego podziału na dobro i zło. Powoli wróciła do stołu i usiadła. — Ale kochałam w życiu... kochałam dwie osoby. Matkę i... jego. Kochałam go, wcale nie znając, bo kochała go ona. Opowiadała o najwspanialszym człowieku na świecie... Co możesz wiedzieć o uczuciu, które cię ogarnia, gdy zamiast stubarwnego ptaka, wysnionego i wymarzonego, pojawia się przed tobą... brudny, cuchnący śmieć?

*

Rano okazało się, że horyzont wokół jest pusty. Odpadli od wiatru i znów popłynęli na południowy wschód.

Do wieczora nie zmienili kursu. Morze wciąż było puste, ale Raladan i Tares wiedzieli, że to nie koniec kłopotów. Zdawali sobie z tego sprawę nawet majtkowie. Po Morzu Zwartym krążyć mogło więcej żaglowców, niż sądził pilot, no i z całą pewnością nie minęli jeszcze linii patroli na jego obrzeżu. Dowodzący obławą nie byli głupcami. Późne lato, czy też raczej początek jesieni — była to pora niemal gwarantująca sukces. Piracki żaglowiec, jeśli zdołał nawet uciec na Bezmiary, narażony był na poważne niebezpieczeństwo ze strony wczesnojesiennych sztormów; jeśli nie zdołał na czas zawinąć do jakiejś bezpiecznej kryjówki, zwykle kończył na dnie oceanu, lub też, gnany wiatrem, przepadał na zawsze w nie kończącym się wodnym pustkowiu.

Teraz byli w takiej właśnie sytuacji: cesarskie okręty lub sztormy.

Raladan liczył na to, że uda się wypłynąć na Bezmiary, a potem, jeśli żagle złapią dobry wiatr, zdążyć przed burzami do południowych wybrzeży Garry. Tam nie powinno być cesarskich okrętów, nie przebiegały tamtędy żadne ważne szlaki handlowe i rozciąganie obławy aż po ów koniec świata miałyby się z celem.

Tymczasem wciąż płynęli półwiatrem na południowy wschód. Marynarze, rozumiejąc doskonale powagę sytuacji, prawie nie schodzili z pokładu. Śledzono pilnie widnokrąg. Jednak dzień przemijał i nie dojrzano nigdzie nawet skrawka żagla. Wiatr był dość silny; wyglądało na to, że zdołają w nocy przerwać blokadę i wypłynąć na Wschodnie Bezmiary.

Tares obudził się jeszcze przed świtem i poszedł sprawdzić wachty. Nikt nie spał. Poszedł na kasztel dziobowy i tam, czując na twarzy bryzgi fal, pogрузzył się w myślach.

A zatem wydostali się z matni. I co dalej? Mieli przybić do brzegu, a to oznaczało odejście Ridarety i pilota. Nie mógł temu przeszkodzić równie łatwo, jak ucieczce łodzią. Nie miał żadnego planu.

A zatem... pozostawało tylko porzucić okręt i uciec z nimi...

Porzucić okręt? Porzucić „Węza Morskiego”, najwspanialszy żaglowiec wszystkich mórz?

Drugi zastępca Demona całe swoje życie związał z morzem, jednak

dopiero piracka karaka stała się prawdziwym jego domem. Walczył o ten dom i zdobył go. Stara „Mewa”, z pokładu której dokonali nocnego abordażu, wyglądała niczym marna łupina wobec tego gigantycznego żaglowca, mającego symbolizować potęgę armektańskiego imperium. Gwardia Cesarska, stojąca w stołecznym Kirlanie, była formacją lądową; polityczne względy zadecydowały o wyodrębnieniu z niej Cesarskiej Gwardii Morskiej. Najlepsi żołnierze świata, będący elitą elit, weszli na pokłady trzech największych żaglowców Szereru — zbudowanych bodaj tylko po to, by w portach wszystkich prowincji ujrzano potęgę Wiecznego Cesarstwa. Jednak złośliwy dla Armektu los sprawił, że dziewiczy rejs „Dumy Imperium”, podjęty dla zbadania dzielności morskiej okrętu, był ostatnim rejsem karaki pod cesarską banderą... Bezmiary nie chciały, by naród jeźdźców, przebiegających Wielkie Równiny, rozpanoszył się na wodach Szereru. Pokład flagowego okrętu cesarstwa stał się areną niesłychanej, upiornej wręcz rzezi. Dwie załogi mordowały się nawzajem, z rozpaczliwą wściekłością, fanatycznie, do końca. Nieliczni żołnierze przydani do ochrony załodze na czas morskich prób, z desperacją szaleńców walczyli o swój ukochany, najpiękniejszy żaglowiec świata; z drugiej strony dzicy marynarze, dla których wólcęga po Bezmiarach była wszystkim, zdobywali morskie cudo wyjęte wprost z żeglarskich snów i marzeń. Nie męstwo i nie sprawność wojenna przesądziły o wyniku tej bitwy, która bezlitośnie pożarła prawie wszystkich walczących. Ślepy los albo przypadek... Okręt-widmo bezwładnie dryfujący z wiatrem niósł na swoich pokładach stu zabitych i drugie tyle rannych. Kilku mężczyzn spowitych w przesiąkniętą krwią szmaty rozpaczliwie próbowało zapanować nad żaglami i sterem. Wykrwawiali się by ocalić zdobyty okręt, doprowadzić go do bezpiecznej kryjówki. Nikt nie zrzucił trupów do morza, nikt nie pomógł rannym w bitwie towarzyszom. Cuchnący śmiercią, rozbrzmiewający jękami konających okręt pozwolił przeżyć nielicznym. A potem stał się ich domem.

Zdobycie tego domu Tares przypieczętował własną krwią. A teraz nie chciał i nie umiał go porzucić.

Dzień wstawał chłodny i mglisty. Zamyślane, nieobecne spojrzenie oficera przesuwano się pośród szarobiałych tumanów i nagle — nagle okazało się, że tajemne moce Bezmiarów nie śpią; nie wolno

przywoływać ich bezkarnie słowem ani nawet wspomnieniem. Nieruchomy Tares tępo gapił się tam, gdzie pośród pasm mgły majaczyły, nie dalej jak ćwierć mili od sterburty, dwie wielkie, ciemne sylwety.

Na pokładzie ktoś krzyknął, zewsząd wyroili się marynarze. Słysząc było przekleństwa i złorzeczenia.

Nad okrętem wisiała jakaś klątwa.

Stali wszyscy jak zaczarowani, wbijając wzrok w wyłaniające się z mgły żaglowce. Zbliżały się szybko. Coraz wyraźniej widać było szczegóły ich konstrukcji, maszty z jasnożółtymi żaglami... Wyspiarze!

Te okręty zwano „małą flotą Wysp”. Podlegały dowódcom flot garyjskich, ale Wyspiarze zawsze zaznaczali swą odrębność, choć Garra i Wyspy tworzyły jedną prowincję. Żagle Garyjczyków były ciemnożółte, żagle Wyspiarzy — jaśniejsze.

Na ucieczkę brakło już czasu. Mogli zmienić kurs, ale nim karaka uzyskałaby odpowiednią prędkość, płynący pełnym wiatrem Wyspiarze mieliby ich. Tym bardziej, że bliższy okręt — średniej wielkości karawela z ożaglowaniem skośnym — przewyższał „Węża Morskiego” zwrotnością.

A wreszcie — nie było ucieczki przed eskadrą Wyspiarzy. Tares dobrze znał te okręty. Żołnierze na nich nie byli lepsi ani gorsi od innych, ale marynarze... Człowiek urodzony na Wyspach miał morze wpisane w przyszłość, zanim odrósł od ziemi. Statki tych najlepszych żeglarzy świata zdawały się zmuszać wiatr, by wiał zawsze z pożądanej strony. Majtkowie Taresa byli przy nich zbieraniną szczurów lądowych.

Mała karawela i stara jak świat koga miały zatopić największą karakę Bezmiarów!

Ośłupienie na „Wężu Morskim” wciąż trwało.

Na pokładzie pojawił się Raladan, a chwilę po nim Ridareta.

— Przekleństwo — wymamrotał pilot. Jeszcze raz objął wzrokiem przerażony tłum i nagle zwrócił się do dziewczyny:

— Na Szerń — rzekł — choć raz bądź prawdziwym kapitanem... Trzeba ruszyć z miejsca to było. Inaczej wszyscy wisimy.

Spojrzała mu w oczy, potem na niesamowicie bliskie okręty, na ogłupiałe gromady i nagle swym niskim, matowym głosem krzyknęła:

— Hej, chłopcy!

Marynarze drgnęli. Nigdy dotąd nie zwracała się wprost do nich.

— Do dział!

Majtkowie jak odczarowani rozbiegli się po całym okręcie. Grupy abordażowe chwyciły za broń, obsługi dział zajęły stanowiska.

Wrogie okręty dały ognia z baterii pościgowych i zmieniły kurs. Karawela mocno odpadła od wiatru, zamierzając przepłynąć przed dziobem karaki, by potem podejść od bakburty. Koga refowała żagiel; wytracając szybkość, zrównała się już niemal z „Wężem Morskim”. Podchodziła coraz bliżej.

Teraz strzelano już zewsząd, nad pokładami kłębił się szary dym prochowy. Na „Wężu” z hukiem runęła fokreja z żaglem, cesarskie okręty rozbrzmiały od wiwatów. Oddziały złotych żołnierzy w srebrzystych kapalinach sposobiły się do ataku, kolorowo ubrani, bosonodzy majtkowie ściskali w dłoniach bosaki. Pośród zgrzytu i łomotu, burta kogi zetknęła się z burtą pirackiego żaglowca.

11.

W ładowni, gdzie ciśnięto ją jak worek pomiędzy jakieś skrzynie, było ciemno, mokro i śmierdziało stęchlizną. Jęczała cicho, nawet o tym nie wiedząc; pocięte batem plecy piekły, wypalona w boku rana jątrzyła się... Równie potworny był ból w rękach i nogach, które skrepowano tak mocno, że szorstki sznur werznął się w ciało. Leżała z twarzą wciśniętą w jakieś mokre wióry i z nogami zadartymi na kanciastą skrzynkę, tak jak ją rzucono; każda próba zmiany pozycji kosztowała nowy kęs bólu, najdrobniejszy ruch ramion zdawał się prowadzić do zmiżdżenia związanych nadgarstków.

Okretem kołysało dość mocno, w rytm przechyłów nogi zsuwały się powoli wzdłuż krawędzi skrzyni, wreszcie, przy wtórze głuchego sieknięcia dziewczyny, spadły. Leżała bez ruchu, oddychając ciężko poprzez zimne, wilgotne wióry.

W gęstej, spleśniałej ciemności zamarł czas, skończyło przemijanie. Rozchwiana, wstrząsana przez fale ciemność splotła się z bólem i chłodem w twór z innego świata, gdzie mrok stał się czasem, a ból namiastką myślenia.

Przesuwały się przed nią w ciemności oderwane obrazy, jak zły sen: zgiełkliwy tłum walczących, szczepione w śmiertelnym uścisku dwa płonące żaglowce, przyszpilony włócznią do masztu Tares, znów płonące, wstrząsane wybuchami prochu okręty, dalej Raladan, z dziką zawziętością wyrzynający własnych kamratów, palący się ludzie z wyciem skaczący do morza... Zapadając w wypełniony męką półsen, ujrzała ciasny pokój, w którym, między ścianami, krążyło jedno tylko pytanie, roztopione w świszczącym głosie bata: „gdzie skarb? gdzie skarb? gdzie skarb...”

Z charkotliwym jękiem zapadła w głębokie omdlenie. W migotliwym świetle trzymanej przez dowódcę okrętu latami wyglądała jak martwa. Wysoki, szczupły mężczyzna w jasnożółtej tunice z oznaczeniami setnika imperium zawiesił latarnię na przerdzewiałym haku i pochylił się nad poranionym ciałem. Wydobył z pochwy mieczem ostrożnie przeciął więzy na nadgarstkach i przetoczył dziewczynę na plecy. Okaleczona

twarz z czeluścią martwego oczodołu, pokryta zgniłymi wiórami, była odrażająca. Wzdrygnął się, ale ukląkł i przyłożył ucho do piersi leżącej, potem odszukał tętniące krwią miejsce na szyi. Wstał, zabrał lampę i opuścił ładownię.

Znalazłszy się na pokładzie, zawiesił latarnię na kolumnie masztu, po czym stał przez chwilę zamyślony, głęboko oddychając mokrym, zimnym powietrzem.

Wiatr, nie zmieniając kierunku, przybrał na sile, stał się porywisty. Każdy żeglarz doskonale wiedział, co to znaczy. Gdy południowo-zachodni wiatr zaczynał szarpać żaglami w ten sposób (Garyjczycy nazywali go „kaszelem”), należało w ciągu najbliższych dni spodziewać się krótkotrwałej ciszy, a potem pierwszego jesiennego sztormu.

Mozolnie płynęli półwiatrem wprost ku Agarom. Z pozoru wszystko szło dobrze, łatwo dało się obliczyć, że nawet przy tak małej prędkości zdążą przed burzami. Ale...

Nikt nie pamiętał, by kiedykolwiek „kaszel” zerwał się tak wcześnie. Budziło to niepokój, bo na Bezmiarach „kaszel” był dotąd jedyną pewną i niezmienną rzeczą. Teraz powiał wcześniej...

A jeśli (co dotąd nie zdarzyło się nigdy) zmieni nagle kierunek? Jeśli powieje od południa, od wschodu...?

Koga nie mogła żeglować na wiatr. Gdyby przed dotarciem do Agarów zaczęło wiać od dziobu — statek najprawdopodobniej czekała zagłada.

Raladan stał na dziobowym kasztelu, obejmując ramieniem bukszpryt i — marszcząc brwi — obserwował rozkołysane morze. Czasem unosił głowę, badając wzrokiem niebo, przepatrywał horyzont i znów, zadumany, powracał do śledzenia fal. Odwrócił się, słysząc kroki.

— Czego wypatrujesz w tej przeklętej wodzie? Wzruszył ramionami.

— To już Bezmiar Wschodni, kapitanie. Ale gdybym nie wiedział, rzekłbym, że wciąż Morze Zwarte. Wskazał ręką.

— Ta woda jest zielona. Czy Bezmiary są zielone, kapitanie?

Dowódca cesarskiego żaglowca spojrział mu prosto w oczy. Obejmując bukszpryt, wychylił się nieco. Znów obrzucił pilota spojrzeniem.

— Racja, nie — mruknął zdziwiony.

— „Kaszel” pospieszył się o tydzień — rzekł Raladan. — Bywało, że

przychodził trzy dni wcześniej lub później. Ale tydzień? I teraz ta zielona woda. Nie bardzo wiem, co to wszystko znaczy... Wydadz rozkazy, panie, żeby wachty meldowały o wszystkim. O wszystkim — powtórzył z naciskiem.

Żołnierz zamyślił się.

— Może być ważny kształt chmury, przelotny deszcz i nie wiadomo co jeszcze... — ciągnął pilot. — Jeśli nie zdążymy przed sztormem, to bez obrazu, kapitanie Vard, ta łajba rozleci się, zanim zdążymy westchnąć. Kto wam zestawia eskadry w ten sposób? Jakim cudem do tej karaweli przydzielono...

— Lubię ten okręt — uciał kapitan. — Agary wystawiły eskadrę, na jaką je stać. Pilot zamilkł. Vard potrząsnął głową.

— Wiem, że nie rzucasz słów na wiatr. Los mi cię zesłał, Raladan.

Znów milczeli przez chwilę.

— Co z dziewczyną? Kapitan skrzywił usta.

— Racja. Właśnie. Szukałem cię, bo chcę znowu zapytać: czyś pewien, że ona wie o tym skarbie?

— Wie.

— A zatem jest twardsza, niż by można przypuszczać.

— A więc jednak...

— Posłuchaj mnie, Raladan: uzyskałeś już, że nie gnije w morzu jak inni. Czego chcesz jeszcze? Znasz prawo: decydując się na wzięcie jeńca, odpowiadam za jego życie aż do chwili, gdy przejmie go Trybunał. Za życie. I za nic więcej. Mam tu łobuza, który jest od wyciągania z ludzi zeznań. Chętnie wyrzuciłbym tego sukinsyna za burtę i mówię ci to prywatnie. Ale jestem tylko kapitanem cesarskiego okrętu i jeśli będę się wtrącał w poczynania cesarskich urzędników, to szybko przestanę nim być.

Pilot milczał ponuro.

— I jeszcze jedno ci powiem — Vard zniżył głos tak, że ledwie przebijał przez szum fal. — Wierzę, a przynajmniej chcę wierzyć we wszystko, co mi powiedziałaś. W to, że cię zmusili do służby na swym statku, i w to, że dziewczyna wie, gdzie Demon ukrył skarb. Ale nie zapominaj, że jesteś jeńcem, Raladan. Twoje życie jest w rękach Trybunału, poręczę za ciebie ze względu na starą przyjaźń (o czym zresztą lepiej, żeby nikt nie wiedział) i dlatego, że potrzebny mi taki pilot.

Ale strzeż się. Bo bez względu na wszystko, jeśli odkryję, że kłamiesz... połamię cię kołem, Raladan.

Ujął pilota za ramię i uścisnął potężnie, po czym odwrócił się i zszedł z kasztelu. Ruszył na rufę. Wkrótce stanął przed wąskimi, niskimi drzwiami jednej z kajut. Otworzył je i bez żadnej zapowiedzi wszedł do środka.

— Kiedy przesłuchanie, panie Albar? — zapytał, ruszając w stronę wolnego krzesła. Usiadł i dopiero wtedy spojrzął na gospodarza izdebki.

Niewysoki, ale harmonijnie zbudowany mężczyzna, nieco może zbyt szczupły, pięćdziesięcioletni lub trochę starszy, uniósł lekko brwi.

— Może jutro, kapitanie. Tak, chyba jutro, jutro zapewne, jutro... Czemu zawdzięczam...?

Vard siedział, kiwając lekko głową. W zamyśleniu spoglądał na ogniowy zegar, płonący w lichtarzu na stole. Urzędnik bardzo skrupulatnie odmierzał ucieczkę chwil... Wolno płonąca świeca sporządzona ze sproszkowanej kory magnolii z domieszką smoły dopalała się; zostały tylko dwie kreski. Nie wiadomo dlaczego Vardowi wydało się nagle, iż mierzenie upływu czasu jest zajęciem... niebezpiecznym. A w każdym razie ponurym.

— Wiec nie powiedziała? — zapytał.

Człowiek nazwany Albarem odchylił się na oparcie swego krzesła i wygładził szarą, jedwabną, ale skromnie skrojoną szatę.

— Niecierpliwy, otóż to, niecierpliwy człowiek ten kapitan Vard — rzekł jakby do siebie, szukając czegoś wzrokiem na styku sufitu i ściany. — Kapitanie, dobry z pana żołnierz, ale niecierpliwy, nie-cier-pli-wy...

Vard skinął ręką, urywając ten potok wymowy.

— Panie Albar — powiedział spokojnie, ale głosem, w którym kryło się coś dziwnego — ta dziewczyna nie jest jakimś łykawatym osiłkiem. Zalecam umiar w badaniu.

— Niecierpliwy i wrażliwy — podjął urzędnik, przenosząc z kolei spojrzenie na sufit. — Wrażliwy, wrażliwy... — zawodził cichutko, kołyszając się na krześle.

Vard pomyślał nagle, z jaką rozkoszą pchnąłby tę aksamitną pierś i zobaczył przewracające się krzesło.

— Panie Albar — powiedział ostro — widziałem ją przed chwilą.

Szary człowiek oderwał oczy od sufitu, ale najwyraźniej umiejętność

zatrzymywania ich na twarzy tego, z kim rozmawiał, była mu obca. Patrzył teraz pod blat stołu.

— Wrażliwy i nieufny, nieufny i skryty, nieufny i skryty... — pohukiwał z namysłem.

— Racja. Nie będzie już badania — powiedział łagodnie Vard. Ta dziewczyna tego nie przeżyje, a ja muszę oddać ją żywą w ręce Trybunału. Zdaje się, panie, że to ty powinienes mnie o tym pouczyć, a nie ja ciebie.

Pohukiwanie umilkło. Urzędnik drążył wzrokiem drzwi pokoju.

— Jest niemal zakatowana — ciągnął Vard, podnosząc się niespiesznie. — Jeśli umrze, dopilnuję, by właściwi ludzie usłyszeli, że była córką największego pirata Bezmiarów, dopilnuję też, by dowiedziano się, kto sprawił, że nie odpowie już na żadne ze stu pytań, które można i należałoby jej zadać.

Podszedł do drzwi i już wychodząc, zanucił nieoczekiwanie:

— I cierpliwy pan Albar straci pracę, otóż to, straci pracę, straci, straci...

12.

— Co tam? — Vard przetarł oczy. Była czarna noc.

— Wiatr się wzmaga, panie kapitanie. Oficer usiadł na łóżku.

— Dobrze.

Marynarz wyszedł. Vard ubrał się szybko. Po chwili był na pokładzie. Oparł się o wspornik kasztelu, pozwalając, by wiatr przez długą chwilę smagał go po twarzy. Potem ruszył do dziobówki.

Pilotowi wyznaczono miejsce w pomieszczeniu żołnierzy; po bitwie nie było tam tłoku... Kapitan odnalazł jego hamak. Po niedługim czasie obaj wyszli na pokład.

— To nie „kaszel” — rzekł pilot. — Na Szerń, nic nie rozumiem. Nie będzie ciszy. Będzie burza. Ale jakim sposobem? Vard skinął głową.

— Racja. Myślimy to samo.

Bez dalszej zwłoki wezwał wachtowego.

— Budzić załogę — rozkazał. — Niech mociują wszystko, co ruchome. Sztormowe płótno na maszt, i to szybko. Będzie burza.

Majtek odszedł pospiesznie. Pilot milczał, wychylony za burtę. Wysoka fala przykrywała wystające na zewnątrz poszycia pokładniki, rozbijając się z sykiem.

Działo się coś, czego nie mógł zrozumieć. Pływał długo po słonych przestworach, znał je dobrze, najlepiej chyba z żyjących... Znał prądy i wiatry, znał pory, kiedy można im było zawierzyć. „Kaszel” nigdy nie zmieniał kierunku. Teraz zmienił, choć bardzo nieznacznie. Gwiazd nie było, ale pilot, dodatkowym jakimś zmysłem, wyczuwał, że to nie okręt zszedł z kursu. „Kaszel” zmienił kierunek. I to nie był już „kaszel”.

Miało nie być kilkudniowej ciszy. Zamiast ciszy miała być burza. I to silna. Silna burza. Raladanowi nie mieściło się to w głowie. „Kaszel” zwany w Armeckie „wiatrem rocznym”, był stały jak... sam Szerer. Pierwszy dzień ciszy po „kaszlu” uznawano za początek roku garyjskiego i roku imperialnego; kalendarz stanowił jedną z nielicznych rzeczy, jaką Armekt przejął od Garry, a dlatego, że był to kalendarz niemal doskonały. Zapewniał podział roku na trzynaście równych dwudziestoośmiodniowych miesięcy, a możliwe odchylenia sięgały

najwyżej dwóch, trzech dni. Teraz nagle świat przewrócił się do góry nogami. Pilot zupełnie nie wiedział, co robi się z rokiem, który nie ma początku; prawdopodobnie zresztą nie wiedział tego nikt w całym Szererze.

Wszystkie te myśli gościły w głowie Raladana tylko przez krótką chwilę. Przepadły zaraz bez śladu; kalendarz nie miał teraz żadnego znaczenia. Nadciągała burza, silna burza.

Co należało przedsięwziąć?

— Może być, że zdążymy — rzekł Vard, jakby czytając w myślach. — Powinniśmy ujrzyć Agary najdalej wieczorem. Jeśli wiatr się nie zmieni.

— Zmieni się. Ale na korzyść. Już wieje bardziej od zachodu. Pytanie tylko, kiedy ten wiatr przerodzi się w huragan.

Na całym okręcie, w świetle licznych, kołyszących się latarni, trwała już gorączkowa krzątanina. Co jakiś czas ktoś podchodził do dowódcy po rozkazy; tymczasowi oficerowie nie radzili sobie zbyt dobrze. Majtkowie biegali po pokładzie, umocowując wszystko, co tylko dało się umocować.

Czas mijał powoli. Niebo nieznacznie pojaśniało na wschodzie, gdy wiatr, wiejący teraz prosto z zachodu, przybrał jeszcze na sile, stał się porywisty, gwałtowny. Ocieężała koga niechętnie brała go w płótno. Ale szła coraz szybciej. Ku Agarom.

— Radź sobie — powiedział Vard. — Będę u siebie. Gdybym był potrzebny, poślij kogoś.

Ścisnął pilota za ramię i poszedł na rufę. Po chwili siedział w swej kajucie, zamyślony, kreśląc palcem na stole jakiś zawyły wzór. Kopcąca latarnia tańczyła mu nad głową.

Los postawił go w niełatwej sytuacji. Przede wszystkim — był sam. Krwawa bitwa z piracką załogą kosztowała niejedno życie. Zginęli wszyscy oficerowie, tylko on jeden ocalał. Prawda, że odniósł wielki sukces: płonący jak żagiew najgroźniejszy okręt Bezmiarów to godziwa nagroda za lata ciężkiej służby. Wiedział, że okrzykną go bohaterem, tym bardziej, że nie było nikogo, z kim musiałby dzielić sukces...

Jednakże jakiś dziwny lęk pojawił się w chwili, gdy rozpoznał atakowany żaglowiec. Ogarnęło go wtedy przecucie licznych niepowodzeń i nieszczęść. Teraźniejszość zdawała się potwierdzać obawy.

Bo rzeczywiście: od chwili owego niezwykłego spotkania wisiała

nad jego statkiem jakaś klątwa. Cudem nieledwie uniknęli losu „Beliany”, drugiego okrętu eskadry, śmigłej karaweli, ogarniętej płomieniem buchającym z pirackiego żaglowca. Ostatni łut szczęścia, bo od tej chwili złośliwe moce już ich nie opuściły. Nie zdołali odnaleźć żadnej cesarskiej eskadry, choć szlaki ich patroli naniesione miał starannie na mapy. Potem zaczęła płatać figle pogoda. Teraz, niemal u wejścia do macierzystej przystani, czekała ich walka z burzą.

W tej niełatwej sytuacji nie miał na pokładzie nikogo, komu mógłby zaufać. Jego zastępcy, starzy towarzysze — zginęli... Pozostał śliski Albar, raczej kat niż urzędnik, a już żaden marynarz czy żołnierz, człowiek nie cierpiany przez wszystkich.

I Raladan.

Vard zmarszczył lekko brwi. Znał pilota z czasów, gdy ten wodził cesarskie eskadry. Wiele lat minęło od chwili, gdy widzieli się po raz ostatni. Kim właściwie był ten człowiek teraz? Historia o niewoli na pokładzie pirackiego żaglowca wyglądała mocno podejrzanie. Ale z drugiej znów strony na własne oczy widział rzeź, jaką pilot sprawił swym domniemanym kamratom... Żaden z jego żołnierzy nie zabił w tej bitwie więcej przeciwników.

Wreszcie, to właśnie Raladan pierwszy zaczął ciąć liny, spinające okręty. Gdyby nie jego błyskawiczne działanie, pożar ogarnąłby także ich kogę.

I na koniec — ta dziwna dziewczyna. Dowodziła piracką załogą, wszyscy to widzieli. Był zdumiony, rozpoznawszy bowiem okręt, sądził, że ujrzy jego kapitana — ponurą legendę Bezmiarów. Potem od pilota usłyszał, że Demon Walki nie żyje, a dziewczyna jest jego córką...

Podniósł się i wyszedł na pokład.

Był już dzień. Ponury, szary i groźny. Po niebie przemykały wielkie, granatowe chmury. Fale sięgały bryzgami pokładu. Stary, wysłużony okręt walczył ciężko, przewalając się z burty na burtę.

Ujrzał Raladana, stojącego w szerokim rozkroku, z rękami zatkniętymi za pas. Wokół marynarze i żołnierze pełzali niemal, przytrzymując się wszystkiego, co dawało oparcie. Pilot stał, jakby stopy przybito mu do pokładu.

Vard wziął latarnię i zszedł do ładowni.

Nie wiedział, co go tam ciągnie. Obecność dziewczyny na statku

budziła jakiś dziwny niepokój. Była rzekomo córką największego pirata wszystkich czasów... Czegóż trzeba więcej?

Leżała na boku, plecami do miski z zimnym, ohydym żarciem. Wydało mu się, że drgnęła lekko, ujrawszy błysk latarni. Nogi wciąż miała związane. Nie dziwił się. Tak mocno zaciśniętych węzłów nie da się rozsuptać gołymi palcami. Zresztą chyba nawet nie próbowała...

Pomyślał, że jeśli okręt zatonie, co wydawało się wobec nadciągającej burzy wielce możliwe, dziewczyna będzie szamotać się w więzach w zalanej ładowni. Co prawda, gdyby istotnie szli na dno, wszystkich ich czeka zagłada, ale wizja śmierci z pętami na nogach wydała mu się jakoś niezwykle okropna. Dobył miecza i ujął dziewczynę za ramię.

— Usiądź.

Próbowała wykonać polecenie, ale było to tak nieporadne, że natychmiast zrozumiał, iż bez jego pomocy nawet nie ma o tym co myśleć. Znów wstrząsnął nim widok półprzytomnej, rozpalonej gorączką twarzy, a w niej pustego, czerwonego oczodołu, obwiedzonego nierównymi fałdami blizn. Widział już wiele ran, ale teraz pomyślał, że tak oszpecona kobieta nie powinna chodzić po ziemi.

Z pewnym trudem utrzymując równowagę, sztychem miecza odsunął do góry skraj czarnej szmaty, która kiedyś była spódnicą bogatej sukni i przeciął pęta. Obrzmiałe, spuchnięte stopy wydawały się martwe, był pewien, że nieprędko nimi poruszy.

Jej oddech zabrzmiał chrapliwie, powrót krwi do naczyń musiał sprawić ból, który przebił się przez omdlenie. Ciałem wstrząsnęły jakieś dziwne drgawki. Usiadł na skrzyni i w migotliwym świetle skaczącej na haku latarni patrzył, milcząc. Pokryte krwią ciało wciąż przeszywały dreszcze, przez żalosne strzępy odzienia widział posiniałe z zimna ramiona i piersi. Ogarnięty nagłą litością, zdjął krótki, wojskowy płaszcz i rzucił go na leżącą. Próbował uświadomić sobie, że ta skatowana, zziębnięta istota niewątpliwie popełniła w życiu czyny, o których lepiej nie myśleć... Ale rozum mówił jedno, a oczy zaprzeczały. Widział tylko obolałą, bezbronną dziewczynę, w której życie zdawało się ledwo migotać. Teraz, gdy cień skrył lewą część jej twarzy, nie miała w sobie nic demonicznego. Brudny, chory dzieciak. Ile miała lat? Paręnaście...

Wstał, myśląc, że ci wszyscy, którzy byli przeciwni powierzeniu mu

dowództwa okrętu, wiedzieli, co mówią. Był łagodny. Pod pozorem zewnętrznej szorstkości, był łagodny... Zaś kapitan żaglowca straży morskiej nie powinien grzeszyć łagodnością. Ani też nadmiarem skrupułów.

U wejścia do ponurej ładowni rozbłysło światło drugiej latarni. Vard przechylił nieco głowę i ściągnął twarz, rozpoznając przybysza. Urzędnik uniósł wyżej latarnię i z udanym zdumieniem zawołał:

— Kapitan Vard! Naprawdę, otóż kapitan, naprawdę myśli o wszystkim, niezawodny, otóż to, niezawodny, zawsze niezawodny!

Vard milczał. Albar podszedł bliżej i spojrzał na okrytą płaszczem dziewczynę.

— Otulona, troskliwie otulona — skonstatował. — Kapitanie, czy zdążymy przed burzą? Chyba nie.

Usiadł na skrzyni, z której Vard wstał przed chwilą i, błędząc wzrokiem gdzieś nad ramieniem tamtego, rzekł niespodziewanie rzeczowo:

— Panie Vard, nie jestem żeglarzem, ale myślę, że nie uciekniemy przed burzą. Czy mam rację?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął dalej:

— Panie Vard, masz mnie, wiem o tym, za bydlę. Niech tak będzie. Ale teraz nie pora na wzajemne niechęci, nie pora, otóż to. Ta piratka burzy nie przeżyje. Przyznaję, badałem ją nieostrożnie. Harce statku zabijają ją na pewno, nawet jeśli nie zatoniemy.

Vard otworzył usta.

— Chcesz ją wypytać, zanim umrze?

— Czy to źle?

Koga coraz mocniej kładła się na boki. Fale z łoskotem uderzały o burty.

— Złota, które ukrył ojciec tej panny, nie požądam dla siebie rzekł urzędnik. — Znasz prawo, Vard. Odebrane rozbójnikom łupy, jeśli nie znajdą swych pierwotnych właścicieli, przeznaczają się na pomoc dla rodzin poległych żołnierzy. Czy podoba ci się to, czy też nie, mój bat może sprawić wiele dobra.

Kapitan zacisnął wargi. Bez względu na to, jakim człowiekiem był Albar, słuszność tym razem była przy nim.

— Racja.

Albar trącił nogą nieruchome ciało, płaszcz zsunął się na bok. Pochylili się nagle obaj, patrząc na tańczącą w rytm przechyłów głowę. Vard przykucnął i pospiesznie dotknął twarzy dziewczyny. Uniósł wzrok.

— Racja. Ale ona właśnie umarła, panie Albar. Ponad nimi, na pokładzie, rozbrzmiał silniejszy od huku fal mrozący krew w żyłach wrzask. Rzucili się ku wyjściu.

*

Stojący nieruchomo na rozkołysanym pokładzie Raladan ogarnął spojrzeniem niskie niebo i morze wokół statku. Przykuł jego uwagę czarny punkt na północnym zachodzie. Zmarszczył brwi i wyteżył wzrok.

Potężny wiatr szarpał żaglem.

Czas mijał.

Majtkowie, nie bacząc na bryzgi słonej wody, zaczęli skupiać się przy bakburcie. Wreszcie wszyscy porzucili zajęcia i w skupieniu śledzili czarną plamkę. Bo nie była już punktem. Przybliżała się szybko. Zbyt szybko jak na okręt, zbyt szybko jak na morskie zwierzę, o wiele, wiele za szybko...

Raladan rozepchnął marynarzy i przypadł do nadburcia. Plecami targnęły dreszcze. Znał ten widok. Na wszystkie morza świata... znał ten widok!

Nie wiadomo, kto z załogi poznał pierwszy, ale krzyknął, a po kilku chwilach ten krzyk powtórzyli wszyscy. Zakotłowało się na śródokręciu. Pośród przepychań, wobec mocnej chwiejby pokładu, ktoś wyleciał za burtę. Uciekano pod pokład, jakby wewnątrz statku mogło ochronić przed mknącym jak huragan czarnym, wypalonym wrakiem. Pędził, za nic mając wiatr, szybko jak ptak, jakby sam był wiatrem, rozerwany dziób roztrącał fale w dwie ogromne fałdy wzdłuż kadłuba. Niemal położony na burcie, z osmalonymi kikutami masztów, mknął wprost na spotkanie krępej kogi.

Pokład opustoszał. Pozostał tylko uczepony burty Raladan. Jego blade usta poruszały się, wypowiadając unoszone przez wiatr słowa:

— Zrobiłem wszystko, co mogłem, wszystko, co mogłem, panie...

Mignął pod grotmasztem na spalonym pokładzie jakiś cień olbrzymi, posepny, złowrogi, potem potworny huk i wstrząs targnął koga, trzask łamanych desek, dartego poszycia, zmieszał się z przeraźliwym wyciem, które z głębi statku doleciało na pokład. Wrak karaki rozbił rufę, jakby

sporządzona była ze słomy, obrócił nieszczęsny żaglowiec wokół osi i położył na burcie, po czym pomknął dalej, znacząc ślad spienioną białą wstęgą. Jeszcze krwawy, dziwny błysk, jak sztylet, uderzył w rozbity okręt i zniknął gdzieś w jego wnętrzu.

*

Było późne popołudnie, ale czarne chmury sprawiły, że dokoła zalegały ciemności. Głęboko zanurzony, kaleki kadłub starej kogi, pozbawionej steru, ze strzaskaną rufą i zwalonym masztem, cudem jakimś utrzymując się na wodzie, mknął w ramionach wiatru na wschód. Na pokładzie nie było żywej duszy, jeśli żył ktoś jeszcze na tym statku, krył się głęboko w jego wnętrzu, poszukując złudzenia bezpieczeństwa w jakimś ciemnym kącie, może w drżącym, jak i jego, ramieniu towarzysza. Nikt nie kontrolował biegu okrętu, nie było na to sposobu, nikt zresztą nie ośmieliłby się wyjść na pokład i spojrzeć na morze; wszyscy bali się śmierci, ale stokroć bardziej widoku czarnego, potwornego widma. Sama myśl o tym, że wrak spalonej karaki mógłby wrócić, by dokończyć dzieła, była przerażająca. Nadciągnął wieczór, potem noc.

Wicher wył potępieńczo, masy wody łomotały o deski kadłuba. Czarne fale unosiły okręt na grzbietach, by z łoskotem zrzucić w dół, między opasłe cielska. Tam go chciały zgnieść, przywalić grobowym ciężarem, ale jeszcze, i jeszcze wydobywał się z otchłani. Wreszcie zgrzyt przeciągły obwieścił nowego, naprawdę śmiertelnego już wroga: rafy. Kadłub trzeszczał i łomotał o skały, w strugach deszczu, który spadł w świetle nagłych błyskawic, pełzali po pokładzie jacyś ludzie. Wicher wepchnął kadłub na grzbiet nowej fali, ta podniosła go jak dziecinną tratwę z patyków, przerzuciła ponad wieńcem groźnych skał i cisnęła na inne — ogromne, zębate. Nadwątlony kadłub rozleciał się w drzazgi. Wicher huczał i fale huczały, pośród tego huków krzyk człowieka był niczym, ale zawarł się w łoskocie pękających desek, w grzmocie szczątków bijących szorstkie bary skał. Potem już tylko gromy przewalały się po niebie, białe błyskawice oświeślały, tkwiący między skałami jak w kleszczach, dziób okrętu z resztkami kasztelu. Tak było do rana.

Rano burza ustała, wicher huczał jeszcze i zawodził, fale biły zajadle czarne brzegi wielkiej, skalistej wyspy, ale już błyskawic, już deszczu i grzmotów nie było. Nędzne światło, wytłumione przez chmury, ledwo

czyniło dzień ciemnoszarym.

Kamienista plaża zasłana była szczątkami rozbitego okrętu. Walały się deski, jakieś beczki i skrzynie, oplatanie linami, pokryte kępami wodorostów. Fale bawiły się nimi, tocząc w górę plaży i z powrotem po oślizgłych kamieniach. U wysokich, brudnych wydm, spod których przezieriała naga skała, był wąski pas kamieni i szarego piachu, gdzie nie docierała już woda. Tam morze złożyło kilka ciemnych sylwetek.

13.

Czuła chłód. Zaraz potem dotarło do niej, że leży na czymś twardym i nieruchomym, drapieźnie wbiła w piach paznokcie, kalecząc palce o muszle i kamienie. Zemdliło ją; rzygała morską wodą, kaszląc głośno. Przetoczyła się na plecy i leżała bez ruchu, oddychając ciężko, wyczerpana.

Brunatnoszare, skłębione chmury przewalały się po niskim niebie, napływając znad morza. Mokry wiatr orzeźwiał. Przemknęły jej nagle przez myśl wydarzenia ostatnich dni, gwałtownie uniosła się na łokciu, spoglądając wokół. Potem, marszcząc brwi, dotknęła twarzy, spojrzenie pobiegło ku nadgarstkom, na których widniały dobrze zagojone blizny — ślady sznura, który tak niedawno wżerał się w ciało... Coraz bardziej zdumiona, z lękiem niemal obejrzała kostki nóg, dotknęła boku i pleców...

Wszystkie rany były zabliznione!

Zerwała się z ziemi, jeszcze raz obrzucając spojrzeniem dziką i pustą okolicę. Po chwili usiadła znowu, nic nie rozumiejąc, niczego nie pojmując. Zagryzając usta, zanurzyła dłonie w szorstkim piachu...

Nagle go ujrzała.

Leżał, do połowy zagrzebany w piasku, niemal tak szary, jak inne kamienie. Cofnęła się mimowolnie, patrząc z lękiem i zdumieniem.

Był. Był tutaj... Jakim cudem, jakim cudem, na Szerń?!

W pierwszej chwili chciała go zostawić i odejść, byle dalej, ale pojęła nagle, że jest jak przeznaczenie: podąży za nią wszędzie. Skoro odnalazł ją — tutaj... Wyciągnęła dłoń. Wygrzebała go z piachu i podniosła na otwartej dłoni.

Rubin był szary i martwy. Kruchy... Zacisnęła leciutko palce, a wtedy klejnot popękał — i oto wiatr rozwiewał na jej dłoni kupkę szarego popiołu. Ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak resztki potężnego niegdyś kamienia przeciekają pomiędzy palcami. Zagryzając wargi, odwróciła wzrok w stronę morza. Zaszło coś niezwykłego. Być może groźnego, niedobrego. Okręt został rzucony na skały. Ale wcześniej... Pamiętała tylko zimną ładownię. Wstała i ruszyła wprost przed siebie.

Szła powoli wzdłuż brzegu, tępo, obojętnie spoglądając dokoła.

Niegościnną plażą i wydmy, dalej szczyty drzew... Wspięła się na wydnię.

Na lewo od miejsca, w którym przystanąła, była niewielka zatoka. Nad wodą dostrzegła jakiś ruch; kilku ludzi siedziało na piasku. Przykucnęła wśród traw i patrzyła zachłannie, przestraszona. Było tam trzech mężczyzn. Jeden wstał właśnie i ruszył ku morzu. Wszedł w wodę po kolana i atakowany przez fale zaczął coś krzyczeć. Nie rozróżniała słów.

Zauważyła naraz, nie dalej jak trzecią część mili od brzegu, tkwiący między skałami dziób okrętu. Wytężyła wzrok i dostrzegła tam poruszenia człowieka. Wróciła wzrokiem do mężczyzny w wodzie. Miał na sobie żółty ubiór. Żołnierz.

Mężczyzna wrócił na brzeg, rozebrał się do naga, powtórnie wszedł w wodę i zaczął płynąć. Zrazu szło mu dobrze — w osłoniętej od wiatru zatoczce fale były nie takie znów duże. Mimo woli podziwiała odwagę pływaka. Fale podrzucały go jak patyk, często ginał pod nimi i kilka razy już była pewna, że utonął. Ale zawsze po jakimś czasie znów widziała głowę i pracujące ramiona. Zmierzyła wzrokiem dzielącą go od wraku odległość. Przebył niespełna pół drogi.

Zakleszczony między skałami dziób okrętu drgnął i osunął się trochę. Zrozumiała nagle: przyplów.

Niewielka figurka na statku zaczęła miotać się gorączkowo. Niezręczne to były poruszenia... Pomyślała, że ten człowiek może być ranny. Mocniej wychyliła głowę z trawy. Na wraku było kilka osób! Widziała teraz nerwową, nieporadną krzątaninę. Znów schowała się w trawie. Nie powinni jej dostrzec... Zacisnęła zęby na samą myśl o ponownej niewoli. Na Szerń, nie po raz pierwszy pomyślała, że ci ludzie niewiele różnią się od piratów, którymi tak gardziła...

Rację miał Raladan.

Pomimo wszystko, płynący kolegom na ratunek żołnierz był bohaterem. Walczył z falami, wiatrem i przyplływem. Przybór wody, choć jeszcze nieznaczny, spychał śmiałka z powrotem w stronę brzegu. Przebywszy trzy czwarte drogi, mężczyzna dotarł do sterczącej z wody skały i wgramolił się na nią. Przywarł całym ciałem. Poznała, że jest bardzo zmęczony.

Ale czasu do stracenia nie było, bo oto dziób okrętu drgnął po raz drugi. Zgrzyt szorujących o kamienie desek dotarł aż do jej uszu. Żołnierz

znowu rzucił się w wodę. Zrozumiała, że postanowił dotrzeć za każdą cenę, młócił fale ramionami wściekle, z zawziętością. Pojęła, że jeśli zawiodą go siły, jeśli osłabnie — utonie nieuchronnie między wrakiem okrętu a brzegiem. Nie mógł już zawrócić.

Odległość była duża, teraz już bardzo rzadko dostrzegała pływaka. Czasem tylko migwały pośród fal jego ramiona, ale nawet nie miała pewności, czy to nie złudzenie.

Fala przypląwu coraz dalej sięgała w głąb plaży. Dziób okrętu drgnął po raz trzeci, znieruchomiał, ale tylko na chwilę. Stojący na brzegu rozbitkowie zaczęli krzyczeć i wymachiwać rękami. Wrak opadał w wodę. Szczątki przechyliły się nagle i legły na fali. Nie widziała już na nich nikogo... Morze igrało przez chwilę resztkami okrętu, wyglądającymi teraz jak kupa przypadkowo połączonych desek. Resztki owe obróciły się raz i drugi w miejscu, po czym zostały zgniecione o skały, między którymi wcześniej tkwiły.

Wypatrywała płynącego żołnierza, wstała nieświadomie. Ale morze było puste. Między rozhuśtanymi falami nigdzie nie jawiła się głowa, czy ramiona. Utonął.

Skonstatowała fakt z dziwną obojętnością. Usiadła na piasku, by po kilku chwilach wstać i ruszyć w głąb lądu. Nie wiedziała, dokąd idzie i po co. Chciała być jak najdalej od ludzi na brzegu. Nic więcej.

*

Żołnierz nie utonął. Ciężko walcząc z morzem, dotarł do skał, wokół których unosiły się szczątki zagłowca. Usłyszał wołanie o pomoc i natychmiast skierował się w stronę, skąd dobiegało. Pośród połamanych desek pływali ludzie, chwytając kurczowo wszystko, co mogło być pomocne w walce z topielą.

Dziwnym trafem sporo osób przeżyło katastrofę. Widmowy okręt Demona rozbił rufę kogi; kto żyw szukał schronienia w dziobowej części kadłuba, a właśnie dziób najdłużej utrzymał się nad wodą... Teraz garstka ludzi, których nie porwały w nocy fale, desperacko walczyła o życie. Było ich pięciu: Albar, dwaj majtkowie, nieprzytomny Vard i łucznik ze złamaną nogą.

Żołnierz, który przypląnął z pomocą, cieszył się opinią najlepszego pływaka w załodze. Dzięki jego poświęceniu zaistniała możliwość ocalenia rannych. Albar, nad podziw dobrze radzący sobie w wodzie, z

niezwykłą energią rozpierającą chude ciało wypłynął mu na spotkanie. Razem poczęli holować belkę, tworzącą niegdyś dziobnicę statku. Była długa i gruba.

Między wystającymi z wody skałami telepał się kawałek bukszprytu, oplatany linami. Goniący resztkami sił żołnierz przyciągnął i przymocował go do belki. Pomogli dotrzeć do owej pokracznej tratwy rannemu łucznikowi, którego złamana noga cierpiała straszliwie przy uderzeniu każdej kolejnej fali. Urzędnik, z bladą twarzą wykrzywioną jakimś ponuro-pogardliwym grymasem, przywiązał go i pospieszył z pomocą majtkom, z wysiłkiem utrzymującym na powierzchni wciąż nieprzytomnego kapitana. Tego także przywiązali do belki. Teraz wszyscy odpoczywali, dysząc ciężko, raz po raz zalewani przez fale, lecz już jako tako bezpieczni. Po kilku chwilach zaczęli pracować nogami, pomagali im przyptyw, niosąc w stronę brzegu. W połowie drogi było już jasne, że są ocaleni.

Długo odpoczywali na brzegu. Potem przeszli nieco dalej w głąb lądu.

Siła wiatru nie malała; trochę osłaniały odeń wydmy, za którymi siedzieli, ale ziąb dawał się mocno we znaki. Mokra odzież była raczej krępującym ruchy ciężarem niżli osłoną. Nie mieli co jeść, nie mogli rozpalić ognia.

Wiedzieli, gdzie się znajdują: zachodni wiatr zepchnął ich z obranego kursu, bezwolny żaglowiec minął od północy Wielką Agarę i roztrzaskał się u brzegu leżącej na północny wschód od niej Małej Agary. Zresztą — jeden z majtków stąd właśnie pochodził, znał każdą piędź ziemi, wiedział, którędy iść do najbliższej rybackiej osady. Wkrótce też, zebrawszy nieco sił, ruszył, by sprowadzić pomoc. Ktoś inny poszedł w przeciwnym kierunku, z zamiarem przeszukania plaży. Ale już nikt więcej nie ocalał z katastrofy.

Ranni leżeli na ziemi. Złamaną nogę łucznika ujęto między dwa kije i obwiązano kawałkiem sznura. Vardowi opatrzono ranę na głowie. Gdy odzyskał przytomność, pokrótce zapoznano go z ostatnimi wydarzeniami; teraz leżał, rozważając w myślach sytuację.

Dotarcie do rybackiej osady było rzeczą pierwszorzędną wagi. Należało wynająć łódź i dotrzeć na Wielką Agarę. Burza przeminęła, ale Vard wiedział, że niewiele mają czasu. Wkrótce rozpęta się nowa i być

może potrwa wiele dni. Wizja uwięzienia na tej wyspie jawiła się ponuro. Stolica Agarów, Ahela, leżała nie na Małej, lecz na Wielkiej Agarze. W Aheli był port macierzysty ich nie istniejącej już eskadry. W Aheli był garnizon straży morskiej. W Aheli był dom Varda.

Tu, na Małej Agarze, mogli liczyć najwyżej na gościnność agarskich rybaków, mających dość problemów i bez nieproszonych gości. Ci twardzi, surowi ludzie przez trzy miesiące nie mogli korzystać z darów morza. Żyli dzięki zgromadzonym w ciągu roku zapasom suszonych ryb, które stanowiły niemal jedyne ich pożywienie. Mała Agara była tylko pokrytą piaskiem i twardymi trawami skałą; niewiele dało się uprawiać na tym gruncie. Nadmorska trawa stanowiła kiepską paszę dla zwierząt. Na całej wyspie trzymano ledwie kilka krów. Powszechnie hodowano tylko kury.

Była już ciemna noc, gdy wysłany do rybackiej osady marynarz powrócił, prowadząc ojca, stryja i kilku innych rybaków, obarczonych prostymi, naprędce skleconymi noszami, żywnością i bukłakiem zawierającym namiastkę ciemnego piwa.

*

Ridareta weszła pomiędzy rachityczne sosny. Nie zastanawiała się dotąd, gdzie jest ani co ma robić. Nie wiedziała, czy ląd, na którym się znajduje, jest duży czy też mały. Fragment brzegu, który widziała, zdawał się świadczyć, że wyspa była raczej rozległa.

Zresztą — czy wyspa? Równie dobrze mogła znajdować się na kontynencie Szereru.

Samotność nastęrczała niepożądane myśli. Odsuwała je na bok. Nie chciała nic wiedzieć, niczego rozumieć... Ale obraz przemienionego w pył Geerkoto wciąż pojawiał się w zmęczonym umyśle. Czuła się sobą, była sobą. Ale — w jakim stopniu? Co właściwie zaszło? Nagłe zniknięcie wszystkich ran bardziej ją przerażało niż cieszyło. Prześladował ją obraz umierającego Rubinu. Przestraszona, ze wszystkich sił starała się nie dostrzegać upiornego związku między agonią potężnego klejnotu — a jej nagłym ozdrowieniem.

Pomyślała z kolei o pilocie. Raladan... Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo był jej potrzebny. Teraz, gdy została naprawdę sama...

Wiedziała, że strażnicy chcieli ją powiesić. Wiedziała, że pilot w jakiś

sposób do tego nie dopuścił. Który to już raz zawdzięczała mu życie?

Ujrzała wąły strumyk u swych stóp. Uklękła. Dziwne, ale nie czuła dotąd głodu ani pragnienia.

Napiła się jednak.

Jeśli ląd był wyspą, szczególnie wyspą niedużą, gdzieś w dolnym biegu tej strugi powinna znajdować się wioska. Ridareta знаła wyspy u wybrzeży Garry i wiedziała, że słodka woda była czymś, czego się nie marnowało. Gdziekolwiek ta wyspa leżała, wątliwe, by cierpiano tu od nadmiaru wody pitnej.

Siedziała zamyślona.

Tak czy inaczej, musiała w końcu odszukać jakieś ludzkie siedlisko. Nie mogła przecież żywić się powietrzem, nie mogła też nocować pod gołym niebem, okryta tylko strzępami, które już nawet nie udawały sukni. Ale bała się, że w wiosce, leżącej blisko miejsca katastrofy, trafi na rozbitków. Co by z tego wynikło — wiedziała.

Jednak równie dobrze wiedziała, że wkrótce opadnie z sił. Pomyślała, że wcale nie musi prosić o gościnę, może po prostu zdoła okraść coś do jedzenia i do okrycia... Zdecydowanie wołała, by nikt nie wiedział o jej istnieniu. Przynajmniej na razie.

Poszła wzdłuż strumienia.

Krajobraz był dość niezwykły, nigdzie dotąd nie widziała podobnych okolic. Piaskowe wydmy sąsiadowały tu z nagimi, szarymi skałami, dalej plaża uciekała pod wodę, brzeg stawał się wysoki, stromy, porośnięty trawami i karłowatymi drzewami. Dalej, w głębi lądu, czernił się rzadki, sosnowy bór. Miałaby ochotę zapuścić się weń; od kilku miesięcy nie chodziła po lesie, kiedyś bardzo lubiła długie, samotne spacerować... Kiedyś...

Szła jeszcze dość długo. Nadciągał wieczór, gdy ujrzała dymy wioski. Wdrapała się pospiesznie na pobliskie wzniesienie. Niedaleko, o pół mili może, leżała rybacka osada.

Serce zabiło jej mocno, bo ujrzała widok dziwnie znajomy. Niemal tak samo wyglądały rybackie wioski garyjskie. Tak samo suszyły się sieci na wbitych w ziemię palach, tak samo leżały, dnem do góry, wyciągnięte na brzeg łódzie. Wiele takich wiosek widziała, towarzysząc wędrownemu handlarzowi-pocziwinie, co zlitował się kiedyś nad bezdomną dziewczyną i skonał z poderżniętym przez piratów gardłem...

Wspomnienie zabolęło. Odsunęła je i zbiegła z pagórka.

Domostwa stały w sporej odległości od plaży, pomyślała, że podobnie jak gdzie indziej — było to spowodowane znaczną wysokością przypiływu. Była już blisko pierwszych domów, gdy zdała sobie sprawę, że popełnia wielką nieostrożność. Jednak refleksja przyszła zbyt późno, bo oto usłyszała szczekanie psów, przybliżało się szybko... Nim zdążyła pomyśleć, co należy robić, obkoczyły ją zajadłe kundliska. W poprzek małej, poźółkłej łączki, biegł dwunasto-, trzynastoletni chłopak. Zawahał się przez chwilę na jej widok, ale zaraz jeszcze przyspieszył kroku. Zawołał psy i zagwizdał. Kundle zostawiły ją w spokoju. Chłopiec zatrzymał się w odległości kilku kroków. Patrzył badawczo, z nieufnością i odrobiną lęku. Pomyślała o szmatach, stanowiących jej odzienie, zdała też sobie sprawę, że nie ma opaski na wybitym oku, a potargane, brudne włosy w połączeniu z całą resztą tworzą obraz jakiejś wiedźmy.

— Jesteś z naszego statku? — zapytał chłopak. Używał jakiejś gwary obco brzmiącej w jej uszach, rozumiała go jednak doskonale.

Skinęła głową, gorączkowo myśląc, że skoro we wsi wiedzą już o zatonięciu żaglowca, oznaczać to może tylko jedno...

— Gdzie jestem? — zapytała. — Czy to... wyspa? Nieufność chłopca zdawała się rosnać.

— To Mała Agara — odparł. — A ty skąd jesteś? Zrozumiała, że pyta nie o to, skąd wzięła się na wyspie, ale skąd pochodzi.

— Z Wysp Przybrzeżnych — odparła. Nie wspomniała o swym garyjskim rodowodzie; Wyspiarze nie znosili Garyjczyków, z wzajemnością zresztą.

Skinął głową, choć wątpiła, by wiedział, gdzie to jest.

— Chodźmy do wsi. Mój ojciec cię wypyta. Jest starszym wioski — dodał z niedbałą dumą.

Nisko urodzeni nigdy nie byli delikatni w słowach, ale zdziwiła ją wyraźna obcesowość w jego głosie. Słyszała wprawdzie, że Agary, odrzucone dość daleko od Garry, a jeszcze dalej od kontynentu, były nieledwie państewkiem samym w sobie; ludzie żyli na nich z daleka od świata, ledwie uważali się za poddanych cesarza, a już w ogóle nie chylili czoła przed Czystą Krwią Dartanu, czy Armektu. Tutaj, w rybackich wioskach i osadach wolnych górników przy kopalniach na Wielkiej Agarze, wszyscy byli sobie równi. Nawet żołnierze legii i straży morskiej, służący na Agarach, wywodzili się zwykle spośród miejscowych.

Pozbierała wreszcie myśli. Wiedziała już, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Tak czy inaczej, najgorsze się stało; rozbitkowie niewątpliwie dowiedzą się, że nie zginęła. Czy jednak miała wchodzić wilkowi prosto w paszczę? Pomyślała o ucieczce, ale były psy...

— Czy... inni już do was przyszli? — zapytała ostrożnie.

— Przyszedł... — chłopiec wymienił jakieś imię, którego nie dosłyszała. — On jest z naszej wsi. I wszyscy poszli nad zatokę, z jedzeniem.

— To znaczy, że teraz nie ma u was rozbitków? — nie dowierzała.

— Nie — chłopak zaczął się niecierpliwić. — Ale przyjdą. Chodź już.

Pomyślała, że to istotnie najlepsze, co może zrobić. Zje coś, może dadzą jej jakieś odzienie. Potem znajdzie pretekst, by zniknąć na chwilę z oczu rybakom. I ucieknie, zanim tamci przyjdą.

— Dawno poszli? — dopytywała się, idąc za chłopcem.

— Niedawno.

Dotarli do pierwszych domostw wioski. Było już całkiem ciemno.

14.

„SŁUCHAJ i ZAPAMIĘTAJ, BO WIĘCEJ NIE DANE NAM BĘDZIE ROZMAWIAĆ. RUBIN GAŚNIE, RALADAN. TUTAJ TOCZY SIĘ WOJNA. JESTEŚ ŻOŁNIERZEM BEZMIARÓW, TAK JAK JA ZOSTAŁEM ŻOŁNIERZEM ODRZUCONYCH PASM SZERNI. NIE ZNAM CELÓW TEJ WOJNY, WIEM TYLKO, ŻE UCZESTNICTWO W NIEJ POZWAŁA MI WPŁYWAĆ NA LOSY RIDARETY. NICZEGO WIĘCEJ NIE PRAGNĘ. ALE DOŚĆ, BO CZAS PŁYNIĘ I NIEWIELE GO POZOSTAŁO... BYĆ MOŻE ZOBACZYSZ MNIE JESZCZE, ALE JUŻ NIGDY NIE BĘDIEMY ROZMAWIAĆ. GEERKOTO PRZEKAZAŁ SWĄ MOC...”.

Głos, zrazu wyraźny i silny, istotnie zdawał się oddalać i cichnąć.

„WYSPIARSKI OKRĘT NIE ZATONIE, JEST SIŁA, KTÓRA RZUCI GO NA MAŁĄ AGARĘ. RIDARETA JEST BRZEMIENNA, RALADAN. PRZEKLEŃSTWO CIĄŻĄCE NADE MNĄ ZA ŻYCIA, ŚCIGA MNIE NAWET PO ŚMIERCI. CHROŃ JĄ, RALADAN. I PAMIĘTAJ, ŻE ONA, PIERWSZA MOJA CÓRKA-ZAWSZE BĘDZIE MIAŁA SŁUSZNOŚĆ. COKOLWIEK POWIE... COKOLWIEK UCZYNI. WSPIERAJ JEJ DZIAŁANIA, CHCĘ... STAŁO SIĘ TO, CO ONA... TYLKO ONA... ZA NAJLEPSZE...”.

Słowa brzmiały niewyraźnie, poczęły ginąć i uciekać.

„JEST... DZIWNY STARZEC... POWIE CI... WIĘCEJ... ŻEGNAJ... ALADAN...”.

Raladan podniósł się z ziemi, zatoczył i zaraz upadł, macając wokół rękami, jak ślepiec. Ale ciemna zasłona, którą dotąd miał przed oczyma, zaczęła szarzeć, po chwili widział już, jak przez mgłę, szeroką, równą plażę, usłyszał łomot fal i zawrodożenie wichru. Pośród spienionych bałwanów ujrzał jeszcze czarny, olbrzymi kadłub; i to było wszystko, bo chwilę później znieruchomiał na ziemi, zapadając w głębokie omdlenie.

Gdy się ocknął, burza szalała z całą siłą; spostrzegł, że wciąż leży na wydymie, a niżej, tam gdzie była plaża, przelewa się wściekła kipiela. Drżąc z zimna w przemoczonym odzieniu, wstał szybko i — choć czuł słabość w całym ciele — chwiejnym krokiem ruszył w głąb lądu. Około ćwierć mili od wybrzeża natknął się na kiepsko utrzymaną drogę. W szarówce pochmurnego dnia zauważył, całkiem niedaleko, wątle światła.

Odoczywał, nabierał sił. Potem, walcząc z wichrem, zgięty niemal w pół, ruszył w stronę dostrzeżonych ogników. Gdy minął przedmieście i dotarł do murów miejskich, wiedział już, gdzie jest. Ariela — stolica Agarów.

Nie próbował zrozumieć, co właściwie zaszło. Wciąż jeszcze brzmiały mu w uszach słowa kapitana; jeśli nie były majakiem, to znaczyło, że rządzące światem potęgi uczyniły sobie z jego życia igraszkę. Ale teraz sprawą najpilniejszą było znaleźć schronienie, zaspokoić głód. Potem mógł rozmyślać nad wrakami, które taranują okręty, szukać sensu w słowach Demona... Potem, wszystko potem.

Aheleę znał nieźle, przemykając pustymi ulicami, zmierzał w stronę portu. Miasto nie było duże, choć tu, na Agarach uchodziło za wielkie. Wkrótce odszukał znaną sobie uliczkę, a przy uliczce tawernę. Był u celu.

Wielka izba rozbrzmiewała gwarem. Ławy ustawione wzdłuż trzech długich stołów obsiedli najróżniejsi ludzie: majtkowie, mieszczenie, trochę dziwek, jakieś podejrzane typy, których wszędzie pełno. Byli też trzej żołnierze, powściągliwie sączący piwo. Z boku, objęci ramionami marynarze, tańczyli ber-bera, otaczała ich grupa widzów, klaszczących w rytm wyrykiwanej podпитыmi głosami piosenki. Raladan stał przez chwilę, próbując się odnaleźć w tym zwyczajnym świecie, gdzie nie było czarnych wraków i Rubinów Geerkoto. Potem przepchnął się do szynkwasy. Skinął na oberżystę; ten natychmiast postawił przed nim dzban z piwem.

— Nie mam srebra — rzekł pilot. Szynkarz burknął coś gniewnie, zabierając dzban. Raladan złapał go za ramię i pokazał zawiązany na szyi fular.

— Przyjmiesz to?

Piwo z powrotem stanęło przed nim. Gospodarz pochylił się, przyjrzał uważnie i ujął wilgotną chustę w dwa palce. Znakomity dartański jedwab haftowany był srebrnymi nićmi.

— Chcę zjeść. I izbę na noc — rzekł Raladan, wiedząc, że fular wart jest trzy razy tyle. Zdjął go z szyi i podał karczmarzowi.

— Bez usługi — mruknął ten, nie patrząc na gościa.

Raladan skinął głową. Wziął piwo i odwrócił się, opierając plecami o szynkwę. Niespiesznie przełykał gorzki płyn, przesuwając wzrokiem po barwnym, hałaśliwym tłumie. W rogu izby, przy małym stole, jacyś ludzie grali w kości. Pomyślał, że to może być sposób na zdobycie

niewielkiej ilości srebra. Potrzebował go dużo więcej, niż dać mogły kości — i była na to rada. Ale mała sumka na początek znakomicie ułatwiłaby zadanie.

Służebna doniosła piwo na środkowy stół. Rozstawiała dzbany, pochylając się nad blatem. Pod rozchyloną koszulą duże piersi kołysały się w rytm ruchów. Najbliżej siedzący, podchmielony drab, sięgnął pod rozwiązany gors i wy dobył je na wierzch, ku zgiełkliwej ucieście wszystkich. Służebna chichotała piskliwie, rozstawiając ostatnie dzbany, obwisłe, ciężkie cyce niemal leżały na stole. Ktoś poklepał okrągły zad dziewczyny, ale puszczono ją, bo dobiegające z miejsca, gdzie siedzieli żołnierze, trzy głucho, potężne tupnięcia były znanym sygnałem, zalecającym umiar. Dziwek w tawernie nie brakło, za pół sztuki srebra każdy mógł dostać, co chciał. Służebna zaś miała nosić piwo. Nic więcej.

Oberżysta trącił pilota w łokieć, ten odwrócił się, wziął misę z gorącą wołowiną, w której więcej było wprawdzie kości niż mięsa, i wymienił próżny dzban na pełen.

— Ostatnie drzwi — rzucił oberżysta.

Raladan ruszył ku schodom wiodącym na piętro. Po prawej stronie ciemnego i brudnego korytarza widniały niskie drzwi. Razem izb było cztery, nie licząc wielkiej wspólnej, gdzie spało się na sianie. Wszedł do ostatniej, sądząc po wyglądzie — najmniejszej i najbrudniejszej ze wszystkich, o ile zdołał ocenić w smudze szarego światła, wpadającego przez otwarte drzwi. Postawił posiłek na stole, wziął z blatu świecę, obgryzioną, zdaje się, przez myszy i wyszedł, by pożyczyć ogień od kopącego w niszy ściennej kaganka. Po chwili siedział na przykrótkiej pryczy, łamiąc zębami kości, obgryzając je i wysysając szpik. Gdy skończył, pchnął okiennicę i wyrzucił resztki przez okno. Izdebka natychmiast wypełniła się wiatrem, świeca zgasła. Klnąc w ciemności, zamknął okiennice na powrót, jeszcze raz przyniósł ogień z korytarza, po czym zasunął skobel. Pozbył się wilgotnej odzieży i legł na marnym sienniku, naciągając postrzępiony, ale suchy pled aż po szyję. Teraz mógł myśleć.

Obudził się po dość dobrze przespanej nocy, z gotowym planem działania. Odzienie nie wyszło, skrzywiony, z trudem wciągnął je na siebie. Przez okno wyjrzał w błądy świt. Burza odchodziła.

Tu, w Aheli, miał swobodę działania. Demon wiedział, co robi,

przenosząc go, w jakiś sposób, do brzegów Wielkiej Agary. Ponury wrak spalonego okrętu był z pozoru jak żywioł, ale za jego działaniem nie kryła się ślepa furia, lecz rozum. Po raz pierwszy pilot pomyślał, jak straszną potęgą jest to widmo, pojawiające się we właściwym czasie i miejscu nie tylko po to, by niszczyć, ale także by przeprowadzić określony plan...

Zbiegł na dół. W wielkiej izbie nie było tak ciasno i gwarno jak wieczorem, ale jednak siedziało sporo ludzi. Za szynkwasem stało grube, wstrętne babsko, zapewne żona właściciela tawerny. Raladan podszedł i oparł się o blat.

— Masz kości? — zapytał.

Bez słowa dała mu brudny, wyślizgany komplet. Odszedł w kąt i zaturkotał po blacie stołu.

— Chcesz se pograć?

Skinął głową, nie podnosząc wzroku. Odpiął szeroki, nabijany łuskami pas.

— Nie mam srebra — powiedział. — Mam ten pas i buty — wysunął nogę ku środkowi izby — jakich pewnie nigdy nie widziałeś. Dartański łoś dał na nie skórę.

Buty nie były bardzo zniszczone, a pas na targu musiał kosztować ładnych parę sztuk srebra. Po chwili wahania dwaj mężczyźni przysiedli się do niego. Wyższy rozwiązał brudną szmatkę i wysypał blisko połowę zawartości. Wśród licznych miedziaków połyskiwało kilka sztuk srebra. Drugi wyjął szeroki i mocny, żeglarski nóż, dołożył srebrny kolczyk — zwykłe kółko, warte tyle co kruszec, z którego je wykonano.

— Fant za fant — powiedział.

Raladan skinął głową.

Nie był do końca pewien, czy postępuje dobrze. Kości to kości; łatwo mógł stracić pas i buty, nic nie zyskując w zamian. Pomyślał jednak, że spróbuje szczęścia.

Rozpoczęli grę. Szybko przegrał pas do mężczyzny z nożem i kolczykiem, ale wygrał co nieco od jego towarzysza. Temu wyraźnie szczęście nie sprzyjało. Kupka pieniędzy stopniała szybko.

— Jeszcze trzy kolejki — rzekł Raladan.

Właściciel wysychającego trzosika zmarszczył brwi.

— Nie tak szybko, brachu.

Opróżnił chustkę do końca, układając pieniądze na stole.

Grali.

Raladan pozostał przy butach, paru sztukach srebra i sporej ilości miedziaków. Najbardziej wygrany był towarzysz wysokiego. Pilot pomyślał, że tylko dzięki temu gra nie kończy się bójką, jak to często bywało. Wstał od stołu i oddał kości szynkarce, dorzucając kilka miedziaków. Zastanawiał się chwilę, po czym schował srebro, a za resztę kupił piwo i wrócił do stołu. Rozeźlony drągał obrzucił go niechętnym spojrzeniem. I on, i ten drugi, wyglądali na ludzi nie bojących się byle czego, choć nie na rzezimieszków. Wielorybnicy? Pilot wiedział, że tacy będą mu wkrótce potrzebni.

Postawił przed nimi po dzbanie, siadając. Patrzyli nieco zdziwieni.

— Wkrótce będę miał srebro. Sporo srebra — powiedział. — Także dzięki temu — pokazał swoją wygraną. — Potrzebowałem na początek.

Milczeli wyczekująco.

— Wrócę tu wieczorem. Będę szukał ludzi. Dam zarobić, ale mówię, że to nie jest robota dla chłopców.

— Czym śmierdzi? Trupem? Pokręcił głową.

— Nie. Wstał.

— Potrzebuję jeszcze czterech. Wieczorem powiem więcej. Jeśli pomyślicie, że warto, czekajcie tu na mnie.

Wyszedł z tawerny i ruszył szarą ulicą w stronę wschodniej rogatki Aheli. Rok temu z okładem, gdy bawił na Agarach — jeszcze z Rapisem — tuż za miejskim murem, przy wschodniej bramie mieszkał człowiek zajmujący się (między innymi) wypożyczaniem wozów i koni wierzchowych. Na Agarach zwierzę to było prawdziwą rzadkością, posiadano kilkanaście w cesarskich kopalniach miedzi i do użytku legii, ale prywatnie mało kto miał wierzchowca. Utrzymanie kosztowało sporo, a jeździć prawdę powiedziawszy, nie bardzo było dokąd. Na Wielkiej Agarze znajdowały się tylko dwa miasta: Ahela i Arba — to drugie w głębi wyspy, podła dziura, składająca się z kilkunastu domów zamieszkałych przez wolnych górników, oraz nędznych chałup dla więźniów i niewolników, pracujących w kopalniach. Nie było tam czego szukać. Jeśli jednak już ktoś wybierał się do Arby, mógł skorzystać z wozów, którymi przewożono urobek do składów w Aheli. Wozy te wracały puste i za niewielką opłatą woźnice zabierali pasażerów. Nie

brali tylko ładunków; oszczędzano cenne siły cesarskich wołów.

Jednak jesienią, ze względu na fatalną pogodę, wozy nie jeździły regularnie. Poza tym Raladanowi zależało na czasie; choć nie był dobrym jeźdźcem, wolał wynająć wierzchowca niż wlec się cały dzień wozem.

Właściciel czterech szkap, z których dwie były pociągowe, a z dwóch pozostałych tylko jedną dało się nazwać aż wierzchowcem, marudził i narzekał, widząc trzy i pół sztuki srebra. W końcu jednak zrozumiał, że przybysz więcej mu nie da, bo nie ma. Niedługo potem Raladan trząśnięty na grzbiecie zdumiewająco kościstego rumaka, którego wiek wskazywał niedwuznacznie, że jest protoplastą wszystkich koni Szereru. Straszliwa ta chabeta pozerła drogę w tempie dwa razy szybszym od kiepskiego piechura, a choć Raladan słabo znał się na koniach, przecież dość, by mieć pojęcie, że jej krok nie jest kłusem ni galopem, tylko zadziwiającym jakimś połączeniem jednego z drugim. Gdy stanął wreszcie w Arbie, pierwszym jego odruchem było przegnać zwierzę na cztery wiatry. Powstrzymał się jednak, choć widział wyraźnie, że koń niechybnie padnie w drodze powrotnej.

Czas naglił; pilot szybko zapomniał o koniu. Pośród brudnych, błotnistych uliczek odnalazł tę, przy której stał jeden z największych, jeśli nie największy zgoła dom miasta. Raladan wszedł po ciemnych schodach na piętro i — unikając starannie spotkania ze służbą — znalazł się wkrótce w obszernym, dość zamożnie urządzonej pokoju. Stamtąd przeszedł do niewielkiej izby, wyglądającej na kantor kupiecki. Była pusta. Postąpił chwilę, po czym usiadł na czerwonej, masywnej skrzyni pod ścianą. Zaświtała mu ponura myśl, że jeśli każdy może zakraść się tutaj równie łatwo jak on — to znaczy, że przyszedł na próżno. Czekąco go bowiem spotkanie z dziesięciokrotnie obrabowanym nieszczęśnikiem...

Po jakimś czasie usłyszał głosy. Przybliżyły się, wreszcie do kantoru wkroczył sześćdziesięcioletni, suchy i kościsty, odziany na czarno mężczyzna, w towarzystwie dość bogato ubranego młodzieńca. Rozmawiali żywo. Raladan, oparty o ścianę, cierpliwie czekał, kiedy wreszcie go zauważą.

— Sprawdzę to, panie — rzekł kościsty, obchodząc stół i otwierając solidną księgę, zajmującą chyba pół blatu. — Oto dostawa dla waszej godności wpłynęła... — Uniósł wzrok i zastygł w bezruchu. Raladan mierzył go spokojnym spojrzeniem. Młody człowiek, widząc osłupienie

na twarzy kupca, odwrócił się szybko i podobnie znieruchomiał.

— Kim jesteś człowieku? — zapytał wreszcie, robiąc krok naprzód. Chciał jeszcze coś dodać, ale właściciel kantoru przerwał mu:

— Ja go znam, wasza godność. Wasza godność wybaczy... ale muszę z nim pomówić...

— Zakończ rozmowę, Balbon — odezwał się Raladan. — Jeszcze chwilę mogę poczekać.

Młody człowiek spojrział ze zdumieniem, po czym zwrócił się do kupca, ale ten rozpaczliwie zamachał rękami.

— Tak... tak będzie najlepiej, wasza godność, chyba tak! Otóż... otóż dostawa...

Nie pozwalając dojść do słowa, drżącym nieco głosem wyjaśnił wszystko młodemu mężczyźnie, po czym pożegnał go pospiesznie. Gdy tylko zostali sami, kupiec, wciąż przestraszony, zaczął mówić:

— Na Szerń, panie! To nieostrożność, to niebezpieczne dla mnie, niebezpieczne dla was... Raladan wstał ze skrzyni.

— Przestań mówić, Balbon — rzekł spokojnie. Kupiec zamilkł. Pilot wyciągnął dłoń.

— Pieniądze, Balbon.

Człowiek w czerni pobladł. Raladan zrobił dwa kroki, chwycił kupca za szatę na piersi i jednym ruchem rzucił plecami na stół. Pochylił się i zapytał:

— Co to? Myślałeś, że nie przypląniemy? Słyszałeś o obławie, tak? Myślałeś, że nas złapią, a jeśli nawet nie, to przez jesień będziesz miał spokój? Słuchaj no, skąpcze! Pożyczyliśmy ci pięćset sztuk złota. Sam wyznaczyłeś procent. Przychodzę po pieniądze i otrzymam je. Otrzymam je dzisiaj. Natychmiast.

Puścił czarną szatę i pozwolił, by Balbon, drżący i siny, zsunął się ze stołu. Kupiec bez zbędnych słów pobiegł do drzwi i — czyniąc nerwowe, uspokajające ruchy ręką — zniknął za nimi. Raladan podszedł do okna. Spoglądał na zewnątrz, lekko kołysząc się na obcasach.

— Oto... oto dług, panie — wykrztusił głos z tyłu. Raladan podszedł do stołu i zważył worek w dłoniach.

— Złoto i srebro?

— Czteryście potrójnych sztuk srebra i sto potrójnych złota...

— Bez procentów?

Kupiec pobladł, o ile to możliwe, jeszcze bardziej.

— Nie mam tutaj, panie... Ale oddam, oddam! Oddam jutro... nie! Pojutrze.

Raladan odłożył worek i wyciągnął dłoń.

— Daj mi ten pierścień, Balbon. Ten, który masz na palcu. Szybciej. Teraz słuchaj. Jesteś winien Demonowi sto pięćdziesiąt sztuk złota. Przyjdę po nie pojutrze, albo kiedykolwiek. Moneta ma być srebrna, pojedyncze sztuki srebra, rozumiesz? Teraz słuchaj dalej. Może być, że zamiast mnie pojawi się kto inny.

Niech cię nie obchodzi, czy będzie to dziecko, czy starzec, kobieta czy mężczyzna. Pokaże ci ten pierścień, wtedy oddasz srebro. Pojąłeś?

Wziął worek i ruszył ku drzwiom.

— Nie jesteśmy krwiożerczy, Balbon — dorzucił na odchodnym, — Ale na przyszłość unikaj zwłoki w spłacie długu. I możesz się cieszyć, że przyszedłem ja, nie Demon... Wątpię, byś wymigał się tak tanim kosztem.

Znacząco pokazał pierścień i wyszedł.

*

Kanciaste podrygi nieszczęsnej szkapiny mniej go teraz interesowały, zamyślony bowiem, ledwie postrzegał upływ czasu. Zniknął pierwszy kłopot: miał już środki. Uzyskał je łatwiej, niż sądził; swego czasu był w duchu mocno przeciwny tej lichwiarskiej awanturze, Rapis jednak nie pytał go o zdanie. Na szczęście, jak się okazało.

Rapis często pożyczał na wysoki procent, i to sumy znacznie poważniejsze. Zazwyczaj jednak dłużnikami byli ludzie, których mocno trzymał w garści, przeważnie znając tło jakichś ciemnych sprawek. Na Balbona nic takiego nie mieli. Raladan pomyślał, że na miejscu kupca wziąłby te pięćset sztuk złota i żył wygodnie gdzieś w Rinie, w samym środku Armektu. Jednak Rapis lepiej znał się na ludziach. Z jakichś przyczyn Balbon nie uciekł. Może był po prostu za stary? Myślał zapewne bardziej o swych dzieciach, a tym pięćset sztuk złota nie na długo by starczyło; lepiej, gdyby zostawił im kwitnący interes... Nie uciekł w każdym razie i — co więcej — nie zbankrutował. Sądząc z różnych szczegółów, tudzież z natychmiastowej wypłacalności, dobrze spożytkował pieniądze. Prowadzona przezeń rozmowa z młodym człowiekiem dała Raladanowi pojęcie, że kościsty kupiec trzęsie całą Arbą, będąc wyłącznym dostawcą wszystkiego, czego potrzebować

mogły cesarskie kopalnie. Procentowało zaufanie, jakim obdarzał pilota Demon. Delikatne sprawy załatwiał kapitan tak, jak na to zasługiwały. Nie prowadził z sobą hałaśliwej zgrai, nie polegał na porywczym Ehadenie, któremu, skądinąd wierzył całkowicie. Opanowany, zimny Raladan widział mu się najwłaściwszym pomocnikiem; niezawodna pamięć, spostrzegawczość, wreszcie żelazne muskuły i niechybny nóż — oto były cechy, których potrzebował.

Suma, którą pilot teraz dysponował, była wcale niemała.

Przeznaczeniem wyspiarskiej kogi było rozbić się u brzegów Małej Agary. Raladan nie zadał sobie trudu, by dociekać, skąd potężny cień ma pewność, że dziewczyna przeżyła katastrofę. Uznawał to za rzecz pewną. Rodziło się tylko pytanie, czy prócz niej ktoś jeszcze wyniósł cało głowę. Niezależnie od wszystkiego, należało przedostać się na Małą. Złoto ułatwiało sprawę.

Raladan był człowiekiem twardo stąpającym po ziemi i wcale nieskłonny do przesądów (przynajmniej w porównaniu z większością żeglarzy). Nie zwykł dawać wiary wszystkiemu, co nosiło pozory prawdy. Jeszcze jakiś czas temu nie zapłaciłby miedziaka za opowieść o złośliwych Rubinach Geerkoto, statkach-widmach i przeklętych przez Szerń kapitanach, nie mogących odejść ze świata żywych. Teraz jednak było inaczej. Raladan ufał własnym zmysłom, bo nie słyszał o niczym, czemu warto by ufać bardziej. Poniechał snucia domysłów. Nie chodziło wcale o to, że nie lubił myśleć... Po prostu: znalazł się w konkretnej sytuacji, wymagającej działania. Działał zatem, na później odkładając pytania w rodzaju „po co” i „dlaczego”.

W Aheli zwrócił umęczone zwierzę właścicielowi i poszedł do portowej dzielnicy, uważając, by worek pod kaftanem zbytnio nie brzęczał. Pomimo dość późnej pory (nadciągał już wczesny, jesienny zmierzch) zdołał poczynić pewne zakupy: nabył nową odzież, odpowiednią do pory roku, kilka sakw różnej wielkości i kształtu, wreszcie cztery dobre, mocne noże — broń, bez której czuł się jak nagi.

Pozostawał jeszcze jeden, za to niemały kłopot: należało ukryć gdzieś złoto. Dźwiganie wszędzie ze sobą ciężkiego, brzęczącego trzосу było niepodobieństwem. Odrzucił rozwiązanie problemu na później, tymczasem wrzucił złoto do sakwy z żaglowego płótna, owinął ciasno drugą, podobną i obie razem wepchnął do najmniejszej, skórzaney,

przewieszanej przez pierś.

Nieco bliżej portu była w Aheli inna tawerna, nieco lepsza i droższa niż ta, w której spędził noc. Wynajął izbę, płacąc za kilka dni z góry. Nie chciał pokazywać pieniędzy tam, gdzie jeszcze poprzedniego dnia płacił za posiłek zdjętym z szyi fularem i grał o buty przeciwko trzem sztukom srebra.

W pokoju — prawdę mówiąc dość czystym — podzielił pieniądze. Pewną ilość schował do kieszeni, by mieć pod ręką, a resztę z powrotem ukrył w sakwach. Wychodząc, sakwę, oczywiście, zabrał ze sobą.

Wrócił do pierwszej tawerny.

Poczuł się tak, jakby wcale nie wychodził. Wokół stołów widział jeśli nie te same, to podobne gęby, gwar był ten sam i dym fajkowy snuł się równie gęsto. Rozglądając się uważnie, dostrzegł przy małym stole w kącie dwie znajome twarze. Ruszył ku nim. Usiadł i przez długą chwilę wszyscy trzej milczeli. Pilot skinął na cycatą szynkareczkę. Wkrótce raczyli się piwem, zaprawionym potężną porcją rumu.

— Mam srebro — rzekł pilot — Tak jak powiedziałem. Skinęli głowami.

— Jaka robota?

— Trzeba popłynąć na Małą. Patrzyli w milczeniu.

— Można tego dokonać. O ile wiatr nie będzie wiał w sam nos, sześciu dobrych wioślarzy przepłynie w jeden dzień. Nawet przy jesiennej fali. Jeden pogodny dzień wystarczy.

Krzywili się wyraźnie.

— Nie pływa się jesienią na Małą. Przecie, brachu, musisz jeszcze wrócić. O pogodny dzień nietrudno, ale, brachu, drugi taki może być za tydzień. A i za dwa.

— Zapłacę za każdy dzień.

— Takiś bogaty?

Raladan pociągnął duży łyk.

— Zapłacę za każdy dzień — powtórzył.

— Co ty tam masz? Pilot zastanowił się.

— Kogoś, kogo trzeba tu przywieźć. Wyglądali coraz bardziej ponuro.

— Śmierdzi mi coś tutaj. Czemu sam nie przypłynie? Nie mają łodzi na Małej, co?

Raladan popatrzył wysokiemu w oczy.

— Słuchaj, przyjacielu. Jest robota. Tak? To ją bierz, albo nie bierz. Chętnych znajdę wielu, takich dobrych jak wy, a może mniej ciekawych.

Odsunął piwo i wstał.

— Bez obrazy, brachu. Pogadajmy. Pilot stał, niezdecydowany.

— Nie lubię podpytywać.

— Bez obrazy. Możemy popłynąć. Ale najpierw daj poznać, czy warto.

Raladan usiadł na powrót — Ile chcecie? Spojrzeli po sobie.

— Piętnaście — zaryzykował wysoki. — Dwadzieścia — poprawił się zaraz. — I pięć od dnia. Pilot uniósł brwi.

— Płyniemy na Małą — powiedział — nie na Garrę. Małomówny towarzysz wysokiego wzruszył ramionami.

— Słyszałeś. Dwadzieścia na głowę i pięć od dnia.

— Trzy od dnia, po powrocie. Na tamto zgoda.

— Pięć.

— Nie, człowieku. Siedziałbym z wami na Małej do końca życia. Trzy. Ale jak pójdzie szybko i dobrze, dorzucę jeszcze dziesięć dużych sztuk srebra, do podziału. Na wszystkich.

— Potrójnych? — upewnił się drągał.

— Potrójnych. Dziesięć potrójnych.

Wysoki wstał i podszedł do jednego z długich stołów. Kilka głów uniosło się ku niemu. Żywo urozmaicona gestami rozmowa przeciągała się. Po dłuższej chwili wysoki wrócił.

— Cztery i zgoda.

— Trzy.

Twarz drągała wykrzywił uśmiech.

— Upartyś, brachu. Niechaj ci.

*

Następny dzień spędził Raladan niezwykle pracowicie. Najpierw szukał łodzi. W Aheli było o to trudno, należało raczej starać się w którejs z wiosek rybackich. Myślał o wielorybnikach, ludziach nawykłych do hazardu, ale wielorybnicy mieli swe Osady na południowym wybrzeżu, musiałyby zatem, wynajawszy łódź, opłynąć wyspę i dopiero później kierować się ku Małej. Trzy dni. Zbyt długo. Trzy dni dobrej pogody — jesienią...

Na północnym wybrzeżu, z którego mógłby płynąć wprost na Małą Agarę, było kilka wiosek rybackich. Ale rybacy, ludzie ostrożni i spokojni — to nie wielorybnicy. Pilot podejrzewał, że żaden nie będzie chciał wynająć łodzi; teraz, jesienią, ryzyko jej utracenia było duże.

Obawy szybko znalazły potwierdzenie. Odwiedził dwie wioski (tym razem na grzbiecie lepszego już konia) i zrozumiał, że jeśli chce mieć łódź, musi po prostu ją kupić. W obu wioskach były tylko trzy łajby dość duże, jak na jego potrzeby. Jedna wyglądała na stuletnią, druga stanowiła wspólny i jedyny majątek trzech rodzin, które słyszeć nie chciały o oddaniu jej za złoto, choć Raladan nie skąpił. Kupił trzecią, za sumę wręcz przerażającą, musiał jednak przystać, bo wiedział, że pieszo na Małą Agarę nie dotrze. Pozostawił nabytek pod opieką byłego właściciela i wrócił do Aheli. Z kolei zajął się niezbędnym ekwipunkiem. Kupił beczkę na wodę i drugą — solonego mięsa, worek sucharów, kilka ciepłych pledów, dwa ciesielskie topory, wreszcie zwój liny i nieco żaglowego płótna. Wielorybnicy mieli całkowitą słuszość — dwudniowa podróż tam i z powrotem bardzo łatwo mogła przerodzić się w dwutygodniową awanturę. Tylko od kapryśnej, jesiennej pogody zależało, czy nie utkną na sąsiedniej wyspie na dobre.

Szedł do swojej tawerny, obarczony ciężką liną i zwojem płótna. Wczesna, jesienna noc od jakiegoś już czasu zalegała ulice. Tuż przed tawerną wyminął dwóch pijanych majtków, którzy właśnie stamtąd wracali. Twarz jednego wydała mu się znajoma, przystanął na chwilę i obejrzał się, ale tamci już byli poza zasięgiem światła, bijącego z półotwartych okien.

Po chwili znajdował się w swojej izbie. Rzucił linę i płótno na stos zgromadzonego dobra i usiadł na łóżku, prostując ścierpnięte, najpierw od siodła, a potem od długiego chodzenia, nogi. Siedział krótko. Poderwał się nagle i wypadł z izby, nie zamykając jej nawet. Po chwili był przed gospodą, pobiegł ulicą, w której zniknęli pijacy. Szukał długo, ale daremnie.

Twarz, którą rozpoznał, była twarzą majtka z kogi Varda.

15.

Dni stawały się coraz zimniejsze. W Dartanie i Armekcie jesień bywała słoneczna i piękna, ale tu, na Agarach, przypominała raczej ociekającą deszczem jesień grombelardzką. Korowody ciemnych chmur nieprzerwanie sunęły po niebie: dzień po dniu, dzień po dniu... Wokół ciśniętych na Bezmiary okruchów ładu przewalały się wściekłe burze. Groźne wichry biły skrzydłami, sypiąc piskiem wydm, przyginając smutne, szare sosny.

W czas sztormów życie na Agarach zdawało się zamierać, jak i wszędzie zresztą, gdzie docierały srogie wiatry zrodzone w głębi Wschodniego lub Zachodniego Bezmiaru. Ludzie starannie zamykali okna i drzwi, czekając na moment przejaśnienia, by zgromadzić nowy zapas drewna na opał, załatać ciekący dach, naprawić wszelkie szkody poczynione przez deszcze i wiatr.

Był wszakże na Małej Agarze człowiek nie dbający o wicher, o przenikliwy chłód i wczesny zmierzch. Każdego dnia rano, ku nie słabnącemu zdumieniu rybaków, człowiek ów owijał się kapotą, brał skromną rację żywności i wyruszał w głąb wyspy, by wrócić późnym wieczorem. Zнали cel jego wypraw, ale — gdy odchodził — znacząco kreślili kółka na czole; oczywiste, że dziewczyna, kimkolwiek była, dawno już umarła z zimna i głodu. Na wyspie nie było żadnych jaskiń, a czyż szalas, choćby najsolidniejszy, mógł oprzeć się wichrom? Wątle lasy nie obfitowały w zwierzynę, tylko ptaki śmigały wśród drzew... Jak długo można żyć bez pożywienia, bez ognia i dachu nad głową?

Przez trzy tygodnie Albar uparcie prowadził poszukiwania. Przemierzył wyspę wzdłuż i wszerz, krążył, czatował... Wszystko na nic.

Zmienił się bardzo. Błada twarz, wysmagana przez wichry, była teraz ogorzala, zadbane niegdyś paznokcie straciły wszelki ślad urody. W rybackich chałupach oblażyły go wszy — drapał brudne, rozczochrane włosy niemal bez przerwy. Szczęki i policzki pokryła broda.

Czasem przychodziła mu na myśl rozmowa, jaką odbył z Vardem, jeszcze zanim ten odpłynął, wraz z marynarzami, na Wielką Agarę.

„Myślże rozsądnie, człowieku — przekonywał Vard. — Ta wyspa to

pułapka. Przecież ja także nie zamierzam darować wolności tej małej piratce. Ale tkwić tu przez trzy miesiące? Nie, panie Albar. Jutro odpływamy do Aheli. Wrócimy tu z końcem jesieni, z żołnierzami, i znajdziemy ją, choćby trzeba było podnieść każdy kamień i obejść dookoła każde drzewo. Przecież nam nie ucieknie. Ci rybacy już wiedzą, kim jest, powiadomią inne wioski. Nikt nie da jej łodzi. Co zrobi? Ukradnie jakąś, sama zepchnie na wodę i sama powiosłuje na Wielką? A może od razu na Garę?”.

Odpowiedział wtedy:

„Śliczne dyby, kapitanie Vard, śliczne dyby. Ci ludzie tutaj sporządzą śliczne dyby. I kiedy wrócisz z tym całym wojskiem, ona będzie na was czekała. W ślicznych dybach, Vard. W ślicznych dybach”.

Teraz zastanawiał się czasem, czy dotrzyma tej obietnicy... Ale przecież gdzieś być musiała. Żywa, albo martwa. Czy możliwe, by znalazła jakiś sposób na wydostanie się z wyspy? Ta ostatnia myśl napełniała go prawdziwym przerażeniem. Z tym większą zaciekleścią prowadził dalsze poszukiwania. Wyruszał jeszcze przed świtem. Wracał w nocy.

Pewnego dnia przyszło mu na myśl, że szuka nie tam, gdzie powinien. Znał każdą piędź wnętrza wyspy, ale do tej pory nie przeszukał wybrzeża.

Lecz wybrzeże... Wystawione na furię wiatru, zalewane przez burzowe fale, nie było miejscem, gdzie człowiek mógłby przeżyć — trzy tygodnie.

Wbrew rozumowi, postanowił jednak, że okrąży wyspę. Od czasu, gdy Vard odpłynął, burza następowała po burzy; liczył na to, że może wreszcie pogoda poprawi się, choć na krótko. Poczekał kilka dni (nie zarzucając jednak wypraw w głąb lądu) i rzeczywiście, po kolejnym sztormie wypogodziło się nieco... Wziął większy niż zwykle zapas żywności i ruszył w drogę.

Zimny wiatr wciąż dął potężnie, choć w porównaniu z niedawnym huraganem był jak przyjazny zefirek. Kamienista plaża, zasłana pękami wodorostów, wyglądała ponuro i niechlujnie. Kilkakrotnie już chciał zawrócić, bo pomyślał, że ktoś mógłby ukrywać się w takiej okolicy, istotnie graniczył z absurdem. Szedł jednak. Wiedział, że świadomość niewykorzystania wszystkich możliwości spędzałaby mu sen z powiek

przez resztę życia.

Jego godność N. Albar, szary urzędnik Trybunału Imperialnego, nie był człowiekiem złym... Rzadko zastanawiał się nad sobą — i to może była największa jego wada. Zresztą, czy na pewno wada? Trybunał potrzebował takich ludzi. Pracowitych, wytrwałych i wiernych, a nawet trochę bezmyślnych. Takich, którym do serca można było włożyć Księgę Praw, do głowy zaś Kodeks Przewinień. Był Albar machiną, uczynioną podobnie jak kusza, do jednej tylko rzeczy; gdy zadaniem kuszy było strzelać, zadaniem Albara — ścigać. I tak, jak kusza nie jest zła ani dobra, tak i Albar nie był zły ani dobry. Co najwyżej: przydatny. Setki, tysiące takich rzetelnych, przydatnych ludzi krążyły po świecie; ludzi, których charakter, raz ukształtowany, pozostawał czymś twardszym niż granit. Odpowiedzialność za ich czyny spadała na głowy tych, którzy w imię różnych celów gotowi byli konstruować maszyny. Z odpowiedniego drewna, z odpowiednich gatunków stali, czy na koniec — z tego często spotykanego rodzaju ludzkich dusz, które dały się łatwo kształtować, po czym już na zawsze zastygały w raz nadanej formie.

Czy jego godność N. Albar, gończy urzędnik Trybunału, wiedział, że jest maszyną?

Brunatne chmury napływały znad morza, przemykając nad głową z ociężałym pośpiechem. Garbate, pokryte liszajami zwiedłych traw wydmy były jak obraz z sennego koszmaru — nieprzyjazne, wrogie, ponure. Chciał zawrócić — ale nie zawrócił. I odebrał swoją nagrodę...

Ujrzał ją u stóp takiej właśnie wydmy. Leżała na wznak, półnaga, z odrzuconym na bok lewym ramieniem i nogami zagrzebanymi w piasku... Wiatr opluwał jej twarz słonymi bryzgami, szarpał mokre włosy.

Albar stał nieruchomo, ze ściągniętymi brwiami, pozornie spokojny jak zawsze, ale z sercem bijącym mocno i nierówno. Oto była. Jak długo już leżała pod tą wydumą, czekając, aż ją znajdzie? Przemknęły mu przed oczami nieznośne trudy, jakich zaznał w ciągu minionych dni, i pożałował nagle, że to wszystko na próżno. Nie postawi jej przed sędziami Trybunału. Tanim, zbyt tanim kosztem wyłgała się od kary... Pośród narastającej, gorzkiej złości podszedł blisko i spojrzał w oszpeconą twarz leżącej. Ohydny oczodół zdawał się szydzić z jego prostej kapoty, skołtunionych włosów i niechlujnej brody.

Spojrzenie cesarskiego urzędnika, zwykle rozbiegane, teraz było

nieruchome i ostre jak sztylet. Nie wiedział dotąd, co znaczy nienawiść. Był ponad to. Tym razem... po raz pierwszy w życiu... pragnął nie kary, lecz zemsty.

Na zemstę było jednak za późno.

Gdy tak stał i patrzył, zaciskając zęby, dostrzegł kilka... dziwnych szczegółów. Dziewczyna nie była wychudzona. Nie było widać śladów rozkładu. Pochylił się nagle i dotknął ramienia, które było — ciepłe! Dostrzegł ruch piersi, która oddychała... i w tej samej chwili uderzyło go w twarz pełne grozy, jednookie spojrzenie!...

To, co wziął za śmierć, było snem.

Odskoczył do tyłu, w tej samej chwili zerwała się i ona. Stali bez ruchu; przez głowę Albara przemykało sto myśli. Jakim cudem, na Szerń?! Kim była ta istota śpiąca głęboko w ramionach zimnej wichury, zagrzebana w mokrym, ciężkim piachu, półnaga? Jakim cudem żyła?

Skoczył ku niej, ale była szybsza, wdrapywała się na wydмę. Parł jej śladem, zdołał pochwycić nogę, wokół której trzepotały strzępy mokrych, oblepionych piaskiem łachmanów. Stoczyli się na plażę. Walczyła z nim jak dzikie zwierzę, odpierał i zadawał ciosy zgrabiałymi z zimna dłońmi, czując pod sobą, to znów na sobie jej gorące, niewrażliwe zupełnie na chłód i wilgoć ciało.

Szamotali się długo, oboje przerażeni i pełni nienawiści, wreszcie złapał ją za szyję i dusił tak długo, aż przestała się ruszać. Powstał z ziemi, zlany zimnym potem, ale zaraz znowu opadł na kolana. Ciężko dysząc, patrzył na pokonaną istotę, która nie była, nie mogła być człowiekiem! Pokonał ją, ale teraz bał się zbliżyć, bał się dotknąć bezwładnego ciała, z przerażeniem myśląc, że znów poczuje jego szydercze ciepło.

Pokonał wreszcie strach, wydobył zza pazuchy sznur, który zawsze nosił przy sobie. Dygoczącymi dłońmi skrępował jej ręce i spętał nogi w sposób pozwalający na stawianie drobnych kroków. Wreszcie zarzucił pętlę na szyję, a drugi koniec sznura oplatał wokół nadgarstka. Usiadł w kukki i czekał, uważnie obserwując swoją zdobycz.

*

Ściśle dotrzymał słowa. Dyby zrobiono. Zakutą, przywiązano jeszcze łańcuchem do jednego z pali, na których rozwieszano sieci. Najpierw chciał ją trzymać w chałupie, gdzie kwaterował, ale po dwóch dniach

przeszła mu ochota; branka stękała i skowyczała po nocach jak zwierzę, ponadto trzeba było po niej sprzątać, i choć nie czynił tego osobiście, to obrzydły mu narzekania i kłótnie rybaków. Ci ludzie, obarczeni piątką cuchnących jak wszystko wokół dzieci, dość mieli już nawet jego samego... Poważnie zaczął się obawiać, że pewnego dnia, ukradkiem uwolnią jego „zdobycz”, byle tylko pozbyć się kłopotu. Trzymał więc brankę na zewnątrz. Pokazała już, że świetnie znosi wilgoć i zimno. Mogła robić to nadal.

Nawet nie próbował przesłuchać jej dotąd. Miał czas. Miał czas, otóż to właśnie, miał czas, miał, miał...

Teraz, gdy cel jego pobytu na wyspie został osiągnięty, Albar niezwykle dotkliwie odczuł prymitywne warunki, w których przyszło mu bytować. A miał przed sobą jeszcze pełne dwa miesiące wygnania... I chcąc nie chcąc, znów zaczął wspominać trzeźwe i rozsądne słowa Varda. Ilekroć spojrzał na schwytaną piratkę, odczuwał wielkie zadowolenie i świadomość, że postąpił właściwie. Ale jednak... Zapewne kajuta na cesarskim okręcie niewiele miała wspólnego z pałacem. Ale tam był porządek. Byli oficerowie. Mógł ich nie lubić, do takiego Varda czuł niechęć graniczącą z wrogością. Ale byli mu równi. Nawet prości żołnierze, należący w końcu do JEGO świata, byli sto razy lepsi od rybackiej hołoty. Już po kilku dniach od schwytania dziewczyny, bezczynne tkwienie w zapluskwionej norze dało mu się we znaki tak bardzo, że zaczął przemyśliwać nad możliwością wyrwania się z wyspy. Stosunkowo niezła pogoda utrzymywała się już drugi dzień. Kto wie?

Lecz pomysł był nierealny. Vard otrzymał od wieśniaków łódź, to prawda. Ale po pierwsze — jeden z majtków był synem tutejszego rybaka, po drugie zaś Vard jako oficer straży morskiej, zarekwirował łódź i wystawił kwit, z nadwyżką wyrównujący poniesioną przez wieśniaka stratę. Kasa garnizonu w Aheli obowiązana była honorować takie kwity — rybacy o tym wiedzieli. Gdy tymczasem on, urzędnik Cesarskiego Trybunału, miał niezwykle szerokie uprawnienia, ale egzekwować je mógł tylko poprzez dowódcę okrętu, na pokładzie którego pływał. O tym także rybacy wiedzieli.

Wreszcie — Vard potrzebował tylko łodzi, a on ponadto załogi. Wolni rybacy, jakimi byli Agarczycy, podlegali tylko cesarzowi, czyli w praktyce — dowódcy miejscowego garnizonu, który też nie wszystko

mógł im kazać. Byli nietykalni, jak wszyscy wolni ludzie Szereru. Dostarczali soloną rybę imperialnym poborcom, tak jak chłopci ziarno, wielorybnicy tłuszcz i fiszbin, a myśliwi zwierzynę — na tym kończyły się ich powinności. Trybunał, a więc i jego przedstawiciel, nie miał nad cuchnącym agarskim rybojadem żadnej władzy, przynajmniej tak długo, jak długo nie zostało naruszone prawo.

Mógł poprosić, ale nie rozkazać.

Albar jednak spróbował. Już po kilku słowach zamienionych ze starszym wioski uzyskał przykrą świadomość, że nic z tego. Miejscowi dość go mieli serdecznie, to prawda, uszczuplał bowiem ich skromne zapasy. Jednak awanturować się po morzu nikt nie miał ochoty...

Pozostało tylko czekać. Do zimy...

16.

Część załogi Varda wyszła z burzy cało. Raladan wiedział już, że oprócz kapitana przeżyło sześciu ludzi. I urzędnik na Małej Agarze.

Z tych sześciu żyło jeszcze czterech. Pierwszą dwójkę odnalazł w jednej z tawern...

Polowanie — bo trudno o lepsze słowo — zabierało mnóstwo czasu. Ahela nie była wielka, dość duża jednak, by szukanie pojedynczych ludzi, których imiona nic mu nie mówiły, było kwestią szczęśliwych przypadków. Miał pewność, że prędzej czy później odnajdzie i pozabija ich wszystkich. Ale czas — czas był cenny. Ci ludzie chodzili, gdzie im się podobało, i opowiadali, co tylko chcieli. O walkach z piratami, o upiornym wraku, o córce Demona Walki...

Wcześniej Raladan miał nadzieję, że nie ocalał nikt prócz Ridarety. Dalej myślał, że jeśli owe rachuby zawiodą, zdoła pozbyć się rozbitków jeszcze na Małej Agarze. Stało się jednak najgorsze: ludzie którzy znali ją, którzy znali jego — żyli i znajdowali się tutaj, w Aheli. Jak, na wszystkie morza, miał zapewnić dziewczynie bezpieczeństwo na wyspie, gdzie każdy pies wyszczekiwał opowieści o niej? Jak miał działać, skoro wokół krążyli ludzie znający go jako pilota pirackiego żaglowca? Rozumiał świetnie, że skoro wieść o córce Demona raz dotarła na Wielką Agarę — każdy ją tu natychmiast rozpozna. Ileż, na Szerń, jest na Agarach młodych, jednookich kobiet? Dopóty jednak, dopóki sam uchodził za martwego, sytuacja nie była beznadziejna. Musiał jednak pozbyć się ludzi, którzy mogliby go rozpoznać. Należało działać szybko; przecież na Małej Agarze również trwało polowanie...

Potrzebował najemników. Ale nie takich jak wielorybnicy, których najął — gruboskórnych, twardych, ale w gruncie rzeczy uczciwych. Potrzebował łajdaków, gotowych za złoto zrobić wszystko. Morderców. I to zręcznych morderców.

Nic prostszego. Wiedział, gdzie szukać...

Zagadnięty oberżysta ze zrozumieniem kiwnął głową.

— Po prostu posiedź tu trochę, przyjacielu — poradził; Raladan bez kłopotów udawał nisko urodzonego; nie chciał, by tytułowano go panem

w miejscach, gdzie mężczyzna Czystej Krwi, a nawet drobny szlachcic garyjski, natychmiast zwracał uwagę. — Posiedź i poczekaj. Zwykle jest ich tu pełno.

— Chodzi mi o kobietę, nie jakieś cuchnące pomyjami zwierzę.

— Na to trzeba pieniędzy.

— Mam trochę.

Karczmarz strzelił palcami. Raladan rzucił mu pół sztuki srebra.

— Bądź wieczorem w swojej izbie, przyjacielu. Przyślę ci kogoś, kto załatwi wszystko..

— Płacę, ale wymagam.

— Będziesz zadowolony.

Wieczorem odwiedził go człowiek wyglądający jak poczciwy, spokojny mieszczuch. Obrzucił Raladana uważnym spojrzeniem i zapytał:

— Szukasz godziwej rozrywki? Pilot potwierdził.

— Jaka to ma być kobieta? — Mieszczanin był konkretnym człowiekiem.

— Najdroższa.

— To kobieta szlachetnego rodu. Wyglądasz na byłego żołnierza...?

— Co to ma do rzeczy!

— Cena. Cena jest różna. Nisko urodzony musi zapłacić więcej. Ale ty wyglądasz na żołnierza: nie cuchniesz i znać po tobie pewną ogładę.

Raladan skinął głową; ten człowiek był spostrzegawczy.

— Byłem dziesiętnikiem straży morskiej — powiedział.

— Czy to ma być cała noc?

— Nie.

— A zatem dwie sztuki złota. Pilot skinął głową.

— Więc chodźmy.

Dom, w którym znaleźli się wkrótce, był jednym z najbogatszych w Aheli. Raladan został sam w ładnie urządzonej, choć tracącym nieco prowincją pokoju. Nie czekał długo. Człowiek, który go przywiódł, pojawił się wkrótce znowu.

— Tędy.

Raladan położył złoto na wyciągniętej dłoni i ruszył we wskazanym kierunku.

Pokój, do którego go doprowadzono, był raczej niewielki. Ciężkie

kotary w kolorze ciemnej czerwieni i łoże z baldachimem o tej samej barwie, zdawały się pochodzić z innego, znacznie większego pomieszczenia. W rozłożystym kandelabrze, stojącym w kącie, płonęły tylko trzy świece. Na łożu, z głową opartą o stos poduszek, leżała jasnowłosa, ładna kobieta. Mogła mieć lat trzydzieści trzy. Raladan zamknął drzwi i stał przy nich wyczekująco.

Kobieta obserwowała go w milczeniu, wreszcie uśmiechnęła się lekko.

— Powiedziano mi prawdę; widzę, że istotnie nie jesteś prostytutką. Wejdź dalej, proszę. Raladan skłonił lekko głowę i podszedł bliżej łoża.

— Jestem Ramon, pani — powiedział. — Czy mogę zapytać, ile klejnotów i złota kosztować mnie będzie ten wieczór?

Zmarszczyła brwi i uniosła się na łokciu. Lekka tunika odsłoniła drobną pierś.

— Jak to? Czy przy wejściu nie zażądano od ciebie...?

— Te dwie sztuki złota to zapłata dla twojego odźwiernego, pani. Jeśli moje oczy mówią prawdę, to sama rozmowa z waszą godnością musi kosztować dziesięć razy tyle.

Otworzyła usta, ale zamknęła je zaraz. Nagle roześmiała się głośno. Usiadła na łożu i zawołała:

— Na Szerń, panie, jeśli ty jesteś zwykłym żołnierzem, to ja jestem pasterką owiec! Jedyne komplementy, jakie tu słyszę, to te, które mówię swemu odbiciu w zwierciadle. Na tej wyspie jest może dziesięciu ludzi, którzy umieliby tak dobrać słowa i wypowiedzieć je tak czysto. Ale oni, niestety, u mnie nie bywają.

— Jestem żołnierzem, pani.

— A ja jestem dziwką, panie, ale mam rozum, choć może wydaje ci się to niezwykle. Ramon, czy tak? A pełne nazwisko...?

— Czy pytam o twoje, pani?

— Wszyscy je tu znają. Jestem Erra Alida. Ale dobrze. Nigdy nie nagabuję moich gości, jednak ty jesteś człowiekiem wyjątkowym... Wybacz, panie, kobiecą ciekawość. Nie zapytam już o nic.

Wstała i podeszła do mężczyzny. Była niska, lecz ładnie zbudowana. Raladan nie przyszedł, by się zabawić. Ale teraz nagle odczuł ogromne pożądanie; już nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz był z kobietą...

Bardzo rzadko tracił kontrolę nad sobą. Opanował się i teraz.

Delikatnie odsunął dłonie, które położyła mu na piersi.

— Przybyłem... w pewnej sprawie, pani. Przesunęła po wargach koniuszkiem języka.

— Nie w takiej. W innej.

Spojrzała mu w oczy i nagle zacisnęła usta. Wróciła do łóża, uśmiechając się ze złością.

— Oczywiście, obsługuję ludzi, na widok których robi mi się niedobrze. Ale gdy... Nie załatwiam żadnych „innych” spraw, panie. Raladan zatknął kciuki za pas.

— Nawet za sto pięćdziesiąt sztuk złota, pani? Złość powoli ustąpiła z jej twarzy.

— Powiedziałaś: sto pięćdziesiąt?

— Za usunięcie czterech ludzi. Myślę, że znalazłbym chętnych za sumę pięć razy mniejszą. Siedziała na łóżku, opierając plecy o poduszki.

— Więc dlaczego proponujesz sto pięćdziesiąt? Raladan kołysał się lekko na obcasach.

— Potrzebuję ludzi sprawnych, pewnych i szybko działających. Pijany opryszek z tawerny nie spełnia tych wymagań.

— Skąd wiesz, że znam takich ludzi? Pilot patrzył spokojnie.

— Kobieta taka jak ty zna wszystkich. Nawet jeśli sama nie zlecaś takich zadań, wskażesz mi człowieka, który to robi.

— Myślę, że w Aheli jest wiele osób, do których mógłbyś się zwrócić.

— Naprawdę, pani... A więc mam chodzić po Aheli i wypytywać o płatnych zabójców? Skinęła głową.

— No dobrze. Cóż to za ludzie, których trzeba się pozbyć?

— Dobiliśmy targu?

— Nie wiem. Co to za ludzie, których trzeba się pozbyć? — powtórzyła. Raladan wyjaśnił.

*

Vardem postanowił zająć się sam.

Najpierw jednak wypłacił swoim wielorybnikom zaliczkę. Chciał być pewien, że nie zrezygnują. Wiedział, jaką siłę ma pieniądz. Przehulają srebro w kilka dni, a potem tym dotkliwiej odczują, jak niedobrze jest go nie mieć...

Pogoda była fatalna. Nie zanosilo się na poprawę. Oto wyrzucał pieniądze garściami, by przyspieszyć bieg wypadków... i chyba

niepotrzebnie. Wyglądało na to, że czasu nie braknie. Być może mógł zaoszczędzić te sto pięćdziesiąt sztuk złota.

Z drugiej jednak strony, wolał krótko załatwić sprawę.

Alida była właściwym człowiekiem, miał niemal pewność, że robota zostanie wykonana szybko i dobrze. Ponadto — chyba skutecznie zacierał za sobą ślady. W jej oczach był jakimś tajemniczym, szlachetnie urodzonym Garyjczykiem, w tawernie uchodził za majtkę ze statku bogatego kupca, zaś wielorybnicy mieli go chyba za obieżyświata szukającego mocnych wrażeń... Dzięki temu istniała nadzieja, że nawet, gdyby coś nie wyszło, nikt nie zdoła powiązać owych nitek w jeden kłębek.

Ale gdzieś, w głębi duszy, tkwiła zadra. Czy popełnił jakiś poważny błąd? Jeśli tak, nie potrafił go dostrzec. Tylko to niejasne przeczucie...

Łatwo odnalazł dom Varda. Kapitan mieszkał z matką, a całą służbę stanowiła jedna dziewczyna. Dom był zaniedbany; Raladan łatwo odgadł, że żołd dowódcy agarskiego okrętu nie był szczególnie wysoki. Zapewne — Vard nie żył w nędzy. Ale utrzymanie dość obszernego w końcu domostwa, wymagało dochodów większych niż te, które były udziałem oficera Straży Morskiej Garry i Wysp na Agarach.

Vard nocował na terenie garnizonu straży morskiej. W domu bywał rzadko i zawsze za dnia — okoliczność dla pilota bardzo niepomyślna. W garnizonie kapitan był nieosiągalny; na ulicy, w biały dzień — również. Raladan postanowił czekać.

17.

Vard nie znał pragnień Raladana, mimo to częściowo je podzielał. Miał dosyć wojska, chciał już wrócić do domu. Uważał, że należy mu się urlop.

Ale w komendanturze straży morskiej pragnienia Varda nikogo nie obchodziły. W jednej, jedynej wyprawie Agary straciły całą swą flotę wojenną, będącą dumą obu wysp. Te okruchy ziemi pośród słonych przestworów, zaanektowane przez armecktańskich władców, oddające dalekiemu cesarstwu swoją miedź, oddające za bezcen tłuszcz wielorybi i fiszbin, nie miały już teraz nawet swej reprezentacji w imperialnych siłach morskich. Wojskowi dowódcy na Agarach, przeważnie Armecktańczycy, mogli nie podzielać głębokiego sentymentu, jaki miejscowi żywili do „swojej” eskadry. Ale liczyć się z nastrojami ludności, spośród której wywodziła się znaczna część żołnierzy — musieli.

Vard był jedynym oficerem, który powrócił z wyprawy. Musiał opisać — bardzo szczegółowo — wszystkie wydarzenia, jakie miały miejsce podczas rejsu. Młodzi, ambitni oficerowie, których ubiegł w drodze do awansu, próbowali obarczyć go winą za utratę okrętu. Majtkowie i żołnierze z załogi świadczyli na jego korzyść. Jednakże nie przesłuchano wszystkich. Jednego z żołnierzy, owego dzielnego pływaka, któremu cała reszta zawdzięczała życie, znaleziono martwego. Ponadto przepadł bez wieści marynarz. Ktoś za plecami Varda rzucił domysł, że pozbyto się ich, bo wiedzieli coś na temat okoliczności związanych z zagładą eskadry. Odrzucono pomówienie jako bezpodstawne. Ale plotka, raz puszczona, krążyła...

Vard składał coraz bardziej szczegółowe raporty z rosnącym gniewem. Oto wrócił ze zwycięskiej wyprawy. Zwycięskiej! Był Agarczykiem i — jak wszyscy — ciężko bolał nad utratą eskadry. Ale ta eskadra zniszczyła okręt, na który od lat polowały wszystkie floty imperium, największy i najsilniejszy żaglowiec Bezmiarów. I oto, zamiast zasłużonej nagrody, spotykały go ohydne pomówienia. Czuł gorycz i gniew.

Z kolei zajęto się roztrząsaniem sprawy Albara i piratki. Tu jednak

kapitan postawił się twardo. Jego obowiązkiem i prawem było po zakończeniu obławy (a zatem z początkiem jesieni) doprowadzić okręt, a skoro ten już nie istniał, załogę do portu macierzystego. Zrobił to. Urzędnik pozostał na Małej Agarze, bo miał do tego prawo, Vard natomiast nie mógł go zmusić do poniechania zamiaru. Poparł stanowisko kapitana sam komendant straży morskiej w Aheli, uznając podjęte działania za właściwe, rozsądne i słuszne. Potępił przy tym decyzję Albara, nazywając ją nadgorliwą i nie przemyślaną. Trybunał ujął się za swoim człowiekiem, doszło do jawnego zatargu, ale Varda zostawiono w spokoju.

Wciąż jednak otwarta była kwestia zatonięcia okrętu. Opowieść o spalonym, siejącym zagładę wraku, przywodziła na myśl raczej jakąś żeglarską legendę niż rzeczowy raport o utracie cesarskiego żaglowca. Jednak, ku niezadowoleniu osób badających sprawę, zarówno zeznania majtków, jak i żołnierzy, czy wreszcie samego Varda, pokrywały się w pełni. W komendanturze nie wiedziano, co z tym począć. Więc, na wszelki wypadek, raz jeszcze zarzucono Vardowi nieudolność...

Tego dnia po raz kolejny miało odbyć się przesłuchanie ocalałych członków załogi okrętu. Koło południa Vard udał się do budynku komendantury. Niósł mapy, starannie osłonięte przed deszczem, na których po raz dziesiąty wykreślił wszystkie kursy żaglowca, zaznaczył miejsce bitwy, miejsce spotkania z czarnym wrakiem, które określić mógł tylko w przybliżeniu, miejsce rozbicia kogi u brzegów Małej Agary i wiele innych szczegółów.

Zameldował się u komendanta.

Ik Berr był człowiekiem niezbyt błyskotliwym, służbista, cieszącym się jednakże opinią dobrego żołnierza i, co Vard cenił bardziej, człowieka uczciwego. Nie pochodził z Agarów, był Garyjczykiem — rzecz zupełnie wyjątkowa w wojskach imperialnych. Ale cechy, które podobały się Vardowi, niezbyt ceniono w Doronie, stolicy prowincji... i Berr wylądował w Aheli, na jednym z najmniej popularnych stanowisk w tej części Cesarstwa. Z perspektywy Dorony dalekie Agary były miejscem zesłania. I poniekąd tak to wyglądało w istocie. Tym bardziej, że garyjski mężczyzna szlachetnego rodu nie mógł liczyć na popularność na żadnej z wysp, a już chyba najmniej na Agarach.

A jednak... człowiek bardziej ambitny i sprytniejszy niż Berr mógł

sobie bardzo chwalić owo zesłanie. Trudno było bowiem o okręg, w którym komendant wojskowy cieszyłby się większą samodzielnością i władzą — niemal nieograniczoną. Formalnie funkcję zastępcy Berra pełnił komendant wojsk lądowych. Legionistów jednak na całych Agarach było coś dwudziestu, strażników zaś dwustu... Ponadto straż morską obsadzała — podobnie jak to miało miejsce w całym imperium — wszystkie miasta portowe. W przypadku Agarów sprowadzało się to do Aheli i osady wielorybników na południu, gdzie istniało coś w rodzaju dużej przystani. Ale Ahela była stolicą okręgu. W praktyce legioniści siedzieli w Arbie, pilnując więźniów i niewolników zatrudnionych w kopalniach. Człowiek sprytny... Berr jednakże nie był sprytny. Faktycznie władał Agarami niemal niepodzielnie, ale tylko w takim stopniu, w jakim owa władza wynikała z urzędowych uprawnień. Nie dążył do rozszerzenia swych wpływów. Nawet nie bogacił się. A mógł. Stojąc pośrodku pokoju, z rękami założonymi do tyłu, Berr myślał niemal o tym samym co Vard. Miał powody, by lękać się — nie o władzę, ale o możliwość pełnienia, w stopniu zadowalającym, obowiązków komendanta straży morskiej. Miniona wyprawa kosztowała go połowę żołnierzy i wielu oficerów. Kłopotami, jakie się pojawiają, gdy zamelduje o tym przełożonym w Doronie, na razie nie zaprzętał sobie głowy. Ale wdał się jeszcze dodatkowo w te wojnę z Trybunałem (zawsze sądził, że Trybunał ma stanowczo zbyt duży wpływ na wojsko; był temu zdecydowanie przeciwny i chętnie korzystał z każdej okazji, by utrzcę nosa szarym urzędnikom). No i wreszcie — ten konflikt między Vardem, niebyt lubianym z racji swego tubylczego pochodzenia, a częścią jego kadry.

Mógł ukręcić łeb sprawie; miał do tego prawo, a był głęboko przekonany, że kapitan należycie wywiązał się ze wszystkich swoich obowiązków. Lecz opowieść o czarnym widmie, taranującym okręty, rzeczywiście nie trzymała się kupy. Pozwolił na powołanie świadków, bo sądził, że nie ma innego wyjścia. Wtedy wynikła sprawa tego zabójstwa i drugiego — zniknięcia. Pomimo wszystko jednak, wezwał dziś Varda, by powiadomić go o odsunięciu wszystkich zarzutów. I teraz — ten nowy problem...

Wysłuchał regulaminowego meldunku, po czym, nie ruszając się z miejsca, powiedział otwarcie i krótko:

— Setniku Vard, twoi ludzie zniknęli. Wszyscy. Poszukiwani są od rana, jest już niemal pewne, że w mieście ich nie ma. Vard stał osłupiały, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Zostaw te mapy, wasza godność — rzekł komendant — i wracaj do swojej kwatery. Siedź tam. To nie jest żaden areszt zastrzegł szybko. — Jestem całkowicie przekonany, że nie masz z tymi zniknięciami nic wspólnego. Chodzi mi o twoje bezpieczeństwo.

Vard odwrócił się i wyszedł bez słowa, zupełnie zdruzgotany.

Całodzienne poszukiwania były bezowocne.

Siedząc w swej garnizonowej kwaterze, kapitan zachodził w głowę, co też mogło się stać. Majtkowie zwalniani byli ze służby z nastaniem jesieni — zatrzymywano zwykle tylko czterech albo pięciu, by dbali o stojący w porcie okręt. Pozostali mogli robić, co im się podobało. Teraz jednak, ze względu na toczące się śledztwo, marynarzy pozostawiono w służbie, mieli zakaz opuszczania Aheli, ponadto obowiązkiem ich było meldować się każdego ranka w garnizonie. Żołnierzy służba obowiązywała stale, poza okresem urlopu. Oprócz zamordowanego pływaka tylko jeden żołnierz powrócił do Aheli; ten jednak nie mógł się oddalić nigdzie, nawet na krok — odjęto mu nogę, złamaną jeszcze w czasie sztormu. Powracał do zdrowia w domu, oddalonym od portu o dwie ulice, pielęgnowany przez żonę i brata, znanego szewca... Właśnie jutro miano wypłacić mu poboczną rentę.

Vard zaklął. Co się dzieje, co się dzieje, na Szerń?! Komu mogło zależeć na śmierci — bo czuł, że jego ludzie nie żyją — kalekiego żołnierza i dwóch majtków? Komu?

Po raz pierwszy spojrzął na sprawę z innej strony. Dotąd rozważał owe zabójstwa (czy też zniknięcia) tylko na de owego niedorzecznego śledztwa... Ale było przecież coś jeszcze, co łączyło tych ludzi: udział w zatopieniu pirackiego okrętu. A jeśli...?

Oparł się o ścianę. Nie, to niedorzeczne, nikt nie mógł ocaleć z tamtego żaglowca. Ale — ta dziewczyna?... Bzdura, nie mogła przedostać się do Aheli w taką pogodę. Zresztą, musiałyby mieć tutaj swoich ludzi...

Zagryzł usta.

A jeśli to właśnie tak? Jakaś... zemsta? Przecież wieść o zagładzie okrętu Demona rozeszła się głośnym echem. Powiadano, że ten pirat nad piratami miał swoich zbirów wszędzie. Ale w takim razie jemu, Vardowi,

również groziło niebezpieczeństwo... I grozi nadal. Czyżby komendant Berr naprawdę mógł mieć słuszość?

Poczuł ciarki. Nie był tchórzem, o nie. Ale owa domniemana zemsta z za grobu wydała mu się niesłychanie ponura. Nagle teren garnizonu okazał się miejscem, jeśli nie przyjemnym, to przynajmniej bezpiecznym. W tej samej chwili pomyślał o matce. Jeśli te domysły były słuszne, to ona — ona znajdowała się w niebezpieczeństwie! Jakże łatwo było ugodzić go przez nią!...

Przypasał broń i wyszedł na dziedziniec. Przywołał dyżurnego.

— Dwóch ludzi w pełnym uzbrojeniu.

— Słucham, panie.

Postanowił sprowadzić ją tutaj. Na tak długo, aż sprawa się wyjaśni.

Ruszył do budynku komendantury. Berr wysłuchał go uważnie.

— Boję się, że możesz mieć rację. Oczywiście, sprowadź tu matkę. Ale może wystarczy, jeśli wyślesz ludzi?

— Nie, panie. Trudno, żebym żył tu jak w klatce, nie wiadomo jak długo. Jeśli dwaj uzbrojeni żołnierze i własny miecz nie zapewnią mi należytej ochrony, to już nie wiem, co mi ją zapewni. Zresztą, przecież to tylko mój domysł z tą zemstą.

— Domysł bardzo prawdopodobny... Ale daję ci wolną rękę. Vard. Ufam ci. Chcę, żebyś o tym wiedział.

— Dziękuję, komendancie.

W asyście uzbrojonych jak na wojnę żołnierzy — przy mieczach, z włóczniami i tarczami — przedzierając się przez deszcz i wichurę, kapitan doszedł do swojego domu. Zostawił żołnierzy przy drzwiach i wbiegł na piętro. Poprzedzany przez niosącą świecę służącą dotarł do drzwi pokoju matki. Zapukał lekko. Potem mocniej. Spojrzał na dziewczynę.

— Pani śpi?

Służąca patrzyła na schody, ujrzał przerażenie w jej oczach. Zdał sobie nagle sprawę, że dziewczyna była dziwnie milcząca i nieswoja, chociaż na pytanie, czy wszystko w porządku, odpowiedziała twierdząco... Uświadomiwszy to sobie w błysku krótkim jak okamgnienie, sięgnął po broń, jednocześnie biegnąc wzrokiem za spojrzeniem służącej. Znieruchomiał, z dłonią na mieczu. Dwaj mężczyźni stali na schodach, mierząc z kusz. Jeden z nich, nie spuszczać

oczu z Varda, wyciągnął rękę i łagodnie odebrał świecę z rąk przerażonej dziewczyny.

— Rozsądku, kapitanie — zaapelował spokojnie. — Twoja matka żyje, a czy stanie jej się coś złego, to zależy tylko od ciebie.

18.

Pośród wściekłej ulewy i wiatru, ponowna wyprawa do Arby była zwykłym koszmarem. Raladan musiał jednak odebrać resztę srebra od Balbona; wieści rozchodzą się szybko, zwłaszcza na takim skrawku lądu. Kupiec na pewno już słyszał o zatopieniu „Węża Morskiego”.

Pilot obawiał się kłopotów.

Jednak Balbon wypłacił srebro bez chwili zwłoki. Spozstrzegawczy Raladan zauważył, że istotnie wieść o rozgromieniu piratów dotarła już do Arby. Niemniej, sprytny kupiec prosperował w sercu wyspy zbyt dobrze, by kusić się o sprawdzenie, ile w opowieści jest prawdy i na ile (jeśli jest jej dużo) pilot pirackiego żaglowca zdoła zastąpić kapitana, w dziele wyprucia jego, kupca Balbona, wnętrzości.

Rozliczenie trwało krótką chwilę.

Raladan — przemoczony i zziębnięty, ale rad, że wszystko poszło gładko — wrócił do Aheli. Ukrył srebro. Był tego spory worek; srebro mniej zwracało uwagę niż złoto, ale musiał się solidnie nadźwigać.

Niedawno znalazł świetną kryjówkę — na starym cmentarzu, za wschodnim murem miasta. Miejsce cieszyło się złą sławą, gadano coś o upiorach. Monety, gdyby rozsypał je o zmierzchu przy samej bramie, leżałyby nietknięte do rana; mógł w nocy grzebać w zapadniętym grobowcu bez świadków.

W swojej tawernie przebrał się w suchą odzież. Była już głucha noc, gdy znalazł się przed znanym sobie domem. Był umówiony.

Nie musiał czekać długo. Wystarczyło lekkie stuknięcie i wpuszczono go do środka. Po kilku chwilach stał, z ciężką od wilgoci peleryną przerzuconą przez ramię, w purpurowej sypialni. Znów uderzyły go rozmiary ciężkich kotar, nie pasujących do przytulnego, niewielkiego wnętrza. Były prowincjonalne — podobnie jak baldachim, podobnie jak wszystkie pokoje w tym domu. Widywał wnętrza pałaców magnackich, kantorów kupieckich i domów publicznych w całym imperium; każdej jesieni, gdy „Wąż Morski” stał bezpiecznie ukryty, wraz z Rapisem szukali w takich miejscach strachu, który dało się przekuć na złoto, albo też — cenniejszych czasem od strachu i złota — poufnych

wiadomości.

Ale takich kotar — wielkich, pokrywających dwie ściany pokoju i równie ciężkiego baldachimu — nie widział nigdy dotąd. To musiał być jakiś agarski wynalazek. Owszem, purpura była modna w Armeckie. Przed dziesięciu laty...

Powiesił płaszcz na jednym z wielkich ramion kandelabru, w rogu pokoju, i stał cierpliwie, zatknąwszy kciuki za pas. Nie czekał długo.

— Witam, tajemniczy zleceniodawco — powiedziała, wchodząc do pokoju. — Mam dobre nowiny.

Zamknęła za sobą drzwi. Ubrana była w błękitną suknię o dziwnie nieśmiałym, dziewczęcym kroju. Na plecy opadał zwykły warkocz, przepleciony wstążką. Spojrzał na jej twarz i pomyślał, że właściwie trudno ocenić wiek tej kobiety. Mogła mieć lat trzydzieści parę, jak najpierw sądził, ale może też — dwadzieścia osiem. Teraz wyglądała na jeszcze mniej, ale w to już nie wierzył.

— Czemu tak patrzysz, panie? Zrobił lekki ruch ręką.

— Wybacz, pani. Zachowuję się jak prostak... Ale czy pozwolisz, bym jeszcze przez chwilę prostakiem pozostał?

Przechyliła nieco głowę. Lecz w spojrzeniu mężczyzny było tylko szczerze potwierdzenie komplementu, nic więcej.

— Mężczyzna, który tak potrafi spojrzeć na kobietę, nie wie, co to prostactwo — powiedziała niegłośnie, z rumieńcem — Jestem zupełnie pewna.

Po paśmie niepowodzeń, pośród piętrzących się kłopotów i trudności, wreszcie dwie sprawy naraz poszły po jego myśli. Kupiec oddał pieniądze. Zleczone zadanie wykonano. Był rozluźniony i w dobrym, bardzo dobrym nastroju. Znajdował dziwną przyjemność w rozmowie z tą kobietą; może dlatego, że język tych rozmów tak bardzo różnił się od tego, z jakim miał do czynienia na co dzień od tylu, tylu lat? Była naprawdę rozumna... Wiedział, że wielu bywalców wielkiego świata nie potrafi złożyć najprostszego komplementu, by nie trącił on natychmiast infantylizmem. Tu nie wystarczało wychowanie. Potrzebny był jeszcze rozum. A ona go miała. W tym prowincjonalnym domu w pokoju z baldachimem wielkim jak Bezmiary — ona prowincjonalna nie była... Ladacznica z wyspiarskiego miasteczka.

Poczuł nagłe uczucie niepokoju. Skłonił się lekko, wyrażając jej

zarówno podziękowanie, jak i uznanie, ale ciepło dobrego, beztróskiego niemal nastroju uleciało gdzieś bez śladu.

Znowu spojrział na nią i spotkał jej oczy. Pojął nagle, że ich myśli są — identyczne...

Patrzyli, milcząc.

— Bawimy się — powiedziała wreszcie. Skinął głową. Zatknął dłonie za pas.

— Czasem nie wiem, czy wolę cię jako tajemniczego mężczyznę wysokiego rodu, czy też jako... Pieniądze.

Wyjął brzęczący trzos. Razem z tym, jaki dał jej poprzednio sto pięćdziesiąt sztuk złota.

Rzuciła woreczek na łożo. Spojrział na złoty warkocz i przeklął się w duchu. Na wszystkie morza świata, która ze znanych mu prowincjuszek odważyłaby się nosić warkocz, jak jakaś chłopka? Sto fryzur, modnych i nie, pomysłowych i nie, dobranych i nie... ale nigdy warkocz!

— Kim jesteś, Alida? — zapytał, choć nie powinien. Podeszła do kandelabru, dotknęła grubej, mokrej peleryny.

— Jeśli powiem... czy zrobisz to samo? Pokręcił głową. Powtórzyła jego gest.

— No to, w takim razie, jestem tylko dziwką, Raladan. Cofnął się o pół kroku na dźwięk swego imienia.

— No cóż, nie jesteś taki mądry, jak ci się wydaje... piracie. Mimo to porozmawiajmy. Kim naprawdę jest ta dziewczyna? I co z tym skarbem?

Ruszył ku niej powoli.

— Nie podchodź — ostrzegła. — Zginiesz, zanim zdążysz to pojąć... Ten pokój kryje niespodzianki, Raladan. Spojrział za siebie, pojmując w jednej chwili.

— Właśnie. Kotary... — przytwierdziła spokojnie.

— Co za nimi? Czterech? To może być za mało — zauważył drwiąco.

— Wystarczyłby jeden z kuszą. Bądź rozsądny.

— Skąd wiesz? O skarbie i o dziewczynie.

— Nie domyślasz się? Naprawdę, miałam cię za rozumniejszego... Dobrą rzeczą jest zabić za sto pięćdziesiąt sztuk złota, ale jeszcze lepszą: dowiedzieć się, za co tyle zapłacono. Ci ludzie żyją, Raladan. Ale... mam ich wszystkich. Wszystkich — podkreśliła.

Drgnął, uderzony nagłą myślą. Skinęła głową.

— Kapitana też. Patrzył w milczeniu.

— Pomyśl, co się stanie, jeśli ci ludzie odzyskają wolność, wiedząc o tobie. To są Agary, tu nie ma gdzie się schować. I nie ma jak stąd uciec. Myślisz, że straż morska pozwoli ci zimą wsiąść na statek i odpłynąć?

Pokręcił lekko głową.

— Oto kobieta, którą warto mieć... Dlaczego cię wtedy nie wziąłem? Zapłaciłem uczciwie. I, na wszystkie morza, miałem ochotę!

— Trzeba było. Trzeba było, naprawdę. Patrzyli.

— Myślę, że ubijemy interes.

*

Wiatr wył za oknem.

— Lubię złoto — powiedziała. — Ten skarb... naprawdę istnieje?

— Nie. No, skądże? Szlachetna Alido, przecież Demon był krawcem, zwykłym, ubogim krawcem... Ot, schował sobie parę miedziaków, ale zaraz skarb?

Ze śmiechem uderzyła go w pierś.

— Kpisz, naprawdę, ty umiesz żartować, morski ogierze!

— Posiadam wiele umiejętności.

— Mhm... poznałam niektóre...

Powoli wodziła palcem wzdłuż jego ramienia.

— Jak kamień — szepnęła w zadumie. — Widziałam wielu nagich mężczyzn... Większych, potężniejszych... Ale ty nie jesteś wysoki, a twoje ramiona... brzuch... Jak kamienie. Jakim cudem nie zostałam zmiądzona?

— Ten cud jest za kotarą... Właśnie, czy on ciągle tam stoi? Zaśmiała się.

— On nie myśli. To pies, kochanie. Zabójca. Rozerwałby cię na strzępy.

— Duży?

Uniosła się na łokciu.

— Zabójca — powtórzyła. — Nie słyszałeś? Niemożliwe, żebyś nie słyszał? Słyszał. Od jakiegoś czasu podejrzewał coś podobnego.

— Basog? Pies-niedźwiedź? Pokręciła głową.

— Nie, basogi są z Czarnego Wybrzeża, tylko Przyjęci je trzymają. To zabójca, aha!, urodzony w Złym Kraju, jak i basog. Naprawdę nie słyszałeś? Pies bez duszy, stworzony, by słuchać.

Jeśli każesz mu leżeć, będzie leżał. Do śmierci. Pozwoli spalić się

żywcem.

— Zagryzł już kogoś?

— Po co pytasz?

Spojrzała z rozbudzoną nieufnością.

— Ejże?... Pokręcił głową.

— Pewnego dnia — powiedział — jakaś pijana kreatura udusi cię poduszką za jedyne dwie albo trzy sztuki złota. Tu, w tym łóżku. Pod nosem twojego ahala.

*

Nie wierzył jej, oczywiście.

Co właściwie kryło się za tą niezwykłą umową? Przecież wiedziała doskonale, że może go trzymać w garści do końca jesieni, nie dłużej. Potem — czy całe Agary będą rozbrzmiewać wieścią, że pilot Raladan żyje, czy też nie — stanie się obojętne. Gdy wypłyną, straci nad nim kontrolę.

„A zatem... będzie musiała mnie zabić — myślał Raladan. Ale, na Szerń, przecież ona wie, że ja to wiem... Co się za tym kryje?”

Deszcz i wiatr znów przybrały na sile, pilot szczerzej otulił się peleryną. Spojrzał w niebo. Cóż, wyglądało na to, że będzie miał trochę czasu na wyjaśnienie zagadki... Przekłęta pogoda!

Dręczyła go własna bezsilność. Tam, na wyspie, której brzegi w pogodny dzień łatwo by ujrzał z północnego wybrzeża, ginęła z zimna i głodu dziewczyna, za której los był odpowiedzialny. Z zimna i głodu, a może od tortur. Nie mógł nic zrobić. Umiał walczyć z ludźmi, ale — choć kaprysy powietrza i wody znał pewnie lepiej niż ktokolwiek inny — nie miał wpływu na żywioł. Sztorm był sztormem. Podczas pogodnego jesiennego dnia, podróż między wyspami agarskiego archipelagu była ryzykowna. Ale przeprawa podczas burzy nie mogła się udać. Tak wzburzone morze nie dawało szansy. Najmniejszej. Żadnej.

Mógł tylko czekać.

Pomyślał nagle, że gdyby nie piętrzące się wokół trudności, które nie pozwalały siedzieć z założonymi rękami, chyba by oszalał.

Bezczynność, wróg oczekujących, pchnęłaby go może do czynów, nie mających nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Skręcił w boczną uliczkę, ostrożnie spoglądając na drogę, którą przebył. Wśród nielicznych, przemykających wzdłuż murów, owiniętych

w płaszcze postaci, jedna zwróciła jego uwagę. Poszedł dalej i znów skręcił. Przystanął przy ścianie narożnego domu i czekał.

Po niedługiej chwili zza węgła wychyliła się głowa, osłonięta kapturem. Pilot pochwycił ten kaptur i przyciągnął mężczyznę do siebie. Chwycił za odzienie na piersi.

— Człowieku — rzekł — powiedz swojej pani, że... słuchasz? że nie zabijam psów, ale mogę zmienić zwyczaje.

Tamten chciał odsunąć trzymającą go rękę, lecz nie zdołał. Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, zmarszczył brwi i otworzył usta, chcąc coś powiedzieć. W tej samej chwili Raladan uniósł drugą rękę i wetknął mu w usta trzonek noża. Popchnął aż do gardła i trzymał krztuszącego się mężczyznę tak długo, aż ten zaczął wymiotować.

— Następnym razem użyję drugiej strony. Ale wtedy porzygasz się krwią.

Wytarł nóż o płaszcz skulonego szpicla, kopnął go i odszedł.

Znów powrócił myślą do Alidy i dziwnej umowy. Wspólnie mieli wydobyć z córki Demona całą prawdę o skarbie. Później mieli go razem poszukać. Na Szerń, przecież chyba nie spodziewała się, że jej uwierzy?

Uśmiechnął się krzywo.

Skarb, skarb Demona Walki, o którym wiedziała jego córka... Wymyślił to kłamstwo, by nie zabili jej strażnicy. Miało długi żywot... Może dlatego, że było kłamstwem najlepszego gatunku, kłamstwem prawdziwym.

O skarbach Króla Bezmiarów opowiadano od lat w każdym porcie, w każdej chyba tawernie Cesarstwa. Pirat musiał mieć skarby, a już człowiek, którego zwano Królem Mórz...

Raladan jeszcze raz uśmiechnął się do swych myśli.

Oczywiście, że Rapis miał skarby. Ale to nie Ridareta wiedziała, gdzie ich szukać...

Testament Demona miał dwa punkty.

*

Oczywiście, nie było żadnego ahala. Och, gdyby mogła sobie pozwolić na psa kosztującego tyle co trzy albo cztery niewolnice, nie siedziałyby w tej dziurze i nie musiały zajmować się tą parszywą robotą... Za kotarą była wnęka prowadząca do schodów. Te z kolei wiodły do drzwi na tyłach domu. Niektórzy jej goście nie życzyli sobie wchodzić czy

wychodzić frontowymi drzwiami.

Leżała pod ogromnym baldachimem, rozmyślając.

Nie uwierzył jej, oczywiście. I dobrze. Właśnie o to chodziło. Prawda jest najlepszym kłamstwem — odkryła to dawno. Inna rzecz, że nie zawsze trzeba odsłonić ją całą...

Nie zamierzała go zabijać, nie, po co? Był żeglarzem, zdaje się, że dobrze znał morza. Potrzebowała takiego człowieka. Przecież nie kupi okrętu i nie będzie sama pływać po Bezmiarach w poszukiwaniu jakiejś wysepki. Oczywiście, nie mogła wypuścić Raladana z Agarów bez zapewnienia sobie pewnych gwarancji. Ale będzie miała najlepsze gwarancje: będzie miała JĄ!

Znała mężczyzn, och, na wszystkie moce, znała ich na wylot... Z tego, co powiedzieli porwani majtkowie, z tego, co powiedział sam Raladan, wynikało jedno: skarb był ważny, ale ważniejsza była ona.

Alida uniosła brwi. Jednooka dziewczyna?

Wzruszyła ramionami z lekkim niedowierzaniem. Zresztą, wszystko jedno. Najpierw musiała mieć oboje tutaj.

Była pewna, że Raladan traktuje groźbę serio. Agary rzeczywiście były małe. Jak długo zdołaliby się ukryć — poszukiwany mężczyzna i jednooka kobieta? Ucieczka? Jak? Straż morską przeszuka każdy żaglowiec odpływający z Aheli, wyznaczy nagrody za ich wskazanie... Żaden kapitan nie weźmie na pokład takiej pary. Śmieszyło ją trochę, że żołnierze są w jej ręku narzędziem. Mimo że porwała jednego z nich, i to oficera! Nie lubiła wojska, wojskowi byli tacy niezręczni... I jeszcze teraz ta wojna, którą toczył ten głupiec Berr z Trybunałem! O kogo?

O tępego Albara...

Wróciła do swoich rozważań.

A zatem: pirat i dziewczyna muszą przyjść do niej.

Wiedziała, że Raladan będzie próbował ją zabić. Ale przecież to nie takie proste... Poza tym on ciągle błądzi po omacku, nie wierzy w ich umowę i szuka nie wiadomo czego. Ależ potraktował jej szpicla!

Roześmiała się cicho, ale zaraz zacisnęła usta.

A był moment, gdy naprawdę gotowa była powiedzieć mu wszystko... Potrzebowała kogoś, kto pomógłby jej wyrwać się z tej przeklętej wyspy. Tutaj nie było przyszłości. Ani dla prostytutki, ani dla... nikogo.

*

O, zdąży jeszcze dopiąć swego... Sam będzie prosił tą małą, by powiedziała o skarbie. A potem popłynie. Po złoto dla Alidy. Cóż za spółka, dziwka i pirat! Ciekawe... Tylko ta mała jednooka piratka! O co tu chodziło? Gdzieś, pod sercem, zakiełkowało przykre, niewygodne uczucie... i Alida rozpoznała je. Zawsze potrafiła mówić sobie prawdę.

Zazdrość.

To nie miało sensu. Widziała tego człowieka zaledwie dwa razy w życiu...

— Więc co z tego? — zapytała siebie głośno.

Widziała w życiu niejedno. Widywała mężczyzn, którzy w ciągu jednego wieczoru potrafili zakochać się — w dziwce. Było dla niej jasne (choć niewygodne!), że to może działać w obie strony.

Roześmiała się kwaśno.

— Przejdzie ci, Alida — obiecała sobie. — Małe, śmieszne zadurzenie, nic więcej. To się czasem zdarza każdemu. Leżała, patrząc na ciężki, ciemnoczerwony baldachim.

19.

— Nie wiem, brachu. — Potężny Bedan wzruszył ramionami. Nie wiem.

Raladan w zamyśleniu mierzył wzrokiem okazałą postać wielorybnika.

— Co ci znowu? Nie płyniemy już na Małą, co, brachu?

— Płyniemy.

Bedan zamilkł. Nagle poruszył ramionami.

— Ty, brachu, a na Przeklętym?

— Jakim „przeklętym”?

— No, Przeklętym... Zaraz za murem, no przecie, cmentarz taki... Nie wiesz? Może tam?

Raladana olśniło. W nagłym odruchu sięgnął do sakiewki przy pasie. Wstał.

— Tam — powiedział, wysupłując garść srebra. Położył monety na stole. — Tam, przyjacielu. Pij i jedz. Jeśli naprawdę tam, dostaniesz drugie tyle.

Twarz Bedana rozjaśniła się.

— Uczciwyś, brachu!

Raladan skinął ręką i prawie biegiem opuścił tawernę. Dopiero na ulicy opanował się. Należało działać spokojnie.

Oczywiście, miejsce było wymarzone. Cmentarz. Mógł tam schować kruszec — można tam było trzymać i jeńców. Widział wiele okazałych grobowców. Nawet wołanie o pomoc niewiele mogło pomóc uwięzionemu; ahelczycy omijali to miejsce z powodu jakiejś bajędy, coś dopiero, gdyby z grobowców zaczęły dolatywać wołania... Znakomite miejsce. Rzecz jasna, nie jedyne, mógł jeszcze srodze się zawieść. Wątpił jednak, by pięciu mężczyzn, w tym kapitana straży morskiej, trzymano w jakimś domu. Cóż by się stało, gdyby zdołali odzyskać swobodę? Dom natychmiast zajęliby żołnierze, a urzędnicy Trybunału przesłuchali wszystkich. Po nitce do kłębka... Mało prawdopodobne, by Alida nie liczyła się i z taką ewentualnością.

Najpierw poszedł „do siebie”, jak już zwykł był myśleć o wynajętej

izbie. Zamówił suty posiłek, zjadł, popił. Potem wyspał się solidnie. Było już po północy, gdy opuścił tawemę. Przez plecy, zakryty płaszczem, przewieszony miał zwój liny. O tej porze bramy miasta były pozamykane, musiał poradzić sobie inaczej. Lina mogła się przydać. Być może zresztą nie tylko przy pokonywaniu muru...

Trochę trwało, nim dotarł na stary cmentarz. „Przeklęty”... Wszędzie pienieło się zielsko, mnóstwo zielska. Znał tylko fragment cmentarza, ten akurat, gdzie było go najmniej. Tutaj, w środkowej części, przedzierał się, zanurzony w chwastach po pachy. Deptał pagóreczki, które kiedyś były mogiłami, czasem potykał się o wrosnięte w ziemię kamienne płyty. Tu i ówdzie majaczyły, ciemniejsze od nocy, bryły na pół rozwalonych grobowców.

Przestało padać. Ale wiatr zawodził upiornie i Raladan pomyślał, że miejsce to, w ciemności, pośród wichru, istotnie jest niesamowite. Nie lękał się ludzi. Ale znał kaprysy Szerni; skoro nawet twardy wielorybnik nazywał to miejsce przeklętym (a w głosie jego znać było, że nie chodzi tylko o nazwę)... Być może działy się tu kiedyś jakieś dziwne rzeczy.

Szukał światła. Choćby wątlęgo, malutkiego ogieńka. Wiedział oczywiście, że ludzie Alidy nie będą palić ogniska. Ale, na wszystkie sztormy, nie wyobrażał sobie człowieka, obojętne jak odważnego, który siedziałby w którymś z tych grobowców — po ciemku. Pośród zawodzenia wichury i setek innych dźwięków, kojarzących się a to z ciężkimi krokami, a to ze zgrzytaniem kamieni nagrobnych... Teraz... teraz naprawdę słyszał głosy...

Przystanął. Tych głosów nie wydawały ludzkie gardła, brzmiało to jak rozmowa, bardzo niewyraźna, a przecież przebijająca jakoś spod szumu wiatru. Wydawało się, że słowa dochodzą zewsząd...

”Wiatr. Wiatr w szczelinach między kamieniami” — rzekł sobie.

Stał i słuchał. To istotnie musiał być wiatr. Wyobraźnia, tu w tym miejscu, była bardzo groźnym wrogiem.

Miał już dosyć tego szukania. Ruszył jednak dalej. Rozmiękła ziemia chwytiała stopy, czasem zapadał się wraz z nią w dół, niemal czując, jak gdzieś tam pod nim pęka przegniłe wieko trumny, a ciężar ziemi i jego samego rozgniała coś, co kiedyś było człowiekiem. To znów chwytął ręką mokry, zimny i omszały kamień nagrobny, utrzymując równowagę po zaplątniu się w coś, co było zapewne chwastem... ale mogło być, na dobrą

sprawę czymkolwiek.

Ujrzał światło. Tak mizerne, tak delikatne, że zaiste tylko przypadek mógł mu je ukazać. Zrobił krok i światło zniknęło. Wrócił. O dwadzieścia, może trzydzieści kroków, między wysokimi drzewami, był grobowiec. Nie potrafił ocenić kształtu ani wielkości, nawet jego sobie oczy niewiele mogły zdziałać w bezksiężycowej nocy. Światło sączyło się przez jakieś szczeliny w kamieniu, wąskie i nierówne. Utkwił spojrzenie w owych wysokich drzewach i, potykając się, poszedł. Znow stracił z oczu wąty poblask, ale już wiedział, że trafi.

Grobowiec był olbrzymi. Teraz, w obliczu żywego i zapewne groźnego przeciwnika, zawodzący wichur stał się sprzymierzeńcem. Raladan bez większych środków ostrożności obszedł grobowiec dokoła, szukając wejścia. Znalazł. Drzwi, choć pokryte mchem i nasiąknięte wodą, wydawały się solidne. Odnalazł dotykiem duży, metalowy pierścień i pociągnął. Nie drgnęły.

Czy było jakieś hasło?

Nie miał wyjścia. Uniósł pięść i załomotał energicznie.

— Hej! Może łyczek gorzałki?! — wrzasnął tubalnie.

Czekał w napięciu. Udowodnił już chyba, że nie jest upiorem... ale czy udowodnił, że jest tym, kogo można wpuścić?

Drzwi skrzypnęły. Ze środka padło jakieś imię i śmiech. Raladan pochylił zakapturzoną głowę i wszedł.

— Jużem myślał...

Raladan uderzył. Mężczyzna stęknął i zrobił krok do tyłu, gruby pled zsunął mu się z ramion. Przycisnął rękę do brzucha, w którym ziała rana od noża i przewrócił się.

W migotliwym blasku starannie osłoniętego kaganka pilot ujrzał jeszcze jednego człowieka, odrzucającego gruby płaszcz. Pośród steku przekleństw mężczyzna ów chwycił krótki, wojskowy miecz. Nie skoczył natychmiast, patrzył czujnie. Raladan poznał, że ten człowiek potrafi zabijać. Wyzwolił się z peleryny i niespodziewanie cisnął nóż szybkim ruchem od dołu. Tamten uchylił się zręcznie. Nadal mamrotał swoje przekleństwa, ale także — uśmiechał się...

Pirat wy dobył dwa noże zza cholew. Czekał.

Przeciwnik zaatakował niezwykle szybko, bo sztychem, ale tego właśnie Raladan się spodziewał. Oskoczył w bok i pchnął nożem, lecz

przebił powietrze. Poszedł za ciosem, okręcając się wokół własnej osi — i znów przeciął powietrze. Lecz tamten, odskakując, zostawił trochę miejsca i Raladan nie czekał: ryzykując, że nadzieje się prosto na miecz, skoczył na przeciwnika i zdołał go pochwycić. Wbił nóż w plecy, ale w tej samej chwili odczuł siłę ciosu, zadanego, z braku miejsca, rękojeścią miecza. Na chwilę stracił przytomność; gdy znów przejrzał na oczy, siedział pod ścianą. Czuł miazdzący ból kości policzkowej. Odruchowo sięgnął ręką i poczuł krew.

Tamten leżał bez ruchu, ale zaraz drgnął słabo i wyciągnął rękę Raladan podniósł się i przyklęknął.

— Będziesz żył — mruknął niewyraźnie, bo twarz miał jak z ołowiu. Krew kapiała na plecy pokonanego. — Przynajmniej... jeszcze parę dni...

Wyrwał nóż, tkwiący bardziej w boku niż w plecach. Tamten jęknął i zemdlał. Raladan jako tako opatrzył ranę, po czym lekko skrępował ręce i nogi leżącego. Otarł krew z twarzy i obmacał kość. Była cała.

Zamknął drzwi na solidną, przymocowaną chyba niedawno zasuwę. Potem rozejrzał się dokoła. Słabiutkie światło wyłaniało z ciemności tylko ogólne zarysy dużej krypty z ciężkim sarkofagiem pośrodku. Ostatnio jego płyta służyła za stół: leżała tam kiełbasa i pół bochenka chleba. Obok komplet kości do gry.

Po prawej i lewej stronie niezbyt szerokie, łukowate otwory, prowadziły do bocznych, chyba mniejszych pomieszczeń. Raladan wziął kaganek i osłaniając go ręką wszedł do lewego. Trzy pary oczu patrzyły z przerażeniem i zdumieniem. Poznali go, podobnie jak on ich — ludzie z kogi Varda. Czwartego człowieka dostrzegł po chwili. Leżał nieruchomo, związany jak pozostali. Pilot pochylił się i dostrzegł, że brak mu jednej nogi.

Tak czy inaczej — był martwy.

Poświecił dokoła, ale nie znalazł już nic godnego uwagi, poza kłębkami szmat, którymi za dnia zapewne kneblowano więźniów.

— Nie przyszedłem, żeby was zabić — powiedział. Zauważył ich ulgę.

Przeszedł do prawej krypty. Była pusta... Obszedł ją dokoła. Pośrodku stał sarkofag, większy niż ten, który widział najpierw.

I nic więcej.

Gdzie był Vard?...

Już wychodził, by zapytać tamtych. Nagle przystanął i odwrócił się powoli... Kamienna, pęknięta w poprzek płyta leżała nierówno.

Postawił kaganek na sarkofagu i pchnął mniejszą część nagrobnej, granitowej tafli. Ustąpiła ze zgrzytem i z hukiem spadła w dół. Głos uwiązał pilotowi w gardle. Cofnął się okrok, ale w następnej chwili porwał nóż i po omacku, nie mogąc oderwać wzroku od szalonych oczu tamtego, przeciął więzy i wyrwał knebel. Nieludzki krzyk uderzył w sklepienie grobowca.

Raladan włożył Varda i zgrzytając z przerażenia zębami, trzymał w ramionach oszalałego z trwogi, płaczącego mężczyznę, którego znał jako dzielnego żołnierza.

Znał tę chorobę. Chorobę ciasnych pomieszczeń.

*

Siedzieli na zewnątrz grobowca, oparci o zimną, kamienną ścianę, chłostani mokrym wiatrem. Raladan przemarzał solidnie, ale dla tamtego ten upiorny cmentarz, ta ponura noc i lodowaty wichur były życiem. Wolnością.

— Czas płynie — rzekł wreszcie pilot, krzywiąc się nieco; policzek drętwiał mu z bólu. — Pora porozmawiać.

Nie widział twarzy oficera, ale głos, choć słaby, nie był już głosem szaleńca:

— Zawdzięczam ci życie, Raladan. Chcę, żebyś...

— Znam to uczucie. Oszalałbym, gdyby mnie tak zamknięto. Nie mówmy o tym. Wiatr porywał słowa.

— Czas płynie — powtórzył po chwili pirat. — Bez względu na to, co dotąd zaszło... teraz słuchaj mnie, panie, uważnie. Wiele istnień zależy od tego, czy się dzisiaj zgodzimy, czy nie.

Urwał.

— Mam dość zabijania — ciągnął. — Nie dlatego, że stałem się naraz człowiekiem poczciwym. Jestem jaki jestem. Przyczyna jest inna, bardzo prosta: to wszystko prowadzi donikąd. A więc chcę znaleźć sposób na wyjście z pułapki. Oto cała prawda, kapitanie Vard: nigdy nie byłem jeńcem na „Wężu”. Jestem piratem, a trupów, które zostawiłem za sobą, nawet nie ma co liczyć. Ale jest coś jeszcze, co dotyczy nas obu... Ridareta jest córką Demona. Mimo to nigdy nie zrobiła nikomu nic złego. Jest niewinna. I nic nie wie o żadnym skarbie, wymyśliłem to, żebyście

dziewczyny nie powiesili na rei... Jej ojciec przed śmiercią zlecił mi nad nią opiekę. Jak dotąd, marna ta opieka... Niemniej, panie, jeśli kiedykolwiek w życiu służyłem jakiejś sprawie, którą miałbyś za dobrą i słuszną, w swoim rozumieniu... to teraz. Vard milczał.

— Zabiłem dwóch twoich ludzi, zleciłem zamordowanie tych czterech. Chciałem zabić ciebie. Wszystko po to, by wydostać ją z tej przeklętej wyspy, na której została z tym psem gończym, zabrać tutaj, a z nastaniem zimy wywieźć z Aheli. Oto wszystko.

Deszcz wracał powoli.

— Czego oczekujesz? Czemu mam ci wierzyć?

— Czy to może być kłamstwo? Pomyśl, kapitanie: czy to, co powiedziałem, ma jakikolwiek sens jako kłamstwo? Pochylił się.

— Vard. Byliśmy kiedyś przyjaciółmi. Wiele się zmieniło. Ty wierzysz w jakąś uczciwość, sprawiedliwość... Więc odwołuję się do tego. Chcę ocalić niewinną dziewczynę, prawie dziecko. W zamian dam ci prawdziwą morderczynię, mieszkającą tu w Aheli; tę, dzięki której ty i twoi ludzie znaleźliście się tutaj... Dam ci dowody. Świadców. Jeden leży związany, ranny, ale chyba wyżyje. I dam ci coś jeszcze, Vard. Dam ci życie twoje i tamtych. Jeśli nie dojdziemy do porozumienia, zginiecie. Tymi sinymi od sznura rękami nie zdołasz mi przeszkodzić. Cztery życia za jedno. Ponadto sprawiedliwość, jeśli tak nazywa się loch dla tej kobiety. Czego oczekuję? Niczego. Nie chcę pomocy. Obiecay tylko, że mi nie przeszkodzisz.

Z nieba spadały istne potoki wody.

Vard milczał.

— Jeszcze wątpisz, kapitanie? Wiec słuchaj uważnie, opowiem ci wszystko dokładnie. Choć przyznaję, że przez całe życie nie mówiłem chyba tylu słów na raz, co dzisiaj. Ale Vard, gdy skończę, musisz mi powiedzieć „tak” lub „nie”.

— I jeśli powiem „tak”, uwierzysz? Że odejdę stąd i dotrzymam słowa?

— Na Szerń, Vard... uwierzę. Że odejdiesz i dotrzymasz słowa. Tak, uwierzę. Raz w życiu spróbuję i tego. A teraz słuchaj, bo nie będę opowiadał dwa razy.

20.

Leżeli na wydmie, bacznie obserwując wioskę. Dzień był dość pogodny i jasny, wyraźnie mogli widzieć, pomimo sporej odległości, krzątanicę rybaków.

— Dziwny ten ruch — mruknął Raladan. Leżący obok Bedan wzruszył ramionami.

— Jaki tam dziwny... Zaraz widać, brachu, żeś nietutejszy. Jesień przecie. Wiater zawsze napsuje, tu, brachu, jak burza przechodzi, każdy ma roboty, że huk.

Znów zamilkli. Wcześniej podeszli bliżej, prawie pod samą wioskę, ale wkrótce musieli się cofnąć, bo dzieciarnia biegała wszędzie, korzystając z pogody. Zobaczyli jednak dziewczynę... i dyby.

Raladan zacisnął zęby na samo wspomnienie.

— Wieczór zara... Ale trza jeszcze poczekać.

Pilot skinął głową. Widział, że wielorybnik, podobnie jak on sam, siłą narzuca sobie spokój. Chcieli już tam iść.

Wtedy, na widok wielkich belek, zamkniętych nad bosymi stopami i wokół nadgarstków dziewczyny, na widok łańcucha, Bedan przytrzymał pilota za ramię. Nie mogli oderwać wzroku od skulonej, okrytej łąchmanami sylwetki, opuszczonej głowy, potarganych, pozlepianych w strąki włosów.

— Ile to-to ma lat? — zapytał drągal. — Toć to dzieciak... Ile, brachu?

— Coś szesnaście... — odrzekł Raladan. Odchrząknął. Bedan mocniej uścisnął mu ramię.

— Tyle co moja najstarsza... Będzie tyle samo.

Po pewnym czasie zobaczyli Albara. Raladan z wielkim trudem rozpoznał urzędnika. Niechlujna kapota... dzika broda... Sprawdziwszy dyby, Albar pytał o coś dziewczynę, wreszcie lekko trącił ją nogą i odszedł, kryjąc się w najbliższej stojącej chałupie.

— Ten, to kto? Gadaj mi, brachu! — twardo domagał się Bedan.

— Pies gończy — krótko odparł Raladan. Już nic więcej wtedy do siebie nie mówili. Teraz leżeli daleko, na wydmie. Nadszedł wieczór, potem noc. Czekali przemarznięci, sztywni.

— Idź po tamtych.

— Jeszcze teza...

— Idź po tamtych!

Bedan podniósł się i — odruchowo schylony — odszedł do tyłu.

Wiatr wzmógł się cokolwiek. Raladan ukląkł i rozruszał ramiona, robiąc silne wymachy. Kręcąc głową, rozluźnił obolałe mięśnie szyi.

Po jakimś czasie Bedan wrócił. Prowadził jeszcze dwóch.

Wkrótce byli przy palu. Dziewczyna uniosła głowę i wtedy twarda, zimna dłoń z niezwykłą delikatnością zakryła jej usta. Ujrzała w czerni nocy zarys sylwetki pochylonego nad nią, niewysokiego człowieka, a obok kilka innych cieni, odwiązujących łańcuch i tnących nożami liny, którymi obwiązano belki. Popłakała się nagle.

Raladan poczuł drzenie podbródka i ust, których dotykał wnętrzem dłoni, a kiedy spłynęła mu na palec pierwsza gorąca kropla, coś go ścisnęło za gardło. Musnął mokry policzek dziewczyny, a gdy wielorybnicy uporali się ze sznurami, otworzył belki, wziął ją na ręce i przytulił.

Tamci trzej patrzyli w milczeniu.

— Weźcie ją. Najbliżej stojący wyciągnął rękę. Raladan dał mu dziewczynę.

— Do łodzi.

— A ty, brachu?

— Ja tu jeszcze mam... sprawę.

— Rano wszystkie rybaki... Wiater duży, jak nie damy rady odpłynąć, to wszystkie rybaki rano...

— Przestań, Bedan. A ty zanieś ją do łodzi, tak jak powiedziałem. Odeszli.

Bedan pozostał.

— Idź z nimi, Bedan.

— Nie, brachu.

Raladan ujął ramię wielorybnika, ale ten odsunął rękę.

Stali przez chwilę, potem Raladan skinął głową i rzekł:

— Schowaj się.

Bedan odszedł parę kroków w bok i płasko legł na ziemi. Raladan usiadł dokładnie tak jak wcześniej Ridareta, opierając nogi na dybach, zaś plecy o słup. Potrząsnął łańcuchem i dzwonił coraz głośniejsze, wreszcie

wyrznął ogniwami w ziemię, potem jeszcze raz. Pomimo zawodzenia wiatru charakterystyczny dźwięk musiał przeniknąć do wnętrza pobliskiej chałupy, bo drzwi otwarły się nagle i ciemna, skulona sylwetka, złorzecząc podbiegła do drewnianego pala. Raladan z ogromnym spokojem przyjął kopnięcie w bok. Zaraz potem wstał powoli — i osłupiały urzędnik zrozumiał swą pomyłkę...

Bez jednego słowa pirat chwycił go za kapotę. Albar wyrwał się i odskoczył do tyłu, wydając zduszony okrzyk. Chciał uciekać, lecz wpadł na Bedana. Olbrzymi wielorybnik chwycił go wpół i zdusił tak, że zamiast krzyku, w mroku nocy rozbrzmiał tylko wysilony charkot. Raladan z żeglarską sprawnością wiązał kawałki sznura, który wcześniej opasywał dyby. Na koniec sporządził pętlę. Przerzucił sznur przez tkwiący w palu hak, na którym zwykle zawieszano sieci. Bedan zbliżył się, niosąc w ramionach podduszonego, wierzgającego urzędnika. Raladan zarzucił pętlę; zacisnął. Podciągnęli miotające się ciało, pilot oplatał sznur wokół dolnego haka.

— Nogi. Przytrzymaj mu nogi — cisnął.

Urzędnik charczał i tłukł piętami o pal, zaciskając ręce na sznurze opasującym szyję. Bedan od tyłu chwycił go za kostki, przytrzymując nogi po obu stronach słupa. Albar wił się i miotał, oszalały z przerażenia. Raladan podszedł z przodu i z całej siły kopnął w krocze powieszzonego.

— Wiesz, za co? Wiesz? Za to... że nie wiesz... kiedy przestać... cedził, kopiąc wygięte, wyprężone ciało raz za razem. Urzędnik oddał mocz i kał. Odsunęli się wreszcie i długo patrzyli na trupa.

— Strasznyś, brachu — rzekł wielorybnik. — Ale... niechaj ci.

— Trzeba było wracać do łodzi. Dalej, posprzątamy to wszystko. Dyby, łańcuch i ścierwo. Lepiej, żeby rybacy nie wiedzieli, co tutaj...

Pracowali w ciszy. Świtało już, gdy dołączyli do reszty na południowo-wschodnim brzegu wyspy.

Milcząc, spoglądali na leżącą w łodzi, okrytą pledami dziewczynę. Spała z dłonią przy policzku i otwartymi ustami. Wysoki wielorybnik skinął głową, widząc zabliznioną ranę w miejscu oka.

— Córka pirata — powiedział. — Tak zem właśnie myślał. Gadali w knajpie. Pozostali patrzyli to na niego, to na Raladana.

— Kto jej to...? — Bedan udniośł palec do oka.

— Piraci.

— Piraci?

Raladan zwrócił się do wielorybników.

— Ona...

Bedan uniósł rękę.

— Przecie widzę. Jak ona jest pirat, to ja chyba wieloryb... Położył dłoń na ramieniu pilota.

— Tego roku — rzekł po chwili — wieloryby szybko odpłynęły... Dziwny rok, brachu. Czujesz? Tera wieje od północy... Dziwny ten rok, brachu. Idzie zima.

Raladan uniósł głowę. Istotnie, nie wiało już od północnego zachodu. Wiało od północy. Jesień kończyła się...

— Coś, brachu, ukradło dwa miesiące jesieni. Idzie zima. Jak mówisz: na wiosnę wieloryby przyptyną? Bo ten to był dziwny rok.

Pilot pomyślał o burzowej fali przy bezwietrznej pogodzie, której się dziwili z Rapisem, potem o „kaszlu”, zielonych wodach Bezmiarów i o tych wielorybach Bedana. Wreszcie — o końcu jesieni na dwa miesiące przed czasem. Dziwny rok. Cokolwiek to miało oznaczać.

— Dziwny, Bedan. Bardzo dziwny rok. A na wiosnę wieloryby przyptyną. Jakoś... jakoś wiem.

Pogrzebał w zanadrzu i wy dobył pogniecioną, czarną opaskę na oko. Schylił się i ostrożnie złożył ją przy policzku dziewczyny... Nie obudziła się.

Część druga. Siostry

21.

Był parny, letni wieczór.

Brzegiem morza (plaża w tym miejscu była bardzo wąska), nie bacząc na fale liżące nogi, szli dwaj mężczyźni, prowadząc, a właściwie wlokąc trzeciego — dość wysokiego, tęgiego chłopaka o porozbijanej mocno twarzy, na której krew dopiero co obeschła. Młodzieniec ręce miał wykręcone do tyłu i związane; tamci dwaj trzymali go pod łokcie, nie szczędząc uderzeń, a nawet kopniaków, gdy zataczał się lub zwalniał.

Opodal leżała Dorona, najstarsze miasto Garry, jej stolica. Ludzie ci musieli iść chyba z Dorony. Dokąd jednak zmierzali i po co — trudno dociec.

Plaża odstąpiła od morza. Grupka zatrzymała się.

— Już blisko, przyjacielu — rzekł jeden z mężczyzn do związanego. Ten splunął. Odpowiedzią był cios pięścią. Podjęli wędrówkę.

Panowały już niemal zupełne ciemności, gdy wyłoniły się przed nimi szczątki zabudowań rybackiej wioski. Zalegała wśród nich cisza. Było to miejsce opuszczone od dawna, wymarłe. Dziwny obłąd ogarnął kiedyś mieszkańców, powiesili się wszyscy — jednej nocy... Zwano tę wieś Brzegiem Wisielców.

W środku osady stała duża chałupa, różniąca się znacznie od innych, bo prawie nie zniszczona. Jeden z mężczyzn pozostał przy jeńcu, drugi skierował się wprost ku owemu domowi. Zza węgła wyszedł mu ktoś na spotkanie. Po chwili, już we trójkę, doprowadzili skrepowanego młodzieńca do drzwi. Otworzyły się i stanęła w nich ciemna postać. Ustąpiła na bok, wpuszczając przybyłych, po czym drzwi zostały starannie zaryglowane. Jeniec, pchnięty potężnie, upadł na podłogę. Leżał przez chwilę, nim powstał niezgrabnie i ciężko.

Izba była duża, dość dobrze oświetlona. Na kwadratowym stole stał prosty kandelabr, dźwigający liczne świece. Dbano jednak, by ich blask

nie uciekł na zewnątrz; małe okienka przysłonięta starannie grubą, czarną materią. Przy stole siedziała młoda kobieta. Blask świec pełgał po jej twarzy i ramionach. Była niezwykle piękna, ale w podłużnych, czarnych oczach kryło się coś... odstręczającego.

Kobieta wyprostowała się, odgarnęła z czoła pukiel ciemnobrązowych włosów, po czym zapytała niskim, przyjemnie brzmiącym głosem:

— Warto było?

Otyły młodzieniec postąpił krok naprzód i powiedział bez strachu:

— Byłaś suką, jesteś nią i będziesz. Zawsze warto odwlekać chwilę spotkania z czymś takim. Uniosła lekko brwi.

— O? — powiedziała ze śmiechem.

Jeniec, pchnięty w plecy przez jednego ze stojących za nim mężczyzn, upadł na kolana. Chciał wstać, ale przytrzymano go mocno.

— Podoba mi się twoja odwaga — powiedziała. — Ale nie mam dość czasu, by się nią delectować... Szkoda. Wstała i przeszła się po izbie.

— Posłuchaj, chłopcze... Zginiesz dziś bez względu na wszystko, wiemy o tym oboje. Ale może to być śmierć człowieka męznego, śmierć z mieczem w dłoni, bo pozwolę ci walczyć z moimi ludźmi, lub też śmierć rozgniatanego powoli robaka. W obu przypadkach ja swój cel osiągnę. Mogłabym zatem powiedzieć, że jest mi obojętne, co wybierzesz. Ale to nieprawda. Puśćcie go! — syknęła nagle.

Trzymający młodzieńca ludzie cofnęli się pośpiesznie. Wstał.

— Ale to nieprawda — podjęła. — Spośród wszystkich cech, najbardziej chyba cenię odwagę, pogardzam zaś głupotą. A zatem: odwaga czy głupota?

— To puste słowa, nic więcej — padła odpowiedź. — Nie jesteś zdolna, by docenić cokolwiek!

Patrzyła w milczeniu. Podeszła do stołu i podniosła zeń kawałek kredy.

— Narysuj mi tę mapę.

Splunął pogardliwie.

— Mogłaś ją mieć, chciwa dziwko... Ojciec służył ci wiernie... i ja też.

— To prawda, twój ojciec był najlepszym z moich ludzi. Szkoda, że syn okazał się zdrajcą i złodziejem. Pojmany stracił swój spokój.

— A czego oczekiwałaś?! — zawołał. — Że będę dalej służył

morderczyni swego ojca?! W izbie zaległa cisza.

— Tyś chyba oszalał — powiedziała po chwili, zdumiona.

Nie odpowiedział.

Usiadła przy stole, nie spuszczać go z oczu.

— Więc uważasz, że to ja go zabiłam? Twego ojca? To dlatego zatrzymałeś dla siebie wiadomość o skarbie, dlatego uciekłeś! Ale... to całkiem niedorzeczne, dlaczego miałabym zabijać własnych ludzi?!

Podszedł do samego stołu.

— Miałem cię za wściekłą sukę — rzekł przez zęby — ale teraz widzę coś stokroć bardziej wartego pogardy...

Zrobił jeszcze krok, ale pochwyciono go.

Potrząsnęła głową raz i drugi, wstała i nagle, w natchnieniu, wyciągnęła palec.

— Widziałeś mnie! Widziałeś mnie na żaglowcu, który... Złapała się za głowę.

— Nie, to niemożliwe... Wyjść! Wszyscy wyjść, jazda! Mężczyźni wymienili spojrzenia.

— Jazda! — wrzasnęła raz jeszcze.

Pospiesznie umykający z izby ludzie przez chwilę tłoczyli się w drzwiach, zanim zniknęli za nimi. Drzwi zamknięto.

— Nie zabiłam go — zwróciła się do jeńca. — Ja go nie zabiłam, a twoja zdrada... wynikła z niewiedzy. Co nie zmienia faktu, że muszę dziś dowiedzieć się wszystkiego o skarbie. Twój upór jest wodą na młyn prawdziwej zabójczyni. — Znów potrząsnęła głową. — Szkoda — dorzuciła niejasno.

— Do czego zmierza ta gra? — gniewnie i kpiąco zapytał jeńiec. Odwróciła się i stała przez chwilę z pochyloną głową.

— Mam siostrę — powiedziała. — Naprawdę, bardzo podobną.

22.

Niespełna cztery dni później, kilka staj za portowym Dranem, miastem nie tak starym jak Dorona, ale za to cieszącym się wątpliwą sławą największego zbiorowiska mętów i szumowin w całym Wiecznym Cesarstwie, niewysoki, silnie zbudowany mężczyzna, stukał w drzwi samotnego domu pod lasem. Drzwi otwały się wkrótce i stanęła w nich bujnowłosa, odziana w dość prostą, szarozieloną suknię, jednooka kobieta.

— Raladan, nareszcie.

Weszli do izby.

Pilot stał i z dziwnym smutkiem patrzył na ciemne włosy, przeplecione tu i ówdzie srebrnymi nitkami. Nie dbała o siebie; włosy i dłonie były po prostu brudne, a suknia poplamiona.

Miała niespełna dwadzieścia pięć lat, ale wyglądała na więcej.

Zrozumiała spojrzenie i odwróciła wzrok.

— Byłam kiedyś ładna — powiedziała gorzko.

— Nadal jesteś, pani — odparł poważnie. — Po prostu zbyt wiele rozmyślasz o sprawach, które należy pozostawić innym. I chyba... Zawahał się, jeszcze raz ogarnął wzrokiem brudną suknię, potargane włosy i cienie na twarzy. — Chyba brak ci mężczyzny.

Spojrzała mu w oczy i zagryzła usta, czerwieniejąc.

— To nie twoja rzecz.

Podszedł do masywnej ławy i usiadł.

— Przynoszę złe wieści — oznajmił. Postąpiła ku niemu.

— Co to znaczy?

— Odnaleziono skarb, pani.

Zrobiła jeszcze krok, ale uniósł rękę.

— Ci ludzie byli na JEJ usługach. To pewne.

Ridareta uniosła dłoń do czoła. Usiadła obok Raladana.

— A więc... jednak stało się najgorsze.

— Nie wiem. Może jeszcze nie. Zabiłem człowieka, który kierował wyprawą. Ale nie umiem powiedzieć, czy tylko on jeden znał tajemnicę. Na pewno nie zdradził jej przed swoją załogą, bo tylko szaleniec mógłby

zaufać setce ludzi. Ale miał syna. Syn uciekł i nie wiem, gdzie jest.

Potrząsnęła głową.

Pilot rozłożył ręce.

— Obawiam się, pani, że mamy zbyt mało czasu, bym mógł opowiedzieć ci wszystko dokładnie...

— Nie o to chodzi. Znowu ktoś zginął, Raladan. Ten człowiek, twój kapitan, nie żyje od ośmiu lat, a wciąż wszystko, czego dotknął za życia, sprowadza śmierć na innych...

„Zginął... ktoś? — pomyślał Raladan. — Cała załoga... Co najwyżej mały Berer wyniósł głowę... O ile jest dobrym pływakiem”.

— Posłuchaj, pani, tym razem to nie wina Demona, lecz twoja orzekł sucho. — Mówiłem, że trzeba skarb wydobyć. Choćby po to, by wrzucić potem do morza. Dopóty, dopóki to złoto istnieje, ludzie będą ginąć. Ale ty nie chcesz mieć nic wspólnego z Demonem i jego spuścizną...

Przerwała mu.

— Dość, Raladan. Mówiliśmy na ten temat sto razy.

— Owszem. Ale nigdy dotąd bierność nie była tak szkodliwa jak twoja teraz. Pomyśl, co się stanie, jeśli skarb wydobędzie właśnie ona... Wstał z ławy.

— Muszę wracać na okręt, pani.

— Co to za okręt?

— Pirat, pod rozkazami Pięknej Lereny. Tak ją zwą. Dłoń, odgarniająca z czoła włosy, zastygła w bezruchu.

— Wszystko ci wyjaśnię, pani, ale nie teraz. Jeśli w całej tej historii kryje się jakieś niebezpieczeństwo, to płynie ono z tego, że tu jestem. Dlatego zaraz muszę odejść. Posłuchaj uważnie: jest w Dranie tawerna, którą nazywają „U Szypra”...

— Tak.

— Jutro wieczorem wynajmij w niej izbę, a na drzwiach zrób kredą mały znak. Pojawię się tam o zmierzchu. Wtedy porozmawiamy spokojnie.

Pożegnali się krótko. Długo stała na progu, patrząc za odchodzącym. Nie obejrzała się...

Powoli zawróciła do izby.

Było już ciemno, gdy Raladan dotarł do dużej, pękatej kogi, przycumowanej u nabrzeża portu. Grające w kości przy trapie zbiry

uniosły głowy na widok nadchodzącego człowieka, ale poznawszy pilota w świetle smolnej maźnicy, na powrót zajęły się grą. Raladan minął ich, wszedł na pokład i podążył na rufę, do oficerskich pomieszczeń, zajmujących przestrzeń pod kasztelem.

Na pokładzie spali pokotem majtkowie, z jakiegoś kąta dobiegały stękania którejś z okrętowych dziwek. Ogólnie jednak panował spokój — rzecz rzadka, ale łatwo zrozumiała, jako że większość załogi bawiła się tej nocy na lądzie. Idąc prawie po omacku, Raladan ugrzązł w stercie jakichś szmat, lin i wszelkich śmieci. Zwykle skrywał uczucia, ale tym razem nikt go nie widział i twarz wykrzywił mu gniew. Gdybyż Rapis mógł to zobaczyć! Taki okręt! Dziesięciu zawisłoby na rei, a reszta pazurami skrobałaby brud z pokładu!

Osiem lat już minęło od śmierci Demona; przecież wciąż go wspominał...

Uwolnił wreszcie nogę z pułapki i ruszył dalej, przekraczając i omijając śpiących.

Uderzyło go — nie po raz pierwszy zresztą — jak brudne i niechlujne są okręty dowodzone przez kobiety. Znał kogę Szkarłatnej Alagery z czasów, gdy pływał jeszcze na „Wężu”. Widział statek kupiecki, którym komenderowała — podobno — córka właściciela. Słyszał na koniec o niedużym holku, dowodzonym, bardzo krótko zresztą, przez protegowaną jakiejś wysoko postawionej osoby (w Armeckie służyło w wojsku wiele kobiet, inaczej niż w innych krainach imperium, gdzie kobieta-żołnierz była zjawiskiem rzadko spotykanym).

No i teraz znów oglądał Raladan, od roku z okładem, okręt dowodzony przez kobietę. Brać żeglarska uwielbiała Lerenę, kociooką szatynkę z fularem, wprost jak z bajki o piratach, ale też była Lereną dla załogi raczej pieskiem czy kawką przynoszącą szczęście, raczej okrętową zabawką niżli kapitanem. Z marsowymi minami prężono się przed nią, na podobieństwo dobrych stryjków, słuchających malca, który właśnie udaje setnika gwardii morskiej. Ale gdy odchodziła, podśmiewano się cicho, dobrodusznie, nawet nie myśląc o rozkazach, jakie wydała.

„To cud — pomyślał pilot — że ten okręt w ogóle jeszcze pływa. Że nie poszedł na dno w trakcie burzy, że nie rozwaliły go skały, albo nie spaliła straż morska... Cud”.

Prawdą jest, że cud ów miał często na imię Raladan...

Spod drzwi kajuty Lereny sączyło się wątłe światło. Usłyszał jakieś niewyraźne głosy. Zastukał.

Głosy umilkły.

— Precz! — krzyknęła po chwili przez drzwi. Zaraz potem nastąpił wybuch śmiechu.

— Tu Raladan, pani — rzekł pilot, stukając ponownie.

Po chwili ciszy znów usłyszał niewyraźne głosy i jakieś szurania. Kiedy indziej byłby cierpliwy, ale dziś widział się z Ridaretą. To przywiodło mu na myśl Demona, a znów wspomnienia o nim kontrastowały tak bardzo z codziennością okrętu Lereny, że pilot stał jak na rozżarzonych węglach.

Wreszcie uchylono drzwi i przez szparę wymknęło się dwóch roślących majtków. Drugi podciągał hajdawery i na widok tego w Raladanie wszystko zawrzało; uczynił coś całkiem obcego swej opanowanej i chłodnej naturze: odwrócił się nagle i kopnął marynarza w tyłek z taką siłą, że ten zaplątał się bezradnie w hajdawery, wpadł na kamrata i obaj runęli z hałasem na pokład.

Raladan splunął i wszedł do kajuty. Lerena siedziała na stole, poprawiając włosy. Brudna, podarta koszula ledwie-ledwie osłaniała duże, mocne piersi.

— Co to za hałas? — zapytała.

— Kopnąłem w zadek twojego ogiera — rzekł ze wściekłością. — Na litość, kiedy wreszcie przestaniesz być dziwką, a zaczniesz być kapitanem?

Wytrzeszczyła oczy. Przestała mocować się z potarganymi, skłębionymi włosami.

Odetchnął głęboko.

Jej spojrzenie zmieniło się nagle; widywał podobne błyski w oczach Demona, jej ojca. Była lalką i zabawką załogi, to prawda, ale w takich chwilach nikt nie ważył się jej przeciwstawić... Raladan poczuł, że przeholował.

— Co ty powiedziałaś?

Zeskoczyła ze stołu i chwyciła pas, leżący na brudnym, skotłowanym barłogu, który był jej łóżkiem. Pilot uchylił się przed pierwszym smagnięciem, ale drugie trafiło go w samą twarz. Gdyby miała pod ręką miecz, musiałby także dobyć broni lub dać się zarąbać. Osłonił głowę

przedramieniem.

Machnęła nagle ręką i uśmiechnęła się lekko.

— Kiedyś cię zabiję — mruknęła. Dotknął dłonią czerwonej pręgi na twarzy. Na powrót usiadła na stole i patrząc mu prosto w oczy, zawiązała fular na włosach.

— Na razie jednak jesteś mi potrzebny. Ale nie mów na mnie dziwka. Nigdy! — wrzasnęła.

Uchylił się; lichtarz z płonąca świecą huknął w ścianę tuż obok. Gorący wosk prysnął na policzek. Była absolutnie nieobliczalna; znał ją od dziecka, a wciąż nie potrafił pojąć szybkości, z jaką zmieniały się jej nastroje.

— Więc cóż? — zapytała.

Podniósł lichtarz, obrócił w dłoniach i postawił na stole. Upuścił na podłogę resztki zmiażdżonej świecy.

— Byłem u niej — powiedział.

— To wiem. No i co?

Zaczeplił kciuki o pas i stał, kołysząc się lekko.

— Myślę, że wszystko w porządku, pani. Wciąż jest pewna, że jej służę. Milczeli. Lerena zmarszczyła nieco brwi.

— Wiesz, Raladan — rzekła w zamyśleniu — czasem myślę, że taka właśnie jest prawda.

— Co chcesz, pani, przez to powiedzieć? Pokręciła głową.

— Nic. Ale wciąż pamiętam, żeś zabił tego Berera. Wbrew rozkazom, wbrew rozsądkowi.

— Bronilem się. Poza tym mamy tę mapę...

— Tak. Mapę wyspy... Jakiejś.

Patrzyła uważnie.

— No dobrze. Mów dalej.

— Jutro o zmierzchu spotkam się z nią „U Szypra”. Ma to być sekretne spotkanie. Stwarzam pozory, że działam za twoimi plecami. Odnajdę ją w pokoju, którego drzwi oznaczone będą kredą.

— Jutro o zmierzchu — powtórzyła z namysłem. — A więc wypłyniemy dopiero pojutrze rano. Nie spieszysz się zbyt, jak widzę. Czyżbyś nie wiedział, że komendant tutejszego portu nie widzi pirackiego okrętu tylko dlatego, że oczy zasłaniam mu kruszcem? Każdy dzień postoju kosztuje mnie worek srebra! — cisnęła ze złością. — Licz

się z tym!

Skinął głową w milczeniu.

— Czy to rzeczywiście pewne, że ona nie wie, gdzie jest skarb? — zapytała.

— Nie wie. Nadal sądzi, że na tej wyspie, o której ci mówiłem. I nadal sądzi, że oprócz niej tylko ja wiem, gdzie to jest. Powiedziałem jej o Bererze... ale to oczywiście nie był jej człowiek.

Wzruszyła ramionami.

— Wolałam się upewnić. Powoli chodziła wokół stołu.

— Po co gmatwasz grę aż tak bardzo? Jaki masz w tym cel? Skrzywił się.

— Mówiliśmy już o tym... Dopóki ona wierzy, że nikt nie zna miejsca ukrycia skarbu, nie będzie próbowała go wydobyć. Obawialiśmy się tego.

— Ty się obawiałeś — sprostowała. — I, prawdę mówiąc, wciąż nie wiem dlaczego. Okazałoby się, że skarbu nie ma. I cóż? Mówisz, że zaczęłaby szukać na własną rękę. Myślałam o tym ostatnio. Przecież ona nie ma żadnych możliwości prowadzenia... takich poszukiwań?

— Ależ ma, pani, i to bardzo duże. Wiesz dobrze.

Wzruszyła ramionami. Piersi podskoczyły sprężysto. Jej kształty, jej pusta, próżna, wyzywająca uroda, usypiała czujność; starał się o tym pamiętać.

— Demon Walki — powiedział. — On wciąż istnieje, pani. I to nie ty jesteś pod jego opieką, potężną opieką... tylko ona.

Z kamienną satysfakcją obserwował gorzką złość na jej twarzy.

23.

Był śledzony — dokładnie tak, jak przewidywał. Śledzono go, gdy szedł na pierwsze spotkanie z Ridaretą, śledzono i teraz, w drodze do tawerny. Pomyślał, że szpiegów ma Lerena wyjątkowo niezręcznych i tępych.

Ale sama tępą nie była. Może próżną... Ale na pewno nie tępą. Wiedział, był głęboko przekonany, że ona sama przyjdzie podsłuchiwać jego rozmowę z Ridaretą. Z przyległej izby zapewne. Zeszła na ląd jeszcze przed nim. I nie wierzył, by istotnie w celu uzyskania wiadomości o ładunkach zabieranych z Dranu przez kupieckie okręty...

Nie ufała mu, widział to wyraźnie. Ale nie dziwił się. Sam na jej miejscu miałby wątpliwości. Zapewne nawet jeszcze większe. I nie ufałby nikomu, a już najmniej ludziom podającym się za przyjaciół..

Wkrótce był w tawernie, przed drzwiami, na których widniał umówiony znak. Zastukał.

— Tu Raladan, pani — rzekł niegłośnie, a gdy otworzyła, wszedł i zaraz zasunął prymitywny skobel.

— Nie wiem, czy to dobre miejsce na rozmowę — powiedziała.

— Jedyne, pani — odparł. — Blisko stąd do portu, a moja nieobecność na pokładzie nie może potrwać długo.

— Znowu się spieszysz.

— Niestety. Dlatego przystąpmy do rzeczy. Powiem ci w kilku słowach, pani, jak dostałem się pod rozkazy twojej córki i co zamierzam zrobić.

Usiedli na chwiejących się zydlach, przy koślawym stole skleconym z brudnych desek. Wąty kaganek ledwie, ledwie oświetlał ich twarze. Raladan odwiedził w swym życiu wiele podobnych izb. Ale ta kojarzyła mu się nieodparcie z pomieszczeniem, jakie przed ośmiu laty zajmował — w Aheli.

— Pamiętasz, pani, jak dzieliłem się z tobą swoimi obawami, gdy po trzymiesięcznej ledwie ciąży przyszły na świat twoje córki? Nie słuchałaś, podobnie i później zlekceważyłaś przestrogi i rady, nie chciałaś widzieć, że twoje dzieci są inne, że w jakiś sposób... Imię twojej

córki...

— Czy przyszedłeś, by mi to wypomnieć? — zapytała groźnie. Podobno czas nagli? Potrząsnął głową.

— Wciąż tego nie pojmuję — rzekł jakby do siebie. I głośniej: Nie, nie wypominam. Przypominam, pani. Byś łatwiej zrozumiała pewne rzeczy.

— Co mam zrozumieć? — przerwała z prawdziwą wściekłością. — Że jestem matką potworów? Już rozumiem. Zostaw to, Raladan!

Wstał nagle i przeszedł się po ciemnej izdebce. Zatknął ręce za pas. Nie za bardzo przejmował się jej gniewem.

— Pamiętasz ów dzień, kiedy uciekły. Wtedy... ja to wszystko zorganizowałem...

*

Lerena istotnie słuchała owej rozmowy. Raladan trafnie odgadł, że towary wywożone z Dranu mało ją obchodzą. Siedziała w sąsiedniej izbie, a właściwie leżała, wsparta na łokciu. Jej głowa znajdowała się blisko dość szerokiej szpary, którą uczyniono w ścianie w taki sposób, by z pomieszczenia obok nie była widoczna. Zastaniała ją pryca.

Postarała się, by tylko jeden pokój był wolny, gdy Ridaretą pojawi się w tawernie...

Raladan nie był głupcem, był sprytny. Ale nie doceniał jej przebiegłości i sprytu. Nie ufała mu. Nawet wtedy, gdy w myśl zawartego wcześniej układu, przybył na „Gwiazdę Zachodu”, by służyć pod jej rozkazami. Uważała jednak, że lepiej będzie przyjąć go na pokład i udawać wiarę w lojalność niż robić sobie jawnego wroga — odległego, którego działań nie zdoła kontrolować. Oczywiście, mogła po prostu go zabić. Ale potrzebowała takiego pilota. A poza tym... no cóż: przede wszystkim... zależało jej na nim.

Był czas, gdy niemal mu uwierzyła. Wtedy mianowicie, gdy przyniósł wiadomość o wyprawie tego Berera, kapitana Berera.

Wiadomość była prawdziwa i Berer niemal doprowadził ich do skarbu.

Właśnie: niemal...

Spóźnili się, Berer już wracał. W nocy przychwycili jego oku i — ale kapitan zginął w walce. Zdobyli wprawdzie mapę, mapę wyspy, na której ukryto skarb, ale takich wysp było na Bezmiarach mnóstwo: setki, a

może tysiące. I choć obszar wchodzący w rachubę był właściwie nie taki znów wielki, oznaczało to, tak czy inaczej, szukanie po omacku.

Wtedy pojęła, że właśnie o to chodziło. Stała się narzędziem w ręku Raladana. Spóźnili się — wcale nie przypadkiem. Raladan po prostu, nawet jeśli rzeczywiście nie znał miejsca ukrycia skarbu, nie zamierzał pozwolić, by tajemnicę odkrył ktoś inny.

W pierwszym porywie chciała zmusić pilota do wyjawienia prawdy: komu służy? Czy wie, gdzie jest skarb? Zaniechała tego. Znała Raladana dość długo i dość dobrze, by sądzić, że prędzej skona w mękach, niż coś wyzna.

Popłynęli do Dranu, bo chciała sprawdzić, czy Ridareta nie realizuje jakiegoś niebezpiecznego przedsięwzięcia. Bała się tej kobiety. Bała się tym bardziej, im bardziej temu zaprzeczała.

Gdy poszedł do niej, kazała go śledzić. Zauważył to. Odtąd grali oboje coraz ryzykowniej, starając się przechytryć nawzajem. Wreszcie poznała, że pilot chce, by podsłuchiwała jego rozmowę z Ridaretą! W myśl tego, co jej powiedział, miało to być przedstawienie odegrane dla tamtej... Pojęła, że to wcale przedstawienie nie będzie! Wiedząc, że będzie podsłuchiwany, Raladan chciał, by wszystko, co powie, wziąć za łągarstwo; jedyny bezpieczny sposób przekazania Ridarecie wiadomości. Doceniła misterną konstrukcję tego planu. Raladan był człowiekiem wielce niebezpiecznym.

Teraz leżała z głową przy szparze w ścianie i uważnie słuchała.

*

Ridareta zmarszczyła brwi.

— Nie rozumiem — powiedziała prawie szeptem.

— Zawarłem układ z twymi córkami, pani — wyjaśnił. — Tamtej nocy, gdy Lerena i... tamta uciekły, istotnie ocaliłem ci życie...

wybacz, że o tym wspominałem... ale to nie ogień mu zagrażał. Twoje córki chciały cię zabić. Przekonałem je, że cień Rapisa pomści twoją śmierć, ostrzegłem, że oznaczać ona będzie utratę jakichkolwiek nadziei na wydobycie skarbu, wobec Czarnego Widma na morzu. Zresztą, myślę, że nie rozminąłem się z prawdą. Milczała oszołomiona.

— Zaoferowałem im swoje usługi na przyszłość. Pomogłem TAMTEJ zdobyć... pewne wpływy w Doronie. A rok temu oddałem się pod rozkazy Lereny.

Wciąż milczała.

— Dziwne... niezwykle to wszystko... — szepnęła wreszcie. I niewiarygodne. Ale... dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? Raladan zasępił się.

— Sądziłem, że tak będzie lepiej. Czy i ty mi, pani, nie ufasz? Cóż to za podły układ... — rzekł gorzko.

— Chyba ci ufam, Raladan — przerwała. — Tak, ufam ci! Ale... po cóż w takim razie był ów pożar, skoro uzgodniliście, że mam żyć? Nie pojmuję?

— Chciały, bym oddał ci widoczną przysługę. Przysługę, która zobligowałaby cię do wdzięczności i właśnie zaufania.

— Widoczną... przysługę? Po wszystkim, co dla mnie zrobiłeś?

— Mówiłaś im kiedy o „tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem”? Pokiwała głową.

— Prawda, nie... Trzymaliśmy to w tajemnicy.

— A zatem. Myślisz, że mam wypisane te sprawy na czole, pani?

— Nie nazywaj tego sprawkami.

— Są nimi: ciemnymi sprawkami. Znasz moją przeszłość, piracką i bandycką... — Patrzył z ponurym szyderstwem. — Zabiłem wielu ludzi. W walce. Ale tylko raz w życiu bawiłem się w skrytobójcę.

*

W sąsiedniej izbie Lerena marszczyła czoło. Nie rozumiała... Sądziła dotąd, że w przeszłości tych dwojga nie ma żadnych tajemnic. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że to może wcale nie było tak prosto... Że pomiędzy śmiercią ojca, a przybyciem Ridarety i pilota do Dranu mogło być coś więcej, niż tylko podróż szalupą...

Ale przecież Raladan wie, że ona to słyszy! Czemu teraz powiadamia ją o tym?! Przeszawała pojmować cokolwiek.

*

— Skarb trzeba wydobyć, i to jak najrychlej — rzeki Raladan. Przestał być bezpieczny tam, gdzie jest. Potrzebny będzie okręt, pani. Okręt, który później pójdzie na dno z całym złotem, jakie Demon zdołał zebrać.

— Wiesz dobrze, że nie mam okrętu.

— No to, trzeba go kupić. Pozwól, bym wydobył część skarbu i przeznaczył ją na zakup okrętu.

— Czemu żądasz mojego pozwolenia?

— Bo to twoja własność, pani. Szedła po twym ojcu — powiedział z naciskiem. — Był twym ojcem, czy tego chcesz, czy nie.

*

Oczy leżącej w sąsiednim pokoju dziewczyny rozwarły się szeroko. Oparła czoło ościanę. Pojęła. Lecz nie mogła uwierzyć.

24.

Przycumowana do nabrzeża koga kołysała się słabo. Czasem słyhać było niegłośnie skrzypienie lin.

— Porozmawiajmy szczerze, Raladan — powiedziała Larena. Uniosła kubek i wypła połowę zawartości. Pilot również pociągnął tęgi łyk. Rum spłynął do żołądka.

— Znudziła mnie ta dziwna zabawa — podjęła. — Przyznaję, spodziewałam się, że wasza rozmowa „U Szypra” będzie miała inny przebieg. Bo wiesz, oczywiście, że ją słyszałam?

Po krótkim namyśle skinął głową.

— Chciałem tego.

— Wiem. Raladan — zapytała cicho — czy to prawda? Patrzyła mu w oczy.

— Czy to prawda, że mój oj... że Demon... jest jej ojcem? — wykrztusiła przez zęby. — Czy to prawda?

— Tak, pani.

Uderzyła dłonią w stół. Wstała gwałtownie i przez długą chwilę trwała nieruchomo. Wreszcie powoli usiadła na powrót.

— Czekam na wyjaśnienia, Raladan — powiedziała spokojnie, ale złowrogo i zimno. — Jeśli mnie nie zadowolą...

Wyjęła miecz i położyła w poprzek kolan. Wiedział, że potrafi się nim posługiwać jak mało kto. Może był to ten sam talent, który miał jej wuj?... Ehaden.

— Będę cierpliwa — dodała jeszcze, z tym samym groźnym spokojem. — A zatem, po kolei, Raladan. Szukał czegoś na dnie kubka z rumem.

— Słyszałaś, co jej zaproponowałem. Wydobyć części skarbu, zakupienie okrętu i zatopienie go wraz z resztą.

— A więc wiesz, gdzie naprawdę jest skarb? Pokręcił głową.

— Tak mi się wydawało... Kiedyś. Myliłem się.

— Ja mam w to wierzyć?

— Posłuchaj, pani: gdybym naprawdę wiedział, gdzie jest skarb, wydobyłbym go już dawno. Jestem człowiekiem, nie kamieniem, a chyba

tylko kamienny posąg mógłby się oprzeć chęci posiadania takiego bogactwa. Jest sześć skrzyń wypełnionych każdą monetą, od miedziaka poczynając, na potrójnej sztuce złota kończąc, klejnotami, złotymi i srebrnymi nakryciami, lichtarzami, dwie spośród tych skrzyń zawierają tylko Ilapmańską porcelanę... Są cztery Porzucone Przedmioty, zdaje się, że Czarne Kamienie z Wybrzeża. Jest cały ładunek grombelardzkich kolczug, hełmów i mieczy, który szedł morzem do armektańskiej Rapy... Broni jest zresztą więcej, bo nie każda zdobycz nadawała się dla marynarzy, weźmy tarcze ciężkiej piechoty, zdobyte w walkach o Barirę...

Lerena przybladła.

— Od jak dawna wiesz to wszystko?

— Są dartańskie wazy, każda warta tyle co niewolnik. Całe bele jedwabiu. Dartańskie zbroje turniejowe i stare hełmy z klejnotami rodowymi; sam je kiedyś wynosiłem z magnackich pałaców, po tym, jak żeśmy spalili w Lia port. Każdy z tych hełmów wart jest kilkaset sztuk złota. Czego chcesz jeszcze, pani? Mierzyli się spojrzeniami.

— Przed śmiercią Demon zlecił mi opiekę nad nią... nad swą córką. I taka jest prawda. Milczała.

— Jest także twoim ojcem, jeśli o to chodzi. To także prawda dorzucił, wzruszając ramionami.

Skinęła powoli głowę, przymykając oczy.

— Ohydne... — szepnęła.

— Po śmierci Demona wiele się wydarzyło... To kłamstwo, że uciekliśmy łodzią z „Węża” i dotarliśmy do Drenu. Chciała, byście tak myślały. W rzeczywistości byliśmy na „Wężu Morskim” do chwili, gdy spalili go Wyspiarze. Ridareta dowodziła nim.

— Ona... dowodziła „Wężem Morskim”?!

— Owszem. Bardzo krótko i przymuszona sytuacją, ale dowodziła. Potem znaleźliśmy się na Agarach. Zabiłem tam wielu ludzi, by ocalić twą matkę.

— I siostrę... — dorzuciła ponuro. — Nie, nie wierzę ci. To wszystko jest... — urwała, przełykając ślinę.

— Słyszałaś, co mówiłem „U Szypra”. Mówiłem po to, żeby cię przekonać. Czy Ridareta zaprotestowała, gdy wspomniałem jej ojca?

Milczenie.

— Miałem dług wobec Demona. Spłaciłem go uczciwie. Ale skarb... Ona go nie chce. Myślałem, że wiem, gdzie szukać. Myliłem się. Wiem o tym od pięciu lat. Miałem nadzieję, że pływając na twoim okręcie, zdołam jednocześnie prowadzić poszukiwania na własną rękę. Ale szło to zbyt wolno. Berer znalazł skarb. Zabiłem go, bo gdyby zaczął mówić, ty miałabyś skarb, a ja nie miałbym nic.

— Czemu nie powiedziałaś wcześniej wszystkiego?

— Nie uwierzyłybyś mi. Ale przyplłynęliśmy tutaj... a tutaj jest ona. Czy ta rozmowa „U Szypra” nie jest dowodem? Twój ludźcie, bądź ty sama, słyszeliście każde słowo, jakie z nią zamieniłem od chwili przyplłynięcia do Dranu. Wiesz dobrze, że to wszystko nie mogło zostać ułożone. Chciałem, żebyś na własne uszy słyszała, jak Ridareta potwierdza moje słowa. Tak się stało. Odkryłem przed tobą jej największe tajemnice. A teraz chcę, żeby uwierzyła, iż skarbu już nie ma. Z tej strony przynajmniej przestanie nam grozić nie-I bezpieczeństwo. A jest wielkie. Ona nie chce pomocy Demona, ale jeśli jednak zażąda jej kiedyś... Widziałem wrak „Węza Morskiego”, pani. I nie chcę widzieć go więcej.

— Nie zrobiłbyś mi krzywdy. To mój ojciec.

— Tylko Ridaretę uznaje za córkę — odparł z chłodnym okrucieństwem.

Wstała. Chodząc po kajucie, bezwiednie bawiła się mieczem, przerzucając go z ręki do ręki. Przystanąła. Broń obróciła się wolno w powietrzu i wróciła do dłoni.

— Połączmy swe siły, pani. Potrzebujesz pilota, a lepszego nie znajdziesz... I wiem o skarbie więcej niż ktokolwiek inny, jak sądzę.

Oszczędnym ruchem cisnęła miecz. Utkwił w ścianie.

— Też tak myślę.

Wzięła kubek i opróżniła go do końca.

— Dlaczego jej nie zabijemy, Raladan?

— Już mówiłem. Czarny Okręt wciąż pływa po Bezmiarach. Jeśli chcesz, to ją zabij. Ale moja noga nie postanie więcej na pokładzie żadnego żaglowca. Nie widziałaś dotąd wraku „Węza Morskiego”. Jeśli chcesz zobaczyć, to ją zabij.

Cisnęła wściekle kubkiem o podłogę, ale pohamowała się zaraz.

— Opowiedz mi teraz wszystko — zażądała. — Jeszcze raz. Bardzo dokładnie.

*

Wielka, krępa koga ciężko siedziała na wodzie. Wychylony za burłę Raladan patrzył na fale, tłukące o pękate burty. To nie był dobry okręt. Żaglowiec piracki winien być śmigły i zwrotny; dobrze, jeśli jest duży, ale nie kosztem chyżości.

„Wąż Morski”... Znow wspomniał Demona i jego karakę. Oto okręt! Olbrzymi i szybki. Ile płótna na masztach! Prawdziwy okręt wojenny, nie jakaś tam „Gwiazda Zachodu”, gdzie tylko ładownia budziła najwyższe uznanie i podziw.

Raz im się udało: w nocy, ze statkiem Berera. A tak... Całe ich piratowanie było dotąd chwytaniem niewolników. „Gwiazda Zachodu” nie rzucała się na inne żaglowce z tej prostej przyczyny, że nie mogła żadnego dogonić. A całą obroną była nie szybka ucieczka i manewr, nocna zmiana kursu, jak to zwykł czynić Rapis, ale siła, tępa i bezmyślna, drzemiąca w liczbie załogi. Już trzy razy zdybały ich cesarskie okręty. Raz holc, którego załogę zduszono samą liczbą. Potem niewielka karawela, która nawet nie podjęła walki, widząc rozmiary żaglowca. Lecz płynęła trop w trop za nimi, nie zdołali oderwać się, mimo licznych prób. Dopiero krótka, lecz gwałtowna burza rozdzieliła okręty. Mieli szczęście. Potem znowu był holc... Raladan zatopił go, wprowadzając „Gwiazdę” w labirynt podwodnych skał i mielizn. Koga Lereny wyszła z tego cało. Strażnik przepadł.

Tak więc na razie dawali sobie radę.

„Do czasu — pomyślał ponuro Raladan. — Do czasu, aż natkniemy się na eskadrę, przeciwko której półtorej setki ludzi nie wystarczy. Albo do czasu najbliższej obławy”.

Zerknął na niedbale postawiony żagiel i zaklął w duchu. Potem przeniósł wzrok na rufowy kasztel. Dwudziestu lub więcej ludzi piło tam rum i śpiewało.

Ktoś stanął za nim. Obejrzał się i zobaczył Lerenę.

— Co tam, pilocie? Wzruszył ramionami.

— Popatrz, pani. Śpiewają, ale upiją się bardziej, będzie bójka i znowu ktoś zginie. Wracam do sprawy, którą poruszałem już sto razy. Ale nigdy dotąd nie odpowiedziałaś, dlaczego na to pozwalasz. Więc proszę, dzisiaj odpowiedz.

— Twoje zuchwalstwo rośnie, Raladan.

— Moje zuchwalstwo? Moje zuchwalstwo, pani? Więc w takim razie może będę mniej zuchwały, chlejąc rum, może rozpętam jaką bójkę i zadżgam kogoś nożem? Spójrz na tych ludzi: czy nie jest zuchwalstwem to, czemu się oddają na oczach kapitana okrętu?

Skinęła głową i oparła się o nadburcie tuż przy nim.

— Więc dobrze, dzisiaj ci odpowiem. Ci ludzie byli bici batem na wszystkich statkach, na jakich służyli. W imię zachowania dyscypliny. Mieli podłe żarcie, a za picie chłostano do nieprzytomności. Przyszli do mnie, bo tu jest inaczej.

— Ależ jest, jest inaczej! — szyderczo wskazał szmatę na maszcie. — To jest żagiel? Tracimy pół wiatru, nie mówiąc o sterowności. Ale ci pijacy zapomnieli nawet, jak się wiąże węzły. Na innych statkach, pani, służyli za psi grosz. Tutaj służą za złoto. To wystarczy, byś zawsze miała chętnych do załogi.

— Być może. Ale nie chcę, by służyli mi tylko dla złota. Patrz, Raladan. Ci chłopcy piją moje zdrowie.

Istotnie dostrzeżono ją z kasztelu i ktoś ryknął: „Niech żyje!. Kilku pijaków podjęło okrzyk; podjęliby zresztą każdy inny. Reszta wyła pieśń o portowej dziwce, ktoś domagał się głosu, ktoś rumu. Ale ona słyszała tylko to, co chciała słyszeć, i Raladan pojął, że jego uwagi nie zdadzą się na nic. Podjął jeszcze jedną próbę:

— Twój ojciec, pani... — rzekł, wiedząc, jak bardzo chce dorównać mu w sławie. Przerwała.

— Mój ojciec był królem wszystkich mórz, Raladan. Ale jestem jego córką, Raladan, krew z krwi. I nie muszę go naśladować. Sama wiem, co mam robić, by zostać jego godną następczynią. I nie przeszkadzaj, jeśli nie potrafisz pomóc.

Skinął głową.

— Masz jednak siostrę, pani. Także krew z krwi Demona. O ile wiem, naśladuje go w wielu sprawach. Zmarszczyła brwi, ale zaraz wzruszyła ramionami.

— Riolata? — rzekła z uśmiechem.

Pilota przeszył mimowolny dreszcz. To imię sprowadzało nieszczęście na każdego, kto je wymówił. Bezkarne mogła to robić tylko Lereña.

I Ridareta.

— Riolata... — powtórzyła z namysłem. — Kocham ją, Raladan, czuję jej radości i smutki. Ale tylko jedna z nas może być następczynią ojca. Jeśli Riolata popełnia błędy... cóż, krótsza będzie rywalizacja.

Pilot nie odpowiedział.

— Dokąd płyniemy, pani? — zapytał po długiej chwili. — Przed siebie? Zapytałbym pierwszego lub drugiego oficera, ale nie mianowałaś ich dotąd — pozwolił sobie na jeszcze jeden przytyk. — Dobrze, że jest chociaż kucharz.

Roześmiała się głośno.

— I pilot, nieprawdaż? Mam dzisiaj dobry dzień, naprawdę! I tylko dlatego puszczam mimo uszu wszystkie te złośliwostki. Ale ta niech będzie ostatnia. Płyniemy do Dorony, Raladan. Muszę wiedzieć, czy Berer był jedynym ogarem Riolaty.

25.

— Chyba za wcześnie, bym ci odkryła wszystkie moje plany. Riolata zaśmiała się. Spoważniała zaraz, patrząc z zadumą. — Chociaż pozostał tylko rok...

Milczała przez chwilę.

— Dobrze, Askarze! — powiedziała wreszcie. — Może warto mieć do kogoś pełne zaufanie?

— Nie zawiodę cię! — zapewnił żarliwie.

— Oczywiście, że nie zawiedziesz... Ale zaraz spojrzała z tą zimną wzgardą, której tak nie znosił.

— Zresztą, choćbyś zawiódł... Przeszkodzić nie zdołasz. Choćbyś trąbił na cały świat o wszystkim, co dziś usłyszysz, któż ci uwierzy? Krótkie zresztą byłoby to trąbienie...

— Nie zawiodę — powtórzył z goryczą. — Nie musisz mnie straszyć.

— Dobrze, więc posłuchaj, albo raczej: popatrz.

Podeszła do wielkiej, stojącej pod ścianą skrzyni i uniosła wieko. Wyjęła podłużny, ciężki pakunek i położyła na stole. Rozwinęła naoliwione szmaty.

— Czy wiesz, co to jest? Askar patrzył zdziwiony.

— Broń?

— Broń — potwierdziła z zadowoleniem. — Broń ognista, podobnie jak działo. Ale niewielka, jak widzisz.

Skinął głową.

— Wiem już. Słyszałem, że czyniono próby posłużenia się czymś takim. Chyba w Armekcie... Chyba w samym Kirlanie?...

— To prawda. Uznano, iż rzecz jest nieprzydatna.

Przesunął dłonią po żelazie. Lubił broń. Jego legioniści zawsze o nią dbali. Dzięki tej dbałości, a także dyscyplinie i świetnemu wyszkoleniu, jego garnizon uznano niedawno za najlepszy w całej prowincji.

— Tak właśnie było — potwierdził. — Obawiam się...

— Nie obawiaj się, Askarze. Zobacz — wskazała palcem — to jest hak. Tamta broń go nie miała. Banda głupców, niechętnych wszelkim nowinkom, odrzuciła ideę, zamiast ją rozwinać...

Słuchał, coraz bardziej zaintrygowany.

— A tymczasem pocisk wystrzelony z tej broni przebija wszystkie zbroje i tarcze. Widziałeś kiedyś tarcze cesarskiej ciężkiej piechoty? — zązartowała.

Uśmiechnął się. Nosiła je połowa jego ludzi.

— Bełt z kuszy też je przebija — ciągnęła. — Ale grzęźnie i dalej już nie leci. Natomiast pocisk z tej hakownicy i owszem...

— Jak, kiedy i przeciwko komu lub czemu zamierzasz tego użyć? Ujrzała błyski w jego oczach i uśmiechnęła się znowu.

— Po kolei — jeszcze raz podeszła do skrzyni. — Najpierw: jak.

Wyciągnęła coś, co wyglądało jak deska z wycięciem na górze. Ustawiła deskę na podłodze, podpierając dwiema mocnymi żerdziami.

— To jest kozioł, o który zaczepia się hak — wskazała hakownicę. — W ten sposób zostaje złagodzony ciężar broni, strzał jest celniejszy, no i strzelec może ustać na nogach po oddaniu go. W polu trzeba dwóch ludzi: jeden dźwiga dwie hakownice, drugi kozioł. W łatwym terenie broń można transportować na wozach. W twierdzy kozioł nie jest potrzebny, wystarczą blanki murów. Pomyśl teraz, co można by zrobić, mając dwieście hakownic do użycia w polu i dalszych dwieście do obrony twierdzy?

Kręcił głową.

— Musiałbym to wypróbować... Ale jeśli jest tak, jak mówisz, to daj mi dziesięć sztuk tej broni, a wyszkolę ci dwie setki ludzi w trzy miesiące.

— Właśnie na to liczę.

— Ale skąd chcesz wziąć taką ilość broni? — zapytał. — Dziesięć sztuk wystarczy do szkolenia, ale do niczego więcej.

— Jest człowiek, który zrobi mi ich pięćset, oczywiście, za odpowiednią opłatą. Prawdę mówiąc, sto już mam. Nim rok minie, otrzymam drugie tyle. A następnych dwieście, większych i cięższych, do obrony murów, to sprawa mniej pilna.

Wziął hakownicę i obracał ją w rękach. Przymierzył do kozła.

— Robiłaś z tym doświadczenia?

— No... tak. Ale znam tylko siłę pocisku, zasięg... Jeśli pytasz, czy biegałam z tym po polach, to nie, nie biegałam.

— Kozioł winien być bardziej nachylony — mruknął. — I szerszy, trochę szerszy, żeby spełniał dodatkowo rolę pawęży i osłaniał przed

strzałami wroga... Będzie ciężki. Ale można dać szeroki pas skórzany, przybity, o tutaj i tutaj, do noszenia na plecach. Albo dwa krótkie, do noszenia na ramionach.

Obserwowała go uważnie.

— Dostaniesz dwadzieścia hakownic i trzystu ludzi. Wybierz dwustu, a z tych dwustu jeszcze stu najlepszych i zrób z nich strzelców. Druga setka — wystarczy, jeśli będzie obeznana jako tako, najważniejsze, żeby były to chłopcy mogące biegać z tą podporą. Zresztą, masz wolną rękę. Wiem, że w całej prowincji nikt mi nie wyszkoli tych ludzi tak jak ty.

Odłożył powoli broń.

— Dobrze. Muszę znaleźć odpowiednie miejsce. Szkolenie takiej liczby ludzi, takie szkolenie, hałaśliwe i niezwykle, będzie zwracać uwagę.

— Czy otrzymasz urlop? Trzy miesiące, bo tyle ci trzeba, tak?

— Tak. Jesienią. Wrócą wszystkie okręty, legia zostanie wzmocniona przez straż morską. Chyba nie będę niezbędny w garnizonie.

— Bardzo dobrze. Więc masz całą jesień. Miejsce już jest.

— Jakaś wyspa?

— Właśnie. Wkrótce przygotuję tam kwatery, budulec już zwiozłam. Schowała hakownicę i kozioł.

— Zdziwiłaś mnie — przyznał, odbierając z jej rąk pucharek z winem. — Oczywiście, to nie wszystkie twoje niespodzianki, prawda? Miałem usłyszeć jeszcze...

— Kiedy i przeciw komu. Już mówię. Za rok. Przeciw cesarskim żołnierzom. Będzie powstanie.

Omam nie upuścił pucharu. Odetchnął głęboko.

— Niemożliwe... Skąd wiesz, na Szerń?! Skąd możesz o tym wiedzieć?

Nie odpowiedziała.

Powstanie! Ależ było, było to możliwe... Nawet bardzo prawdopodobne!

Patrzył bez słowa.

Ze wszystkich krajów podbitych przez Armekta najtrudniej było utrzymać właśnie Garrę i Wyspy. Z prostej przyczyny: podbite wcześniej Dartan i Grombelard graniczyły z Armektem. Tutaj zaś było morze. I to

morze niespokojne, każdej jesieni będące przeszkodą nie do pokonania. Co roku, przez trzy miesiące, Morska Prowincja, jak ją czasem zwano, odcięta była od kontynentu.

W przeciwieństwie do Dartańczyków (którzy przyłączeni do Armektu więcej zyskali niż stracili) i półdzikich ludów grombelardzkich, Garyjczycy, mający kiedyś własne, dobrze rozwinięte państwo, bardzo dotkliwie odczuwali niewolę. O wiele mniej kłopotów przysparzały ludy osiadłe na wyspach. Wyspiarze w ogóle nie lubili nikogo; tradycyjnie trudnili się rybołówstwem bądź piractwem — to drugie zajęcie dało się kiedyś tak Garyjczykom, jak i Armektańczykom, solidnie we znaki. Był czas, gdy na południowych wybrzeżach Armektu, osiedlało się tylko morskie ptactwo... Jednak, po przyłączeniu Wysp do imperium, plaga piractwa — choć wciąż dokuczliwa — nie była problemem politycznym. Lecz zadbano, by taki problem powstał: oto nie znoszące się ludy wsadzono do jednego wora, tworząc Morską Prowincję, wspólny kraj Wyspiarzy i Garyjczyków. Wbrew pozorom nie była to sprawa błaha. Dla Garyjczyka, który bladł, gdy nazwano go wyspiarzem; dla Garyjczyka, który święcie wierzył, że Garra jest częścią kontynentu, oderwaną niegdyś przez Szerń, w celu uwolnienia wybranych swych synów od wszelkich plugastw tego świata; dla Garyjczyka, który miał mieszkańców wysp za zwierzęta, a Armektańczyków za półludzi nie była to sprawa błaha. Tym bardziej, że okazało się wkrótce, iż Wyspiarze bardzo dobrze czują się pod „opieką” imperium, które potrzebowało takich marynarzy — i żołnierzy, wywodzących się z miejscowej ludności, znających język i lokalne stosunki. Wbity został ostatni gwóźdź do trumny: wyspiarskie „dzikusy” w żółtych tunikach i pod żółtymi żaglami stały na straży interesów Kirlanu, pilnując Garyjczyków... Użyto więc oliwy do gaszenia ognia.

Jak dotąd, tylko dwa powstania garyjskie były naprawdę groźne, resztę stanowiły pojedyncze, odosobnione zrywy, gasnące natychmiast w zetknięciu z karnymi siłami imperium. Ale w dalekim Kirlanie powoli zaczęto zdawać sobie sprawę, że nie tędy droga. Garra była zbyt dużym krajem, by bez końca pilnować go z mieczem w dłoni.

Askar doskonale wiedział o tym wszystkim. Zmarszczył brwi i spokojniej już zapytał:

— Gdzie i kiedy? Czy to pewna wiadomość? Przyglądała mu się

uważnie.

— Za rok — powiedziała — późnym latem oczywiście. Cała Garra tym razem, nie tylko Drań czy Dorona. Oczywiście, że to pewne, od dwóch lat przygotowuję tę wojnę, i przecież nie sama. Bo to będzie wojna, Askarze, prawdziwa wojna, starannie przygotowana i właściwie prowadzona. Nie jakiś tam bunt trzech wysokich rodów, pięciu wiosek i dwóch garnizonów...

Patrzył w osłupieniu, z prawdziwym strachem.

— Na Szerń... wysoko mierzysz! O, na Szerń... — powtórzył. Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko... ale to szaleństwo! Wojna czy powstanie... Nie zdajesz sobie sprawy z potęgi cesarstwa! To nie może się udać, cesarz nigdy nie pozwoli, by u boku imperium wyrosło mu nagle wielkie, morskie państwo! I to państwo nieprzyjazne, wrogie! Jesień będzie wasza, ale zimą przypłynie tu z kontynentu wszystko, na czym zmieści się choć jeden żołnierz. Przegracie!

— Przegracie? Dlaczego: przegracie?

Uświadomił sobie nagle, że zupełnie odruchowo postawił się na pozycji cesarskiego oficera. No i, przede wszystkim...

— Jestem Armektańczykiem — powiedział cicho, ale z odcieniem pewnej (starannie skrywanej) dumy. Podeszła blisko.

— Będziesz musiał wybrać między mną a Armektem. Wybrał już dawno. Wiedziała o tym świetnie.

— Przegramy — powiedział po prostu.

— Ależ wiem.

Spojrzał z nowym zdumieniem.

— Więc... po co?

— Bo to... nie tak — powiedziała niemal wesoło. — Nie „przegracie” i nie „przegramy”. Oni przegrają, Askarze. Bawiła się wyrazem jego twarzy.

— Nie chodzi mi o wolność Garry. Chodzi mi o wyspy. Nie wszystkie przecież... O dwie wyspy. Przekrzywiła głowę.

— Nie rozumiesz? — zapytała po chwili. — Chcę mieć Agary. Przyniosła wielką mapę. Była na niej Garra, Wyspy, południowy Armekt i Dartan.

— Chcę mieć własne księstwo. Samodzielne i niezawisłe. I silne. Patrzył na mapę.

— Nie jestem żeglarzem... Pokazała palcem.

— Ale o Agarach słyszałeś na pewno. Jeśli nie o kopalniach, to chociaż o wielorybach.

— To tam?

— Tam. Milczał.

— Gdyby powiedział to ktoś inny, uznałbym go za szaleńca mruknął wreszcie. — Ale skoro mówisz to ty... znaczy, że wiesz, co mówisz. Choć przyznam...

— Agary nie są wcale takie małe. Wielka Agara to ładny skrawek lądu. Są tam dwa miasta i dobry port, sporo wiosek. Na Wielkiej Agarze są kopalnie miedzi, a przy jej południowych brzegach łowi się wieloryby. Te wyspy powinny opływać w dostatki, ale wszystko zabiera imperium.

— I sądzisz, że cesarz...

— Cesarz będzie miał na głowie garyjskie powstanie — przerwała. — Nim je stłumi, będzie wiosna, pewnie późna wiosna. Teraz popatrz, gdzie leżą Agary. To samotne wyspy na końcu świata. Wieści stamtąd długo biegną do Kirlanu.

Pokiwał głową.

— Okręty straży morskiej — ciągnęła — zwalczają będą żaglowce Garyjczyków i konwojują transporty wojska na Garrę. Wątpię, by wysłano choć jeden statek do agarskiej Aheli, miedź może po — J czekać, a statki potrzebne będą tutaj.

— Ale pływają tam przecież jacyś kupcy.

— Dość rzadko, a już w czasie wojny... Ale oczywiście masz rację. Pamiętaj jednak, że kupcy to ludzie interesu. Daj im zarobić i zamów następną dostawę, a dotrzymają każdej tajemnicy. Zresztą, statek kupiecki można po prostu zatrzymać.

— No dobrze, ale przecież to nie może trwać wiecznie. Powstanie w końcu upadnie i ktoś przypłynie po miedź.

— Oczywiście. Te statki również zatrzymamy. Mogły rozbić się, zatonać, mogli je spalić piraci... Nieprędko w Kirlanie stanie się jasne, o co chodzi. A i wtedy... No, jesteś żołnierzem. Mów, co byś zrobił.

— Wysłałbym wojenną eskadrę.

— Która przepadnie. Jej los też nieprędko stanie się jasny, taka wyprawa musi przecież potrwać. Potem znów nastanie jesień i jesienne burze... Policz, ile czasu zyskujemy.

— Ale w końcu jesień się skończy i przyplyną następne okręty. '

— Ile?

— A któż to może wiedzieć?

— Ale ile? Sto?

Zachnął się.

— Cztery. Pięć.

— Te także przepadną. Co dalej? Zachnął się znowu.

— Rozumiem, że będziesz tam miała swoich ludzi i statek... czy może dwa statki. Trzy? Może zdobędziesz i obsadzisz jakieś kogi kupieckie. Ale czy zdajesz sobie sprawę, ile wojska jest na holku straży morskiej? Mówisz o cesarskich żaglowcach jak o łódkach z kory, które można połamać kopniakiem.

Uśmiechnęła się, lekko mrużąc podłużne oczy.

— Będę miała nie statek, czy dwa. Będę miała dziesięć wojennych okrętów. Dziesięć dużych żaglowców. Z setkami morderców na pokładach.

— Skąd je weźmiesz, na Szerń? Skąd chcesz... Zrozumiał nagle.

— Piraci?

— Właśnie. To tylko kwestia złota. Złota i wspólnych celów. Złoto już prawie mam. A to drugie... Któryż to pirat nie chciałby mieć stałej, bezpiecznej przystani, gdzie zawsze może zawinąć i czuć się jak u siebie?

Pomyślał, że kto wie... Niemniej jednak plany dziewczyny przerażały go swoim rozmachem.

— W końcu przyplynie tam tyle żaglowców...

— Ile, Askar? Ile żaglowców warte są Agary? Potrząsnął głową.

— Nie — powiedział. Wziął oddech. — Nie. Upraszczasz wszystko... Chcesz naprawdę poznać opinię żołnierza? Nie wiem, ile żaglowców warte są Agary. Wiem natomiast, że jeśli bronić ich będzie dziesięć statków pirackich, to wkrótce przybędą tam wszystkie floty imperium, z grombelardzką włącznie. Tyle warte jest dla cesarstwa pozbycie się dziesięciu żaglowców pirackich. To mówi żołnierz. A teraz polityk, bo pomyśl o skutkach politycznych. Jeśli byle Agary mogą sobie wywalczyć niepodległość, to co z innymi krainami Szereru? Imperium nie może pozwolić sobie na to, by wszystkie podbite prowincje ujrzały jego słabość. Przybędzie tam tyle okrętów, ile będzie trzeba.

Ku jego zdumieniu znów się uśmiechnęła.

— Nie wierzę w to.

Oparła łokcie na mapie, a podbródek na dłoniach.

— Bez względu na polityczny wydźwięk Agary nie są warte takiej awantury — oceniła. — Tak jak kiedyś nie była tego warta Barirra. Wysepka, zdobyta przez Demona Walki. Wysoki stopniem wojskowy powinien coś o tym wiedzieć?

Zmarszczył czoło. Coś słyszał...

— Sądzę, że Kirlan raczej zatuszuje całą sprawę — ciągnęła — lub poszuka rozwiązania na drodze dyplomatycznej. Policzyłam, ile z grubsza kosztowałaby taka wojna. Morska wojna, toczona w odległości setek mil od Kirlanu. Gdyby miała potrwać tylko rok, co wobec wchodzących w grę odległości nie jest czasem długim... Zaczęła pisać palcem po mapie. — Tyle. Przynajmniej tyle.

Spojrzał na nią, zdumiony.

— I komu ja to tłumaczę? — zapytała z sarkazmem. — Ale widać to prawda, że o kosztach wojennych kampanii najwyżsi rangą dowódcy nie życzą sobie nic wiedzieć... Askarze, nie można tak po prostu zabrać okrętów ze wszystkich mórz Szerera. Przecież są tam potrzebne, bo zbędnych nikt by nie trzymał. Uspokojenie całej zbuntowanej prowincji warte jest każdej ceny, ale odbicie Agarów? Nikt, nawet sam cesarz, nie przeforsuje wyłożenia takiej sumy! Po wojnie z Garrą imperialna szkatuła i tak będzie świecić pustkami, będzie brakować okrętów i żołnierzy, wszystkiego.

— Nie wiem, czy twoje obliczenia są wiarygodne — próbował protestować. Uniosła brwi.

— Prowadzę przedsiębiorstwo handlowe — przypomniała — i nieźle znam się na cyfrach. Pomagam organizować armię powstańczą, planuję też powołanie własnej, prywatnej armii. Wiem, ile co kosztuje.

— Uważasz więc, że w ogóle nie dojdzie do wojny o te wyspy? Żadnej poważnej próby odzyskania ich?

— Na małą skalę, może...

— Jak małą? Trzy okręty? Wystarczy byle drobiazg, by zawiodły wszelkie rachuby, a wtedy strażnicy morza spalą te twoje Agary.

— Moje Agary? — podchwyciła drwiąco. — To są cesarskie Agary. Cesarskie okręty spalą więc cesarskie Agary? A zresztą, niech spalą. Tam nie ma co palić. Wypalą może miedź w ziemi? Czy też przepłoszą

wieloryby? Ważny jest tylko port.

— Zajmą go. Jeśli nie spalą, to zajmą. Twoja flota straci zaplecze.

— To jedyna rzecz, która mnie niepokoi — przyznała. — Dlatego tam musi stać twierdza, Askarze.

Nie wierzył własnym uszom.

— Na tej wyspie? Chcesz zbudować twierdzę przez rok?

— Stary kamieniołom jest obok Aheli.

— To śmieszne — powiedział krótko. Zmarszczyła brwi.

— Co jest śmieszne?

— Nie zbudujesz twierdzy przez rok. Ani przez dwa lata. Podziwiam twą znajomość tematów wojskowych, ale tu widać... pewne braki. Nikt nie potrafi wznieść liczącej się fortecy w tak krótkim czasie. A choćby nawet... Tak świetnie policzyłaś wydatki cesarza, policz i swoje! Skąd chcesz zdobyć pieniądze? Skarb Demona? Nie każ mi powtarzać: to śmieszne. Wystarczy go może na zakup twoich hakownic i opłacenie piratów, pewnie nawet trochę zostanie. Ale twierdza? Warownia? Czy wiesz, ile kosztuje warownia?

Spoglądała na niego z góry.

— Czy wysłuchałeś do końca? — zapytała łagodnie. — Więc wysłuchaj, bo dostanę furii! — wrzasnęła. Przykryła dłonią policzek mężczyzny.

— I zrobię coś, czego potem będę żałowała.

26.

— Oczywiście, pani — Raladan rozłożył ręce. — Oczywiście, że każdy wpłynąłby najpierw na Morze Zwarte.

— Każdy, tylko nie ty — powiedziała ze szczerym podziwem. Ale jak...? Znow pochyłili się nad mapą.

— Tutaj nie ma przejścia. A tu znow mielizny... Ten przesmyk? Raladan, tam poszło na dno kilka statków! Nie ma przejścia!

— Jest. „Gwiazda” przeszłaby tamtędy nawet z pełną ładownią. A teraz mamy pustą. Ale, oczywiście, wejść śmiało w ten przesmyk, a zobaczysz skały tam, gdzie powinien być kil... Trzeba trzymać się prawej strony, bez przerwy. Nie zawsze można, bo gdy wieje od wschodu, wysoki i zalesiony brzeg daje odbicia wiatru. Teraz jednak powinniśmy przepłynąć. Cały czas prawą stroną, a gdy z dziobu zobaczysz znowu morze, ku środkowi. Pływaliśmy tamtędy wielokrotnie. Na „Wężu”.

— Był zwrotniejszy i chodził na wiatr. — Zasepiła się.

— Był też większy i głębiej zanurzony. A że chodził na wiatr, tam i tak nie ma gdzie halsować... A wiatr mamy dobry i nie zmieni się dziś ani jutro.

Potrząsnęła głową.

— Skąd ty to wszystko wiesz, Raladan? Znasz każdą cieśninę, każdy przesmyk, każdą rafę i każdą mieliznę...

— Tylko wokół Garry, gdzie indziej jest gorzej. A na Zachodnim Bezmiarze byłem tylko raz. Z twoim ojcem, pani. Znow spojrzała na mapę.

— To nam skróci podróż o dzień albo dwa — skonstatowała.

— I pozwoli ominąć szlak, którym wszyscy pływają — dorzucił.

— To prawda.

— Jeszcze jedno...

Zawahał się. Ponagliła go gestem.

— Przejdziemy tą drogą... ale żagiel musi wisieć porządnie, a ta banda nie może pić. W tej cieśninie potrzebny jest sprawny okręt i sprawna załoga.

Popatrzyła uważnie.

— No, dobrze.

Poprawiła fular i wyszła. Stała w otwartych drzwiach, wystawiając twarz do słońca. Pogoda była piękna; przy lekkim, przyjemnym wietrze to słońce wcale nie męczyło. Zresztą, było już późne lato.

— Hej, chłopcy! — zawołała.

Raladan popatrzył na pokład.

Załoga złąziła się powoli, zgiełkliwe i z uciechą.

— Nie ma picia, chłopcy!

Ujęła się pod boki, słysząc głosy protestu.

— Nie ma picia! Do jutra ani kubka!

— Mamuśka! — zawył krępy, pryszczaty drab. — My dla cię... my wszystko!...

Zatoczył się cokolwiek. Ktoś go podtrzymał solidarnie.

— Wszystko! — odezwały się głosy. — Wszystko! Pilotowi zachciało się rzygać. Odwrócił się i zatrzasnął drzwi. Wiedział, że wieczorem hołota będzie piła tylko zdrowie „mamuśki”.

Lerena wróciła po chwili.

— Wydałam rozkazy — powiedziała.

Skinął głową.

Gdy tak stała, pochylona nad mapą, uległ złudzeniu, że widzi Ridaretę. Nie po raz pierwszy odniósł takie wrażenie. Były do siebie zdumiewająco podobne: Lerena i jej siostra jak dwie krople wody i obie do Ridarety. Ten sam wzrost, te same sylwetki, te same włosy, podbródki i oczy... Gdyby teraz Lerena zdjęła fular i zawiązała czarną opaskę... w półmroku łatwo mógłby się pomylić.

Były w tym samym wieku...

Fenomen, którego nie pojmował. Wszelkie próby wyjaśnienia zawiodły. Ridareta była brzemienna, gdy odnalazł ją na Małej Agarze. Wiedział, od kogo ta ciąża pochodzi, Ridareta zresztą tego nie tała. W każdym razie nie przed nim.

Ale ciąża trwała trzy miesiące. Potem także nic nie działo się normalnie... Córkę Ridarety rosły, dojrzewały i doroślały — wszystko to trzy razy szybciej, niż wymagały prawa natury.

Co było przyczyną, nie wiedział.

Ridareta także nie wiedziała. Chociaż z drugiej strony... czuł, że dziewczyna ma jakąś tajemnicę.

Teraz, mając po osiem lat, córki Ridarety i Rapisa były z wyglądu, zachowania i rozumu dwudziestoczteroletnimi kobietami.

Niespełna dwadzieścia pięć lat miała ich matka.

Lerena wciąż patrzyła na mapę.

— Raladan — powiedziała, a gdy podszedł, wskazała ręką na wschód i zachód od Szereru. — Co jest... tam?

— Bezmiary, pani.

— Bezmiary...

Uniosła głowę i już wiedział, o co zapyta.

— A dalej?

— Myślę, że nikt tego nie wie.

— Nie znamy żadnych lądów poza Szererem — mówiła jakby do siebie — ale czy to znaczy, że ich nie ma?

— Może są. Niektórzy mówią, że jest wiele takich lądów jak Szerer. Ponoć każdy ma swoją opiekuńczą potęgę, taką jak nasza Szerń.

— Czemu nikt ich nie szuka? Tych lądów?

— Wielu szukało, pani. Ale nigdy nie wrócił żaden statek z tych, które zapuściły się daleko na Bezmiar Wschodni lub Zachodni. Lecz była raz wyprawa na Bezmiar Północny... — Pilot zamyślił się.

— Co z nią?

— Ta historia jest tak stara, że połowa z niej to prawie legenda. Był raz żeglarz, którego imienia nikt już nie pamięta, nazwano go po prostu Żeglarzem Północnym... Wypłynął daleko na północ. Nikt nie wie, ile dni czy miesięcy trwała ta wyprawa. Słyszałem kiedyś w jakiejś tawernie pieśń o niej. Było tam, że „żeglował rok, potem drugi i trzeci”... To oczywista bzdura, ale myślę, że to naprawdę mogło trwać wiele miesięcy. Podobno robiło się coraz zimniej, aż wreszcie na morzu pojawiła się kra, choć było lato. A potem już nie dało się płynąć, bo całe Bezmiary skuwał gruby lód. W ogóle nie zapadał zmierzch, był wieczny dzień...

— Chyba w to nie wierzysz, Raladan?

— Chyba nie — przyznał. — Ale z drugiej strony, tam musi coś być, na Bezmiarach. Coś co sprawia, że statki nie wracają. Nie i wiem czemu, ale zdaje mi się, że jest jakiś ląd... wielki ląd na wschodzie. Może nawet większy niż Szerer. Nie, nie wyjaśnię ci tego, pani — uprzedził pytanie. — Nie wiem, skąd to dziwne przeświadczenie. A co do Żeglarza Północnego, to myślę, że gdyby cała ta historia była zmyślona od

początku do końca, to byłyby w niej daleko większe dziwy niż tylko gruby lód.

— Potwory... — podsunęła. Skinął głową.

— Możliwe.

— Czy istnieją naprawdę? Znowu skinął głową.

— Ptaki, olbrzymie ptaki... Widział je także twój ojciec. Przemknęły nad nami... i tyle je widzieliśmy.

— A inne? Opowiedz!

Była zaciekawiona jak dziecko. Inne... Widział. Ale nie chciał o tym mówić.

— Nie teraz, pani. Nie na morzu.

— Powiedz tylko, jakie widziałeś — nalegała.

— Nie na morzu — powtórzył. — Opowiem ci, jak zejdziemy na ląd.

— Więc chociaż, jak często je widziałeś?

— Tylko raz.

— Tylko raz? — Była zawiedziona.

— Tylko raz. I, na Szerń, mam nadzieję, że więcej nie zobaczę...

Zmarszczył brwi, bo owo wydarzenie znów stanęło mu przed oczami. Zawsze, gdy je wspominał, gdzieś pod sercem wzbierał dziwny, tępy ból. Pamiętał tamten dzień najlepiej ze wszystkich, jakie przeżył. Nie tylko z racji tego, co wówczas zobaczył...

Był to pierwszy dzień, jaki pamiętał.

Trzydzieści bez mała lat minęło od tego czasu...

Nie wiedział, skąd pochodzi, kim jest, kim byli jego rodzice. Wyciągnięto go z morza, pierwsze twarze, jakie pamiętał, były twarzami załogi kupieckiego statku. Powiedziano mu potem, że dojrzano go pośród fal, trzymającego kurczowo jakąś potrzaskaną deskę. Od jak dawna był w wodzie? Na jakim okręcie płynął i dokąd? Nie pamiętał...

Sądząc po stroju, jaki miał na sobie, mógł być synem kupca. Ale znów sposób wyrażania się przywodził na myśl szlachetnie urodzonego. Nie potrafił udzielić żadnych odpowiedzi. Dopiero, gdy zapytano o imię, odparł z namysłem: Raladan...

Ale to wszystko miało miejsce później.

Wyciągnięto go na pokład. Półprzytomny, widział pochylone nad nim twarze, które przybliżały się, to znów jakby odpływały. Wreszcie wróciła ostrość widzenia i zaraz potem usłyszał krzyk mnogi, okropny...

Pozostawiono go na pokładzie, widział, jak wokół biegają ludzie, potem spadła na pokład kaskada wody, okręt niemal położył się na burcie, przewalił ciężko na drugą i wtedy on, Raladan, ujrzał, jak pod falami coś się miota, przewala, wreszcie morze pęka i pośród bryzgów piany i wodnego pyłu wynurza się — TO...

Uznano potem, że okręt, którym płynął, został rozbity w drzazgi... I nikt już się nie dziwił, że jedyny rozbitek z tego statku, kilkunastoletni chłopak, stracił pamięć.

27.

Wskazywał palcem widoczne już wejście do przesmyku. Patrzyła uważnie.

— Lepiej będzie, jeśli sam zajmę się sterem — powiedział. — Postaw, pani, kogoś pewnego na dziobie. Najlepiej stań sama.

Hałas pod kasztelem zagłuszył ostatnie słowa. Ktoś zaczął ryczeć tak przeraźliwie, jakby odzierano go ze skóry. Spojrzeli po sobie, potem w dół, na pokład. Jeden z majtków tarzał się u nadburcia, przyciskając dłoń do ucha, a raczej miejsca, gdzie było. Spod dłoni ciekła krew. Inny, chowając nóż, trzymał owe ucho w palcach, pokazując rechoczącym do utraty tchu kompanom. Zwabieni wybuchami śmiechu złazili się inni, zbiegowisko rosło.

— Pani... — rzekł Raladan.

Spojrzał na nią i zamilkł.

Usta miała rozchylone. Na dolnej wardze zawisła kropla śliny.

Nie potrafił powiedzieć, kiedy znalazła się na dole. Lewą ręką chwyciła, trzymającego ucho, osiłka za gardło, a prawą, zaciśniętą w pięść, uderzyła w zęby.

Śmiechy ucichły.

Podcięła majtkowi nogi i powaliła z siłą, jakiej nikt by się po niej nie spodziewał. Przerażony rzucił się pod nią i przetoczył na brzuch, ale znowu trzymała za gardło, przedramieniem, drugą ręką szarpnęła głowę w bok, chłopisko walnęło ramionami o deski i skonało, ze skręconym karkiem. Tłukła głową trupa o pokład tak długo, aż twarz przemieniła się w miazgę, wtedy wyciągnęła miecz i przebiła ciało na wylot. Wstała, jednym szarpnięciem oddarła skraj koszuli i wytarła ręce. Pokrwawioną szmatę cisnęła za burtę.

Tłum majtków cofał się krok po kroku.

Raladan stał na kasztelu, spoglądając na plecy dziewczyny. Rozerwana w walce koszula odsłaniała ogromny, wielobarwny tatuaż, przedstawiający smoka. Potwór poruszył się, gdy piratka uniosła ramię, wskazując morze.

— Rum za burtę — powiedziała świszczącym półgłosem. W ciszy,

przerywanej tylko stukiem krótkiej fali i skrzypieniem okrętu, usłyszano ją aż nadto wyraźnie.

Wciąż pokazując palcem wodę, wyciągnęła drugą rękę.

— Ty będziesz bosmanem. — Wyznaczony drągał otworzył usta i zamknął je zaraz, przełykając ślinę. — Jeśli zdarzy się jeszcze jaka bójka, lepiej wyskocz do morza... Wtedy wyznaczę innego bosmana. Raladan!

Zszedł z kasztelu.

— W przesmyku ty dowodzisz. Zarządź, co trzeba.

— Tak pani.

Rozstąpiono się pospiesznie, gdy poszła ku rufie. Raladan pozostał sam naprzeciw cichej, spokorniałej gromady.

— Tak, pani — powtórzył w przestrzeń, starannie skrywając satysfakcję.

Skrywał też rozbawienie...

Po pewnym czasie, gdy mógł wreszcie zameldować się u kapitan, przypomniał sobie powód niedawnej wesołości. Załomotał w drzwi kajuty.

— Tu Raladan — powiedział z uśmiechem.

Swoim zwyczajem siedziała na blacie stołu, majtając skrzyżowanymi w kostkach nogami. Ujrzawszy pilota, odchyliła się do tyłu, opierając ramiona za plecami. Nie zaświtała jej w głowie myśl o zmianie koszuli; wypięte cycki, wyzierając spod żałosnych strzępów, celowały mu sutkami prosto w nos. Lubiła obnosić się z nimi, to pewne.

— No, co tam? — zagadnęła.

— Przeszliśmy, pani — powiedział. Potrząsnęła włosami.

— Coś jeszcze?

Stał niezdecydowany, choć widział, że złość już jej przeszła... Szkoda, bo w przeciwieństwie do załogi, wielce cenił te wybuchy furii. No, za wyjątkiem tych, które dotyczyły jego...

— Mówże wreszcie! — zniecierpliwiła się nieco.

— Czy wiesz, pani, kogo mianowałaś bosmanem? Zmarszczyła brwi.

— Kogo?

— Niemowę, pani.

Patrzyła w milczeniu. Wyprostowała się i nagle przyłożyła dłoń do czoła.

— Jak ja mam teraz... to odwołać...? — zapytała, krztusząc się od

powstrzymanego, dzikiego śmiechu.

— Nie wiem, pani — odparł, przygryzając usta. Śmiali się do bólu mięśni brzucha.

28.

Brzeg Wisielców...

Pomimo dość gęstego już mroku właściwy dom Lerena odszukała bez trudu, choć był równie ciemny i z pozoru równie martwy jak inne. Jednak nawet w nocy dało się zauważyć, iż ktoś dba, by nie popadł w ruinę. Pomyślała, że to nieostrożne.

Pchnęła drzwi i zanurzyła się w mroczną czeluść. Spostrzegła smugę szarego światła i namacała kolejne drzwi. Otworzyła je. Będąc na zewnątrz, widziała, że okiennice są zamknięte. Teraz okazało się, że dodatkowo okna zasłonięte od środka...

Riolata wstała i wyszła jej naprzeciw. Jednocześnie wyciągnęły ręce, objęły się i pocałowały.

— Zbyt długo to trwało — powiedziały. Roześmiały się. Riolata odsunęła nieco siostrę.

— Powiedz, szybko powiedz...

— Rio-la-ta.

— Na Szerń, jak dobrze znowu usłyszeć swoje imię, prawdziwe imię...

Jeszcze raz się objęły.

Usiadły przy stole twarzą w twarz. Patrzyły zachłannie.

— Wypiękniałam — powiedziała Lerena.

— Wypiękniałam — powtórzyła jak echo tamta. Poprzez stół ujęły się za ręce.

— Omal nie pokrzyżowałam mi planów — powiedziała Riolata. Zabiłam Berera.

— Omal nie pokrzyżowałam? Co znaczy: omal?

— Wydobyłam skarb ojca. Mam go. Syn Berera narysował mi mapę. Lerena zacisnęła dłoń.

— Nie wierzę — powiedziała po chwili. Riolata położyła na stole skórzaną sakwę.

— To dla ciebie.

Lerena sięgnęła do środka i wydobyła garść klejnotów. Przybladła.

— To... jałmużna? — zapytała przez zaciśnięte zęby. Riolata

sposępniała.

— Dlaczego tak to rozumiesz? Wykorzystałam skarb do swoich celów, jest już rozdysponowany... Oto, co zostało. Dotąd nie sprawiłam sobie nawet sukni. Może teraz bym mogła, ale chcę, żebyś ty to wzięła.

Lerena cisnęła klejnoty na podłogę.

— Kpisz, dziwko?! — wyszczała. Riolata parsknęła śmiechem.

— Oczywiście, że kpię! — powiedziała. — Na Szerń, siostrzyczko, dlatego tylko mówię ci o tym, by nacieszyć się widokiem twojej zawiedzionej buzi. Choć może lepiej było nie mówić, szukałabyś dalej! — Odchyliła głowę do tyłu w nowym ataku śmiechu.

Lerena uspokoiła się niespodziewanie.

— Chcę wiedzieć, gdzie był — zażądała zimno. — I jaki był. To mi się należy.

— Niecały dzień drogi od miejsca, gdzie puściłaś na dno statek Berera.

— Tyle to sama się domyślam.

— Barirra. Wyspa Demona Walki. Własność ojca. Lerena zastygła.

— Prawda, jakie to proste? — śmiała się Riolata.

— Żarty... Setka ludzi już na to wpadła i setka ludzi tam była.

— Widać źle szukali.

— Dalej!

Riolata skinęła głową.

— Pocieszę cię: mniej niż sądziłyśmy. Trzy skrzynie wypełnione klejnotami i złotem. Co prawda duże skrzynie. Czy Lereny przygasały.

— Dziwka — powtórzyła po chwili. — Głupia dziwka. Czemu zawsze tobie się wszystko udaje? Nie wierzę, że straciłaś już cały skarb. Pilnuj tej reszty, bo przejdę sama siebie, żeby ci ją wydrzeć.

Riolata pochyliła się nagle.

— Nie przeholuj — powiedziała cicho. — Nawet przywiązanie do siostry ma swoje granice, Lereno. Piratka powolutku napluła na stół.

Milczały. Riolata cofnęła się z uśmiechem.

— A twój luby? — zapytała lekko. Lerena wściekła się.

— Z daleka! Od niego z daleka... Jest mój!

— Ależ jest, jest twój, nie chcę go! Jest twój... o ile rzecz jasna, twoim może być człowiek Ridarety.

— Na wszystkie morza świata — powiedziała Lerena, spoglądając

dokoła — co ja robię w towarzystwie kurwy?

Zerwała się nagle, przeszła dwa kroki i podniosła z podłogi sznur pereł. Zaśmiała się fałszywie, zresztą ten śmiech przerodził się zaraz w zgrzytanie zębów. Uniosła perły do oczu, po czym cisnęła nagle, trafiając tamtą w twarz. Przeskoczyła przez stół.

Żadna nie wydała okrzyku czy jęku, słyhać było tylko sieknięcia i ciężkie świszczące oddechy. Toczyły się po podłodze. Lerena przygniotła siostrę i zamierzyła się. Riolata ściągnęła ją za włosy w dół, po czym poderwała ciało, uderzając głową. Zerwały się i stały twarzą w twarz. Teraz tłukły po męsku pięściami, na zmianę, nie unikając i nie parując ciosów. Wymieniły ich po kilka.

Stały pokrwawione, z rozbitymi ustami, zmierzwionymi włosami i drżącymi, pościeranymi dłońmi, zaciśniętymi do nowych razów. Dyszały.

— Wystarczy — powiedziały.

Uśmiechnęły się krzywo, objęły i zataczając, wyszły przed budynek.

— Ten dom... wygląda jak nowy... — rzekła urywanie Lerena. Zmień to...

Oparła czoło o czoło siostry. Stały tak jakiś czas, potem poszły umyć się w morzu.

— Chodź — rzekła wreszcie Lerena. — Ja też mam dla ciebie niespodziankę. Nie wiesz jeszcze, że mamy starszą siostrę... Wróciły do izby.

*

Raladan jak wryty stał na progu kajuty.

— No nie — powiedział tylko.

Siedziała na posłaniu, przykładając mokrą szmatę do ramienia. Gdy odrywała rękę, widział obtartą aż do łokcia skórę. Uniosła głowę, pokazując olbrzymi siniak pod lewym okiem i drugi wokół prawego. Trzeci zdobił podbródek. Uśmiechnęła się niewyraźnie opuchniętymi wargami.

— No nie — powtórzył.

Wyszedł i po chwili wrócił z kubkiem rumu. Posłusznie uniosła ramię. Było spuchnięte, a w skórze tkwiły jakieś drzazgi. Wyciągnął największe i chlusnął rumem. Zasyczała.

— To żołnierski sposób — wyjaśnił — zapamiętaj go. Rum wypala ranę. Teraz nie powinna się jątrzyć. Ktoś cię napadł, pani? Potrząsnęła

głową.

— Nic mi nie będzie — rzuciła niecierpliwie. — Siadaj. Czekaj. Pomóż mi założyć koszulę, wszystko mnie boli... Żadna z tobą rozmowa, kiedy zamiast myśleć, gapisz się na moje gołe cycki.

Zerknęła z ukosa... mówiła poważnie. Czasem opadały mu ręce.

Powtórzyła mu rozmowę z Riolatą.

— Teraz nie wiem, komu mam wierzyć: tobie czy jej? Trzy skrzynie czy sześć, a na tych sześciu jakieś inne graty? Skinęła głową, uprzedzając odpowiedź.

— Nie, Raladan, wiem dobrze... Skarb jest tam, gdzie był, a ona wie tylko, że go nie ma, ale nawet nie wie, gdzie szukać. Chciała zyskać na czasie.

Siedział zamyślony.

— Jutro wypływa w morze jej żaglowiec — powiedział.

— Mówiła mi. Do Armektu po zboże. Moja siostra to kupiec całą gębą, Raladan. A w ogóle, to przybrała sobie imię: Semena. Zupełnie jak to miasto w Dartanie.

— Wierzysz w to, pani?

— Że jest kupcem? Oczywiście, że interes prowadzi kto inny...

— Wierzysz w to, że ten statek idzie do Armektu? To piękna, szybka i zwrotna karawela. Takich statków nie używa się do wożenia zboża.

— Używa tego, co ma... O co chodzi?

— Uważasz swoją siostrę za głupią, pani?

Patrzyła pytająco.

— Boję się, że ona jednak wie, gdzie jest skarb — wyjaśnił. — Myślisz, że dałaby się złapać w tak głupi sposób, jak wyliczanie skrzyń ze złotem? Wiedziała dobrze, że jej nie uwierzysz, bardzo się o to starała.

— O czym ty mówisz, Raladan?

— O tym, że ta karawela płynie po skarb, pani. Twoja siostra musiała wiedzieć, że ten okręt wzbudzi podejrzenia, chciała je odsunąć. Więc zrobiła wszystko, co mogła, by ci udowodnić, że nie wie, gdzie skarbu szukać.

Lerena milczała. Wstała i delikatnie muskając palcami obolałe ramię, zrobiła dwa powolne kroki. Smok z jej pleców patrzył na pilota trójkątnymi ślepiami poprzez dziury w podartej koszuli. Mistrz prawdziwy wykonał ten tatuaż, to nie były prymitywne marynarskie

nacięcia, zabarwione na sino, bardziej będące bliznami, niż rysunkiem. Takie tatuaże, wielobarwne, doskonałe, robiono w Dartanie. Pięciu, a może dziesięciu ludzi, parało się jeszcze tą niezwykłą sztuką, umierającą powoli, lecz nieuchronnie. Cena jednego rysunku była przerażająca.

— Masz rację. Ty masz rację, a ja jestem... Dałam się oszukać. Oczywiście. Gdyby naprawdę miała skarb, nie powiedziałyby mi o tym. Wiedziała, że to mnie zdziwi, wiedziała, że nie uwierzę...

Odwróciła się twarzą ku niemu.

— Ty masz rację — powtórzyła raz jeszcze. — Podnosimy kotwicę, Raladan. Wkrótce świt. Musimy wpłynąć do portu w Doronie, bez względu na ryzyko.

— Ryzyko? Nie poznaję cię, pani. Opanuj się, Dorona to nie Drań. Nie możemy tam zawinąć, bo już nie wypłyniemy. Zresztą, nie mamy tam nic do roboty.

— Trzeba jej przeszkodzić.

— Jak? I po co? Może lepiej niech doprowadzi nas do skarbu.

— Wiesz równie dobrze jak ja, że „Gwiazda Zachodu” nie dogoni tego okrętu.

— Posłuchaj, pani: wiem co można i co trzeba zrobić. Ale jeśli będziesz przerywać mi po każdym słowie, to istotnie twoja siostra wróci ze skarbem, a my wciąż będziemy tu stali.

Nieoczekiwanie olśniła go szerokim, choć porozbijanym uśmiechem.

— Dobrze, kapitanie Raladan. Słucham pilnie. Krótko przedstawił swój plan.

29.

Drań, podobnie jak Dorona i wszystkie zresztą miasta Garry, był pierwotnie miastem obronnym. Mury miejskie, teraz już mocno zaniedbane, obejmowały port i zabudowania nazwane później Starą Dzielnicą. Drań nie był miastem dużym, gwałtowny jego wzrost rozpoczął się wraz z włączeniem Garry do Wiecznego Cesarstwa. Jako najbardziej na północ wysunięte, a zatem leżące najbliżej wybrzeży Armektu, miasto Garry, szybko stał się ważnym ośrodkiem handlowym, tym bardziej, że szeroko rozlany, leniwie toczący swe wody Bahar, będący największą rzeką wyspy, umożliwiał szybki i tani przewóz towarów w głąb lądu. Miasto urosło, ale po niedługim okresie świetności podupadło. Może powodem było to właśnie, że — o ironio — leżało na zbiegu najważniejszych morskich szlaków imperium... Dość, iż stało się ulubionym siedliskiem wszelkich szumowin: wyrzuconych ze statków marynarzy, szukających okazji do nowego zaciągu; zwolnionych ze służby za różne sprawy żołnierzy, oferujących kupcom swe miecze wraz z obietnicami czujnej nad towarem opieki; różnych włóczęgów i rzezimieszków, liczących na łatwy łup w portowym tłumie; żebraków, będących tu istną plagą; wszelkiego rodzaju oszustów i naciągaczy, wreszcie — rzecz naturalna w dużym portowym mieście — całych zastępów kurew w każdym wieku: od lat dziesięciu do osiemdziesięciu.

Można było w Dranie usłyszeć wszystkie języki Szereru: dźwięczny, brzęczący jak srebro armeктаński splatał się z gardłowym brzmieniem garyjskiego, zniekształcanego na tyle sposobów, ile jest wysp. W tle tego melodyjnie płynęły samogłoski dartańskie... A czasem nawet rozbrzmiał tu i ówdzie twardy akcent Grombelardczyka, przybysza z najodleglejszej krainy imperium. Nad tym wszystkim górował Kinen, będący właściwie uproszczonym językiem Armektu.

Wojskowy garnizon Dranu był największy w całej prowincji. Lecz cóż z tego? Do służby w tak podłym miejscu „zsyłano” niejako za karę... W efekcie był tu najgorszy element żołnierski, jaki można sobie wyobrazić. Oficerowie robili wszystko, by się wydostać z tego śmietnika, zaś komendantem zostawał zwykle jakiś uczciwy człowiek, któremu nie

starczyło sił i sprytu, by kupić lub zdobyć dla siebie miłe, ciepłe stanowisko z nadzieją na szybki awans. Nieszczęśnik ów robił co w ludzkiej mocy, ale lumpy, którymi dowodził, raczej prowokowały bójkę, niż im zapobiegały. Dezercja szerzyła się straszliwie. Prędzej czy później, każdy wojskowy komendant Dranu bądź rezygnował z kariery wojskowej, bądź stosował się do starego przysłowia: „Jeśli wejdiesz między wrony...”.

Była jednak w Dranie Stara Dzielnica. Miasto w mieście. W Starej Dzielnicy mieściło się wielkie, ponure gmazysko Trybunału Imperialnego. Było kilka pałaców (dość siermiężnych, zaiste po garyjsku) będących własnością starych miejscowych rodów. Była też twierdza więzienna — największa i najcięższa na wyspie. W Starej Dzielnicy stacjonowała kolumna — stu ludzi żołnierzy gwardii morskiej, podległych nie komendantowi legii w Dranie, lecz bezpośrednio Księciu Przedstawicielowi Cesarza w Doronie (a faktycznie jego namiestnikowi). Byli to najlepsi żołnierze w tej części imperium. W Starej Dzielnicy obowiązywały szczególne prawa. Włóczęgostwo i żebractwo ścigano tam i karano z całą surowością. W ciągu dnia po ulicach krążyły silne patrole, których liczbę podwajano w nocy. Marzeniem każdego kupca było mieć swój kantor w Starej Dzielnicy, marzeniem każdego rzemieślnika było mieć tam swój warsztat. Jednak, nawet jeśli jakiś dom szedł na sprzedaż, jego cena przekraczała cenę pałacu gdzie indziej...

Tego samego dnia, kiedy „Gwiazda Zachodu” opuściła Drań, kierując się w stronę Dorony, przed gmachem Trybunału pojawił się jakiś człowiek, szczelnie okryty obszerną peleryną z kapturem. Zamienił kilka cichych słów z gwardzistami przy wejściu. Przepuszczono go.

Kilkakrotnie jeszcze zakapturzona postać mijała warty przy drzwiach. Ostatni posterunek stał przy dość szerokich schodach, wiodących łagodnym łukiem w dół. U podnóża owych schodów zaczynał się korytarz, bardzo surowy, oświetlony pochodniami. Z korytarza liczne drzwi prowadziły do sal.

Człowiek w pelerynie, poprzedzany przez gwardzistę, zniknął za jednym z tych drzwi.

Po chwili żołnierz wyszedł i wrócił na wartę.

Sala była urządzona z przepychem zgoła zdumiewającym wobec ubóstwa korytarza. Przepyszny kobierzec dartański pokrywał część

surowej, kamiennej posadzki (nie pasując zresztą do niej wcale) wzdłuż wszystkich ścian stały posągi wyobrażające kilkunastu największych władców Armektu i Wiecznego Cesarstwa. Ściany i strop obito aksamitem. Pośrodku komnaty znajdował się ogromny stół z czerwonego, bukowego drewna. Wokół stołu stały liczne wysokie krzesła, bardzo bogato rzeźbione. W srebrnych kandelabrach płonęło chyba sto świec.

Trzy krzesła były zajęte, siedzieli na nich dwaj mężczyźni, jeden w wieku lat pięćdziesięciu kilku, drugi znacznie młodszy, i czterdziestoletnia kobieta. Stroje mężczyzn były raczej skromne, za to suknia kobiety kosztować musiała fortunę. Niewiele miała wspólnego z armektańskim upodobaniem do prostoty... Także i sala urządzona była nie po armektańsku; właścicielka królewskiego stroju bez dwóch zdań musiała mieć wpływ na urządzenie tego wnętrza...

Człowiek w pelerynie podszedł do stołu i zsunął kaptur, ukazując kobietą, jasnowłosą głowę.

Siedzący patrzyli przez chwilę w milczeniu.

— Piękna buzia — rzekł wreszcie młodszy z mężczyzn.

— Nieoszacowane zdolności — podkreślił drugi, karcąc tamtego wzrokiem. — Prosiłem cię, pani, byś przyszła, bo tym razem ja mam dla ciebie wiadomość.

Kobieta zdziwiła się.

— Nie ma w tym nic szczególnego, że dbam o ludzi zdolnych wyjaśnił mężczyzna. — Może zainteresuje waszą godność fakt, że człowiek o nazwisku D. M. Vard, były kapitan straży morskiej, przybył przedwczoraj do Dranu na pokładzie statku płynącego wprost z Agarów.

— Myślę, Alida, że on szuka ciebie — uzupełniła obsypana klejnotami kobieta przy stole. — Oczywiście, może to zwykły przypadek... — mówiła z bardzo słabym, prawie nieuchwytnym akcentem dartańskim.

— Nie wierzę w to — powiedziała przybyła. — Nie wierzę w takie przypadki.

— Co zamierzasz, pani? — zapytał młody człowiek. — Najlepiej byłoby go pojmać.

Spojrzała dziwnie, potrząsając głową.

— Nie, panie. Niech działa. To ciekawe, skąd wiedział, gdzie mnie

szukać. Tak długo, jak długo jest wolny...

— Uważasz, pani, że coś więcej może się w tym kryć? — przerwał tamten.

Przez krótką chwilę milczała.

— Nie przerywaj mi, panie, gdy mówię. Młody człowiek obejrzał się, zdumiony, na swych towarzyszy. Mężczyzna miał twarz jak z kamienia, kobieta stłumiła uśmiech.

— Chcę trzech ludzi, którzy go odnajdą i nie spuszczą z oka powiedziała Alida.

— Masz moją zgodę — starszy mężczyzna skinął głową. — Sama ich wybierz, pani. I... zalecam ostrożność. Nie chce cię stracić.

— Ten człowiek nie jest zbyt groźny.

— No... nie wiem. Przez trzy pełne miesiące pracował w kopalni na Agarach. Z własnej woli. Po ośmiu latach niewolniczej pracy w tym miejscu. Taki człowiek może bardzo wiele.

— Będę ostrożna.

Gdy wyszła, młody mężczyzna uniósł ręce.

— Kim ona jest, na Szerń?

— To kobieta szlachetnego rodu, Nalwer.

— Garyjka?

— Półkrwi Armektanka. Zachowałeś się jak prostak.

— Jej ton...

— Bardzo mi się podobał. I jak ją znam, użyłaby go wobec każdego. Nie znasz się na ludziach, a to duża wada.

— Mówiłeś, panie, że jest prostytutką?

— Jest nią. Jest też najbardziej niebezpiecznym człowiekiem, jakiego znam. To królowa intrygi i podstępu, a musisz jeszcze wiedzieć, że nigdy i niczego nie zapomina. I pomyśleć, że mój poprzednik wysłał ją na takie Agary, gdzie marnowała się przez tyle lat! — dorzucił.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Jak trafiła tutaj? I kim jest ten... kapitan?

— Jemu właśnie zawdzięczamy jej odkrycie — odparła kobieta z uśmiechem. — Była drogą kurwą na Agarach — swobodnie użyła wulgarnego słowa — tylko kilka osób znało jej prawdziwą twarz. Przeprowadzała pewien plan, kiedy ten głupiec... ten kapitan pojmał ją i osadził w lochu. Zdaje się, że przekupili go piraci. W każdym razie,

wojsko działało wyjątkowo zręcznie... rzecz rzadka. Znow się uśmiechnęła. — Trochę potrwało, nim sprawę wyjaśniono. Była cała wojna między tamtejszym komendantem a Trybunałem, komendant stracił stanowisko, tego Varda zaś... Alida poszła do kopalń. Trochę to okrutne, ale głupców jednak należy usuwać.

*

Vard nie był już głupcem. Osiem lat w kopalniach nauczyło go patrzeć na życie inaczej. Było w tym spojrzeniu wiele goryczy. Był też gniew.

Wokół umierali ludzie. Wolni górnicy, pracujący ciężko, opłacani byli jednak dosyć dobrze. Inaczej niewolnicy. Ci otrzymywali tylko jadło i odzienie. Dbano o nich jednak: po każdych sześciu dniach pracy siódmy był dniem odpoczynku. Niewolnicy byli własnością cesarza. Oszczędzono ich. Podobnie jak woły i konie. Więźniowie natomiast pracowali dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Umierali, ściągając na współtowarzyszy dodatkową pracę przy pochówku.

Vard wiedział od zawsze o więźniach w kopalni. Nigdy jednak nie zastanawiał się, jacy właściwie ludzie tam trafiają. Nigdy o to nie pytał. Był żołnierzem, ścigał przestępców, schwytanych oddawał w ręce urzędników Trybunału Imperialnego. Nic więcej go nie obchodziło.

Potem sam został przestępcą.

Mordercy do kopalń nie trafiali. Morderców wieszano. Także wszelkich rabusiów, rozbójników, piratów — choćby nawet ręce mieli nie pobrudzone krwią. Razem z Vardem pracowali ludzie, którzy na sumieniu mieli kradzież kury, bezprawne polowanie na cesarską zwierzynę, bezprawne łowienie cesarskich ryb, próbę oszukania cesarskiego poborcy. Przez rok najbliższym towarzyszem Varda był stajenny garyjskiego magnata; sadzając na siodło żonę pana, sięgnął pod jej suknię. Stajenny zaklinał się, że to był przypadek. Przeżył. Odpokutował swoje i opuścił kopalnie.

Inni tyle szczęścia nie mieli. Młodzi chłopcy i ludzie wątli, bądź starsi, umierali zwykle po kilku miesiącach. Zdrowi, silni mężczyźni dogasali powoli. Jeśli nie zabiły ich choroby — pracowali mozolnie, dzień po dniu... byle do jesieni. Jesienią tempo pracy malało. Statki nie przyplływały, zaś składy w Aheli nie były duże. Jesień przynosiła nieco ulgi.

Spośród ludzi, których Vard poznał, stając po raz pierwszy do pracy, po tych ośmiu latach żyło jeszcze trzech. Kilku innych zwolniono po odbyciu kary.

Vard był mężczyzną Czystej Krwi. Temu tylko zawdzięczał, że skazano go na lat osiem, nie zaś piętnaście. Traktowano go też lepiej, daleko lepiej niż innych. Komendant legii znał go dobrze jako kolegę-oficera, żołnierze i nadzorcy również widzieli w Vardzie byłego dowódcę imperialnego żaglowca. Przydzielano go do prac lekkich, posyłano z wozami do Aheli, gdzie brał udział w rozładunku.

Gdy Ik Berr stracił stanowisko komendanta straży morskiej, na Agarach natychmiast odżyły pomówienia o nieudolne dowodzenie okrętem. Następcą Berra, protegowany Trybunału, uznał zasadność oskarżeń. Varda zwolniono ze służby. Tym samym nie był już dla Trybunału człowiekiem nietykalnym. Oskarżony kolejno o udzielenie pomocy członkowi załogi pirackiego okrętu, dopomożenie w ucieczce piratki z Małej Agary i później — z Agarów w ogóle, o przyczynienie się do śmierci cesarskiego urzędnika, wreszcie o uwięzienie powszechnie szanowanej mieszkanki Aheli, jej godności Erry Alidy, został skazany i niezwłocznie zesłany do kopalń. Dzień wcześniej Alida osobiście odwiedziła go w celi. Wiedział już wtedy, kim jest ta kobieta.

— Głupio zrobiłeś, panie, mieszając się w sprawy, które cię przerastają — powiedziała mu. — Byłam jedynym użytecznym instrumentem Trybunatu na Agarach, bo ci starcy, których wszyscy znają, mogą sądzić, ale nie wykrywać zbrodnie. Teraz moja misja skończona. Nikt już nie przyjdzie do najdroższej dziwki w Aheli ze zleceniem usunięcia człowieka...

— Ile takich zleceń wykonałaś? — zapytał.

— Trochę — odparła lekceważąco. — Ale usunięto ludzi bez żadnego znaczenia. Przyjęcie owych zleceń nie zagrażało interesom imperium. Bywali jednak u mnie ludzie żądający... o, niezwykłych rzeczy. Domyślasz się zapewne, co spotkało owych zleceniodawców. Agary są małe. Ale ludzie tu żyjący mają czasem wielkie plany. — Ujrzał ironiczny uśmiech na jej ustach.

— Umrzesz w kopalniach — powiedziała krótko. Z dłońmi wiszącymi na przymocowanych do ściany łańcuchach, stał, pomimo omdlewających nóg — jednak wyprostowany.

— Wyrok już zapadł — wyjaśniła. — Jutro go usłyszysz. Może jednak... mogłabym go złagodzić. Potrafię bardzo wiele. Czekala, ale nie odezwał się.

— Gdzie popłynęli? — zapytała.

Nie wiedział. Ale nawet, gdyby wiedział, nie usłyszalaby nic na ten temat. Milczał.

— Dotąd nie przesłuchano cię, panie... tak naprawdę. Są tu miejsca, gdzie łamie się najtwardszych.

Skrzywił usta.

— Nie strasz. Jestem człowiekiem Czystej Krwi. Nawet wy nie możecie torturować mnie bezkarnie. Wiadomość o miejscu, gdzie uciekł jakiś mały pirat i dziewczyna, nie jest warta wytoczenia Czystej Krwi na sali tortur.

— Czyżby?

— Może w Doronie. Może tam są ludzie postawieni dość wysoko, by pozwolić sobie na podobne bezprawie. Ale tu nikogo takiego nie widzę. Tu są Agary, Czysta Krew na Agarach jest w cenie. Dobrze wiesz, bo płacono ci za nazwisko. Przecież chyba nie za urodę?

Podeszła szybko i splunęła mu w twarz.

Od tej pory już jej nie widział.

Gdy został zwolniony z kopalń, komendant legii, stale siedzący w Arbie, wezwał go do siebie. Był to ten sam, posunięty już mocno w latach człowiek, który dzielił władzę na wyspach — jeszcze z Berrem.

— Kapitanie — powiedział — do straży morskiej nie możesz już wrócić, nie zostaniesz też przyjęty do legii. Ale mogę cię polecić kapitanom statków zawijających do Aheli. Stary już jestem i obojętne mi zdanie Trybunału na ten temat... Wprawdzie oficerskie stanowisko na żaglowcu wożącym miedź nie jest czymś szczególnie wartym pożądania, niemniej jednak...

Vard milczał.

— Tak myślałem — podjął tamten z westchnieniem. — Jestem tu kimś w rodzaju więziennego dozorca... Nie żyw urazy, że spełniłem swój obowiązek.

Vard potrząsnął głową.

Komendant westchnął raz jeszcze.

— Co mogę dla ciebie zrobić, synu? Pieniądzy przecież nie

przyjmiesz... Uwierz jednak, że jestem ci życzliwy. Trybunał... Zamilkł. Ciągnął po chwili:

— Uznałbyś moje słowa za prowokację. Lepiej ich nie wypowiem. Co mogę zrobić dla waszej godności?

— Dwie rzeczy, komendancie.

Starzec natychmiast pochylił się ku niemu; Vard widział, że ten człowiek naprawdę nie życzy mu źle.

— Muszę teraz pójść do Aheli, zobaczyć grób matki. Ale potem wrócę. Mój majątek przepadł... Chcę pracować w kopalni, panie. Czy otrzymam poręczenie waszej godności?

Żołnierz patrzył nieruchomym wzrokiem.

— Młodzieńcze... Czy wiesz, co mówisz? Vard milczał wyczekująco.

— Mężczyzna Czystej Krwi... w kopalni miedzi?

— Czy otrzymam pracę jako wolny górnik?

— Co mówisz, panie... Oczywiście, natychmiast. Ale naprawdę nie wiem...

Vard podziękował skinieniem.

— A drugie życzenie?

Były więzień odwrócił wzrok.

— Prośba, komendancie. Czy mógłbyś, panie, zdobyć dla mnie wiadomość o miejscu pobytu... tej kobiety? Zaległa cisza.

— Żołnierz tego nie słyszał — rzekł komendant. Trochę uroczyście zdjął mundurową tunikę, złożył ją starannie i schował. Dopiero wtedy znów spojrzął na Varda. — Dobrze, kapitanie.

30.

„Seila” — lekka, szybka i zwrotna karawela, nazwana tak od imienia jednej z legendarnych córek Szerni, zesłanych do walki ze złem, płynęła półwiatrem na południe. Dartańskie legendy podają, że najpiękniejszą córą Szerni była Rollayna, starsza siostra Seili. Być może. Trudno jednak zaprzeczyć, że „Seila” była jednym z najzgrabniejszych statków, jakie kiedykolwiek widziano na tych wodach. Na trzech masztach niosła trzy skośne żagle typu llapmańskiego. Wszystkie żagle miały barwę białą, pośrodku każdego widniał jasnozielony znak „J”. Żagle skośne, mniej może przydatne do dalekich rejsów, zwłaszcza w okresie stałych, zimowych wiatrów, wymagały jednak mniej pracy niż żagle rejowe. Toteż całą załogę karaweli stanowiło trzydzieści osób, więcej nie było trzeba. Tym bardziej, że statek nie dźwigał uzbrojenia; najlepszą jego obroną była szybkość.

„Seila”, pochylona mocno na prawą burtę, gładko cięła fale spokojnego morza, zostawiając za rufą spienioną białą wstęgę. Kilka mil przed dziobem, od nawietrznej, wyłaniały się z porannej mgły przysadziste kształty jakichś lądów. Statek lekko wyostrzył i poszedł prosto w ich stronę. Na lewym trawersie miał samotną, kamienistą wysepkę. Skrzętnie zaznaczano ją na wszystkich mapach, otoczona była bowiem wieńcem groźnych, podwodnych skał.

Wiele okrętów poszło tutaj na dno.

W cieniu owej posępnej wysepki, wtopiona w ciemne tło urwistego brzegu, stała na kotwicy duża koga z nagim masztem. Wyżej, na szczycie urwiska, dwoje ludzi pilnie śledziło śmigłą karawelę.

— Podziwiam cię — powiedziała Lerena. — Jeszcze raz zapytam: skąd wiedziałeś?

Pilot wzruszył ramionami.

— Nie wiedziałem... Domyślałem się tylko. A ty nie, pani? Berer musiał płynąć tym szlakiem, chyba że wracał z Zachodniego Bezmiaru. Nie bardzo w to wierzyłem. Jeśli więc płynął od Wysp Południowych, musiał płynąć tym szlakiem, bo to najkrótsza droga do Dorony.

— Nie najkrótsza... — zauważyła.

— Najkrótsza znana droga — zgodził się. — Nikt nie pływa wzdłuż zachodnich brzegów Garry. Gdyby wydobyć na powierzchnię wszystkie wraki, jakie tam leżą, można by po ich pokładach suchą nogą dojść tutaj.

Podziwiali gładki bieg okrętu z białymi żaglami.

— Ale to oznacza, że od dawna już domyślasz się, gdzie może być skarb.

— Nie udawaj, pani, że ty się nie domyślasz? Skinęła głową.

— Jednak Archipelag Południowy to kilkaset wysp i wysepek...

— Właśnie.

— Może to rzeczywiście Barirra?

— Wątpię, pani. Nie, pani. To byłoby zbyt proste. A ponadto...

— Mój ojciec nie był głupcem, Raladan. Wiedział, że każdy powie: to zbyt proste.

— Zapominasz, że znałem twego ojca, pani. To na pewno nie jest Barirra.

Patrzyła mu w twarz długo, z coraz większą nieufnością.

— Dlaczego tak usilnie próbujesz wybić mi ten pomysł z głowy? Znów wzruszył ramionami.

— Jeśli chcesz, możemy sprawdzić. Ale znam Barirrę. Nasza mapa pokazuje wnętrze innej wyspy, chyba zresztą mniejszej... I powtarzam: znałem twego ojca. Zdobył Barirrę, walcząc ze wszystkimi wojskami Garry. Potem zawijaliśmy tam parę razy, żeby wywiesić nową banderę, ale kapitan nawet nie schodził z pokładu... Bawiła go myśl, że całą tę wojnę rozpętał i wygrał ot, tak sobie, dla kaprysu. Nie schowałby na tej wyspie nawet pary starych butów, bo musiałby sam sobie powiedzieć, że walczył — o coś. To by odebrało zwycięstwu cały smak.

Patrzyła jeszcze przez chwilę, potem skinęła głową.

— Co teraz, Raladan?

Znów spojrzeli na tnącą toń morza karawelę.

— Piękny okręt. Milczeli.

— Tak, jak ustaliliśmy: gdy zniknie nam z oczu, popłyniemy i my.

— Jeśli wiatr się nie zmieni, mogą być kłopoty.

— Zobaczymy. Wyspy Południowe tworzą trzy mniejsze archipelagi... Myślę, że chodzi o Grupę Wschodnią. Przyznała mu rację.

— Słusznie. W Środkowej jest Sara, na Sarze siedzą strażnicy i silna eskadra. Wątpliwe, by tam był skarb. A Grupa Zachodnia...

— .. to same skały, tyle skał, że tylko szalenciec mógłby tam pływać czymś większym, niż czółno.

— Kto wie?... — zamyśliła się.

— Nie, pani. Nawet Demon nie zpuściłby się tam bez dobrego pilota. Zresztą popatrz: ta karawela na pewno nie płynie do Grupy Zachodniej.

— Może miał dobrego pilota — znów w jej głosie zabrzmiała podejrzliwość. — A Riolata... może kluczy celowo. Jest sprytna, Raladan.

— Czy ty mnie słuchasz, pani? Tłumaczył spokojnie:

— Zawsze u schyłku lata odprowadzaliśmy okręt do jakiejś kryjówki. Na pokładzie zostawał Tares, czasem Ehaden, czasem ja. Poza tym kilku majtków. Parę razy pozostał twój ojciec. Reszta wcześniej schodziła na ląd. U Wysp Południowych kotwiczyliśmy jesienią dokładnie pięć razy: dwukrotnie w Grupie Zachodniej i trzykrotnie we Wschodniej. W każdym z tych miejsc kapitan przynajmniej raz był sam, z tymi czterema czy pięcioma majtkami. Nie pamiętam, bym widział jeszcze kiedyś którego z tych marynarzy...

Spojrzała pytająco.

— Zwykle, choć nie zawsze, zostawali ci, którzy nie chcieli już pływać. Załoga była pewna, że z końcem jesieni zeszli na ląd i poszli sobie.

— A naprawdę?

— Naprawdę zjadły ich ryby. Z niektórych kryjówek korzystało się wielokrotnie, nikt nie mógł wiedzieć, gdzie są. Z początkiem zimy załoga zbierała się znowu w określonym miejscu. „Wąż Morski” przypływał tam, w nocy niepotrzebni majtkowie szli za burzę, a rano szalupa płynęła po tych na brzegu. Tak to, w dużym uproszczeniu wyglądało.

— Nigdy dotąd nie mówiłeś mi o tym.

— Nigdy dotąd nie pytałaś, pani.

Mierzyli się wzrokiem. Porozbijana twarz dziewczyny wyglądała okropnie: siniaki nabrały pełnej barwy.

— Którejś jesieni — podjął pilot — twój ojciec zaryzykował, skorzystał z poprawy pogody i ukrył skarb na wyspie, przy której kotwiczył „Wąż Morski”, albo na którejś z leżących w pobliżu. Pomogli mu ci majtkowie, tworzący szkieletową załogę.

— To bardzo ogranicza pole poszukiwań.

— Tak i nie. We Wschodniej Grupie ja kotwaczyłem tylko raz, przy wyspie... o, takiej akurat jak ta, na której się znajdujemy... Przy jesiennej fali po prostu nie sposób przybić szalupą do tej ściany, prawda? Zwłaszcza, że nawrotów było zapewne kilka. Demon chciał przecież skarb ukryć, nie utopić... To musiała być inna wyspa.

— A w Grupie Zachodniej?

— Do Grupy Zachodniej zawsze ja prowadziłem okręt. Raz sam, raz z kapitanem i całą załogą. Po prostu uciekaliśmy przed cesarską eskadrą, to było późnym latem. Jeden holk rozbił się na skałach, drugi zdobyliśmy. Demon został z tymi trzema czy czterema w kryjówce, a Ehaden, Tares, ja i cała reszta pożeglowaliśmy na tamtym. Kupił go Brorrok... Już nigdy więcej nie ukryliśmy „Węza” w tych skałach. Zimą, gdy kapitan przyplłynął po nas na Garrę, pomyślałem, że to prawdziwy cud.

— Dlaczego?

— Zostawiłem mu mapy, sam je jeszcze uzupełniłem... Ale co tam mapy... Poszycie było nadwerężone w tylu miejscach, że przez dwa tygodnie cała załoga je łatała. W ładowni było wody o, tyle... Gdyby to był inny okręt, zbudowany mniej solidnie... Myślisz, pani, że twój ojciec ukryłby skarb w miejscu, do którego nie jest w stanie sam dotrzeć?

W duchu przyznała mu rację.

— Chyba pora, Raladan — powiedziała po chwili.

Ostrożnie zaczęli schodzenie do miejsca, gdzie czekała na nich szalupa. Potem przedostali się na okręt.

Plan był prosty: mieli upewnić się, czy Riolata rzeczywiście płynie do Wysp Południowych, po czym zasadzić się na nią, gdy będzie wracała. Pierwszą część planu zrealizowali, co do drugiej Lerena miała poważne wątpliwości. Raladan jednak przekonywał, że to może się udać. Zresztą — nie mieli wyboru.

Jeśli rzeczywiście chodziło o wschodnią grupę wysp i jeśli Riolata wracałaby tą samą drogą (co przecież nie było takie pewne), mieli zagrozić jej drogę w miejscu wskazanym przez pilota. Karawela, oczywiście, łatwo mogła uchylić się od walki, dlatego osaczyć ją miały zwrotne, szybkie łodzie szakali morza, jak zwano miejscowych piratów przybrzeżnych. Raladan radził wynająć sześć lub siedem takich łodzi, z czym nie powinno być kłopotów, i obsadzić je częścią załogi „Gwiazdy”. Na tych płytkich, pełnych raf i mielizn, najbardziej zdradliwych wodach

Szereru, nawet zgrabna karawela Riolaty nie mogła się równać z płaskodennymi czółnami, poruszanymi siłą dziesięciu wiosł każde.

Ale owych „jeśli” było tak dużo, że Lerena bała się oceniać, jakie właściwie szansę ma ich, czy też raczej Raladana, plan.

Nie miała jednak lepszego pomysłu. Raladan... Czy mu teraz ufała? Cóż, chyba bardziej, niż kiedykolwiek, ale jednak nie do końca. Nikomu nie ufała do końca. Ale jemu bardzo chciałaby ufać.

Zdumiewający człowiek... Dziecko morza. Teraz, przed spotkaniem z Riolatą na Brzegu Wisielców, opowiedział jej swą historię. Potwory z głębin zdały jej się nagle nieciekawe, tajemnicze pochodzenie Raladana zafascynowało ją o wiele bardziej. Kim był ten najlepszy pilot wszystkich mórz? Synem kupca, a może dowódcy okrętu? Mężczyzną szlachetnego rodu? Umiał przecież występować w każdej z tych ról. Kim, kim był? Dałaby chyba pół życia, żeby to wiedzieć.

Pół życia... Niedużo...

Starannie skrywany ból, graniczący prawie z rozpaczą, był w niej stale. Jako dziecko bardzo się cieszyła, że tak szybko dorasta. Podobnie Riolatą. Cieszyły się jednak tylko do chwili, gdy zaczęły rozumieć, co to właściwie oznacza... Zostały zwyczajnie oszukane.

Czasem z przerażeniem myślała, że już za kilka lat będzie sporo starsza od swej matki. Nie знаła przyczyny tej tragedii, nikt nie potrafił jej pomóc w znalezieniu odpowiedzi na najważniejsze pytanie. Ostatnio zaczęła myśleć o dalekim Grombelardzie i tajemniczym, groźnym Złym Kraju. Może mędrcy z Czarnego Wybrzeża? O ich wiedzy i potędze opowiadano legendy.

Może tam?

*

Oparta o nadburcie na dziobie statku, na wysokości kluzy, Riolatą myślała niemal dokładnie o tym samym co Lerena. Już dawno zauważyły, że ich myśli są często niezwykle podobne, ponadto, jeśli rozważaniom którejś towarzyszą silne emocje — to druga niemal zawsze je odbiera.

Tak było i tym razem. Riolatą czuła smutek, zmieszany z gorzką zawziętością, ale te uczucia płynęły gdzieś z zewnątrz — poznawała to nieomylnie. Kładły się w tle jej własnych uczuć, ale swą obecnością wyzwalały myśli o podobnym zabarwieniu...

Riolata myślała o starości. Niedalekiej już starości.

Potem pomyślała, że bardzo chce mieć syna. Silnego, prawdziwego mężczyznę, który podejmie jej dzieło, a którego syn będzie królem Bezmiarów, potężnym władcą, zdolnym ogniem zepchnąć armektańskie i dartańskie miasta w głąb łądu, a może nawet ponieść miecz do samego serca imperium — do Kirlanu. Oczyma wyobraźni widziała płonące miasta, potężną łunę od horyzontu po horyzont, na jej tle zaś sylwetkę władcy-wojownika dowodzącego tysiącami piechoty, ścierającej z mapy Szereru wszystko co wrogie lub niechętne nowemu panowaniu. Z pogardą myślała o obecnym cesarstwie, będącym dziwnym i niechlujnym zlepkiem różnych krajów i ludów. Pożałowano wysiłku, by uczynić z nich jeden wielki naród, jeden kraj. A tymczasem ludzie, rządzeni przez jednego człowieka, nie mogą być różni, nie mogą używać wielu języków... Wszystko należy wymieszać i stopić, wywieźć garyjskie dziewczyny na kontynent, a te z kontynentu na Garrę... Jasnowłose Grombelardki muszą stać się żonami czarnookich Armektańczyków, Dartanki dostać za mężów Wyspiarzy... To niełatwe, ale jedynie słuszne rozwiązanie. Ponadto: sprawa innych rozumnych. Nigdy nie widziała żywego kota lub sępa, oglądała tylko ryciny. Tu, pośród mórz, kotów i sępów nie spotykało się wcale, mało było ludzi, którzy mogliby się pochwalić, że widzieli któreś z tych stworzeń. Najprędzej marynarze. Wśród majtków ze statków kupieckich słyszało się często, że dość zawinąć do grombelardzkiego Londu, by kotów ujrzeć dziesiątki; były też w armektańskiej Kanazie i Rapie.

Nie rozumiała tego. Nie pojmowała, jak stworzenie chodzące na czterech łapach, niczym pies, można zrównać z człowiekiem. Nie mówiąc już o sępach.

Słyszała o Kociej Wojnie, zwycięskim powstaniu, kiedy to zwierzęta, cóż z tego, że rozumne, wywalczyły sobie ludzkie przywileje. Historia owego zrywu zajęła ją tak bardzo, że zebrała możliwie dużo wiadomości na ten temat. Nie mogła uwierzyć: imperium pozwoliło na zwycięskie powstanie! Jak, na Szerń, miały nie wybuchnąć nowe? Koty, żywy symbol nieposłuszeństwa, chodziły i działały wśród żywych!

— Pani...

Wyrwana z zadumy, odwróciła się powoli. Dowódca „Seili”, człowiek starszy już wiekiem, ale zawołany żeglarz, pochylił głowę w lekkim ukłonie. Był jednym z tych nielicznych, którzy wiedzieli, kto naprawdę

kieruje dwoma poważnymi przedsiębiorstwami kupieckimi w Doronie; wiedział też, że handel z Armektem i Dartanem to tylko przykrywka dla całkiem innej działalności. Nawiasem mówiąc, interesy prowadziła niezwykle pewną ręką, w ciągu zaledwie dwóch lat dorobiła się niemałych pieniędzy i wpływów. Prawda, że drogę uTORował jej Raladan, wykorzystując jakieś stosunki i powiązania jeszcze z czasów, gdy jej ojciec mocno trzymał w garści wielu dorońskich bogaczy...

— Co tam, kapitanie?

— Nie jestem kapitanem, pani, gdy stoisz na tym pokładzie. Uśmiechnęła się lekko.

— Zostaw te grzeczności, Wantadzie, nie jesteśmy w pałacu. Co się stało?

— Prosiłem, byś nie pokazywała się załodze, pani, tak długo jak to możliwe. Ludzie są zaniepokojeni... Co mam im powiedzieć?

— Och, naprawdę... — jęknęła, odruchowo unosząc dłoń do twarzy, na której siniaki przybrały żółto-fioletowo-zielone barwy. Zapomniałam zupełnie! Wantad, przyjacielu, powiedz im cokolwiek, że spadłam ze schodów... no, nie wiem?

Stary kapitan uniósł nieco brwi, spoglądając na krzątających się majtków.

— Hm, ze schodów... Nie wiem, pani. Ale dobrze, coś wymyślę...

Odszedł zafrasowany. Jeszcze raz dotknęła twarzy i znów oparła ręce o nadburcie, uśmiechając się w duchu. Stary Wantad był niezastąpiony. Niewielu ludzi obdarzała takim zaufaniem. Może jeszcze Askara. Chyba nikogo więcej.

Zresztą — wszyscy ludzie na tym statku byli warci zaufania (choć oczywiście w granicach rozsądku). Dobierali ich — Wantad i ona — bardzo starannie. Dwudziestu marynarzy, ludzi świetnie obeznanych ze swym fachem, zapewniało „Seili” właściwą obsługę; dbała, by mieli dobrą strawę, godziwą zapłatę i, nie mogąc narzekać na brak zajęć, nie byli też obarczeni pracą ponad siły. Oprócz marynarzy w skład załogi wchodziło dziesięciu żołnierzy — w duchu zwała ich swą gwardią. Byli jej całkowicie oddani i wyszkoleni tak dobrze jak to tylko możliwe. Płaciła im za ćwiczenia, hojnie nagradzała najlepszych strzelców i najtęższych rębajłów. Toteż między żołnierzami trwała nieustanna rywalizacja.

Dowódcą oddziałku był ponury dziesiętnik ze złamanym nosem, człowiek polecony jej przez Askara. Rekomendując podwładnego, Askar powiedział jej:

„To złodziej. Jest chory, gdy nie kradnie. Nie mogę go trzymać w garnizonie, bo żaden z moich oficerów nie chce odpowiadać za niego. Kiedyś ukradł lichtarz z pałacu Przedstawiciela... Ale poza tym to człowiek, który żyje wojskiem. Pozwól mu ukraść czasem to i owo, a zrobi ci z powierzonych ludzi maszyny do zabijania”.

Tak było. Nosacz (bo taki był przydomek dziesiętnika) znalazł jej najemników — ludzi kochających złoto, kobiety i oręż. Oceniała ich i pochwaliła wybór. Dała tyle, ile zażądali. Gdy nie byli na służbie, mogli robić, co chcieli. W zamian mieli słuchać i milczeć. Dwaj pijacy, którzy milczeć nie umieli, zostali zabici na oczach pozostałych. Trzeci, który nie chciał słuchać, nieomal zdechł pod pręgierzem. Od tej pory nie miała kłopotów.

Sama ułożyła tryb szkolenia. Nosacz był zdumiony jej znajomością rzeczy. Oficjalny właściciel „Seili” (jej kukiełka) zgłosił oddział jako eskortę ładunków. Komendant garnizonu w Doronie (czyli Askar) wydał zezwolenie na noszenie mieczy — przywilej dobrze urodzonych i żołnierzy. Oprócz mieczy mieli jeszcze kusze, zaś strój ochronny stanowiły zamknięte hełmy typu łebka, z silnie wyciągniętym do tyłu nakarczkiem, oraz kolczugi i kirysy, okryte białymi tunikami z zielonym, tym samym co na żaglach „Seili”, znakiem. Wzory czerpała po trosze z Grombelardu — ojczyzny kuszy — po trosze zaś z Armektu, kirys był bowiem strojem ochronnym ciężkozbrojnej armektańskiej piechoty. W Armekcie jednak kirys łączono z toporem i tarczą — odrzuciła jedno i drugie.

Lubiła broń — podobnie jak Askar. Może to także dzięki temu łatwo znajdowali wspólny język.

Największe zaufanie żywiła do broni rażących na odległość. Zapoznając się z przepisami o uzbrojeniu i umundurowaniu legii i straży morskich, które dostarczył jej Askar, zastanawiała się, jak trudnym przeciwnikiem są armektańskie wojska na lądzie. Oto Armekt, kraj łuku, otoczonego tam niemal kultem. Najskuteczniejsza broń w walce z każdym przeciwnikiem. Zdumiewające, jak starannie przemyślane było współdziałanie łuczników z topornikami.

W obronie łucznicy dezorganizowali atak przeciwnika, osłaniani przez ciężkozbrojnych. W natarciu role się odwracały: topornicy stanowili trzon ataku, zadaniem łuczników natomiast było zmieszać strzałami szyk przeciwnika, w razie kontrataku strzec ciężkozbrojnych przed oskrzydleniem i otoczeniem, zaś w decydującej fazie wesprzeć ich z mieczem w dłoni, bądź też w przypadku porażki — osłonić odwrót. Zdawać by się mogło, że łuk jest bronią pomocniczą. Nie był nią. W obronie miał znaczenie pierwszorzędne, a w natarciu — takie, jak topór. Armektańczycy wiedzieli o tym dobrze, znając łuk, bali się go tak bardzo, że zrobili wszystko, by własne wojska przed nim zabezpieczyć: temu przede wszystkim służyły kirysy i tarcze toporników, dość skutecznie chroniące od strzał.

Inna rzecz, że w krajach zdobywanych przez Armekt nikt właściwie łuku nie używał. W Dartanie rycerskie hufce żywiły pogardę dla plebejskiej broni, Grombelardczycy zaś kochali się w kuszy, a dla tej już kirys nie był przeszkodą, nawet z odległości stu pięćdziesięciu kroków. Gdyby gór broniły regularne wojska, nie zaś najemne bandy na usługach rozbójników-rycerzy, grombelardzka kusza mogłaby sprawić Armektowi przykrą niespodziankę... Z łukiem używanym inaczej niż tylko jako broń myśliwska zetknęli się najeźdźcy dopiero za morzem — ale jakim łukiem! Łuk garyjski oparty o ziemię sięgał wzrostu człowieka, strzały zaś miały podobną siłę jak bełt z kuszy. Garyjskim dowódcom brakło jednak koncepcji użycia tej broni... i nie tylko tej zresztą. W efekcie karne, świetnie dowodzone zastępy Armektu miały do czynienia z bitnym, ale źle zorganizowanym wojskiem, podzielonym na nierówne oddziały, zbrojne w oręż wszelkiego rodzaju: od halabardy i gizarmy, aż po łuki i proce, nie mówiąc nawet o maczugach, toporach i mieczach...

Myślała o wyposażeniu swoich ludzi w długie łuki garyjskie, ale z kilku powodów zarzuciła ten pomysł. Po pierwsze, długi łuk był bronią od lat zakazaną przez Kirlan, a chciała, by jej oddział był całkiem legalny. Po drugie, na pokładach statków, zwykle podczas bitwy zatłoczonych, pośród olinowania i żagli, łuk tej wielkości sprawiałby, prawdę rzekłszy, same kłopoty tymczasem jej „gwardia” miała działać wszędzie i w każdych warunkach. Wybrała kuszę, broń droższą, cięższą i mniej szybkostrzelną, za to łatwą w transporcie, dalekosięzną i o niezwyklej sile rażenia.

Uśmiechnęła się lekko. O, szykowała dla armektańskiej piechoty parę niespodzianek...

Ocknęła się nagle i zdziwiła, zauważywszy, jak daleko zabrnęła w rozważaniach. Jeszcze raz spojrzała na morze, odwróciła się i poszła ku długiej, płaskiej nadbudówce rufowej, pochylając nieco głowę, by nie pokazywać siniaków pokładowej wachcie.

Pomieszczenia na „Seili”, choć nieco zbyt ciemne, były jednak w miarę przestronne i wygodne. Miała tu swoją kajutę, przy kajucie kapitańskiej. Rzadko wyruszała na morze, ale pokój zawsze, na wszelki wypadek, utrzymywano w gotowości. Nie poszła jednak do siebie. Zastukała do drzwi kajuty kapitańskiej. Wantad siedział przy stole w towarzystwie swego zastępcy. Wstali na jej widok. Oficer skłonił się zaraz i wyszedł.

— Kiedy będziemy na miejscu?

— Jutro wieczorem, pani. Oby. Nie znasz tych wód, już wkrótce będziemy musieli bardzo mieć się na baczności...

— Nie znam tych wód tak, jak nie znam żadnych innych — zaśmiała się. — Kiepski ze mnie majtek, kapitanie.

— Widywałem gorszych.

— Sądzę, że nie widywałeś... No dobrze. Want, mam pewne obawy.

— Jakie? Ważyła słowa.

— Jestem pewna tej załogi tak, jak tylko można być pewnym. Ale płyniemy po największy skarb, jaki kiedykolwiek widziały Bezmiary. Czy zaręczysz...?

Skinął głową.

— Ręcę, pani. Ci ludzie mają tu warunki, o jakich marynarz nie śmie nawet śnić. Wiedzą, że nigdzie nie będzie im lepiej. Z drugiej zaś strony... Sam nie wiem, dlaczego, ale boją się ciebie bardziej niż kogokolwiek i czegokolwiek na świecie. Nie, pani. Nawet gdyby któremuś złoto zaćmiło rozum, pozostali wyrzucą go za burtę na samą wzmiankę o buncie. Zbyt wiele mają do stracenia.

— Mam nadzieje.

Po chwili milczenia kapitan zauważył:

— Coś jeszcze cię trapi, pani. Nie nalegam... ale może stary Wantad zdoła jakoś pomóc?

Położyła mu dłoń na ramieniu.

— To wszystko idzie zbyt dobrze, zbyt gładko. Chłopak Berera najpierw był bardzo wojowniczy, a potem mówił tak szybko, jak tylko potrafił. Teraz udało mi się wywieść w pole Lerene. Tak przynajmniej sądziłam dotąd... — Zasepiła się. — Wiesz przecież, Want, że mam siostrę? Ale nie wiesz, że jesteśmy takie same.

Uniósł brwi.

— Nie rozumiem...?

— Mam bliźniaczą siostrę. Był zdziwiony.

— Nie wiedziałem... skąd mogłem...

— No właśnie, skąd mogłeś wiedzieć. Trzymamy to w tajemnicy Wantad, zachowaj ją i ty. Nigdy nie wiadomo, do czego może się przydać nasze podobieństwo...

Pokiwała głową.

— Nie wie o nim nawet Askar. A mówię ci to teraz, bo czuje, że ona jest w pobliżu.

Słuchał uważnie, widząc, że to jeszcze nie koniec.

— Jest niebezpieczna — podjęła po chwili. — Lerena jest bardziej niebezpieczna, niż sądzi ktokolwiek, niż sądzi ona sama. Ale na razie nie wie, czego chce... Wiesz, Wantad, czasem czuje się starsza od niej. Mam swoje cele, do czegoś dążę. Ona nie. Myśli, że zostanie królową piratów, ale... no właśnie, sam się uśmiechasz. Lecz pewnego dnia Lerena się odnajdzie, i to będzie jak uderzenie pioruna, Want. Nic jej nie zatrzyma, nic się nie oprze jej działaniu. Boję się tego dnia.

Przygryzła wargę.

— Boję się tego dnia... — powtórzyła niegłośnie. Po chwili uniosła wzrok i zaśmiała się, widząc zmarszczone brwi starego kapitana.

— No, nie bierz sobie tego do serca — powiedziała pozornie lekko, ujmując jego rękę w swoje dłonie. — Z takim mężczyzną przy boku nie obawiam się nikogo i niczego.

Sprawiła mu wyraźną przyjemność.

— Idę spać — oznajmiła.

— Dobrze, pani. Obudzę cię, gdy dotrzemy do celu.

— Mhm.

Po chwili była w swojej kajucie. Pomimo kiepskiego oświetlenia małe zwierciadło bezlitośnie odbiło wszystkie siniaki na twarzy. Oglądała je skrzywiona, przysięgając sobie, że nie wyjdzie na pokład

przed nastaniem zmierzchu. Potem położyła się do łóżka.

Spała dobrze. Obudził ją Wantad.

— Dopłynęliśmy, pani. Oprzytomniała w okamgnieniu.

— Już wychodzę! — rzuciła pospiesznie. Ubrała się szybko i wybiegła na pokład. Nadciągał zmierzch. Odszukała spojrzeniem kapitana i zbliżyła się doń. Przez chwilę stali w milczeniu.

— Zdążymy? — zapytała, nie spuszczając wzroku z masywnej sylwety wyspy. — Przybijemy dzisiaj?

— No cóż, pani, wolałbym zakotwiczyć tu do rana. — Wantad spojrział z wahaniem. — Te wody naprawdę są pełne pułapek.

— Czy jest jakaś szansa?

— No cóż... oczywiście.

— A więc. Nie będę czekać całą noc ledwie o milę od celu.

— Rzykujemy utratę „Seili”.

— Trudno.

Była tak podniecona, jakiej jeszcze nie widział. Bliskość celu poruszała i jego, ale starał się zachować rozsądek. Zresztą w jego wieku ryzyko i przygoda nie miały już takiego smaku jak kiedyś.

— Za pozwoleniem, pani — zaczął ostrożnie — myślę, że mam lepszy pomysł. Spojrzała niecierpliwie.

— Tak?

— Wolałbym jednak nie narażać „Seili”. Dam ci, pani, łódź i sześciu sprawnych wioślarzy... Wylądujecie na wyspie, a rano połączę się z wami. Omal go nie uściskała.

— Jesteś wspaniały, ojczulku! Tak zrobimy. Spiesz się!

Po chwili majtkowie krzatali się żywo przy umieszczonej na średnim pokładzie łodzi. Wantad wyznaczył sześciu ludzi do wiosła i sternika, ale dwóch odprawiła, biorąc na ich miejsce Nosacza i jednego z żołnierzy. Wkrótce odbili od burty żaglowca. Siedziała na dziobie, co chwila oglądając się na wyspę, której kontury powoli zacierał zmierzch.

31.

— Znasz nazwę tej wyspy? — zapytała. — No, tej, na której chcesz wynająć łodzie?

Raladan pokręcił głową.

— Nie, pani. Nie pamiętam. Kiedyś pewnie ją słyszałem, ale wysepek takich jak ta są wokół Garry setki. Nie wymagaj, bym znał nazwę każdej. Zwłaszcza, że czasem nazw jest kilka.

— Nie wymagam. Ale myślałam, że skoro zamieszkują ją szakale morza...

— Szakale siedzą na wielu z tych wysp, pani. To rybacy, po prostu rybacy. I naprawdę łowią ryby. Inna rzecz, że samotny statek nie jest tu bezpieczny, a już jeśli wejdzie w mieliznę, lub rozbije się na skałach... Nie słyszałem, by ktoś wyniósł głowę z takiej przygody. Ci dzielni ludzie wyrzynają rozbitków do ostatniego, a wrak oczyszczają jak mrówki kość.

— To znaczy, że gdybyśmy weszli na skały...

— Nie mamy żadnej szansy. Ale dopóki płyniemy, raczej nic nam nie grozi. Właśnie dlatego chciałem, żebyśmy postawili czarny żagiel, nie tylko dlatego, że trudniej go wypatrzeć.

— Rozumiem — uśmiechnęła się domyślnie. — Tutaj lepiej uchodzić za pirata niż za kupca.

— Właśnie. Ta pływająca ładownia — wskazał pokład — to łakomy kąsek. Lepiej żeby nasi rybacy wiedzieli, że siedzą w niej złośliwe draby, gotowe posłać na dno wszystko, co podpłynie zbyt blisko. Ale martwię się nieco o twą siostrę, pani. „Seila” to szybki statek, ale na tych wodach nie ma to większego znaczenia. Boję się, żeby ktoś nie ukradł nam pomysłu...

— Nie martw się o Riolatę — powiedziała i wydało mu się, że powietrze drgnęło, jak zawsze, gdy wymieniała to imię. — Martw się lepiej o nas.

Spojrzał na nią i w tej samej chwili dobiegły go okrzyki majtków. Wskazała wzrokiem. Obejrzał się. Od nawietrznej, zza skalistego cypla wysuwał się powoli średniej wielkości holk. Niósł czerwone żagle.

— Dartański strażnik? Na tych wodach? — Raladan zrobił kilka

kroków i patrzył z nie skrywanym zdziwieniem.

— Czemu nie?

— O tej porze roku? I przede wszystkim, pani — holck? Straż dartańska pływa na karawelach, nie na holckach, a już na pewno...

Skrzywił się nagle i przeszedł na drugą burłę. Podążyła za nim. Rozepchnął majtków i jeszcze raz popatrzył uważnie.

— A już na pewno nie na tym holku, pani. Uśmiechnął się, co czynił rzadko. Holck zmienił kurs, szedł wprost na nich.

— Masz przed sobą żywą historię Bezmiarów, pani. To okręt Brorrocka. Stary Brorrock był stary, jeszcze zanim twój ojciec pierwszy raz ujrzał morze na oczy...

— Znasz go?

— Ba! Pływaliśmy rok razem, od niego przeszedłem do Demona. Co nie znaczy, pani. że twoi ludzie mają stać z otwartymi gębami, aż kule działowe wybiją im zęby.

Rozejrzała się wokół.

— Hej! — wrzasnęła.

Majtkowie ruszyli się. Kopnęła jedną z okrętowych dziwek i wydała parę rozkazów. Znow wróciła do pilota.

— Co robimy?

— To zależy. Wątpię, by wziął nas za kupca... Żagiel rzuć.

Powtórzyła komendę.

Patrzyli, jak holck manewruje sprawnie, także wytracając szybkość. Wkrótce dryfowali niemal burta w burłę, w odległości może stu kroków od siebie.

— Hej! — zabrzmiało z pokładu tamtego; głos był tak donośny, że jeśli właściciel był go godzien, należał chyba do olbrzymów. Hej! Co za statek?!

Raladan wzruszył ramionami, ale Lerena powiedziała:

— Odpowiedz im, na pewno o mnie słyszeli.

Pomyślał, że to wcale nie jest takie pewne. Żeglarska sława Lereny rozciągała się głównie w jej własnej wyobraźni... Choć z drugiej strony „Gwiazda Zachodu” nie była statkiem zupełnie nieznanym. Swego czasu dość głośno było o buncie załogi na kodze, wiozącej partię niewolników hodowlanych do dartańskiej Lłapmy. Lerena niewolników sprzedawała, a okręt i zbuntowana załoga służyły jej dobrze już dwa lata.

Z holka okrzyknięto ich raz jeszcze, ostro, ponaglająco. Raladan miałyby ochotę odpowiedzieć w tym samym tonie, ale Lerena uniosła dłoń.

— Odpowiedz im — rzekła z naciskiem. — Słucham twoich rad, Raladan, ale wciąż to ja jestem tu kapitanem. Skinął głową.

— Heej! — wrzasnął. — „Gwiazda Zachodu” pod komendą Pięknej Lereny! A kto pyta?! Po chwili padła odpowiedź:

— Pozdrowienia dla Pięknej! Tu „Kaszalot” kapitana Brorroka!

Okręty, leniwie kołysząc się na fali, jeszcze bardziej zbliżyły się do siebie. Odsunęła Raladana i zawołała swym niskim, matowym głosem:

— Piękna zaprasza kapitana Brorroka! Na holku powstał jakiś spór. Po pewnym czasie odkrzyknięto krótko:

— Płyniemy!

Brorrok rzucił kotwicę; podobnie zrobiono na „Gwieździe”. Skupiona na pokładzie i kasztelach załoga Lereny patrzyła, jak przyciągają uwiązaną do rufy łódź i rzucają sznurową drabinkę. Wkrótce wioząca kilka osób szalupa zaczęła posuwać się w stronę kogi.

Najpierw na pokład wspiął się dość wysoki, rudy jak lis mężczyzna o twarzy poznaczonej wielkimi piegami. Wyciągnął rękę i pomógł niedużemu, suchemu jak wiór starcowi. Za nimi pojawiło się jeszcze paru ludzi.

Starzec zrobił kilka kroków, powłócząc nieco lewą nogą. Spojrzał dokoła, po czym pochylił się nagle i mrużąc wyblakłe oczy patrzył na rzecz na pokładzie. Wyciągnął rękę i zdartym głosem zapytał:

— Do stu kurew, Rudy... Co to? Piegowaty rudzielec spojrzał pod nogi.

— Gównno, kapitanie — odpowiedział zwięźle. Starzec wyprostował się.

— Gównno — rzekł i znów rozejrzał się wokół. — A gdzie to kapitanowa?

Raladan, obserwujący scenę z za pleców marynarzy, pokręcił głową. Powiadano, że Brorrok, zanim trafił na morze, był ogrodnikiem u garyjskiego magnata. Czy to stąd, czy skądinąd, wyniósł jakieś rzadkie zamiłowanie do piękna i porządku. Wszystkie okręty, jakimi w życiu dowodził, lśniły czystością, jakiej nie wymagał nawet surowy, kochający dyscyplinę Rapis. Plama na żaglu, brudny pokład, ba! wystający gwóźdź,

doprowadzały zrzędlivego starca do wściekłości. Jego piraci byli tłumem elegantów, przymuszanych siłą do prania odzieży i kąpeli. Pilot był pewien, że brudny, śmierdzący moczem, odchodami, rzygowinami i rumem okręt Lereny, na dobitkę z czarnym, dziegciowanym żaglem na maszcie, nie będzie się Brorrokowi podobał.

Spojrzenie starego pirata objęło stojącą nieco z boku Lerenę, przesunęło się po posiniaczonej twarzy i postrzępionej, niegdyś białej koszuli.

— Gdzie kapitanowa? — powtórzył. — To ty jesteś, córuchna? Możesz ty i piękna, ale ja tam tego nie widzę.

— Myślałam, że odwiedzi mnie kapitan Brorrok, a nie jakiś pierdliwy dziadek — powiedziała spokojnie, zakładając ręce do tyłu. — Ale trudno. Czego chcecie, ojczulku? Wsparcia?

Zaległa cisza.

— O, do stu kurew — rzekł Brorrok. Odwrócił się do swoich.

— Hola, kapitanie!

Pilot rozsunał majtków i postąpił naprzód. Starzec spojrział na niego i zmarszczył brwi, zaskoczony.

— O, do stu... Ślepy Raladan, niech mnie powiesz! Co robisz w tym śmietniku, gadaj? Sprzątasz? Raladan stanął przy Lerenie.

— Nie, kapitanie. Służę pod rozkazami córki, tak jak służyłem pod rozkazami ojca. I wiem, co robię. Dziwne, żeście nie słyszeli, kim jest dowodząca tym okrętem.

— Coś słyszałem... Ale dziś wierzę mniej niż kiedykolwiek.

— I niesłusznie.

Staruch obejrzał się na swoich ludzi, jakby pytając o radę. Raladan jednak wiedział, że to niemożliwe; zrzęda znany był z tego, że nigdy nikogo o radę nie pytał.

— Kapitanie Brorrok — odezwała się Lereña — może porozmawiamy?

Wkrótce potem siedzieli we czwórce w jej kajucie. Brorrok, robiąc do siebie różne miny, przypatrywał się Lerenie. Rudy mierzył wzrokiem Raladana. Nie znali się osobiście, ale widzieli raz i drugi przelotnie. Swego czasu — bywało — ich dowódców łączyły wspólne interesy.

— Co robicie na tych parszywych wodach? — zagaił stary. — Niedługo będzie tu pewno gorąco.

— Dlaczego? — zapytała. Brorrok podrapał się po nosie.

— Bo widzisz, córca, goniłem za strażnikiem. I uciekł mi, do stu kurew... — kłął jeszcze długo.

Raladan i Lerena wymienili spojrzenia.

— Uciekł pewno na Sarę — Brorrok znów podrapał się po nosie i kichnął. — Popsuło mi się mięso w beczkach. Coś trzydzieści chłopów mi się od tego przekręciło... — Popatrzył ponuro w kąt. — Znalazłem nowych, ale gołych, wiadomo. No, tom myślał, że ten strażnik da mi trochę dobrej broni i kolczug. Ale uciekł, do stu kurew. Jak znam cesarskich, to eskadra z Sary już wypływa. Ale nie złapią starego Brorroka.

— To szukanie po omacku. — Pilot pokręcił głową. — Nie wiadomo nawet, czy rzeczywiście wypłyną.

— Wypłyną, wypłyną... Stary Brorrok wart jest, by spróbować szczęścia.

— Tamci wiedzieli, kto ich goni?

— Ano, Ślepy, tak się złożyło, że wiedzieli.

— Dlaczego „ślepy”? — zapytała Lerena, spoglądając na Raladana.

— Stare miano... Tak mnie zwali, jak pływaliśmy razem.

— Hę, zawiązywali mu oczy, a on rzucał nożami! — zarechotał Brorrok. — Zawsze trafił w maszt, skubany! — dodał z podziwem. — No to i został Ślepy.

— Byłem młody — mruknął Raladan.

— Ale popisać to żeś się lubiał... E, sam, gdy byłem młody... Popatrzył na Lerenę.

— No, córca. A wy?

— Myślałam, że nałapię tu trochę niewolników. — Rozłożyła ręce. — Dobrze miejsce, spokojne... Ale widzę, że przestało być takie.

— Ano przestało. Niewolnik ciągle się opłaca?

— Zależy. Teraz bardziej. Mam w ładowni miejsce na dobrą setkę. Weszłoby i półtorej, ale wtedy więcej padnie i trudno ich wyżywić.

Brorrok gwizdnął.

— No, jak setka, to warto. Sprzedajecie w Banie?

— Teraz nie. Rok temu wiatr poniszczył zboża w Armeckie i Dartańczycy porobili majątki na swoim. Ciągle najlepiej sprzedawać w Lia. Jeszcze lepiej byłoby w Lida Aye, ale Morze Zamknięte to złe

miejsce...

Brorrok przytaknął.

— Nie wożę niewolnika — powiedział. — Wiozłem raz i później cały statek mi śmierdział. Nie wożę.

— Dla mnie lepiej — zauważyła.

— To co, ładownie macie puste?

— Puste. — Uśmiechnęła się z lekką ironią. — A nawet, gdyby coś w nich było, to nie radziłabym zaglądać...

Brorrok zarechotał. Rudy też się uśmiechnął.

— Niegłupia jesteś — pochwalił starzec. — Ale nie, do stu kurew, nie ruszyłbym statku jego córki. Chłop był z kośćcami, urwis okropny, niech mnie zarżną, ale porządny chłopak. Młodo umarł.

Nie tak znów bardzo młodo... Ale dla Brorroka każdy, kto nie miał chociaż sześciu krzyżyków, był gówniarzem i szczyłem.

Stary z namysłem mierzył dziewczynę wzrokiem.

— Nie mogłabyś uprać koszuli, co córcia? — Machnął ręką. — Tak tylko... Nie słuchaj starego. A może tak byśmy... — Ułożył wargi w zwiotczały ryjek; popatrzył na rudzielca, na nią, na pilota i znów na Lerenę. — Może tak byśmy razem dali łupnia cesarskim? Co?

Lerena uniosła brwi.

— Mam zbroje. Więcej mi nie trzeba, a sprzedać coś takiego nie jest łatwo, trzeba by do Grombelardu. Inne łupy... — Wzruszyła ramionami.

— Prawda, łupy żadne — przyznał Brorrok. — Ale sława, jaka sława, córcia — kusił.

Potrząsnęła głową, chociaż z żalem; Raladan był pewien, że kiedy indziej chętnie by przystała.

— Szkoda czasu — powiedziała. — Lato się kończy, a muszę sprzedać jeszcze partię żywego towaru. Tu przy płynęłam na próżno, muszę płynąć gdzie indziej.

— Szkoda. — Stary pirat zaklął po swojemu.

— A oprócz tego, trzeba jakiej pomocy, kapitanie? — zapytała uprzejmie.

— Patrzaj, jaka miła dla starego... Mapy, córcia. Macie może więcej, niż trzeba?

— Tych wód?

— No.

Raladan skinął głową.

— Trochę stare — powiedział. — Ale uzupełnię ci je, kapitanie.

— Niedrogo policzę — dorzuciła Larena. Brorrok wysunął szczękę.

— Kuta na cztery nogi — skonstatował. — Niech mnie utopia, nie poznałem się najpierw. Tylko, córcia, troszkę tu śmierdzi (nie słuchaj starego)... Szanowny ojczulek, gdyby żył, dałby ci klapsy, oj dał.. Nie słuchaj. Nic mi do tego.

— Właśnie — potwierdziła. — Raladan, przynieś te mapy. Może kubek rumu, kapitanie?

— O, córcia, co to, to nie. W moim wieku trunek szkodzi. Ja piję mleko.

— Skąd mleko na morzu? — zapytała nieco ubawiona.

— Zawsze mam mleczne bydłatko. Jest i mleko.

Nie wiedziała, czy to żart. Potem dopiero Raladan powiedział jej, że nie...

Wkrótce Brorrok płynął z powrotem na swój holk. Odprowadzali łódź wzrokiem.

— Dziwny — oceniła. — Trochę śmieszny.

— To pozory. To najbardziej chytry, bezlitosny i okrutny człowiek, jakiego widziałas w życiu, pani. Przy tym zawołany żeglarz. Twój ojciec go prześcignął, bo miał okręt, z którym nic na Bezmiarach nie mogło się równać, I mnie — dorzucił bez pychy, ale i bez obłudnej skromności.

Popatrzyła krótko, ale nic nie powiedziała. Gdy łódź dobiła do burty holka, odwróciła się.

— Wybierać kotwicę! Płótno na maszt!

Brorrok i jego ludzie wspięli się na pokład. Na holku wzniesiono pożegnalny okrzyk. Załoga „Gwiazdy” odpowiedziała. Okręty rozeszły się powoli w dwie przeciwne strony.

32.

Świtało, gdy zmęczona, oszołomiona, ale szczęśliwa Riolata wróciła do swych ludzi przy szalupie.

Znalazła.

Trudno było nie znaleźć. „Wyspa” była bezludną skałą, stanowiącą siedlisko olbrzymich chmar ptactwa. Rosło na niej kilka marnych drzew i ze dwadzieścia krzewów; cała ta roślinność zgrupowana była w sercu łądu, mierzącego może ćwierć mili szerokości i tyle samo — długości. Na północ od owego „lasu” leżało „wzgórze” — rumowisko skał, upstrzonych bielą ptasich sylwetek. Przy świetle pochodni, mając w ręku mapkę, narysowaną przez syna Berera, z niejakim trudem, wobec gęstniejących ciemności, odnalazła pośród owego rumowiska wejście do jaskini.

Stojąc wewnątrz legendarnego skarbcza, gdy minęło pierwsze uniesienie, pomyślała, że zaiste trudno byłoby lepiej ukryć owo bogactwo. Większe łądy były z reguły zamieszkane, prędzej czy później przypadek odkryłby tajemnicę. Zakopanie podobnej ilości cennych rzeczy nie wchodziło w rachubę.

A ten łąd — niegościny, omijany przez ludzi (kto wie, kiedy dotknęła go ludzka stopa, może ze sto lat przed przybyciem Demona, a może nigdy...) — był wymarzoną kryjówką. Któż mógłby tu zawitać? Chyba jakiś rozbitek. Ale szansa, że zaistnieje podobny przypadek, jawiła się tak mizerna, iż trudno było brać ją pod uwagę.

Zresztą, pomimo tego, przed pojedynczym nieproszonym gościem jej ojciec się zabezpieczył... Zaraz za wejściem do grotty był wilczy dół, najeżony ostrzami. Człowiek towarzyszący Bererowi znalazł w nim szybką śmierć. Zapewne, przykrywające ów dół żaglowe płótno, ciemne jak skały wokół, w końcu musiało zbutwieć. Ale nie było jego przeznaczeniem leżeć wiecznie...

Jej powrót obudził żołnierzy i majtków. Stawali teraz na nogi, przeciągając się i ziewając.

Ranek wstawał trochę chłodny i pochmurny, ale za to bez mgieł. Widziała, jak na oddalonej niespełna o milę od brzegu „Seili” podnoszą

kotwicę.

Obrzuciła wzrokiem morze wokół i lekki uśmiech, goszczący dotąd na jej ustach, zgasł nagle. Trzy żaglowce szły ostro z południowego wschodu. Rozpoznała natychmiast holki „małej floty” — jasnożółte żagle były doskonale widoczne.

Jej ludzie wymieniali uwagi, tłumiąc głosy tak, jakby tamci mogli usłyszeć. Spojrzała na swój okręt. Na „Seili” także dostrzeżono eskadrę. Zastanawiała się, jaką decyzję podejmie Wantad. „Seila” była statkiem całkowicie legalnym, a obecność na tych wodach dałoby się od biedy wytłumaczyć; mogli płynąć do południowogaryjskiej Bagby, choćby po wódkę, mocniejszą, lepszą i tańszą od dorońskiej. Co prawda kupiecki statek płynący do Bagby obrałby raczej szlak pomiędzy Grupą Wschodnią a Środkową. Ale przecież mogli omyłkowo zejść z kursu... Co prawda, w tej okolicy bardzo wystrzegano się podobnych pomyłek.

Zresztą — Wantad właściwie nie miał wyboru. Strażnicy musieli już dostrzec karawelę, barwę żagli i znak na nich. Wobec plagi piractwa, każdy właściciel statku obowiązany był oznaczyć go według zaleceń miejscowego komendanta straży. Prowadzone były specjalne rejestry. Ucieczka „Seili” mogłaby przysporzyć bardzo poważnych kłopotów.

W napięciu patrzyła, jak wyspiarska eskadra rozdziela się: dwa okręty pozostały na kursie, ostatni zaś w szyku odpadł od wiatru i pożegłował wprost ku „Seili”. Zbliżał się dość szybko.

— Schowajcie się — rzuciła; białe tuniki jej żołnierzy łatwo było dostrzec na tle ciemnych skał.

Po pewnym czasie okręty znalazły się dość blisko siebie. Nie mogła słyszeć rozmowy ich dowódców, ale patrzyła, wyteżając wzrok niemal do bólu. Ze zdumieniem i prawdziwym przerażeniem ujrzała, że Wantad robi zwrot i odchodzi od wyspy, kładąc „Seilę” w ślad holka.

Riolata chwyciła się za głowę.

Wantad tymczasem po prostu nie miał wyboru. Z napięciem nie mniejszym niż Riolata patrzył, jak holka refuje żagle, zmniejszając prędkość przed spotkaniem. Wkrótce dobiegło pytanie ze strażnika. Odpowiedział bez zwłoki.

— Co tu robicie? — indagowano dalej.

— Płynę do Bagby! — odkrzyknął. — Wczoraj zmyliłem kurs! Holk zrównał się z karawelą, po czym zaczął mijać ją powoli, w odległości

niespełna pięćdziesięciu kroków.

— Jest pirat na tych wodach! — poinformowano Wantada. Oficerowie na kasztelu odbyli jakąś krótką naradę, po czym padło: Statek przechodzi pod moją komendę! Płynicie za nami!

— Mam interesy w Bagbie!

— Nie znasz prawa, człowieku?! — zapytano surowo. — W imieniu cesarza, nakazuję ci płynąć za mną! Twój statek wzmacnia siły eskadry Floty Głównej Garry i Wysp!

Wantad, rad nie rad, wydał rozkazy.

W samej rzeczy, takie było prawo imperium. Dowódca cesarskiego żaglowca mógł podporządkować sobie każdy napotkany statek. Musiał mieć ku temu powody, ale ocena, czy takowe były, należała do jego przełożonych. Kupiec miał prawo do skargi, którą rozpatrywano zwykle starannie, bądź też jeśli poniósł finansową stratę, mógł żądać jej zrekompensowania. Nigdy jednak nie wolno mu było odmówić udzielenia pomocy.

Ścigano pirata. Wantad musiał przyznać w duchu, że dowódca holka nie nadużył swej władzy. Zespół dwóch żaglowców miał o wiele większe możliwości niż pojedynczy okręt. Tym bardziej, że każdy marynarz natychmiast musiał docenić zalety „Seili”, więc przede wszystkim szybkość i zwrotność. Mając taki statek do pomocy, szansę przychwycenia pirata, gdyby udało się go wytropić, wzrastały niepomiaralnie.

Stary dowódca wspomniał przecucie dziewczyny. Czy to o statek jej siostry chodziło?

Odwrócił się i patrzył na pozostającą za rufą wysepkę.

33.

Pogoda pogorszyła się nieco i był to znak, że szczęście im sprzyja. Gdyby świeciło słońce, zapewne zostaliby dostrzeżeni. Jednak zachmurzone niebo i to, że znajdowali się pomiędzy nadciągającą eskadrą a wyspą, na ciemnym tle której ich czarny żagiel był słabo widoczny, przesądziło sprawę. Raladan bez zwłoki zarządził zmianę kursu, poszli w stronę brzegu, pragnąc wtopić się weń jak najdokładniej. Ryzykowali mocno; pilot znał wiele przejść i przesmyków, lecz nawet on nie mógł przecież określić położenia każdej podwodnej skały w każdym morzu Szereru...

Ale udało się. Podeszli tak blisko, że w innej sytuacji mogliby śmiało uchodzić za szaleńców. Zrzucili żagiel i stanęli na kotwicy. Kto żyw, tkwił na pokładzie, obserwując idące w odległości dobrych paru mil statki.

— Poznajesz, pani? — zagadnął Raladan. — Wygląda na to, że twoja siostra bierze udział w obławie na Brorroka.

Oślaniając oczy dłonią, wpatrywała się w dal.

— Chyba masz rację, to rzeczywiście przypomina karawelę Riolaty. Myślisz, że zarekwirowali jej statek?

— Raczej wcielili do eskadry wraz z załogą.

Odwróciła się ku niemu.

— Ale z tej odległości nie da się powiedzieć na pewno, czy to „Seila”. Wiem, że masz doskonały wzrok, ale...

— Nie, oczywiście, że nie mam pewności. Ale poczekajmy. Cierpliwości, pani. Płyną niemal prosto na północ, przybliżą się zatem trochę. Może wtedy uzyskamy potwierdzenie.

— Zamierzasz tkwić tu tak długo?

— A co jeszcze możemy zrobić? Jak będą... o, gdzieś tutaj wskazał palcem — podniesiemy kotwicę i zasłonimy się wyspą. Ale to potrwa.

Znów popatrzyła na żaglowce.

— A jeśli to naprawdę ona? Może wydobyła już skarb?

— Wątpię.

— Ale jeśli? — nie ustępowała. — Jeśli wydobyła, to wszystko przepadło, ale jeśli nie... — Zamyśliła się.

— Chodźmy, Raladan — powiedziała nagle. Ruszył za nią. Gdy znaleźli się w kapitańskiej kajucie, wyciągnęła kilka map i rzuciła na stół.

— Siadaj — poleciła.

Po chwili pochyłali się nad zarysami lądów i mórz.

— Teraz są tu, tak? — Pokazała ostrzem puginału. — A my tu, tak? Potwierdził.

— Wiemy, kiedy wypłynęli. Wczoraj koło południa, w każdym razie przed wieczorem. Jeśli teraz są tu, to, przy tym wietrze, którędy mogli płynąć?

Zastanowił się, po czym wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć... Zapewne płynęli w nocy...

— Noc była ciemna, Raladan. Chmurzyło się już wieczorem.

— Ale mimo to...

— Noc była ciemna, Raladan! — powtórzyła ostro. — Było ciemno, zupełnie ciemno. My też staliśmy na kotwicy, chociaż na pokładzie jest najlepszy pilot Bezmiarów. Staliśmy, tak czy nie?

— Tak.

— Ile holców mają na Sarze?

— Trzy. Chyba trzy.

— Dwa pewnie poszły tedy. — Pokazała szlak między Grupą Wschodnią a Środkową. — I te mogły żeglować nocą. A ten popłynął sprawdzić wschodnie wyspy.

— Wątpię.

Patrzyła w milczeniu.

— Znowu chyba przestaję ci wierzyć... Czemu kluczysz, Raladan?

Zirytował się nagle.

— Nie kluczę, tylko myślę! Po co mieliby posyłać jeden holc? Przecież wiedzą, kogo chcą złapać. Jeden holc może uciekać przed Brorrokiem, a nie go gonić... Myślisz, pani, że tamten uciekał dla zabawy, ledwo dotarł do Sary i drugi, taki sam, wypłynął, żeby dla odmiany gonić?

Zacisnęła usta.

— Myślę, że przypłynęli tutaj, do wschodniej grupy, całą eskadrą — wyjaśnił, już spokojnie. — I dopiero po spotkaniu statku twojej siostry podzielili się na dwa zespoły.

— No dobrze. To teraz powiedz, którędy płynęli. Marszcząc czoło,

patrzył na mapę.

— Nie wiem... Może tędy? Nie, prędzej tędy. Skoro popłynęli tutaj, a nie na szlak doroński, znaczy myśleli, że Brorrok raczej schowa się gdzieś, niż ucieknie. Ale w takim razie... ja płynąłbym tędy.

Twarz miała ściągniętą.

— Śmieję się, że choć przez chwilę mogłam ci wierzyć. Robisz wszystko, żebym nie znalazła tej wyspy, co, Raladan?

— Posłuchaj, pani...

— To ty mnie posłuchaj, i to posłuchaj uważnie: powoli zaczynam mieć pewność, że próbujesz wywieść mnie w pole. To dobrze, że zaczęłam tę rozmowę. Rozmawiajmy dalej. Jeszcze jedna albo dwie wypowiedzi, a będę wiedziała dość, by z czystym sumieniem wyrwać ci ten kłamliwy ozór.

Kręcił głową w milczeniu.

— Tyś oszalała, moja panno — orzekł z całkowitym spokojem.

— Nie mój kawalerze. To tyś się zapomniał. Nie jestem szynkarką. Jestem kapitanem okrętu. I co nieco o morzach wiem, choć pewnie nie tyle co pilot Raladan... Tędy byś płynął, powiadasz? Po lądzie?

Patrzył zaskoczony.

— Jak... „po lądzie”?

— Widzisz, Raladan, ja już kiedyś byłam w tych stronach. Parę razy. Ostatnio nawet z tobą, jak łapaliśmy Berera, pamiętasz? Ta cieśnina istnieje tylko na mapach, a i to nie na wszystkich. To nie są dwie duże wyspy, Raladan, tylko jedna, jak dwie kule połączone łańcuchem. Tu nie ma przejścia, każdy odpływ odsłania pas lądu.

Milcząc, potrząsnął głową.

— Nie wiedziałem... Na Szerń, pani, nie jestem nieomylny.

— Na twoje nieszczęście, w tych sprawach zawsze byłeś.

— Naprawdę nie wiedziałem. Raz i drugi widziałem te wyspy... tę wyspę z daleka...

— Ale jakoś byłeś pewien, że jest między nimi przejście, z którego mogą skorzystać okręty tak duże jak cesarskie holki zadrwiła.

Rozłożył ręce.

— Nikt nie zna wszystkich wysp, cieśnin i mielizn Szereru — powiedział. — Mój dar polega na tym, że gdy patrzę na wodę... czy choćby na mapę... jakoś... prawie czuję kształt dna. Ale przecież czasem

się mylę. Wprowadziłem raz „Węza” na taką mieliznę, że trzeba było rzucać kotwice. Wszystkie zapasy poszły wtedy za burtę, wszystkie działa, a dwustu chłopów pływało wokół statku, byle go odciążyć. Jeszcze trochę, a rąbalibyśmy maszt!

Namyślała się.

— No dobrze — powiedziała nieco łagodniej. — Więc którądy płynęli, Raladan? Myślał krótko.

— W takim razie tędy. Nie od północnego zachodu, bo wtedy lepiej byłoby płynąć szlakiem i teraz mielibyśmy te dwa żaglowce od północy... Weszli we Wschodnią Grupę od południowego zachodu.

— A dalej? Tutaj jest Barirra...

— Właśnie. Chyba raczej zostawili ją z prawej burty. Potem zakotwiczyli na noc. A skoro...

Uniósł wzrok.

— Skoro teraz są tutaj... to znaczy, że płynęli... o, tak. Twoją siostrę spotkali po drodze, wczoraj wieczorem, ale prędzej chyba dziś rano...

Skinęła głową.

— W rachubę wchodzi trzy lub cztery wyspy, pani. Jest ich po drodze więcej, ale na kilku są wioski. Popatrzył na Lerenę.

— Jeśli nawet nie znajdziemy właściwej...

— To co?

Myślał przez chwilę.

— Jeśli twoja siostra wydobyła skarb, to istotnie wszystko przepadło. Ale jeśli nie, to przecież wróci po niego. Domyślamy się już, gdzie mniej więcej mogli ją spotkać cesarscy. Wystarczy przycząć się gdzieś po drodze i patrzeć, dokąd płynie.

— I tak właśnie zrobimy, Raladan.

34.

Praca Varda w kopalni, choć pewnie nie tak wyniszczająca, jak praca innych więźniów, była przecież ciężka. Jednak kapitan pozostał czymś więcej, aniżeli ludzkim wrakiem. Schudł nieco i wydawał się starszy, niż był w istocie, ale dusza została ta sama — dusza żołnierza z krwi i kości, przed którym stoi zadanie.

Kto wie, czy nie zachował tej duszy dzięki Alidzie?

A ciało miał sprawne.

Odkąd podjął pracę w kopalni jako człowiek wolny, płacono mu wcale uczciwie. Rodziny nie miał, mógł zadbać o siebie, jadł więc dużo i dobrze, sypiał długo, odział się niebogato, ale znowu nie nędznie. Przed opuszczeniem Agarów otrzymał w darze od starego komendanta legii prosty i zwykły, ale niezawodny gwardyjski miecz. Podarunek przyjął.

Nigdy i nigdzie nie zdarzyło się chyba, by mężczyzna odmówił przyjęcia broni, darowanej szczerze przez innego mężczyznę.

Grombelardzkim zwyczajem nosił miecz na plecach. Żołnierzom nie wolno było nosić broni w ten sposób. Nie był już jednak żołnierzem i czuł potrzebę podkreślenia tego. Nie pozwolił sobie na żaden inny gest. Choć miał wiele możliwości i okazji.

Ktoś inny na jego miejscu poszedłby pewno do siedziby Trybunału, posłuchał, jak urzędnicy mówią mu „wasza godność”, po czym kazał pocałować się w dupę.

Przepracowawszy pełne trzy miesiące, odpłynął pierwszym statkiem, jaki zdążał na Garrę. I akurat do Dranu.

Teraz był już w Dranie od tygodnia.

Vard nie był przebiegły i nigdy się za takiego nie uważał. Ale nie był też głupi. Dowiedział się, że Alida najprawdopodobniej jest w Dranie. Był pewien, że agarski Trybunał w ten czy inny sposób powiadomi ją o tym, że człowiek, któremu zabrała osiem lat życia, ma się dobrze i — dziwnym trafem — ledwo co odzyskawszy wolność, płynie do miejsca, gdzie można ją znaleźć.

Dlatego nie pytał, nie szukał, nie czatował. Po prostu czekał, aż tamtych znudzi jego bierność. Włączył się po porcie, po rynku, po

wszystkich dzielnicach miasta, oglądał towary wystawione na sprzedaż, gawędził z marynarzami w tawernach i z gwardzistami w Starej Dzielnicy. Z każdym łatwo znajdował wspólny język; nie na darmo w kopalni otarł się o tyłu i tak różnych ludzi... Martwił go tylko ubytek grosza w kieszeni. Miał jeszcze trzy sztuki srebra. I trochę miedziaków.

Ostatnio zauważył, że kręcą się wokół niego jacyś ludzie. Jego bierność najwyraźniej podziałała komuś na nerwy, szpicle stali się niemal natarczywi. Gdy przystawał, by pogawędzić z przekupniem, natychmiast pojawiał się jak spod ziemi niepozorny, szary człeczyna o nijakiej twarzy. Człowieczek wyłaził ze skóry, byle usłyszeć choć jedno słowo z prowadzonej rozmowy. Vard zastanawiał się, czy potem podsłuchane treści idą wyżej?

— To nie wolno straganów? — pytał przekupnia.

— Oj, wasza godność, ojoj — narzekał tamten. — Nie wolno. Oj, nie wolno. Wszędzie, coby tylko nie tutaj. A kiedy tu, wasza godność, najlepiej idzie!

— I cóż? Wszystko na grzbiecie?

— Ano, wasza godność, oj, na grzbiecie. Noszę tak i noszę, czasem dobry człek co kupi. Wasza godność, przecie grzyby jak złoto! — Sięgał do wielkiego kosza na plecach, wyciągając brunatne wianki.

Takie to były rozmowy.

Vard z głębokim cynizmem, nabytym w agarskiej kopalni, zastanawiał się, jak długo wytrzyma człowiek, słuchający dzień po dniu sprawozdań z takich rozmów.

Wytrzymał krócej, niż Vard myślał...

Pewnego dnia, gdy jak zwykle krążył po ulicach Dranu, zatrzymał go niegłośny okrzyk:

— Kapitanie Vard! Zatrzymał się i obejrzał.

— Nie jestem kapitanem — powiedział. — Ale istotnie nazywam się Vard.

Mężczyzna skłonił się lekko i wymienił swoje nazwisko. Był Armektańczykiem Czystej Krwi, choć raczej niezbyt dobrego rodu; pojedynczy monogram przed imieniem nosiło bardzo wielu.

— Mam przekazać waszej godności zaproszenie — powiedział.

Vard skinął głową. Mężczyzna najwyraźniej był zdziwiony brakiem jakichkolwiek pytań; nie wiedział, czy wyjaśniać sytuację, czy też nie.

— Idziemy, panie, czy tak? — zapytał Vard.

— Tak... tak, kapitanie.

— Nie jestem kapitanem. Już mówiłem. Nie tytułuj mnie, panie, w ten sposób. Którędy?

Mężczyzna wskazał drogę. Potem już, zdetonowany, szedł w milczeniu, spoglądając tylko od czasu do czasu, z ukosa, na dziwnego człowieka, który nie był ciekaw, dokąd go prowadzą...

Tak doszli do Starej Dzielnicy.

Dom, przed którym zatrzymali się wreszcie, nie był większy ani zamożniejszy od innych. Nie wyróżniał się też niczym szczególnym.

— To tutaj, wasza godność.

Przewodnik chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zrezygnował. Wprowadził Varda do wnętrza budynku i pożegnał. Vard pozostał sam w obszernym, raczej skromnie urządzonej pokoju na parterze. Nie czekał zbyt długo. Wkrótce otworzyły się drzwi, wiodące do innych pomieszczeń, przepuszczając pięćdziesięciopięcioletniego mężczyznę o niezwykle poważnej, surowej twarzy.

— Kapitanie Vard — rzekł grzecznie — proszę wybaczyć owo niezwykle zaproszenie. Proszę też wybaczyć, że nie wymienię swego nazwiska, ale lepiej, bym tego nie czynił.

— Nie jestem kapitanem — rzekł, po raz trzeci tego dnia, Vard. — Nie dowodzę żadnym okrętem. To niemożliwe, byś o tym nie wiedział, wasza godność.

Mężczyzna milczał przez krótką chwilę, potem wyciągnął rękę, wskazując miejsca przy stole.

— Usiądźmy.

Przez chwilę trwała cisza.

— A zatem, panie — rzekł gospodarz — nie jesteś kapitanem. Wielka szkoda. Czy myślałeś kiedyś o ponownym objęciu takiej funkcji? Na holku Floty Głównej, przypuścimy?

— To niemożliwe — odrzekł Vard — gdyby zaś nawet było możliwe, to niezgodne z prawem. Nie, panie, nie myślę o tym. Wasza godność chcesz pomyśleć za mnie?

Owo rzucone z głupia frant pytanie stropiło nieco gospodarza. Sięgnął po stojący na stole wielki dzban i rozlał wino do dwóch srebrnych, ale prostej roboty, kubków.

Vard naprawdę nie był człowiekiem przebiegłym ani sprytnym. Był natomiast spostrzegawczy. Dawno już rozważył, co robić, gdyby zaistniała podobna sytuacja (przewidział wiele różnych). Nie wdawał się w gierki słowne, słuchał natomiast uważnie i obserwował.

— Dlaczego prowadzisz ze mną grę, panie? — zapytał wprost. Ktoś cię przekonał, że tak będzie najlepiej? Nie wierz temu. Po prostu porozmawiajmy.

Zobaczył, że ugodził celnie, ale nie domyślał się nawet jak bardzo.

„Na Szerń, ten człowiek widzi na wylot — przemknęło przez głowę tamtego. — Nalwer jesteś głupcem, a ja tym większym, że posłuchałem cię dzisiaj...”

— Widzę, kapitanie... wybac: panie Vard, że oceniłem waszą godność właściwie. Cieszę się z tego. A zatem: najlepiej, jak mówisz, po prostu porozmawiajmy. Jestem wysokim urzędnikiem Trybunału Imperialnego, panie. Jeszcze raz proszę, byś mi wybaczył, ale nazwiska naprawdę wolę nie wymieniać... bez wyraźnej potrzeby. Czy jest taka potrzeba?

Vard skinął głową.

— Racja. Nie.

— Ubolewam — ciągnął tamten — nad losem, który tak pokierował życiem twoim, panie, i... pewnej kobiety. Chcę zapytać: czy to z jej powodu jesteś tutaj, w Dranie?

— Dlaczego tak sądzisz, wasza dostojność? — Vard, zorientowany już nieco, kim jest jego rozmówca, użył tytułu przysługującego wysokiemu urzędnikowi Cesarstwa.

— No cóż, mogłoby zdawać ci się, panie, że masz powód do zemsty — padła otwarta odpowiedź. Vard docenił to.

— Myślę, że chciałbym porozmawiać z nią — powiedział, zastanowiwszy się krótko. — Ostatnio, gdyśmy się widzieli, wisiałem na łańcuchach i nie mogłem obetrzeć jej śliny ze swej twarzy. Teraz ręce mam wolne, mógłbym zatem to robić.

Mężczyzna lekko ściągnął brwi i przygryzł usta.

— Obawiam się, że takie spotkanie nie jest możliwe — rzekł po chwili.

Vard wskazał drzwi, którymi urzędnik wszedł do pokoju.

— Dlaczego? — zapytał. — Przez drzwi mało co słyhać, nawet jeśli

są uchylone. Myślę, że mogłaby usłyszeć więcej i lepiej, siedząc z nami przy stole.

Także i to pchnięcie, choć ryzykowne, bo zadane niemal po omacku, sięgnęło celu. Rozmówca Varda najwyraźniej nie potrafił kontrolować tak dziwnej wymiany zdań. Vard z prawdziwą satysfakcją patrzył, jak ten rozumny człowiek gubi się i wyraźnie traci grunt pod nogami. Jego taktyka okazywała się nadspodziewanie skuteczna.

— Nie szukam zemsty, wasza dostojność — rzekł po chwili. — Szukam sprawiedliwości. Może bawi to urzędnika Trybunału, ale kiedyś w nią wierzyłem. Przed ośmiu laty skazano mnie za czyny, których nie popełniłem. Chcę wiedzieć, dlaczego tak się stało. Czy usunięto mnie w imię interesów cesarstwa, co może mógłbym zrozumieć, czy też... ktoś po prostu nadużył swej władzy. Czy masz pewność, panie, że nie zaszła ta druga możliwość? Urzędnik patrzył w milczeniu.

— Nie przywykłem do takich rozmów — rzekł wreszcie. — Uświadomiłeś mi, panie, niezwykłą rzecz: to mianowicie, że dawno już nie spotkałem człowieka mówiącego bez ogródek i szczerze... chcę bowiem wierzyć i wierzę, że tak właśnie jest. Dziękuję za to.

Wstał.

— Myślę, że pożegnamy się teraz. Mam jednak pytanie: czy przyjmiesz, wasza godność, moje następne zaproszenie? Chciałbym pomówić w miejscu, gdzie nie będzie żadnych drzwi, zamkniętych, czy otwartych... i gdzie będziemy, panie, sobie równi, w sposób oczywisty i jednoznaczny. Powiedzmy: nad brzegiem morza?

*

Tego samego dnia wieczorem, w gmachu Trybunału, przy wielkim stole w bogatej sali, zasiadły trzy osoby — te same i tak samo, jak kilka dni wcześniej. Zmieniła się tylko suknia kobiety. Co nie znaczy, że była mniej bogata.

— Jesteś głupcem, Nalwer — rzekł starszy mężczyzna, odpowiadając na słowa tamtego. — Miałem cię dotąd za zbyt porywczego, młodego człowieka. Ale teraz widzę, że to nie młodość. To głupota.

Nalwer poczerwieniał.

— Na Szerń, panie... Stanowisko, jakie zajmujesz, nie upoważnia cię...

— Najwyższym Sędzią Trybunału zostałem z woli samego cesarza,

Nalwer. Z tobą zaś rzecz ma się inaczej. Nie obchodzi mnie, kto cię protegował na to stanowisko, choć domyślasz się chyba, że nietrudno dociec. Zapewniam jednak, że owo poparcie nie wystarczy, jeśli zdecyduję, że masz odejść. Jeśli ktoś szkodzi interesom Trybunału, mam prawo odwołać się do samego Kirlanu.

Nalwer spojrział w bok, ale właścicielka bogatej sukni pokazała gestem, że zgadza się z tym, co powiedziano.

Przez chwilę panowała cisza.

— A zatem — podjął starszy mężczyzna — spotkanie dojdzie do skutku. To nie jest jakiś dureń, który wplątał się w nie swoje sprawy. Będę potrzebował twojej pomocy, pani — zwrócił się do kobiety. — W archiwach Floty Głównej z pewnością mają jakieś raporty z Aheli, sprzed ośmiu lat. Tylko ty możesz sprawić, bym nie musiał czekać na nie miesiącami. Chcę zestawić te raporty z tym, co wysmażył dla nas ahelski Trybunał.

Z lekkim uśmiechem skinęła głową.

— Może warto by też udać się na te Agary. Nalwer — powiedział, tknięty nagłą myślą — ty tam popłyniesz. To nie jest żadne zesłanie — zastrzegł. — Raczej próba, czy potrafisz jednak zrobić cokolwiek... Pojutrze będę mógł ponownie zobaczyć się z tym człowiekiem. Jeśli moje podejrzenia znajdą potwierdzenie, wystawię ci wszelkie pełnomocnictwa. Zbadasz sprawę u korzeni, Nalwer.

— Czy nie podejmujemy zbyt szerokich działań, na podstawie zbyt kruchych przesłanek? — zapytała kobieta.

— Sam się zastanawiam. Ale ten kapitan to niezwykle rzadki rodzaj człowieka. Jest uczciwy. Na wskroś uczciwy. I naprawdę wcale niegłupi. Nie wierzę, by istotnie pomagał piratom. Natomiast... — zawahał się.

Myślał o czymś długo.

— Zamykam posiedzenie — rzekł niespodziewanie, unosząc głowę.

Nalwer spojrział zdziwiony, ale wstał po chwili i skłonił się lekko. Tamtych dwoje siedziało nadal. Pojął nagle, w czym rzecz i po raz drugi tego wieczoru krew napłynęła mu do twarzy. Zacisnął pięści i szybkim krokiem opuścił komnatę.

— Nie ufasz mu — skonstatowała kobieta.

— Raczej... nie považam — odparł. — To pierwszy powód, dla którego zamknąłem posiedzenie.

— A drugi powód?

— To, co chcę powiedzieć, ma charakter nieoficjalny.

— Tak myślałam. Jesteś zawsze sobą, drogi kuzynie... Dobrze, rozmawiajmy prywatnie.

— Pani Erra Alida to chyba najlepszy człowiek, jakiego mamy rzekł po namyśle. — Bez dwóch zdań, wolałbym mieć przy boku ją niż takiego Nalwera. Wiesz przecież, że w rocznym sprawozdaniu dla Kirlanu proponuję utworzenie tajnego stanowiska Trzeciego Przedstawiciela. Widziałem na tym miejscu właśnie panią Alidę i wymieniłem jej nazwisko w raporcie. Ale... Eleno, ty ją znasz lepiej... Powiedz, dlaczego ta kobieta pracuje dla Trybunału?

— Dla pieniędzy — odparła. — To najważniejszy powód. Pobory z kasy imperialnej wcale nie są małe. A po drugie, ciągnie naprawdę duże zyski ze swej profesji, która niby jest tylko przykrywką... Czy myślałeś kiedy, że w równym stopniu ona służy nam co my jej?

Zmarszczył czoło.

— To Trybunał oddał jej dom w Starej Dzielnicy — wyjaśniła. Trybunał dba o jej bezpieczeństwo. Trybunał płaci za jej przyjęcia, na których, co prawda, ciągnie gości za języki... Powiedz, kuzynie, która ladacznica w Dranie ma tak dobrze?

— A zatem złoto i inne korzyści...

— I władza. Ma ją wcale niemałą. Dodatkowo sama stoi ponad prawem.

— Niezupełnie.

— Ale jednak. Skinął głową.

— A więc potwierdzasz mój osąd. Pani Alida dla pieniędzy i władzy zrobi... jeśli nawet nie wszystko, to w każdym razie bardzo wiele. Jest niezwykle cenna dla Trybunału, ale jeśli okaże się, że osiem lat temu nadużyła swych uprawnień, prowadząc jakąś własną grę, to nie ma żadnych dowodów, iż nie zrobi tego ponownie. A może być niebezpieczna. Dla nas, dla Trybunału, a może i dla imperium.

— O czym myślisz?

— O powstaniu. Z całą pewnością wybuchnie w przyszłym roku. Nie możemy mieć ludzi, którzy lubią prowadzić własne gierki. Zwłaszcza wtedy.

Zamilkł.

— Skąd te zastrzeżenia? — zapytał po chwili. — To przecież ty chciałaś, by ludzie śledzący kapitana Varda składali nam raporty?

— Owszem. Niemniej... Kobieta pokręciła głową.

— Chyba zbyt daleko idziesz w swoich podejrzeniach. Możliwe, że w Aheli Alida naruszyła prawo... Machnął lekko dłonią.

— Nie jestem naiwny, Eleno. Wiem, na czym polega praca dziwki, której dodatkowo można zlecić morderstwo. Jeśli mają przychodzić do niej grube sztuki, to potrzebna jest pewna reputacja... Nie obchodzi mnie, ilu małych intrygantów pozabijało się nawzajem za jej pośrednictwem. Powiadają, że gdzie drwa rąbią, tam i wióry lecą. Praca urzędników Trybunału to pasmo małych przestępstw i zbrodni, popełnianych w celu zapobieżenia wielkim.

— O cóż więc chodzi?

— O to, kuzynko, by nie popełniano owych małych zbrodni więcej, niż jest to konieczne. I nigdy we własnym interesie.

35.

Była tak ponura, że majtkowie i żołnierze schodzili jej z oczu, a bali się nawet głośniej rozmawiać. Zresztą — widok odpływającej „Seili” ich również nie wprawił w dobry nastrój.

Właściwie nic im na razie nie groziło; mieli dobrą łódź, trochę żywności i słodkiej wody. Ale decyzję należało podjąć jak najszybciej: czy wiosłować zaraz w stronę Garry (jakieś dwadzieścia mil) i później przedostać się, lądem albo morzem, do Bagby, czy też, licząc na szybki powrót „Seili” — czekać.

Mogła się tylko domyślać, co zaszło. Ale wszelkie próby odgadnięcia, kiedy Wantad powróci, były czystą loterią. Mógł wrócić jutro albo za trzy tygodnie. Na dobrą sprawę mógł nie wrócić wcale. Jedna Szerń wiedziała, dokąd płynął ten holc, może i do Grombelardu...

Opanowała się. Oczywiście, to niemożliwe. Lecz złość podsuwała takie właśnie pomysły.

Postanowiła czekać. Wierzyła, że gdyby zanosilo się na dłuższy rejs, Wantad coś wymyśli.

Ale bezczynne oczekiwanie było czymś zgoła nieznośnym. Już pierwszy dzień, ciągnący się niemal bez końca, uświadomił jej, na co się porwała.

Żywność i woda prawie się skończyły; było co prawda trochę deszczówki, zebranej w zagłębieniach skalistego gruntu, ale woda smakowała jakoś obrzydliwie. Także nastroje wśród jej ludzi nie były najlepsze. Marynarze wyspali się za wszystkie czasy, potem łazili wzdłuż brzegu, płosząc kamieniami ptactwo, lecz gdy nadszedł wieczór, stali się swarliwi i marudni. Ona sama zresztą wpadała w złość z byle powodu.

Może jednak należało płynąć na Garre?

Noc była chłodna: ci, którzy wyspali się za dnia, teraz usnąć nie mogli. Męczyła się i ona. W końcu paru majtków powlokło się do „lasu”. Rozpalili potem ognisko, ale niedługo płonęło: nad ranem przeleciał krótki, lecz dość gwałtowny deszcz. Zbyt marny, by zdołali nałapać świeżej wody, wystarczająco jednak silny, by przemoczyć odzież i zgasić ognisko. Pojęła wtedy, czym jest pech i zdała sobie sprawę, jak, drobne z

pozoru wydarzenia, mogą obrzydzić życie. Pocieszyła się myślą, że rozpalenie ognia nie było wcale rzeczą rozsądną; jakoś dziwnie dużo statków kręciło się po tych, omijanych zwykle, wodach. Poza tym nie była pewna, czy dwie sąsiednie wyspy, których zarysy przy dobrej pogodzie i za dnia dało się zauważyć, były bezludne. Wątpliwe, co prawda, by ktokolwiek dostrzegł stamtąd niewielki ogienek, ale... stawka była wystarczająco wysoka, by każda ostrożność miała uzasadnienie. Ostatnie, czego pragnęła, to spotkanie na tej skale z szakalami morza.

I z kimkolwiek innym.

Rano wzięła płaszcz od Nosacza i powędrowała do skarbcza.

Ani marynarze, ani żołnierze nie wiedzieli dotąd o skarbie. Podejrzewała jednak, że domyślają się czegoś. Rejs nie był zwykłym rejsiem, wyspa zaś, na której się znajdowali, nie obfitowała w rzeczy godne uwagi. Skoro jednak stanowiła cel wyprawy... Była pewna, że gdy tylko nie ma jej w pobliżu, odżywają niezliczone domysły. Któryż to majtek nie słyszał o pirackich skarbach?... O tym skarbie. Legendarnym już — skarbie Demona Walki.

Dotarła na miejsce, ale nie zeszła do jaskini. Zamiast tego wdrapała się na szczyt wzgórza. Wypatrywała „Seili”.

Była!

Z satysfakcją zacisnęła usta. Czarny kształt nadpływał z północnego zachodu. Wantad wracał!

Radość uleciała szybko. Ten okręt nie niósł białych żagli. Nie potrafiła określić barwy, ale były ciemne... na pewno nie białe.

Patrzyła w napięciu, wzburzona.

Statek przybliżał się powoli; wiedziała, że upłynie dużo czasu, nim znajdzie się u brzegów wyspy.

Potrząsnęła głową. Na Szerń, czemu miałyby zmierzać właśnie tutaj? Skarciła się w duchu za bezpodstawne obawy, spojrzała jeszcze raz w dół i chciała zejść ze wzgórza, ale coś przykuło ją do miejsca. Pojawiło się nagle znajome uczucie, wbiła spojrzenie w daleki okręt i nagle powiedziała cicho, z prawdziwą nienawiścią:

— Lereña...

*

Raladan stał na kasztelu i patrzył pod horyzont. Poczul na ramieniu dłoń Lereny.

— Raladan...

Spojrzał na nią. Byli niemal tego samego wzrostu; przysunęła głowę do jego głowy, patrząc w dal.

— Raladan... — powtórzyła.

— Tak, pani? Poszedł wzrokiem za jej spojrzeniem.

— Co tam jest? — zapytała, marszcząc brwi.

— Wyspa, wysepka — odparł.

— Wysepka... — powtórzyła machinalnie.

— Tak, pani. Właściwie stercząca z wody skała, tak mała, że zaznaczono ją na niewielu mapach.

— A na naszych?

— Nie.

— Nie oznaczyłeś jej?

— Nie, pani.

— Dlaczego? Nie odpowiedział.

— Dlaczego, Raladan? — ponagliła. Podeszła do bukszprytu.

Powrócił spojrzeniem do owego, nieokreślonego bliżej punktu, który wcześniej śledził.

— Słyszałeś?

— Tak, pani.

Odwróciła się, spoglądając mu w twarz.

— Czy to może być... tam?

Wzruszył ramionami, zatykając kciuki za pas.

— Jaki strasznie milczący! — rozżłościła się nagle. — Zwykle masz tyle do powiedzenia! Pilot odetchnął głęboko.

— Nie wiem, pani, czy to może być tam. Myślę, że nie. Ale milczę, bo ostatnio każda moja wypowiedź nie idąca po twojej myśli jest powodem, by zarzucić mi nielojalność albo zgoła zdradę.

Przez długą chwilę obserwowała go, nic nie mówiąc.

— Dlaczego uważasz, że skarbu tam nie ma? Znasz tę wyspę? Znowu wzruszył ramionami.

— Właśnie rzecz w tym, że nie. I nie bardzo wiem, jakim sposobem mógłby znać ją twój ojciec. Trudno przypuścić, by przybił do nieznanego brzegu z zamiarem ukrycia skarbu, nie wiedząc nawet, czy da się tam wykopać dziurę.

Wydeła wargi.

— No tak: ląd powszechnie znany — nie, bo żyją na nim ludzie. Ląd nieznany — też nie, bo nie wiadomo, czy spełni oczekiwania... Jaka więc to ma być wyspa, Raladan? Znana mojemu ojcu i tobie, i nikomu innemu? Dużo jest takich?

— No cóż... Zapewne masz rację, pani — przyznał. — Być może, prowadząc tak długo daremne poszukiwania, zacznym teraz szukać nie wiadomo czego...

— Chyba tak, Raladan. Ale nie martw się: znalazłeś.

Znów odwróciła się ku morzu i wskazała palcem odległą skałę.

— To jest tam. Skinął głową.

— Niech tak będzie, pani. Ale pozwól, że teraz ja zapytam: skąd ta pewność?

— Nie wiem... Po prostu: to jest tam.

Pokiwał głową, krzywiąc sceptycznie usta. Zbliżyła się i otwartą ręką trzasnęła go w czoło, odrzucając ciosem głowę w tył.

— Nie pozwalaj sobie na takie uśmieszki — upomniała, nieomal szczerząc zęby. — Bo ci każę wlepić parę kijów.

Purpurowy gniew napłynął mu do twarzy. Cofnęła się niespiesznie o pół kroku.

— No? Spróbujesz? — rzuciła wyczekująco. Wysunęła język, powolutku przesuwając koniuszkiem wzdłuż wargi.

*

Wyspa wyglądała dokładnie tak, jak to określił Raladan: wystająca z wody kupa skał, pokrytych tu i ówdzie cienką warstwą gleby. Trzymając w dłoniach pomiętą, niechlujnie wykreśloną mapę, patrzyła to na nią, to na ląd.

— To jest tu! — mówiła gorączkowo. — Patrz, tam widać jakieś wzniesienie, jest zaznaczone na mapie... A tutaj, ten cypel jak wygięte ramię... To mogła być kryjówka „Węża”, nikt nie dostrzeże z morza stojącego za tym cyplem okrętu z nagim masztem! Znaleźliśmy!

Trzasnęła dłońmi o nadburcie.

— Hej! Miecz dla mnie, ośmiu ludzi do łodzi! Raladan! Pilot stał z boku, patrząc w milczeniu.

— Chcesz im pokazać skarb? — zapytał, ruchem głowy wskazując majtków. — No to nasze życie niewiele jest warte...

— O to się nie martw — powiedziała. — Zrobią, co im każę. „Na

wszystkie morza — pomyślał — tyś oszalała, dziewczyno”. Jej wiara we własną władzę nad załogą była tyleż naiwna, co zatrważająca.

— No to co?! — wrzasnęła nagle, jakby widząc jego myśli. — Mam powiedzieć sobie „to tu” i odpłynąć?! Po chwili łódź kołysała się przy burcie.

— Idziesz? — zapytała przez zęby, przypasując miecz. Skinął ponuro głową.

Wkrótce byli na brzegu. Wyskoczyła na piasek i natychmiast ruszyła w głąb wyspy. Raladan zagryzł wargi. — Czekać tu — rzucił do wioślarzy. Nie sprzeciwiono mu się. Podążył za dziewczyną.

36.

Alida wiedziała już dobrze, że popełniła błąd. Bardzo poważny błąd. Varda należało zabić. Oczywiście — nie mogła tego zrobić tak po prostu. Bavatar był uczciwy. Najwyższy Sędzia Trybunału Imperialnego Garry i Wysp — był uczciwy.

„Uczciwy” — obracała w myślach dziwne słowo, jedno z tych, które oznaczają tak wiele, że aż nic. Była uczciwość pojęciem względnym, akurat tak samo, jak dobro, zło, sprawiedliwość... Można ich było używać, jednak sprawy poważne winny być załatwione w oderwaniu od wszelkich dogmatów.

Zniecierpliwiona nagle — odsunęła całą tę filozofię.

„Starzejesz się, kochanie” — powiedziała sobie z gniewną kpina.

Bavatar nie filozofował. Po prostu był uczciwy, i to w bardzo szerokim rozumieniu tego słowa. U Najwyższego Sędziego Trybunału, taka krępująca ręce cecha, była wadą. Ale z tym nie mogła nic zrobić. W każdym razie — nie teraz.

Mogła natomiast — jeszcze przed paroma dniami — dość łatwo pozbyć się Varda. Bez oficjalnej zgody Bavatara, oczywiście. Łatwo by uwierzono, że chciał ją zabić, i jej ludzie musieli zadziałać.

Pozwoliła jednak, by żył. Gdzieś w głębi duszy miała wątłą nadzieję, że może jednak ten człowiek wie coś... o Raładanie. A teraz było za późno. Nie dość, że dała mu czas, to jeszcze posłużyła się ludźmi Trybunału. Prawda, że tego od niej oczekiwano, gdyby zrobiła inaczej, musiałyby to wyglądać co najmniej dziwnie... Co z tego jednak? Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, bo szpiedzy, których wybrała, informowali o wszystkich ruchach śledzonego nie tylko ją, ale także Elenę.

Czy tamta coś podejrzewała?

Trudno dociec... Dość, że niezwykle spokojne, zagadkowe zachowanie człowieka, któremu przypisywano chęć wywarcia zemsty, zwróciło uwagę Pierwszej Przedstawicielki Sędziego. No i sprawą zainteresował się Bavatar. Doszło do tego zdumiewającego spotkania i — nie mogła uwierzyć własnym uszom (bo istotnie słyszała rozmowę): człowiek, którego miała za prostodusznego głupca, zagrał niczym księżę

intrygantów, uderzając szczerością tam, gdzie uderzyć należało! Zaintrygowany Bavatar chciał rozmowy w cztery oczy.

Splotła dłonie na karku.

Nie mogła dopuścić do tego spotkania. Prawda, że zabicie Varda ściągnie teraz na nią podejrzenia i zapewne spowoduje dalsze drażnienie sprawy. Ale może lepsze będą podejrzenia niż pewność, którą po rozmowie z Vardem Bavatar niechybnie uzyska.

Nie mogła pozwolić, by ją oskarżono o cokolwiek. Nie teraz.

Kapitan musiał nie tylko umrzeć, ale i zniknąć. Cóż, nic prostszego — uśmiechnęła się lekko, bo znajomości, jakie miała dzięki swej pracy, procentowały nie po raz pierwszy.

Ale co dalej?

Sprawnie budowała plan. Vard zniknie. Cóż Bavatar? Bavatar pomyśli, że ona maczała w tym palce. Co zrobi? Zacznie grzebać w dokumentach Floty Głównej. Ale tam raczej niewiele będą mieli, wydarzenia na dalekich Agarach doczekały się pewnie kilku nieciekawych wzmianek w raportach; zresztą, te wojskowe sprawozdania... A więc pośle człowieka na Agary. To już może być bardziej groźne, wciąż tam żyją ludzie, którzy... Tak, należało dotrzeć do człowieka, który tam popłył.

Rozwścieczyło ją, że teraz, kiedy ma tyle spraw (i to jakich spraw!) na głowie, właśnie teraz musiał przyplątać się ten wojak! Na Szerń, są ludzie stworzeni bodaj tylko do tego, by wyrastać, gdzie ich nie posiano.

A zatem (podsumowała krótko): usunąć Varda i dowiedzieć się, kto z ramienia Trybunału popłył na Agary.

Po czym iść z nim do łóżka. Na początek.

*

Vard zjadł solidną wieczerzę. Nie oszczędzał już srebra; był troszeczkę przesądny i wierzył, że liczenie się z każdym groszem ściąga na ubogich najprawdziwszą nędzę. Pojadł więc i popił do syta.

Potem opuścił oberżę i skierował się w stronę portu.

Wciąż kochał okręty. I po tylu, tylu latach — wciąż tkwił w nim żołnierz. W końcu musiał przyznać się do tego sam przed sobą. Nie chciał nosić miecza na plecach.

Najszcześliwszy był w porcie, obserwując stojący u nabrzeża holk straży morskiej. Patrzył na schodzących i wchodzących na pokład

żołnierzy. Wprawdzie ich mundurowe tuniki były ciemnożółte, trochę obce, ale krój ten sam, takie same oznaczenia funkcji i stopni...

Flota Główna Garry i Wysp.

Nie wróciły do służby nawet, gdyby mu to rzeczywiście umożliwiono. Ten rozdział życia był za nim zamknięty. Raz na zawsze.

Ale wspomnienia pozostały. I część z nich — to były naprawdę dobre wspomnienia. Szczególnie te z ostatnich dwóch lat służby. Gdy pływał na własnym okręcie, mając za oficerów wypróbowanych przyjaciół. Potem dopiero była ta przekłeta obława i przekłety piracki żaglowiec, który zabrał wszystko: przyjaciół, statek, a wreszcie i wolność.

A jednak — nawet i teraz — nie potępił Raladana.

Prawda, ten człowiek swoim działaniem spowodował wiele zła. Zabił kilku ludzi z jego załogi. I to on wreszcie wciągnął do sprawy tę kobietę. Uczynił to jednak dla dziewczyny, która była niewinna i którą dano mu pod opiekę.

Vard w to wierzył. Nawet nie bardzo rozumiał dlaczego. Ale wierzył.

Może po prostu potrzebował tej wiary. Żeby, we własnych chociaż oczach, nie uchodzić za skończonego już durnia.

— Wasza godność!

Przystanął. Podeszło doń trzech ludzi.

— Przychodzimy od wiadomej ci osoby — rzekł wysoki mężczyzna, przewodzący, zdaje się, pozostałym. — Czy pozwolisz poprowadzić się, panie?

— Wystarczyłby jeden przewodnik — zauważył Vard. Mężczyzna obejrzał się na towarzyszy.

— To nie straż, panie — wyjaśnił — lecz eskorta. Jest ktoś, kto mógłby pragnąć twojej śmierci. Powiedziano mi, że domyślisz się, o kim mowa.

Vard zmarszczył brwi i skinął głową, po chwili.

— Dobrze. Którędy?

Wskazano drogę.

Idąc ciemnymi ulicami, dotarli do starych murów miejskich. Bramy były już zamknięte, ale zaniedbane mury nie stanowiły przeszkody dla nikogo, kto chciał wejść do miasta lub też z niego wyjść. Minęli przedmieścia i ruszyli gościńcem, oddalając się coraz bardziej od Dranu.

— Dokąd idziemy? — zapytał Vard.

Po lewej stronie drogi rósł las, blask księżyca rzucał na drogę jego masywny, trochę groźny cień.

— Najwyższy Sędzia chce pomówić z waszą godnością w miejscu, gdzie nie sięgną niepowołane uszy — padła odpowiedź. — Czy nie wspominał o tym, panie?

„Najwyższy Sędzia” — pomyślał Vard.

Człowiek, który przedstawił mu się jako urzędnik Trybunału, nie podając swego nazwiska, piastował stanowisko Najwyższego Sędziego.

Vard skoczył w las. Uciekał i nim pojął, dlaczego właściwie to robi, był już dość daleko od drogi. Za plecami słyszał odgłosy pościgu.

Ci ludzie wiedzieli zbyt wiele. Służąc w straży morskiej, Vard nieźle poznał metody działania Trybunału. Każdy tam wiedział tyle tylko, ile wiedzieć musiał. Ludzie przydzieleni mu jako przewodnicy i eskorta na pewno nie mogli znać treści tamtej rozmowy.

Przystanął, nasłuchując. Przedzierano się jego śladem. Odgłosy dochodziły z tyłu i z lewej strony.

Ruszył dalej, starając się sprawiać jak najmniej hałasu. Szedł w prawo, o ile nie zawiodło go poczucie kierunku — wzdłuż skrytej za drzewami drogi.

Księżyc miał po lewej ręce.

Usłyszał niedaleki okrzyk, po czym zrobiło się całkiem cicho. Nie byli głupi. Teraz oni nasłuchiwali.

Stąpał powoli, ostrożnie...

Jakiś ptak załopotał tuż obok, Vard sięgnął po broń. Miecz z jękiem wyszedł z pochwy. Przeklął się zaraz za brak opanowania.

Usłyszeli. Przedzierali się teraz szybko ku niemu.

Znów pobiegł. Po jakimś czasie zahaczył stopą o korzeń i upadł. Po omacku odnalazł miecz, wstał i utykając pobiegł dalej.

Dotarł nagle do skraju lasu. Otwierała się przed nim obszerna, trawiasta zatoka. Dostrzegł ciemną bryłę domu i natychmiast pospieszył ku niemu. Zdyszany, załomotał w drzwi.

Słyszał tamtych. Byli blisko.

Osiem lat temu stawiłby czoła trzem ludziom, uzbrojonym chyba tylko w noże — i nie byłby bez szans. Ale te osiem lat nie pozostało bez wpływu. Wiedział, że nie trzyma już broni tak pewnie jak kiedyś. Ostatnia walka, jaką stoczył, miała miejsce na pokładzie pirackiego

żaglowca. Na pokładzie „Węza Morskiego”.

Drzwi otwały się. Wpadł do środka, w tej samej chwili księżyc oświetlił ciemne sylwetki, wyłaniające się z lasu.

Vard zasunął skobel i odwrócił się.

Stała przed nim kobieta, trzymająca w dłoni kaganek. Spojrzał na jej twarz — i znalazł się w środku swej przeszłości.

Poznała go i ona.

Kaganek uderzył o podłogę, przyskajac gorącą oliwą.

Ciszę przerwało walenie w drzwi. Vard oparł się o nie ciężko.

— Otwierać! — doleciało z zewnątrz. — Otwierać!

— To przeznaczenie — głos Varda zabrzmiał niczym jakiś przedziwny dźwięk z innego świata. Kapitan mówił spokojnie, tak spokojnie, jak mówić może człowiek, który w jednej chwili olśnienia poznał wszystkie wyroki ciążyące nad swym życiem, jego cel i kres. Ale tak też było w istocie. Przyplłynął do Dranu, szukając sprawiedliwości... a znalazł wyjaśnienia. Miał oto zginąć, stojąc między kobietą, która dla wielu była symbolem zbrodni, a ludźmi, których utożsamiano ze sprawiedliwością...

— Otwierać! Otwierać, bo dom pójdzie z dymem! Potężne uderzenia wstrząsnęły drzwiami.

— Oto sprawiedliwość — rzekł Vard.

— Nie otwieraj! — powiedziała, jakby widząc w ciemności jego plecy już-już odrywające się od drgających pod ciosami drzwi. Nie otwieraj!

Potrząsnął głową w mroku, po czym wyrzucił z siebie gwałtownie:

— Na Szerń, powiedz mi prawdę... teraz już możesz: czy Raladan kłamał?

— Nie byłam piratką.

— A więc warto było... — rzekł niejasno. — Warto.

Odskoczył od drzwi i jednym szarpnięciem zwolnił skobel. Nim zdołała pojąć, co się dzieje, przed progiem domu rozgorzała walka. Ktoś runął na ziemię, krzycząc, księżyc zapalił ostrze miecza szklanym ogniem, ale ramię, które miecz trzymało, zablokowane mocnymi dłońmi, pękło w łokciu z trzaskiem, którego tłem był jęk bólu. Potężne ciosy w korpus powaliły mężczyznę — i wtedy czerwonożłoty, wielki jęzor ognia wystrzelił nagle z drzwi domu, ogarniając zabójców.

*

Ostrożnie, by nie obudzić leżącego obok mężczyzny, Alida wysunęła się z łóżka i na palcach przeszła do drzwi. Jeszcze raz zerknęła na śpiącego, po czym wyszła z pokoju. Pomieszczenie obok było równie skąpo oświetlone, jak sypialnia; dwie świece, umieszczone w smukłym kandelabrze, rzuciły na przeciwną ścianę jej powiększony cień. Stała bokiem, obserwując przez chwilę zarys niewielkich, wciąż doskonale okrągłych piersi, po czym skinęła z aprobatą głową i usiadła na bogato rzeźbionym karle, podwijając nogi pod siebie. Wybrała z eleganckiego półmiska olbrzymią gruszkę i ugryzła ją. Lepki sok pociekł po brodzie, kapnął na zielony, trójkątny, płaski kamyk zawieszony na szyi. Listek Szczęścia, z Czarnego Wybrzeża. Bardzo drogi. Chronił przed chorobami.

I pasował do oczu.

Kudłaty piesek (prezent od „przyjaciółki”) leżał w kącie, poszczekując cicho przez sen. Zmarszczyła lekko nos. Nie bardzo lubiła zwierzęta.

Za to uwielbiała wszystko co słodkie.

Znów ugryzła gruszkę.

Ale pyszny sok nie mógł pokryć smaku zniecierpliwienia, które w niej narastało. Co zaszło, co właściwie się stało, na Szerń? Zawiedli? Nieprawdopodobne... Zresztą, jeśli nawet — cóż, zdarza się! Ludzie tacy jak oni, naprawdę dobrze znający swój fach, nie zawahaliby się stanąć przed nią i powiedzieć otwarcie: nie udało się, a dlatego, że to, to i tamto...

Tymczasem minęła noc, minął dzień, teraz znów była noc, a ona nie miała pojęcia, jak sprawy stoją.

Przecież nie zabił ich wszystkich! No nie, nie znała człowieka, który potrafiłby zabić trzech zawodowych morderców. Może najlepszych w mieście, nie jakichś tam oprychów, lecz ludzi, dla których zabijanie było tym, czym szycie butów dla szewca.

A zatem?

Ogryzek rozpadł się jej w dłoni na dwie części, duży kawałek spadł do zbiegu ud. Ujęła odłamek w dwa palce i przez chwilę wypisywała sokiem na skórze jakieś znaki. Łono miała gładko wydepilowane, zgodnie z dartańską modą. Oglądała wilgotne kreski, pozostawione na ciele przez gruszkę, aż wyschły i zniknęły. Upuściła resztki owocu na podłogę,

potem podniosła się i zajrzała do sypialni. Nalwer spał twardo. No cóż. Dobrze, że choć tutaj wszystko poszło łatwo.

Od razu pomyślała o tym durniu, bo uzyskanie jakichkolwiek informacji od kuzynostwa było niepodobieństwem. Natomiast Nalwer, traktowany przez tamtych jak półgłówka (był nim), wydał się jej obiecujący. Cóż, trafiła w sedno. Kto by pomyślał, że Bavatar planuje na Ahele inwazję idiotów...

Dla niej lepiej. To jedno już miała z głowy.

Ale tamto, tamto!

Chciała zawołać, ale zrezygnowała, pomyślawszy, że może obudzić Nalwera. Wyszła z pokoju i zbiegła po schodach. Lubiła czuć stopami chłód bijący od stopni. Zwłaszcza, gdy było tak duszno i parno jak tej nocy.

— Hej, dzielny strażniku! — zawołała niegłośnie, przechylając się przez poręcz. — Twardo śpisz?

Olbrzymi odźwierny, niosąc lichtarz, pojawił się prawie natychmiast.

— Bardzo czujnie — zapewnił, przecierając twarz. — Tak, pani?

— Nikt nie przyszedł? — zapytała, dobrze wiedząc, że nie.

— Nikt, pani.

Patrzyła ponad jego głowę, z namysłem marszcząc brwi.

— Co cię martwi, pani? — zagadnął, posępniejąc jak i ona.

Jej stosunki ze służbą były wielce zdumiewające. W obecności osób z zewnątrz wymagała wręcz czołobitności, za to prywatnie, gdy nikt nie widział, stawiała się zupełnie na równi. Cała służba składała się z niewolników. Byłych niewolników, bo wszystkim dała wolność. Tylko dwa razy ktoś odszedł. Ci, co nie odeszli, kochali ją na śmierć i życie. Była wspaniałą panią, najlepszą, jaką służący mógł sobie wyobrazić. Może stała się taka pod wpływem matki-Armektanki? Ojciec nie pozwalał w domu na żadne dziwactwa, jak nazywał piękne, stare armeckańskie zwyczaje i tradycje, ale matka opowiadała o nich. Surowi Garyjczycy przenigdy nie zdołaliby ich pojąć i zrozumieć — zwłaszcza że pochodzili z Armektu... Zresztą, ona sama nie wszystkie potrafiła zaakceptować. Lecz zasada, że niewolnik dobry jest do pracy w polu, nigdy zaś w domu, gdzie służba musi czuć, iż obdarza się ją zaufaniem, znalazła u niej pełne zrozumienie; rozwinęła też ją tak bardzo jak to tylko możliwe. Dawała

odczuć swoim ludziom, że są wyjątkowi, że tylko oni mogą być z nią tak blisko. Pochlebiało im to niezwykle, czuli swą wartość. Sama nie wiedziała, gdzie są granice tej poufałości... Ale problem tak naprawdę nie istniał. Służba czuła ową granicę o wiele lepiej niż ona. Była pod ich opieką.

Nikt chyba ze znanych jej dobrze urodzonych nie uwierzyłby, że możliwe jest utrzymanie nieuchronnego dystansu i stosunku zależności, współistniejących z prawdziwą przyjaźnią.

A jednak.

Oczywiście — nie bez znaczenia był tu dobór ludzi. Ale na ludziach znała się wybornie. I dobierała niezwykle starannie.

Stała na trzecim stopniu od dołu, a pomimo tego jej twarz znajdowała się akurat na wysokości twarzy olbrzyma. Trzymając lichtarz tak, by nie spalić jasnych włosów, sięgnął ręką i ostrożnie, wielkim paluchem, zdjął kawałeczek gruszki z kącika jej ust. Uśmiechnęła się.

— Zdołam pomóc, pani? Potrząsnęła głową.

— Nie. Ale gdyby ktoś przyszedł, wołaj mnie, gdziekolwiek bym była. Nie chodź, nie szukaj. Zawołaj. Czekam na niezwykle ważną wiadomość.

— Wiem, pani. Dobrze, zawołam.

Kiwnęła mu ręką i szybko pobiegła na górę, bo jednak bose stopy trochę zmarzły na kamiennym stopniu.

Nie spała przez resztę nocy. Ale dopiero późnym rankiem jeden z jej ludzi przyniósł wiadomość, że przy spalonym domu pod lasem (słyszała o tym pożarze) znaleziono zwęglone zwłoki kilku ludzi.

Spalony dom? Pod lasem...

Znała to miejsce i budynek. Kiedyś podobno miał tam stanąć tartak. Zbudowano jednak tylko dom, po czym zaniechano dalszych prac — nigdy nie dociekała, dlaczego. Cóż ją obchodził jakiś tartak?

Dom długo stał opuszczony, bo leżał na uboczu i był nie dokończony. Niespełna przed okiem posłyszała przypadkiem, że kogoś tam widywano. Nawet ciekawa była, komu spodobało się mieszkać na odludziu, w opuszczonej ruderze; raz i drugi chciała sprawdzić, ale zawsze wynikały jakieś ważniejsze sprawy...

Ci spaleni ludzie — czy to mogli być oni?

Oczywiście, że tak. Sama nalegała, by wywiedli Varda gdzieś za

miasto, podając się za ludzi Bavatara. Był świetny pretekst: Bavatar sugerował, żeby miejscem spotkania było jakieś ustronie...

„Ten człowiek to żołnierz — rzekła do swoich najemników. Może się bronić. Możliwe też, że jest pilnowany. Wyprowadźcie go gdzieś na odludzie, gdzie walki nikt nie zobaczy. Łatwiej będzie ocenić, czy jest sam. No i ukryć ciało, nikt nie ma prawa go znaleźć, czy to jasne?”.

Przeklęła się w duchu za nadmiar ostrożności.

Ile właściwie trupów znaleziono na pogorzeliisku? Czy możliwe, by w owym domu Vard miał jakichś przyjaciół? Nie. Ale człowiek tam mieszkający mógł mu pomóc. Może było kilku ludzi?

Kto tam mieszkał, na Szerń? Od kogo uzyskać potrzebne wiadomości? Leśnicy? Może jacyś drwale? Im szybciej się dowie, tym prędzej uzyska odpowiedź, czy kapitan żyje. Jeśli tak, to znaczy, że jest źle. Nie miała czasu, by ciągnąć tę sprawę w nieskończoność... Teraz — nie miała czasu.

37.

— Łuczywo — powiedziała z chrypką Lerena. Raladan stał i patrzył w ciemny, nieduży otwór.

— Słyszałeś? W łodzi są łuczywa. A jeśli nie ma, to płyn po nie na „Gwiazdę”! — cisnęła. — Nie odejdę stąd — zastrzegła groźnie, gdy otworzył usta.

Ruszył z powrotem do łodzi.

— Prędzej! — wrzasnęła z furją.

Gdy powrócił z płonąca pochodnią w jednej, a hubką i krzesiwem w drugiej ręce, stała tak, jak ją zostawił. Wyrwała mu pochodnię i wsunęła się w ciemny otwór. Podążył jej śladem.

— Uważaj — uprzedziła. — Tu jest szczelina.

Ominął pułapkę.

Zaraz za ciasnym wejściem korytarz rozszerzał się znacznie, a grunt uciekał w dół tak, że wkrótce można było stanąć prosto. Przeszli nadspodziewanie długi kawałek drogi, nim Lerena stanęła.

— Nie mogę uwierzyć — powiedziała.

Byli w sporych rozmiarów jaskini. Migotliwy blask pochodni wydobywał z ciemności niektóre jej partie, inne pogrążając w cieniu tym głębszym. Pośrodku piętrzył się jakiś nieforemny stos, przykryty żaglowym płótnem. Raladan ujrzał, oczyma wyobraźni, majtków w pocie czoła dźwigających ciężkie kufry, a obok olbrzymiego, ponurego mężczyznę z pochodnią w dłoni, patrzącego posepnie spod namarszczonych brwi...

Lerena oddała pilotowi pochodnię i zaczęła ściągać okrycie. Zsunęło się, odsłaniając piramidę skrzyń najróżniejszej wielkości i kształtu. Upadła na kolana i odemknęła wieko olbrzymiej, największej, stojącej osobno u podnóża stosu.

Wewnątrz były kolczugi.

Rzuciła się do innej, niewielkiej, stojącej na szczycie. Przez chwilę zaglądała do środka, po czym wyciągnęła ręce i cofnęła je zaraz, trzymając splątane naszyjniki z pereł, przeplecione jakimiś łańcuszkami. Zerwała się, okręciła w miejscu i triumfalnie wyrzuciła ramiona w górę.

— Raladan! — zaśpiewała niemal. — Raladan! Riolata wyszła z mrocznego kąta jaskini.

— Byłam pierwsza — powiedziała.

Człowiek za nią zrzucił ciemny płaszcz, odsłaniając białą tunikę żołnierza. Pod płaszczem ukryta była kusza.

Drugi mężczyzna pojawił się za plecami Raladana, wyrwał mu pochodnię i zagroził drogę do wyjścia.

Lerena wciąż stała z rękami nad głową, z twarzą stężałą w uśmiechu.

— Trzymaj ręce z daleka od miecza, siostrzo, i stój tam, gdzie stoisz, a ocalisz dwa życia — rzekła Riolata, rzucając pilotowi kawał sznura. — Usiądź i zwiąż sobie nogi, Raladan. Dokładnie i mocno, będę patrzeć. Nie, żeglarzu — uśmiechnęła się ironicznie — ten węzeł rozwiążesz jednym ruchem... O, teraz dobrze.

Lerena już nie trzymała rąk w górze, ale ciągle stała w miejscu. Dochodziła do siebie.

— Co dalej, siostrzyczko? — zapytała. — Mam tuż obok półtorej setki ludzi.

Żołnierze Rioly wciąż trzymali broń w pogotowiu. W milczącym zdumieniu spoglądali to na jedną kobietę, to na drugą.

Różniły je tylko stroje.

— Półtorej setki? Skąd wiesz, ilu ja mam na tej wyspie?

— A zmieści się tu więcej jak dwóch?

— O! — Riolata uśmiechnęła się lekko. — Skąd ten dobry humor, Lereo? Pokiwała głową z namysłem.

— Rozbierz się — poleciała.

Lerena uniosła brwi.

— Czy zostanę zgwałcona? — zapytała z sarkazmem.

— Zrzuć te szmaty albo każę je z ciebie zwlec. Piratka spojrzała z pogardą, po czym odpięła pas z mieczem, zdjęła koszulę, buty i szerokie hajdawery.

— Zwiąż ją — rozkazała Riolata, odbierając kuszę z rąk Nosacza. — A ty ręce tamtemu. — Wyciągnęła dłoń po pochodnię.

Żołnierz, trzymając sznur, pochylił się nad pilotem. Ten podał ręce do skrępowania, zerknął w bok, po czym odezwał się po raz pierwszy od chwili, gdy weszli do skarbcza:

— Próbuj, Piękna...

Nim słowa przebrzmiały, pochwycił żołnierza. Lerena odepchnęła Nosacza, rzucając się na siostrę. Ta upadła, wypuszczając kuszę — ale nie łuczywo... W następnej chwili Lerena zawyła. Nosacz zerwał się z ziemi i przytrzymał ją, Riolata w mgnieniu oka znalazła się przy duszącym żołnierza pilocie, wpychając mu płomień pod pachę. Żołnierz ryknął, bo i jemu osmaliło twarz, ale Raladan puścił go, a wtedy z całej siły uderzyła żagwią.

— Wiąż go! — wrzasnęła do poparzonego żołnierza.

Raladan potrząsał głową, oszołomiony. We włosach miał iskry, gasnące kolejno.

Lerena szarpała się z Nosaczem; utrzymywał ją z najwyższym trudem.

— Uderz ją! — padł rozkaz. — Dość tej szarpaniny!

Żołnierz odepchnął Lerenę; trzasnęła go w szczękę, ale jego cios był silniejszy — otworzyła usta, próbując chwycić powietrze, zgięła się w pół i powoli opadła na kolana. Klęczała przez chwilę z wytrzeszczonymi oczami, skulona, ale powietrza wciąż nie było; zgięła się jeszcze bardziej, chyląc czoło do samej ziemi.

— Bardzo dobrze.

Riolata zatknęła pochodnię w szczelinie w skalnej ścianie, po czym odwróciła się nagle i z wyszczerzonymi wściekle zębami kopnęła leżącą w bok tak silnie, że pękły żebra. Rozległ się cienki szloch, a może raczej pisk.

— Zwiąż ją! — warknęła. — Ale tak, żeby czuła! Usiadła pod ścianą, pocierając mocno dłońią o dłoń. Uspokajała się powoli.

— Teraz wyjdźcie przed jaskinię. Nie chcę tu żadnych gości.

Wzięła miecz siostry, wskazując żołnierzom kusze. Zabrali je i wyszli.

W jaskini zaległa cisza, przerywana tylko mimowolnymi spazmami Lereny, brzęcącymi w połowie jak szloch, w połowie jak urywany oddech. Pęknięte żebra i szorstki sznur, wrzynający się w rozległe oparzenie na nodze, sprawiały ból nie do zniesienia.

— Raladan. Czy załoga coś zwącha, gdy wrócę na pokład zamiast niej? Pilot drgnął. Krzywiąc się, uniósł bolącą głowę.

— Strój już mam — wskazała ręką. — Choć doprawdy nie wiem, jak

to założyć... — Sztychem miecza uniosła hajdawery. — Czy ona to zdejmuję, zanim odda mocz?

Lerena, mimo bólu, wydała z siebie coś na kształt śmiechu.

— Jesteś mi potrzebny, Raladan — powiedziała Riolata. — Wolałabym mieć na statku kogoś, kogo znam. Piratka parsknęła szyderczo.

— Musimy się spieszyć, Raladan — ciągnęła tamta, niezrażona. — Straciłam statek, a czas wracać do Dorony. Mam ją. Wiesz kogo. Ridaretę. Umrze, jeśli wkrótce nie przybędę.

Pilot stracił spokój.

— Kłamiesz — powiedział.

— No, chyba nie. Po ostatniej rozmowie z tą tam — wskazała siostrę — pomyślałam, że dość już niespodzianek. Zresztą, wiele mogę darować, Raladan, ale ta kobieta, którą nazywałam matką, okłamywała mnie od zawsze, nie dbając o to, co myślę i czuję, przywłaszczyła sobie prawo wyboru tego, co mam wiedzieć, a co nie. Przed wyruszeniem z portu wysłałam po nią ludzi. Bardzo pewnych ludzi, Raladan.

— Kłamiesz — powtórzył.

— Zechcesz to sprawdzić?

Lerena z jękiem przetoczyła się na drugi bok, wbijając w pilota spojrzenie.

— Raladan...? — sieknęła.

— On już się poddał — orzekła Riolata. — Nie wiedziałaś? Na Szerń, siostrzyczko, twój pilot beznadziejnie kocha naszą siostrę-matkę... Trzeba być ślepym, by tego nie widzieć. Zrobił wszystko co w ludzkiej mocy, by uchronić najpierw jej życie, a w drugim rzędzie ten skarb, który uważa za jej własność. Mówiłaś mi o tej rozmowie w tawernie... Istotnie, skarb naszego ojca miał iść na dno razem ze statkiem, bo tak chciała ona. Ale to miał być twój statek, Lereo. Gdybyś tylko zabrała to wszystko, posłałby tę twoją beczkę na dno, na pierwszych napotkanych skałach!

Lerena gryzła wargi, czekając uparcie na spojrzenie pilota.

— Raladan? To... prawda? Skinął głową ponuro.

— Tak jest. Spojrzał na Riolatę.

— Przystaję, pani.

— Nie — powiedziała z bezradną wściekłością Lerena. — Raladan... ty kochasz Ridaretę? Spojrzał jej prosto w oczy.

— Nie tak, jak to sobie wyobraża twoja siostra. Ale jednak zrobię dla niej wszystko.

Dziewczyna jakby nagle przestała czuć ból. Dźwignęła się na tyle, na ile pozwalały jej więzy i powiedziała:

— Zbyt wielu paniom chciałbyś służyć, Raladan... To przyniesie ci zgubę, przysięgam.

Riolata powstała, oparła nogę na piersi siostry i pchnęła mocno. Larena opadła do tyłu, uderzając głową o skałę. Nie jęknęła.

Ostrze miecza dotknęło więzów Raladana... Cofnęło się zaraz, nie rozcinając ich. Riolata przekrzywiła głowę i zmarszczyła brwi, popadając w krótkie zamyślenie.

— Zaraz cię uwolnię — przyrzekła. — Ale... czy załoga jest pewna? Spojrzał dziwnie.

— Załoga? Najgorsza, jaką można mieć.

— Straszysz? Wzruszył ramionami.

— A wiec skarb...? — zapytała.

— To szaleństwo. Skinęła głową.

— Więc na razie niech zostanie tu, gdzie jest.

Podniosła się, wzięła pochodnię i wyszła z jaskini. Żołnierze czuwali. Spojrzała w stronę lasu, gdzie kryła się reszta jej ludzi.

— Wciąż tam są? — zapytała Nosacza.

— Tak, pani.

— Trzeba się ich pozbyć, za wiele wiedzą. Zdołacie sami dowieźć mnie łodzią na Garrę? Od wyspy do wyspy. Spojrzeli po sobie.

— Chyba tak, pani.

— Chyba?

— Na pewno, pani.

— Więc zabijcie ich. Dacie radę?

— Tak, pani. Mają tylko noże.

— A zatem.

Wróciła do jaskini, wzięła miecz i uwolniła pilota.

— Musimy pozbyć się tych dwóch — powiedziała.

— Żołnierzy? Potwierdziła.

— Nie masz tu więcej ludzi, pani? Zawahała się.

— Cóż, trzymamy się w garści... Miałam. Jeszcze przed chwilą Zrozumiał.

Pochyliła się, podniosła trzyłokciowy kawał sznura i dała go pilotowi.

— Przeprowadzę tu jednego — powiedziała. — Uduś go. Potem zajmiesz się drugim.

Skinął głową, okręcając końce sznura wokół dłoni. Riolata wyszła z jaskini. Zaczekała, aż żołnierze wrócili.

— Wszyscy? — zapytała.

— Tak, pani.

— Uważaj na okolicę. Wydawało mi się, że kogoś tam widziałam — wskazała ręką na odległe skały. — A ty za mną — skinęła na Nosacza.

Raladan zabił dziesiętnika tak sprawnie, że spojrzała z uznaniem.

— Nie ciesz się, pani — rzekł zimno. — Jeśli dzisiaj kłamałaś, czeka cię to samo.

Mierzyli się wzrokiem.

— Jeśli zaś nie kłamałam, to też? — zauważyła z pogardą. — Za mały jesteś, Raladan... Z kim ty chcesz się mierzyć? Za kogo ty się masz? Powiem ci, kim jesteś: głupim człowieczkiem zmierzającym donikąd. Mógłbyś mieć tak wiele... Ale nie, ty wolisz trzymać się jednookiej wariatki, której istnienia nikt nie zauważa, tak samo, jak nie zauważy zniknięcia...

Chwycił ją oburącz za gardło. Nawet się nie poruszyła.

— No... — wykrztusiła — dalej.

Rozluźnił chwyt i powoli opuścił ręce. Rozcierając szyję, wolno, ostentacyjnie gromadziła w ustach ślinę. Uchylił się, gdy splunęła.

— Nie mogę cię zabić... — powiedział.

Uśmiechnęła się ironicznie.

Powalił ją twarzą do ziemi. Błyskawicznie skrępował ręce resztkami własnych więzów, po czym sięgnął po koszulę Lereny i wepchnął skłębiony jej skraj głęboko w usta leżącej.

— Ale kto ci powiedział, że jesteś nietykalna? — zapytał.

Odpiął pas i smagnął nim plecy wierzgającej dziewczyny, po czym solidnie wygarbował zadek — i nie było to karcące, lecz dobrotliwe lanie, jakie sprawiał czasem, gdy była jeszcze dzieckiem. Teraz trzymał mocno, a tłukł zamasyście, chcąc sprawić prawdziwy ból.

— Kto ci to powiedział?

Wstając, pchnął ją nogą tak, że przetoczyła się na plecy.

— Będę czekał przy łodzi — powiedział. — Uwolnij się szybko, bo czekając, mogę zmienić zdanie. Po tym, co dziś usłyszałem i zobaczyłem, zaczynam myśleć, że lepiej nie wypuszczać stąd takiej suki jak ty. Lepiej chyba szukać Ridarety na oślep. O ile w ogóle ją masz... — dorzucił już z korytarza.

Leżąca pod stosem skrzyń Lerena niemal łkała, łapiąc oddech po wybuchach niemożliwego do opanowania śmiechu.

Riolata podpełzła do pozostawionego miecza, uwolniła ręce i wyrwała knebel, po czym niemal rycząc z bólu i wściekłości, rzuciła się na Lerenę. Zadzierzgnęła na jej szyi kawał sznura. Powietrze przeszył charkotliwy skowyt. Riolata dociągnęła węzeł i wstała. Lerena wiła się na ziemi, uderzając głową o kamienie. Oczy wyszły jej na wierzch, twarz siniała coraz bardziej. Wygięła się w łuk, mięśnie skrępowanych rąk i nóg drgały w gwałtownych skurczach. Riolata, nie spuszczać z niej wzroku, zgarnęła porzucone odzienie, wzięła dogasającą powoli pochodnię, po czym odwróciła się i szybko ruszyła skalnym korytarzem.

38.

Alida złapała się za głowę.

— O, nie!

Kudłaty szczeniak, poszczekując wojowniczo, wyskoczył spod stołu. Kopnęła go tak, że z urywanym piskiem poleciał daleko, pod ścianę.

— Nie! — wrzasnęła raz jeszcze. — To nie może być prawda! Mężczyzna cofał się, wystraszony.

— Tak mi powiedziano... pani.

Alida usiadła, zaciskając pięści.

Nie, to nie było możliwe. Na Szerń, młoda kobieta bez oka... Przecież nie tamta jedyna na świecie... Nie, to niemożliwe, żeby tamta mieszkała tak długo pod jej bokiem, nieomal w zasięgu ręki...

Zagryzając usta, patrzyła na swego wywiadowcę.

— Co jeszcze? — rzuciła. — Co wiesz jeszcze?

— Nic... To wszystko, pani. Parę razy szły w las polowania z nagonką. Naganiacze ją widzieli, to tyle... Pokazała ruchem głowy, że jest wolny.

— Stój — rzekła zaraz. — Weź to, nie mogę myśleć.

Psiak piszczał pod stołem. Mężczyzna podniósł go ostrożnie, wsadził pod kapotę i wyszedł.

Zerwała się, okrążyła stół i zaraz usiadła na powrót.

„Weź się w garść, kochanie” — pomyślała.

Jeśli to była ona, piratka Raladana — wszystko miało sens. Vard nie uciekał na oślep. Jednak miał kogoś w pobliżu. Nie do wiary... Ale cóż mogła pomóc jedna dziewczyna? Prawda, piratka. Ale może był tam też... on? Raladan.

— Nie i nie! — warknęła.

A jednak miało to sens.

Wszyscy ci ludzie mieli z nią porachunki. Obecność dziewczyny, a więc zapewne i Raladana tutaj, wyjaśniała, skąd Vard mógł uzyskać wiadomość, gdzie jej szukać. O, to wszystko pasowało do siebie — i aż nazbyt dobrze!

Czy Vard żył?

Alida nagle poczuła się osaczona. Z jednej strony zagrażał jej ten Wyspiarz (jakże nie doceniła tego niebezpieczeństwa!) i jego przyjaciele. Z drugiej zaś — Trybunał. Najgorsze było to, że teraz, przeprowadzając sprawy tak delikatne i ważne, powinna być wolna od wszelkich podejrzeń. Gra szła o zbyt wysoką stawkę! A pojawiły się nowe kłopoty: wynikła ta sprawa z kupowaniem urzędów...

„Oprzytomnij, kochanie — skarciła się swoim zwyczajem. Sprawy nie stoją wcale źle... Przecież czekasz na wiadomość, która wiele wyjaśni”.

Jak na zawołanie, pojawił się służący, niosąc rulonik pergaminu.

— Od kogo? — zapytała z nawyku.

— Nie wiem, pani.

— Zatrzymałeś posłańca?

— Nie, pani. Odszedł natychmiast. Wiedziała już, od kogo. List nie był pieczętowany. Zawierał krótką informację: „Bądź spokojna. N”. Powoli uniosła wzrok, pozwalając sobie na uśmiech.

— Więc? — zapytała jej dostojność Elena.

Bavatar siedział posępny i groźny. Rzadko widywano go takim. Nikt nie ośmielał się wtedy odzywać nie pytany. Ona była wyjątkiem.

Znała upór i niezwykłą siłę woli tego mężczyzny. Miał też inne cechy, które w połączeniu z tamtymi kazały przypuszczać, że doprawdy trudno byłoby znaleźć odpowiedniejszego człowieka do funkcji, którą pełnił. A jednak odnosiła czasem wrażenie, że ów upór i żelazna konsekwencja w działaniu, ograniczają go. Nie potrafił skupić się na kilku rzeczach naraz. Wybraną sprawę doprowadzał do końca, zawsze i nieuchronnie, ale — kosztem innych.

Cóż, po to w końcu miał ją do pomocy. I Nalwera. Nie licząc całego mnóstwa pomniejszych urzędników.

Teraz jednak Bavatar uczeplił się rzeczy... naprawdę niezbyt ważnej. Wciąż czekała na rozstrzygnięcie sprawa nieprawdopodobnych nadużyć, jakich dopuścili się najwyżsi rangą oficerowie dwóch stacjonujących w Dranie eskadr Floty Głównej. Kwitł handel urzędami i stanowiskami — oto kolejna rzecz, którą niezwłocznie należało wyjaśnić. I wreszcie — owa fantastyczna zgoła ucieczka trzech skazańców z najcięższej twierdzy na wyspie, sprawa najświeższa, o której dopiero co doniesiono. Zdawało się nie ulegać wątpliwości, iż musieli być w to zamieszani strażnicy, a

nawet ktoś z komendantury twierdzy. Uciekinierzy byli znanymi wicherzycielami umysłów — zbyt znanymi i zbyt dobrze urodzonymi niestety, by ich po prostu powiesić. Teraz, na rok niespełna przed przewidywanym wybuchem powstania, ucieczka ta jawiła się w niezwykle groźnym świetle.

Wobec wszystkich tych zdarzeń, Najwyższy Sędzia Trybunału Imperialnego Garry i Wysp, zajmował się domniemaną nielojalnością — dziwki... I to nielojalnością sprzed ośmiu lat.

A jednak — Elena wiedziała o tym dobrze — właśnie lojalność podległych ludzi była obsesją Bavatara. Uważał niezłomnie, iż przymykanie oczu na jakiegokolwiek nadużycia ze strony urzędników Trybunału, jest niedopuszczalne, a grozi osłabieniem siły instytucji. Cóż, było w tym dużo racji.

Inna rzecz, że nie musiał tego drażnić osobiście.

— Więc? — zapytała raz jeszcze, tym samym tonem co poprzednio. — Nie wiem — dorzuciła po chwili — czy sprawa warta jest większych zabiegów z naszej strony. Myślę, wasza dostojność, że możemy ją po prostu zatrzymać i zmusić do mówienia. Prawda wyjdzie na jaw.

— I ty to mówisz, pani? — zdziwił się chmurnie. — Loch i sala tortur dobre są w Grombelardzie... zresztą nigdzie nie są nic warte.

Wiesz równie dobrze, jak ja, że tam każdy mówi wszystko, czego się odeń zażąda. Znam ludzi, którzy łamiąc innych kołem, zyskują niezachwiane przekonanie o własnej nieomyślności. I to jest chyba jedyne, co istotnie można uzyskać. W milczeniu przyjęła reprimendę.

— Nalwer — rzekł nagle Bavatar — co ty o tym sądzisz? Wezwany poruszył się, zaskoczony. Kobieta także spojrzała z niejakim zdziwieniem.

— Uważam, panie — rzekł Nalwer cokolwiek niepewnie — że mamy niewielkie możliwości działania... Żaden statek nie płynie na Agary, sprawdziłem to. A małe szniki straży morskiej są na morzu. By dotrzeć do Aheli i wrócić przed jesiennymi burzami, musiałbym użyć dużego żaglowca Floty Głównej...

— Sprawa nie jest tego warta — przyznał niechętnie Bavatar. Popatrzył badawczo. Nalwer mówił do rzeczy; wydarzenie zbyt rzadkie, by go nie docenić.

— Dalej, Nalwer, słuchamy uważnie. Kobieta potwierdziła

skinieniem.

— Nasunęły mi się pewne myśli... Po zniknięciu kapitana Varda — podjął wezwany, już śmielej — uznaliśmy natychmiast, że stało się to za sprawą pani Erry Alidy. Ale przecież ta kobieta, jeśli istotnie jest tak sprytna i przebiegła, jak słyszałem, musiała zdawać sobie sprawę, że usuniecie go ściągnie teraz na nią nieuchronne podejrzenia.

— Do czego zmierzasz, panie? — zapytała Elena.

— Do tego, że gdyby ten kapitan naprawdę miał jakieś kompromitujące ją dowody, nie żyłby już w dniu, gdy dowiedziała się o jego przybyciu do Dranu. Wtedy wasza godność nie rozmawiałbyś z nim — i nie byłoby podejrzeń.

Tamtych dwoje wymieniło spojrzenia.

— A czy nie jest niezwykle — ciągnął Nalwer — że kapitan Vard, odczuwszy przecież już raz w życiu siłę tej kobiety, nie dość, że nie powiedział właściwie nic podczas spotkania z tobą, panie, to jeszcze nawet nie poprosił o ochronę? Wynika z tego, że albo jest głupcem — a wasza dostojność twierdzi, że nie; albo pewnym siebie ryzykantem — a wasza dostojność twierdzi, że nie... Albo człowiekiem, któremu na rękę było rzucić podejrzenie, potem zaś zniknąć, w czym przydzielony do ochrony człowiek tylko by przeszkadzał.

Zaległo milczenie.

— Doprawdy... trudno odmówić temu wywodowi logiki — rzekła wreszcie kobieta, patrząc dziwnie.

Najwyższy Sędzia siedział, pogrążony w zadumie.

— Muszę przyznać, że zadziwiłeś mnie, panie Nalwer... Oceniam, że to najrozsądniejsze ze wszystkiego, co dotąd na ten temat powiedziano. A jednak... w moim odczuciu ten człowiek nie jest zdolny do takiej intrygi.

Elena uniosła lekko brwi.

— Masz rację, pani — odgadł jej myśli. — Moje odczucie to zbyt mało, by z czystym sumieniem podtrzymać oskarżenie przeciw kobiecie, której praca dla Trybunału była, jak dotąd, godna najwyższej pochwały. Ale jednak — wstał, dając znak, że narada ma się ku końcowi — życzę sobie, by odszukano kapitana Varda. Podróż do Aheli odwołuję — skinął głową w stronę Nalwera — wrócimy do niej z końcem jesieni.

Zmarszczył na chwilę czoło — i Elena pomyślała, że choć chwilowo

uznał temat za zamknięty, to jednak wcale nie wyczerpany.

I rzeczywiście tak było.

Albowiem tego dnia, lecz późno, miała miejsce jeszcze jedna rozmowa. Odbyła się — podobnie jak poprzednia — w gmachu Trybunału, lecz nie w Sali Narad, a w apartamentach dostojnej B. L. T. Eleny, Pierwszej Przedstawicielki Najwyższego Sędziego.

Elena była równie pewna odwiedzin Bavatara jak tego, że po dniu nastąpi noc. Znała go zbyt dobrze. Ten twardy, niezłomny człowiek, potrzebował jednak oparcia. Dawała mu je.

Siedząc naprzeciw niej — pozornie był taki sam jak w Sali Narad: poważny, skupiony, surowy. Wiedziała jednak, że czuł się nieporównanie lepiej. Głęboko zakorzenione poczucie odpowiedzialności i niezwykła sumienność sprawiały, że w rozmowach oficjalnych ważył starannie każde słowo, panował nad każdą dyskusją, nie pozwalając sobie na emocje. Zmieniło się to trochę od czasu, gdy na miejsce Drugiego Przedstawiciela, wakujące od kilku miesięcy, przysłało Nalwera. Ten człowiek wyraźnie wyprowadzał go z równowagi. W świecie pojęć Bavatara, na odpowiedzialnych stanowiskach nie było miejsca dla osłów. W machinie zasad Najwyższego Sędziego, Nalwer stanowił część nie dającą się w ogóle dopasować.

Tu jednak Nalwera nie było. Co więcej — rozmowa miała charakter prywatny. Elena wiedziała, że rozmowy prywatne w życiu Bavatara zajmują akurat tyle miejsca co — ona...

— Zdziwił mnie — rzekł, unosząc spojrzenie. — Ten człowiek zdziwił mnie dzisiaj, Eleno. Podszedł do rzeczy bez emocji, tak wytrawnie i chłodno. Przecież to do niego niepodobne.

— Istotnie, nie jest mędrcom — przyznała. — Dziś jednak okazało się, że potrafi też nie być głupcem... Czy to źle? Uczynił niejasny gest.

— Ta cała sprawa — rzekł powoli — obfituje w niespodzianki. Muszę ci wyznać, kuzynko, że trudno mi ją ocenić... z właściwego dystansu. Mam uczucie — odwrócił spojrzenie, jakby zawstydzony, że ma coś takiego — jakbym coś przeoczył. Dlaczego z morza dostarczanych codziennie raportów, uderzył mnie właśnie jeden, dotyczący przybycia tego kapitana do Dranu? Związek między jego uwięzieniem, a panią Alidą? Oczywiście, lecz przecież...

— Niepotrzebnie każesz dostarczać sobie te wszystkie raporty,

meldunki i donosy do wglądu — zauważyła. — Czy nie sądzisz, że twój czas jest na to zbyt cenny? Dawno, podczas Kociego Powstania, jakiś oficer gwardii miał podobno powiedzieć, że naczelny wódz powinien kierować armiami, zaś od rozsyłania patroli są setnicy. To jedna z tych prawd oczywistych, które wciąż na nowo trzeba sobie uświadamiać.

Milczał, rozważając jej słowa.

— Uważasz więc, że niepotrzebnie doglądam zbyt małych spraw, i to takich, na których się nie znam.

— Tak uważam. Posiadasz wielki dar kierowania ludźmi (ależ tak), natomiast brak ci tego, co mieć musi mały urzędnik w szarej szacie, badający wnikliwie sto nici, nim po jednej dojdzie do kłębka. Zresztą: cóż to? Czy tego się od ciebie oczekuje? Doprawdy, Bavatarze, czemuż nie zaczniesz śledzić rzezimieszków, gdzieś w ciemnych ulicach?

Zmarszczył brwi.

— Drogi kuzynie — przechyliła nieco głowę, jakby ustępując upartemu dziecku. — Jeśli ta sprawa nie daje ci spokoju, przekaz ją niżej! Odpowiedni ludzie zajmą się wszystkim, a tym gorliwiej, że biorą za to pieniądze z imperialnej szkatuły.

Uniósł spojrzenie.

— Tak chyba będzie właściwie. Jest coś... Pokręcił powoli głową.

— Coś mi się nie podoba w dzisiejszej wypowiedzi Nalwera.

— Co takiego? Zrobił bezradny gest.

— Powiem ci, kuzynie: w wypowiedzi Nalwera nie podoba ci się... sam Nalwer. Ten człowiek cię drażni.

Myślał, kiwając lekko głową, po czym wstał, zrobił kilka powolnych kroków i stanąwszy za plecami kobiety, położył ręce na jej ramionach.

— Doprawdy, Eleno — powiedział cicho — dlaczego wtedy nie byliśmy odważniejsi? Nasze pokrewieństwo? Jakże dalekie, a zresztą... Nie takie przeszkody omijano. Tak bardzo cię potrzebuję, Eleno. Dlaczego nie jesteś moją żoną?

Dotknęła policzkiem jego dłoni.

— Ale dzisiaj mogę być... Zostań ze mną — powiedziała niegłośnie. — Zostań do rana, proszę. Nikt nie wie, że do mnie przyszedłeś. Potrzebuję cię tak samo, jak ty mnie.

— Tak więc z tej strony, przynajmniej na razie, nie ma niebezpieczeństwa — zakończyła Alida. — Nie wierzę jednak, by

zrezygnowano z podejrzeń w ogóle. To bardzo niebezpieczna gra, wasza wysokość. Sądzę, że trzeba uprzedzić cios. Dotąd ręce miałam związane przygotowaniem waszej ucieczki...

Chodzący po pokoju tam i z powrotem mężczyzna zatrzymał się, zakładając ręce za plecy. Uniósł twarz — dość mizerną i niezwykle bladą. Taką cerę miewają ludzie, którzy spędzili długi czas — w celi...

— Wciąż nie wiem, czy ów kapitan zginął, czy też nie — wyjaśniła. — Jeśli żyje, należy liczyć się z jego działaniem.

— Czy brak takowego, jak dotąd, nie zdaje się świadczyć, że jednak zginął?

Słowa wypowiedziano z doskonałym akcentem i tak nienaganną dykcją, iż pochodzenie i pozycja społeczna tego człowieka nie mogły budzić najmniejszych wątpliwości. Był to mężczyzna wywodzący się z któregoś ze starych garyjskich rodów, wychowany w surowych zasadach garyjskiego pałacu.

— Być może — odparła. — Ale bez względu na to, Trybunał nie poniecha dochodzenia, co najwyżej przejmą je ludzie niżej stojący w hierarchii. To oznacza spowolnienie tempa prowadzenia sprawy, ale tym pewniejsze zakończenie jej w ogóle. Doły tej instytucji są mniej wrażliwe na sugestie niż szczyt — uśmiechnęła się lekko. — Zwyczajny urzędnik może nie ma wielkich ambicji, ale dlatego jest jak pies gończy. Nie porzuca tropu, bo tak go wytresowano.

— Co zatem proponujesz uczynić, pani? Nie wolno ci zniknąć, jesteś absolutnie niezbędna.

— Wiem — powiedziała. — Usuńmy ich.

— Kogo? — nie zrozumiał mężczyzna.

— Ich godności Bavatara i Elenę. Mężczyzna milczał.

— Naprawdę, pani — rzekł sucho po długiej chwili — gotów byłbym przypuścić, że żartujesz.

— Naprawdę, panie — odparła tym samym tonem — mogłabym przypuścić, że nie rozumiesz.

Przez krótką chwilę patrzyli na siebie, po czym nagle uśmiechnęła się tym uśmiechem, który nic nie mówił, a musiał się podobać każdemu mężczyźnie.

— Wasza wysokość... proszę pozwolić, że zapytam: jeśli usunięcie dwojga ludzi przekracza nasze możliwości, to po co w ogóle bawimy się

w jakieś powstanie?

Potrząsnął głową.

— Nie mówię, że to niemożliwe. Mówię, że to trudne. I nie dość, że nie wiem, czy potrzebne, to jeszcze mam wątpliwości, czy aby nie szkodliwe. Ci ludzie od miesięcy karmieni są fałszywymi informacjami o powstaniu i jego zamierzonym przebiegu. Jeśli teraz przyjdzie na ich miejsce ktoś inny, to trudno ocenić, czy jego świeże, ostre spojrzenie nie zdemaskuje gry.

— Nie, panie, albowiem będzie to nasz człowiek. Zamilkł.

— Kogo masz na myśli?

— Siebie.

Nawet nie próbował ukryć zdumienia.

— Nie, doprawdy pani, obawiam się, że zbyt wysoko mierzysz! To stanowisko jest jednym z najważniejszych w całej prowincji, jeśli zgoła nie w całym imperium. Protegowani najwyższych dostojników na próżno dobijają się o nie, i to ludzie tak wysokich lotów... Wybacz mi, pani, ale twoje nazwisko...

— Nazwisko bardzo łatwo można zmienić. Jeśli zechcę, jutro będę żoną pana Kahela Dogonora. Och, to chyba znakomicie się składa, że Dogonor całym sercem i majątkiem popiera politykę Kirlanu? — uprzedziła protest.

Blady mężczyzna usiadł.

— Ależ... — rzekł niegłośnie, oszołomiony — ten człowiek ma sześćdziesiąt kilka lat! Uśmiechnęła się filuternie.

— No właśnie. Wzruszyła ramionami.

— Posłuchaj, panie — uprzedziła kolejne zastrzeżenia — sytuacja niezwykle nam sprzyja... Dopiero co ujawniono skandaliczną historię wykupywania odpowiedzialnych urzędów i stanowisk, są w to zamieszani, jak wiesz, niestety głównie nasi ludzie. Wiemy oboje, że niewiele można im pomóc, czeka ich twierdza, chyba, że zbiegną... Ale wtedy ich przydatność będzie żadna. Jest wszakże rzadka możliwość obrócenia porażki w sukces. Chcę wiedzieć, czy ci ludzie gotowi są poświęcić się dla sprawy? Niewielkie to zresztą poświęcenie, przecież zaraz po wybuchu powstania wszyscy uwięzieni odzyskają wolność.

— Poświęcenie wszystkiego, nawet życia, to święty obowiązek każdego z nas — odparł z pewnym patosem, surowo.

— A zatem — skrzętnie ukryła ironię. — Trzeba sprokurować dowody i zamieszać w ów skandal tamtych dwoje. Pytanie tylko, czy na dworze Księcia Przedstawiciela będą gotowi w to uwierzyć?

— O to akurat byłbym spokojny.

— Zdaje się, że wpływy waszej wysokości, oczywiście ukryte wpływy, są tam ogromne — stwierdziła raczej, niż zapytała. Uchylił się od odpowiedzi.

— Niezależnie od tego — dorzuciła — Drugi Przedstawiciel Najwyższego Sędziego jest protegowanym księcia.

— Wiem o tym.

— A zatem? Jeśli Bavatar i Elena zmuszeni będą ustąpić...

— Nie, pani. Jego godność F. B. Nalwer to człowiek... zbyt miałki, by oddano mu urząd Najwyższego Sędziego. Wreszcie, widzisz przecież tam siebie?

Przechyliła lekko głowę.

— Najwyższego Sędziego nie powołuje się z dnia na dzień — zauważyła. — Musi przyjść zgoda Kirlanu, a tej nie będzie do zimy... Nalwer zatem pozostanie na stanowisku przez kilka miesięcy, korzystając z cichego przyzwolenia i aprobaty swego protektora. Przez ten czas odniesie takie sukcesy, że sam cesarz uzna go za wielce pożytecznego.

Patrzył skonsternowany.

— Nalwer to mój pajacyk — wyjaśniła. — Za jego wstawiennictwem łatwo uzyskam tymczasową funkcję Drugiej Przedstawicielki. Czegóż można chcieć więcej?

— O, na Szerń — rzekł tylko.

— Teraz, czy mam wyjawic waszej wysokości wszelkie korzyści, płynące dla powstania z faktu, że ja będę kierować Trybunałem? Bo naprawdę, Nalwera możemy pominąć w tych rachubach.

Milczał, próbując znaleźć słabe punkty w jej rozumowaniu.

— Wybacz, pani, że o tym wspominam, ale... twoja przeszłość... Roześmiała się głośno.

— Sądzisz, panie, że nikt nie powierzy dziwce takiego stanowiska? O, wasza wysokość... Nie jestem portową kurwą wycierającą bruki!

Skrzywił się, słysząc wulgarne słowo.

— Bywają u mnie mężczyźni największych rodów, ludzie piastujący

bardzo wysokie funkcje... Oczywiście, że sypiam z nimi. Ala znajdzie mi wśród nich, panie, choć jednego, który głośno nazwie mnie ladacnicą! Każdy wie, że taka jest prawda, ale nikt, panie tego nie przyzna. Jej godność Erra Alida to ogólnie szanowana ozdoba każdego towarzystwa Starej Dzielnicy, kobieta kryształowa i zgoła cnotliwa. Mało tego, trzymam w ręku liściki i fanty, które dość wynieść na światło dzienne, by skompromitować pół Dranu! Kto tutaj, wasza wysokość, wystąpi przeciw mnie? Milcząco uznał jej racje.

— A ponadto — dodała — Kirlan, ani nawet Dorona (mam na myśli dwór przedstawicielski) nie żywią żadnych uprzedzeń wobec... hm, jakiegokolwiek zawodu.

— Czasem wydaje mi się, pani — zauważył cokolwiek niechętnie — iż ty także nie żywisz uprzedzeń.

Wiedziała, że nie może igrać z garyjskim poczuciem przyzwoitości. Armektańska swoboda obyczajowa w oczach Garyjczyka wysokiego rodu była czymś niezmiernie plugawym. Zdawała sobie sprawę, że w łonie przyszłego dowództwa rebelii jej osoba stanowiła przedmiot niejednego sporu. Położywszy nieocenione zasługi na polu przygotowań do powstania — wciąż była postrzegana jako czarna owca.

— Wiesz przecież, wasza wysokość — zapewniła pospiesznie że robię to, co robię, tylko i wyłącznie dla sprawy niepodległej Garry. Po zwycięstwie powstania natychmiast porzucę tę... to poniżające zajęcie.

— Nie wątpię — przypieczętował surowo. — Wierzę w to i dlatego nieustannie bronię cię, pani.

Czasem miała ochotę powiedzieć, co sądzi o tym wszystkim. „Spokojnie, kochanie, cierpliwości” — zmitygowała się w myślach.

— Zapewniam, że stanowisko Drugiej Przedstawicielki leży najzupełniej w moim zasięgu. Zapominasz, wasza wysokość, co to za instytucja. Niejeden urzędnik wysokiego szczebla udawał przed laty oficera na pirackim żaglowcu, bądź doradzał rzemieślnikom i kupcom, jak uniknąć płacenia podatków do imperialnej szkatuły... Tacy ludzie często zostają Namiestnikami Sędziego w różnych okręgach miejskich. Oczywiście, że nigdy nie uzyskam nominacji na stanowisko tak eksponowane, jak Najwyższego Sędziego prowincji, a nawet nie zostaną Pierwszą Przedstawicielką. Ale już drugie przedstawicielstwo jest funkcją głównie doradczą, to dobra synekura i nic więcej. Drugi

Przedstawiciel to prawie nikt, bo musi jednocześnie zabraknąć aż dwojga jego zwierzchników, by uzyskać choć odrobinę realnej władzy. Takie rzeczy prawie się nie zdarzają. Przez chwilę panowało milczenie.

— Nie mogę jednak uwierzyć — spróbował jeszcze — że masz władzę nad tym głupcem Nalwerem. Prawda, to głupiec... — odpowiedział sam sobie. — Od jak dawna?

— Od dwóch dni. Jego wzrok bezradnie obiegł pokój.

— Żartujesz sobie, pani? Roześmiała się znowu.

— Wasza wysokość, proszę mi wybaczyć — rzekła, poważniejąc — ale odosobnienie, w jakim przebywałeś tak długo, zniekształca perspektywę, z jakiej oceniać trzeba świat i ludzi. Oczywiście, panie, że Nalwer, choćby był jeszcze dwa razy głupszy, nie dopuści się zdrady stanu dla samych tylko moich pięknych oczu... Ale ma ambicje. Wszędzie i zawsze był tylko tłem dla innych, lekceważony, pomijany... Naraz, w jednej chwili, ktoś ocenił go bardzo wysoko, podsunął myśli, które mając za własne, powtórzył i zyskał uznanie. Uznanie tych, którzy patrzyli nań dotąd pobłaźliwie. Ależ, wasza wysokość, czy wiesz, jaka jest siła rozbudzonych nagle, długo tłumionych ambicji, kiedy raz wybuchną?

39.

Wychodząc z jaskini, Riolata natknęła się na zwłoki żołnierza. Siedział oparty o skałę; chyba osuwał się wzdłuż niej, na słabnących nogach aż umarł. Dłonie, czerwone od krwi, zaciśnięte miał na poderżniętym gardle. Jego broń zniknęła.

Riolata, wciąż jeszcze ze łzami w oczach powstrzymując chęć masowania pociętych pasem pośladków, zdała sobie sprawę, że o czymś zapomniała. „Kochany wujek Raladan”, którego znała od zawsze i któremu włożyło się na głowę, przez całe niemal życie był piratem... Tutaj oto leżały trupy dwóch świetnie uzbrojonych i wyszkolonych żołnierzy, których zabił nieomal mimochodem i poszedł dalej, jakby wypił dwa kubki rumu. Tego człowieka należało się bać — gdy ona go niedoceniała.

Zadeptała dymiące łuczywo, starannie osuszyła oczy, po czym przebrała się w rzeczy siostry, krzywiąc się, parskając i fukając ze wstrętem.

Okrzyżyła wzgórze i ujrzała okręt Lereny, w niewielkiej odległości od brzegu. Dostrzegła też szalupę na piasku i ludzi przy niej. Odetchnęła głęboko i poszła tam.

Raladan stał oparty o burtę wyciągniętej częściowo na brzeg łodzi. Trzymał kuszę, opartą na przedramieniu. Ogarnęła go ową bezbrzeżną pustką, jaka czasem wypływała z jej oczu, i rzekła krótko:

— Na okręt.

Majtkowie, znudzeni długim siedzeniem na brzegu, skwapliwie zaczęli spychać łódź. Raladan odszedł na bok, wciąż trzymając uniesioną kuszę. Nie unikał jej wzroku — i naraz pojęła, że ten człowiek wcale nie straszył... On istotnie rozważał, czy nie posłać jej pocisku. Za chwilę mogła być martwa, jak te skały.

Poczuła coś w rodzaju lęku. Czy aby dobrze oceniła swe szansę? Na Szerń, jakże głupio mogłoby się skończyć jej życie, jej plany, zamierzenia... Mechanizm spustowy kuszy czekał tylko na nacisk palców Raladana. Odwróciła się, by nie wyczytał w jej wzroku strachu, nienawiści i — wyroku na siebie.

„Zapłacisz mi za to — pomyślała. — Przysięgam, że zapłacisz mi za

wszystko. Już niedługo”.

Ale klęska spadła z innej strony. Nie Raladan był jej przyczyną. O przegranej miał przesądzić pośępny cień, mknący pośród złotoczerwonych łusek fal, od strony chylącego się ku morzu słońca. Nie widzieli go majtkowie, brodzący po uda w wodzie, wzdłuż burt łodzi. Nie widział go jeszcze Raladan, wciąż pogrążony w ponurych rozważaniach.

— Nie... — powiedziała.

Wściekłość, budząca się dziś tyle razy, wybuchła znowu, gorzka tym razem i spleciona z uczuciem bezsilności.

— Idź precz! — wrzasnęła chrapliwie, chwytając się za włosy przy skroniach.

Raladan i majtkowie skierowali wzrok na nią, a potem — tam... Rzuciła się w morze, przewróciła pośród fal, ale zaraz podniosła, ociekając wodą.

— Dlaczego?! Powiedz dlaczego, ty draniu! Jestem twoją córką, słyszysz?! Jestem tak samo twoją córką jak ona!

Słońce nad horyzontem zdawało się przygasać, krwista czerwień przeszła niemal w brąz. Riolata nie słyszała i nie widziała niczego, poza upiornym kadłubem, nadciągającym nieuchronnie, złowieszczo, niepowstrzymanie, z prędkością gnanej wiatrem chmury. Z pokładu okrętu Lereny ludzie rzucali się w fale, wpływ zmierzając ku wyspie.

— Zatrzymaj się! — krzyknęła, bijąc pięściami wodę. — Zatrzymaj się! Opuściła ręce i powiedziała z rozpaczą:

— Ojciec...

Czarny wrak przepadł gdzieś nagle, po czym wyłonił się znikąd — już bliżej. Niewyraźny, zamglony od pędu, otoczony głuchym hukiem pękających fal, jak głaz ciśnięty ręką olbrzyma, uderzył w burtę stojącej na kotwicy kogi, wydzwigając wielki okręt ku niebu, z łoskotem przewyższającym grzmot burzy. Czas jakby zwolnił swój bieg, widziała każdy szczegół — więc maszt pękający w połowie, rozpadające się na wszystkie strony, jakby rozsadzone wybuchem deski burt, rozerwany pokład, ukazujący czarną jamę ładowni i figurki ludzi, wyrzucone wysoko w powietrze. W tym wszystkim dźwięk skonał nagle, słupy i ściany wodne, łamane własnym ciężarem, opadały bez głosu, roztrzaskany żaglowiec przetoczył się po widmowym kadłubie i runął w wodę, stępką do góry; za nim, dalej, straszny wrak przewalał się z burty

na burzę, ociekając spienioną kipiela, znów nabierając szybkości, uchodząc.

Dźwięk wrócił.

— Na wszystkie Pasma Szerni! — zawyła. — Zniszczę cię, czymkolwiek i kimkolwiek jesteś! Klnę się na swoje imię, że cię zniszczę! Na wszystkie Ciemne Pasma, nich cię morze pochłonie!

Niebo pękło, uwalniając szeroką jak koszmar, czarną wstęgę. Wicher przybył, rycząc; ucichł zaraz, przygnieciony cieniem następnego Pasma, wyłaniającego się obok pierwszego. Jakiś łoskot przetoczył się pomiędzy nimi. Coś, jak czarny sztych, wystrzeliło z nieba, uderzając daleki już wrak. Słup wody wytrysnął ku niebu; jeszcze dało się widzieć przez chwilę zdruzgotany, wypalony kadłub, walczący ciężko z falami, nim, ulegając ich mocy, zniknął w głębi morza...

Stała, aż niebo pochłonęło czarne wstęgi, a wtedy opuściła uniesione nad głowę ramiona, padając twarzą w wodę.

Raladan raz jeszcze rozejrzał się dokoła, ale w gęstniejących ciemnościach nie dostrzegł nikogo. Chwycił dziewczynę za koszulę na karku i powłókł dalej, ku jaskini. Była jak pijana: zataczała się, chwytając rękami powietrze; gdyby nie trzymał mocno, nie przeszłaby i dwóch kroków.

Ale przed wejściem do jaskini zaczęła nagle stawiać opór.

— Nie... — wystękała — nie...

Lecz on widział i przeżył tego dnia dość, by tracić cierpliwość łatwiej niż kiedykolwiek. Rzucił ją na ziemię i chwycił za włosy, padając obok na kolana. Pochylił się mocno ku jej twarzy.

— Posłuchaj no — rzekł chrapliwie. — Nie obchodzi mnie, czy jesteś człowiekiem, potworem z innego świata, czy demonem... Rób, co każę, bo, na wszystkie moce, zabiję cię — wyszarpnął nóż i podsunął jej przed oczy.

— Tam jest... ona... — powiedziała z jękiem. — Zabiłam ją... Rozumiesz?

Raladan opuścił broń. Potem zerwał się i objął głowę dłońmi.

— Na wszystkie morza świata — rzekł z prawdziwą grozą — co dla ciebie jest święte? Przypadł do niej na powrót i chwycił za gardło.

— Tym bardziej, suko... idź tam!

Oderwał ją od ziemi i pchnął mocno, nie dbając, czy sobie co połamie, czy nie. Wpadła między skały. Raladan ujął pod pachy sztywne już ciało żołnierza i pocąc się obficie, wciągnął je do jaskini. W trakcie tego dojrzał porzuconą przez Riolatę, zdeptaną pochodnię. Wziął ją też.

Pamiętał o dziurze, zaraz za wejściem. Poruszając się po omacku, wepchnął do niej trupa, a następnie skłębione resztki żaglowego płótna, które kiedyś maskowało wilczy dół. Odpoczywał przez chwile.

— Gdzie jesteś? — rzucił.

— Tutaj... — odparła tak cicho, że niemal niesłyszalnie.

Popchnął ją znacząco. Rozbijając się o skały, odpełzli na czworakach dalej w głąb korytarza.

Wydobył z za pazuchy krzesiwo i hubkę. Były suche — cud prawdziwy, bo wyciągając Riolatę z wody, zamoczył się niemal cały. Cóż, kiedy ze zmęczenia i od nadmiaru wrażeń, ręce drżały mu tak bardzo, że nie mógł uzyskać ognia. Myśl, że miałby przesiedzieć tak, po ciemku, całą noc z tą kobietą, sprawiła, że mozolnie wgramolił się dalej, odszukał uduszonego liną dziesiętnika i urwał kawał mundurowej tuniki. Zaciskając zęby, krzesał wytrwale, wreszcie rozdmuchał płomyk i zapalił szmatę. Owinął nią upalone łuczywo i wrócił.

Riolata siedziała pod ścianą, oparta bezwładnie, ale po spojrzeniu, którym go obrzuciła, poznał, że dochodzi do siebie. Wyciągnął rękę z pochodnią tak, że płomień omal smagnał jej twarz. Rzuciła się w tył, uderzając głową o skałę. Gestem rozkazał, by szła w głąb jaskini. Ruszyła posłusznie. Obejrzała się raz i drugi; znów na jej twarzy był lęk.

Wchodząc do skarbca, Raladan nie wiedział, co zobaczy... Gdy usłyszał o śmierci Lereny, poznał nagle, że coś go łączyło z tą dziewczyną. Może był to po prostu czas, jaki wspólnie spędzili; może stary, zakorzeniony nawyk bycia w jakiejś mierze lojalnym wobec kapitana, pod którym służył, bez względu na to, kim ów kapitan był... Nigdy tak naprawdę nie pragnął śmierci Lereny, choć czasem budziła w nim wściekłość, graniczącą z nienawiścią. I teraz, na koniec, to nie Lereana, lecz jej siostra, okazała się prawdziwie przerażającą istotą; do tego stopnia, że tamta zdała mu się nagle niemal przyjacielem, a na pewno nie wrogiem...

Nie wiedział, jak zginęła. Poczuł nagle, że go to bardzo obchodzi.

Lereana jednak żyła.

Lerena jednak żyła i Raladan, któremu zdawało się może, iż wszystkie niezwykle i koszmarnie zdarzenia tego dnia ma za sobą, cofnął się, omal nie upuszczając pochodni. Równocześnie Riolata wydała jakiś nieludzki dźwięk, rzucając się w tył; odruchowo zagroził jej drogę i przytrzymał, nie mogąc wszakże oderwać oczu od sinej, obrzmiałej, potwornej twarzy, z której patrzyły wielkie, wytrzeszczone oczy... Jednak to nie twarz i nie oczy były najstraszniejsze...

Lerena się śmiała.

Z głową opartą o skrzynie i wykręconą w bok, ze związanymi wciąż rękoma i nogami, wreszcie z nieruchomą, pozbawioną tchu piersią — śmiała się bezgłośnie. Upiornie...

Raladan odepchnął Riolatę i powoli, sztywno podszedł do dziewczyny. Sznur opasujący szyję wżarł się w nią, pilot zatknął pochodnię w szczelinę między skrzyniami i przeciął węzeł, bo był jedynym dostępnym dla ostrza miejscem. Jakiś półzwierzęcy charkot wyrwał się z krtani, pozbawionej tchu od tak dawna; Raladan rozciął jeszcze pęta i powoli odwrócił się ku tamtej. Wziął łuczywo i — nie chowając noża — postąpił dwa kroki.

Wtedy ujrzał, że Riolata uśmiecha się spokojnie.

— No, dalej — powiedziała, jednym ruchem wstając z ziemi. Ona żyje, ty głupcze. A to znaczy, że nas nie można zabić. Jesteśmy takie same, Raladan. No? Dalej!

Raladan poczuł nagle, że śni. To musiał być sen... Długi, koszmarny sen.

Część trzecia. Rubin Córki Błyskawic

40.

Był koniec zimy.

Wredna pogoda — lepszego określenia Raladan znaleźć nie zdołał. Po całych tygodniach ciężkich mrozów (zamarzły nawet porty w Bagbie i Doronie, rzecz niezwykle rzadka) i bezustannego śniegu, nastąpiła nagła odwilż. Śnieg sypał dalej, ale wzmocnił go deszcz; tworzyły razem lepką i ohydłą mieszanę, którą wiatr chlastał po ulicach Bagby, niczym mokrą szmatą. Potężne zaspasy, przez które trudno było się przedrzeć w czas mrozów, teraz stały się przeszkodami zgoła nie do pokonania — niczym skarpy ciężkiego, białoszarego błota. Topniały, zamieniając ulice w zimne bajora spływającej leniwie brei.

Lepki, mokry śnieg miał też swoje (choć niewielkie) zalety: oto pilot pochylił się, uformował w dłoniach masywną kulę i cisnął nią w szczególnie natarczywego psa, próbującego zjeść mu podbitą futrem oponkę. Całe tuziny tych stworzeń biegały po mieście, szukając jakiegokolwiek kęsa pożywienia; doszło do tego, że żołnierze z kuszami polowali na nie. Były plagą. Cóż dopiero za miastem, gdzie — jak słyszał Raladan — zdziczałe, łączyły się w stada, atakując inwentarz w obejściach, a nierzadko i ludzi.

Wczesny zimowy wieczór wygonił z ulic do domów nawet tych, którzy z jakichś powodów musieli wziąć się za bary z zaspami. Ulica była pusta i Raladan, mając sześć lub siedem psów za plecami, poczuł się nieswojo. Wsunął ręce pod płaszcz, poprawiając pas z mieczem. Prawie nigdy nie nosił tej broni, przeciw ludziom wystarczał mu nóż. Wziął ją z myślą o psach właśnie. Jeśli już miał zostać zjedzony, wolał, by uczyniło to jakieś morskie stworzenie.

Nim dotarł do karczmy, którą mu przed dwoma dniami wskazano, buty miał już całkiem rozmiękłe. Za cholewami tkwiły mokre bryły śniegu. W izbie było ciepło, niemal gorąco — i bryły szybko popłynęły w

dół, po łydkach. Cóż, stawiał w życiu czoło większym przeciwnościom.

Gorące piwo z korzeniami i miodem przyjemnie grzało wnętrze. Raczył się nim zachłannie, bo też było przednie; chmiel garyjski nie miał sobie równych, a i wodę czerpano wyborną. Wypił dzban, potem drugi, wreszcie uznał, że dosyć.

Powiedziano mu prawdę. Dziwny był ten starzec.

Siedział w kącie izby, szary, przykurczony, z garbem na lewej łopacie. Na kolanach trzymał instrument — Raladan nigdy dotąd takiego nie widział. Był jak skrzypce, lecz daleko większy, struny zaś zdawały się niezwykle długie. Strun było sześć, może siedem.

Starzec — tak jak wszyscy niemal w tej izbie — sącył piwo. Raladana uderzyło, że dłoń opartą na dzbanie zdobi wielki pierścień, wart, na oko, fortunę. Żebracy, gawędziarze, wędrowni grajkowie, mieli czasem pieniądze — i to więcej, niż na ogół sądzono. Ale nigdy nie pokazywali ich ludziom.

Raladan pochylił się w stronę sąsiada, wymachującego rękami przed nosami kumpli, jakby i bez gestów opowieść o rekinie-ludojadzie nie była dość barwna.

— Czemu nie śpiewa? — zapytał, pokazując grajka.

Wybity z rytmu opowieści mężczyzna znieruchomiał na chwilę.

— Co? A, ten... Sam go zapytaj, do stu piorunów! Ale jemu tutaj — wskazał czoło — nie dostaje, to lepiej uważaj...

— Takie brednie wyśpiewuje?

— Brednie, mówisz? — Mężczyzna opuścił nagle, wciąż gotowe do podjęcia opowieści, ręce i zasepił się. — Nie, nie brednie... Takie dziwy.

Raladan skinął głową.

Dziwy... Cóż człowiek, prawiący o wielkim jak okręt rekinie, mógł uznać za „dziwy”?

Usłyszał o niezwykłym grajku przedwczoraj. Usłyszał przypadkiem. Powiedziano „dziwny starzec” i Raladan nagle przypomniał sobie ostatnie słowa, jakie wyrzekł doń Demon: „Jest dziwny starzec, Raladan. On powie ci więcej”. Wiele lat minęło, ale Raladan „dziwnego starca” nie spotkał. Teraz, patrząc na garbusa w łachmanach, z wielkim kamieniem na palcu i niezwykłym instrumentem w ręku, pomyślał, że jeśli ten starzec nie jest dziwny, to znaczy, że dziwnych starców nie ma.

Wstał.

Zaraz potem wstał i starzec, patrząc wyczekująco.

„Na Szerń — rzekł sobie pilot. — Niechże to będzie ten, o którym myślę”.

Przemknęło mu zaraz przez głowę sto pytań, wartych zadania człowiekowi, którego polecił mu sam Demon. Ruszył ku grajkowi, a ten mocniej ujął swój instrument i wyraźnie czekał. Raladan stanął przed nim i powiedział:

— Starcze, ktoś przed łąty polecił mi cię jako źródło niezwyklej wiedzy... Powiedz, czy się nie mylę... co do osoby.

— Ktoś mnie polecił? — głos grajka był cichy i lekko drżący. Kto taki, panie? Raladan milczał przez chwilę, po czym odparł:

— Wielki pirat... Król Bezmiarów. Demon Walki, starcze. Garbus wolno przymknął powieki, jakby coś rozważając.

— Mam tu izbę — rzekł niegłośnie. — Chodź ze mną, panie.

Raladan poczuł nagły ucisk w gardle.

Był u celu.

W dalekim grombelardzkim Londzie istniał prastary zwyczaj, w myśl którego każdy zajazd miał izbę, czy też raczej komórkę w jakimś kącie, często na poddaszu, nieodpłatnie oddawaną na nocleg żebrakom i rozmaitym włóczęgom. Obyczaj ten rozprzestrzenił się na niemal wszystkie krainy Szereru — może dlatego, że tanim kosztem pozwalał okazać szczodroblivość i hojność ubogim?... Wkrótce znaleźli się w takiej właśnie izbie na poddaszu.

— A zatem? — rzekł starzec, troskliwie opierając instrument o ścianę. Raladan stał w progu, milcząc.

— A zatem? — powtórzył po długiej chwili garbus, siadając na koślawym zydelku, jedynym tutaj sprzęcie, stojącym obok kupki wilgotnego siana. — Mam czas, panie, mam go dużo, znacznie więcej, niż myślisz. Ale ty, czy ty jesteś w równie szczęśliwej sytuacji?

— Nie, to prawda — odparł pilot. Postawił wątyły, przyniesiony z dołu kaganek, na gnijącej podłodze i usiadł pod ścianą, wyciągając nogi w czarnych od wilgoci butach. — Jednakże trudno mi uwierzyć...

Zamilkł, dotykając czoła.

— Powiedz, panie — przerwał ciszę starzec — czyś naprawdę w życiu tak mało dziwnych rzeczy zobaczył, że nie wierzysz w nasze spotkanie?

Pilot pokiwał głową.

— Masz rację, starcze. Widziałem niejedno. Ale z tego, co widziałem, rozumiem tak mało... że dlatego właśnie aż boję się uwierzyć, iż uzyskam dziś wyjaśnienia.

— Spróbuj, panie.

— Przed laty pływałem na okręcie pirackim. Dowodził nim człowiek, o którym do dziś śpiewa się pieśni... Grajek skinął głową.

— Jest ich coraz więcej — powiedział. — I przybywać będą wciąż nowe, tak długo, jak długo cień tego człowieka snuć się będzie po morzach. A nawet i później Demon Walki będzie wieczną, nieśmiertelną legendą.

— Cień Demona już przepadł. Pochłonęło go morze. Starzec uśmiechnął się lekko.

— Naprawdę?

Raladan wbił spojrzenie w głęboko osadzone oczy.

— Widziałem, starcze.

— Co widziałeś, żeglarzu?

— Wrak „Węza Morskiego”, jak szedł na dno.

— Czy przedziurawiły go skały i do środka naląta się woda? Ależ panie, czemu ufasz oczom, miast ufać rozumowi? Raladan marszczył brwi, poruszony.

— Czarny Okręt jest własnością wyklętych Pasm Szerni. One pozwalały, by przenikał do światła. I one sprawiły, że zniknął, zdaje się bowiem, że się im sprzeniewierzył: Ach, więc myślisz, że sprawiła to dziewczyna? Nie, panie. Nie ma takiej siły, która wyszarpnęłaby Pasma zza kopuły nieba. To cień Demona je sprowadził swym działaniem, które było, zdaje się, niezgodne z dążeniami Pasm. Ciemne Pasma pojawiły się, by ukarać zdradę Cienia.

Cień Demona pojawi się jeszcze na Bezmiarach, a jeśli tak się nie stanie, to nie z powodu mocy twojej przyjaciółki. Dziwnym, potężnym człowiekiem musiał być Demon... — Starzec zadumał się.

— Skoro nawet po śmierci służy jakimś własnym celom, zdolny przeciwstawiać się mocy, która sprawia, że trwa... Raladan czuł grudę w gardle.

— Wiesz wszystko...

— Nie, żeglarzu. Wiem akurat tyle co ty. Ja — rozumiem... Cisza

trwała, dając czas, by pojął. Starzec uniósł dłoń.

— Nie pytaj. Myśl. Wspominaj. Będę to tłumaczył. A więc imię? Jak? Riolata?

Pilot chciał go powstrzymać. Nie zdążył.

— To imię jest przeklęte... Ściągnąłeś na swą głowę nieszczęście. Moja wina...

— Więc Riolata? — powtórzył lekko starzec. Raladan pojął nagle, że powietrze trwa nieruchomo, cienie są zwykłymi cieniami, a płomień kaganka nawet się nie przygiął.

— Na wszystkie morza, panie... Gdy wymówiłem to imię po raz pierwszy, sparzyło mi gardło niczym płynny ogień. Potem zrobiłem to raz jeszcze i przeleżałem tydzień w gorączce, jak od ciężkich ran.

— To imię nie jest przeklęte. Jest potężne, bo ma moc Formuły, odnoszącej się do pewnego Przedmiotu, to wszystko. Zaiste, nie można wymawiać go bezkarnie, nie wiedząc, co oznacza... Zobacz — wyciągnął rękę z pierścieniem. — Co widzisz?

— Pierścień... rubin?

— To Geerkoto. Rubin Córki Błyskawic. — Starzec uniósł dłoń; rubin rozgorzał. — Ależ nie, żeglarzu, wcale nie jest mały. Przeciwnie, to duży Rubin. Cóż poradzić, że kapitan K. D. Rapis znalazł chyba największy ze wszystkich? A imię tego Rubinu: Riolata.

— To nie imię Rubinu. To... Uderzyła go myśl, od której zamarł.

— Nie, nie wierzę — rzekł bladymi wargami.

— Tak, mój synu. Ta dziewczyna to Rubin. I nie ona jedna. Wszystkie trzy.

Raladan wziął się za głowę.

„Moc kamienia, będącego odbiciem dwóch Ciemnych Pasm Szerni, już nie będzie mi służyć” — wspomniał nagle słowa Rapisy. A więc wtedy...

— Nie — rzekł sam do siebie.

— Owszem tak. Synu, ta dziewczyna umarła. Nie, nie powiem ci kiedy...

— Na cesarskim żaglowcu — powiedział Raladan z drżeniem. Wkrótce potem Demon mówił ze mną... Zakatowano ją... albo może utonęła, później...

— Tak, widzę... To być może.

Pilot zerwał się, zrobił kilka kroków, po czym usiadł na powrót.

— Na wszystkie moce... Mów, mów, panie!

— Uporządkuj zatem ten chaos... Jak mam opowiedzieć ci o stu rzeczach naraz?

Raladan zaciskał pięści.

— Ta dziewczyna... stała mi się jak córka! — rzucił z chrypką. Teraz mówisz mi, panie, że jest martwa. Że jest jakimś kamieniem! Ale ona żyje... Oddycha i czuje!

— Tylko czuje, mój synu, a nikt na całym świecie nie powie ci, co i jak czuje.

— Je, śpi... — głos załamał się nagle — od-dy-cha...

Ale widział już, że oddychać nie musi. Jej córka — nie musiała.

— Nie musi też jeść ani pić, ani spać. Znuży ją bezsenność. Będzie cierpieć z pragnienia i głodu. Lecz nie umrze. Choćby nawet nie jadła sto lat.

Zdawał się nie słuchać.

— Nigdy w życiu — rzekł, nie mogąc rozewrzeć porażonych skurczem szczęk — nie kochałem nikogo i niczego... oprócz morza. Lecz wiedz, panie... że dziś całe Bezmiary... mogą zmienić się dla mnie w pustynię!

Stare deski przyjęły cios z głuchym bólem.

Starzec milczał.

Raladan zerwał się znowu i krążył, nie mogąc przemówić.

— Dalej... dalej, panie — rzekł wreszcie. — Chcę, byś powiedział mi wszystko. Najpierw zaś powiedz... czy jest sposób?... Starzec pochylił się lekko do przodu.

— Nie wiem, synu — powiedział powoli. — Także rad bym dowiedzieć się wszystkiego... Krótkie życie? Nie słuchałeś widocznie. Rubin jest wieczny, jak Szerń. Nie umiera, jego moc nie jest życiem... Po kolei, synu!

Raladan usiadł i patrzył w kąt izby, starzec jednak wiedział, że słucha w najwyższym napięciu.

— Nie słuchałeś wcześniej, więc powtórzę: Rubin jest nieśmiertelny (co nie znaczy, zauważ, niezniszczalny). Moc Rubinu jest dla córek Demona tym, czym życie dla ciebie. Ale moc ta może zmieniać natężenie i zależnie od tego czas dla tych kobiet będzie płynął szybciej albo wolniej.

Tak więc fakt, że młodsze córki Demona są teraz w wieku matki, nie oznacza nic więcej jak to, że moc Rubinu przyspieszyła ich dorastanie. Jutro zaś ta sama moc może powstrzymać starzenie wszystkich trzech na lat dziesięć, sto, albo tysiąc.

Uczył krótką przerwę.

— Czym jest Rubin? — podjął zaraz. — Wiesz przecie. To Geerkoto, Ciemny Porzucony Przedmiot, nic ponadto. Jest potężny, ale są i potężniejsze... Tak, to prawda, właśnie Pióro. Jednak siła Srebrnych Piór polega na łatwości, z jaką można za ich sprawą dotrzeć do Pasm Szerni. Rubin doprowadza do dwóch zaledwie Pasm, a i to niełatwo. Rubin nie jest bowiem Przedmiotem służebnym, przeciwnie. To on wywiera wpływ na tego, w czym posiadaniu się znajduje, i to wpływ o wiele większy, niż zdołałby wyrzucić jakikolwiek inny Geerkoto. Tak, żeglarzu, widzę, że rozumiesz — to właśnie remora przyczepiona do dna okrętu, lecz remora gigantyczna, zdolna strzaskać ster owego okrętu i sprawić, by wiózł ją tam, gdzie ona tylko zechce...

Garbus zamilkł i długo coś rozważał.

— Pierwsza córka Demona opierała się jego sile, bo ukształtowało ją życie, nie zaś moc kamienia. Tamte dwie nigdy życia nie miały, od początku do końca są dziełem Rubinu. Muszą czynić zło, bo do niczego innego nie są zdolne. Nadal się dziwisz, że ta, którą zwiesz Riolatą, mogła chcieć śmierci siostry? O, może pragnąć rzeczy daleko, daleko gorszych, a tamte dwie, bądź pewien, tak samo. Nie, synu, niech nie dziwi cię, że Riolata, uderzając w siostrę, uderzała w siebie. Rubin nie myśli, jest ślepą siłą, tak jak Szerń, niczym więcej. Jest... jak rzeka, która płynie ku morzu i płynąć musi, drogę wszakże wyznaczają wzniesienia i doliny. Geerkoto zmierza ku złu, lecz na oślep. Jednak najkrótszą drogą — jak rzeka. Dlatego córki Demona tak szybko stały się dorosłe. Dziecko wszak ma niewielkie możliwości działania. Nie, synu, nie myśl już tym obrazem. Nie jest przecie Rubin rzeką naprawdę. Oto rzece wszystko jedno, do jakiego morza płynie, dużego, czy małego. Rubin zaś wybiera zło największe, jakie się w przyszłości rysuje. Ty go możesz nie dostrzec, ani ja, ale skoro Rubin pozwala swoim niewolnicom na takie, a nie inne działanie, oznaczać to może tylko, że w działaniu owym kryje się zarodek zbrodni tak bezmiernej, że nie sposób nawet dociekać jej istoty. Rubin, wyczuwając w przyszłości takie zło, uczyni wszystko, by się doń

przybliżyć, uczyni nawet dobro. Tak, synu. Ale tylko wtedy, jeśli w końcowym rozrachunku wyniknie z tego zło dość wielkie, by przeważać szalę.

— Dlaczego Ridareta... się zmieniła? — cicho zapytał pilot.

— Już mówiłem. Została pokonana.

— Tak nagle? Przez tyle lat zdołała się oprzeć!

— Właśnie dlatego, synu. Nagłość owej zmiany nie budzi mojego zdumienia, prędzej fakt, że przyszła tak późno...

Raladan potrząsnął głową.

— Nie pojmujesz? Dobrze, weźmy zatem — łuk... Raladan patrzył, ale posępnie, bez nadziei.

— Weź łuk, synu — powtórzył grajek — i napinaj cięciwę. Mocno, synu, lecz powoli, coraz mocniej i mocniej... Teraz ramię ci drży, ale ty wciąż napinasz. Ramię drętwieje, boli i słabnie... Lecz wciąż trzymasz i ciągniesz. I wytrzymasz pewnie długo, ale wreszcie puścisz. Strzała pomknie. A im mocniej będzie napięta cięciwa — tym groźniejsza stanie się strzała, tym gwałtowniej i dalej poleci. Teraz poszukajmy przyczyny. Ale musisz mi pomóc. Najpierw: kiedy dostrzegłeś tę zmianę?

— Wróciłem na Garrę...

— Oszczędzaj słowa, żeglarzu. Popatrz tutaj. Przed twarzą Raladana pojawił się migoczący, zawieszony na łańcuszku wisiołek. Starzec rozkołysał go lekko.

— Patrz tutaj. Patrz tutaj... Jesteś bardzo, bardzo znużony...

Płynęli na Garrę.

Siedząc przy sterze łodzi, Raladan miał czas, by rozważyć i ocenić wszystkie swe działania. Był głupcem. Teraz widział to wyraźnie.

Bawił się w intrygi — a intrygantem był marnym. Umiał zmierzać do celu podstępem i siłą; wszakże co innego podstęp, co innego zaś istna pajęczyna kłamstw, oszustw, niedomówień, pozornych działań, ostrożnych uników... Posunął się tak daleko, jak tylko potrafił: bojąc się, by obraz nie wypadł fałszywie, a nie wierząc, by Ridareta umiała podjąć grę, okłamywał nawet ją samą, więcej — zdradzał jej tajemnice, tajemnice nie będące jego własnością. Być może, gdyby owe środki okazały się skuteczne, byłoby to usprawiedliwione... Pokpił jednak wszystko.

Bo i czegoż właściwie chciał? Zachować skarb, wierząc uparcie, że

kiedyś Ridareta z niego skorzysta; ochronić ją przed Riolatą i Lereną; wypełnić wolę Demona, traktując jego słowa: „pamiętaj, że pierwsza moja córka zawsze będzie miała rację” jako przykazanie, od którego odstąpić nie sposób... Zbyt wiele chciał osiągnąć. Tymczasem należało wybrać, a wybór podsunąłby najprostsze i najlepsze rozwiązanie. Ale nie, on wolał godzić rzeczy nie do pogodzenia...

Było tak, jak mówiła Riolata: chciał przeszkodzić w wydobyciu skarbu, w ostateczności zaś posłać go na dno wraz z okrętem. Teraz, gdy widział już, że przegrał, mógł spojrzeć na swoje poczynania zimno, z dystansu. Ogarnęło go zdumienie i omal — pusty śmiech... Gdybyż zdecydował się już w Dranie powiedzieć Lerenie, że wie, gdzie jest skarb! Trzeba było tak zrobić, przecież wiedział już o Bererze, o cudownym, niepojętym zrządzeniu losu, które pozwoliło temu człowiekowi (prawda, że po dwóch latach pływania od wyspy do wyspy) odnaleźć skarbiec Demona... Gdybyż wtedy powiedział Lerenie o kryjówce! Uprzedziliby Riolatę i dziś skarb leżałby na dnie morza, wraz z „Gwiazdą Zachodu”, cóż prostszego, jak wprowadzić okręt na skały! Ale nie. Nie potrafił zrezygnować, nie... nie leżało to w jego oślej naturze. Miał nadzieję nawet wtedy, gdy ujrzał „Seilę” płynącą za wyspiarskim holkiem. Na co liczył właściwie? Że Wyspiarz, a wraz z nim „Seila”, ścigać będą Brorroka aż do progu jesieni, a potem burze przeszkodzą w wydobyciu skarbu, dając mu czas? Doprawdy... Jak dużą porcję szczęścia musiałyby od losu otrzymać, by spełniły się podobnie karkołomne plany?

Na wszystkie morza, rację miała Riolata! Był głupcem. Skończonym głupcem. A teraz...

Teraz bitwa o skarb była rozstrzygnięta. A może nie? Może to właśnie teraz poddał się za wcześnie? Lecz, na Szerń, cóż mógł jeszcze uczynić? Jak miał walczyć z istotą targającą Pasmami Szerni tak, jakby to były jedwabne wstążeczki? Z istotą, która posłała na dno okręt-widmo, przed którym drżały wszystkie morza Szereru? Z istotą, która była ponoć — nieśmiertelna...

Wierzył w to. Jak miał nie wierzyć? Teraz chciał już tylko ocalić Ridarete. Po zniszczeniu „Gwiazdy Zachodu” wstrząśnięty i przytłoczony ogromem zdarzeń, wyciągnął z morza owo COŚ i zawlókł do jaskini. Na wyspie byli rozbitkowie z „Gwiazdy” — ci z łodzi i inni, przybywający wpław do brzegu. Jaskinia stanowiła jedyną kryjówkę, jedyne miejsce,

gdzie mógł pozbierać myśli, ułożyć jakiś plan... Ale w jaskini dowiedział się, że nie ma nad strasznymi siostrami żadnej władzy. Czym mógł im grozić? Śmiercią?

Pozostawała jednak Ridareta. Bez względu na to, czy istotnie była w ręku Riolaty, czy też nie — wiedział, że grozi jej zguba. Prędzej albo później. Musiał ją ochronić.

Nie mógł zabić bliźniaczek. Lecz Riolata przeliczyła się po raz kolejny. Śmiertelne, czy też nie, były w jego mocy. Bo zrozumiał w nagłym olśnieniu, że same niewiele wiedzą o siłach, jakie w nich drzemia... Pozostawił je w skarbcu — skrępowane, zakneblowane, bezradne i ziejące nienawiścią do wszystkiego, szczególnie zaś do niego i do siebie nawzajem. Teraz wyrzucał sobie, że tak zrobił. „Seila” musiała wrócić prędzej czy później. A to oznaczało, że wydał Lerenę — bezbronną — w ręce tamtej. Los piratki był nie do pozazdroszczenia.

Czy mógł jednak zrobić cokolwiek innego? Działał zresztą w ogromnym pośpiechu; jeśli chciał ocalić Ridaretę, czas miał pierwszorzędne znaczenie.

Byli na wyspie rozbitkowie z „Gwiazdy Zachodu”. Była łódź. Po krótkich poszukiwaniach okazało się, że jest też druga. To dawało możliwość dostania się na Garre. Dawało szansę odszukania Ridarety. Wziął ze skarbcza tyle złota, ile mógł ukryć przy sobie, po czym zaczął działać.

Przerażonych majtków zdołał nakłonić do ucieczki z wyspy, która wszystkim widziała się przeklętą. Cóż zresztą innego było do zrobienia? Czarny Okręt przepadł — widzieli to wyraźnie. I choć morze przestało nagle być im domem, zawierzyli mu raz jeszcze.

Nie wszyscy. Kilku pozostało. Woleli umrzeć z głodu na tej skale, niż znów poczuć fale pod sobą. Nic na to nie mógł poradzić.

Łodzie popłynęły w stronę Garry. Raladan, licząc każdą chwilę, niczym sztukę złota, nie popędzał jednak majtków. A dlatego, iż wiosłowali tak pospiesznie i zajadle, że już szybciej nie mogli.

Łodzie mknęły jak konne zaprzęgi.

Wylądowali mniej więcej na wysokości Belonu, niewielkiego miasta, położonego jakieś dziesięć mil w głębi lądu. Wyczerpani wiosłowaniem majtkowie marudzili przy łodziach. Zostawił ich. Nie byli już potrzebni, nie liczyli się. Liczył się tylko czas.

Wieczorem dotarł do Belonu. Kupił konia i tak szybko, jak potrafił, pognął do stolicy.

Szukał wszędzie.

Zaczął od Dorony; Drań był zbyt daleko, by jechać doń i sprawdzić, czy Ridareta nadal mieszka pod lasem. Przede wszystkim zaś, Raladan uwzględniał możliwość najgorszą, tę mianowicie, że Riolata nie kłamała...

W Doronie odnalazł ludzi, o których wiedział, że są powiązani z Riolata. Nie przebierał w środkach, pytał, obiecywał, a najczęściej groził — grozić zaś potrafił. Gdy to nie pomagało, używał siły.

W ciągu zaledwie kilku dni na miasto padł blady strach. Krążyły wieści o szaleńcu, mordującym i torturującym bez opamiętania, za to z niezwykłą sprawnością. Kilku znanych kupców znaleziono zamęczonych na śmierć we własnych domach; znanego i szanowanego powszechnie handlarza zbożem, poczciwego i jowialnego Litasa trudno było po śmierci rozpoznać, jego żonie zaś poderżnięto gardło tak, że głowa ledwie trzymała się tułowia. Czterooosobowa służba została wymordowana. W sąsiednich domach nikt niczego nie słyszał... Spłonął dom pana E. Zikona, kupca handlującego armektańskim sukniem. Zikon nigdy nie cieszył się dobrą reputacją, jego towar był podłej jakości, wierzyciele zaś stali u drzwi każdego dnia. W powiązaniu jednak z innymi zabójstwami, śmierć jego rodziny i pożar domu zdawały się być częścią jakiejś szerokiej sprawy, której tła trudno nawet dociekać... Wcześniej bowiem zginął inny drobny kupiec, a kilka staj za miastem znaleziono powieszzonego starca, w którym z trudem poznano skąpego i zręczliwego Badarva, zaopatrującego w trunki niemal wszystkie oberże, karczmy i tawerny w Doronie. Wiadomo było, że Litas i E. Zikon prowadzili ostatnio wspólne interesy, co dziwiło wielu, bo solidny kupiec, jakim był Litas, raczej nie miał czego szukać w spółce z oszustem. Zagadką pozostało jednak, jaki związek z tymi dwoma mieli pozostali. Zresztą — wszystkie te zabójstwa, choć najbardziej głośne, nie były jedynymi... W portowych zaułkach Dorony nie raz i nie dwa odnajdowano zwłoki, będące śladem jakichś marynarskich porachunków lub też zwykłych burd pijackich. Tym razem jednak mogło się wydawać, że duch śmierci we własnej postaci przebiegł ulicami: w ciągu pięciu dni znaleziono trzykrotnie więcej trupów niż zwykle przez tydzień. Zaraz potem wybuchła wojna między bandami typów spod ciemnej gwiazdy —

zrozumiano, że w grę wchodziły jakieś rozliczenia, których istoty lepiej nie drążyć. Komendant garnizonu opanował sytuację, wzmacniając patrole krążące po ulicach w dzień i w nocy. W tawernach i oberżach pojawili się ludzie, podpytujący ostrożnie wszystkich i o wszystko. Nie wiadomo, czy to owe środki sprawiły ten skutek, dość że wypadki przestały się mnożyć — z dnia na dzień. Trwała tylko wojna w portowych uliczkach, ukryta w nocnym mroku, ponura...

Raladan opuścił Doronę.

Miał już niemal pewność, że Riolata kłamała. Gdyby było inaczej — ktoś musiałby coś wiedzieć. Oczywiście mógł nie odnaleźć ludzi, którym powierzyła zadanie. Uczynił jednak wszystko, co mógł. Dalsze poszukiwania były stratą czasu.

Teraz jechał do Dranu, żywiąc gorącą nadzieję, że odnajdzie Ridaretę tam, gdzie ją pozostawił.

Obraz pogorzeliśka był dla niego wstrząsem.

Zdrożony, głodny i wymęczony brakiem snu, stał, trzymając za uzdę zajeżdżonego niemal, pokrytego pianą wierzchowca. Długo trwało, nim podszedł i — krążąc wśród zgłiszcz — zaczął szukać odpowiedzi.

Nie znalazł.

Przed zmierzchem dotarł do Dranu. Cios, jaki odebrał, widząc szczątki domu pod lasem, pozbawił go resztek sił. Organizm, choć żelazny, domagał się odpoczynku — Raladan był otepiały, omal półprzytomny. W Doronie żył życiem płomienia: szalał bez spoczynku tak długo, aż zabrakło żeru. Gdy musiał, przygasał na krótko, by zaraz wybuchnąć z nową siłą. Potem gnał gościńcem, pragnąc rozwiązać wreszcie obawy, przekonać się, że dziewczyna jest cała i zdrowa... Nade wszystko zaś (choć nie powiedział sobie tego wyraźnie) chciał zobaczyć wreszcie twarz przyjaznego człowieka... Jedyne przyjaznego mu człowieka na świecie.

Potrzebował tego.

Teraz nie czuł niczego. Nie czuł niepokoju, żalu, czy choćby zawodu. Wiedział tylko, że musi odpocząć. Gdyby ktoś stanął nagle przed nim z mieczem w dłoni, pewnie wrzusiłyby ramionami. „Zabij, głupcze”...

Wziął pokój w zajeździe przy trakcie dorońskim, na przedmieściu. Nie jedząc nawet runął na posłanie i zasnął.

I spał jak zabity. Gdy się wreszcie obudził — a przespał okrągło dobę — poszedł jeść. I znów — jadł tak potężnie, że oberżysta, donosząc na stół coraz nowe półmiski, z prawdziwym podziwem patrzył na człowieka, nie będącego w końcu olbrzymem, który potrafił pochłonać takie ilości kaszy, mięsa, sera, chleba, kiełbas i piwa, nie czyniąc sobie nawet krótkiej przerwy, a tylko popuszczając pasa.

Raladan zjadł, zażądał grogu. Zapłacił od ręki i siedział, sącząc trunek.

Oberża była niezła, portowe lumpy rzadko w niej gościły. Klientami byli zwykle kupcy i rozmaici podróżni, jadący do Dranu; kto nie zdążył przed zamknięciem bram miasta, bądź też, przybywszy zbyt wcześnie, czekać musiał na ich otwarcie — ten zasilał zwykle kiesę obrotnego karczmarza. Pokoje i jadło były drogie, ale musiał przyznać Raladan — wcale niezłe.

Wysączył grog i skinął na właściciela zajazdu. Ten podszedł skwapliwie; gość o podobnym apetycie był wszak skarbem, tym bardziej, że grosza zdaje się nie liczył. Raladan posunął po blacie sztukę srebra.

— Uczciwie nalewasz — pochwalił, wskazując opróżniony kubek. — Widziałem wczoraj spalony dom pod lasem... Kto tam mieszkał?

Wkrótce o pożarze wiedział tyle co karczmarz.

I znów był w Doronie. Z innym wszakże nastawieniem niż przed paroma dniami. Zaciekłość i furia nie były już potrzebne; mordując zbirów, których raz i drugi najeła Riolata, mógł co najwyżej znowu poszczuć jaką bandę rzezimieszków przeciw drugiej a i dobrze, gdyby tylko tak się skończyło. Wtedy, działając szybko, nie uderzał jednakże na ślepo, no i jeszcze miał szczęście... Do strachliwych nie należał, ale wiedział świetnie, jak mamy byłby jego los, gdyby miejscowe dranie, miast skoczyć sobie wzajem do gardeł, odkryły robotę obcego... Zresztą, teraz nie bardzo wiedział, kogo jeszcze ciągnąć za język. Ci, których pozarzynał w zaułkach, byli dobrze mu znani; sam ich kiedyś polecał Riolacie. Niczego nie wiedzieli. Posłużyła się zatem innymi. Którymi? Czy w ogóle miejscowymi zbirami? Jeśli chciał dojść do tego — to powoli i ostrożnie. Teraz pośpiech był na nic. Jeżeli wszystko, co mówiła Riolata, było prawdą — Ridareta nie żyła. A jeśli porwano ją tylko i nie było rozkazu, by zabić, miał czas, by poszukać. Przynajmniej tak sądził.

Nie dawała mu spokoju sprawa pożaru pod lasem. Oberżysta zapewniał, że znaleziono tam spalone zwłoki. Czyżby ludzi Riolaty? Ale, na Szerń, co tam właściwie zaszło? Dobrze znał Ridaretę — dziewczyna potrafiła niejedno i była niegłupia. Ale nie mogła wygrać bójki z mordercami, bo przecież Riolata nie posłała tam chłopców.

Kto zatem zabił kilku ludzi (karczmarz nie wiedział, trzech, czy czterech)? Kto mógł jej pomóc? I wreszcie: jaki ostatecznie był skutek tej walki? Uciekła? Porwano ją? Czy też może...?

Tego obawiał się najbardziej. Tego, że jedno z tych spalonych ciał...

Nie wierzył w to. Nie chciał i nie mógł w to wierzyć.

Odpowiedzi na wszystkie pytania należało szukać tylko w Doronie.

Najpierw poszedł do portu. Dobrze zrobił. Ten okręt poznałby wszędzie, białe żagle nie były potrzebne...

Nie był zaskoczony ani zdziwiony. Przeciwnie — spodziewał się powrotu „Seili” nawet wcześniej. Wiedział przecież, jaki cel miała wyprawa strażników. Stary Brorrok uciekł, oczywista. Trudno, by cesarskie holki pływały tam i z powrotem w nieskończoność — tylko dlatego, że tak pragnął pilot Raladan w głębi swego serca. Zawróciły na Sarę, „Seila” zaś popłynęła wprost do schowka Demona. Skarb był tu, w Doronie. W rękach tej kobiety... czy też może raczej: tej istoty...

Skarb jednak już go nie obchodził. Był stracony — to tyle.

Natomiast fakt, że Riolata znowu cieszyła się wolnością, miał znaczenie ogromne. Musiała już wiedzieć, że kupcy, tak dobrze dotąd kryjący wszelką jej działalność, mają się nie najlepiej... Raczej wątpił, by uznała to za przypadek. Musiał przyjąć, że gotowa jest na wszystko i czujna — ale cóż, teraz miał już bardzo niewiele do stracenia. Życie?

Życie... Stawiał je na szalę częściej niż sztuki srebra przy kościach.

Miał nadzieję, że córka Ridarety zaprzątnięta jest teraz mnóstwem spraw: choćby „Seila”. Oficjalnie przecież była własnością poczciwiny Litasa. Zapewne już pojawili się liczni spadkobiercy...

Najprostszą rzeczą, jaka przyszła mu do głowy, było zająć się od razu Riolata — najpewniejszym źródłem wszelkich informacji. Wyrzucał sobie, że nie zrobił tego wcześniej, jeszcze tam, na wyspie. Cóż, był wówczas prawdziwie przerażony ową demonstracją potęgi, jakiej dziewczyna dała pokaz. Ponadto (po raz dziesiąty rozważał swoje postępowanie) spieszył się. Nie miał żadnej gwarancji, że usłyszy

prawdę, a każdy fałszywy trop, który by podjął, mógł kosztować Ridarete życie. Tak myślał wówczas. Ale mógł spróbować dogadania się z Lereną...

Odpędzał te myśli. Stało się — tak a nie inaczej. Popełnił błędy albo nie. Wszelkie rozważania, „co by było, gdyby... prowadziły donikąd.

Teraz jednak strach i owo wrażenie niesamowitości, tak wyraźne i dojmujące na wyspie Demona, minęły. Zaiste, niewiele miał do stracenia. Oczywiście, że należało uderzyć w samo serce, a więc w nią. Tak, naturalnie, dysponowała siłami, o których nie miał pojęcia. Lecz cóż z tego? Miał więc może uciec gdzieś daleko i zaszyć się w głuchej kniei z obawy, że dziewczyna znowu zacznie wzywać Ciemne Pasma, a wtedy Szerń porazi Garrę piorunem?

Nie do końca wiedział, co pocznie, gdy już będzie miał Riolatę w swej mocy. Rozum podpowiadał mu jednak, że gdy skórę na plecach naciąć nożem, po czym chwycić kleszczami i drzeć powoli w dół, prawda objawia się równie szybko, jak głośno.

Brzeg Wisielców znał dobrze, sam swego czasu wskazał Riolacie to miejsce. Wiedział, co robi, pomagając córkom Ridarety stawiać pierwsze samodzielne kroki. Co prawda ułatwiał im w ten sposób wdrażanie dalszych planów (których nie znał); z drugiej jednak strony zyskiwał pewną dozę zaufania i — co więcej — wiedział, na czym stoi, czy też może raczej — na czym stoją one... Teraz właśnie owa znajomość powiązań Riolaty, ludzi, którzy jej służyli i miejsc, które wykorzystywała, przydawała się bardzo.

Oczywiście, był już w posępnej wsi przed tygodniem — miejsce zbyt dobre do trzymania jeńców, by mógł je pominąć. Wieś jednak świeciła pustką. Teraz miał nadzieję, że będzie inaczej. Brzeg Wisielców stanowił miejsce wprost wyborne, gdy chodziło o rozwiązanie wszelkich spraw wymagających odosobnienia. Nie było tam nic, co mogłoby posłużyć osobie szczególnie dociekliwej do ustalenia, kim jest kobieta korzystająca z opuszczonej chaty; nic, co mogłoby się przydać w walce przeciw niej. Łatwo też było to miejsce zabezpieczyć i ustrzec przed nieproszonymi gośćmi. Żaden dom czy zaułek w Doronie nie spełniał takich warunków. Dodatkowo — niesamowitość i zła sława miejsca działały odpowiednio na każdego, kogo tu zaproszono, doprowadzono czy też przywleczono.

Raladan nie liczył na to, że natychmiast zastanie tu tę, której szukał. Wierzył jednak, że — powróciwszy z takiej wyprawy — córka Ridarety będzie musiała, prędzej czy później, zająć się i takimi sprawami, do których Brzeg Wisielców nadawał się najlepiej. Ryzykował wiele, pchając się wilkowi w gardło, ale nie bardzo widział inne wyjście. Dorona była duża, jak miał tam znaleźć Riolatę? Kobieta o takim imieniu dla miasta po prostu nie istniała (jakie imię przybrała? Semena?); dla Dorony Riolata nie istniała w ogóle pod żadnym imieniem czy postacią. Byli z całą pewnością ludzie, którzy wiedzieli, gdzie jej szukać, jednak pilot Raladan do nich nie należał, ani nawet nie znał tych ludzi. Nie byli nimi kupcy, których używała niczym najemników — tyle wiedział. I nie zbiry, którym raz i drugi ktoś w jej imieniu zlecił robotę.

Szedł zatem do Brzegu Wisielców.

Zabrał prowiant i płaszcz, na wypadek gdyby przyszło mu czekać kilka dni (a należało się z tym liczyć). Uzbroidł się też jak do bitwy: niósł miecz i tęgą kuszę, z której bełt przebiłby chyba na wylot niedźwiedzia. Oko miał celne i rękę pewną, wiedział, że na pięćdziesiąt kroków trafi stojącego człowieka w samą pierś. Gorzej było z celem ruchomym; wytrawny kusznik umiał uwzględnić potrzebną poprawkę, ale Raladan nie był kusznikiem, cóż dopiero wytrawnym. Liczył jednak, że najprędzej strzelać będzie do ludzi oddalonych o parę kroków. Nie wiedział tylko, jak liczna eskorta towarzyszy zwykle Riolacie; bo że eskorta w ogóle jest, zaiste trudno było wątpić.

Sądził, że — mając kusze — trzech zaskoczonych ludzi zdoła jakoś pokonać. A być może uda się usunąć ich kolejno.

Minął dzień, potem noc... Potem znowu dzień. Za dnia krył się w niedalekim lesie, w koronie drzewa rosnącego na skraju, obserwując uważnie okolicę. W nocy czatował w pierwszej chacie, licząc od Dorony. Potrafił nakazać sobie cierpliwość, ale jednak czas, wlokący się niczym ślimak, był wrogiem niezwykle groźnym. Krótkie drzemki, na jakie sobie, chcąc nie chcąc, musiał pozwolić, nie usuwały znużenia i nie bardzo skracały oczekiwanie, wzmagaly natomiast zniecierpliwienie i gniew. Chwile mijały leniwie, a każda z nich podsuwała myśl, że można było wykorzystać ją lepiej, niż tak tkwiąc, w oczekiwaniu być może daremnym... Należało działać, działać! Miał jednak dość rozsądku, by

powiedzieć sobie, że owo działanie tylko teraz wydaje się łatwe; z chwilą zaś, gdy porzuci tkwienie w zasadzce, wyjdzie na jaw, że właściwie nie wiadomo co robić, i czas zacznie płynąć dla odmiany zbyt szybko.

I Raladan trwał na posterunku.

Noc była niezwykle ciepła, pogodna i jasna. Ostatnia noc lata... Uważał, że jutro, a najpóźniej pojutrze, winien pojawić się „kaszel”. Potem wichry, ulewy i sztormy. Jeszcze później — zima. Pomyślał, że zimą wejdą z Ridaretą na pokład pierwszego statku, płynącego na kontynent. Zawiezie ją do Armektu, a może do Dartanu. Gdzieś, gdzie żadne złe moce nie będą miały przystępu. Miał nadzieję, że każdej jesieni znajdzie w jej domu — swój dom...

Otrząsnął się. Omal zapomniał, że ta, o której myśli... być może...

Zmarszczył brwi, przez dziurę w rozwalonej ścianie przepatrując mrok.

Ktoś nadchodził.

Wciąż niczego nie dostrzegał... Czy coś słyszał? Instykt podpowiadał wyraźnie, że w martwej wsi jest ktoś oprócz niego. Okazało się nagle, że kusza jest bezużyteczna; gdyby teraz zechciał użyć korby do napięcia cięciwy, narobiłby zbyt wiele hałasu.

Podkraść się do drzwi i wyjrzał w noc. Potem wyszedł, przylegając do ciemnej ściany, z mieczem w pogotowiu. Ruszył w głąb wsi, bezszelestnie, ostrożnie, unikając miejsc pławiących się: w świetle księżyca. Zastygł nagle, dostrzegając między chałupami ciemną sylwetkę. Szybko rozejrzał się dokoła, ale nie dostrzegł nikogo więcej. Wiedział, że gdzieś, w mroku, muszą być jeszcze jacyś ludzie.

Ciemna postać zrobiła kilka niezdecydowanych kroków, po czym zawróciła, jakby z wahaniem. Zatrzymała się i nagle ruszyła wprost ku niemu. Światło księżyca spoczęło na fali ciemnych włosów. Poczul lęk, bo nie mogła go widzieć, a przecież...

Mocniej ścisnął rękojeść miecza, ale w tej samej chwili usłyszał zduszone:

— To... ja.

Broń wypadła mu z dłoni. Nie pomyślał, nawet przez chwilę, że to może być jakiś podstęp, zasadzka... Wiedział. Znalazł ją.

Pobiegli ku sobie. Porwał dziewczynę w ramiona i trzymał, czując łomot jej serca na piersi.

— Skąd wiedziałaś...? — wykrztusił przez ściśnięte gardło. Odepchnęła go nagle i w świetle księżyca ujrział twarz znaną tak dobrze, a przecież — zupełnie mu obcą.

— Nie pytaj — powiedziała, i to tak wrogo, że zmartwił. — Słyszysz, durniu? Nigdy mnie o nic nie pytaj!

Starzec milczał w zadumie.

— Nie pytałem... — rzekł gorzko Raladan. — To nie była ona, nie ta, którą znałem... Dotąd nie wiem, co zaszło tam, pod lasem, chociaż chciałem wiedzieć, bo to mogło być ważne dla jej bezpieczeństwa. Nie wiem, dlaczego dom się spalił; nie wiem, jak mnie odnalazła; nie wiem, jak rozpoznała w ciemnościach. Chociaż to, co dziś usłyszałem od ciebie, panie... chyba sporo wyjaśnia. Wciąż jednak rozumiem naprawdę tylko jedno: że dziewczyna, którą znałem, gdzieś odeszła. Zastąpiła ją inna, wrogo nastawiona do wszystkiego, także do mnie... i do samej siebie. Zapewniasz mnie, panie, iż nie ma w tym nic niezwykłego. Być może dla ciebie, panie. Ja wciąż nie pojmuję. I wciąż pytam: jak do tego doszło? Tak nagle?

Garbus kiwał głową.

— Pamiętaj synu o tym, co mówiłem o cięciwie łuku. Mogę tylko zgadywać, ale pewnie się nie pomylę, jeśli powiem, że napaść na jej dom była jak pchnięcie nożem w dłoń ową cięciwę trzymającą. Coś wyzwoliło nienawiść tej dziewczyny, i to zapewne w sposób niepojęty dla niej samej.

Raladan znów wykrzywił usta z goryczą, po czym zaczął mówić, najpierw wolno, potem coraz szybciej i głośniej:

— Musze wierzyć ci, panie... Ale powiedz teraz, co robić? To nie może trwać dłużej. Nie sposób pozostawić ją samą, gdy wracam, jest bliska obłędu... Jest coraz gorzej, z dnia na dzień. Widzę, że moja obecność przynosi jej jakąś ulgę, ale w zamian otrzymuję wciąż tę samą, nie kończącą się wrogość. Kawał życia poświęciłem tej dziewczynie, lecz kilka ostatnich miesięcy to koszmar. Mogę służyć każdej sprawie, złej lub dobrej, choć może to, panie, potępisz! Niechże jednak będzie to sprawa! Teraz od niej zwyczajnie uciekam, ale uwierz mi, panie, że za miesiąc zabiję ją... lub siebie! — krzyknął, uderzając pięścią w ścianę.

Starzec milczał. Raladan oddychał ciężko, wzburzony.

— Zrozum, synu — padło po chwili — że to nie jest człowiek. Wszystko, co czujesz, czujesz do Geerkoto, Rubinu Córki Błyskawic...

— Nie, panie — przerwał. — To nieprawda. Twoja wiedza jest niezmierna, ale to nieprawda. Ridareta w pewnej mierze jest sobą, to nie tylko Rubin. Gdybyż zawsze była tylko Rubinem! Działałaby wtedy jak tamta, zmierzała ku jakiemuś celowi, może i podłemu, ale uwierz mi, panie, że nie barwię świata na czarno i biało, chcę JEJ dobra, dobra Ridarety, obojętne w jakim będzie kolorze! Ale to, co pozostało w niej z tamtej szesnastoletniej dziewczyny, porwanej z małej wioski, wciąż żyje. I walczy, i przegrywa... Ona meczy się, panie... i popada w obłąd. A ja nie potrafię jej pomóc.

Odwrócił nagle głowę.

— Jeśli coś obudziło w niej siły Rubinu, to także coś może je uspić — rzekł stłumionym głosem. — Powiedz, panie, co to takiego, a niczego więcej nie pragnę.

Garbus myślał.

— Kula Ferenu — rzekł krótko.

Pilot zwrócił się ku niemu zachłannie.

— Kula Ferenu — powtórzył grajek. — Najpotężniejszy z Jasnych Porzuconych Przedmiotów. Ale jej działanie... może być różne.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że może przynieść jej śmierć. Przez krótką chwilę trwała cisza.

— Wszystkie Kule są takie same — podjął starzec — a moc każdej z nich znacznie przewyższa moc Rubinu. Rubiny jednak są różne, a ten nie jest zwykłym Rubinem, lecz Rubinem olbrzymim: to Riolata, królowa Rubinów... Kula Ferenu przegrać nie może, trudno jednak ocenić, czy wygra. Teraz jednak, moc Rubinu jest jedna, lecz w trzech ciałach. Zdaje się, że młodsze córki Demona zmierzają do jakiegoś celu... czy też jedna z nich tylko, bo wszak los drugiej nie jest ci znany...? Raladan pochylił głowę.

— To tym bardziej, żeglarzu. Jeśli działa tylko jedna z bliźniaczek, to jej cel jest ważny tym bardziej... Nie wiem, jaki to cel. Prawa Całości mówią o Agarach, ale Prawa Całości są niejasne...

— Nie rozumiem, panie. Czym są Prawa Całości?

— Zbiorem reguł. Opisem powiązań między Szernią, a jej światem.

Czasem odnoszą się do możliwych zdarzeń, ale tylko możliwych. To, że coś jest możliwe, nie znaczy, że nieuniknione. Czy rozumiesz?

— Nie, panie... nie całkiem.

— Prawa Całości niezwykle rzadko przybierają postać Przepowiedni. Jestem grajkiem, a przez moje pieśni głosicielem Praw Całości, ale Prawa zawarte w tych pieśniach rzadko są prawdziwe do końca... Pozostawmy to, synu. Rozumienie tego nie będzie ci potrzebne. Dość, byś wiedział, że Agary zapewne spłyną krwią, mówią o tym Prawa, a Rubin dąży do ich spełnienia. Co stanie się później, trudno dociec. Jednak Agary są początkiem jakiegoś większego zła; trzeba, byś pomógł Rubinowi.

Raladan patrzył, niewiele pojmując. Nie zrażony tym starzec wyjaśnił:

— Trzeba, by niszcząca siła Rubinu znalazła ujście. Im więcej jego mocy użyją tamte dwie (czy też jedna, skoro losu drugiej nie znamy) tym mniej pozostanie w Ridarecie. Wówczas przynieś jej Kulę. Najpierw jednak zrób wszystko, by plany młodszej córki zostały spełnione.

— Mam więc...

— Tak. Masz jej pomóc. Najlepiej, jak tylko potrafisz.

— Niemożliwe, panie. Żądasz niemożliwości. Żadna z nich nie przyjmie tej pomocy... a już ONA...

— Posłuchaj mnie, synu. Może być, że Riolata pozbyła się siostry. Zabiła ją, nazwijmy to tak dla lepszego rozumienia. Ależ oczywiście, że jest to możliwe. Ciało to tylko ciało, moc Rubinu będzie je ożywiać, ale tylko tak długo, jak długo to ciało będzie istnieć. A przecież można je zniszczyć zupełnie. Choćby ogniem.

Raladan poczuł ciarki.

— Jeśli Riolata istotnie tak zrobiła... Pytasz, co z tego wynika? Bardzo wiele! Moc Rubinu, podzielona dotąd na trzy części, teraz zamknięta jest tylko w dwóch ciałach. Zatem, w każdym z nich jest jej więcej, niż było dotąd. Trudniej ją pokonać. Ale też wszelkie działania Riolaty wesprzeć może tylko moc Ridarety. Trzeba umożliwić odpływ mocy z tej ostatniej, odpływ dostatecznie duży, by siła Kuli Ferenu pokonała tę część, która pozostanie, i weszła na jej miejsce, nie zaś spaliła się w walce. Cóż jednak umożliwić może znaczny odpływ mocy Rubinu? Oto stworzenie młodszej córce dość szerokiego pola do

działania, by moc w niej samej zawarta już nie wystarczyła... Czy pojmujesz to, synu? Jeśli każdy z nas ma na sobie kilka części zbroi, a ja, ruszając do walki, pożyczę od ciebie twój ekwipunek, to ty pozostaniesz bezbronny. Czy pojmujesz? — zapytał raz jeszcze.

— Jeśli nawet pojmuję... Powtarzam, panie: żadna z córek Ridarety nie przyjmie mojej pomocy!

— A ja ci mówię, synu, że się mylisz. Znów ufasz pozorom, nie starając się dociec istoty rzeczy. Moc Rubinu jest ślepa, jak mówiłem, ale ciąży nieuchronnie ku wszystkiemu, co jej sprzyja. A ponadto — rzekł z naciskiem starzec — z twych wspomnień jasno wynika, że masz wielką władzę nad tymi kobietami. Jedna z nich durzyła się w tobie, żeglarzu. A nie wiem, czy nie obie zgoła.

Raladan patrzył oniemiały.

— Oto ślepiec — powiedział, pól do siebie, grajek. — Nie widzi rzeczy wielkich, jak Bezmiary.

Pilot wciąż milczał, niezdolny do sklecenia trzech słów.

— A któż ci powiedział — rzekł widzący chaos jego myśli garbus — że miłość musi być dobra? Na Szerń, żeglarzu, w imię tego uczucia popełniono na świecie więcej zbrodni niż w imię czegokolwiek innego, wyjąwszy może władzę! To najbardziej podstępne, okrutne i zaborcze uczucie, jakie dotknąć może człowieka, wyzwala bowiem inne: zawiść, zazdrość i gniew. Wszystko, co w nim dobre, dotyczy jednej tylko osoby. Pomyśl zatem, synu, nim nazwiesz znów dobrym owo coś, nie będące niczym innym jak kaleką, wynaturzoną, przepoczwarzoną przyjaźnią, która zaiste jest wzniosła i piękna. Mówię ci z całą mocą, że bez miłości świat byłby szczęśliwszy, pod warunkiem, że pozostałaby na nim przyjaźń.

— Nie — rzekł Raladan, idąc wszakże tropem innych myśli. — Nie uwierzę, że one... Starzec wstał.

— A jednak.

Raladan pojął, że rozmowa skończona.

— Kim jesteś, panie? Ty, który wiesz wszystko... Czemu kryjesz się pod postacią grajka?

— Kryję się? Ależ jestem grajkiem! — odparł garbus, ujmując instrument. — Zdaje się jednak, że przyniosłeś coś dla mnie, żeglarzu?

Raladan wstał, gorączkowo wyciągając kieskę ze złotem. Starzec

przyjął ją chętnie.

— Darmo jadła nie dają — rzekł spokojnie. — Nawet grajkom. Teraz powiedz mi jeszcze swe imię.

Pilot podjął płaszcz z podłogi, z roztargnieniem przekładając go z ręki do ręki.

— Raladan.

Garbus pochylił głowę. Pilot stał, jakby chcąc jeszcze o coś zapytać, ale wyczuł, że tym razem odpowiedzi nie będzie.

— Żegnaj... panie. Starzec został sam.

Stał długo, z opuszczoną głową. Gdy ją wreszcie uniósł, na ustach błąkał się jakiś półuśmiech.

— Raladan...

Przymknął lekko powieki.

— Żegnaj, księżę — rzekł w przestrzeń. — Wybacz, że cię okłamałem... ale trzeba, byś działał według Praw Całości. Twoim przeznaczeniem jest wspierać Wyklęte Ciemne Pasma, bo po to Bezmiary oddały cię światu.

Ujął mocniej instrument i opuścił izdebkę.

Czarna, ohydna noc, rozbrzmiewała to bliższym, to znów dalszym wyciem i ujadaniem psów, pluskiem wody ciekącej z dachów, szumem i gwizdem wiatru, niosącego mokry, przetykany deszczem śnieg. Raladan krążył po ulicach, nie znajdując sobie miejsca, ale nie znalazłby pewnie na całym świecie. Czasem myślał, że warto by odrzucić miecz, usiąść w lepkiej zaspie i czekać na psy... To znów szedł do portu, macając odzienie w poszukiwaniu złota, które opłaciłoby jego podróż dokądkolwiek. Wreszcie oparł się o zimną ścianę domu, w zaułku, i zamknąwszy oczy, przywoływał w myślach tego, który sprawił, że życie stało mu się kłatką.

„Kapitanie — mówił. — Kilkakrotnie ratowałeś mi życie... Czy po to by je sobie przywłaszczyć? Miałeś swoje; czemu żeś je oddał? Na Szerń, twoja ostatnia wola to klątwa! Rację miała Ridareta: wszystko, co z tobą związane, niesie zgubę. Powtórzę za twą córką: niech cię morze pochłonie! I uwolnij mnie, bo już nie chcę ci służyć!”

Czarna, mokra ściana, bez jęku przyjmowała ciosy pięści. Stał skulony, jak żebrak, jak bezdomny włóczęga. Jakiś głos, podobny do głosu garbatego starca, zdawał się odpowiadać:

„Głupcze! Ty nie jemu służysz, lecz jej! Uczyniłeś wszystko, czego Demon zażądał, ale teraz nawet jego rozkaz nie oderwałby cię od tej dziewczyny! Bo to, co czujesz, gdy ją widzisz, to jedyna jasna rzecz w twoim życiu. Nie masz celu i nigdy nie miałeś poza nią. Jest ci więcej, jak córka, wszak jej szczęścia pożądasz nie więzami krwi powodowany! Czy nie widzisz tego, głupcze i po stokroć głupcze nad głupcami?”

Znów ruszył ulicą, szybko, coraz szybciej, pozwalając, by śnieg oblepiał mu twarz.

„Cóż za życie wiodłeś wcześniej? Całe zło, któreś czynił, tak samo jak i dobro — roztopiły się, rozplynęły, nie służyły nikomu i niczemu, nawet tobie! Teraz chociaż wiesz po co żyjesz! Działaj więc, walcz! Jeśli zrezygnujesz, jeśli zaprzestaniesz tej walki, to cóż ci zostanie? Nic!

— Nic! — powiedział, unosząc twarz ku niebu. Potem pochylił się, nabrał pełne garście śniegu i zanurzył w nim twarz.

— Nic...

41.

Moc, która łamała jej wolę, chciała być widoczna. W miarę, jak dziewczyna przestawała być sobą, rosła jej zajadła wrogość do wszystkiego, malała zaś do samej siebie. Zło jednak za symbol swej rosnącej potęgi wybrało twarz i ciało Ridarety. Była coraz piękniejsza, zmysłowa, wyzywająca; nigdy nie chciał jej ciała, bo istotnie widział w niej córkę, przenigdy kochankę, ale był mężczyzną i nie mógł nie dostrzec kształtów piersi, niemożliwych już do poprawienia; włosów, których bujność urągała sile wyobraźni; skóry gładkiej i bez skazy; przy tym wszystkim bieli zębów, wykroju ust, kształtu twarzy i dłoni, ruchu bioder przy każdym kroku i ramion przy każdym geście... Dziesięć razy już widział w niej piękność skończoną — i za każdym razem się mylił! Bo dość, by opuścić ją na dzień albo dwa, a gdy wracał — była piękniejsza.

Przerażało go to, bo zwracała uwagę, coraz bardziej obawiał się spojrzeń, jakie ściągała nieuchronnie na siebie — jednooka piękność z obietnicą w spojrzeniu, pożądaniem uśpionym w kształcie ust i wiedzą o własnej urodzie zakłęta w każdym ruchu, wiedzą zbijającą z tropu najśmielszych...

I to było najgorsze. Bo uroda, rosnąca, potężniejąca z dnia na dzień, nie była tylko triumfalnym krzykiem złej mocy. Była także bronią, orężem wyzwalającym próżność, świadomość własnej wyższości, pogardę wobec każdej innej urody, samozachwyty i samouwielbienie.

Godzinami patrzyła w zwierciadło, potem żądała klejnotów, sukni, znów klejnotów... Na wszystkie morza Szereru! Skąd miał wziąć te klejnoty?! Domagała się ich, jednocześnie wpadając we wściekłość, gdy chciał pozostawić ją samą. Srebro tymczasem nie leżało na ulicach. Trzeba było je zdobyć, i nie dla klejnotów przecież, lecz dla strawy!

Kradł więc i rabował.

Nie, nie trzeba było słów starca, by rozumiał, że dziewczyna jest we władzy sił, z którymi trudno się mierzyć. Tyle tylko, że teraz znał ich naturę.

Znał — choć nadal nie do końca rozumiał.

Cztery dni po spotkaniu z grajkiem Raladan wracał z podróży. Podróży do Dorony...

Mieszkali, od tygodnia z okładem, w śmierdzącej izbie, jaką najął za grosze w jednym z domów na przedmieściu Bagby. Wiedział jednak, że i tu miejsca nie zagrzeją. Już teraz cała ulica huczała wieścią o przebranej armektańskiej lub dartańskiej magnatce, która uciekła z kochankiem przed pościgiem męża. Należało się wynosić. I to szybko. Na szczęście — teraz właściwie przestało mieć to znaczenie. Plan, przerażający dla niego samego, lecz bodaj jedyny możliwy, był gotów...

Z drzeniem przekraczał próg, wiedział bowiem, że czeka go utarczka, w której być może słowa jej nie wystarczą. Będzie musiał walczyć, by go nie chwyciła za gardło — jak owego ranka, gdy wrócił po spotkaniu ze starcem. Bywało już tak i wcześniej.

Choć raż i drugi, gdy wrócił, przywitała go serdecznym uściskiem, płacząc tylko i nie mogąc wypowiedzieć słowa... To było jeszcze gorsze.

Jednak rym razem czekało go coś, czego nie potrafił przewidzieć.

Nędzny kaganek, napełniony najpodlejszą oliwą, dopalał się na stole, rzucając krąg mętnego światła. Raladan rozejrzał się, zrobił dwa kroki i... przypadł do leżącego nieruchomo ciała. Serce podskoczyło mu do gardła — lecz w tej samej chwili poczuł cierpki zapach wina i smród wymiocin...

— Do pioruna — powiedział.

Była pijana do nieprzytomności. Pijana jak świnia. Nigdy dotąd nie widział jej takiej. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek zobaczy.

— Do pioruna! — powtórzył, lecz tym razem z pasją. — Czekał no, moja panno...

Chwycił ceber i wybiegł na ulicę. Wrócił po chwili, z naczyniem pełnym lodowatej brei. Szarpnął zarzyganą suknię, wywalił wszystko z cebra na plecy i głowę nieprzytomnej, po czym przetoczył ją na wznak; tarzał w tę i nazad, wycierając podłogę włosami niczym szmatą. Rzuciła się, chrypiąc coś i bełkocząc, wtarł dwie garście w policzki i następne dwie w nagie piersi, potem zawlókł ją na posłanie i oparł o ścianę. Patrzyła zamglonymi oczyma, rozpoznając go jednak.

— Ra... ladan... Odbiło jej się głośno.

Wyszedł raz jeszcze, przyniósł nową porcję szarobiałej ciapy i stanął przed podopieczną.

— Cóż to, pani? — zapytał łagodnie.

Uśmiechnęła się krzywo. Ujął ceber za dno i za krawędź, po czym puścił jej w twarz wszystko, co w nim było. Ciężar nasiąkniętego wodą śniegu pchnął jej głowę na ścianę tak, jakby była kopniętym pustym dzbankiem. Usłyszał odgłos uderzenia i jej ryk. Chwyciła się za głowę, po czym poderwała z pazurami, chcąc wydrzeć mu oczy. Tego dnia jednak miara się przebrała, zbyt dużo miał do zrobienia, by tolerować cokolwiek stojącego mu na drodze. Zresztą — miał już cel... Chcąc go osiągnąć, i tak musiał użyć przymusu.

Strzelił ją w twarz z taką siłą, że usiadłby nawet mężczyzna. Po raz drugi runęła na ścianę, chwyciła się za policzek i — niemal już trzeźwa — patrzyła na niego. Nie wyrzekła słowa.

— Cóż to, pani? — powtórzył, tym razem szyderczo. — Więc przed tym czujesz respekt? Cóż to? Nie sądziłaś, że zdobędę się na to? Niespodzianka za niespodziankę!

— Zabiję cię — powiedziała niewyraźnie. — Na kogo ty podnosisz rękę? Co ty sobie myślisz, sukinsynu? Że kim jestem? Wyszarpnął spod stołu przetrącony zydel i usiadł.

— Rubinem — powiedział. — Rubinem Córki Błyskawic. Teraz już niczym więcej, nieprawdaż?

Zaległa długa, bardzo długa cisza. Dziewczyna spoglądała mu w oczy z przerażeniem, rozpaczą i... czymś jeszcze, czego nie umiał nazwać.

— Wiec wiesz?...

Ukrył nagle twarz w dłoniach i zaczął mocno przecierać oczy.

— Na Szerń, dziewczyno — rzekł, opuszczając ręce i biorąc głęboki oddech. — Wiem, ale czemu tak późno?

Odwróciła głowę w bok, jednym ruchem, zagryzając usta. Z piersi wydarło się jej westchnienie, brzmiące prawie jak szloch.

— Słuchaj teraz — powiedział. — Słuchaj, bo za chwilę znów przestaniesz być sobą. Nie wyrzucam ci, że chowałaś wszystko w tajemnicy, parę dni temu pojąłem, że to nie twoja wina. Ten... ta rzecz chciała, by nikt o niej nie wiedział. Ale teraz chcę wyrzucić ją z ciebie, i to zrobię, klnę się na wszystkie morza Szereru. Zrobię to, choćby nawet wbrew tobie, bo nikt na całym świecie nie zdoła rozpoznać, gdzie kończysz się ty, a zaczyna Rubin.

— Niemożliwe — powiedziała głucho. — On zastąpił...

— Wiem. Wiem więcej niż ty. Jest sposób.

— Niemożliwe — powtórzyła, ale TO już wracało; w głosie brzmiała groźba. Patrzył w milczeniu.

— Niemożliwe! — zacharczała, zaciskając pięści. Uderzył ją po raz drugi.

42.

Wciąż, gdy chodziło o sekretne spotkania, Brzeg Wisielców był miejscem najlepszym ze wszystkich. Jednak zimą droga tam nie była wcale łatwa. Cóż — Raladan miał za sobą długą podróż: z Bagby do Dorony... Ostatni odcinek tej podróży nie wydał mu się wcale najgorszy.

Zsiadł z konia i natychmiast został otoczony przez kilku orężnych drabów. Oddał broń, jeszcze zanim tego zażądali.

— Niech ktoś przypilnuje koni — polecił. — Nie rozjuczać! Czy wasza pani przybyła?

— Jej godność Semena czeka — odrzekł krótko tęgi mężczyzna, wyglądający na przywódcę pozostałych.

— Nie rozjuczać koni! — powtórzył Raladan.

Dowódca skinął na swoich ludzi, respektując żądanie pilota.

Powiedziano Raladana w stronę domu.

Ostatni raz widział ją tam — w skarbcu Demona. I nie sądził, że jeszcze zobaczy. Los chciał jednak inaczej...

Siedziała przy stole. Gdy wszedł, spojrzała krótko, potrząsając włosami, niesfornie spadającymi na oczy. Omal się nie cofnął; jej uroda była równie płomienna jak uroda Ridarety. Nigdy jeszcze nie były do siebie podobne — aż tak bardzo.

Dwaj spośród mężczyzn, którzy go wprowadzili, obeszli stół, stając za plecami kobiety. Dwaj inni zajęli miejsca przy drzwiach.

— Raladan — powiedziała z nieznacznym uśmiechem, leniwie. — Cóż to znowu za grę rozpoczynasz? Na wszystkie moce, gdy mi doniesiono, że pragniesz zobaczyć się ze mną, zupełnie nie chciałam uwierzyć!

Uniosła głowę, znów potrząsając włosami. Spojrzał jej w oczy i zobaczył w nich radość, prawdziwą i szczerą.

— Na Szerń — powiedziała — ileż to nocy spędziłam bezsenne myśląc, jak dostać twoją głowę! Czy nie mogłeś wcześniej powiadomić mnie, że przybędzie sama? I to wlokąc pod sobą całą resztę?

Posłała mu uśmiech, zalotny i czupurny. Wiedział, że nie będzie to zwykła rozmowa — ale tak się bawić, tak udawać, nie potrafił nikt ze

znanych mu ludzi. Wspomniał odległe w latach i milach Agary, i jasnowłosą kobietę, którą miał za intrygantkę pierwszej wody. Gdzie tam! W spojrzeniu, z którym teraz zderzył swoje, nie było naprawdę nic prócz radości, serdeczności i... tkliwości.

Odwrócił oczy.

— Przyszedłem, bo chcę ci służyć, pani.

— O, wybornie, a zatem służ mi radą: nie wiem, czy cię upiec, czy obedrzeć ze skóry? Czy też poćwiartować? Albo chociaż powiedz, od czego mam zacząć?

Podniósł wzrok. Już nie była serdeczna. Pytała. I to nie były żarty.

Poczuł nagle, że jego rachuby mogą zawieść. Wszystko, co jej chciał ofiarować, oparte było na przekonaniu, że w stopniu większym lub mniejszym może być użyteczny dla jej celów. Wydawało się jednak, że gotowa prędeż wyrzec się ich wszystkich, niż wypuścić go stąd w jednym kawałku. Może była to gra, obliczona na zastraszenie. Ale jeśli tak, to grała znakomicie. Po prostu widział jej apetyt na krew. Jego krew. Odwrotu jednak nie było.

— Mam dowody i gwarancje wiernej służby. Zdawała się nie słuchać; skinęła na jednego ze swych ludzi, a gdy się pochylił, zaczęła mu coś szeptać.

— Każ przynieść, pani, mój bagaż! — rzekł głośnie i zabrzmiało to dobitniej, niż sam się spodziewał.

Nie przestając szeptać do ucha osiłka, skinęła na tamtych pod drzwiami. Potem oparła łokieć na stole, a podbródek na dłoni i patrzyła nad jego głową, bez wyrazu.

Raladan trwał, pozornie niewzruszony.

Tamci dwaj wrócili, niosąc wielki tłumok. Rozwinęli go i Raladan zobaczył, że tego jednak się nie spodziewała! Ridareta, skrzepowana potężnie, z kneblem w ustach, leżała nieruchomo na boku. Oczy miała zamknięte, oddychała z wyraźnym wysiłkiem.

W izbie trwała cisza.

— Naprawdę — powiedziała Semena, wstając i wychodząc zza stołu — muszę przyznać, że takiej gry nie rozumiem...

— Bardzo łatwo ją pojąć — rzekł niegłośnie. — Ta dziewczyna popadła w obłąd. Nadal jest mi jak córka, ale nie potrafię zabijać ludzi tak szybko, jak jest to konieczne, by utrzymać jej istnienie w tajemnicy przed

tobą. Nie mam złota, by ukryć ją dobrze, nie mam też kiedy go zdobyć. Chciałem uciec do Dartanu, przyznaję, ale ona dobrowolnie nie pojedzie, a związaną mogę wieźć nocami na końskim grzbiecie, przez trzy dni... Nic więcej. W jakim porcie przyjmą mnie na okręt z wierzgającym tobołem na plecach?

Zgrzytnął nagle zębami.

— Wiec oddaję ją tobie! Jeśli pragnienie zemsty jest u ciebie większe niż rozsądek, to ją zabij. Będziesz jednak musiała zabić także i mnie. Jeśli jednak uznasz, że Raladan może się przydać, oto jest gwarancja mojej wiernej służby. Jeśli teraz chcesz pani poćwiartować mnie mimo wszystko, to proszę! Nic już więcej nie mam do zaoferowania.

Semena odzyskała spokój.

— To ciekawe — mruknęła. — Powiesz mi coś jeszcze? Skinął głową.

— Owszem... Nie jestem rzezimieszkiem. Nie jestem też jakimś nędznym złodziejaszkiem, a ostatnio musiałem być i jednym, i drugim. Jestem piratem. Skarb już masz, nie zdołałem go dla niej ocalić. Nie ma już o co walczyć. Może da się połączyć nasze cele? Chcę, by żyła. Ale chcę też znowu służyć jakiejś sprawie. Czy nie trafia to do ciebie, pani?

— Zabrać to — rozkazała ponuro, wskazując półprzytomną kobietę.

Znów skinęła na drągała stojącego z boku. Szepnęła coś. Kiwnął głową.

Ci przy drzwiach przystąpili do leżącej. Pilot porwał jednego, uniósł nad głowę, okręcił i cisnął o podłogę. Drugiemu wyrwał dobyty miecz z ręki i — rozbrojonego — zabił jednym pchnięciem. Wszystko rozegrało się tak szybko, że gdy przybocznicy Semeny wybiegli z za stołu, stał już gotów do walki.

— Stać! — wrzasnęła Semena.

— Zabiję ją — ostrzegł Raladan, wskazując leżącą. — Potem zabiję siebie. Ale wcześniej jeszcze może tych dwóch durniów... Nie pozwolę jej zabrać, nie wiedząc, czy dobiliśmy targu. A zatem: tak czy nie?

— Mogę cię przecież okłamać — powiedziała.

— Nie, nie możesz — odparł. — Jesteś dziwką, ale to by było dla ciebie zbyt niskie. Znam cię trochę, nieprawdaż? Od dziecka. Od chwili, gdy przysłaś na świat.

Podeszła blisko. Zagroził drogę mieczem, ale odsunęła ostrze.

— Nie mów o mnie dziwka. Nigdy więcej tak nie mów, Raladan. Wyciągnęła rękę. Po krótkiej chwili oddał jej miecz.

— Zabrać to — rozkazała, wskazując Ridaretę. — A ty na zewnątrz — zwróciła się do pilota. — Wyjdź na zewnątrz i rozbierz się do połowy. Dostaniesz dwadzieścia pięć batów. Trzydzieści, bo powiedziałeś na mnie dziwka. Może być?

Skrzywił usta.

— Nazywanie cię dziwką kosztuje pięć batów?

— Tylko raz.

Wyszedł przed dom i ściągnął kaftan.

Po dwudziestym którymś smagnięciu przestał czuć cokolwiek. Potem, gdy go puszczone, upadł w błoto odwilży. Ci, co bili, teraz pomogli mu wstać.

— Czy to uczciwe? — zapytała.

Skinął głową, czując, jak od tego nieznacznego ruchu pęka posieczona skóra na plecach. Ból wrócił.

— Miało być trzydzieści — rzekł chrapliwie.

— Tyle było.

— Źle bili. Pięciu ostatnich nie czułem, niech poprawią. Chcę ubić uczciwy interes.

Warto było! Zrobiła krok do tyłu, zbyt zdumiona, by to ukryć. Trzymający go ludzie mruknęli coś, było w tym zdziwienie i uznanie.

— Za te słowa warto by ująć ci dziesięć... Jesteś niebezpieczny, Raladan. Chyba kręcę sznur na własną szyję, dogadując się z tobą...

Odwróciła się i odeszła.

Wsadzono go na siodło; niemal leżał na karku końskim. Jadący obok otyły dowódca eskorty wziął jego wierzchowca za wodze. Po krótkiej chwili Raladan poczuł dotyk żelaza. Podtykano mu rękojeść miecza.

— Zdobyty — rzekł krótko mężczyzna. — Szkoda, że na naszym towarzyszu. Ale płacą nam za to, byśmy umierali. Raladan drgnął, gdy zarzucono mu płaszcz na nagie plecy. Stępa zmierzali ku Doronie.

43.

Nowa, rozpoczęta właśnie gra niepokoiła ją, ale i fascynowała. Jaką partię tym razem rozgrywał ten człowiek? Do jakiego celu zmierzał? Gdyby chciał ją zabić, użyłby innych sposobów. Wierzyła łatwo, że Raladan naprawdę chce jej służyć. Ale dlaczego? Historia, którą opowiedział, była niewiarygodna.

Nie potrafił wywieźć Ridarety do Dartanu?! Niepoważne... Śmieszne. Złoto mogło nie takie rzeczy załatwić, czyżby naprawdę nie umiał zdobyć potrzebnej jego ilości? Bzdura. Znała pilota zbyt dobrze.

Kłamał. Dobrze zresztą wiedząc, że mu nie uwierzy.

A zatem krył coś jeszcze w zanadrzu. Coś, o czym nie chciał, bądź też nie mógł mówić przy jej ludziach. Czy następne kłamstwo? Zapewne. Była przekonana, że pilot rzeczywiście chce wstąpić na jej służbę, jednak musiał mieć w tym jakiś własny cel; cel zapewne zbieżny częściowo z jej celami... Cóż jednak mógł o nich wiedzieć?

Ale było, musiało być coś, warte podjęcia każdego ryzyka! Coś, o czym ona nie miała pojęcia. Skoro jednak pilot uznał ową rzecz za istotną, warto było spróbować dowiedzieć się czegoś więcej... Ten człowiek nie zwykł nadstawiać głowy dla sztuki srebra. Rzecz musiała być daleko istotniejsza.

Ponadto — część z tego, co mówił, była jednak prawdą; Ridareta w samej rzeczy postradała zmysły! Niepodobna udawać tak dobrze. Jak długo zresztą można udawać? I po co?

A wreszcie to, co powiedział na końcu: że nie jest rzezimieszkiem, lecz piratem... Czy trafiało to do niej? Oczywiście, że trafiało. Bardziej niżli wszystko inne! Tak, to mógł być powód. Dla tego człowieka to mógł być powód.

Nie jedyny wszakże, a jeden z wielu.

„No, Raladan? — pomyślała. — Co masz dla mnie jeszcze? Cóż to za kłamstwo trzymasz doskonałe, że nie wątpisz, iż je przyjmę? Mój wspaniały?”

Był w niej, na dnie duszy, jeden domysł... Ale tak naiwny i śmieszny, że wstydziała się go pokazać samej sobie.

— Głupia jesteś! — powiedziała na głos, z wściekłością. — Bezdennie, bezdennie głupia!

Długo siedziała z przymkniętymi oczami, starając się myśleć o wszystkim, tylko nie o sojuszniku, którego właśnie zyskała. Próbowwała odnaleźć spokój. Chciała iść do niego. Lecz najpierw musiała wyzbyć się resztek złości.

Wreszcie wstała... i długo poprawiała włosy, patrząc w lustro. Uświadomiła sobie, po co i dla kogo to robi... Z trudem powściągnęła wracający gniew. Rozczochrała włosy i szybko ruszyła do drzwi.

Zawróciła i uczesała się znowu. Raladan był w izbie dla służby; leżał na brzuchu, opierając brodę na przedramionach. Nagie plecy pocięte były długimi, szklącymi się od świeżych strupów ranami. Spojrzał, gdy weszła. Skinęła mu głową.

— Jak minęła noc? — zapytała. — Minęła w tej pozycji — rzekł ponuro. Zwinęła w kłęb kawał płótna, który ze sobą przyniosła, i zmoczyła w okrągłym, cynowym naczyniu.

— Co to? — zapytał. Rozłożyła ścierkę, przykrywając mu plecy. Stęknął głucho.

— Rum — szepnęła słodko. — Kiedyś... Lerena mi mówiła, że to dobry sposób. Żołnierski.

— Może... — syknął przez zęby. — Ale zaraz... po zranieniu. Chociaż... nigdy nie zaszkodzi.

Odsłoniła plecy, znów zwinęła płótno, przytykając je jeszcze tu i ówdzie.

— Co zrobiłaś z Lereną? — zapytał, z niezwykłym u niego wahaniem.

Odsunęła się.

— Nie twoja rzecz. Co cię może obchodzić Lerena?

— Nic. Nic, zupełnie. Przez rok z górą służyłem na jej statku. A kiedyś... sadzałem ją sobie na plecach. Tak samo jak ciebie, pani. Milczała.

— Nie twoja rzecz! — powtórzyła wreszcie, z niespodzianą złością.

— Chcę wiedzieć, czy żyje.

— Nie twoja rzecz! — wrzasnęła po raz trzeci, ciskając szmatę na podłogę.

Zwrócił ku niej twarz.

— Co jej zrobiłaś? — zapytał. — Wrzuciłaś ją, związaną łańcuchami,

do morza? Spaliłaś? Zakopalaś żywcem w ziemi?

— Raladan — powiedziała z nagłym spokojem, choć głosem mocno stłumionym. — Nie pytaj mnie o Lerenę. Może kiedyś ci powiem. Ale teraz to ja będę pytać.

Patrzyli na siebie przez długą, długą chwilę.

— Więc dobrze, pani — rzekł krótko. Potrząsnął głową.

— Nie pytaj — dorzucił zaraz. — Tam, na Brzegu Wisielców, kłamałem.

— Oczywiście — przytaknęła. — Przecież wiem.

— Więc zanim powiem ci wszystko, chcę jeszcze zapytać: dlaczego? Dlaczego przyjechałaś mnie na służbę? Myślała.

— Nie odpowiem — odparła po prostu. — Teraz słucham ciebie. Wziął głęboki oddech.

— Jesteś nieśmiertelna — powiedział. — Nie, to nie znaczy, że nie można cię zabić. Owszem, można.

Usiadł na posłaniu, skrzywiony boleśnie.

— Jesteś nieśmiertelna, bo nie umrzesz, jak każdy. Dorastałaś szybciej niż inni, ale teraz już nie będziesz się starzeć.

Nie dotarło to do niej od razu. Ale potem, zupełnie nagle, chwyciła go za ramiona.

*

Chodziła po izbie, trzymając się za głowę.

— Nie, Raladan. To nieprawda — mówiła.

— Prawda, pani.

— Nie, Raladan. Nieprawda.

— No więc dobrze. Przyjmij zatem, że przyszedłem, bo nie mogłem jej wywieźć do Dartanu. Nie słuchała.

— Nie, Raladan. To nieprawda.

— Prawda, pani.

Rzuciła się nagle na niego.

— Przychodzisz i mówisz mi, że jestem jakimś Rubinem! Ze nie żyję! Mam w to wierzyć?! Masz mnie za niespełna rozumu?! Trzymał ją za nadgarstki, aż przestała się szarpać.

— Nie — powiedział dobitnie. — Jesteś zwykłą ośmioletnią dziewczynką, taką jak inne. Nie wyrwałaś z nieba Pasm Szerni. Nie zniszczyłaś zjawy „Węza Morskiego”. A twoja siostra-bliźniaczka

oddychała przez pępek, gdy ją chciałaś udusić. Nie, pani. Nie jesteś Rubinem, no skądże.

Odepchnął ją mocno. Stała, unosząc dłonie do skroni, to znów je opuszczając.

— Ale... jak to? — rzuciła z rozpaczą.

Osiągnął przewagę. Ale naraz, niespodziewanie, zrobiło mu się jej żal. Jeszcze nie tak dawno nienawidził tej dziewczyny jak nikogo na świecie...

— Uspokój się, pani — powiedział. — Domyślasz się chyba, że przyszedłem nie dlatego, by ci to powiedzieć i patrzeć, jak się zachowasz. Sprawa dotyczy nas obojga; mnie dlatego, że opiekuję się Ridaretą. Usiądź wreszcie. Jeśli nie potrafisz wziąć się w garść, to oznacza, że niepotrzebnie przyszedłem.

Jeszcze raz przycisnęła dłonie do twarzy. Gdy je odjęła, zobaczył, że reprimenda podziałała.

— Właściwie domyślałam się czegoś podobnego — rzekła głosem wciąż nieco zmienionym, ale już zupełnie spokojnie. — Nie potrafiłam nazwać tego, co daje mi ową siłę, ale że ta siła nie bierze się znikąd, to oczywiste. Mów.

Pokiwał głową.

— Moc Rubinu rządzi tobą bez reszty, nie potrafisz nad nią zapanować. Na razie ta moc jest uśpiona, spójrz jednak na Ridaretę i pomyśl, co się stanie, gdy ta moc się obudzi. Są jednak sposoby, by ją kontrolować.

Patrzyła wyczekująco.

— Czeka nas wyprawa do Złego Kraju, pani — rzekł krótko. Do Bezimiennego Obszaru, gdzie narodził się Rubin. Powiedziano mi, że tylko tam znajdę odpowiedź na wszystkie pytania.

Nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

— Zapytasz pewnie, dlaczego nie płynę sam? A jak, pani? Wpław? Potrzebny jest okręt, potrzebni są ludzie... Dysponujesz tym wszystkim. I masz osobisty interes, by zorganizować wyprawę. Oto rzeczywisty powód, dla którego przyszedłem do ciebie.

— Jak sprawdzić, czy nie kłamiesz? Gdzie dowody, Raładan?

— Dowody na co, pani? Że ty i Ridaretą zostałyście opanowane przez tę samą siłę? Weź nóż i poderżnij jej gardło... Zobaczymy, czy

otrzymasz coś więcej, oprócz szybko gojącej się blizny.

— Chcę człowieka, który powiedział ci to wszystko.

— A czy ja chcę czego innego? Mówię: płynmy do Złego Kraju.

— On tam jest.

— Tam się wybierał. O ile wiem, to Zły Kraj jest ojczyzną Przyjętych, nie Garra.

— Czego szukał tutaj? Nieprawdopodobne to wasze spotkanie — zauważyła podejrzliwie. Raladan rozłożył ręce.

— Czego szukał? Nie wiem! — rzekł ze złością. — Ale wiem, czego ty szukasz: dziury w całym! Czy naprawdę, pani, nie potrafisz myśleć? Cóż dzieliło nas dotąd? Jakaś wrogość, płynąca prosto z serca? Przeciwnie! Gdyby nie skarb twego ojca, który był ci potrzebny, a który ja chciałem zachować dla Ridarety, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej! Nigdy nie pozwoliłbym, byś skrzywdziła Ridaretę (po co zresztą miałabyś to robić?), poza tym jednak byłbym twoim najgorliwszym pomocnikiem, i szczerze! Jeszcze chętniej służyłbym Lerenie, i nie powinno cię to dziwić. Twoich planów nie znam, ale ona... Na wszystkie morza, zdobylibyśmy lepszy okręt i znów, jak za Demona, stali się postrachem Bezmiarów. Powiedz, czego mógłbyś chcieć jeszcze stary pirat kapitana Rapisa?

Odetchnął głęboko.

— Stało się jednak inaczej — podjął ciszej, spoglądając jej w oczy.

— Ale czy to znaczy, że mamy być wrogami do końca? Po co, dlaczego? Że uznałem Ridaretę prawie za swą córkę, czy to znaczy, że mam zostać jej odźwiernym? Chcę jej szczęścia, chcę, by miała złoto i stroje, by znalazła sobie mężczyznę. Ale chcę także władać swoim własnym życiem...

— Czy to prawda? — przerwała mu.

— Co znowu „czy prawda” pani?

— Czy to prawda, że ona... jest ci córką?

— A kim? Żoną, kochanką? Badała wzrokiem jego twarz.

— Uwierz, pani — powiedział prawie bezradnie. — Chcę pokonać jej obłąd. To dla mnie najważniejsze. Potem jednak chcę morza i złota, morza i walki, morza i zwycięstwa... Czy to trudno zrozumieć? Czemu miałbym kłamać? Czemu miałbym próbować cię zdradzić? Chętnie będę służył kobiecie, która potrafiła mnie pokonać, bo oznacza to po prostu, że nie jest byle kim. To chyba naturalne, że służy się lepszym od siebie, czy

choćby równym sobie, nigdy zaś gorszym. Jedyne, co mnie męczy, to los Lereny. Nie mogę i nie chcę uwierzyć, żeś ją zabiła?

— Lereña żyje — szepnęła. — Tak wiele dla ciebie znaczyła?

Nie wiedział, co odrzec. Potwierdzenie mogła przyjąć za znak, że nie warto mu ufać, bo może szukać zemsty za krzywdę tamtej... Z drugiej znów strony, zaprzeczenie wzięłaby niechybnie za próbę przypodobania się jej, za kłamstwo.

Powiedziała jednak, że Lereña żyje. Jeśli tak, to znaczyło, że siostra nie była jej całkiem obojętna.

— Więcej, niż myślisz — powiedział, podejmując ryzyko.

Wypadło to szczerze. I wiedział dlaczego. Po prostu powiedział prawdę.

Wciąż patrzyła mu w twarz. Nie krył swego niepokoju; miał prawo być obecny i mogła to zauważyć.

— Wiesz, że ci ufam? — powiedziała cicho. Zobaczył w jej spojrzeniu niemal ból, gdy poprosiła:

— Ufam ci, Raladan. Nie zdradź mnie, proszę... Nie zdradzisz? Jestem sama, bardziej sama, niż możesz to sobie wyobrazić...

44.

Wstydziała się potem tej chwili słabości, dawała mu odczuć, że było to nieporozumienie. Ale zapamiętał jej twarz i oczy... Córka Ridarety nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ta naiwna prośba o dochowanie wierności nim wstrząsnęła. Oto niespodziewanie ujrzał człowieka: samotną, pozbawioną bliskiej osoby dziewczynę, którą życie zaczynało przerastać. Wszystko musiała kupować: ochronę, przywiązanie, zaufanie. Nikt nie przyszedł i nie powiedział po prostu: jestem z tobą.

Dopiero on.

Odkrył — po raz drugi w swym życiu — że jest słaby... Prośba była bronią, której nie umiał się przeciwstawić. Prawie nigdy nikt nie prosił go o nic; któż może prosić pirata, i o co? Jednak, gdy proszono mimo wszystko — czuł się zniewolony. Przed laty Demon, prosząc o opiekę nad swą córką, związał go bardziej, niż uczynić mógł za pomocą rozkazu albo złota. Teraz znów.

Naprawdę, wołał sto razy powiedzieć sobie, że to była gra z jej strony, gra obliczona na uzyskanie takiego właśnie efektu.

Wszystko jednak zdawało się temu zaprzeczać.

Wyglądało na to, że istotnie ma nad tą dziewczyną jakąś władzę. O co jednak chodziło? Czy możliwe, żeby garbus miał rację?

Raladan starał się odsunąć emocje, myśleć zimno. Nie wierzył. Nie wierzył, by ta młoda kobieta czuła doń cokolwiek, poza uśpionym, niemal zapomnianym sentymentem. Był w końcu kiedyś jej opiekunem, prawie zastępował ojca. Jednak pomysł, że ona albo Lerena... że któraś z nich mogłaby...

Niedorzeczność.

Zaczął przypominać sobie zdarzenia z okresu, gdy pływał pod komendą Lereny. Ileż to razy upokarzała go, próbowała...

Zasepił się. Potarł czoło.

Czuł się trochę jak chłopiec. W gruncie rzeczy słabo znał kobiety. Słabo... Wcale ich nie znał. Gdzie miał je poznać i kiedy? Podczas służby w straży morskiej? U Brorroka? U Rapisa? O kobietach wiedział tyle, że są. Czasem, jesienią, przebywając na lądzie, zdobywał je — dość łatwo.

Czasem kupował. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że kobiety także mogą chcieć zdobywać... Bardzo mgliście wyobrażał sobie, jak takie zdobywanie mogłoby wyglądać. Co musiałaby uczynić kobieta, pragnąca zainteresować go sobą? Rzucić wyzwanie, oczywiście... Dać do zrozumienia, że zdobyć jej nie można.

Zdumiał się, odkrywszy tę prawdę. I zadziwił, że nikt przed nim tego nie ustalił. On, Raladan odkrył nowy ład.

Czyżby stary grajek miał rację? Nie, nie wyobrażał sobie nawet takiej możliwości. Zresztą, jeśli nawet Lerena... Ale nigdy ta.

„Dlaczego? — zapytał sam siebie. — Dlaczego nie?”.

„A dlatego — odrzekł zaraz — że jesteś za stary, przyjacielu”.

Siedział, zadowolony z prostej odpowiedzi. Potem zaczął z wolna zdawać sobie sprawę, że tym razem jakiś ład... zakrył. Zmarszczył się — i przestał rozmyślać o kobietach.

Lubił, jeśli miały jasne włosy. To wszystko.

Wciąż zajmował tę samą izbę w dorońskiej kamienicy, którą mu wskazano po powrocie z Brzegu Wisielców. Wiedział już, że Riolata w tym domu nie mieszka; owszem, nocowała czasem, ale rzadko. Dom spełniał właściwie funkcję koszar — był kwaterą żołnierzy Semeny. Ze sposobu, w jaki się do niego odnosili, wywnioskował łatwo, że wcale nie jest więźniem. Ale było coś jeszcze. Nie traktowali go jak równego sobie. Nawet Davaroden, tęgi mężczyzna z Wysp Przybrzeżnych, ten sam, który podał mu miecz, gdy wracali z Brzegu do Dorony, tytułował go panem.

Czy był to sposób, w jaki Riolata chciała stępić jego czujność? A może mu zaufała i powinien być gotowy do objęcia jakiejś wysokiej funkcji u jej boku? Niczego więcej nie pragnął.

Na razie jednak był głuchy i ślepy: nie wiedział nic o jej planach, poza tym, co wnioskować mógł ze słów garbatego grajka; nie wiedział nic o roli, jaką mu wyznaczyła; nie wiedział nawet, czy w ogóle wyznaczyła jakąkolwiek.

Niedługo jednak pozostawał w niepewności.

W niespełna tydzień po owej niezwykłej rozmowie, jaką przeprowadzili, pojawiła się u niego, koło południa. Nie poznał jej w pierwszej chwili. Dopiero, gdy zdjęła półzamknięty hełm, dostrzegł, kim jest przybysz w kolczudze i biało-zielonej tunice żołnierza.

— Nigdy nie przychodzę tu za dnia — powiedziała, kładąc hełm na

stole, a obok niego rulon map, które przyniosła pod pachą. Stąd owo przebranie. Wszyscy wiedzą, że w tym domu mieszkają ludzie eskortujący towary szanownego Melara. To syn Litasa wyjaśniła. — Oddałeś mi wielką przysługę, uwalniając mnie od starego... Kiedyś ci to wyjaśnię. A może i wynagrodzę.

— Czemu służą te wszystkie środki ostrożności? — zapytał. — To miasto nie wie nawet o twoim istnieniu. Mogłabyś przecież otwarcie prowadzić swoje interesy. O ile wiem, są uczciwe?

— Do czasu. — Przekrzywiła głowę z niejakim rozbawieniem.

— I pozornie. W każdej chwili mogą pojawić się kłopoty. Ci wszyscy kupcy, którymi się zaślania, to tarcza. Przyjmą na siebie pierwszy cios. No dobrze. — Zwróciła się do stołu, rozwinęła jedną z map i przycisnęła jej krawędź hełmem. — Chodź tu Raladan, czas, bym ci powiedziała to i owo... Tu jest Garra.

— Zaśmiała się, gdy zrobił minę, jakby pierwszy raz usłyszał o podobnym lądzie. — Atu są Agary. Tu będzie powstanie... a tu moja wojna.

*

— To tyle — zakończyła, zwijając mapy. Jej plany robiły wrażenie, musiał to przyznać. Jednak niepokoiło go co innego. Uznał, że może powiedzieć o tym wprost.

— Widzę dwie możliwości — rzekł w zamyśleniu. — Albo to wszystko jest prawdą... albo też częściowym kłamstwem, prawdą niecałą, lub kłamstwem od początku do końca.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała zdumiona.

— Tyle tylko że, oczywiście, uważam, iż usłyszałem prawdę. Ale taką prawdę, pani, ujawnić może tylko szaleniec. Chyba że uważa rozmówcę za człowieka całkowicie godnego zaufania lub też ma pewność, że ten człowiek nie zdradzi, choćby nawet bardzo tego pragnął.

Patrzyła wyczekująco.

— Czy to wszystko? Nic odkrywczego mi nie powiedziałaś mruknęła z niejakim sarkazmem. — Ile razy jeszcze chcesz usłyszeć, że ci ufam? Dałam to już chyba do zrozumienia, i aż nadto wyraźnie?

Skinął głową.

— Zostawmy to. Z tego, co powiedziałaś, pani, wynika, że wyprawę do Złego Kraju planowałaś od dawna?

— Oczywiście, Raladan — potwierdziła. — Z wielu powodów... Rzeczywiście miałam nadzieję, że mędrzy-Przyjęci z Grombelardu wyjaśnią mi, kim właściwie jestem. Zrobiłeś to ty. Potrzebuję jednak potwierdzenia. Ale przede wszystkim, jak słusznie zauważyłeś, nie leży w ludzkiej mocy uczynienie z Aheli fortecy w ciągu roku. Dlatego potrzebna mi jest moc, hm, nadludzka...

Potrzebuję Porzuconych Przedmiotów, które sprawią, że wesprą mnie Pasma Szerni. Niezbędny jest także ktoś, kto potrafi to wsparcie właściwie wykorzystać. Nie wiem, co może skusić mędrca z Obszaru. Jeśli złoto, to je ofiaruj. Jeśli władza, to ją obiecaj. Jeśli zaś nic, to go zmuś.

— Nie rozumiem, pani. Czy to znaczy...

— Właściwie tak. Okręt czeka, kapitanie Raladan. Posłuchaj teraz uważnie, być może to, co powiem, będzie po części odpowiedzią na twoje pytanie, dlaczego zaufałam ci bez ograniczeń... Będę z tobą zupełnie szczerą: spadłeś mi jak z nieba. Służy mi wielu ludzi, jednak żaden nie nadaje się do pokierowania podobną wyprawą. Jeszcze tydzień temu uważałam, że będę musiała płynąć sama. Jednak tu, w Doronie, zbiegają się nici stu spraw; trzymam je w ręku i nie bardzo mogę wypuścić. Odkładałam tę wyprawę z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc... Zmarnowałam całą zimę i pół wiosny. Dłużej czekać nie sposób. Grombelard jest daleko, a w Złym Kraju, sam wiesz, czas płynie inaczej. Jutro wyruszasz, Raladan.

Uśmiechnęła się, pokazując białe zęby.

— Wszystko, co powiedziałaś i zrobiłeś, by udowodnić szczerą intencję swoich intencji — dorzuciła po chwili — ma oczywiście duże znaczenie. Musisz jednak wiedzieć, Raladan, że jeszcze pół roku temu nie znalazłbyś dowodu wystarczająco silnego, by mnie przekonać. Wiele się jednak od tamtego czasu zmieniło, lepiej poznałam i zrozumiałam siebie... Od paru miesięcy już wiem, że ważne jest, co myślę, ale jeszcze ważniejsze, co czuję. Myślenie zawodziło mnie czasem, ale czucie nigdy, odkąd mu zawierzyłam. Czuję, że jesteś szczerzy wobec mnie. Co prawda, chyba nie do końca. Wydaje mi się, że chcesz znaleźć w Złym Kraju coś, o czym nie powiedziałaś... Jednocześnie jednak widzę, że pragniesz spełnienia moich planów. To wystarczy. Jeśli przy tym upieczesz jakąś własną pieczeń, nie zamierzam przeszkadzać. Ale może mogłabym pomóc? Zastanów się nad tym. Jeśli twój cel w Złym Kraju mógłby stać się naszym wspólnym

celem, może tylko byś na tym zyskał?

Pokręcił głową.

— Nie nalegam — wzruszyła ramionami. — Wstąpiłeś na moją służbę, ale wolno ci mieć swoje sprawy, o ile nie przeszkadzają moim. Ta chyba nie przeszkadza... Jednak bardzo mnie zaciekawia; może jestem i Rubinem, ale stokroć bardziej kobietą. — Znów się uśmiechnęła: nigdy chyba nie widział jej w tak świetnym humorze; zastanawiał się, co było owego humoru przyczyną. — Posłuchaj, Raladan, po raz dziesiąty zaznaczam, że ci wierzę. Chcę jednak, żebyś wiedział, że do Kraju wyruszają dwie wyprawy... Muszę przecież liczyć się z tym, że z jakichś przyczyn poniesiesz klęskę. Co prawda nie bardzo wierzę, by załoga drugiego okrętu osiągnęła to, co nie uda się tobie. Tym bardziej, że mają zbadać tylko obrzeża Obszaru, nakazałam im unikać nadmiernego ryzyka. Posyłam ich głównie dlatego, że nie chcę, by wybuch powstania zastał którykolwiek z moich statków w Doronie. Musiałabym go oddać rebeliantom.

Patrzyła wyczekująco.

— Teraz mów, czego potrzebujesz. Statek jest gotowy do drogi. To „Seila”, myślę, że potrafisz ocenić jej zalety. Załoga kompletna. Sprawdzona i bardzo dobra.

Zmarszczył brwi.

— Muszę to przemyśleć — powiedział. — Na razie wiem tylko, że chciałbym mieć na pokładzie Davarodena i jego żołnierzy.

— To moi najlepsi ludzie — powiedziała.

— Myślałaś, pani, że poproszę o najgorszych?

Pokazała mu język. Jej beztroski, figlarny niemal nastrój, omal nie udzielił się i jemu. Czuł się wybornie — na Szerń, otrzymał zadanie! Trudne, niezwykle, ale jasne. Mógł je po prostu wykonać, bez żadnych intryg, podstępów i kłamstw. Jakże mu było potrzebne takie właśnie działanie! Z nagłą goryczą pomyślał, że chętnie poświęciłby się planom tej niezwyklej dziewczyny cały i bez reszty. Imponowały mu. Był w nich rozmach, jakiego nie miał nawet Demon.

Dobry nastrój zakłócała tylko jedna sprawa. Najważniejsza. Ta, którą bał się dotąd poruszyć, by nie wzbudzić podejrzeń.

— Chcę jeszcze zobaczyć Ridaretę — powiedział.

— Niemożliwe — odrzekła zwięźle. Dobry nastrój prysł.

— Dlaczego? — zapytał niemal groźnie.

— Dlatego, że nie wiem, gdzie jest.

Patrzył osłupiały.

— Wyznaczyłam trzech ludzi, którzy ją zabrali — mówiła powoli, patrząc mu w oczy. — Pięć dni temu. Otrzymali wszystko, co potrzebne, by ją ukryć...

Zacisnął pięści.

—...w miejscu, o którym nawet ja nie będę wiedziała. Zwłaszcza ja. Mógłbyś znaleźć sposób, by to ze mnie wydobyć; skąd mam wiedzieć, jakie cuda przywieziesz ze Złego Kraju i czego się tam nauczysz? Ridareta zostanie ukryta, może w Armekcie, może na którejś z wysp... Jej... opiekunowie — nie powiedziała „strażnicy” — będą strzec jej jak największego skarbu, zapewniam. Jeśli moje plany się powiodą, zimą przywiozą ją na Agary. Do tego czasu nie będziemy znali miejsca jej pobytu.

— Rozliczę cię z tego — powiedział.

— Raladan — odrzekła łagodnie — pomyśl, co mówisz... Przecież sam mi ją oddałeś jako zakładniczkę. Będąc na moim miejscu, zrobiłbyś tak samo. Ponadto pozwól sobie powiedzieć, że za kilka miesięcy Garra nie będzie krajem bezpiecznym dla nikogo. Pomyśl tylko: powstanie... Mam trzymać tę kobietę w jakiejś piwnicy, całymi miesiącami? Tego chciałeś? Myśl sobie, co chcesz, ale polecając jej ukrycie, uczyniłam gest przyjaźni wobec ciebie. Wiedz, że zabrali ją ludzie naprawdę godni zaufania, nie jakieś zbiry. I nie wydałam rozkazu zabicia jej, gdyby moje plany upadły. Będzie żyła. Tyle tylko, że jeśli ja zginę, nie zobaczysz jej więcej. Zaufaj mi, Raladan. Tak jak ja zaufałam tobie.

— Zaufałaś... — Już wiedział, skąd wzięła swój dobry humor. Po co było tyle mówić o zaufaniu, czuciu i podobnych bzdurach? Nie mogłaś, pani, powiedzieć od razu, że po prostu trzymasz mnie za gardło?

Spojrzała z niejaką goryczą.

— Tak to widzisz... Oczywiście, byłam głupia i jestem. Ale już nie będę... Naprawdę, sama nie wiem, skąd wzięłam pomysł, że może warto raz w życiu po prostu komuś uwierzyć.

Odwróciła się nagle.

— Oczekiwałeś — rzuciła — że padnę ci w ramiona i powiem: najdroższy, oto wszystkie moje plany, nie potrzebuję żadnych gwarancji,

żadnej zakładniczki, rób co chcesz! Raladan, czy to ja muszę udowodniać ci swą lojalność? Czego ty chcesz właściwie? Dziwi cię i niepokoi, że ujawniam śmiało swoje plany, jednocześnie zaś żądasz, bym nie zapewniła sobie żadnych gwarancji? Powiedz, że wtedy nie miałbyś żadnych podejrzeń. No powiedz, a cię wyśmieję! Dopiero wówczas nie spałbyś po nocach rozważając, jaką właściwie grę prowadzę. Czyż nie tak?

Znowu spojrzała mu w twarz.

— I jeszcze jedno — podjęła. — Ciągle masz mnie za tę samą dziewczynę, którą zostawiłeś w jaskini, związaną i upokorzoną... Nie jestem nią, Raladan. Przed tygodniem nazwałeś po imieniu źródło mojej siły, ale nic ponadto. Potrafię posługiwać się nią od dawna. Nie muszę cię okłamywać. Gdybym nie ufała, powiedziałabym: nie ufam. Dziś już nie dałabym się związać.

Uśmiechnęła się chłodno, zabrała swój hełm i wyszła.

45.

Nigdy dotąd nie dowodził okrętem. Teraz, obserwując krzątanie majtków, zuchów-marynarzy jakich mało, poczuł, że rośnie mu serce. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo chce mieć własny okręt.

Własny okręt!

— Raladan — powiedziała mu rano, na pożegnanie. — Zapomnijmy o wczorajszej rozmowie...

Urwała na chwilę; była prawdziwie zmieszana!

— Traktuj to, jak chcesz — rzekła wreszcie. — Jako upominek lub zachętę do wierności, albo... jak chcesz. „Seila” jest twoja. Daję ci ją wraz z załogą; tutaj masz dokument, z którego wynika, że kupiłeś ją od kupca Melara. Załoga jest opłacona za rok z góry. Nowe żagle powinny już być na pokładzie, wybrałam oznaczenie za ciebie.

— Dlaczego to robisz? — zapytał, nie mogąc zapanować nad zdumieniem.

Przesłała mu spojrzenie tak dziwne, że jego znaczenia wolał się nie domyślać.

— Traktuj to, jak chcesz — powtórzyła z wysiłkiem.

Teraz był na pokładzie własnego żaglowca. Własnego! Na wszystkie Smugi i Pasma Szerni! W całym swoim życiu nie stał na pokładzie piękniejszego statku!

Zajrzał w każdy kąt, był w dziobówce, w kajutach oficerskich, w ładowni... Przesypywał w rękę piasek stanowiący balast, sprawdził stan olinowania, wlaźł na każdy z masztów, żeby zaraz znowu znaleźć się pod pokładem. Obejrzał tam, obmacał i opukał niemal każdą belkę i deskę, od następki, poprzez kolumny i wręgi, po węzłówki. Stan pokładu, wolnej burty, nadburcia i listew odbojowych sprawdził już wcześniej. Deski pokładu wyszorowane były niemal do białości, na łańcuchu kotwicznym nie znalazł nawet śladu rdzy...

Od pierwszego oficera, pełniącego dotąd — tymczasowo — funkcję dowódcy okrętu dowiedział się, że „Seila”, będąca w ogóle statkiem nowym, była jesienią remontowana, a właściwie poddana przeglądowi; uzupełniono wyposażenie do najdrobniejszych szczegółów. Niespełna

przed tygodniem dostarczono zapasy żywności, starannie skontrolowano stan solonego mięsa, mąki, fasoli i sucharów. Raladan sprawdził raz jeszcze. Bez zastrzeżeń.

Nigdy nie widział lepiej przygotowanego do wyjścia w morze okrętu!

W kajucie kapitańskiej znalazł komplet map; przeglądając je, dostrzegł na kilku naniesione poprawki, które mówiły coś jednej tylko osobie na świecie: jemu właśnie! Skąd wiedziała? Od Lereny? Nie wierzył własnym oczom.

Kupiła go! Kupiła sobie pilota Raladana.

Kapitana Raladana. Kapitana...

Przekonywał się usilnie, że to nic innego jak łapówka po prostu. Wyrachowane działanie, mające na celu przywiązanie go do niej. Cóż to? Nagle stała się chodzącą dobrocią? Chciała go podkupić, i tyle.

Ale — jeśli nawet?

Wiedział jednak, że nie musiała tego robić. Było tak, jak powiedział: trzymała go za gardło. Musiał być lojalny. To, czy dawała mu prezenty, nie miało żadnego znaczenia.

O, na wszystkie moce! Przecież to, co jej powiedział, było szczerą prawdą! Miał ochotę jej służyć, warto było. Czuł się pośród jej planów niczym ryba w wodzie.

A jeśli?... A jeśli ona tak samo? Dlaczego właściwie nie miałyby szczerze i chętnie przyjąć jego pomocy? Czy zawsze i wszystko musi być nieprawdą lub kłamstwem? Zaiste, sprawy, w których kręgu obracali się oboje, wykluczały zupełnie rzecz tak ulotną i niepewną jak zaufanie... Ale — czy choć raz nie było możliwe odstępianie od tej reguły?

Zrozumiał, że nie wolno mu tak myśleć. Nie. Odstąpienie od takiej reguły nie było możliwe. Dostał „Seilę” po coś — to rzecz pewna. Spróbował w myślach odwrócić sytuację: czy on mógłby ofiarować jej prezent? Bez żadnej innej myśli, jak ta, że zrobi przyjemność? Oczywiście — nie.

Pomyślał o Ridarecie i poczuł nawrót gniewu. Oto mogła być przyczyna. Semena uważała widać, iż w przypiływie wściekłości on, Raladan, może uczynić coś nie po jej myśli. Chciała ową wściekłość złagodzić.

Wrócił myślami do decyzji rozważanej setki razy, najcięższej decyzji

swego życia. Czy uczynił dobrze, oddając Ridaretę w ręce Riolaty-Semeny? Był to jedyny sposób, w jaki mógł przełamać jej nieufność; sądził tak wcześniej i zdania nie zmienił. Ale jedna Szerń wiedziała, z jakim bólem podjął tę decyzję. A teraz... Odebrała mu ją. Cóż wobec tego znaczyła jakaś „Seila”?

Ale znów — w głębi duszy — rozumiał, że Semena w gruncie rzeczy postąpiła uczciwie. Musiał rozstać się z Ridaretą tak czy owak; przewidywał przecież, że popłynie do Złego Kraju, chciał tego... Mogła pozwolić mu zobaczyć Ridaretę i dopiero po wypłynięciu odesłać ją gdzieś, bez jego wiedzy.

Czy naprawdę nie wiedziała o miejscu jej pobytu? Wierzył w to. Wierzył, bo takie posunięcie miało więcej sensu, niż mogłoby się zdawać. Naprawdę zabezpieczało ją przed każdym atakiem z jego strony. Nie było po co atakować.

Wyszedł z kajuty na pokład. I znów poczuł, że ma swój własny statek...

Był rozdarty. Do tego stopnia, że myślał właściwie tylko o jednym: jak pogodzić dobro Ridarety ze szczerą służbą u jej córki. Na razie było to możliwe. Ale później? Musiałby godzić rzeczy nie do pogodzenia.

„Seila” była gotowa do drogi. Jednak nowy kapitan zwlekał z wydaniem rozkazu. Poszedł na dziób, potem na rufę. Potem na śródokręcie. Majtkowie widzieli, jak pogłodził ręką grotmaszt i zaraz rozejrzał się dokoła, jakby sprawdzając, czy nikt tego nie dostrzegł...

Dobro Ridarety — czy dobro Raladana? Bo tym była szczerza służba u boku nowej pani. Dobrem Raladana.

Miał tylko jedno serce.

Spojrzał na zwinięte jeszcze, szarobłękitne żagle z czarnymi krzyżami. Nie mógł doczekać się chwili, gdy zobaczy, jak wypełniają się wiatrem...

Rozkazał przynieść stare. Białe z zielonym znakiem „I”.

Potem poszedł do kajuty. Wrócił wkrótce na pokład i wezwał jednego z żołnierzy.

— Zanieś to pani — powiedział, wyciągając rękę. — I powiedz, że misję wypełnię. Już nie wracaj.

Wkrótce potem „Seila” wypłynęła w morze.

46.

W głębokich piwnicach mieścił się skład win. Kiedyś. Teraz olbrzymie beczki były puste, zaś w niektórych znajdowały się przedmioty nie mające nic wspólnego z trunkiem.... Część usunięto, by starczyło miejsca dla solidnych skrzyń, których całe piramidy piętrzyły się pod ścianami. W największych spoczywały kolczugi, przełożone starannie tłustymi szmatami; znaczną ilość pancerzy sprowadzono niedawno z Grombelardu, dobra setka zaś pochodziła ze skarbcza Demona Walki. Dalej, w skrzyniach krótszych nieco, ale głębszych, schowane były kirysy dla ciężkiej piechoty, jeszcze dalej tarcze, potem hełmy: kapaliny dla kuszników i piechoty ognistej, półzamknięte łebki dla toporników i otwarte, dla konnych zwiadowców. Za skrzyniami, oparte o ścianę, stały włócznie, powiązane po dziesięć, o tęczowych od oliwy grotach. Wreszcie skrzynie z mieczami i dalsze, kryjące kusze. A na koniec — sto kozłów pod hakownice, hakownice zaś — w kufrach pod nimi.

W owej niezwykłej winiarni-zbrojowni, zdawało się słyszeć odległy jeszcze, ale już wyraźny, bitewny zgiełk powstania...

— Muszę przyznać, że to widok naprawdę imponujący — powiedziała kobieta skryta w cieniu podpory piwnicznego stropu; dwa łuczywa na ścianach dawały bardzo niewiele światła. Dwa następne oddalone były o dobrych trzydzieści kroków.

— To kompletne uzbrojenie dla tysiąca ludzi — wyjaśnił Askar. — Sądzę, wasza wysokość — zwrócił się do stojącego obok, odzianego w czerń mężczyzny o dość bladej, surowej twarzy — że żadne powstanie dotąd nie było tak dobrze przygotowane pod względem wojskowym.

— To okaże się wkrótce — rzekła dostojna Kahela Alida, wdowa po zmarłym niedawno, szlachetnym Kahelu Dogonorze, wychodząc z cienia. — Ilość żelastwa o niczym jeszcze nie świadczy.

— Zapewniam, pani — doleciał głos z tyłu — że samą tylko intrygą nie da się wyzwolić Garry. Nie podzielam twej pogardy dla oręża.

Cała trójka zwróciła się ku nowo przybyłej.

— Proszę mi wybaczyć spóźnienie — dodała, podchodząc.

— Pozwól, panie — rzekł Askar do mężczyzny w czerni — oto ta, która tu, w Doronie, jest duszą wszystkich przygotowań: jej godność Semena.

Dostojny mężczyzna zdawał się nie zwrócić uwagi na fakt, że tytuł poprzedza samo imię tylko, bez monogramów Czystej Krwi.

Ubrana w wojskową tunikę kobieta weszła w krąg światła. Pod pachą trzymała hełm. Alida skrzyżowała z nią krótkie spojrzenie i odwróciła się.

Nienawidziły się szczerze.

— Jestem Mefer Ganedorr. — Mężczyzna skłonił się lekko, nie mogąc wszakże oderwać wzroku od twarzy przybyłej; blask pochodni obramował krwawo, związane w kilka węzłów, ciemne włosy. — Na Szerń, pani, nie poczytaj tego za zuchwalstwo, moja młodość to zamierzcha historia... Ale samo jej wspomnienie każe oddać cześć tak niewiarygodnie doskonałej urodzie. Zwróciłaś mi uczucia, które miałem już za umarłe.

Uśmiechnęła się lekko.

— Moja uroda gaśnie przy urodzie pani Alidy. Pewna jestem, że za lat dwadzieścia nikomu nie będę się podobać.

Była to zwykła, ordynarna impertynencja, nawet nie maskowana. Mężczyźni poczuli się zbici z tropu — uczucie zwyczajne wobec kobiet, rozpoczynających jedną z tych żałośnie niesmacznych bitew bez oręża. Dołożyli starań, by nie wymienić zgorszonych, zagubionych spojrzeń. Alida za to wyglądała na niemal ubawioną; nie zamierzała bynajmniej przerywać ciszy, która trwała, coraz bardziej niezręczna, zdając się zaświadczać ciężką obecnością, jak bardzo dorońska piękność zdołała się wygłupić... Semena spąsowiała nagle, czego nie zdołał ukryć piwniczny półmrok, a wtedy dopiero blondynka przesłała jej dyskretne, przepełnione rozkoszą spojrzenie, ale tak, by nie dostrzegli go mężczyźni.

„Brawo...” — zdawała się mówić.

— Powiedziałem... — rzekł Askar chrząkając. — Mówiłem...

— Oczywiście, panie — podtrzymał natychmiast tamten. — Z całą pewnością przygotowania są czynione należycie. Podał ramię Alidzie.

— Czy dalej — zapytał — także oręż?

— Tak, panie — odrzekł Askar. — Myślę, że szkoda trudu dla

podziwiania zbrojowni. Czas naszych gości jest zbyt cenny, by go trwonić. — Spojrzał na Semenę.

— Podobnie jak czas gospodarzy — zauważyła Alida. — Broń jeszcze przemówi; tymczasem sądzę, że... wybacz, pani, proszę — skinęła z uśmiechem ku Semenie — czekają na rozstrzygnięcie sprawy, w których miecze są niepotrzebne.

Tamta doszła do siebie.

— To prawda — rzekła krótko.

— Chodźmy zatem. — Jego wysokość Ganedorr zatarł dłonie. Zimno tu... a ponadto takie mury nasuwają mi wspomnienia. Złe wspomnienia.

Niedługo potem znaleźli się w przestronnej izbie, kilka pięter nad piwnicami. Wielki stół ugiął się od potraw.

— Jeszcze raz proszę o wybaczenie, że kazałam na siebie czekać — powiedziała Semena. — Tym bardziej, że znów chcę zniknąć. Na krótko, obiecuję. — Wskazała tunikę, jaką miała na sobie, i ciężki hełm, wciąż trzymany pod pachą. — Jego godność Askar świetnie potrafi mnie zastąpić, wiem na pewno.

Dopiero trzy pokoje dalej pozwoliła sobie na grzotnięcie hełmem o ścianę.

Gdy wróciła, przebrana w szafirową suknię, drzwi były zamknięte, a służby ani śladu. Domyśliła się, że Askar zwolnił wszystkich na resztę dnia. Otworzyła drzwi i zaraz zamknęła je za sobą. Ganedorr i Alida siedzieli u szczytu stołu: Askar, ze zręcznością najbiegłego sługi, osobiście nalewał miód do pucharów.

Usiadła naprzeciwko Alidy.

Genodorr skosztował miodu i spojrzał po twarzach obecnych.

— A zatem — zagał. — Sprawa pierwsza, ważna, choć nie najważniejsza: jej dostojność Kahela Alida otrzymała potwierdzenie swej nominacji na stanowisko Drugiej Przedstawicielki Najwyższego Sędziego Trybunału. Nominację przekazał osobiście, w imieniu imperatora, Książę Przedstawiciel w Doronie. Oto zresztą oficjalny powód pobytu pani Alidy tutaj — dorzucił.

Semena i Askar skinęli głowami. Trudno było wątpić, że tak właśnie się stanie. Pod rządami jego godności EB. C. Nalwera Trybunał Imperialny w Dranie stał się istną ostoją sprawiedliwości. Udowodniono dziesiątki win cesarskim urzędnikom i oficerom; udaremniono setki

przestępstw. Miejsca przekupionych poborców zajęli uczciwi; miejsca złych dowódców — dobrzy...

— Jednakże pojawił się kłopot — mówił dalej Ganedorr. — Wraz z nominacją pani Alidy, przybył z Kirłanu człowiek na stanowisko Pierwszego Przedstawiciela. To mężczyzna niezwykle rozumny. Pełni swą funkcję od niespełna tygodnia, a już zaczyna pojmować, że Nalwer to głupiec, który nigdy nie zdołałby osiągnąć setnej części tych sukcesów, co osiągnął... Nim minie następny tydzień, jego godność B. N. A. Kiliven będzie orientował się świetnie, iż to pani Alida kieruje Trybunałem, nie Nalwer.

— To jeszcze nie powód do niepokoju — zauważyła Semena. Chyba dosyć często się zdarza, iż podwładni przewyższają zwierzchników?

— Zapewne masz rację, wasza godność. Ale pani Alida podejrzewa, że Kiliven nie jest człowiekiem przypadkowym. Możliwe, iż sukcesów było więcej niż trzeba. Książę Przedstawiciel starzeje się, zaś cesarz nigdy nie miał serca do kontrolowania poczynań Trybunału. Lecz czyni to cesarzowa. To kobieta niezwykle spostrzegawcza i mądra. Nieprzerwane pasmo sukcesów w najtrudniejszej do kontrolowania prowincji mogło wzbudzić w stolicy... pewne niedowierzenie. A przecież odejście Najwyższego Sędziego i Pierwszej Przedstawicielki zostało prawie wymuszone przez Doronę; wątpliwe, by Kirłan uznał zgromadzone przeciw nim dowody za wystarczające.

— Dokładnie tego się obawiam — potwierdziła Alida. — Nie proszę o radę, bo dość tu macie własnych kłopotów, jak myślę. Uporam się z problemem własnymi siłami. Apeluję jednak o ostrożność. Myślę, że nieprędko znów się zobaczymy, moje wyjazdy z Dranu to teraz zbyt duże ryzyko. Będę też musiała ograniczyć zakres pomocy udzielanej wam, jak i zresztą wszystkim innym naszym ośrodkom. Trzeba liczyć się... nawet z najgorszym. Jeśli moja rola stanie się jasna, większość ludzi, osadzonych przeze mnie na różnych stanowiskach, położy głowy wraz ze mną. Macie sporo takich ludzi w Doronie. Trzeba ograniczyć spotkania z nimi, najlepiej, żeby takich spotkań nie było wcale. I na koniec, jeśli jednak zostanę zdemaskowana, trzeba natychmiast być gotowym do wyrwania ogniów z łańcucha. Ludzie, którzy znają mnie i was albo chociaż domyślają się takich powiązań, muszą wtedy zniknąć. Natychmiast.

Wymienili spojrzenia.

— Sprawa druga — rzekł Ganedorr. — Trzeba byście przejęli kontrolę nad przygotowaniem w Bagbie. Działają tam ludzie mało energiczni.

Semena potwierdziła z pogardą.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał Askar.

Był późny wieczór, dopiero teraz mogli pomówić sam na sam.

— Co się z tobą dzieje? — powtórzył. — Wiem, że nie cierpisz tej pyszałkowatej kobiety, ja również jej nie lubię. Ale czy to powód, by kompromitować się w oczach najlepiej urodzonego człowieka na całej tej wyspie? I to podczas pierwszego spotkania?

Prawie rzuciła się na niego.

— Znowu chcesz mi mówić, co źle, a co dobrze zrobiłam?! Nie wycofał się. Nie tym razem.

— Mam tego dość — oświadczył spokojnie. — Jakim prawem traktujesz mnie jak niewolnika? Nie jestem niewolnikiem. Sama dopuściłaś mnie do udziału w swych planach, robię zatem wszystko, żeby się powiodły. Robię to dla ciebie. Nie dla siebie. Moje ambicje są zaspokojone, jestem komendantem jednego z największych garnizonów imperium, z widokami na stanowisko głównodowodzącego Flotą Główną Garry i Wysp. Twoje powstanie raczej mi przeszkadza w karierze, niż pomaga.

— Dość! — rzuciła wściekle. — Wynoś się! Słyszałeś? Wynoś się stąd! Pokręcił głową z goryczą.

— Trzeba było tak powiedzieć pół roku temu — powiedział. Teraz jest za późno. Oczywiście, dawno już przestałem wierzyć, że czujesz do mnie cokolwiek, zresztą nigdy chyba w to nie wierzyłem... Potrzebowałaś mnie, to wszystko. Kiedyś jednak zapewniałaś o czymś innym. Odkąd jednak przywiozłaś ten skarb... Zmieniłaś się. Przez całą jesień szkoliłem twoich ludzi na tej przeklętej wysepce, wiesz dobrze, co jedliśmy przez ostatnie dwa tygodnie. Wróciłem i nie oczekiwałem niczego, może poza jakimś ciepłym słowem. Bo o wspólnych nocach zdążyłem już zapomnieć...

— I dobrze! — wrzasnęła. — Na wszystkie morza świata, czy uwolnisz mnie wreszcie od widoku swej twarzy?!

— Służba usłyszy — rzekł, nie pamiętając, że wszystkich odesłał.

— Niech słyszy, na wszystkie moce! Mam dosyć wszystkiego, wynoś

się, mówię!

Spojrzał bacznie, tknięty nagłą myślą.

— Co za podarty papier przyniósł ci ten żołnierz? — zapytał. Zła wiadomość? Czy ten twój statek, „Seila”, już odpłynął?

— Ooo! — zawyła, zaciskając pięści. — Po raz trzeci i ostatni: wynoś się!

Porwał leżący na stole swój pas z mieczem i zapiął na biodrach.

— Ale jeśli wyjdę — zgrzytnął, szarpnięciem zrywając pelerynę z oparcia wysokiego krzesła — to nie licz na to, że zostawię cię w spokoju, razem z twymi nieczystymi sprawami! Twoje powstanie skończy się, zanim w ogóle wybuchnie!

— Grozisz? — zapytała zdławionym szeptem. — Dobrze... — wycedziła powolutku — chodź ze mną...

Szybko ruszyła ku drzwiom, pchnęła je, po czym niemal pobiegła przez pokoje. Wpadła do sypialni, kopniakiem odrzuciła wieko skrzyni, wyjęła z niej pas z mieczem i potężny klucz. Pas zapięła na sukni.

Szybko zeszli do piwnic. Pojedyncza pochodnia płonęła przy schodach, pozostałe gaszono, gdy nie były potrzebne, bo w pomieszczeniu, pomimo jego rozmiarów gromadził się dym. Poprowadziła obok skrzyń z orężem, w sam koniec lochu. Uniosła klapę w podłodze, ciągnąc za żelazny pierścień. Strome schody prowadziły w dół.

— Dzieło mego życia — powiedziała, oddychając szybko. Oddała mu pochodnię.

— Sam chciałeś, durniu... Ty! — cisnęła mu w twarz. — Ty byłeś największym problemem! Zmieniłam się?! — Parsknęła niesamowitym śmiechem. — Zmieniłam...

Schodów nie było wiele. Króciutki korytarzyk wiódł do szerokich, masywnych drzwi. Odsunęła potężne zasuwki i otworzyła je. Za nimi były drugie. Te otworzyła kluczem. Z wnętrza pomieszczenia buchnął straszliwy fetor. Przekroczyła próg i odebrała mężczyźnie pochodnię. Zatknęła ją w uchwyt na ścianie.

— No, chodź... — powiedziała, dygocąc od wewnętrznego chichotu. — Chodź, chodź... Coś ci pokażę.

Nigdy w życiu nie widział czegoś równie straszego.

Na łańcuchu przyczepionym do sufitu wisiała jakaś... istota. Nogi nie

sięgały ziemi, były bowiem ucięte na wysokości kolan.

Światło pochodni odśloniło szczegóły, dowodzące, że łańcuch przytrzymał... kobietę. Potworna nagość ujawniała przerażające blizny po oderżniętych piersiach. Głowę pokrywały resztki włosów, miejsca zaś, gdzie ich nie było, zdawały się świadczyć, że wyrwano je razem ze skórą. Kobieta miała wyłupione oczy i dziury w policzkach, odsłaniające zęby. Szczątki nosa zrosły się w jakąś nieforemną bryłę.

Askar, zroszony potem, cofnął się, opierając o ścianę.

— Cóż to? — usłyszał świszczący głos z boku. — Boisz się swojej ukochanej? Ależ tak, to nie ja nią jestem, TO ONA!

Nie pojmował, nie rozumiał, nie myślał.

— Bardzo mi pomogła! — głos znów zadrżał od śmiechu. Uwierz, drogi mój, działając odpowiednio, można znaleźć dostęp do wszystkich tajemnic, poznać wszystkie szczegóły, wiedzieć o twarzach, o imionach osób, które znać trzeba... Oczywiście, sto błędów popełniłam, niektóre dało się naprawić łatwo, inne zaś... Pytałeś o Wantada, starego kapitana Wantada? Był zbyt spostrzegawczy, naprawdę!

— Nie wiem... — rzekł bezmyślnie i bez sensu.

Łańcuch, oplatający ramiona uwięzionej, zakołysał się, gdy okaleczona głowa drgnęła. Dźwięku, jaki wydały usta, nie dało się zrozumieć.

— Nie podejdziesz? — zapytała Semena. Szarpnięte ciało obróciło się na łańcuchu. Wskazała małe znamię na łopatce.

— Poznajesz, oblubieńcze mojej siostry? Z kolei jednym szarpnięciem rozdarła suknię na sobie i pokazała mu plecy.

— Czy ja mam coś takiego?! — zawołała ze śmiechem, odgarniając włosy.

Olbrzymi smok spojrział czerwonymi, trójkątnymi ślepiami.

Askar zaniewidział na chwilę, po czym usłyszał własny, ochrypły krzyk. Ramię dobyło miecza. Zasłona spowijająca głowę opadła, ujrzał błysk wrogiego ostrza i skrzyżował z nim swoje... Wściekłość, ból i nienawiść pozostały, ale szaleństwo uciekło. Oreż zderzony z innym przekazał dłoni zimno walki, dłoń i ramię zaś — należały do żołnierza.

Rękojeść zadygotała mu w ręku, poznał, że ta półnaga, szczerząca zęby wilczyca wie, co robić z mieczem. Odepchnęła go; wyzywająco, z wyrzuconym przez zwarte zęby śmiechem, puściła broń, pozwalając, by

zawisła pionowo w powietrzu, po czym uchwyciła trzon rękojeści odwrotnie, kciukiem obejmując głowicę — i zaatakowała z bliska oszczędnym, płaskim cięciem.

Tak walczyli piraci z Wysp, w abordażowym tłoku, krótki miecz prowadząc blisko ciała, ukryty pod przedramieniem, to znów wiodąc głownię wierzchem od lewej pachy. Taka szermierka sprawdzała się w mętliku walki na noże i pięści, walki bardziej będącej zapasami, wymagała przy tym znacznej siły, bowiem ostrze chętnie uciekało ku ciału. Sparował cios z łatwością. Nienawiść dusiła go. Ale nigdy dotąd nie myślał tak jasno. Wiedział, że ją zabije.

Potrafiła walczyć, ale przed nim broń nie miała tajemnic. Kochał broń. Tak jak kochał dziewczynę, z której pozostał tylko strzęp ludzkiego mięsa, wiszący na łańcuchu.

Otoczył kobietę z tatuażem kręgiem szybkich cięć, które wychwytywała z najwyższym trudem. Skaleczył ją w ramie, zranił w brzuch, potem przebił sztychem gardło. Wrogi miecz upadł z brzękiem.

Objęła dłońmi szyję i ukłękła ciężko, wytrzeszczając oczy. Krew buchnęła strumieniem. Osunęła się na bok i znieruchomiła.

Oddychał ciężko, wreszcie upuścił broń. Nie potrafił spojrzeć w stronę kołyszącej się nad klepiskiem postaci...

Wreszcie to uczynił. I zapłakał.

— Na Szerń — powiedział, łkając. — Na Szerń...

Upadł na kolana, kryjąc twarz w dłoniach. Łzy ciekły między palcami, gdy pochylał się coraz niżej.

Z tyłu huknęły zamykane zasuwki — i było już za późno na działanie.

Wtedy usłyszał śmiech. Wisząca na łańcuchu kobieta potrafiła jeszcze się śmiać.

47.

W Złym Kraju czas płynął inaczej...

Raladan stał na dziobie, z rękami zatkniętymi za pas, i marszczył brwi. Los mu nie sprzyjał. A wiatry zdawały się być przejawem woli losu. Na początku podróży wiało od wschodu. Wiatr ze wschodu, wiosną, nie był niczym niezwykłym. Niemniej „Seila” przez dwa tygodnie szła z mozołem ostro na wiatr, wiejący zmiennie ze wschodu, to znów z północnego wschodu — czyli wprost od dziobu. Idąc to prawym, to lewym halsem, bardzo nieznacznie zbliżyli się do celu podróży. „Seila” radziła sobie świetnie, cóż z tego jednak? Przeciwny wiatr był przeciwnym wiatrem.

Później zaś wiatru zabrakło w ogóle.

Przekłęta cisza złapała ich u wschodnich wybrzeży Dartanu. Gdy skończyła się wreszcie, poszli trochę łatwiej, półwiatrem, ale co z tego, gdy na Morzu Dartańskim znów dostali słabe podmuchy ostro od dziobu?

Morze Puste, leżące w granicach Bezimiennego Obszaru osiągnęli późno, bardzo późno. Raladan wiedział, że czasu jest mało. Tym bardziej, że w Złym Kraju czas płynął inaczej. Wolniej przecież.

— Wciąż nie widzę różnicy — powiedział Davaroden, podchodząc do Raladana. — Czy to aby na pewno ten legendarny Zły Kraj, kapitanie?

Raladan spojrzał zamyślonym wzrokiem.

Dowódca kuszników okazał się dobrym towarzyszem. Nim wstąpił na służbę u Semeny, wiódł barwne życie: był żołnierzem straży morskiej, bosmanem na kupieckiej kodze, najemnikiem w służbie garyjskiego magnata, potem łowcą niedźwiedzi w Dartanie i znów żołnierzem — w Grombelardzie. Przyznawał, że nigdzie nie wiodło mu się lepiej jak pod rozkazami jej godności Semeny; sarkał jednak trochę na zbytnie — jego zdaniem — rozpieszczanie żołnierzy.

„Jej godność — rzekł kiedyś Raladanowi przy kubku rumu chce chyba, by żołnierze ją kochali. Widzę panie, jakim jesteś kapitanem, dlatego powiem śmiało: żołnierz musi uszanować zwierzchnika i nic więcej. Kocha się tylko wino. A i to lepiej z umiarem”.

Ta uwaga przypominała kapitanowi „Seili” Lerenę. Czyż Davaroden nie potwierdzał tego, co on sam mówił kiedyś? Nigdy jednak nie sądził, że siostra Lereny zabiega o względy podwładnych. Okazywało się oto, że różnice w postępowaniu bliźniaczek były mniejsze, niż sądził.

Tak... Podobne miały nie tylko twarze. Czemu jednak zawsze wolał Lerenę?

Z Davarodenem zgadzali się w wielu sprawach; Raladan odkrył w nim bratnią naturę. Różnili się tym głównie, że on sam życie trwale związał z morzem, wykorzystując swój dar rozumienia słonych wód. Davaroden takiego daru nie miał, szukał więc miejsca dla siebie w różnym działaniu i na różnych polach. Łączyła ich jednak wspólna nienawiść do trwania w bezruchu.

— Nie widzę tu celu dla swych bełtów. — Gruby Wyspiarz oparł się o nadburcie. — Chyba pora przybić gdzieś do brzegu.

Raladan skinął głową, po raz kolejny konstatując, że kusznik wiele zyskał w magnackiej służbie: jego mowa brzmiała daleko czyściej niż u większości ludzi urodzonych na Wyspach, rzadko wtrącał wyrazy gwarowe, a zdania budowane były na garyjski sposób. Ponadto Davaroden znał trochę dartański i wcale nieźle radził sobie z grombelardzkim.

— Może przybijemy, jeśli będzie trzeba — rzekł Raladan. — Ale do wysp, blisko Czarnego Wybrzeża. Wprost przed nami. Wolę dotrzeć tam wodą niż lądem. Nawet jeśli ta woda to Morze Puste.

Kusznik popatrzył bacznie.

— Mówiłeś, kapitanie, że byłeś już kiedyś tutaj. Wiesz zatem, co robić. Ale myślę, że skoro przy płynęliśmy tu po Porzucone Przedmioty, to nie znajdziemy ich w wodzie.

— Nie?

— No, nie wiem... Chyba nie.

— A ja ci mówię, że znajdziemy. Oczywiście, nie w samej wodzie. Ale właśnie na wysepkach, o których mówiłem. Tylko ludzie, którzy nigdy w Kraju nie byli, sądzą, że Przedmioty są wyłącznie na Czarnym Wybrzeżu. Tymczasem niektóre z tych wysepek przypominają skarbcce. Oczywiście, skarbcce strzeżone.

Wyspiarz uniósł brwi.

— Przez strażniczki — uzupełnił Raladan.

— Kobiety?

— Nie, przyjacielu... Chciałbyś. Przez syreny. Davaroden spojrzął z niedowierzaniem.

— To nie bajki? Myślałem...

— Myślałeś jak każdy kto tu nie był. Dziwna sprawa z tym czasem, mówi każdy, bo pływa się po Kraju trzy dni, a gdy go opuścić, okazuje się, że minął miesiąc. Ale jakieś tam syreny czy ślepe nietoperze? A tymczasem, przyjacielu, to miejsce nie bez powodu nazwano Złym Krajem.

— Wspominałeś, kapitanie, żeś tu był — mruknął kusznik. — Kilka razy. Ja też nie lubię strzępić języka bez powodu. Ale może warto, bym usłyszał wreszcie parę słów? Chcę wiedzieć, czego moi żołnierze mają się spodziewać. Myślę, że to nie zaszkodzi. Podobno tu się umiera.

Raladan skwitował wymówkę skinieniem głowy. Obejrzał się na pokładową wachtę: uznał, że wszystko w porządku, po czym oparł łokcie o nadburcie, tak jak kusznik.

— Zanedbałem — przyznał. — Istotnie, nie lubię mówić o swoich dziejach. Ale jesteśmy w Złym Kraju, prawda... Słuchaj, Davaroden, i przekaz innym.

Przez chwilę zbierał myśli.

— Ładnych parę lat temu — podjął — dwustu trzydziestu zuchów na najlepszym okręcie wszystkich mórz zapuściło się tutaj. Wróciliśmy bogaci. Ale wróciło nas czterdziestu kilku. Resztę spalił wiatr, zabiły fale z kamienia, utopili się w świetle albo zmiażdżyły ich cienie. No, to wiesz już o Złym Kraju prawie tyle co ja.

Wyspiarz patrzył niepewnie.

— Czego się spodziewałeś? — zapytał Raladan, przepatrując widnokrąg. — Smoków? Żywych szkieletów? To właśnie są bajki. Połowa naszych, spośród tych, co wrócą, będzie rozpowiadać, że takie cuda tu były. No bo co powiedzą? Że jak dwaj położyli się w cieniu, to została z nich rozbryźnieta, śmierdząca kałuża? Co drugi przysięgnie potem, że widział olbrzyma, zupełnie niewidzialnego, który ich rozdeptał. Uwierz mi, przyjacielu, że ze wszystkiego, co nas tu wtedy zabijało, okaleczało, porywało i doprowadzało do obłędu, umiem nazwać i od biedy pojąć ledwie parę rzeczy. Na Czarnym Wybrzeżu opadły nas olbrzymie nietoperze, które mało zdziały, chociaż wszędzie było ich pełno.

Strasznie wyglądają, ale jak przyłożysz się mieczem albo wycelujesz z kuszy, to zabijesz. Nasz bosman zadusił jednego. Gorsza sprawa z rogatym wilkiem, chyba większym od żubra. A najgorsza właśnie z syrenami. Mają ogony i płetwy, żebyś wiedział. Mają też wszystko inne, co musi mieć ryba. Bardzo piękna ryba, to prawda, żółta, czerwona i zielono-czarna. Wielka jak rekin. A śpiewa najcudniejszym kobiecym głosem, jaki w życiu słyszałeś. Trudno powiedzieć, dlaczego to właściwie jest głos, na dodatek kobiecy... Tak myślisz i tak to czujesz. Ale jeśli posłuchasz dobrą chwilę, toś trup. Ludzie rzygali krwią na moich oczach, skakali do morza albo przebijali się mieczami, bo tego, co robi ten śpiew, nie zrobią ci nawet w lochach Trybunału. Umierasz z bólu, czując, jak w środku wszystko pęka, serce, płuca i flaki... Zatkanie uszu wcale nie pomaga. Dlatego właśnie mówię, że nie wiadomo, dlaczego to jest głos. Bo do słuchania uszy są niepotrzebne. Raladan zamilkł, marszcząc brwi. Davaroden potrząsnął głową.

— Jak się bronić? — zapytał ponuro.

Kapitan wskazał morze. Kusznik podążył spojrzeniem, zatrzymując je o dobrą milę od statku.

— Co to jest?

Czarne kształty wynurzały się, to znów znikwały pomiędzy falami.

— To są?...

— Orki — potwierdził Raladan. — Jak się bronić? One cię obronią. Jeśli zdążą... Wtedy też za nami płynęły. Nie wiem czemu. Trzeba tylko wytrzymać — dorzucił po chwili, pozdrawiając dłonią, chyba odruchowo, czarne grzbiety. — A wytrzymać wcale nie jest łatwo. Widziałem twardych, dzielnych chłopców, którzy nie wytrzymali. Zresztą, nie wystarczy tylko zaciśnięcie zębów. Na jednych działa to szybciej, na innych znowu wolniej. Byli tacy, co rzygali krwią już po krótkiej chwili, inni doczekali... Stado orek, takie duże jak to, wymordowało syreny i zostało nas półtorej setki. Ale wielu jeszcze skonało. Bez obaw — dorzucił z lekko kpiącym uśmiechem — jeszcze nie czas. Zdaje się, że syreny są tylko przy wyspach.

— Może lepiej ominąć wyspy? — Davaroden nie taił swej niechęci do syren. Raladan milczał.

— Na jednej z tych wysp — powiedział w końcu — widzieliśmy wtedy warownię. Myślę, że to dom mędrca-Przyjętego. No bo czyj? Orki

ciągle płyną za nami. Jeśli nas nie porzucą, przybijemy do tej wyspy. To najbezpieczniejsza z rzeczy, jakie można zrobić.

— Nie rozumiem, kapitanie... Raladan uczynił niejasny gest ręką.

— Śpiew syren jest zabójczy, ale — wskazał stado — mamy na to sposób. Jeśli jednak przyjdzie szukać Przedmiotów i Przyjętych na Czarnym Wybrzeżu, to nie wiem, co nas tam czeka. I orki nam nie pomogą.

Wyprostował się.

— Wtedy, na Czarnym Wybrzeżu — powiedział — pół mili od brzegu, powiew wiatru spalił dziesięciu ludzi, płynących szalupą w górę rzeki. Masz może na to sposób? A zatem — zakończył, nie otrzymawszy odpowiedzi — wybieram niebezpieczeństwo duże, ale znane.

*

Powstanie miało wybuchnąć na dwa, trzy tygodnie przed jesiennymi sztormami. Teraz był koniec wiosny. Ale łatwo dało się obliczyć, że chcąc zdążyć przed jesienią, choćby prosto na Agary, „Seila” nie może pozostać w Złym Kraju dłużej niż dziesięć dni.

Minęły już dwa. Raladan nie obawiał się, że wróci z pustymi rękami. Porzucone Przedmioty w jakiś sposób „lubiły” być znajdowane, leżały w najbardziej oczywistych miejscach... Gorzej wyglądała rzecz z Mędrcom-Przyjętym. Kapitan nie bardzo chciał wierzyć, że legendarny lah’agar — człowiek usynowiony przez Szerń — połakomił się na złoto Riolaty. Ci ludzie nie pożąдали bogactwa; gdyby tylko zechcieli, mogliby wznosić całe domy ze srebra... Zły Kraj nie był dla nich miejscem groźnym, każdy Przyjęty mógł nazbierać sobie Przedmiotów, jakby to były grzyby i wynieść je do Dartanu, gdzie za Listek Szczęścia płacono tyle samo co za ładną niewolnicę z hodowli...

W Morskiej Prowincji o Złym Kraju, mędrkach-magach i Porzuconych Przedmiotach wiedziano niewiele, a to, co wiedziano, rzadko pokrywało się z prawdą. Raladan zdawał sobie sprawę, że jego wiedza o czyhających tam niebezpieczeństwach jest bardzo powierzchowna; zgodnie z tym, co powiedział dowódcy kuszników, rozumiał niewiele, choć może i widział niejedno... Żałował, że nie ma więcej czasu. Mógłby udać się najpierw do Grombelardu, gdzie o Złym Kraju wiedziano tyle co na Wyspach o Morzu Zwartym. Służąc pod Rapisem, poznał swego czasu człowieka, który w górach Grombelardu

był tym, czym Demon Walki na morzach. Basergor-Kragdob, król Ciężkich Gór i górskich rozbójników. Raladan przypomniał sobie tego olbrzymiego, potężniejszego nawet od Rapisa, mężczyznę z jasną, równo przyciętą brodą. Spotkali się z Demonem w Londzie, grombelardzkim porcie u bram Wód Środkowych. Raladan przypomniał sobie, że jego kapitan rozumiał jasnowłosego herszta zbójców niemal w pół słowa — i na odwrót. Byli prawie jak bracia, ludzie o tej samej naturze... Widzieli się tylko przez cztery dni. Kragdob, w Londzie właśnie, spadł im jak z nieba, proponując wspólną rozprawę z morskim konwojem, wiozącym kolczugi, miecze i hełmy do armektańskiej Rapy. Rozbójnik i jego podkomendni weszli na pokład „Węza”, a potem wzięli udział w walce z żołnierzami. Ci ludzie pierwszy raz bili się na morzu... a nawet teraz, po tylu latach, Raladan musiał przyznać, że nie widział nigdy doskonalszych kuszników i takiego rębajły jak wódz górali! Ramię w ramię z Rapisem bawili się, jeden dwoma mieczami, drugi toporem. Ze sto razy chciał potem Demon płynąć do Grombelardu — choćby po to tylko, by znów zobaczyć człowieka, który przez cztery dni był mu bratem. Surowy pirat, gardzący sentymentami, nigdy nie krył swej słabości do olbrzymiego górala. Zresztą — rzecz niezwykła — bardzo wiele przyjaźni zawiązało się wtedy. „Wąż Morski” często sprzymierzał się przeciw z innymi pirackimi żaglowcami: kilka razy z „Kaszalotem” Brorroka, raz i drugi z „Północą” Alagery... Po zakończeniu zadania płynęli każdy w swoją stronę — bo też łączyło ich niewiele więcej niż właśnie owo zadanie. Tymczasem zdumiewające przyjaźnie żeglarzy z góralami przetrwały lata; bardziej gadatliwy od Rapisa Ehaden wielokrotnie wspominał Delona, młodego mistrza miecza z Grombelardu. A już chyba najdziwniejsza była sympatia, żywiona przez pilota Raladana do zastępcy Kragdoba, sympatia zresztą wyraźnie odwzajemniana. Może u jej korzeni leżało to, iż obaj byli przewodnikami: jeden po morzach, drugi po górach...

Kot-magnat, L. S. I. Rbit.

Raladan znał koty już wcześniej, widział je w armektańskich portach. Jednak dopiero w Londzie ujrzał gadba: grombelardzkie koty-olbrzymy.

Rbit był wielki nawet pośród gadba. Raladan zaczął wtedy wierzyć w zasłyszaną historię o oddziale Gwardii Grombelardzkiej, złożonym wyłącznie z kotów. „Mordercy z Rahgaru” mogli być postrachem

rozbójniczych band, mniejszych i gorzej zorganizowanych niż grupa Basergora-Kragdoba.

Raladan nigdy nie zastanawiał się, jak właściwie wyglądało współistnienie dwóch rozumnych gatunków. Nigdy ten problem nie dotyczył go bezpośrednio. Jednak w Londzie ujrzał kotów dziesiątki, jeśli zgoła nie setki. Spozrzegł, że były czymś zwyczajnym. Różniły się pomiędzy sobą tak, jak różnią się ludzie. Poza barwą sierści drobne różnice w wyglądzie umykały mu oczywiście, dowiedział się jednak, że z drugiej strony wygląda to bardzo podobnie... Rzadko przebywający pośród danych ludzi kot łatwo dostrzegał różnice wzrostu, barwę włosów... Jednak rysów twarzy musiał po prostu się uczyć. Ale różnice między kotami nie dotyczyły, oczywiście, tylko wyglądu. Koty włóczyły się po porcie, wraz z różnymi bandami rzezimieszków, lecz były i takie, które pracowały wspólnie z ludźmi. Niektóre zajęcia zdawały się być w Londzie niemal wyłącznie domeną kotów. Kupcy chętnie płacili im za pilnowanie towaru. Wszelkiego rodzaju kurierami, posłańcami i gońcami były zwykle koty. Legia Grombelardzka dawała kociemu zwiadowcy żołd dziesiętnika, zaś koci patrol na ulicach miasta, szczególnie w nocy, był niezastąpiony, pojawiając się wszędzie, gdzie było to potrzebne, jak wyczarowany z ciemności... Jednak najchętniej czworonożni rozumni imali się zająć dorywczym. Jedząc pięć razy mniej niż ludzie, nie gustując w przedmiotach zbytku, nie pojmując idei ubiorów ani stałych mieszkań, mogły sobie koty pozwolić na życie z drobnymi, płatnymi zleceniami: przekaż wiadomość; sprawdź, czy statek zawinął do portu; odszukaj tego to, a tego człowieka... Widok zażywnego mieszczanina, stojącego na progu domu i ryczącego wzdłuż ulicy: „Zlecenie!” — nikogo w Londzie nie dziwił. Zaraz zresztą pojawiała się jakaś nieduża, kosmata sylwetka i dobijano targu; zarobiony grosz znikał w płaskiej kociej sakiewce, przyczepionej pod brzuchem.

Nigdy jednak nikt nie widział kota w straży morskiej ani na kupieckim żaglowcu, zresztą nawet Rbit nie wszedł na pokład „Węza Morskiego”, dając do zrozumienia, że uważa to miejsce za najgłupsze ze wszystkich w jakich mógłby się znaleźć.

Co najbardziej Raladana zdumiało, to autorytet, jakim cieszył się Rbit u ludzi Kragdoba. Był niekwestionowanym jego zastępcą, krótkie słowo kończyło każdy spór, rozstrzygało wszelkie wątpliwości. Zresztą

sam przywódca rozbójników ze zdaniem kocura liczył się bardziej niż z czymkolwiek innym na świecie. Łączyła ich wyraźnie widoczna przyjaźń i zażyłość, jaką trudno spotkać między dwojgiem ludzi...

Wszystkie te wspomnienia nasunęły się Raladanowi po rozmowie z Davarodenem. Wspomniał mimochodem, że warto by tutaj, w Złym Kraju, mieć takich ludzi, jak górale, których spotkał w Londzie przed laty. Wymienił nazwisko: Basergor-Kragdob, i zdziwił się cokolwiek, ujrawszy minę kuznika.

— Wiesz przecież, panie — rzekł wtedy Davaroden — że służyłem w Legii Grombelardzkiej? To nazwisko jest tam znane każdemu żołnierzowi lepiej niż nazwisko dowódcy jego garnizonu. Od pewnego czasu nikt nie widział tego człowieka, nie wiadomo, co się z nim stało. Ale wciąż mówi się, że trząsał całym Grombelardem, miał dostęp do tajemnic, o jakich mało komu się śniło... Powiadają, że poprzedni Książę Przedstawiciel w Grombie stale czuł na gardle jego palce, stąd mnóstwo niezrozumiałych zarządzeń, wyglądających dziś jak spis rozbójniczych przywilejów. Na Szerń, gdybym spotkał kiedy tego człowieka-legendę, od razu zrzuciłbym mundur, idąc za nim wszędzie, o ile, rzecz jasna, by mnie wziął... Czy wiesz, panie, co znaczy „Basergor-Kragdob”? Tyle tylko co „władca Ciężkich Gór”.

— Co znaczy zatem „Basergor-Kobal”? — zapytał poruszony Raladan. — Może wiesz i to?

— L. S. I. Rbit! — Kuznik pokręcił głową, zdumiony. — Więc znasz i jego? Kapitanie, urosłeś w moich oczach! Ten kot to książę gór, to właśnie oznacza jego miano. Najdziwniejsza i chyba najbardziej tajemnicza istota Szereru, ród L. S. I. kierował ponoć słynnym Kocim Powstaniem. To najlepiej urodzony kocur, jakiego zna imperium, sam cesarz po zwycięstwie powstania nadał jego przodkom status Czystej Krwi. Ten kocur ma nazwisko, jakim niewielu ludzi może się poszczycić. To nazwisko w Dartanie, wrażliwym na tytuły i rangę urodzenia, dałoby mu stanowisko u boku Przedstawiciela.

Zamilkli obaj, zbyt zdumieni, by dalej rozmawiać. Potem im przeszkodzono, a jeszcze później zabrakło okazji, by podjąć temat.

Jednak to, co powiedział Davaroden, kazało Raladanowi tym bardziej żałować, że los nie pozwolił już nigdy „Wężowi Morskiemu” na zawinięcie do Londu.

Tak czy inaczej, pomijając nawet zniknięcie Kragdoba, o którym mówił kusznik, teraz nie mieliby czasu na szukanie kogokolwiek gdzieś w Grombelardzie. „Seila” i jej załoga były zdane na własne siły. I największym problemem Raladana były wcale nie losy górskich rozbójników, lecz — znalezienie Kuli Ferenu. A nie było żadnej pewności, że znajdzie ten akurat Przedmiot w tak krótkim czasie, jakim dysponował.

„Znajdę — obiecał, myśląc o tej, którą musiał oddać we wrogie ręce, a która znaczyła dlań więcej niż cokolwiek na świecie. — Znajdę, pani, bądź pewna i zaufaj mi. Przebacz, że musiałem zostawić cię bez opieki. Ale nie na zawsze”.

48.

Ta, do której kierował swoje zapewnienia, była znacznie bliżej, niż sądził. W Rollaynie, stolicy Dartanu, ledwie dwieście mil od wód nazywanych Morzem Pustym.

Największe, najpiękniejsze, najbogatsze miasto Szereru było jednocześnie miejscem nieskończenie zepsutym. Człowiek nigdzie nie znaczył mniej niż w Rollaynie. Tu wagę miały tylko nazwiska, tytuły, pałace i złoto. Wokół dworu Księcia Przedstawiciela krążyły wszystkie inne dwory, wokół tych z kolei — domy świetnych rodzin... Pławiono się w zbytku i bogactwie, handlując powszechnie tym, co w Rollaynie miało jakąś wartość: mężczyźni sprzedawali swe nazwiska, biorąc za nie urodę kobiet; kobiety sprzedawały urodę za pałace; pałace oddawano za tytuły, te zaś za złoto. Cały Dartan pracował na łśnienie tego miasta, właściciele wsi rozrzuconych po całej prowincji najwspanialsze swe rezydencje mieli właśnie w Rollaynie.

Przybywali tu ludzie ze wszystkich krain Szereru, i to przeróżni: mistrzowie miecza na turnieje; kupcy z towarem, osiągającym tu ceny niesłychane; rozmaici nowobogaccy, pragnący zbliżyć się do wielkich tego świata; najemnicy, szukający okazji, by wstąpić do Gwardii Dartańskiej — najbardziej rozpróżnianej, najpiękniejszej i najlepiej opłacanej formacji imperium; wreszcie prostytutki i złodzieje.

W takim mieście znalazła się Ridareta.

Jej niezwykła uroda, połączona z widocznym kalectwem, nawet tu zwracała uwagę; mniej przecież niż w jakimkolwiek innym zakątku Wiecznego Cesarstwa. Pięknych kobiet w Rollaynie było dużo, nie bez powodu Dartanki słynęły z urody (ale także, niestety, z przykrego usposobienia). Również obłęd dziewczyny nikogo specjalnie nie obchodził, trudno było czerpać z niego pieniędzy lub użyć do kariery... Przedmieście dartańskiej stolicy nie miało nic wspólnego z przedmieściami takiej garyjskiej Dorony czy Bagby, nie mówiąc już o Dranie... Któż tu mógł dociekać, czy jednooka piękność to magnatka, która uciekła z kochankiem? Takich magnatek przedmieście widziało dziesięć każdej nocy... Gdzieś przecież musiały zdobywać stanowiska dla

mężów. Miały może to robić we własnych komnatach?

Kupiec, właściciel domu, w którym Ridareta i jej opiekunowie zajęli całe piętro, nie miał wcale ochoty pytać o cokolwiek. Łatwo poznał, że przybysze nie są mieszkańcami Dartanu. Ot, kolejni, chcący znaleźć szczęście w Rollaynie. Wziął pieniądze za pół roku z góry, i to niemało. Bardzo tych pieniędzy potrzebował, interesy zimą poszły gorzej.

Ridareta rzadko opuszczała swój pokój. Nie dlatego, by jej zabraniano. Semena mówiła prawdę Raladanowi (choć niecałą prawdę, oczywiście...): trzech mężczyźni, którzy zabrali Ridaretę z Dorony, bardziej byli jej opiekunami niżli strażnikami. Zawsze towarzyszył jej któryś, ale to było jedyne, co musiała znosić.

Czego nie domyślił się Raladan, to tego, że Semena, tak naprawdę świetnie wiedziała, gdzie w razie potrzeby szukać zakładniczki...

Ridareta nie opuszczała pokoju, bo wołała patrzeć w zwierciadło.

Była znowu piękniejsza. Ale też bez reszty już obłąkana. Nie przemówiła od miesiąca. Czasem tylko szeptała coś swemu odbiciu w kryształowej tafli. Gdy nie patrzyła w lustro leżała w mięciutkiej, dartańskiej pościeli, gapiąc się w ścianę lub sufit.

Był to jednak spokój zwodniczy. W środku bowiem trwała wojna. Przegrana wojna. Mająca się ku końcowi...

Trzech mężczyźni, wiodący żywot zaiste próżniaczy, nie mogli o tym wiedzieć. Dawno już przestali zwracać uwagę na swą podopieczną. Dbali tylko, by nie zbywało jej na niczym. Przed wyjazdem z Dorony — tak właśnie im przykazano.

*

Semena uniosła głowę, odwracając ją nieco w bok. Zwierciadło odpowiedziało tak jak zawsze od trzech z górą miesięcy: blizna od miecza, choć dobrze zagojona, była jednak widoczna.

Dotknęła dłonią szyi, zagryzając usta.

Wtedy, zatrzasnąwszy zasuwę, nie myślała o takich głupstwach. W rozdartym gardle, pomimo bólu, rzeził pryskający krwią śmiech. Wiedziała tylko jedno: ten człowieku umrze. Z głodu, ale prędzej z braku powietrza.

Przyciskając rękę do rany, zataczając się, weszła po schodach i z hukiem opuściła wielką klapę.

Z głodu... Znów śmiech zabulgotał we krwi. Z głodu chyba nie.

Zostawiła mu dosyć mięsa pod sufitem.

Oslabiona, oparła się o ścianę i zsunęła po niej plecami. Taka rana nie była groźna. Ale kosztowała dużo bólu i nie zniknęła natychmiast. Zamknęła oczy; otworzyła je po chwili na powrót i oddarła od skraju sukni dość długi, niezbyt szeroki pas. Owinęła szyję. Dlaczego nie miałyby pomóc swemu ciału? Znów zamknęła oczy i siedziała bez ruchu.

Taka rana nie była groźna... Sprawdziła. Odcinane członki umierały, jednak wszelkie inne skaleczenia czy zranienia goiły się szybko. W najgorszym wypadku trwało to parę dni. Wtedy, gdy cios trafił w serce. Myślała nawet przez jakiś czas, że ją zabiła... Ale nie. Przytomność wróciła, choć trochę to trwało. Tylko ból, zdaje się, był niezwykle silny. Próbowana trzy razy, zawsze z tym samym skutkiem: najpierw utrata przytomności, potem dwu, trzydniowe spazmy bólu i wyzdrowienie.

Nie ważyła się tylko na uszkodzenie mózgu. Zbyt duże ryzyko... Riolata ciągle była jej potrzebna, nie mogła umrzeć.

To nie miało końca. Wciąż, jak wyczarowani, pojawiali się ludzie, których znać powinna, a nie znała. Radziła sobie różnie: czasem dobrze, czasem całkiem źle. Nikt jednak nie odkrył prawdy. Była w tym ogromna zasługa Raladana... Poszukując Ridarety, zabił w Doronie niemal wszystkich tych, którzy znali ją naprawdę dobrze.

Poza kapitanem Wantadem i tym tutaj... Askarem...

Wantad musiał wiedzieć, że Riolata ma bliźniaczą siostrę. Na szczęście nie potrafił zamaskować swych podejrzeń. Zdołała go usunąć jeszcze na pokładzie „Seili”, zanim dotarli do Dorony. Próbował dostać się do zmasakrowanej, zakneblowanej kobiety w ładowni... Zniknięcie kapitana okrętu było dla załogi nie lada zagadką. Ale założono nieszczęśliwy wypadek...

Askara wrzucić do morza nie mogła. Na pokładzie „Seili” po prostu prawie nie wychodziła z kajuty... Tu, w Doronie, czekało tysiąc spraw. Znała je z grubsza, miała dość czasu w skarbcu-jaskini, by wydobyć z Rioly niejedno. Ale o Askarze nie wiedziała.

Na co liczyła Riolata? Że ten człowiek ją zdemaskuje? Przeliczyła się. Ale brakowało niewiele. Raz i drugi chciała już rzucić tę zabawę, brać skarb i wszystko, co widać można, zostawić Doronę, powstanie, Agary...

Jednak stawka była zbyt duża. Zaś w zmaganiach z przeciwnościami jej siostra okazała się orężem niezwykle skutecznym; była mało odporna

na ból...

Wkrótce jednak okazało się, że ten ból nie odebrał jej zdolności myślenia. Łańcuch nie wystarczył. Tę wyjątkową moc miały przecież obie. Uczyła się jej używać, prawie na oślep, próbując, próbując, próbując... Ale próbowała i tamta.

Słowo potrafiło przywołać jakąś cząstkę siły Ciemnych Pasm. Z tym nie było kłopotu, po prostu odcięła Riolacie koniuszek języka i wyrwała dziury w policzkach. Ledwo zrozumiały, świszczący bełkot niewiele mógł sprawić. Ale potem okazało się, że silniejsze od gestów i słów są spojrzenia.

Omam nie przypłaciła tej wiedzy życiem. Gdyby Riolata poczekała jeszcze trochę, rozwinęła umiejętności w odosobnieniu swej celi... Pospieszyła się jednak. A i tak moc czerwonych źrenic omam nie urwała jej głowy.

Wylizala się jakoś.

Wciąż siedząc pod ścianą, dotknęła dłonią szmat okręconych wokół szyi. Były lepkie i mokre.

Wściekłość minęła. Rozumiała już, że popełniła wielki błąd. Askar był potrzebny. Nie tylko jej. Organizatorzy powstania wiązali wielkie nadzieje z dowódcą dorońskiego garnizonu, żołnierzem z krwi i kości i najlepszym dotąd dowódcą, jakiego mieli... Ciężko będzie wytłumaczyć jego zniknięcie, należało liczyć się z dociekliwością Ganedorra, Alidy i całej tej reszty z Dranu. Oczywiście, nikt jej nie będzie podejrzewał, ale samo zainteresowanie sprawą stanie się niezwykle kłopotliwe.

Nie żałowała jednak. Nie umiała dłużej znosić obecności tego człowieka, roszczonego sobie do niej jakiegoś... prawa. Prawa takie mógł mieć tylko jeden mężczyzna.

Ale ten mężczyzna odesłał jej właśnie przedarty na pół akt własności „Seili”. Dar, płynący z serca. Nigdy dotąd nikomu... nic w ten sposób nie dała.

Otrząsając się ze wspomnień, Lerena jeszcze raz zagryzła usta. Wróciła spojrzeniem do odbicia w zwierciadle. Była piękna. Tylko ta blizna... Ale niezbyt widoczna.

— Czemu mnie nie chcesz, Raladan? — zapytała z wyrzutem. Znajdziesz gdzieś piękniejszą? I wierniejszą? Musnęła palcem gładką taflę. Zwierciadło pękło.

*

Pękło także zwierciadło Ridarety. Rozbiła je pięścią.

Drzwi otwały się i z sąsiedniej izby weszli dwaj mężczyźni. Obrzuciła ich spojrzeniem. Zakrywająca wybite oko opaska była ciemnozielona, jak suknia, a na brzegach srebrna.

Uwielbiała srebro. Srebrne bransolety, zausznice, pierścienie i naszyjniki. Kiedyś, gdy dowodziła „Wężem Morskim”, miała na sobie srebro, dużo srebra...

Pokazała dłoń.

— Skaleczyłam się — wyjaśniła spokojnie. — Nic się nie stało. Mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia. Były to pierwsze słowa, jakie wyrzekła od wielu tygodni.

— Przemineło... — odparła, przekrzywiając lekko głowę. Zdawała się śledzić ich myśli.

— I nie wróci.

Wstała nagle. Cofnęli się odruchowo.

— Pani... — rzekł jeden. Przerwała mu niemal w pół słowa.

— Potrzebuję trochę bólu. — Uśmiechnęła się leciutko. — Muszę sprawdzić, czy nie zapomniałam, jak roznieca się ogień...

Odwróciła głowę w bok, pochyliła trochę i spojrzała z ukosa, wciąż z tym samym uśmiechem.

Czerwonożłoty płomień z hukiem ogarnął odzienie obu mężczyzn. Marszcząc brwi, patrzyła, jak wyjące żywe pochodnie miotają się po izbie.

— Na razie umiem tylko rozpalać — rzekła z żalem. — Może kiedyś nauczę się gasić?

Wyszła z izby. Na schodach spotkała przerażonego gospodarza domu.

— Chcesz schudnąć, grubasku? — zapytała. — No to chodź, wytopię z ciebie trochę tłuszczu.

Wyjąca kula ognia stoczyła się po schodach.

49.

Nadciągał zmierzch.

Tamenath-Przyjęty, jednoręki starzec, wielki jak góra i wciąż wysoko noszący łysą głowę, podszedł do okna, ogarniając wzrokiem zamkowy dziedziniec, po którym niespokojnie biegały psy. Przywykł nazywać swój dom zamkiem; był to jednak tylko krępy, mocny oktagon, otoczony dodatkowo murem. Na Czarnym Wybrzeżu taki dom by nie wystarczył. Ale tutaj, na tej wyspie, dawno nie było strażników Porzuconych Przedmiotów. Co innego w morzu. Geh-egy czasem wychodziły na ląd, ale dla obrony przed nimi zupełnie wystarczały basogi, które trzymał. A już mur gwarantował całkowite bezpieczeństwo.

Przechylił głowę, nasłuchując, bo wydało mu się, że z dali dobiegł śpiew syren. Rzeczywiście — śpiewały... Lubił ich pieśni. Były bardzo smutne.

Zdawał sobie jednak sprawę, że właśnie w tej chwili giną poszukiwacze przygód, na jakimś żaglowcu. Syreny nigdy nie śpiewały na próżno.

Prawdę powiedziawszy, nie słyszał ich śpiewu od bardzo dawna. Chyba od kilku lat. Pomógłby może ginącym, pomimo, że wyprawy dla zdobycia próżnego bogactwa (bo tym były dla awanturników Porzucone Przedmioty) miał w głębokiej pogardzie. Nie mógł jednak pomóc, nie widząc tego, przeciw czemu chciał użyć Formuły. Potrafił uczynić samego siebie niewrażliwym na śpiew, a i to tylko taki jak ten, dobiegający z daleka. Gdyby brzmiał wyraźnie, męczyłby się jak każdy, lub niewiele mniej. Inna rzecz, że na pewno by przeżył.

Śpiew umilkł nagle i Tamenath pomyślał, że oto kolejny okręt z martwą załogą dryfować będzie po morzu, aż osiadzie na jakimś brzegu. Kto wie — może nawet na brzegu jego wyspy?

Bardzo krótko śpiewały. Musiały być tuż obok statku, skoro tak krótki śpiew wystarczył.

Najstarszy z mędrców Szereru odwrócił się i poszedł ku środkowi komnaty. Wielki stół zasłany był drobno zapisanymi kartami.

Tamenath tworzył swój wkład do Księgi Całości.

Pora. Wiedział, że wkrótce umrze.

Pochylił plecy, wsunął przedramię pod blat stołu, po czym wyprostował się, uniósł go trochę i przesunął. Nużyła go monotonia; przemieszczanie stołu wokół fotela stwarzało namiastkę odmiany.

Zasiadł w obszernym siedzisku, twardym, z dębowego pnia. Sam je wydrążył.

Wstał po krótkiej chwili i przyniósł Księgę... Pamięć. Pamięć mu nie dopisywała.

Mrok powoli wypełniał komnatę. Wreszcie pochłonął ją zupełnie.

Tamenath czytał.

Przed laty, gdy Szerń uczyniła z dwóch miesięcy jesieni miesiące zimowe, doświadczył podobnego uczucia jak teraz. Szukał śladu Praw, które potwierdziłyby, że właśnie teraz, w tym roku, Szerń przywróci równowagę, odbierając zimie pożyczone miesiące.

Znalazł.

Jeszcze tydzień temu nie potrafiłyby uznać tych wierszy za Prawa. Jednak były nimi. Bez żadnej wątpliwości. Spostrzeżenia żyjącego przed wiekami Przyjętego, którego imię widniało na początku stronicy, tak jak widnieć kiedyś będzie imię jego, Tamenatha.

Przeczytał raz jeszcze. Zwykłe słowa, rozważania o naturze pokoju i wojny, które nagle stały się szalenie wieloznaczne, dając dowód, że jego przypuszczenia zgodne są z treściami zawartymi w Pasmach.

Oczy zapiekły. Męczył się szybko... Pomyślał z goryczą, że będzie musiał zapewnić sobie światło. Dotąd nie było mu potrzebne. Jednak ostatnio z coraz większym trudem przebijał wzrokiem ciemność.

„Klamra Szerni — pomyślał. — Co zaczęło się przed dziewięciu laty, w tym roku się skończy. Klamra”.

Klamry Szerni były fenomenem, z którym nie radziła sobie matematyka. To było jak ironiczny uśmiech rządzącej światem potęgi — martwej przeciw. Udowodnione, prawdziwe ponad wszelką wątpliwość wzory i twierdzenia nagle zawodziły. Obiektywnie istniejące, empirycznie sprawdzalne zjawiska wymykały się teoretycznemu opisowi. Jak fenomen przyspieszenia czasu w Obszarze. Przy zachowanej ciągłości przestrzeni — nieciągłość czwartego wymiaru.

Tamenath westchnął. Nie rozumiał. Był niewiele znaczącym Przyjętym. Śmiesznym mędrcom... jednym z tych, którzy zamiast

twierdzeń filozoficznych wpisują do Księgi Całości przekształcone wzory. Praca wyrobnika. Chłopca na posyłki, przynoszącego mistrzom potrzebne narzędzia. Ktoś taki, jak Wielki Dorlan, dzięki znalezionym w Księdze gotowym przekształceniom oszczędzi sobie kiedyś zbędnego wysiłku. W dziele poznania Szerni matematyk był zaledwie sługą historyka-filozofa. „Starcza gorycz” — rzekł sobie z przyganą. Przewrócił kartę. Wzrok przesunął po dziesiątkach liter. Nagle dłoń zadrżała.

— Przepowiednia — rzekł na głos.

Zaiste. Teraz była to Przepowiednia. W roku spięcia kłamry. Nie sądził, że dane mu będzie ujrzeć Przepowiednię... Poruszył wargami, czytając o dwóch Ciemnych Pasmach, wyklętych przez Szerń. Pojął nagle, jak bardzo się mylił. To nie kłamra Szerni. To kłamra Odrzuconych Pasm. Sprzymierzonych tylko z Bezmiarami.

Odchylił się na oparcie fotela. Zamknął oczy, zmęczone walką z mrokiem.

Jeszcze zanim powstał rozum, Szerń toczyła wojnę z wrogą potęgą, podobną do niej mocą ponad światem — Alerem. Aler został pokonany, ale Szerń utraciła w tej wojnie kilka Ciemnych i Jasnych Pasm. Więcej Jasnych. By zachować równowagę swej istoty, Szerń musiała odrzucić dwa Ciemne Pasma, odgradzając je od innych Ferenem — murem zbudowanym z Jasnych Smug, oddzielonych od Pasm. Wyklęte Pasma, odepchnięte za kopułę nieba, przenikały jednak do świata; nazwano takie wtargnięcia Pęknięciami Szerni, choć w istocie nimi nie były. Najłatwiej Wyklęte Pasma przenikały nad Bezmiary, połączone z nimi tajemnym jakimś sojuszem.

Rzecz niezwykła. Pierwotny przestwór Bezmiarów, istniejących na długo przed tym, nim potęgi takie jak Szerń zaczęły wyłaniać swoje lądy, był wyraźnie wrogi i zgoła zabójczy dla Pasm. Bezmiary nigdy nie podlegały Szerni. Kilkaset mil od Szereru Szerni już nie było. Nikt nie wiedział, jakim sposobem Wyklęte Pasma mogą — do pewnego stopnia — współistnieć z Bezmiarami. Jakim sposobem... i po co.

Potęga taka jak Szerń, musiała być wewnętrznie zrównowazona. Prawo Równowagi — pierwsze i najważniejsze z Praw Całości. Dotyczące tak Szerni, jak i Szereru. Tamenath sądził, że jest to nadrzędna reguła dla wszystkich potęg i światów, jakie gdziekolwiek istnieją, istniały albo istnieć będą. Trwałe zaburzenie równowagi musi pociągnąć

za sobą upadek. Potęgi, świata... Czegokolwiek. Czasem zdawało mu się, że Bezmiary właśnie do tego dążą. Do zachwiania równowagi Szemi — obcej dla ich przestworu (więc wrogiej) siły sprawczej.

Dwa Wyklęte Pasma, będące pamiątką po największym w dziejach zachwianiu równowagi Szerni, w naturalny sposób dążyły do ponownego stopienia się z resztą potęgi. Feren — mur odgradzający je od pozostałych Pasm — nie został przecież stworzony bez powodu. Być może istniała możliwość zniszczenia Ferenu. Gdyby to się udało, Szerń ponownie zostałaby wytrącona z równowagi. Nikt nie umiał powiedzieć, czy możliwe jest odbudowanie raz zburzonego Ferenu. Ale mogło być też inaczej. Tamenath (i nie on jeden) zastanawiał się niejednokrotnie, czemu Szerń, po zwycięskiej wojnie z Alerem, nie unicestwiła niepotrzebnych swoich Pasm. Wystarczyło rzucić je przeciw pokonanej, lecz wciąż jeszcze mającej moc niszczenia, potędze Aleru... Być może — z jakichś przyczyn — nie było to możliwe. Tamenath sądził jednak, że raczej... niepotrzebne i niewskazane. Szerń była ślepą, bezrozumną — a jednak w dość celowy sposób działającą potęgą. Może zbędne (i szkodliwe!) Ciemne Pasma mogły spełnić pożyteczną rolę, rzucone nie przeciw Alerowi, a przeciw Bezmiarom? Ich sojusz z wolnym przestworem mógł być sojuszem pozornym, w rzeczywistości — być może — Wyklęte Pasma i Bezmiary szachowały się nawzajem, tworząc nową, swoistą równowagę.

A więc przymierze — czy raczej zimna wojna?

Tamenath westchnął znowu. Nie wiedział. Nikt nie wiedział.

Nie sądził, by tym razem zdarzyło się coś, co pozwoli mu zrozumieć. Jednak, choć nie mógł wiedzieć, co właściwie się dzieje, mógł chociaż dociekać — jak.

Znowu pochylił się nad Księgą.

50.

Okręt zataczał się jak pijany, żagle wpadały w łopot. Nie było nikogo, kto mógłby dopilnować steru, czy choćby zablokować go w odpowiedniej pozycji. Raladan czołgał się po pokładzie, wciąż czując tępy ból, zgniatający trzewia. Zobaczył leżącego we krwi marynarza, ale ujrzał też dwóch innych, czołgających się ku rufie, podobnie, jak on sam. Po raz kolejny pomyślał, jak wspaniałą dostał załogę. Jego chłopcy nawet teraz myśleli o „Seili”.

Iluz ich zostało?

Ból ustępował powoli, Raladan zdołał najpierw klęknąć, potem zaś stanąć z wysiłkiem. Równocześnie żaglowiec wyprostował się, kładąc z powrotem na kurs. Przy sterze już ktoś był, chociaż dało się wyczuć, że okręt prowadzi bardzo niepewne rękę.

— Żagle rzuć! — ochryple zawołał Raladan. — Kotwica w dół!

Z mozołem wypełniono polecenia.

Kotwica wreszcie mocno chwyciła grunt i „Seila” znieruchomiła.

Raladan ogarnął wzrokiem morze, szukając czarnych grzbietów i wysokich płetw, tnących wodę jak miecze. Były! Ale bardzo daleko, w miejscu skąd doleciał śpiew. Czy bitwa jeszcze trwała?

Bohed, jego pierwszy oficer, stanął obok, wciąż zgięty wpół, przyciskając ramię do tułowia.

— Trzech nie żyje — rzekł z wysiłkiem. — Ale z trzema dalszymi... bardzo kiepsko, kapitanie. Wciąż krwawią.

Raladan zacisnął zęby, bo wiedział, co to oznacza. Stracił sześciu ludzi.

Z drugiej strony przywłókł się Davaroden.

— Moi cali — powiedział. — Kapitanie, niektórzy założyli hełmy i to pomogło. Tylko trochę, ale bardziej niż zakrywanie uszu.

— Powiedz to wszystkim. W zbrojowni jest parę hełmów. Myślę, że już żadnych śpiewów nie będzie... ale powiedz to wszystkim.

Popatrzył na pokład. Majtkowie, wciąż niezgrabni i słabi, znosili w jedno miejsce ciała kolegów. Ktoś ze łzami przeklinał wszystko i wszystkich. Raladan ujrzał chłopaka, który był jedynym druhem nie

lubianego — tradycyjnie — kucharza, rzeczywiście zresztą kutwy, jakich mało...

Kapitan popatrzył na posepną, czarną wysepkę, oddaloną o dobre dziesięć mil. Czy to ta? Błądzili już dość długo, na próżno szukając lądu, naznaczonego piętnem krępej wieży na wzgórzu. Byłby przysiągł, że tu. Może z bliska? Może bardziej od północy?

Davaroden szarpnął go za ramię. Raladan odwrócił się i przez chwilę czerwone, zachodzące słońce, odbite w redlinach fal, oślepiło go. Zaraz potem krzyknął któryś z majtków. Rzucono się ku burcie.

Orki mknęły jak burza. Czarne płetwy grzbietowe cięły wodę, ogromne grzbiety wynurzały się, by zaraz zniknąć. Kilkadziesiąt prężnych, opływowych ciał przewaliło się tuż obok burty „Seili”. Jedno z ostatnich zwierząt odłączyło od reszty, zawracając. Marynarze wznieśli okrzyk, gdy czarno-biały kształt wyprysnął ponad fale, okręcił się w powietrzu i upadł z łomotem, wzbijając fontanny wody.

— Na Szerń... — stęknął Davaroden.

Orka wynurzyła się raz jeszcze, stając pionowo w wodzie; potężny ogon bił w głębinie. W otwartej paszczy widniały liczne zęby. Na pokładzie usłyszano niezwykły, ostry głos zwierzęcia — niepodobna było oprzeć się wrażeniu, że ta istota działa w świadomości i celowo, dając ludziom coś do zrozumienia, może ostrzegając...

Zwierzę opadło pod fale, ale nie odpłynęło. Z niezwykłą szybkością zaczęło krążyć wokół statku.

— Tam! — wrzasnął nagle jeden z żołnierzy. Pośród morskich fal wrzała nowa bitwa. Raz i drugi przewaliło się nad powierzchnią czarno-białe cielsko, ujrzeli też inne, obce kształty, rozbryzgujące wodę.

— Wybierać kotwicę! — huknął Raladan. — No, przyjacielu zwróć się do grubego kusznika — to na pewno nie są syreny... Każ przygotować ludziom najcięższe bełty. Może kusze przydadzą się na co...

Marynarze już byli przy kabestanie. Jednak nim kotwica poszła w górę, tuż przed dziobem, rozbryzgując fale, mignęła niezwykle wysoka i szeroka, postrzępiona płetwa. Niemal w tym samym momencie dostrzegli drugą, mocną i czarną... Potworne uderzenie częściowo wyrzuciło na powierzchnię wielką, zielonkawą rybę, której boki zdawały się rozkładać, pełne jakichś dziur i strzępów mięsa czy skóry... Miała długi róg, podobny do miecza narwala.

Ryba wpadła z powrotem w odmęty, skotłowane teraz. Zatoczyła ciasny krąg, szukając wroga — i znów potężne pchnięcie, tym razem wymierzone chyba całkiem pionowo, od dołu, wyrzuciło ją z wody, a tak blisko „Seili”, że wyraźnie poczuli smród gnijącego mięsa. Bryzgi wody zalały krzyczących w podnieceniu ludzi. Wyginając się w powietrzu, niesamowite zwierzę powtórnie spadło w fale i zniknęło gdzieś, głęboko pod nimi, uderzając jeszcze w burtę ogonem.

Żaglowiec zadygotał.

Wzburzone fale silnie kołysały okrętem, jednak na powierzchni nic się nie ukazywało. Z mocno bijącymi sercami marynarze patrzyli po sobie, domyślając się, że gdzieś w dole, może kilkadziesiąt łokci pod kilem, toczy się niechybnie przerażająca walka olbrzymów...

Sześćdziesiąt parę kroków od burty fale pękły i ujrzeni wyniesioną do góry, przebitą długim rogiem na wylot, miotającą się orkę. Na „Seili” rozbrzmiał okrzyk prawdziwej i szczerzej rozpacz.

W tej samej chwili róg potwora złamał się u nasady! Jednak zaraz potem odczuli pierwsze uderzenie, zbijające z nóg. Zielonożółta ryba nacierała raz za razem, uderzając tęnym, ułamanym mieczem. „Seila”, wstrząsana ciosami, kołysała się mocno. Ale uderzenia były coraz słabsze. Nie ustawały jednak: wrogi stwór, niczym jakaś niszcząca machina, zawracał wciąż od nowa, atakując, atakując, atakując:..

Po którymś z kolejnych wstrząsów Raladan i marynarze ujrzeni kuszników Davarodena, przypadających do nadburcia. Klęcząc za nim, ślali pocisk za pociskiem, najszybciej, jak potrafili.

Ataki nie ustały. Były już jednak niegroźne.

Ostatni nawrót wszyscy widzieli wyraźnie. Pośród wieczornej szarówki ohydna ryba, przewalając się ciężko z boku na bok, z grzbietem naszpikowanym bełtami, zmierzała ku burcie. Dopłynęła siłą rozpędu — już martwa... Lekki wstrząs... Cuchnące cielsko obróciło się brzuchem do góry i wtedy ujrzeni, co było tego przyczyną: monstrualne rany ociekały jakąś granatową, rozmywaną przez fale cieczą. Ogon ledwie trzymał się reszty... Czując dławienie w gardłach, spojrzeli tam, gdzie zginęła przebita mieczem orka, a potem dalej, na morskie pole bitwy.

Stado wracało, ale już mniej liczne.

Czarne grzbiety przesuwają się wzdłuż burt, potem zakreśliły wielki łuk, wciąż niedaleko „Seili”. Ślad orek znaczył się ciemną, krwawą

wstęgą...

Raladan i jego załoga w milczeniu machali rękami, przeświadczeni, że orki widzą ten gest i pojmują jego znaczenie.

*

Wieża stała na wzgórzu, niespełna milę od brzegu.

Kusznicy podzielili się: dwaj szli przodem, dwaj po bokach, pozostali zaś trzymali się blisko Raladana i Davarodena. Kapitan sądził, że te środki ostrożności, w przypadku prawdziwego niebezpieczeństwa, niewiele pomogą. Nie wtrącał się jednak w dowodzenie Davarodena. Tym bardziej, że ostrożność nie mogła zaszkodzić.

Posunęli się bez przeszkód aż do podnóża wzniesienia.

Psy pojawiły się nagle, bezgłośnie — olbrzymie jak cielaki. Raladan nigdy dotąd nie widział basogów, ale to mogły być tylko one. Sunęły w dół stoku, susami o niebywałej długości. Kusznicy Davarodena sformowali szyk bez jednej komendy, w tempie, które zdumiało kapitana bardziej chyba niż widok olbrzymich psów. Czterej uklękli, czterej pozostali wymierzili nad nimi. Davaroden stanął z boku, niczym na paradzie, z kuszą trzymaną oburącz, pionowo przed twarzą.

Psy były o pięćdziesiąt kroków.

Dalej, na stoku, pojawił się jakiś człowiek. Zawołał i psy stanęły, jakby wrosły w ziemię. Było już jednak za późno, bo w tej samej chwili Davaroden rzucił spokojnie:

— Rei.

Bełty pomknęły, posłuszne grombelardzkiej komendzie. Jeden z psów rzucił się na ziemię, skowycząc, pozostałe trzy padły bez głosu. Żołnierze natychmiast założyli korby, napinając twarde cięgiwy.

Nieznajomy — ogromny jak dąb mężczyzna w obszernym, szarym płaszczu — schodził powoli w dół stoku. Podążyli mu naprzeciw, czujni, gotowi na niespodzianki. Zatrzymali się przy psach, ale nie za blisko, bo ostatnie zwierzę, choć z dwoma pociskami w grzbiecie, szczerzyło jednak zęby, próbując powstać... Davaroden pochylił kuszę, chcąc skrócić jego męki, ale Raladan, powodowany jakimś odruchem, powstrzymał go gestem.

Davaroden zwrócił się do swoich ludzi, nie spuszczać jednakże spojrzenia z nadchodzącego olbrzyma.

— Żle — rzekł krótko, z przyganą.

— Hełmy, panie — powiedział wyjaśniająco jeden z żołnierzy. I zbroje.

Dowódca skinął głową, przyjmując usprawiedliwienie. Raladan też zrozumiał, o co chodzi. Zdaniem Davarodena, zamknięte hełmy dla kuszników były nieporozumieniem. Wąska wizura utrudniała ocenę odległości. Łebki tego typu sprawdzały się w walce wręcz. Podobnie zresztą jak kirysy — bardzo niewygodne dla kuszników. Jej godność Semena nie mogła się zdecydować, czy chce mieć rębajłów, czy strzelców.

Pomimo wszystko, Raladan nie mógł nie docenić mistrzostwa tych żołnierzy; nie umawiali się przecież, wybór celu narzuciło im szkolenie. Każdy pies dostał dwa bełty.

Człowiek w szarym płaszczu — łysy jak kolano, stuletni chyba, lecz niezwykle krzepki starzec — najpierw pochylił się nad psami.

Gestem uspokoił jedno z rannych zwierząt, przesunął dłonią ponad jego łbem i basog znieruchomiał. Zauważyli jednak, że wciąż oddycha. Starzec wyszarpnął bełty i dotknął ran. Dopiero potem wyprostował się ciężko.

— Niepotrzebnie — rzekł ze smutkiem, używając mowy Kinenu. Obrzucił spojrzeniem głowy żołnierzy, skryte w hełmach po usta. Zatrzymał wzrok na twarzy Raladana.

— Nie winie was, nie mogliście wiedzieć, że je powstrzymam. Starzeję się, już nie biegam tak szybko jak niegdyś.

Raladan otworzył usta, ale starzec uczynił gest ramieniem. Odchylony płaszcz ujawnił brak drugiej ręki.

— Pomówimy u mnie.

Davaroden skinął na żołnierzy. Natychmiast wyrwali bełty z nieruchomych ciał, oczyścili je, wbijając kilkakrotnie w ziemię, przetarli groty skrajami tunik i wsunęli do woreczków przy pasach. Starzec, mimo wciąż widocznego żalu po psach, spojrzał z wielkim uznaniem. Dotknął barku, gdzie wyrastać winno ramię.

— Straciłem je, służąc w Gwardii Grombelardzkiej — powiedział. — Dowodziłem klinem kuszników — dorzucił, skinąwszy w stronę Davarodena. — Prawda, że przed wielu laty.

Gruby Wyspiarz spojrzał przez szczelinę w hełmie na niego, a potem na Raladana. Gwardyjska kolumna, w skład której wchodził wymieniony

oddział, była formacją elitarną, co się zowie... Kaleki wielkolud był dowódcą najlepszych kuszników świata.

Starzec-olbrzym raz jeszcze pochylił się nad psem, po czym zapytał, zdejmując płaszcz:

— Pomożecie mi?

Czterej ludzie, za przyzwoleniem Davarodena, oddali kusze kolegom i z pewną obawą zbliżyli się do basoga. Spał twardo. Z wysiłkiem ułożyli potężne cielsko na płaszczu i ujęli go za cztery rogi.

— Ostrożnie — poprosił Przyjęty.

Ruszył przodem, prowadząc w stronę obwiedzonego murem oktogonu.

Milczeli przez całą drogę.

Masywna brama była otwarta. Davaroden bez słowa wskazał dwóch ludzi. Zostali na zewnątrz. Dwóch następnych rozmieścił za murem, przy wejściu do wieży. Na spojrzenie gospodarza znacząco skierował kuszę ku ziemi. Nie chciał go obrazić, po prostu wykonywał swoją pracę.

Tamten skinął głową na zgodę. Raladan zaczął podejrzewać, że ci dwaj dogadają się łatwiej niż on z załogą „Seili”.

Psa pozostawiono w małej komnatce na samym dole. Przyjęty, zdawało się, zapomniał o swoich gościach. Szukał czegoś w dzbanach stojących pod ścianami, wyjął ze skrzyni zwoje dziwnego, śnieżnobiałego płótna. Starannie opatrzył zwierzę i namaścił mu pysk jakąś ostro pachnącą, pianistą breją.

— To mój żołnierz — wyjaśnił krótko, gdy skończył. — Ostatni.

Skinęli głowami.

Po krętych, tonących w mroku schodach, wspięli się na pierwsze piętro wieży. Starzec otworzył ciężkie drzwi.

Wnętrze kamiennej komnaty zdumiało przybyszów.

Pod ścianą stał wielki stół, zasłany zapisanymi kartami. Leżała też na nim księga o rozmiarach trudnych do ogarnięcia; Raladan zastanowił się, czy zdołałby ruszyć ją z miejsca... Obok druga, mniejsza, otwarta była na stronach wypełnionych samymi cyframi i niezrozumiałymi znakami — ale kapitan „Seili” miał trochę do czynienia z ową dziwną, piękną nauką i widok tablic matematycznych nie wprowadził go w osłupienie. Pobiegł spojrzeniem dalej. Tuż przy stole znajdował się fotel, a właściwie głębokie siedzisko, wydrążone w dębowym pniaku. Wzdłuż wszystkich

ścian stały ławy, na tych ławach zaś księgi...

Raladan nie przypuszczał, że na świecie może być tyle ksiąg. W całym swoim życiu widział ich ledwie kilkanaście. Potrafił czytać (choć nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta umiejętność), ale, prawdę rzekłszy, głównie nazwy lądów i mórz... Z pisaniem szło gorzej. Właściwie nigdy tak naprawdę nie próbował. Uzupełniał czasem mapy; nazwy wysp jakoś naskrobał, więcej nie było mu potrzebne.

Wiedział jednak, że w Armeckie sztukę utrwalania słów poznaje każde dziecko... Ile jednak należało narysować liter, by zapełnić nimi jedną chociaż księgę?

Żołnierze patrzyli w jeszcze większym osłupieniu niż on. Davaroden znał trochę, podobnie jak Raladan, sztukę pisma (bez tego nie sposób było zostać oficerem, a gruby kusznik miał kiedyś chrapkę na patent podsetnika legii). Wymienili teraz spojrzenia.

Były w komnacie jeszcze trzy mniejsze stoły, leżały na nich odłamki jakichś skał i kamieni, różnej wielkości i barwy, zasuszone liście i kwiaty, duże i małe kości oraz wiele innych przedmiotów... Pod każdą rzeczą znajdowała się ćwiartka pokrytego drobnym pismem pergaminu. Czasem kartek było kilka, a nawet kilkanaście.

Starzec spoczął w swym fotelu.

— Wybaczcie, że zajmuję jedyne miejsce do siedzenia — powiedział, czyniąc lekki ruch ręką. — Wiek nadaje mi taki przywilej. Macie przed sobą — uśmiechnął się nagle — bez wątpienia najstarszego człowieka Szereru... Tu — zatoczył półkole ramieniem, co mogło oznaczać równie dobrze komnatę, wyspę, albo cały Zły Kraj — nazywam się Tamenath-Przyjęty.

Po krótkiej chwili Raladan chciał się odezwać, ale starzec go uprzedził, pytając:

— Czy któryś z was nazywa się może Get-Khagdob? Nie? A więc może, choć to imię kobiece, Riolathe?

Raladan drgnął.

— Tak, panie, znam imię bardzo podobne... — powiedział; chciał coś jeszcze dorzucić, ale się powstrzymał. — Znam je — powtórzył. Starzec obserwował go bacznie.

— Postanowiłeś niczemu się nie dziwić, prawda, panie? Bardzo to mądre, a dowodzi tylko, żeś wiele w życiu doświadczył. Westchnął nagle.

— A zatem istotnie Przepowiednia — rzekł na poły do siebie. Wszystko wyjaśnię — zapewnił zaraz. — Jednak nie wiem, czy powinniśmy rozmawiać wobec tylu osób?

Raladan spojrział na żołnierzy. Davaroden pokręcił głową, zdecydowanie odmownie. — Ależ, panie — zauważył starzec — podziwiam wyszkolenie twoich ludzi, i jako znawca przecież. Ale jesteście wszyscy w domu tego, którego czasem nazywa się magiem, nie wiedzieć zresztą, czemu. Jednak, jeśli to miano pomoże wam zrozumieć... Zdaj sobie sprawę, bracie, że tu kusza nie na wiele się przyda.

Davaroden chciał odrzec, ale Przyjęty, widząc, postanowił nie dopuścić nikogo do słowa.

— Nie zamierzam z wami walczyć. Chcę rozmawiać. Ale z jednym, nie ze wszystkimi.

— Zabierz ludzi — powiedział Raladan. — Poczekajcie na dziedzińcu.

— Po co więc wchodziłem po tych schodach?! — cisnął z gniewem kusznik.

— Davaroden — rzekł z naciskiem Raladan. — Ja tu rządę. Czemu zmuszasz mnie, bym cię karmił przy twoich żołnierzach?

— Wypada mi przypomnieć — rzekł Tamenath — że obaj jesteście w błędzie. JA tu rządę. I powiadam: wojacy wynocha.

Davaroden zdjął hełm, jakby po to tylko, by mogli sobie obejrzeć jego rozgniewane oczy. Spojrzął z pretensją w twarz kapitana i skinął na żołnierzy. Odwrócił się jeszcze, wyciągając miecz z pochwy. Podał go Raladanowi.

— Weź to, panie — rzekł tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Te twoje noże rozbawiają mnie do łez.

Raladan wziął oręż dla świętego spokoju. Gdy żołnierze opuścili komnatę, natychmiast odłożył miecz na stół.

— To doskonały żołnierz i przyjaciel — rzekł, patrząc na starca.

— Widzę — padła krótka odpowiedź. Raladan zatknął ręce za pas.

— Ogromna większość ludzi, których w życiu spotkałem — powiedział Tamenath — patrzy na Przyjętych jak na dwugłowe byki... Widzę jednak, panie, że ty do tych ludzi nie należysz. Nim zaczniemy rozmowę, chciałbym zapytać: czyś spotkał kiedy człowieka takiego jak ja? Jeśli tak, to co powiedział? Może coś o Prawach Całości? Mnóstwo

czasu oszczędzilibyśmy, gdyby się okazało, że wiesz trochę o Szemi i jej Pasmach. Szczególnie dwóch Ciemnych Pasmach.

— Słyszałem o Prawach Całości, choć nie będę udawał, że wiele z tego rozumiem. Rzeczywiście spotkałem... niezwykłego starca. Nie nazywał siebie Przyjętym, ale myślę, że był nim, panie, tak samo jak ty.

— Podał ci może swe imię?

— Nie...

Zmarszczywszy brwi, dorzucił.

— To kaleki grajek-gawedziarz. Spotkaliśmy się w jednej z garyjskich tawern. Nosił dziwny instrument, nigdy takiego nie widziałem.

Tamenath odchylił się nieco do tyłu.

— To nie był Przyjęty — powiedział. Przez chwilę patrzył dziwnym wzrokiem.

— Nie wiem, czy cię to interesuje, panie, ale istota, o której mówisz, jest stara jak Szerer... Na przestrzeni wieków pojawiała się wielokrotnie, i zawsze tam, gdzie spełniały się wyroki Praw Całości.

— Kim więc jest ten człowiek.

— Istota — podkreślił z naciskiem Tamenath. — Nikt tego nie wie... ale na pewno nie człowiekiem. Milczeli przez chwilę, każdy zatopiony w swoich myślach.

— No dobrze, panie. Teraz powiedz mi najpierw, co cię sprowadza do Romogo-Koor. Nienazwany Obszar — wyjaśnił, widząc zdziwienie kapitana. — Mówicie o nim Zły Kraj.

— Ty, panie — padła odpowiedź. — Mam misję. Polecono mi odnaleźć Przyjętego i poprosić go o pomoc.

— Pomoc w czym?

Raladan wyjaśnił.

W miarę, jak mówił, starzec coraz szerzej rozchyłał pomarszczone powieki. Nagle — nieoczekiwanie — wybuchnął śmiechem, potężnym jak cała jego postać.

— Nie, na wszystkie Pasma — rzekł zaraz, jakby zawstydzony. Wybacz mi... Wiem przecież, że musi kryć się za tym coś więcej. Ale, panie, przyznaję, że pomysł prośbienia człowieka takiego, jak ja, o pomoc przy budowie fortecy jest hm! hm! niezwykły, co się zowie! Podobnie — dodał zaraz — jak wykorzystanie do tego celu Porzuconych

Przedmiotów. Prawda, że Przedmioty, tak jak wy je rozumiecie, mogą posłużyć choćby do budowy zamku. Nie pochwalam wynoszenia ich poza granice Obszaru, ale czyniono to, czyni się i chyba czynić będzie, nic na to nie poradzę. Jeśli już jednak służyć mają one innym celom niż te, do których zostały powołane, to może istotnie lepiej, by wzniesiono przy ich pomocy fortecę, niż fikano ucieszne koziołki w powietrzu, jak czynił niegdyś błazen dartańskiego króla, posługując się (nie uwierzysz, panie!) przepotężnym Piórem... Teraz jednak muszę ci powiedzieć, że budowanie zamków nie jest przeznaczeniem Przyjętego, choćby nawet ów zamek odmienić miał losy imperium. Moje zadanie to zrozumienie istoty Pasm Szerni i zgłębianie Praw Całości. Położył rękę na wielkiej księdze.

— Pojmuję to, panie — rzekł Raladan. — Ale wiem też na pewno, że ów zamek i Prawa są ze sobą bardzo mocno związane.

— I ja tak sędzę — przyznał Tamenath. — Tylko dlatego wciąż jeszcze rozmawiamy... Wróćmy jednak do imienia Riolathe. Czy myłę się, sądząc, że od niego wszystko bierze początek?

— To prawda — powiedział Raladan.

51.

Alida czekała. Jego godność Kiliven, Pierwszy Przedstawiciel Trybunału, zmieniał powoli swe podejrzenia w pewność. Wiedziała, że trzeba spodziewać się ciosu.

Czekała. Bierność była męcząca, ale — teraz — wskazana. Niedługo miało wybuchnąć powstanie. Gdyby udało się odwlec rozstrzygnięcie aż do chwili tego wybuchu, kłopoty przestałyby istnieć. Miała nadzieję, że się uda. Nie chciała przedwcześnie podejmować działań o trudnych do przewidzenia skutkach.

Kim był ten człowiek? Nie potrafiła jakoś zasięgnąć o nim potrzebnych wiadomości. Dziwne. Armekt nie leżał blisko, ale tak znaczne nazwisko powinno być znane — mniej lub bardziej — nawet tu, w Trzeciej Prowincji. Trudno przypuścić, by dla obsadzenia tak ważnego stanowiska ściągnięto, gdzieś spod armektańskiej Północnej Granicy, jakiegoś magnata-samotnika... Dwory przedstawicielskie w prowincjach orbitowały jednak wokół dworu w stolicy. Gdyby Kiliven wywodził się z otoczenia cesarza, wiadano by tu o nim.

Było jednak inaczej.

Posłała zaufanych ludzi do Armektu. Ale podróż musiała potrwać. A na miejscu — trudno, by poszli prosto na obiad do imperatora, by zapytać o jego godność B. N. A. Kilivena... Należało działać ostrożnie. Jednak, pomimo wszystko, trwało to zbyt długo. Niecierpliwiła się już.

Tego wieczoru chciała położyć się wcześniej. Wygodne apartamenty Trybunału kusily. Załatwiła sto spraw, beznadziejnie nudnych. Była zmęczona.

„Starzejesz się, kochanie” — pomyślała.

Ale tak naprawdę czuła się młodsza, niż kiedykolwiek.

Miała władzę, i to władzę tak ogromną, jakiej nie miał chyba nikt w całej prowincji. Kochała władzę i chętnie przyznawała się do tego przed sobą. Któż mógł tutaj z nią konkurować? Książę Przedstawiciel? Ten starzec nie potrafił już rządzić nawet własną służbą. Miała go w ręku, bo miała Ganedorra... Oto mądry człowiek, dobry organizator i kandydat na wodza powstania, a po jego zwycięstwie — nawet na władcę Garry. Ale

nic więcej. By rządzić naprawdę, brakowało mu wyobraźni. Miał ją, miał, oczywiście... Ale za mało.

Rozczesała włosy, upięła je starannie, nawet nie patrząc w lustro. Nie mogła już pozwolić sobie na warkocz. Musiała wyglądać — hm, dostojnie.

Zaśmiała się. Władza jej służyła. Nie tylko czuła się młodsza, ale i wyglądała młodziej. Lubiła się podobać (a która nie lubiła?). Inna rzecz, że ostatnio nie bardzo miała komu...

Niespodziewanie myśl uciekła w przeszłość, do Aheli. Dlaczego tak mocno tkwiły w sercu wspomnienia stamtąd? Chętnie by je wyrzuciła. Raz na zawsze. Wspomnienia o największej przegranej swego życia.

Zauważyła, że ma na sobie błękitną suknię — tak jak wtedy, przed laty...

Podobała mu się.

„Głupia — skonstatowała. — No tak, głupia, nic dodać... Powiedz, Alida, co mogłaś widzieć takiego w tym człowieku? No powiedz? Ile ty właściwie masz lat, kochanie? Czternaście? Śmieszne zadurzenie!”

Tylko że — oczywiście — to nie było śmieszne zadurzenie. Nie można durzyć się śmiesznie przez blisko dziewięć lat.

Wiedziała o mężczyznach wszystko, co da się wiedzieć. Nic trudnego, nie było tego dużo... Zamieniwszy z którymkolwiek dwa słowa, ba! spojrzawszy tylko, mogła powiedzieć pewnie więcej niż rodzona matka takiego. Dlaczego więc nie potrafiła określić... czemu ten i akurat ten, żaden inny? Co miał takiego, czego inni nie mieli? Brzuch twardy jak z żelaza! Przecież nie zakochała się w brzuchu!

Ouaa... Ale pamiętała ten brzuch...

Co miał w sobie takiego? No co, na wszystko, co niezrozumiałe?! Pirat jeden!

Z zamyślenia wyrwała ją służąca, anonsując gościa. Alida oprzytomniała w jednej chwili. Ona, której trudno byłoby żyć bez ryzykownych gier, przecież poczuła mocniejsze uderzenie serca. B. N. A. Kiliven, Pierwszy Przedstawiciel Najwyższego Sędziego Trybunału.

Nigdy dotąd jej nie odwiedzał. A więc — rozstrzygnięcie!

Przeszła do pokoju obok, gdzie zawsze przyjmowała gości.

Powitała go, siedząc, w pozie dość swobodnej.

— Czemu zawdzięczam...? — zapytała, nie próbując ukryć niechęci,

przeciwnie — podkreślając ją nawet. Wiedziała, że działa to drażniąco. Skłonił się lekko.

— Proszę o wybaczenie, wasza dostojność, jeśli przeszkadzam. Jednak sprawa, w której przychodzę...

— Jest najwyższej wagi. — Ziewnęła prawie. Milczał przez moment.

— Tak, właśnie — potwierdził.

Stał wyczekująco. Nie poprosiła, by usiadł.

— Przed chwilą — powiedział, widząc, że nie warto bawić się we wstępy — zatrzymano, na mój rozkaz, jego dostojność sędziego F. B. C. Nalwera.

Kilka myśli naraz przemknęło jej przez głowę. Zaskoczył ją ale mogła i powinna to okazać.

Wstała.

— Co to znaczy? — zapytała z przerażeniem.

— To znaczy, pani, że przyszedłem po twą szczerą. Usiadł nieproszony, a właściwie rozparł się.

— Nie rozumiem? — powiedziała, blednąc.

— Nie udawaj, pani. Podziwiam waszą zręczność, ale gra skończona. Najpierw może wyjaśnię parę spraw, zdaje się bowiem, że twoi ludzie w Kirlanie nie spełnili pokładanych w nich nadziei. Jestem specjalnym wysłannikiem Najgodniejszego Imperatora. Moje uprawnienia zaś są... nieograniczone.

Dał jej chwilę czasu.

— Co znaczy — dodał — że mogę równie dobrze uciąć ci, pani, tu i teraz głowę, jak kazać zatopić wszystkie żaglowce Floty Głównej, czy też zdjąć z urzędu Księcia Przedstawiciela. Mogę tyle co cesarz. Ani trochę mniej.

Nie była tym zaskoczona aż tak, jak udawała, że jest. Jednak słowa Kilivena (musiała to przyznać) miały swoją wagę.

Spostrzegła nagle, że stoi, podczas gdy on siedział... Dobrze. Tak powinno zostać. „Przyszedłem po twoją szczerą” powiedział. Bzdura. Przyszedł po swój sukces... Znała to. Każdy, docierając do celu, chce mieć chwilę radości.

Satysfakcji...

„Mów, mów... — pomyślała. — Pobawmy się trochę”.

— Wiem, że los Najwyższego Sędziego niewiele cię, pani, obchodzi

— rzekł, wyciągając nogi. — To płaszczyk, pod którym prowadzisz własną grę. Przejrzałem ją, zaręczam. Ale ciągle nie wiem, czego właściwie spodziewałaś się po powstaniu?

Nabrała ochoty, żeby mu o tym powiedzieć.

— Może miałam ochotę zająć miejsce Nalwera? Po zwycięstwie powstania zmieni się wiele, ale instytucje takie, jak ta, zawsze będą potrzebne.

— Naprawdę wierzyłaś, pani, że powstanie może zakończyć się sukcesem?

— Wierzyłam? Nie, panie, po prostu umiem liczyć. Stary Książę Przedstawiciel dba o garnizon w Doronie, i o żaden inny. Od stu lat chyba Legia Garyjska nie była tak nieliczna. Nie mówiąc o straży morskiej. Umiem liczyć, panie. I wiem, że jeśli z jednej strony postawić czterech ludzi, z drugiej zaś dwóch, to ci dwaj na pewno przegrają.

— Nie zawsze tak bywa — zauważył. — Ale, prawdę mówiąc, podzielał twą opinię. Zwłaszcza, jeśli chodzi o stan wojsk i flot w tej prowincji. Pomimo tego jednak boję się, pani, że twoje rachuby... oparte są na fałszywych przesłankach. To ja mam owych czterech ludzi, nie ty.

— Któreś z nas liczy zatem błędnie — przyznała. — Myślę, że nie rozstrzygniemy tego sporu. A w każdym razie nie teraz.

— To prawda. Boję się jednak, że gdy czas rozstrzygnięcia nadejdzie, nie będziesz już mogła przyznać mi racji, pani. Chyba że... zawiesił głos.

— Chyba że co, wasza dostojność?

— Chyba że naprawisz wyrządzone zło, pani.

— W jaki sposób?

— O, najprostszy w świecie. Wiem bardzo dużo, znam nawet prawdziwy termin wybuchu powstania. Ale przecież nie wiem wszystkiego. Przyznaję to otwarcie.

— Czego zaś nie wiesz, panie, sądzisz, że wiem ja?

— Właśnie tak. Zamyśliła się.

— Wasza dostojność — odezwała się, nie kryjąc zaciekawienia proszę mi jeszcze powiedzieć, kim jesteś? Prywatnie przecież... Bo, że wysłannikiem Kirlanu, to już wiem.

— Powiedzmy, że... człowiekiem, poleconym kiedyś szczególnej opiece Księcia Przedstawiciela Cesarza w Rollaynie.

— Poleconym przez kogo?

— Przez jej godność B. L. T. Elenę... Czy to coś wyjaśnia?

— Nieślubny syn Bavatara i Eleny. — Popatrzyła z uśmiechem. — Powinnam się była domyśleć! Zmarszczył czoło.

— Nie doceniałem cię, pani.

— Oj, nie — rzekła prawie wesoło. — Za to ja, panie, mocno cię przeceniłam...

— Błędem było przypuszczać — powiedział ostro — iż w Kirłanie ktokolwiek da wiarę, że ich dostojności Elena i Bavatar kupczyli stanowiskami! Grubym błędem!

— Przyznaję — powiedziała. — Ale, ale... Przecież jesteś, panie, bastardenem?

Ciągle stała, lecz okazało się nagle, że łatwo jej, dzięki temu, patrzeć z góry. Zapłonął gniewem.

— A kimże ty jesteś? Chcesz może, bym ci powiedział?

— Dziwką — powiedziała z lubością. — Ladacznicą, zdzirą i kobietą publiczną. Za pieniądze dam nawet psu. — Rozchyliła usta i przesunęła koniuszkiem języka po zębach. Parsknęła śmiechem, gdy zerwał się z krzesła.

— Ależ, panie... Jeszcze tylko o jedno chcę zapytać: jak to możliwe, że z Kirłanu przysyłają człowieka może i niegłupiego, może i lojalnego, nie mającego wszakże pojęcia o sposobie rozgrywania takich partii jak ta? Czyżby w stolicy stracili poczucie rzeczywistości? Tu ma wybuchnąć powstanie, słyszysz chłopcze? Powstanie, nie pijacka burda! Czy wiesz, ilu intryg i specjalnych zabiegów wymaga przygotowanie gruntu pod bunt całej prowincji? Zajmują się tym, i zajmować muszą, ludzie będący kłamcami z zawodu! Z zawodu i zamiłowania.

— Nie jestem kłamcą ani z zawodu, ani z zamiłowania — oznajmił. — To najważniejsza różnica między nami. Jednak swoją misję spełniłem. Chodźmy, pani. Żołnierze czekają przed drzwiami.

— Żołnierze? Gwardia Garyjska będzie eskortować kobietę?

— Nie kobietę, lecz zdrajczynię i prostytutkę. Westchnęła.

— Nie kobietę? No dobrze. Ile ty masz lat, moje dziecko? Hej, dzielny strażniku — mruknęła, nie zmieniając barwy głosu. — Twardo śpisz?

— Nie śpię, pani — rzekł olbrzym, wychodząc zza kotary. Uniósł kuszę.

— Nie odważysz się — rzekł szyderczo Kiliven. — Będą kłopoty,

zapewniam. Za drzwiami...

— No właśnie, za drzwiami. Nie zaś za kotarą. Błagam, nic już więcej nie mów, panie, twoja naiwność staje się męcząca... Będą kłopoty? To mogę mieć jeszcze większe, niż już mam?

— Moje uprawnienia...

— Właśnie się skończyły — podeszła do służącego, dotykając jego ramienia. — To nie sługa — powiedziała — to przyjaciel.

— Cóż z nim robisz, gdy nie będzie trzeba, by słyszał rozmowę? — zapytał Kiliven, pragnąc chyba zyskać na czasie; już nie było lekkości w jego głosie.

— Może słyszeć i zobaczyć wszystko. — Pokiwała głową. — Gdybyś ty, mój chłopcze, zobaczył połowę tego co on, od samego patrzenia stałbyś się mężczyzną... No dobrze, dość tej rozmowy z umarłym.

— Zabić, pani? — zapytał sługa.

— Oczywiście.

Kusza wypluła bełt... i Kiliven nawet nie krzyknął.

Spokojnie sprawdziła, czy mężczyzna nie żyje.

— Teraz słuchaj. — powiedziała. — To wojsko sprzed drzwi musi zniknąć. I to szybko.

Ruchem głowy wskazał okno.

— Mhm — potwierdziła mruknięciem. — Drzwiami cię nie wypuszczą. Tego tutaj na razie schowam za kotarę... Dam radę, idź już. Spiesz się.

Pochylił się, wyrwał pocisk z trupa, gołą ręką napiął cięciwę. Dotknął ramienia Alidy, podając broń. Wzięła. Olbrzym podszedł do okna, wyrzwał przez nie i wyszedł w mrok letniej nocy.

Została sama.

Nameczyła się sporo, ale ciało było zbyt ciężkie. Zawołała służącą i razem zawlokły trupa za zasłonę. Potem kazała przerażonej dziewczynie usunąć krew z posadzki.

— Dobrze — powiedziała, gdy plama zniknęła. Wskazała swoją sypialnię. — Teraz idź tam. I nie wychodź.

Służąca spełniła polecenie. Alida pomyślała, że trzeba będzie ją usunąć. Była nowa.

Usiadła. Czekwała niecierpliwie. Czas, czas! Ci żołnierze za drzwiami mogli tu wejść w każdej chwili. Musiała liczyć się z taką możliwością.

Zresztą — kłopoty nie kończyły się na tych paru gwardzistach. O, kłopoty to dopiero będą! Nie wiedziała, jakie ruchy zdążył wykonać Kiliven. Z pewnością byli ludzie, których powiadał o wszystkim, niepodobna, by działał samotnie. O kilku jego zausznikach wiedziała. Ale zdaje się, że o tych najmniej ważnych...

Oczywiste było tylko jedno: powstanie musi wybuchnąć jak najszybciej. Czekać dłużej nie sposób. Należało przesunąć termin. Zanim zaczną się prawdziwe kłopoty.

Siedziała, skubiąc palcami włosy. Znowu bierność. Ale już niedługo...

„Dlaczego bastard służy sprawie swojej matki? — zapytała się w myślach. — I ojca?”.

Wzruszyła ramionami.

Oficer, dowodzący gwardzistami w gmachu Trybunału, był człowiekiem powstania. Powinien już się zjawić i zabrać swoich ludzi. Ich zdziwienie nie ma znaczenia, posiedzą najwyżej w karcerze tak długo, jak będzie trzeba, choćby i miesiąc... Ale niechże pospieszy się trochę! Czas naglił, musiała natychmiast widzieć się z Ganedorrem!

W drzwiach stanął olbrzymi mężczyzna. Nareszcie!

— Droga wolna, pani. Wstała.

— W sypialni jest ta mała — rzekła. — Przypilnuj jej. Jak chcesz, to się zabaw.

— Nic z tego — pokazał bezwładnie zwieszoną rękę. — Skręciłem ramię, nie nadaję się do łożenia po gzymsach. Idź, pani. Zdaje się, że masz niewiele czasu?

Pociągnęła go nagle za szyję i pocałowała jak brata. Prawie pobiegła przez pokój, ale zatrzymała się jeszcze.

— Dlaczego bastard służy sprawie swej matki? — zapytała, odwracając się do sługi. — I ojca? Ludzi, którzy się go wyrzekli, z obawy o swą reputację?

Wskazał skąnym gestem kotarę.

— Bo uczciwy — odparł bez namysłu. — Dlatego go tu przyślą no. Ilu jest uczciwych w Kirlanie?

Skinęła głową na zgodę.

52.

Starzec mocno pocierał powieki, wyraźnie zmęczony.

— Cóż mam ci powiedzieć, panie? — rzekł, cokolwiek posepnie. — To, co powiedział ów grajek, jak go nazywasz, to prawda. Ale nie do końca, niestety.

— Nie sędzę, żeby ten człowiek mógł się pomylić.

— Bo nie mylił się, lecz opowiadał bajki. Kłamał.

— Kłamał?

— Kłamał, zapewniam. Po pierwsze: każda z kobiet, o których mówisz, to istotnie tylko część Rubinu, ale część zupełnie niezależna i żadnego przepływu mocy pomiędzy tymi częściami nie ma ani być nie może. Mało tego, moc Geerkoto w ogóle jest niepodzielna, a ten oto fenomen zaistniał dlatego, że wszystkie trzy kobiety były kiedyś jedną... Po wtóre, Kula Ferenu nie odmieni twej córki, nie potrafi bowiem, jak Rubin, objąć w posiadanie innego ciała, a to z tej prostej przyczyny, że jest — aż i tylko — zwiniętą Jasną Smugą Szerni, i przestając być Smugą, przestaje być w ogóle.

Raladan stał, jak skamieniały.

— Żaden zresztą Przedmiot nie może istnieć w oderwaniu od pierwotnej swojej postaci, za wyjątkiem tylko Rubinu, czy też raczej Rubinów, jedyne to bowiem Przedmioty różniące się wielkością, kształtem i właściwościami. Otóż widzisz, panie, mówimy tu o dwóch Porzuconych Przedmiotach, które właściwie wcale nimi nie są. Czy wiesz, czym są Porzucone Przedmioty? Narzędziami, które posłużyły do stworzenia rozumu, teraz zaś... jak by to powiedzieć... służą do naprawy samej Szerni, a właściwie tych jej części, które w Romogo-Koor stykają się ze światem. Przedmioty są odbiciem Pasm Szerni, każdy z nich symbolizuje jakieś Pasma, albo kilka Pasm. Opisując go za pomocą liczb, uzyskuje się matematyczny model Pasma lub kilku Pasm Szerni. Czasem model wiemy, a czasem przybliżony... Nie zdołam wytłumaczyć wszystkiego w dwóch słowach, ale może wystarczy, jeśli powiem, że Kula nie jest żadnym symbolem, tylko wręcz samym Pasmem, a raczej drobną częścią Jasnego Pasma; jest Smugą, tworzywem, z którego został

zbudowany Feren. Mur. Zapora mająca na celu tylko jedno: powstrzymanie Wyklętych Pasm przed powrotem do treści Szerni. A odbiciem Wyklętych Pasm jest właśnie Rubin, panie. Twój kaleki starzec doradził ci wybornie, jak masz zniszczyć Rubin, a tym samym zabić tę dziewczynę. Przypłynąłeś tu, by znaleźć tę jedną, jedyną rzecz na świecie, która służy tylko i wyłącznie do niszczenia Wyklętych Pasm Szerni. I niczego więcej. Raladan nie odzywał się.

— Dlaczego? — zapytał wreszcie, bardzo cicho. — Dlaczego mnie oszukano?

— Nie wiem, panie. Mogę tylko zgadywać. Myślę, że coś chciało przeszkodzić Prawom, a ta potężna tajemnicza istota zdaje się być ich strażnikiem... Bezmiary toczą wojnę z Wyklętymi Pasmami... a może wręcz przeciwnie: zawarły z nimi sojusz. Nikt tego nie oceni. Niemniej Bezmiary odgrywają tu ważną rolę. Ważną dla Szerni. Szerń, poprzez Strażnika Praw, próbowała wpłynąć na Bezmiary.

— Bezmiary? A cóż to wspólnego ma ze mną? Starzec znów potarł powieki.

— Bezmiary, panie, są bytem tak złożonym jak sama Szerń. Być może ocean jest potęgą sprawczą o innej niż Szerń naturze, lecz porównywalnej sile. W rozważaniach jednego z dawnych mędrców jest uwaga o Bezmiarach i Wyklętych Pasmach — powiedział.

— Wczoraj odkryłem w tej uwadze Przepowiednię. To niezmierna rzadkość. A nie wiem, czy kiedykolwiek Przepowiednia była tak jednoznaczna. Powiem ci, panie, że zdała mi się zgoła... zbyt jednoznaczna. Padają w niej imiona... Mędrzy-Przyjęci to ludzie i jako ludzie właśnie, mają prawo się mylić. Są w tej księdze uwagi — wskazał gigantyczny tom — które uznać można czasem za głupie zwyczajnie czy też pozbawione większej treści. Fragment, o którym ci mówię, jeszcze przed tygodniem uznałbym za jakiś bełkot, zwykłe brednie po prostu...

Machnął dłonią.

— Gadatliwy jestem. To starość. I samotność. Od lat rozmawiam tylko z tymi księgami i swoimi psami... Imiona, panie. Wymieniłem, pamiętasz, imię Get-Khagdob. Oznacza to w dawnej mowie Grombelardu: Władca (Władczyni) Rubinów. Dosłownie: Jedyna Pani. Riolathe to, wiesz przecież, imię tego Przedmiotu w starogrombelardzkim brzmieniu. Nie pytałem o trzecie imię, bo sam pomyślałem, że ktoś mógłby je nosić, wydał mi

się zgoła fantastyczny... Przez to imię właśnie wątpiłem w przepowiednię.

Jeśli jest prawdziwe, to znaczy, że Bezmiary dysponują mocą, której istnienia nikt dotąd nawet nie podejrzewał...

— Cóż to za imię?

— Ghaladan.

Raladan uniósł dłoń do czoła.

— Na Szerń... to moje imię, choć wymawia się trochę inaczej... Starzec skinął głową.

— Nie mogę już wątpić w Przepowiednię... a jednak wciąż się waham. Powiedz, panie, i upewnij mnie: czy możliwe, byś był... synem władcy Bezmiarów?

— Władca... Bezmiarów?

— Może to bóg taki jak Rongoloa Kraf, a może tylko jedyna istota na świecie, której rozum nie jest dziełem Szerni, ani żadnej podobnej potęgi... Istota rozumna w inny sposób niż my.

Raladan przecierał twarz, jakby chcąc zetrzeć z niej sen.

— Co oznacza to imię? — rzekł głucho. — Co dokładnie oznacza?

— Tłumaczy się „wąż morski”, panie.

Raladan pochylił się jak uderzony, wciąż z dłońmi przy twarzy. Ujrzał nagle dzień swoich narodzin, gdy pytano go, kim jest, jak znalazł się pośród fal... Pojął wiedzę o tysiącach skał podwodnych i mielizn, które oglądać musiał kiedyś własnymi oczami, tam, w głębinach... Pojął wiedzę o sztormach i prądach, i przedziwny los, który zawsze zdawał się ochraniać go na morzu. Pojął wreszcie, jak rzecz oczywistą, czemu tu, na Morzu Pustym, gdzie nie sięga władza Bezmiarów, strzegą go najgroźniejsze stworzenia słonych wód — stuzębne, czarno-białe olbrzymy...

Wyprostował się powoli.

— Nic nie wiem ponadto — rzekł z wysiłkiem — że zrodziły mnie Bezmiary, a rozumiem je najlepiej z żyjących. Widziałem... widziałem węża morskiego. Zaraz po tym, jak wyratowano mnie z wody.

Starzec oparł na stole swą jedyną dłoń.

— Zatem mamy odpowiedź.

Raladan podszedł do wąskiego okna i spoglądał na morze.

Milczenie zdawało się trwać całe wieki.

— Cóż z tego dla mnie wynika? — zapytał wreszcie Raladan, już panując nad sobą. — Po co mi ta prawda, panie? Odrzucam ją... Jestem człowiekiem i nie chcę być niczym ani nikim ponadto.

— Jednak Prawa Całości mówią inaczej... — pokręcił Przyjęty głową.

— Cóż mnie one obchodzą? Czemu miałbym być im posłuszny?

— A czemu miałbyś nie być? Dlaczego miałbyś, panie, z nimi walczyć? Zwłaszcza że są niewyraźne jak nigdy i trudno orzec, o czym właściwie mówią.

Kapitan skinął głową.

— Jest powód. Wielki powód, panie. Człowiek, czy istota, jeśli wolisz, której zaufałem, oszukała mnie. Zostałem okłamany wtedy, gdy prosiłem o pomoc w najważniejszej walce swego życia... Powiedz, panie, czy to Prawa kazały mi pokochać to dziecko? Jeśli tak, to czemu teraz ją zabrały? Jeśli nie, to niechże dadzą jej spokój. Nie chcę takich Praw, odrzucam je, panie, i wszystko, co ze sobą niosą.

— Prawa nie są dobre ani złe — powiedział starzec. — Opisują współistnienie potęg i światów, nic więcej.

— To niech opisują. Szerń, Wyklęte Pasma, a na koniec i sam Szerer... To wszystko, panie, jest mi najzupełniej obojętne. Odebrałeś mi nadzieję...

— Zobaczysz wkrótce swoją córkę — rzekł niespodziewanie starzec. — Nic więcej ci nie powiem, bo nic więcej nie wiem. Ale jest rok spięcia kłamry. Wszystko, co się zaczęło przed dziewięciu laty, teraz się zakończy. Na Agarach. Przynajmniej tak być powinno. Nie jest rzeczą Przyjętego wtrącanie się do Praw, choć ty, oczywiście, możesz z nimi walczyć. Ale uczyn to możliwie najpóźniej, bo na razie wszystko idzie po twej myśli. Przecież chcesz ją odnaleźć, czyż nie tak? Desperackie działanie na oślep może temu przeszkodzić. Płyn więc z prądem tak długo, aż uznasz, że dalej płynąć nie chcesz. Oto moja rada... może zresztą głupia? Marny ze mnie lah'agar. Powinienem zostać żołnierzem, ale była we mnie ciekawość... Karą jest zmarnowane życie.

Raladan powodowany odruchem, podszedł do dębowego fotela, wyciągając dłoń; starzec wstał ciężko i podał mu swoją.

— Płyn, panie, ze mną — rzekł z głębi serca kapitan.

— Nie, synu. Wkrótce umrę... Jeśli moje życie nie ma być całkiem na próżno, muszę zapełnić kilka stron w tej księdze.

Odstąpili od siebie. Niewysoki Raladan musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć w oblicze ogromnego starca.

— Na Szerń, panie — rzekł, chcąc odpędzić choć na chwilę czarne myśli — mój dawny kapitan był bardzo wysoki, ale nie aż tak... Prawdę rzekłszy spotkałem w życiu tylko jednego człowieka równego ci wzrostem. Nie był może mędrcom, jak ty, ale podziwiałem go bardzo. A chyba jeszcze bardziej jego przyjaciela, który stał mi się druhem, choć był kotem...

Przyjęty znieruchomiał na chwilę.

— O kim mówisz? — rzucił tak ostro, że aż prawie wrogo.

— O grombelardzkim góralu — odrzekł kapitan, uderzony nieprzyjemnie tonem starca. — I o kocurze, będącym ponoć magnatem... Jednoręki olbrzym usiadł na swym pniu.

— Gdzie spotkałeś tego górala? To mój syn — rzekł niegłęboko. Raladan cofnął się o krok.

*

— Może Davaroden wie coś więcej — zakończył opowieść Raladan. — Parę lat przesłużył w Ciężkich Górach...

— Dawaj go tutaj — zażądał starzec, prawdziwie rozradowany.

Wkrótce potem, zdezorientowany nieco kusznik, zdawał sprawę ze swej służby w Legii Grombelardzkiej, a biorąc ściślej — ze wszystkiego, z czym się zetknął, a co dotyczyło Basergora-Kragdoba.

— Drań — rzekł z najwyższym ukontentowaniem Tamenath. I zawsze z dwoma mieczami, powiadasz?

— Tak mówili — potwierdził kusznik. — Jeden miał być zwykły, a drugi bardzo wąski... Nigdy nie widziałem, by ktoś nosił taki miecz, zdaje mi się, że tak długa i wąska głownia musi być dość słaba?

Raladan pokręcił głową; widział te miecze w walce.

Starzec wstał i wyszedł z komnaty. Słyszeli jego ciężkie kroki, gdy szedł na wyższe piętro wieży. Wrócił wkrótce, niosąc pod pachą całe mnóstwo oręża.

— To jest tarsan — powiedział, bezustannie promieniejąc. Wyciągnął dłoń, w której lśniło wąskie, srebrzyste ostrze.

— Wiesz, co znaczy „tarsan”, żołnierzu? — zagadnął. Kusznik skinął głową.

— Tyle co ahal... Zabójca.

— Stara broń, od wieków prawie nie używana. To miecz tylko do kłucia, ale spójrz na zastawę — zupełnie tępa, za to grubsza i mocniejsza niż reszta głowni. Przyjmie cios każdej innej głowni mieczowej... Przed wszystkim jednak tego miecza zawsze używa się wspólnie z drugim, krótkim, i do parowania ciosów służy właśnie tamten, trzymany w lewej ręce. Było kiedyś w Ciężkich Górach potężne plemię Shergardów. Sztuka walki dwoma mieczami zaginęła wraz z nimi. Nie od razu jednak. I nie całkiem... Znałem jednego z ostatnich mistrzów tej broni. Lepiej nie pytajcie, kiedy to było... Powiem tylko, że ostatnich dwadzieścia parę lat spędziłem, z krótkimi przerwami, właśnie tutaj. W Bezimiennym Obszarze.

Raladan i kusznik wymienili spojrzenia.

— Dwa wieki — rzekł tępo Wyspiarz.

— Mówię „z krótkimi przerwami”, a dlatego, że... no cóż, niełatwo wytrwać... Wielu Przyjętych uznało, że wzięli na siebie zar ponad siły; bezustanne zgłębianie istoty Pasm i natury Praw, to zajęcie naprawdę mordercze. Był czas, gdy chciałem wrócić do świata. I wróciłem, wyrzekłem się swej wiedzy, zwróciłem Szerni otrzymane od Pasm dary, zostałem grombelardzkim kusznikiem. Właśnie dwadzieścia kilka lat temu. Moich lat. Byłem innym człowiekiem. — Zmarszczył czoło. — Obcowanie z Szernią pozwala długo zachować siły i zdrowie; mając lat siedemdziesiąt; wyglądałem na czterdzieści. Zawsze jednak w końcu nadchodzi czas, gdy trzeba zwrócić Pasmom ich dar. Dla mnie ten czas nadszedł przed kilkoma laty. Przez rok posunąłem się o lat dwadzieścia... — Machnął dłonią, odpędzając ponure myśli. — Ale wcześniej, wtedy, żyłem całą gębą, wyrzucając sobie tylko, że już dawniej nie cisnąłem precz płaszcz mędrca-Przyjetego. Kobieta, z którą chciałem przeżyć życie, zmarła jednak, wcześniej dając mi syna... — Cień smutku przemknął po twarzy olbrzyma. — Nigdy nie mówiłem o tym, i z nikim — podjął, obrzucając wzrokiem swych gości. — Jeśli teraz mówię, to dlatego, że mój syn i ty, panie — spojrzął na Raladana — macie podobną przeszłość. Glorm, bo takie jest właściwe jego imię, także nie wie nic o swym ojcu, pochodzeniu, dzieciństwie... Gruby wyspiarz przyjrzał się swojemu dowódcy.

— Człowiek długo obcujący z Szernią, nie może bezkarnie płodzić potomstwa. Chciałem oszukać Pasma. Nic z tego. Słyszeliście pewnie

wiele razy o dzieciach „magów”. To prawda, zawsze są inne. Czasem ułomne, czasem po prostu złe... a najczęściej właśnie — inne...

Potrząsnął głową.

— Też był inny — podjął po krótkiej chwili, chcąc chyba szybko zakończyć swą opowieść. — Nie mógł żyć, poza granicami Obszaru... Zły Kraj był dla niego krajem dobrym. W każdym innym miejscu — umierał powoli. Wychowywałem go tutaj, próbując znaleźć sposób, który oddałby go światu. I odkryłem. Ale chłopak musiał stracić pamięć. A ja właśnie wtedy zacząłem się starzeć, z dnia na dzień. Wyprowadziłem chłopaka kilkunastoletniego, ale zrodzonego przed wiekiem, do Grombelardu, sam jednak musiałem tu wrócić, bo inaczej moja zaległa starość wtrąciłaby mnie do grobu w parę dni, podczas gdy tu, w Obszarze, możliwe było przeczekanie owego najgorszego okresu. Odebrałem od Szerni należne mi lata, a potem... to właśnie krótkie przerwy, o których mówiłem... Opuszczałem Obszar. Wtedy w Grombelardzie młody, wielki jak głaz męczyzna spotykał czasem olbrzymiego jak on sam starca, który powiedział mu, czym jest tarsan, czym jest Szerń... ale nigdy nie powiedział, kim jest jego ojciec...

Przyjęty pochylił głowę i odwrócił się.

— Popłynę z wami — powiedział. — Mam już dosyć dłubania w tej księdze. Prawdę mówiąc, od lat czekam na jakiś pretekst... Jeśli nie skorzystam z tej okazji, to za parę miesięcy przekręcę się na tym siedzisku, beznadziejnie i bez sensu, tak jak żyłem... Winien jestem sobie tę szczerłość. I wybaczcie mi starczą wylewność, ale z nikim tu nie rozmawiam... Aż naraz przyplływają ludzie, którzy znają mojego syna... Czy istnieje los? Coś jeszcze, poza Prawami Całości, co rządzi życiem nas wszystkich?

Milczeli.

Przyjęty sięgnął nagle do stołu, gdzie złożył przyniesiony oręż, wziął potężną kuszę i podał Wyspiarzowi.

— Masz, żołnierzu — rzekł szorstko. — Takiej nigdzie nie znajdziesz. I nie bocz się, że wyrzuciłem cię dziś za drzwi. A ty odszukasz swą małą — obiecał Raladanowi. — Ja zaś... może będąc w sercu wydarzeń, zdołam lepiej poznać działanie Praw Całości? I może wtedy wreszcie przyjdzie mi do głowy coś, co warto by tu zapisać...

Z hukiem zatrzęsnał księgę. Jak trumnę.

53.

Po raz pierwszy spotkały się w cztery oczy. Semena chodziła po pokoju. Alida siedziała, spokojnie wybierając dartańskie rodzyнки z wielkiego półmiska, pełnego wszelkich owoców.

— Niemożliwe — powiedziała Semena.

— Konieczne — odparła, równie lakonicznie, tamta.

— Posłuchaj, pani, powstanie miało wybuchnąć...

— Wiem, kiedy miało wybuchnąć. Ale wybuchnie wcześniej. I to będzie za tydzień. Jeśli utrzymamy stary termin, to będziemy mieć do czynienia z Wielką Flotą Armektu. Jedyne, co możemy zrobić, to przyspieszyć wszystko. Jest nadzieja, że pokonamy wojska prowincji, nim nadejdą posiłki. Wtedy stawimy czoło tamtym. Jeśli nie zawrócą. Doniesiono mi, że mają to być siły dość duże. Dość duże jednak dla wzmocnienia miejscowych garnizonów; zbyt małe, by samodzielnie prowadzić wojnę z całą Morską Prowincją. Jeśli zawrócą, zyskamy całą jesień, by okrzepnąć. Zgodnie z planem.

— A jeśli Kirlan zdoła wzmocnić Wielką Flotę jeszcze przed nadejściem jesieni? Na przykład eskadrami dartańskimi?

— No dobrze, pani. Czekam na twoje propozycje. Sytuacja jest jasna: Wielka Flota Armektu zbiera się w Banie, może już się zebrała, może już tu płynie... Co robimy? Podaj mi swój plan, przemyślimy go.

Semena zacisnęła usta. Oczywiście... Cóż mogła odpowiedzieć? Jeśli powstanie miało mieć jakiegokolwiek szansę, należało atakować natychmiast.

Ale to musiało wpłynąć na jej prywatne plany. Oto miała uderzyć na Agary dobry miesiąc wcześniej, niż zamierzała. Dlaczego? To proste... Plan opierała właśnie na powstaniu. Oddziały buntowników zająć miały większość miast i wszystkie porty Garry. Jej przypadło w udziale jedno z najtrudniejszych zadań: opanowanie Dorony, czyli uporanie się z najlepiej wyszkolonym wojskiem na wyspie, jeśli nie brać pod uwagę setki gwardzistów w Dranie... Zakładano do niedawna, że część wojska w Doronie pójdzie za Askarem...

Wierzyła, że poradzi sobie bez Askara. Potem zamierzała, przy

pomocy swoich najemników, opanować zdobyte przez powstanie okręty cesarskie. Potrzebowała ich. Kupiła niedawno trzy stare holki (za złoto swego ojca), ale na jednym wciąż jeszcze wymieniano osprzęt; stał w Tarwelarze, nad Morzem Zamkniętym, a w najlepszym wypadku właśnie stamtąd wypływał... Powrotu zaś drugiego, z Dartanu, oczekiwała najprędzej za miesiąc. Niezależnie jednak od tego, czy miałyby wszystkie swe okręty pod ręką, czy też nie — trzy holki oraz stara koga i „Seila” (te ostatnie mogły nie wrócić ze Złego Kraju) — to była flota wystarczająca może do zdobycia Agarów, ale nie do utrzymania ich! Rokowania z załogami pirackimi były trudne, ze względu na szczególne, obustronne ostrożności. Poza tym udział piratów w wojnie o Agary przewidywała dopiero wiosną przyszłego roku. Przede wszystkim dlatego, że... nie miała złota! Wydatki były gigantyczne, dopiero niedawno uświadomiła sobie, jakich właściwie kwot wymaga utrzymanie trzystu pięćdziesięciu ludzi, nie licząc nawet kosztów wyposażenia. Riolata pozostawiła jej w spadku pręźnie działające przedsiębiorstwa kupieckie, zrujnowane nieco przez Raladana. Do zysków czerpanych z handlu dochodził majątek Demona, no i to, co zdołała zaoszczędzić dla siebie z powstańczej szkatuły... Wszystko mało! Dwie setki piechoty ognistej i setkę kuszników wyszkolił jej jeszcze Askar (były teraz potworne kłopoty z utrzymaniem w tajemnicy faktu istnienia takiej liczby wyszkolonych do boju ludzi). Ale pięćdziesięciu toporników, których potrzebowała — nie było... Chciała zebrać ich w ostatniej chwili, by zaoszczędzić chociaż na żołdzie: Uzbrojenie miała. Oczywiście, że banda łapserdaków w zbrojach nie mogła mieć dużej wartości. Ale złoto, złoto! Skąd je miała brać?! Trzy stare holki i przeciągający się remont jednego z nich pochłonęły ostatnie rezerwy.

Dlatego nie mogła nająć piratów. Zresztą, nawet gdyby mogła... Własna flota i tak była niezbędną. Jeśli nie będzie jej miała, to kto obroni ją samą przed takimi sojusznikami jak Brorrok?

Musiała mieć okręty.

Tym bardziej że nie miała do dyspozycji — teraz — ani jednego! Rzeczą nierealną było sprowadzenie któregokolwiek z tych żaglowców na Garrę, w czasie dostatecznie krótkim, by przydał się podczas powstania. Choćby do ucieczki, gdyby coś poszło nie tak, jak trzeba.

Musiała zdobyć okręty.

I mogła je zdobyć. Ale tylko w początkowym okresie powstania, w panującym zamieszaniu. Potem sprawa będzie trudna albo po prostu niemożliwa do przeprowadzenia. Wszelka zwłoka oznaczała ponadto, że jej ludzie, których szkoliła i utrzymywała z myślą o Agarach przecież, zostaną wciągnięci w walki z cesarskimi i legiami, walki może długie, a na pewno krwawe. Ilu ich zostanie dla jej celów?

Teraz jednak dowiaduje się oto, że zdobywszy Agary, utrzymać będzie musiała ten fakt w tajemnicy przez miesiąc, nim jesienne sztormy zabezpieczą wyspy! Czy to było możliwe? Oczywiście tak, w przypadku Kirłanu... Na jak najdłuższym zwodzeniu i imperium opierał się przecież, w znacznej mierze, cały plan. Ale czy zwiedzie powstańców? Ludzi, którym porwie sprzed nosa tak potrzebne, zdobyte okręty? Których postawi w ciężkiej sytuacji, osłabiając siły przez zabranie kilkuset swoich ludzi? Przecież — będzie pościg. Gdyby wszystko miało się rozegrać zgodnie z pierwotnym planem, a więc na dwa, trzy tygodnie przed sztormami, mogła być spokojna, że okręty ścigające jej eskadrę zawrócą albo też zapędzą się zbyt daleko i nie zdążą z powrotem na Garrę przed nastaniem burz. Zresztą, nawet gdyby odkryto, że jej celem są właśnie Agary, miałyoby to niewielkie znaczenie. Ale nowa sytuacja czyniła wszelkie te rachuby spekulacjami bez żadnej wartości. Jeśli wodzowie powstania dowiedzą się, gdzie poszły uprowadzone żaglowce, to oczywiście zrobią wszystko, by usłyszał o tym Kirłan. Choćby po to tylko, by odwrócić uwagę imperium od Garry. I dalej — jeśli powstanie uzyska wcześniej znaczne sukcesy, to Armekt może uznać, że pospieszna interwencja nic nie da. Przygotowania do wojny pójdą pełnym wiatrem, ale wojna zacznie się dopiero zimą. Wystarczy jednak Armektowi sił i środków, by puścić na dno tych parę okrętów, jakie będzie miała na Agarach. Cesarz nie jest głupcem, łatwo policzy, że później, prowadząc zmagania z Garrą, nieprędko będzie mógł pozwolić sobie na agarską awanturę...

Tydzień czasu! Na Szerń — ledwie tydzień na ułożenie nowego planu! A sto innych spraw? Należało natychmiast zakończyć wszystkie interesy, sprzedać wszystko, co sprzedać można, bo potem, gdy wybuchnie powstanie, nikt nie da sztuki srebra za kamienicę w Doronie... Alida ziewnęła.

— Przemyślałaś wszystko, pani? — zapytała. — Cóż to za rozterki?

O ile wiem, przygotowania, poza drobnymi szczegółami, ukończyłaś już dawno. Przesunięcie terminu ma pewną zaletę, coraz trudniej przychodzi utrzymać rzecz w tajemnicy...

Semena skinęła głową. Tu się zgadzały... Jej strzelcy i kusznicy nie trzymani byli przecież w żadnych koszarach. Brali żołąd, ale łazili, oczywiście bez uzbrojenia, po całej wyspie i robili, co chcieli. Mówili też, co chcieli... Krążyły jakieś plotki, a w garnizonie, podobno, zupełnie serio zaczęto się zastanawiać, co znaczą dziwne pogłoski o nowej broni, lepszej jakoby niż kusza... Miał się już w to wmieszać doroński Trybunał, ale Alida jakoś wytłumiła sprawę. Nie mogła jednak niczego narzucić wojsku. Znow zabrakło Askara.

— Opanuj stolicę — rzekła Alida — a o resztę się nie martw.

— Oczywiście — odparła Semena. — Po prostu zmiana terminu zaskoczyła mnie. Wiesz, pani, że prowadzę interesy. Przyspieszenie powstania nie wyjdzie im na dobre... Ale trudno. Z głodu chyba nie umrę.

— Tym się nie przejmuj. Zajmij stolicę, a po wyzwoleniu Garry znajdą się ludzie, którzy zadbają o twój byt — zapewniła Alida.

„Ty naprawdę wierzysz w zwycięstwo? — zapytała w myślach Semena. — Miałam cię za rozsądniejszą”..

— Miasto będzie opanowane.

— O, właśnie... — Alida wsypała do ust garść rodzynek. — Jeszcze jedno: czy kontrolujesz Bagbę?

— Oczywiście. Tak, jak ustaliliśmy.

— Więc będziesz, pani, koordynować działania w Bagbie i w Doronie. Do pomocy dostaniesz dwóch ludzi: jednego tam, drugiego tu.

Semena rzuciła się do stołu, przy którym siedziała blondynka.

— Co to znaczy? — zapytała z wściekłością.

— Nic ponadto, co powiedziałam — rzekła ze zdumieniem Alida. — Co takiego się stało, moja droga?

— Wiesz dobrze, co się stało! — Semena cofnęła się pod ścianę, jakby dla nabrania rozpędu. — Chcesz mnie kontrolować?

Alida z uśmiechem rozgniotła rodzynek między palcami, po czym je oblizała.

— Powiedz, pani, dlaczego tak mnie nie znosisz?

— Z wzajemnością, prawda? — stwierdziła raczej, niż zapytała Semena.

— Oj, tak... — Blondynka spojrzała niemal załomie. — Masz, pani, naturę dziwki. Nie znoszę tego u nikogo, prócz siebie.

Semena po raz drugi przypadła do stołu i zmiotła zeń półmisek. Owoce potoczyły się po podłodze, rodziniki spadły jak deszcz.

— Nie wiem, czemu — syknęła — ale gdy ktoś porównuje mnie z dziwką, mam ochotę dać jego serce psom. Alida westchnęła. Nie wyglądała na przerażoną.

— No dobrze... Jesteśmy sobie potrzebne, prawda?

Semena opanowała się.

— Niestety. Oczywiście...

— A zatem omówmy szczegóły. Został tylko tydzień.

54.

Wracali.

„Seila” gładko szła półwiatrem na południe, lekko zbaczając ku wschodowi. Mieli opłynąć Mały Dartan i pożeglować dalej, wzdłuż dartańskich brzegów, a potem na południowy zachód, w stronę Garry.

Trwała pełnia lata.

Pracy na okręcie nie było zbyt wiele; pierwszego dnia po opuszczeniu Złego Kraju majtkowie, nie mówiąc już o żołnierzach, znaleźli dosyć chwil, by roztrząsać dziwy tego miejsca. Rozprawiano o zagadce spowolnienia czasu, ale dość niechętnie, bo nie dało się jej objąć umysłem i dlatego — zwyczajnie przerażała. Każdy słyszał kiedyś o tym fenomenie, co innego wszakże słyszeć, co innego zaś sprawdzić, że to wcale nie bajka...

Piękna pogoda sprawiła, że mało kto tkwił pod pokładem. Cieszono się, iż niebezpieczeństwa tajemniczej krainy pozostały z tyłu. Morze Dartańskie wydawało się wszystkim swojskie i bezpieczne.

Zauważono, że orki już im nie towarzyszą...

Tylko dwóch ludzi nie ujrzano tego dnia na pokładzie: kapitana i mędrca-Przyjętego. Od chwili, gdy zapadła decyzja o powrocie, prawie nie opuszczali swoich kajut.

Obecność starca na okręcie sprawiała, że majtkowie czuli się cokolwiek niepewnie. Ponadto wieźli całą masę Porzuconych Przedmiotów, o których nazwy i właściwości woleli nawet nie pytać. Wystarczały przygody, jakie mieli, poszukując ich na Czarnym Wybrzeżu. Znowu ubyło dwóch ludzi.

Raladan i Tamenath wiele rozmawiali. Kapitan chciał wiedzieć, co oznacza jego pochodzenie; pytał też o treść Przepowiedni, chciał lepiej zrozumieć, czym właściwie są Prawa Całości. Przede wszystkim jednak — pytał o Ridaretę...

Ale odpowiedzi, które mogłyby go zadowolić, nie otrzymał.

Tymczasem Przyjęty wiedział znacznie więcej, niż mówił Raladanowi. Już dziesięć razy chciał odkryć wszystko, ale zawsze przypominał sobie jedną z wielkich życiowych mądrości: że niespełniona

nadzieja może nawet zabić...

Chciał ustrzec nie siebie, ale Raladana. Dlatego milczał.

Lecz — był rok spięcia kłamry. I wydarzenia następowały po sobie szybko, nieuchronnie i nieubłaganie.

Następnego dnia po południu Raladan stał na dziobie (nic o tym nie wiedząc, szczególnie upodobał sobie miejsce, w którym zwykle — kiedyś — stawała Riolata: dobre dwa kroki w lewo od dziobnicy, na wysokości kluzy). Wiatr zamierał, gorące jego podmuchy słabo lizały płótna. Niebo było czyste, ale na wschodzie, tuż nad horyzontem tkwiła, jak przyklejona do błękitu, czarna chmurka.

— Wachtowy! — raczej powiedział, niż zawołał, kapitan. Majtek, łomocząc piętami o deski, przybiegł natychmiast.

— Sztormowe płótna na maszty.

— Tak, panie.

Raladan poszedł na rufę. Odnalazł swego oficera.

— Bohed, będziemy mieli burzę. Dopilnuj zmiany kursu. Uciekamy z wiatrem, do dartańskich brzegów. Powinniśmy zdążyć, ale wszystko ma iść piorunem.

Chwilę później kapitan wszedł do kajuty oddanej Przyjętemu. Starzec spał; Raladan zauważył, że olbrzym nie najlepiej czuje się na morzu.

— Będzie burza, panie — poinformował, gdy starzec przecierał twarz. — Chcę zapytać, czy trzeba jakoś szczególnie zabezpieczyć Porzucone Przedmioty? To na wypadek, gdybyśmy nie zdążyli do dartańskich brzegów.

— Płyniemy do Dartanu? — zapytał z nagłym ożywieniem, Przyjęty.

— To jedyne, co można zrobić. Sztorm idzie ze wschodu, jeśli nie znajdziemy bezpiecznej kryjówki, pogna nas właśnie w stronę dartańskich brzegów. Możesz tego, panie, nie wiedzieć, ale w czasie burzy ląd jest najgroźniejszym wrogiem dla każdego statku.

— Ale przecież płyniemy ku niemu?

— Owszem, ale z własnej woli, nie na skrzydłach burzy. Jeśli znajdziemy jakąś zatoczkę, osłoniętą nieco od wiatru i pełnomorskiej fali, staniemy tam na kotwicy i będziemy prawie bezpieczni. Co innego, jeśli to sztorm rzuci nas na brzeg.

— Morze wydaje się spokojne — zauważył Tamenath.

— Czyżbyś nie słyszał, panie, jak mówi się czasem o „ciszy przed burzą”? — zdziwił się Raladan. — Spędziwszy pół życia na wyspie, zdajesz się niewiele wiedzieć o kapryсах morza?

Starzec uśmiechnął się lekko.

— Zawsze bawiło mnie nazywanie Bezimiennego Obszaru „Złym Krajem” — powiedział. — A to dlatego, że jest mniej „zły” niż wszystko poza nim... Nie ma w Obszarze sztormów, huraganów ani powodzi, nie zdarzają się susze ani zabójcze mrozy. Uwierz mi, kapitanie, że przez całe swoje życie nie widziałem burzy na morzu! Nie mówiąc już o przeżyciu jej na pokładzie żaglowca.

Raladan wiedział przecież, że nie wszyscy ludzie na świecie są żeglarzami... Ale sam spędził na morzu całe życie, i myśl, że ktoś mógł nie widzieć burzy, wydała mu się prawie zabawna.

— Lepiej umocuj, panie — powiedział — wszystkie swoje rzeczy. Te pergaminy i pióra, a już najbardziej ową flaszkę z inkaustem! Może być, że pierwsze porywy sztormu dopadną nas w drodze. A jeśli nawet nie, to i tak „Seila” tańczyć będzie na kotwicy jak szalona. Jeszcze raz zapytam o Przedmioty: czy nie trzeba jakichś specjalnych zabezpieczeń?

— Jeśli kufry są dobrze umocowane, to nie — rzekł Tamenath. Geerkoto nie mogą stykać się z Dor-Orego, to jedyne, czego trzeba koniecznie dopilnować, jeśli nie chcemy mieć w ładowni wojny Ciemnych Pasm z Jasnymi.

— Sprawdzę wszystko raz jeszcze — obiecał Raladan. — Gdybyś panie czegoś potrzebował, znajdziesz mnie na pokładzie. To powiedziawszy, wyszedł.

Wkrótce mknęli ku brzegom Dartanu.

Zatoczka, którą znaleźli, nie była miejscem, jakiego szukał Raladan; słabo osłaniała od wiatru i prawie wcale od fal. Nie mieli jednak wyboru. „Seila”, mocno wczepiona w dno kotwicami, podrzucana była przez fale, przewalające się od dziobu do rufy. Woda uniosła jedną z umieszczonych na średnim pokładzie łodzi, na razie jednak większych szkód nie było. Smukły statek nonszalancko, niemal pogardliwie, stawiał czoło morzu. Załoga czuwała, gotowa do działania natychmiast, gdyby zaszła taka potrzeba.

Wzmogoną chwiejność pokładu najdotkliwiej odczuwał Tamenath. Raladan towarzyszył starcowi. Po raz kolejny przekonywał się, że

grombelardzki mędrzec-Przyjęty niekoniecznie musi być jakąś przedziwną istotą, z której powaga, dostojność i siła promieniują nieustannie, w każdych warunkach. To był człowiek po prostu. Zwykle nieco żartobliwy, a nawet rubaszny, teraz ciężko doświadczany przez morską chorobę, na co dzień zaś poświęcający się wybranemu zajęciu, które było omal takim samym zajęciem jak i każde inne. Obowiązkiem żołnierza było znać się na wojnie, obowiązkiem marynarza — na morzu; obowiązkiem zaś Przyjętego — rozumieć Szerń. I nic więcej. Zapewne, że rozumienie Szerni dawało dostęp do sił, które użyte być mogły w wielu sytuacjach; w końcu to Szerń rządziła światem. Pojmował jednak teraz Raladan, jak zabawne, w istocie, jest nazywanie Przyjętego magiem, czy też w niektórych krainach Szereru — utożsamianie go niemal z jakimś czarownikiem.

— Czy nie możesz jakoś sprawić, panie — zapytał wreszcie, widząc okropną bladość olbrzyma — by dolegliwości były nieco mniejsze?

Tamten uśmiechnął się prawie.

— Mogę, kapitanie, czy też raczej — mógłbym. Ale moja siła, podobnie jak siła każdego spośród Przyjętych, płynie z rozumienia Szerni. Znamy potęgę Pasm i dlatego właśnie wiemy, kiedy można i należy jej użyć. Kapitanie, czy gdyby dano ci moc rozkazywania wichrom, przyzywałbyś je zawsze, ilekroć chciałbyś zdmuchnąć świeczkę?

Raladan skinął głową na znak, że pojmuje.

— Nie dziw się więc, że nie używam mocy Pasm do takich bzdur jak moje nudności. Gdybym miał od tego umrzeć, bądź pewien, że nie wahałbym się ani przez chwilę, a Szerń wybaczyłaby mi czerpanie z Pasm.

— Burza nie powinna trwać długo — rzekł kapitan. — O tej porze roku, sztormy na Morzu Dartańskim są zwykle dość gwałtowne, ale krótkie.

— Oby! — mruknął Tamenath, już nie blady, ale całkiem zielony. — Daj no tutaj, bracie, ten szaflik i wynoś się najlepiej, bo pomoc nie możesz, a po co masz oglądać dostojnego mędrca, rzygającego z zapałem niegodnym sędziwego wieku...

Raladan zastosował się do prośby.

*

Zgodnie z przewidywaniami kapitana, już nad ranem burza zaczęła

przycichać, a koło południa pogoda poprawiła się na tyle, że można było kontynuować rejs. Raladan jednak zwlekał. Szkody, które można było naprawić już na otwartym morzu, postanowił usunąć natychmiast, bez podnoszenia kotwicy. Zapadła decyzja, że wyruszą dopiero rankiem, dnia następnego. Dziwiło to trochę wszystkich, najbardziej zaś Davarodena i Boheda, którzy widzieli, jak wcześniej naglił do pośpiechu. Prawda, że dzień zmarnowany w Złym Kraju znaczył bez porównania więcej niż dzień zmarnowany poza jego granicami, ale jednak...

Tym bardziej, że nie wybrano kotwicy także rankiem. Kapitan zażądał kolejno odszukania zabranej przez fale łodzi (z której mogła zostać co najwyżej telepiąca się gdzieś przy brzegu kupa połamanych desek), potem zaś — uzupełnienia zapasów wody pitnej (której właściwie nie brakowało, chociaż, oczywiście, miała podły smak, jak każda woda trzymana zbyt długo w jednym naczyniu). Marynarze, pomimo pewnego zdziwienia, przyjęli pomysł zejścia na ląd z zadowoleniem; nie oni w końcu rządzą statkiem, a spieszno im donikąd nie było. Jeszcze większe zadowolenie okazywał Tamenath.

Łódź odbiła od burty „Seili” grubo przed południem. Siedzieli w niej Raladan. Tamenath i Davaroden, resztę obsady stanowili majtkowie.

Davaroden, który jakiś czas temu postanowił nie dziwić się niczemu i nie pytać o nic, z rzadka rzucał spojrzenia na milczącego, zamyślonego kapitana. Raladan, trzymając w dłoni rumpel, z głęboką zadumą patrzył na brzeg, unoszący się ponad dziób łodzi, to znów znikający pod jego krawędzią, w miarę, jak fale unosiły ich i opuszczały. Raz i drugi obejrzał się na „Seilę”, jakby z pewną troską.

Davaroden, uzbrojony jak zawsze, czyli z mieczem przy boku, kuszą pod pachą i hełmem pod drugą, nie był jedynym orężnym człowiekiem w szalupie: Tamenath, okryty swoim szarym płaszczem, miał pas z mieczem, mocno ściągnięty w talii. Podkreślało to niezwykłą szerokość barków Przyjętego; Davaroden pomyślał, że ten jednoręki mędrzec potrafiłby pewnie zgnieść dwóch jego żołnierzy, i to bez żadnych Formuł czy innych sztuczek z Szernią.

Majtkowie unieśli wiosła. Szalupa jeszcze przez chwilę płynęła siłą rozpędu, po czym zaszurała o dno. Wioślarze wyskoczyli na płyciznę i pociągnęli ją do samego brzegu. Raladan i Przyjęty ledwie zamoczyli stopy.

Marynarze zabezpieczyli łódź i ruszyli wzdłuż brzegu. Było dla nich oczywiste, że porwanej przez fale szalupy nie znajdują; ale skoro kapitan chciał, by szukali...

— To Dartan, nie jakiś bezludzie — powiedział Raladan, rozglądając się dokoła. — Myślę, że gdzieś niedaleko powinna być jakaś wieś.

— Na pewno — Davaroden skinął głową.

— Poszukamy?

Kapitan potwierdził.

Gdzieś, niedaleko, rozbrzmiał tętent końskich kopyt. Davaroden natychmiast założył hełm i przygotował broń. Wkrótce potem, spoza wydm, dobiegło parsknięcie wierzchowca, a w następnej chwili pojawiła się na garbatym, porośłym trawą barchanie sylwetka jeźdźca trzymającego za uzdę luzaka. Raladan przybladł tak bardzo, iż stojący obok Davaroden wziął to za nagłą słabość i chciał go podeprzeć. Zaraz potem jednak sam osłupiał... poznał bowiem dziewczynę, którą widział związaną i zakneblowaną na Brzegu Wisielców...

Dziewczyna krzyknęła, zeskakując z siodła. Raladan rzucił się ku niej.

Biegli ku sobie: on, w sypkim piachu, wdrapywał się na wydnię, ona zsuwała wprost ku niemu. Chwycił ją w objęcia, potoczyli się na plażę, zerwali zaraz i — klęcząc — trzymali za ramiona. Sto uczuć targało sercem Raladana: bał się wierzyć, że znów go odnalazła (czy też może on ją, w cudowny jakiś sposób!); chciał prosić, by mu przebaczyła, że oddał ją w ręce tamtej; bał się, że znów usłyszy z jej ust wrogie słowa; szukał w spojrzeniu oznak szaleństwa, które tak niedawno było wszystkim, co ją wypełniało...

Zrozumiała te rozterki, bo — nie odpowiadając na żadne z nie wypowiedzianych pytań — pocałowała go nagle, ze łzami, prosto w twarz, gdzieś między nosem a szorstkim policzkiem, wtuliła jego dłonie w swe włosy i przytrzymała mocno.

Tamenath i Davaroden spojrzeli po sobie, i znów na ową parę; kusznik poczuł dziwny ucisk w gardle. Odwrócił się i poszedł na sam brzeg morza, tam, gdzie fale obmywały piasek. Spojrzał w stronę „Seili”, a potem znowu odwrócił się ku kapitanowi i dziewczynie. Wciąż klęczeli, twarzą w twarz, mówiąc coś, pytając, rozmawiając...

— To minęło — szeptała. — Minęło. Pamiętam każdy dzień i każdą

chwilę, rozumiem wszystko, ale najbardziej to... że jestem sobą... Jestem sobą, chociaż chyba niezupełnie człowiekiem... Rozumiesz to? Tak, ty jeden rozumiesz!

Patrzył, potrząsając głową.

— Też... — mówił bezładnie. — Ja też... nie wiem. Jak mnie odnalazłaś? Co dalej?

— Wiedziałam, Raladan. Ja wiedziałam, że trafisz w to miejsce... Tak jak wtedy, na Brzegu Wisielców. Czekam od tygodnia, gotowa byłam czekać całe życie. Widziałam statek i łódź... a teraz poznałam cię na brzegu.

Drżącymi dłońmi gładził wspaniałe, gęste włosy dziewczyny.

— Chodź — powiedział wreszcie.

Trzymał ją blisko, cały czas przy sobie, jakby bojąc się, że znowu ktoś, lub coś ich rozdzieli. Usłyszawszy, kim jest olbrzymi starzec, podeszła i podała mu rękę. Skinęła głową kusznikowi.

— Nie możemy tu zostać — powiedziała. — Ukrywam się.

— Davaroden, zbierz ludzi — rzekł natychmiast Raladan. — Przed kim? — zapytał, zwracając się znów do dziewczyny.

— Przed żołnierzami, ścigali mnie. Ukradłam konie... — Chciała powiedzieć jeszcze, że zabiła paru ludzi i spaliła wieś, ale powstrzymała się.

Davaroden pobiegł plażą, goniąc majtków. Raladan spojrzał dokoła.

— Czy jest coś przy koniach, czego potrzebujesz, pani?

— Trochę żywności i dwa pledy... Nic, czego nie można by zostawić cesarskim. Ale konie warto chyba sprowadzić tu, na plażę. Mniej będą rzucały się w oczy.

Kapitan wspiął się na wydmy.

— Widzę, że Raladan nie próżnował przez cały ten czas, kiedy ja... — powiedziała, zwracając się do starca. — Nie mogę doczekać się wyjaśnień! Czy wiesz, panie, kim jest dla mnie ten człowiek? — zapytała nagle, wskazując ruchem głowy kapitana, sprowadzającego z wydmy wierzchowce.

— Domyślam się — odparł prawie ciepło Tamenath.

— Wszystkim! — powiedziała z ogromną, prawie dziecinną powagą.

— A więc jesteście dwojgiem ludzi — rzekł starzec — którym dane jest mieć wszystko...

Patrzyła przez chwilę, milcząc. Wreszcie uśmiechnęła się lekko.

Wkrótce ujrzeli kuznika prowadzącego majtków. Niedługo potem łódź, popychana silnymi uderzeniami wiosła, płynęła ku „Seili”.

55.

Powstanie wybuchło.

Staranne, od dawna czynione przygotowania przynosiły efekty: okazało się naraz, że buntownicy mają swoich ludzi prawie wszędzie. Dwór Księcia Przedstawiciela, próbujący koordynować działania sił cesarskich choćby w samej stolicy, został sparaliżowany niemal natychmiast: zarządzenia i rozkazy nie docierały w ogóle do miejsc przeznaczenia, bądź też trafiały do ludzi, którzy ich nie wykonywali, a to z tej prostej przyczyny, że byli od dawna kontrolowani lub przekupieni przez organizatorów powstania. Walki rozgorzały w wielu miejscach naraz — w Doronie, Bagbie i Dranie...

W Dranie, spośród obu eskadr Floty Głównej tylko dwa żaglowce przeszły na stronę powstańców, pomimo że eskadrami dowodzili ludzie Genodorra i Alidy. Na czterech okrętach żołnierze odmówili wykonania rozkazów dowódcy eskadr. Nie na wiele się to zdało, bowiem majtkowie, wszyscy co do jednego, natychmiast uciekli, częściowo przechodząc na stronę powstańców, częściowo zasilając tłum łapserdaków i rabusiów, korzystających z mieszania na swój sposób (w krótkim czasie każdy, kto miał cokolwiek do stracenia, umykał z przeklętego miasta na łeb, na szyję, unosząc ze sobą tyle majątku, ile unieść zdołał). Tak, czy inaczej — w Dranie powstańcom udało się pozyskać dwa holki z załogami, jeden zaś zdobyć. Pozostałe, nie mogące wyjść w morze bez marynarzy, strażnicy morza spalili. Walki w porcie były zażarte i krwawe.

Największym problemem stała się jednak, zgodnie z przewidywaniami, Stara Dzielnica. Stu gwardzistów nie uległo przeważającym siłom dość dobrze przecież przygotowanych powstańców. Bezpieczne i spokojne dotąd uliczki spłynęły krwią. Pomimo iż część oficerów zawdzięczała swe stanowiska jej dostojności Alidzie, ledwie kilku żołnierzy podporządkowało się nowej władzy. Większość poszła za głosem swoich dziesiętników, zlekceważonych przez organizatorów rebelii; Ganedorr i Alida, prowadząc grę o najwyższe stanowiska i urzędy Garry, nie mieli czasu na zabawę w kontrolowanie niskich szarż, przy tym nie potrafili uwzględnić znaczenia,

jakie mieli w cesarskich wojskach szarzy dziesiętnicy. Tymczasem, jak to zwykle bywa, setnicy i podsetnicy zmieniali się często, odchodzili, awansowali, jedynym zaś przełożonym, którego żołnierz znał dobrze i widział stale, był niepiśmienny dziesiętnik — dowódca, ale i towarzyszył. Z Dranu pół setki doskonałych żołnierzy wyprowadził, a tym samym ocalił dla cesarza, nie kto inny, jak pochodzący z rybackiej wioski Monatal, pięćdziesięcioparoletni ospowaty wiarus, pamiętający świetnie poprzednie powstanie. Monatal, nie znając sytuacji w innych okręgach i miastach Garry, uznał za najważniejsze zabezpieczyć na razie swój oddział. Uchodząc przed pościgiem, poprowadził gwardzistów w Hareny, niewysokie, ale wcale nie łagodne góry, których łańcuch był jakby kręgosłupem wyspy, biegnącym wzdłuż wschodniego wybrzeża.

Jeszcze gorzej niż w Dranie działo się na południu, w Bagbie. Semena, od pewnego czasu sprawująca pieczę także nad tym miastem, nie podołała zadaniu. Zabrakło Askara... W Doronie powstanie odniosło pełny sukces, miejscowy garnizon, dowodzony po zniknięciu Askara dosyć nieudolnie, udało się rozbić (ale i tu bardzo mało żołnierzy pozyskano dla sprawy powstania), zaś pałac Księcia Przedstawiciela splądrowano, a następnie spalono. Straty jednak były poważne, zaś sytuacja wystarczająco skomplikowana, by w Bagbie dowodzenie spadło całkowicie na barki miejscowych wodzów powstańczych, ludzi nie znających się na wojnie i niezdecydowanych (człowiek posłany do Bagby przez Alidę miał niespełna tydzień na zapoznanie się z sytuacją w tym mieście — zbyt mało!). Żołnierze stacjonujących w Bagbie eskadr nie dość, że nie posłuchali wezwania do buntu, to jeszcze bez żadnych ceremonii powiesili podżegaczy, po czym, wraz z niewielkim oddziałem legionistów, uderzyli na niekarne bandy rebeliantów, wyrzucając je z miasta. Miejsce straconego komendanta garnizonu zajął młody, energiczny dowódca eskadry, Armektańczyk C. S. Elimer, przejmując dowodzenie nad całością sił cesarskich na południu. Małe szniki straży morskiej natychmiast wyruszyły po posiłki do Archipelagu Południowego i Dalonorów przy wschodnich wybrzeżach. Silne patrole przyniosły wieści z Belonu, dla cesarstwa pomyślne. Powstanie w Belonie nie wybuchło, widać buntownicy liczyli, że opanowanie Bagby i Dorony pozwoli wziąć to małe miasto w kleszcze, a następnie zdusić niewielki garnizon Legii Garyjskiej w drugiej kolejności i bez większego

wysiłku. Elimer natychmiast wzmocnił garnizon Belonu, po czym, niewielkimi siłami osłoniwszy Bagbę, ruszył na północ i północny zachód, paląc bez namysłu każdą wioskę, w której dostrzegł choć cień przychylności dla powstania, ale też ochraniając i zabezpieczając te wszystkie, które pozostały wierne imperium. W pięć dni po wybuchu wojny sytuacja ustabilizowała się: cała Garra, od północnych krańców aż do wysokości Belonu, była w rękach powstańców (jeśli nie liczyć przedzierających się przez góry, na południe, gwardzistów Monatala, ściganych zresztą zajadle). Część południową, z Bagbą i Belonem, trzymały siły imperium. Do Bagby napływać zaczęły posiłki, najpierw z Dalonorów, później z Sary w Archipelagu Południowym. Oznaczało to wprawdzie wystawienie ogołoconych z wojska wysp na ciosy rebelii, wyspy owe jednak nie liczyły się na razie zupełnie i siłom cesarskim nie opłacało się ich trzymać, zupełnie tak samo, jak siłom powstańczym — zdobywać.

Małe szniki Floty Głównej wciąż były na morzu, alarmując wyspy Morza Garyjskiego, potem Morza Zwartego, wreszcie Wyspy Przybrzeżne i sam Armekt. Pierwsze — potwierdzone i sprawdzone — wieści dotarły na kontynent...

Wcześniej jednak, bo już czwartego dnia po zajęciu Dorony, wojska powstańcze rozpoczęły przygotowania do uderzenia na Belon i Bagbę. Lecz nie potrafiono znaleźć dowódcy dla tych sił... Plan powstania nie przewidywał większych działań w polu; liczone, że szybkie, jednoczesne zajęcie wielkich miast i portów Garry uniemożliwi przeciwnikowi zebranie oddziałów dość licznych, by je nazwać aż wojskiem... Stało się jednak inaczej.

Otwarta kwestia dowodzenia siłami polowymi doprowadziła do pierwszych rozdzwięków w łonie rebelii...

*

Semena nie miała powodów do radości. Nic nie szło zgodnie z planem... Nie zdołała opanować dorońskich eskadr Floty Głównej, bo jej żołnierze beznadziejnie uwikłali się w przewlekłe walki ze skazanymi na przegraną, ale zawziętymi żołnierzami imperium. Holki Floty Głównej zajęli żołnierze Ahagadena, człowieka Alidy. Cztery stare okręty Floty Rezerwowej utracono w ogóle, bo na dwa dni przed wybuchem powstania zostały skierowane do Wysp Barrierowych.

Ahagaden nominalnie był podkomendnym Semeny, szybko okazało się jednak, że (powodowany tajnymi instrukcjami z Dranu, bądź też własną ambicją) nie zamierza oddać zdobyczy, pomimo iż wydała mu wyraźny rozkaz. Chciała już użyć siły, ale podobna wojna nie wróżyła niczego dobrego; siedzący na holkach topornicy byli dobrze uzbrojeni i nieźle dowodzeni, podczas gdy jej hakownice — na które tak bardzo liczyła — nie sprawdziły się, jak dotąd. Może przyczyną był szczególnie charakter walk ulicznych, w których ciężka broń, możliwa tylko do użycia wespół z niewygodnym kozłem, była mało poręczna i nie wytrzymywała porównania z kuszą. Zawiniło też nieuchronne rozdrobnienie oddziałów na kilkunastoosobowe grupki... Tak czy inaczej, właściwie polegać mogła tylko na swoich kusznikach, których miała niecałą setkę, a po walkach z cesarskim garnizonem jeszcze mniej. Przeklinała teraz własną lekkomyślność, która kazała jej zaufać broni nie sprawdzonej. Spośród trzystu ciężko opłacanych ludzi dwustu stanowiło obsługę hakownic... I byli to najlepsi i najpewniejsi spośród najemników, których zebrała z myślą o Agarach.

Ahagaden zresztą, po pierwszych tarciach, nie dał jej nawet szansy: wyprowadził po prostu holki i zarekwirowane statki kupieckie z portu i zakotwiczył na redzie. Jeśli chciała je zdobyć, to chyba tylko wpław.

Pewną pociechą był fakt, że zachowała własne okręty. Procentowały liczne zabezpieczenia, o które pytał swego czasu Raladan: o tym, kto stoi za Litasem (a później jego synem Melarem) wiedzieli tylko przywódcy powstania. Ale statki Melara, „Seila” i stara koga „Dalonor” wyszły w morze jeszcze zimą — i zaginęły (a naprawdę były w Złym Kraju). Natomiast trzy zakupione niedawno holki należały do spadkobierców E. Zikona, prosperujących świetnie, ale nie łączonych już przez nikogo, nawet przez powstańców, z jej godnością Semeną. Holków tych w Doronie nie było (przekazała rozkazy, by — późnym latem — pojawiły się od razu na Agarach), nikt jednak nie mógł zarzucić jej nielojalności, jaką niewątpliwie byłoby pozbawienie powstańców wsparcia trzech, jakże potrzebnych, okrętów...

Cóż z tego? Te trzy żaglowce, bez żołnierzy na pokładach, nie mogły przybyć na Garrę, raz dlatego, że brakło czasu, po wtóre zaś — natychmiast przejęłoby je powstanie.

Plan walił się w gruzy.

Pojawiła się jednak pewna szansa. Co prawda, szansa dość nikła, wymagająca wielu zabiegów i szczególnych działań. Powstańcze siły szykowały się do uderzenia na południe. Jednocześnie powstańcza Kwatera Główna w Dranie planowała bitwę morską, u południowo-zachodnich wybrzeży, na wysokości Bagby. Semena liczyła, że bez względu na to, która strona wygra w owym boju, okręty zwycięzców zawiąną niezwłocznie do Bagby, najważniejszego w tej chwili portu na wyspie, z zamiarem uporczywego trzymania (lub zdobycia) go.

Te okręty zamierzała opanować.

Jednak musiała najpierw otrzymać dowództwo armii polowej, potem zaś pobić lądowe siły imperium. Tymczasem w żadnych planach nie przewidywano jej kandydatury na takie stanowisko... Jedynym atutem była niepodważalna racja, iż jej wojska, jako jedyne, osiągnęły bezsporny i całkowity sukces. Potrzebowała jednak dodatkowych, jeszcze silniejszych argumentów.

Zadziałała szybko: na pierwszą wieść o marszu gwardzistów Monatała przez góry posłała czterdziestu kuszników i czterdziestkę piechoty ognistej (ludzi osłony) na spotkanie ściganemu oddziałowi...

*

Mijał ósmy dzień od wybuchu powstania. Oddziały buntowników zaległy pod Doroną. Siły okazały się niezwykle szczupłe półtora tysiąca piechoty, w tym nieco ponad stu kuszników i pół setki łuczników. Do tego dochodziło trzystu ludzi Semeny. Okazało się, że wodzowie powstania nie potrafili ocenić, jak duże siły pochłonie obsadzenie zdobytych portów i okrętów (łącznie kilkanaście holców i mniejszych żaglowców straży morskiej, nie licząc wielu zarekwirowanych kog kupieckich). Nieliczne przeciągnięte na stronę powstania załogi cesarskie trzeba było wzmocnić własnymi ludźmi lub zastąpić w ogóle, nikt bowiem nie mógł ręczyć za ich postawę w walce z wiernymi cesarzowi żaglowcami.

Utrzymanie portów jawiło się zadaniem równie istotnym, a nie można było przecież wykluczyć próby ich odbicia z morza. Silny oddział ścigał w Harenach gwardzistów, wielu ludzi pochłaniały patrole miejskie i oddziały eskortujące różnorakie transporty... W zestawieniu z wyższymi niż zakładano stratami i nadspodziewanie powszechną dezercją (w Dranie okazało się, że niemal trzecia część żołnierzy woli

rabować, wraz z portową hołotą, opuszczone kupieckie kantory, niż walczyć o świętą sprawę wyzwolenia Garry z nie znającymi się na żartach gwardzistami) ogólna liczba osiemnastu setek ludzi, gotowych do uderzenia na Belon, zdawała się i tak imponująca.

Znów zabrakło Askara — przewidywanego swego czasu nawet na naczelnego dowódcę sił morskich lub właśnie lądowych. Podczas układania pierwszych, wstępnych planów, Askar jako jedyny dostrzegał możliwość działania w polu, uprzedzając, że gdyby nie dało się opanować od razu celów głównych, wojna stanie się niezwykle trudna, choćby już tylko z powodu małej liczby ludzi, których da się w pole wyprowadzić. Jednak Askar zaginął, a żaden z oficerów w powstańczym dowództwie nie miał doświadczenia w walkach na lądzie ani też nie potrafił przewidzieć ich przebiegu. Trwały pokój, panujący w granicach Wiecznego Cesarstwa, nie sprzyjał nabywaniu wojennych doświadczeń... Tylko w Armekcie, pod Północną Granicą, stale toczyła się podjazdowa wojna z alerskimi półzwierzętami. Ale żaden z powstańczych oficerów nie był Armektańczykiem ani nie służył pod Północną Granicą... Teraz więc okazało się dodatkowo, że owych tysiąc ośmiuset ludzi jest bez dowódcy.

Semena, spotykając się wieczorem z Alida, znała sytuację doskonale. I była już niemal pewna, że wygra. Miała podstawy, by tak sądzić.

Spotkanie odbyło się przy trakcie wiodącym z Dorony do Dranu, mniej więcej w połowie drogi między miastami. Wybór miejsca narzucał pośpiech; pomimo odzywających się z wielu stron uwag i nalegań (słusznych skądinąd) Kwatera Główna powstania wciąż mieściła się w Dranie, z jakichś powodów zwlekając z przeniesieniem do Dorony, a więc bliżej pola przewidywanych walk; Dorona zresztą, leżąca na zachodnim wybrzeżu, niemal w połowie długości wyspy, była w ogóle miejscem najlepszym do kierowania przebiegiem wszelkich przedsięwzięć. Owo przywiązanie do starego miejsca pobytu, wykazywane przez powstańczą starszyznę, nie pozostawało bez wpływu na szybkość działań... Dość powiedzieć, że zarówno Semena, jak i Alida, by się spotkać, przebyć musiały blisko pięćdziesiąt mil, korzystając ze sprawnie, na szczęście, działających posterunków z rozstawnymi końmi, przeznaczonymi dla gońców, nieustannie przemierzających trakt w obie strony.

Semena przybyła pierwsza, zmęczona i wściekła, ale humor

poprawił jej się nieco na widok dystygowanej blondynki, jeszcze gorzej znajdującej arkana jazdy konnej. Alida twarz miała szarą od kurzu, włosy zlepione na czole potem, pleców zaś w ogóle nie była w stanie wyprostować. Semena, która zdążyła już nieco odpocząć i umyć twarz, prawie parsknęła śmiechem. Alida, z gardłem zdławionym przez furję, wyprawiła swoich ludzi po wodę (obie przybyły z eskortą, wymagała tego ostrożność), po czym bez słowa, huknąwszy drzwiami, zniknęła w jednej z izb gościnnych. Wkrótce dostarczono kilka stągwi wody. Semena napełniła winem dwa cynowe kubki i bez zaproszenia weszła do izby. Tamta stała nago, pochylona nad szaflikiem z zimną wodą, patrząc na obtarte, odparzone uda. Uniosła wzrok.

— Ty też tak? — zacharczała, nie bawiąc się w żadne tytuły.

Semena odstawiła kubki z winem. Stała przez chwilę, po czym odwróciła się i zadarła spódnicę, pokazując sine pośladki. Spojrzała przez ramię. Mierzyły się wzrokiem dość długo, by wreszcie parsknąć śmiechem.

Zamilkły. Alida nabrała w dłonie wody i umyła twarz, po czym zwilżyła uda, sycząc przez zęby słówka, jakich nie znali chyba najstarsi majtkowie.

— Będziemy rozmawiać bardzo uroczyście, w sali tronowej, czy może zaczniemy już tutaj? — zapytała Semena, opierając się o ścianę z kubkiem w dłoni. — Trzeba było przenieść Kwaterę do Dorony — dorzuciła, widząc wracającą wściekłość tamtej.

— Myślisz, że ja tego nie chcę?! — wrzasnęła blondynka, rozchlapując pięścią wodę w szafliku, nad którym kucnęła okrakiem. — Rozmawiaj z tymi durniami wysokich rodów! „Stara Dzielnica to znak dawnych czasów. Tylko tu może odrodzić się Garra”. Dorona jest niedobra wiesz dlaczego? Bo przebudowali ją Armektańczycy!

— Nie wierzę — powiedziała Semena.

— Ja też nie! Jak to powstanie można wygrać? Wiesz, dlaczego przyjechałam? Bo inaczej przybyłby jakiś setnik straży! Jeżdżący konno jeszcze gorzej ode mnie, a do tego głupi! Albo starzec, którego zdjęliby tutaj z konia i od razu zakopali! Jeśli w ogóle przyjechałby konno! Koń to cudo z Armektu, Garyjczyk podróżuje w lektyce. No, może w którymś z tych przeklętych furgonów czy jak tam ten pojazd nazwać. Jechałby cztery dni albo tydzień — oceniła, sikając do szaflika.

— Nie wierzę — powtórzyła Semena. Alida zaczerpnęła tchu.

— A jednak tak tam jest — powiedziała prawie spokojnie. Oni chcą zacząć wyzwolenie Garry od wyplenienia wszystkich armektańskich chwastów. Nawet armia ma być jednym wielkim tłumem, bo podział na kliny, półsetki i kolumny wymyślili Armektańczycy... To nic, że dzięki temu wygrali wszystkie wojny. W Głównej Kwaterze o bitwach myślą tyle tylko, że komuś trzeba powierzyć całe to dowództwo. W Dranie upomina się o nie komendant gwardii, poczciwina, którego z wielkim trudem wyniosłam na to stanowisko. Ledwie zresztą podołał obowiązkowi. Drugim kandydatem jest stary i naprawdę doświadczony dowódca eskadry straży morskiej. Tyle tylko, że ten człowiek prawie nie umie chodzić, kiedy grunt mu się nie kiwa pod stopami, niczym pokład. Bitwę zacznie chyba od wbicia w ziemię masztów i rozpięcia żagli, bo inaczej czegoś mu będzie brakowało. Teraz dalej: poważnymi kandydatami są dostojny Kahel Mohaben, starszy krewny mojego zmarłego ze starości małżonka, i wreszcie sam Ganedorr. Ten ostatni ma przynajmniej tyle rozumu, że wcale nie chce dowodzić armiami. Zgodzi się jednak, jeśli nie będzie można inaczej. Ktoś w końcu dowodzić musi.

— Więc czemu nie ja?

— A czemu nie mój kandydat, Ahagaden? Twój wróg śmiertelny, skądinąd?

Oceniały się wzrokiem. Rozmowa zaczynała zmierzać ku sednu spotkania.

Alida wstała z klęczek, podniosła z podłogi prostą, grubą spódnicę i wytarła się. Nagość nie krępowała jej wcale, Semena pomyślała, że to musi być kwesta wprawy...

Blondynka z wyraźnym obrzydzeniem wciągnęła zakurzoną koszulę. Spódnicę cisnęła w kąt, z niesłychaną pogardą. Wzięła od Semeny kubek z winem i również oparła się o ścianę. Stały, niczym jakieś wartowniczkę, po obu stronach drzwi. Żadnej nawet do głowy nie przyszło, żeby usiąść. Miały się jeszcze nasiedzieć — wracając...

— Posłuchaj — rzekła Alida. — Pomijając osobiste niechęci... Ci wojacy, o których mówiłam, to oczywiście żadni kandydaci. Ale wysoko urodzeni Garyjczycy, to już inna sprawa. Są w końcu przywódcami całej tej ruchawki. A... tu nie Armekt. Już na mnie patrzą z niepokojem, bo co właściwie robi wśród nich coś, co nie ma kutasa? Ganedorr jest mądry i

wie swoje, ale cała reszta to twardogłowi, o poglądach tak starych, jak kamienie ich pałaców. Jak mam im powiedzieć, że... kobieta wygra dla nich powstanie? Żebyś jeszcze była Garyjką!

— Jestem nią.

— Akurat tak jak i ja. Z matką Armektanką albo ojcem Armektańczykiem. Hańba, i tyle.

— Skąd wiesz?

Alida spojrzała z ukosa.

— Właśnie mi powiedziałaś... Ale to furda. Z imieniem Semena nigdy nie będziesz dla nich Garyjką.

— A jeśli to imię fałszywe?

— A co to kogo obchodzi? Nosisz je. Trzeba było sobie wybrać fałszywe z dwoma „r”, trzema „g” i jednym „h”. Wtedy byłoby dobre. Gdyby brzmiało jak chrząknięcie po rzyganiu.

Zamilkły.

— Czy masz wszystkie potrzebne pełnomocnictwa, żeby mianować dowódcę? — upewniła się Semena.

— Oczywiście. Jaki sens miałoby inaczej to spotkanie? Ale wiedz, że jeśli (w co wątpię) mianowałabym ciebie, to ja im tej wieści nie zawiozę. Przysłano mnie tu właściwie tylko po to, bym udzieliła stanowczej odmowy. Powtarzam ci: jesteśmy niezbędne i tylko dlatego nas tolerują. Ale do czasu. No, w każdym razie mam odmówić.

— I zrobisz to?

— Zamierzam. Ale najpierw chcę wysłuchać argumentów. Z twoich listów biła niezachwiana pewność, że powierzenie wojsk komukolwiek innemu jest zgoła niemożliwe. Chcą usłyszeć dlaczego.

— Tylko ja odniosłam sukcesy wojskowe, jak dotąd. W Dranie poszło nie najlepiej, o ile wiem?

— W Dranie poszło wspaniale. A w Doronie powodzenie należy zawdzięczać nie tobie, lecz Ahagadenowi. To on w krytycznej chwili przechylił szalę zwycięstwa.

Semena patrzyła zdumiona. Alida z satysfakcją pokazała jej rozedrgany w wulgarnym geście koniuszek różowego języka.

— Mam znów wytłumaczyć? Ahagaden zdobył pięć cesarskich i parę kupieckich żaglowców, a ty żadnego. Garyjski magnat niczego się z historii nie nauczył, dla niego siłę armii wciąż określa się ilością okrętów.

Wreszcie, Ahagaden to mój człowiek. Prawie przyjaciel. A ciebie nie lubię. Pomogłam więc przyjacielowi, to proste. Zrobiłam wszystko, by w Kwaterze wierzone, iż zwycięstwo to jego zasługa.

W oczach Semeny zabłyśły kolejno: zdumienie, niedowierzenie i gniew.

Alida, z pełnym zadowolenia namysłem, muskała przez szorstką koszulę swoje sutki, czując, jak sztywnieją. Nad budynkiem przetoczył się pomruk nadchodzącej burzy. Semena otarła pot z czoła i szyi, zdając sobie sprawę, że od jakiegoś już czasu powietrze jest niezwykle parne.

— A może to i dobrze — rzekła nagle, prawie spokojnie. — To miasto nie wygląda najlepiej, myślałam, że będę się gęsto tłumaczyć. Ale skoro zrobił to Ahagaden...

— Co to znaczy: nie wygląda najlepiej?

— Nic... Do rzeczy: moi ludzie dziś rano zagrodzili drogę gwardzistom w górach. Gwardziści są wyczerpani, a pościg tuż. Wiadomość dostałam, będąc w drodze tutaj.

— Piękny sukces. — Alida przerwała zabawę. Spojrzała badawczo. — Ale czy to wszystko?

Semena zmarszczyła brwi.

— Stu kuszników i topornicy Ahagadena, nie licząc tych na holkach. To dobre oddziały. Parudziesięciu konnych, kiepskich jeźdźców, ale pewnych ludzi. Trzy setki dobrze uzbrojonych i niezłe dowodzonych ochotników. I może jeszcze dwie, trzy setki czegoś, co już nie jest wojskiem, a jeszcze nie hołotą. Wszystkiego ponad osiem, ale nie więcej jak dziewięć setek żołnierzy. Reszta to zbieranina. Brakuje łuczników; w straży morskiej prawie każdy łucznik to Armektańczyk, a ci jakoś nie bardzo garnęli się do nas. Zaś najemników i ochotników z łukami wzięliście na okręty. No, ale są trzy z górą setki moich żołnierzy. Dobrze wyszkolonych i świetnie uzbrojonych. Opłacanych przeze mnie. Ich nie obchodzi powstanie. Ich obchodzi złoto. I zdobycz.

— Do czego zmierzasz?

— Ilu ludzi, na łądzie, może mieć ten Armektańczyk? Elimer, zdaje się?

— Coś siedmuset, ośmuset. Najwyżej. Ale bitnych i dobrze wyszkolonych, nie mówiąc o uzbrojeniu.

— Właśnie.

— Co z tego wynika? — Alida patrzyła czujnie.

— To tylko, że moi kusznicy w górach zawarli z gwardią rozejm. Te dwie setki ludzi, których wysłaliście w pogoń, pewnie już doszły. Jeśli zechcą zaatakować gwardię, będą musieli i moich. I odwrotnie. Gwardia nie może się przebić, bo ma przeciw sobie jedną, albo i trzy już, setki ludzi. Jaki mam wydać rozkaz?

Alida zaczynała pojmować.

— To byłby tylko początek — zaznaczyła Semena. — Ci ludzie w Harenach niewiele zmieniają. Chociaż jego godność Elimer z pewnością ozłociłby mnie za parudziesięciu takich żołnierzy jak ci gwardziści. A jeszcze gdyby się okazało że przy okazji rozbiłam dwustuosobowy oddział buntowników... Ale wróćmy do Dorony: moi żołnierze staną po tej stronie, po której ich postawię. No więc, po której mają stanąć? Odpowiedz mądrze, bo jeśli odpowiedź będzie głupia, skończę to całe powstanie w trzy dni.

Alida milczała, nawijając kosmyk włosów na palec.

— Śmiało powiedziane... — mruknęła, ale w jej głosie brzmiało raczej uznanie niż cokolwiek innego. — Umiesz liczyć, oceniać i wiesz, do czego służą wojska. Już to jedno wystarczy, by powierzyć ci dowództwo... Tyle tylko — spojrzała w zadumie — że jest to całkiem nie po mojej myśli.

Semena leciutko wzruszyła ramionami.

— Tobie nie chodzi o powstanie. I nigdy nie chodziło, oczywiście. — Alida pokręciła głową. Burza zbliżyła się znacznie.

— Tobie zaś chodziło? O święty obowiązek wyzwolenia Garry? — zapytała szyderczo Semena. — Oszczędźmy sobie tego bełkotu o zdradzie, powinności, lojalności i tym wszystkim, co tak strasznie śmierdzi — poprosiła.

Popatrzyły sobie w oczy.

— Powstanie powstaniem... Mam swój własny cel — przyznała Alida.

— A ja swój.

— Czy zbieżne?

— Kto wie?

— Oj, wątpię... Naprawdę, naprawdę wątpię. Semena uniosła brwi.

— Przecież chcesz wyzwolić Garre? Obojętnie, z jakich powodów.

Pomogę ci w tym!

— Tak, zapewne. Pokonasz wojsko imperium, po czym powiesz: Alida, teraz ty. I usuniesz się w cień.

— Tak właśnie chcę zrobić. A nawet więcej: zamierzam zniknąć w ogóle.

— Mam w to wierzyć?

— Spróbuj. Moim celem nie jest żadne stanowisko na tej podłej wyspie. Zapewniam. Potrzebuję zwycięstwa powstania... ale dla osłabienia Armektu.

Po długiej chwili blondynka zmrużyła oczy.

— Hej... — powiedziała słodko. — Może mogłabym zacząć ci wierzyć?

— Spróbuj — powtórzyła Semena.

— Co z tym Armektem?

— To co powiedziałam.

— I nic więcej?

— Nic więcej.

Alida myślała.

— Dlaczego tak pożądasz dowództwa? Skoro chodzi ci tylko o zwycięstwo powstania, dlaczego nie miałyby go zapewnić kto inny?

— Są powody. Przede wszystkim nikogo takiego nie widzę. Tylko ja mogę wygrać tę wojnę. Ahagaden tego nie zrobi, pomimo że tak dzielnie zdobył Doronę, a nawet całą Flotę Główną, czyż nie tak?

— Zauważyłaś pewnie, że ilekroć spojrzysz w zwierciadło, odbija się w nim żmija? — zagadnęła Alida.

— Hmm... — Semena uśmiechnęła się. — To, co w nim widzę, zupełnie mnie zadowala... Ale teraz pozwól, że powtórzę swoje pytanie: jaki mam wydać rozkaz? Przyznaję, że dyskusja, w której strona przeciwna nie ma żadnych atutów, nieco mnie znużyła.

— A gdyby cię usunąć? — rozważała na głos Alida.

— Usunąć. Tylko usunąć — zaaprobowała tamta. — Dwustu ludzi w Harenach pójdzie pod miecze, gwardziści i moi połączą się z Elimerem, a powstańczą strategię podziwiać będą wszystkie krainy Szereru. Nie, naprawdę zdołałaś mnie zadziwić!

Po raz kolejny tej nocy mierzyły się spojrzeniami.

— Rzeczywiście, zdaje się, że to ty dzisiaj dyktujesz warunki

stwierdziła Alida, odrywając plecy od ściany. — Przy pierwszej okazji podstawię ci nogę — obiecała. — Przewrócisz się, a wtedy będę skakać ci po brzuchu. No to, jesteś dowódcą.

Wokół gospody szalała burza.

56.

Sen był ogromną przyjemnością — Semena odkryła to dopiero wtedy, gdy nauczyła się obywać bez niego. Naprawdę, zaczynała marzyć o chwili, gdy wreszcie znajdzie dosyć czasu, by położyć się, na łące albo w lesie, i leżeć, i spać, i nic nie robić...

Był wczesny ranek, gdy wojsko uszykowano do przeglądu.

Wciąż nie chciało jej się nawet myśleć o koniu, zresztą wiedziała, jak kiepsko siedzi w siodle. Nie miała ochoty robić z siebie pośmiewiska. Lustrowała szeregi, idąc pieszo, w asyście kilkunastu najwyższych rangą oficerów i dwóch dostojników z Głównej Kwatery. Tym ostatnim nie dane było odpocząć po podróży. Od razu dała im odczuć, kto tu rządzi. Wlekli się teraz, oswojeni już nieco z jej kolczugą i grubą, męską spódnicą, kryjącą cholewy skórzanych butów. Na kolczugę narzuconą miała granatową tunikę, z naszytym na lewej piersi niedużym, jaskrawoczerwonym kręgiem. U prawego boku wisiał krótki gwardyjski miecz. Nie miała hełmu; gdy szła, ujęte w dwie potężne kiście, przerzucone na plecy włosy, falowały w rytm kroków.

Była najpiękniejszym żołnierzem, jakiego kiedykolwiek widziały niebo i ziemia Szereru.

Minęła niepełną setkę konnych, dość rozmaicie uzbrojonych, na wierzchowcach różnej maści, wielkości i wartości; dalej stało dwustu tarczowników Ahagadena, w nagich kirysach, z tarczami opartymi o ziemię i toporami lub mocnymi, krótkimi oszczepami na ramionach — piękna piechota. Jeszcze dalej stu paru kuszników i pół setki łuczników, wszyscy w srebrzystych kapalinach, ale w różnych tunikach, często bez nich, w kolczugach, czasem tylko skórzanych kaftanach, żeglarskich hajdawerach lub mieszczzańskich nogawicach, obuwiu skórzanym, płóciennym, a nawet w kapciach plecionych z łyka. To jeszcze przeżyła. Ale potem byli, podzieleni na półsetki, ludzie zbrojni w każdy oręż, jaki można sobie wyobrazić, w strojach ochronnych czasem wręcz przedziwnych: widziała człowieka w lamelkowej zbroi, od której odpadła połowa płytek, a parę kroków dalej jakiegoś kurdupła w kirysie z przymocowanym doń prawdziwym turniejowym „żabim pyskiem”,

prosto z Dartanu... Kosztowny ten hełm był niestety rozwalony na pół, co uniemożliwiło wyzbycie się go i sprawienie w zamian innego. Semenie zrobiło się słabo, przyspieszyła kroku, bo bała się, że parsknie śmiechem albo zacznie zgrzytać zębami. Kochała pięknych żołnierzy, przywiązywała do ich prezencji taką samą wagę jak do wyszkolenia.

Nauczyła się tego od Riolaty. Musiała przejąć jej nawyki, naśladować ją możliwie wiernie we wszystkim... Gdy ujrzała efekty, zrozumiała niejedno. Teraz, gdyby zwrócono jej „Gwiazdę Zachodu”, prześcignęłaby szykiem Brorroka! Nauczyła się, że w jakiś sposób — żołnierz tak się czuje jak wygląda.

Doszła do linii, gdzie szpaler tworzyli jej ludzie.

Po prawej ręce miała piechotę ognistą: płot kozłów, a za nimi żołnierze osłony z włóczyniami, drugi szereg — strzelcy z hakownicą na każdym ramieniu; trzeci szereg — znów osłona z kozłami, i jeszcze strzelcy. Z lewej strony — kusznicy, w kapalinach zamiast otwartych łebek, a na końcu — półsetka toporników. Wszyscy strzelcy, kusznicy, topornicy — w granatowych tunikach, ozdobionych czerwonymi kręgami.

Wyposażenie i utrzymanie tych trzystu paru zbrojnych kosztowało grubo ponad czwartą część skarbu, nie Ucząc oręża, zdobytego przez jej ojca.

Ale warto było.

Przeszła powoli, gestem pozdrawiając swoich oficerów.

Na samym końcu stali spędzeni, czasem wręcz pod przymusem, chłopci i rybacy z różnych wiosek. Omal nie zamknęła oczu. Powiodła spojrzeniem po bezładnych gromadach i zawróciła bez słowa. W tej samej chwili ujrzała, że jeden z brudnych chłopów kiwa się mocno, oparty na widłach.

W pierwszym odruchu omal nie wyrwała mu flaków... Niemal siłą powstrzymała swe źrenice przed buchnięciem czerwoną poświatą. Podeszła szybkim krokiem, zostawiając świtę za plecami.

— Pijany? — rzuciła krótko, opierając dłoń na mieczu.

Woń morderczej gorzały powiedziała wszystko. Coś zgrzytnęło cicho, obróciła się na pięcie i dopiero wtedy podchodzący oficerowie ujrzeni miecz w jej ręce, trzymany głownią w dół. Zdażyła zrobić dwa kroki, nim wieśniak za jej plecami upadł wierzgając. Krew sikała z

tętnicy.

— Dowódca tych ludzi ma być powieszony — rzuciła. — To wszystko. Wymarsz natychmiast. W straży przedniej pójdą łucznicy, nie jazda. Wszyscy konni mają być do mojej wyłącznej dyspozycji, także w marszu. Ubezpieczenie taborów bez zmian, tak jak było ustalone.

Skinęła na jednego ze swoich setników.

— Dasz mi konia i pięciu ludzi, też w siodłach. Naszych ludzi — zaznaczyła.

Nie zwracając więcej uwagi na swych dowódców, ani tym bardziej gości z Kwatery, poszła szybko z powrotem szpalerem.

*

Ulice Dorony były jak wymarłe. Wczesny ranek, to prawda; przede wszystkim jednak mieszczanie nie kwapili się zbyt do spotkań z wojakami, choćby nawet ci wojacy byli wyzwolicielami Garry.

A nawet: szczególnie, jeśli byli wyzwolicielami Garry... Ci wyzwoliciele rabowali wszystko, co było potrzebne dla powstania, lub dla nich samych. Nazywało się to: rekwizycje...

Stukot końskich kopyt pobrzmiwał echem. Semena, wyprzedzając swych ludzi o kilka końskich długości, zmierzała ku miejscu, które niemal od roku było jej domem.

Oddziałek minął splądrowany i częściowo spalony pałac Przedstawiciela (czy odczepiono już Księcia od powały?) i podążył dalej.

Właściwie zajęcie portów i okrętów przez Ahagadena miało też swoje dobre strony: pałac został dla niej... Do szkatuły powstania posłała nawet nie połowę zdobytego dobra. Reszta zasiliła jej prywatną kasę. Czas był najwyższy. Ostatnio czerpała już tylko z trzосу, nabitego dzięki pośpiesznej sprzedaży przedsiębiorstw Melara i reszty. Kilku durniów oszukało się mocno, kupując towary i domy, które zaraz potem zabrało lub zniszczyło powstanie. Gdyby Ahagaden nie pilnował tak bardzo swoich holków, mógłby mocno utrudnić jej życie. I tak do Kwatery w Dranie dotarły różne pogłoski. A prawda była taka, że częściowo opłaciła służbę swych żołnierzy, pozwalając im na splądrowanie miasta. Oczywiście zdobyła też co-nieco dla siebie. Wiedziała dobrze, że prawdziwe wydatki dopiero nastąpią!

Cóż, dwudziestu wojaków tak zasmakowało w rabunkach, że już ich nie ujrzała. Ale i tak dezercja była w granatowych oddziałach mniejsza

niż w jakichkolwiek innych. Większość spośród jej zabijaków pojmowała świetnie, że pod wodzą „jej pięknej godności” łupów i kobiet im nie zabraknie, a łatwiej je zdobyć kupą niżli w pojedynkę. I łatwiej potem obronić przed zawistnikami.

Alida była pierwszą osobą z Kwatery, która na własne oczy ujrzała, co zostało z Dorony po „rozbiciu cesarskich”.

„Ty... suko! Och, ty suko! — powiedziała przerażona. — Na Szerń, zrobiłam błąd, oddając ci dowództwo... Jak ty wygrasz tę wojnę, to ja będę rządzić pustynią!”.

Semena zaśmiała się wtedy.

„Czego chcesz? — odparła ironicznie. — Co to, w Dranie nie było rabunków? A zresztą, przecież tu zwyciężał Ahagaden, nieprawdaż?”.

Po ulicach wały się jakieś porozbijane sprzęty, szmaty, wszelkiego rodzaju śmieci... Część tego usunięto już przed paroma dniami, ale nie wszystko przecież. Samo wywiezienie i pogrzebanie trupów okazało się przedsięwzięciem tyleż gigantycznym, co niezwykle pilnym: groźba wybuchu zarazy była aż nadto realna.

Semena zatrzymała wierzchowca przed swym domem.

— Czekać tu — rzekła do żołnierzy.

Zeskoczyła z siodła.

Budynek był opuszczony, takie przynajmniej sprawiał wrażenie. Może służba gdzieś siedziała, ale Semena nie miała zamiaru sprawdzać. Odnalazła tylko kandelabr, zapaliła świecę, a od niej pozostałe.

Zeszła do piwnic.

Wielkie beczki trwały nieporuszenie. Ale skrzyń ubyło, a te, co zostały, ukazywały puste wnętrza. Semena poszła na sam koniec lochu. Uniosła klapę, zeszła niżej i odemknęła zasuwę. Nie była tu od dawna... Od dnia gdy przyszła razem z Askarem.

Przerażający odór buchnął z pomieszczenia. Odczekała długą chwilę, bojąc się, że jeśli wejdzie za szybko, może braknąć powietrza dla świec. Potem przekroczyła przegniłego trupa przy samym progu i wstrzymując oddech (było to łatwiejsze niżli oddychanie...), spojrzała na wiszące ciało.

— Od dzisiaj — powiedziała — nie jestem już tobą. Od dzisiaj znowu nazywam się Lerena. Ty zaś możesz być Semena, Riolatą albo czymkolwiek i kimkolwiek zechcesz.

Podeszła blisko, delikatnie odgarnęła resztki włosów z pochylonego czoła siostry.

— Riolata — powiedziała cicho. — Rio-la-ta... Lubiaś, jak mówiłam twoje imię.

Wyjęła miecz. Nie bacząc na zwierzęce wycia i podrygi tamtej, kilkoma ciosami przerąbała oplecione łańcuchem ręce. Dłonie i przedramiona zostały pod sufitem, reszta runęła na klepisko; obumarłe, krótkie kikuty słabo broczyły krwią.

— Idź do Dranu — powiedziała Lerena, chowając miecz. — Tam jest wielu Garyjczyków Wysokiego Rodu... Może wyjdiesz za mąż?

Smród przyprawił ją w końcu o torsje; zwymiotowała na ścianę, po czym poszła schodami i dalej, przez piwnice, zostawiając otwarty loch.

57.

Powstanie musiało upaść. Musiało upaść z tej samej przyczyny, dla której upadły wszystkie poprzednie. Musiało upaść prędzej czy później, bo wisiało w próżni...

Rzeczywiście — przygotowane było o wiele, wiele lepiej niż którekolwiek z wcześniejszych. Oparto się nie tylko na ochotnikach, pragnących oddać życie za Garrę, ale także na oddziałach złożonych z najemników, gotowych bić się z każdym, byle im zapłacono. Przygotowanie i użycie oddziałów najemnych było z kolei możliwe tylko dlatego, że organizatorzy powstania zdołali przeniknąć w głąb instytucji, mających na celu właśnie zapobieganie buntom, a więc — w szeregi wojsk cesarskich i pomiędzy urzędników Trybunału Imperialnego.

Pożoga ogarnęła od razu całą wyspę i zdobycze terytorialne były rzeczywiście znaczne. Ale teraz — wielu ochotników zginęło, wielu najemników porzuciło służbę... I widać już było, że — jak zawsze — całe powstanie to w istocie nic więcej jak gniewne wrzaski paru starych rodów; tupnięcie nogą, od którego spaść może dzbanek ze stołu, robiąc wiele hałasu... ale na pewno nie zawali się dom.

Bo cóż? Czy stał ktoś za owymi magnackimi rodami? Czy porwano może do walki kupców? Nie. Kupcy stracili na powstaniu majątki: zarekwirowano ich statki, towary, uniemożliwiono właściwie prowadzenie jakichkolwiek interesów. Co im mogło dać zwycięstwo powstania? Chyba kres wszelkiego handlu z cesarstwem, przynajmniej na długie lata. Więc może skorzystali, lub skorzystać mieli, mieszczanie? Również nie. W stolicy mieszcuchy siedziały cicho w swoich norach, ciesząc się, jeśli nie obrabowano ich ze wszystkiego. W Dranie brak cesarskich wojaków na ulicach rychło dał się odczuć: strach było wyjść z domu, po prostu. A czy, gdyby powstanie zwyciężyło raz na zawsze, zmieniłoby się coś na lepsze? Co najwyżej byłoby tak samo jak pod rządami Kirlanu... Rybacy i chłopci? Ci, prawdę powiedziawszy, mogli tylko wznosić ręce do Szerni, by spaliła ogniem te całe powstańcze zastępy. Chłop czy rybak, przypisany do dóbr cesarskich, był zgoła bogaczem w porównaniu z chłopem w dobrach garyjskiego magnata.

Cesarscy poborcy żądali zwykle plonu z ćwierci łana, a ponadto wolny wieśniak miał swoje prawa. Chłop czy rybak, żyjący w poddaństwie, praw nie miał; jedynym prawem (jeśli nie liczyć możliwości sprzedania się w niewolę w jakiejś legalnej hodowli) i do tego narzuconym jego panu przez Kirlan było prawo do służby w cesarskich legiach — przywilej różniący wieśniaka od niewolnika. Dość powiedzieć, że po każdym powstaniu, gdy cesarstwo konfiskowało majątki zamieszanych w bunt rodzin, chłopci w „wyzwolonych” przez cesarza wioskach tańczyli z radości!

A przecież „święta sprawa wyzwolenia Garry” wcale nie była biedocie obojętna. Może tylko w Armekcie poczucie narodowej przynależności było silniejsze? Garyjski rybak z pewną dumą mienił się być Garyjczykiem i pamiętał stale, że Armekt, włączwszy jego kraj do Wiecznego Cesarstwa, wziął straszliwy odwet za dziesiątki potopionych w srogiej wojnie okrętów; wziętych do niewoli żołnierzy i marynarzy stracono. Ale jednak interes Garry, pojmovany tak, jak chcieli tego magnaci w brunatnych pałacach, nie szedł w parze z interesem umiającego w końcu liczyć poławiacza ryb. Jeśli wszystkim, co ten ostatni miał osiągnąć, byłaby zmiana nazwy z Morskiej Prowincji na Królestwo Garry, rybak pewno biłby się o to... Wtedy wszakże, gdyby dano mu chociaż nadzieję, że w owym Królestwie Garry nie umrze potem z głodu. Że nie będzie gorzej, po prostu.

Lecz takich obietnic nikt składać nie zamierzał. Przeciwnie: trąbiono wszem i wobec, że po zwycięstwie zapanuje „stary porządek”. Ach, stary porządek! Chłopu cesarskiemu chyba miłsza byłaby wizja pożaru w zagrodzie. Zaś chłop niewolny traciłby jedyny swój przywilej, a to możliwość zostania żołnierzem zawodowym, służącym za pieniądze, z własnej woli i chęci. Tunika legionisty lub strażnika morza, święta dla Armektańczyka, jak całe rzemiosło wojenne w ogóle, stawiała nisko urodzonego na równi z człowiekiem Czystej Krwi. Żołd nie był wysoki, ale stały. Legionista imperium znał swoje obowiązki, ale miał też prawa. Za uchybienie w służbie mógł nawet zawisnąć, ale jeśli pełnił ją dobrze, mógł — chociażby — ożenić się, nikogo o zdanie nie pytając. Zostać żołnierzem nie było wcale łatwo, ale gdy już kandydat trafił do szeregów, otworem stała droga do dalszej kariery. W imperialnych legiach pochodzenie, przynajmniej formalnie, nie miało żadnego znaczenia.

Każdy, kto spełniał określone wymagania — a więc mógł się wykazać odpowiednio długim stażem służby, umiał pisać i czytać, oraz spełnił kilka innych warunków — mógł, po przystąpieniu do stosownych egzaminów, zostać oficerem i awansować dalej... Łatwo zrozumieć, dlaczego żołnierze tak niechętnie przechodzili na stronę powstania: oznaczało to nic innego jak powrót pod „opiekę”, spod której wielu z nich właśnie uciekło... A także kres wszelkich ambicji i marzeń.

Wobec takiego stanu rzeczy dziwić się należało raczej neutralności garyjskich rybaków; osobisty interes kazał im walczyć u boku żołnierzy cesarskich, i to walczyć zaciekle. Jeśli tak się nie działo, to naprawdę tylko dlatego, że ów rybak czuł się: Garyjczykiem...

Lerena, obserwując zapał, z jakim szli do boju chłopcy, siłą wcieleni do jej wojska, nie myślała oczywiście o tym wszystkim. Ale widziała wyraźnie, że tylko cud może sprawić, by ci ludzie w ogóle doszli do pozycji nieprzyjaciela. Nie zdziwiła się zbytnio, gdy cud nie nastąpił: gdy tylko ku nacierającym pomknęły pierwsze strzały, natychmiast cały wielki tłum zawrócił i pognał z powrotem ku jej własnym liniom.

Zgodnie z rozkazem, uciekających powitano pociskami z kusz. Ale ciężkie bełty, zabijając i raniąc, nie sprawiły nic ponadto, że uciekająca dotąd kupą banda rozpiezchła się na wszystkie strony świata, rzucając widły, cepy i drągi. W ten sposób połowa jej wojska w jednej chwili przestała istnieć.

Prawdę mówiąc, Lerena poczuła niemal ulgę. Cała ta hołota ciążyła jej jak kula u nogi. Teraz przynajmniej wiedziała, jakimi siłami naprawdę dysponuje.

Zdążyła już, niestety, popełnić w tej bitwie błąd. Widząc szczupłość sił nieprzyjaciela, nakazała uderzenie z marszu. Do boju poszły najlepsze jej oddziały — piechota ognista i kusznicy — wsparte przez łuczników. Jednak natarcie utknęło pod istną ulewą strzał słanych przez przeciwnika. Łuk nie miał tej siły przebicia co kusza, nie mówiąc już o hakownicy, ale był bronią szybkostrzelną. Mnogość pocisków zdeprymowała żołnierzy i ją samą; zatrzymała atak w połowie drogi, choć straty były właściwie niewielkie, i posłała chłopstwo, żeby osłoniło odwrót. Teraz całe jej wojsko stało już porządnie, uszykowane do bitwy.

Przywołała jednego ze swych oficerów.

— Prowadź tarczowników — rozkazała. — Wzmocnij ich czterema

setkami tego — wskazała ochotników, którzy nie tak dawno przyprawili ją niemal o atak śmiechu.

— Tak, pani!

Znów zwróciła spojrzenie ku nieprzyjacielowi. Chłopi uciekli, to prawda. Ale bitwa zaczynała się dopiero. Nieprzyjaciel miał zaledwie kilkuset ludzi! Co z tego, że trzeba było nacierać pod górę? Miała taką przewagę, że wynik boju był przesądzony. Mogła zgnieść cesarskich samą liczbą swych żołnierzy. Zamierzała posyłać piechotę falami, jedna po drugiej. Ciężko opancerzeni tarczownicy poszli przodem, bo nie musieli obawiać się strzał. Uznała, że uturują drogę reszcie.

Ciężkozbrojni ruszyli, mając za wzmocnienie kilka setek zbieraniny.

Przywołała kolejnego ze swych dowódców.

— Ruszaj za tarczownikami — powiedziała. — Wesprzyj ich. Weź wszystko, co zostało. Prócz moich ludzi i jazdy. Zostają w odwodzie.

— Tak, pani!

Oficer odszedł.

Tarczownicy, pośród deszczu strzał, mozolnie lecz niezłomnie pieli się w górę. Obserwowała ich marsz. Straty w samej rzeczy nie wydawały się duże, lecz pomimo tego poczuła lekkie ukłucie niepokoju. Coś było nie w porządku...

Z tyłu rozbrzmiał tętent. Obejrzała się. Ze zdumieniem patrzyła na ubraną w szarą koszulę i takąż spódnicę dziewczynę, zeskakującą z siodła. Dopiero po chwili poznała — Alidę! Potargane złote włosy, związane z tyłu głowy w zwykły „koński ogon” i zaróżowione policzki ujęły jej dziesięć lat.

A właściwie, ile lat mogła mieć ta kobieta?

— Co tu robisz, pani? — zapytała Lerena. — Zdaje się...

— Zdaje się, wodzu, że dostaliśmy w dupę na morzu — powiedziała tamta prawie wesoło, ale tak, by nie słyszeli oficerowie Lereny. — Przed chwilą do taborów dotarł goniec.

— Czemu nie do mnie? — rzuciła z gniewem Lerena.

— Bo koń mu padł. Dobre trzy mile stąd. Przyleciał pieszo, ledwie żywy. Wysłałam do ciebie innego gońca, to ja właśnie.

Głównodowodząca obejrzała się na swoich oficerów. Pilnie śledzili bitwę.

— Zupełna klęska?

— A czy ja jestem dowódcą floty, pani? — zapytała Alida kpiąco. — Nie wiem, jak się nazywa, kiedy dwie floty zatopią się i zdobędą nawzajem?

— Tak powiedział posłaniec?

— Tyle z tego wynikało.

— Kpisz ze mnie?! — zawołała ze złością Lerena, po czym, przypomniawszy sobie o oficerach, dorzuciła: — Pani?!

Od strony cesarskich pozycji doleciał straszliwy wrzask. Lerena natychmiast zapomniała o Alidzie. Tarczownicy doszli! Ale droga, którą przebyli, znaczyła się paroma dziesiątkami srebrzystych kirysów... Na mniejszą odległość wyborni armektańscy łucznicy potrafili posłać strzały w najwrażliwsze miejsca.

Druga fala natarcia osiągnęła środek pola bitwy.

Lerena zauważyła, że oddziały posuwają się wolno, zbyt wolno. Stromizna, na pozór nieznaczna, mocno jednak utrudniała marsz. Żołnierze dźwigali broje i oręż, a strzały wciąż śmigwały w powietrzu, choć znacznie rzadziej; tarczownicy dość skutecznie zajęli łuczników. Jednak linia imperialnych wojsk ustawionych na grzbiecie wzniesienia trwała nieporuszenie. Lerena zastanawiała się, jak to możliwe, że lekkobrojni łucznicy skutecznie stawiają opór ciężkiej piechocie? No, tak czy inaczej, już niedługo... Zaraz nadejdą posiłki.

Musiała wygrać tę bitwę. I była przekonana, że ją wygra. Tym bardziej że flota została pobita. Bez względu na to, czy potopiono wiele okrętów, czy tylko parę, posiłki z kontynentu miały drogę otwartą. Garra stała się pułapką. Należało zdobyć Bagbę i to, co stało w porcie, choćby była to szalupa wiosłowa. I zmykać.

Ale co? Miała wyrzec się wszystkich swoich planów?

— Nigdy! — powiedziała z mocą. Alida spojrzała pytająco.

— Nigdy co, pani?

Wcale nie była taka beztroska, na jaką chciała wyglądać...

„Nigdy nie zrezygnuje z Agarów — odpowiedziała w myślach Lerena. — Ale też nigdy nie zdołam ich utrzymać, jeśli powstanie upadnie jeszcze w tym roku” — dodała zaraz.

— Gavar — powiedziała przez ramię. — Weź strzelców i ruszaj w sukurs tym ciemięgom... Chcę mieć rozstrzygnięcie. Natychmiast.

— Kozły, pani...

— Kozły zostaw. Zostaw hakownice. Osłona z włócznikami, a strzelcy z mieczami w rękach. Czy to jasne?

— Pani... — rzekł niepewnie oficer.

Tumult bitwy wzmógł się nagle. Z prawdziwym przerażeniem ujrzała, jak zza wzniesienia, na którym mieli swe pozycje cesarscy, wyłaniają się dwa zwarte oddziały, zbieżnymi łukami wychodzące na tyły jej wojsk, zmagających się teraz z łucznikami. Kleszcze zwierwały się szybko. Oddziały były niewielkie, ale wyraźnie widziała migdałowate tarcze z żółtym polem pośrodku, stanowiącym tło dla srebrnych czteroramiennych gwiazd Wiecznego Cesarstwa.

Topornicy Legii Garyjskiej!

Dowódczyni wojsk rebelianckich nagle zdała sobie sprawę, że przegra...

I w istocie — bitwa była przegrana. Już dawno... Była przegrana, zanim Lerena w ogóle ją rozpoczęła.

Zemścił się brak doświadczenia i zbyt duża pewność siebie. Wałki uliczne w Doronie czy w Dranie, często zresztą zażarte, były jednak bardziej utarczkami, czy nawet bijatykami niewielkich grup, bez żadnego zamysłu taktycznego, a braki w wyszkoleniu i dowodzeniu równoważyły, w wielu przypadkach, element zaskoczenia. Tymczasem dowodzenie wojskiem w polu (choćby nawet wojskiem niezbyt licznym) wymagało wielu szczególnych zabiegów, o których Lerena nawet nie słyszała. Pierwszą sprawą, zaniedbaną zupełnie, było rozpoznanie. Powstańcy nie mieli zielonego pojęcia, jakimi właściwie siłami dysponuje przeciwnik — zarówno w ogóle, jak i na samym polu bitwy. Tych dwustu pięćdziesięciu toporników, wyrosłych jak spod ziemi, mogło przeważać szalę dlatego tylko, że nikt o nich nie wiedział. Dowódca wojsk cesarskich nie był żołnierzem szczególnie doświadczonego; jednak, jak każdy oficer imperium od setnika w górę, musiał odsłużyć swoje na północnym pograniczu Armektu, gdzie trwała niekończąca się szarpana wojna z alerskimi półzwierzętami. Dzięki temu wiedział świetnie, że odwód nie tylko trzeba mieć, ale jeszcze warto go ukryć przed wzrokiem przeciwnika... Lerena nawet przez chwilę nie podejrzewała, iż to, co widzi przed sobą, to tylko część wrogiej armii. Słuchać zaś niczyich rad nie umiała i nie zamierzała.

Brak rozpoznania nie był, oczywiście, jedynym grzechem zadufanej

w sobie dowódczyni rebeliantów. Każdy armektański dowódca wiedział dobrze, iż liczebną przewagę przeciwnika zniwelować może dobra pozycja. Elimer wcale nie działał błyskotliwie — przeciwnie! Każdy naprawdę zdolny dowódca, zarzuciłby mu natychmiast brak elastyczności, jeśli nie schematyzm zgoła. Taktyka, jaką zastosował, była stara jak armektański łuk...

Rozważała niegdyś jej zalety i wady Riolata; ale Riolata miała swoje własne koncepcje, których zabrakło Lerenie. Oto, przede wszystkim, piechota ognista przenigdy nie miała być użyta do działań zaczepnych! Obronnej taktyce Armektu Riolata chciała przeciwstawić szczególną taktykę zaczepno-obronną. W myśl jej założeń strzelcy z hakownicami, których granatowe kozły tworzyły niemal przenośną palisadę, stanowić mieli zawias, na którym obracałoby się prawe bądź lewe skrzydło, zachodzące wrogą pozycję z flanki; hakownice, broń o znacznej donośności, zapewnić miały wsparcie takiemu natarciu, jednocześnie zaś strzelcy, ubezpieczani przez żołnierzy osłony z włócznieami, stanowiliby odwód i oparcie dla ruchomych wojsk; odwód zdolny w decydującej chwili podtrzymać atak (zadanie żołnierzy osłony) lub będący ostoją dla cofających się, w przypadku niepowodzenia, wojsk; w takim przypadku płot kozłów stanowiłby po prostu fortyfikację, dobrze bronioną przez ogień hakownic.

Przyjęcie bitwy w terenie narzuconym przez przeciwnika było błędem. Jeszcze większym — wyprowadzanie bezmyślnych w gruncie rzeczy ciosów na wprost, pod armektańskie łuki. Lekarstwo na takie ataki wynaleziono w Armekcie przed paroma setkami lat!

Nastąpiło to, co nastąpić musiało: ciężkozbrojna piechota, nacierająca mozolnie pod górę, poniosła znaczne straty od strzał, choć były to straty liczone raczej w rannych niżli zabitych. Ale przede wszystkim zdyszani żołnierze, pozbawieni wsparcia własnych kuszników i strzelców, po osiągnięciu wrogiej pozycji mieli przed sobą lekko uzbrojonych, lecz wypoczętych łuczników, których, co najwyżej, boleć mogły ramiona od pośpiesznego napinania cięciw... Ciężki topór czy oszczep, kirys, hełm i tarcza, zamiast zapewnić odpowiednią siłę uderzenia, stały się balastem obciążającym zmęczonych i pokaleczonych przez strzały ludzi. Gdy kocioł zamknięto, w jego wnętrzu nie było ani jednego oddziału, który byłby w stanie podjąć skuteczną próbę

wyrwania się z okrążenia.

Pomoc mogła nadejść tylko z zewnątrz. Ale okazało się prędko, że chłopstwo, którego nie umiała użyć Lereña, może jednak działać skutecznie... Przede wszystkim Elimer spalił, oczywiście, kilka wsi, w których kiełkowały ziarna buntu, ale inne oszczędził. Nie zmusił też ani jednego chłopca do udziału w wojnie (dla Armektańczyka coś podobnego było nie do pomyślenia; Niepojęta Arilora — Los Wojenny — pani każdego żołnierza i każdego konającego, wspierała tylko tych, którzy służyli jej dobrowolnie; armektańska tradycja, jak zawsze i wszędzie, tak i tu była nieubłagana). Ale — w imieniu cesarza — Elimer obiecał niewolnym chłopom i rybakom uwolnienie ich wsi spod opieki magnackiej... I kilkuset ludzi poszło za nim z własnej, nieprzymuszonej woli. Mając ich, armektański dowódca tym razem popisał się wyobraźnią; gdy granatowe oddziały Lereñy ruszyły okrążonym z odsieczą, to tu, to tam pojawiać się zaczęły liczne, chociaż nieduże grupy zbrojnego byle jak chłopstwa... Oddziały te nawet nie weszły do walki, ale samą swą obecnością związały odwody powstańcze na czas dostatecznie długi, by siły na wzgórzu pobito.

Elimer zresztą nie bawił się długo. Dysproporcja sił była rzeczywiście ogromna; rozumiał świetnie, że gdy przestanie działać efekt zaskoczenia, okrążone oddziały stawić mogą rozpaczliwy opór, może nawet wystarczająco silny, by przeważać nacisk jego ludzi. Demonstracyjne ataki słabych chłopskich grup nie mogły trwać w nieskończoność... Armektański dowódca poszarpał więc schwytanych w pułapkę tarczowników i ochotników, po czym otworzył im drogę ucieczki i odrzucił w dół stoku.

Objawiła się kolejna prawda wojny: dobrego żołnierza poznać można nie po tym, jak naciera (by uzyskać pożądaną brawurę ataku, wystarczy spoić ludzi wódką), lecz po tym, jak się cofa. Każdy odwrót źle działa na żołnierzy, szczególnie zaś odwrót w ogniu walki. Zdyscyplinowany żołnierz potrafi cofać się w szyku, krok za krokiem, zadając straty nacierającym oddziałom. Źle wyszkolony potrafi tylko uciekać.

Bezładna, wstrząśnięta i zdemoralizowana banda, ścigana przez niechybne, gęsto śmigające pociski, gnała ku pozycjom Lereñy.

Głównodowodząca kompletnie straciła głowę. Pędziła konno od

jednego oddziału do drugiego. W środku pola, między pozycjami, czterdziestoosobowy oddział jazdy cesarskiej wyrzynany był przez setkę jej konnych. Cóż z tego! Beładne grupy uciekinierów opływały wyspę walczących, gnając na złamanie karku. Uwijając się na przedpolu, widziała przez chwilę dużą grupę srebrzystych tarczowników Ahagadena, cudem jakimś zebraną parędziesiąt kroków od niej... Gdzie tam! Nie panując już nad sobą, zawyła z wściekłości, gdy ujrzała dziki dum ochotników, rozpraszający oddział na powrót.

Na lewym skrzydle kusznicy rozpędzili bełtami ostatnią kupę chłopstwa, ale to nie mogło już niczego zmienić. Cała armia zmykała!

Skierowała konia ku grupie uciekinierów, wyciągnęła miecz, ale przewrócono ją razem z wierzchowcem! Nieomal stratowana, zerwała się na powrót, przywołując całą siłę swych źrenic. Kapryśna moc, przychodząca czasem tylko, tym razem była posłuszna: dwaj cudacznie ubrani powstańcy przewrócili się, jakby w pełnym biegu uderzyli w niewidzialny mur. Dwaj następni zostali odrzuceni do tyłu... Po raz pierwszy pomyślała, że całe to czerwone migotanie jej oczu nie jest więcej warte niż kuglarskie, jarmarczne sztuczki. Co właściwie dzięki temu zyskiwała? Potrafiła może wygrywać bitwy? Kpina! Poczua się nagle śmieszna, z tymi swoimi płomykami w źrenicach, bezsilna, bezradna. Było jasne, że cała potęga, którą czerpać można z Pasm Szemi, ma się do praw rządzących światem jak pięść do nosa akurat! Tutaj nie było miejsca na głupkowate popisy, tutaj rządził rozum, doświadczenie, siła woli, miecz!

Reszta grupy minęła ją, pędząc.

Nieopodal ujrzała kilku swoich toporników. Uciekali z innymi...

Wiedziała już, na co się zanosi; zostanie na tym przeklętym polu bitwy sama!

W tej chwili jakiś jeździec przyskoczył z boku.

— Pani...

— Gavar! — wrzasnęła, poznając dowódcę swoich strzelców. Gnaj do naszych! Płot! Salwa!

Mężczyzna pojął w pół słowa!

Zgubiła hełm i miecz, koń biegał w tę i z powrotem, spłoszony. Utykając nieco — zdrowo się potłukła! — podążyła w tył, bo wiedziała już, że sytuacji opanować nie zdoła. Na Szerń! Musiała wyprowadzić stąd

swoich!

Jakaś strzała utkwiała w ziemi tuż obok. Obejrzała się. Cesarscy łucznicy niespiesznie szli w dół stoku, przystając co kilkanaście kroków, równo unosząc łuki i wypuszczając pociski. Powyżej tej j linii stali topornicy — jak na paradzie, równo, oparci na tarczach. Kilkadziesiąt kroków przed nimi, na prawym skrzydle Elimera, formowali się, w krótki dwuszeręg, cesarscy kusznicy. Ci z przodu przyklękli. Nie musieli podchodzić tak blisko jak łucznicy: ich broń, miała większy zasięg.

Zawyła jak wilczyca. Garść! Całe to wojsko mogła zmieścić pod hełmem! Na Szerń, wiedziała już, dlaczego topornicy nie gonią niedobitków... Było ich dwustu raptem! Kto miał gonić? Po co, zresztą?! Utrzymali port i wystarczy! Flota Armektu będzie tu niezadługo, nowe oddziały żołnierzy zejda na ląd i zrobią ze wszystkim porządek! Kto zatrzyma cesarskie okręty? Powstańcza flota nie istniała!

Nagle żółte tarcze ciężkiej piechoty uniosły się i potrójny szereg ruszył szybkim krokiem w dół stoku, jak taran! A więc Elimer uznał, że niczego nie ryzykuje, kontynuując walkę: osądził, że tak pobite wojsko nie zdoła mu już zagrozić! Zachciało jej się płakać — z upokorzenia. Przeciwnik nie czuł przed nią najmniejszego respektu.

— Na wszystkie moce — powiedziała ze wściekłością, ale też prawdziwym strachem i wstydem.

Odwróciła się, by biec do swoich, i w tej samej chwili stanęła jak wryta...

Potężny, przeciągły huk! Najpierw ujrzała chmurę dymu. Zaraz potem rozległo się jeszcze kilka pojedynczych, spóźnionych wybuchów, chmura rozbłysła tu i ówdzie... Stała, prawie nie pojmując, co zaszło. Wiatr zepchnął dym na bok i zobaczyła swoich strzelców, osłoniętych pochyłym, równym płotem. Wystrzelone hakownice wisiały przy kozłach, zatknięte w specjalne uchwyty, strzelcy opierali na podporach zapasowe. Przed zwartą granatową zaporą ujrzała coś, co było otwartym cmentarzem... Jacyś ludzie tarzali się we krwi, krzycząc; wiele ciał leżało nieruchomo. Żołnierze noszący kozły, teraz pełniący rolę osłony, stali na flankach strzelców, z nastawionymi włóczyniami... Byli prawdziwie wstrząśnięci. Podobnie jak sami strzelcy, sprawcy masakry.

Obejrzała się pośpiesznie. Na stoku szeregi cesarskich łuczników stały nieruchomo, podobnie jak kolumna srebrno-żółtych toporników.

Potem wrogie oddziały zaczęły odpływać pod górę, w tył...

— O, na wszystkie moce... — powiedziała znowu.

Akcja piechoty ognistej zakończyła bitwę. Efekt był piorunujący: ostatnie uciekające grupki stały w miejscu, patrząc w kierunku, gdzie wciąż trwał nieruchomy szyk granatowych żołnierzy. Podsetnicy i setnicy, otrząsnąwszy się, zaczęli skupiać owe grupki w oddziały. Chyba po raz pierwszy w historii wymordowanie własnych żołnierzy wstrzymało przeciwnika.

Panikę opanowano. Jednak bitwa była przegrana tak, czy owak. Kto nie uciekł, leżał zabity lub ranny, albo trafił do niewoli. Prócz strzelców i kuszników, zostało jej może dwustu, trzystu ludzi. A wiedziała świetnie, że ich wartość teraz jest akurat taka jak owego chłopstwa, które rzuciła do walki na początku. Złamanie tych ośmiuset cesarskich nie było już możliwe.

Przegrała.

Ale wciąż miała swoich ludzi... Nie wszystkich; po pierwszym ataku i ogólnej ucieczce pozostało może dwie i pół setki. Ale... Pojęła nagle, że — wobec klęski floty — są to właściwie jedyne liczące się siły, jakimi dysponuje teraz powstanie. Nie straciła więc wszystkich atutów. Zaczynała odzyskiwać pewność siebie.

58.

Pola bitwy jednak nie oddała. Z wielu powodów. Przede wszystkim, po tym, co zobaczyła, zaczęła się domyślać, że odwrót wojska będzie jedną wielką dezercją. Nie tylko powstańców. Także jej najemników. Kazała rozpowszechnić pogłoski o bardzo wysokich stratach wroga. Zabroniła mówić inaczej jak o „pierwszym dniu bitwy”. Zdawała sobie sprawę, że „drugiego dnia bitwy” nie będzie i być nie może, bo jej wojsko nie jest zdolne do natarcia. Ale równie dobrze wiedziała, że cesarscy też nie zaatakują.

Wieczorem nadeszły pierwsze dokładne wieści o klęsce na morzu. Było tak, jak powiedziała Alida: poszło na dno kilka żaglowców z każdej strony, ponadto cesarscy zdobyli dwie kogi (zarekwirowane kupcom), w tym jedną bardzo starą, i dwa holki, powstańcy zaś — holki i jakieś szniki. Ale brak rozstrzygnięcia oznaczał zwycięstwo sił cesarskich; jasno zdawano sobie sprawę, że nie ma co marzyć o zatrzymaniu armektańskich eskadr, wobec osłabionej, ale wciąż istniejącej Floty Głównej Garry i Wysp. Powstanie dogorywało. Owe nierozstrzygnięte bitwy były tylko odroczeniem wyroku.

Lerena nie dbała o powstanie. Niemniej, tak szybka jego klęska przekreślała niemal zupełnie jej plany i nadzieje.

Właśnie: niemal...

Bo była jednak szansa. Pomimo upadku powstania była szansa na zdobycie i utrzymanie Agarów. Sposób godny nazwania nie tyle ryzykownym, co wręcz karkołomnym. Pomyślała o nim, gdy okazało się, że jedna z dorońskich eskadr — trzy holki Ahagadena — spóźniła się na morski plac boju. Alida i Ahagaden popadli w niełaskę.

Alida... Lerena wciąż była pod wrażeniem swego nad nią zwycięstwa w batalii o naczelne dowództwo. Łatwo przyszło. Może nawet zbyt łatwo... Ale widziała wyraźnie, że blondynka, od chwili gdy powstanie wybuchło, jest jak sparaliżowana. Swą siłę czerpała z armii szpiegów i donosicieli, jej potęga była, jak na ironię, odpowiednia do potęgi Trybunału. Teraz, gdy owa instytucja rozsypała się pod uderzeniem rebelii, Alida okazała się prawie bezbronna. Jej talent przestał być

potrzebny, została z pustymi rękami, niezdolna do wywierania istotnego wpływu na bieg wydarzeń... Przechytrzyła samą siebie.

Lerena była przekonana, że poradzi sobie z pyszałkową blondynką bez większego trudu. Problem leżał gdzie indziej. Po prostu plan był ryzykowny. Garyjskie zamieszanie sprzyjało szalonym przedsięwzięciom, no i miała swoich ludzi, dla których w powstańczych szeregach zdawało się nie być przeciwwagi. Ale jednak łatwo mogła zawieść się na swoich rachubach. Byle szczegół mógł obalić wszystkie plany.

Znalazła Alidę przy taborach. Obserwatorzy z Kwatery odjechali (czy też raczej uciekli) natychmiast po tym, jak okazało się, że wojsko poniosło klęskę. Alida została. Lerena rozumiała to dobrze: w Dranie zawsze patrzono na nią krzywo, a już od chwili, gdy oddała dowództwo kobiecie, i to półkrwi Armektance... Teraz okazało się na dodatek, że ta pół-Armechtanka była kiepskim wodzem. I na koniec — czarę przepełniło owo spóźnienie Ahagadena.

Tabory rozłożono wokół małej wioski, której nazwy Lerena nie pamiętała. Alida nie zajęła żadnej z chat (brudnych i biednych jak rzadko), wolała namiot. Przed wejściem płonęło ognisko, rozjaśniając nocny mrok. Dwie kobiety mierzyły się wzrokiem ponad skaczącymi płomieniami.

— Jeśli ktoś tu jest naprawdę przegrany, to my — rzekła w końcu Lerena. — A ty chyba nawet bardziej. Alida nie odpowiedziała.

— Porozmawiajmy. Ale nie tutaj — zaproponowała Lerena.

— O czym?

— Nie tutaj.

— Więc gdzie?

— Gdziekolwiek.

Alida, po krótkim wahaniu, weszła do namiotu. Wróciła po chwili w narzuconym na ramiona kaftanie. Minęły linię wozów, idąc coraz dalej w mrok.

— Zdaje się — powiedziała lekko Lerena — że już po wszystkim.

— Podobno chcesz jutro wznowić bitwę? Lerena przystanęła na moment.

— Uwierzyłaś w to? — zapytała zdumiona. Alida zmieszała się i pomimo czarnego, kryjącego wszystko mroku Lerena mogłaby przysiąc,

że się zaczerwieniła.

— Nie... Nie wiem — zająknęła się. — Naprawdę nie znam się na wojsku.

Lerena pojęła nagle, że przegrana tamtej jest jeszcze większa, niż sądziła dotąd. Jeśli czyjeś plany całkiem runęły, to właśnie plany Alidy! Dla imperium była zdrajczynią, dla powstania w najlepszym wypadku osobą niewygodną i niepożądaną. Nawet gdyby (cudem jakimś) rebelianci wygrali, to ktoś musiał zostać kozłem ofiarnym, bo przecież nie wszystko poszło jak trzeba... Ona, Lerena, była teraz ostatnią nadzieją dla Alidy! Cóż za ironiczny grymas losu... Przedstawicielka Sędziego Trybunału wierzyła w drugi dzień bitwy, bo nic innego jej nie pozostało. Gdyby Lerena mogła jeszcze zwyciężyć, potwierdziłoby to przynajmniej słuszność powierzenia jej dowództwa... Nie mówiąc już, oczywiście, o znaczeniu zwycięstwa dla samej Alidy, dla jej planów.

Lerena poczuła dreszcz prawdziwej rozkoszy, bo to było tak, jakby jej dostojność Alida ukłękła przed nią nagle i zaczęła prosić o pomoc. Na Szerń, warto było przegrać tę bitwę, by zobaczyć upokorzenie złotowłosej damy!

„Chciałaś powstania — pomyślała szyderczo. — No to masz! Co, nie wyszło? Jakże mi przykro, kochanie! Ale to twoja wina, że postawiłaś wszystko na jedną jedyną kartę...”

Szły w milczeniu.

— Podobno twój Ahagaden nie stawił się do bitwy? — mruknęła, niemal lubieżnie. — Co? Jak to było? Teraz przystanąła Alida.

— Przypadek — powiedziała, z taką beznadziejną wściekłością, że Lerena po prostu uwierzyła. — Przeklęty, przeklęty przypadek! Jakby mało było wszystkiego...

Znów ruszyły.

— Teraz jednak — rzekła znów Lerena — wszystko skończone... Przegrałam tę bitwę. I nie mogę jej wznowić. Rozpuściłam plotki, żeby powstrzymać dezercję. Powiedz głośno, że wszystko przepadło, a jutro nawet moi najemnicy uciekną.

— Czyli te wysokie straty cesarskich...

— Niezwykle, niezwykle wysokie! Może stu paru ludzi, z tego mniej niż połowa zabitych. Reszta to ranni, niektórzy wkrótce wrócą do szeregów. Tak wygląda prawda. Jeśli zliczyć dezercerów, którzy przeszli,

albo jeszcze przejdą, na stronę Elimera, to okaże się, że cesarscy wyszli z tej bitwy wzmocnieni. Wystarczy?

Alida, okryta mrokiem, milczała.

— Naprawdę wszystkie swoje plany wiązałaś z wyzwoloną Garrą? To błąd — mruknęła Lerena.

— Czemu wciąż mówisz o mnie? Ty podobno chciałaś osłabić Armekt? No to gównie osłabisz!

— Może tak... a może nie. To był jeden z możliwych sposobów. Może znajdę inne, by osiągnąć swój cel.

— Zatem życzę szczęścia.

Lerena skinęła głową, choć blondynka nie mogła tego widzieć. Noc była ciemna jak smoła.

— Pamiętasz, na tydzień przed początkiem tej awantury powiedziałaś, że jesteśmy sobie potrzebne... Myślę, że to się nie zmieniło, Alida.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To że jesteś w paskudnej sytuacji. Jeśli nie powiesz cię cesarscy, to usuną powstańcy... Winny zawsze musi być. Komu mam to tłumaczyć? Tobie?

— Poradzę sobie.

— Wątpię. Jeśli jednak tak sądzisz, to znaczy, że nie ma o czym mówić.

— Masz jakąś propozycję dla mnie? — zapytała po długiej chwili blondynka.

— Kto wie?...

— No to, do rzeczy.

— Masz statki. I ludzi.

— O, więc o to chodzi... Owszem, mam. Co z tego?

— Ja mam tylko ludzi... których zamierzam stąd zabrać, zanim będzie za późno.

— A dokąd?

— Tam gdzie zawsze zabrać chciałam. Czy poprawi ci humor wiadomość, że cały ten twój Ahagaden porwał mi smakołyk sprzed nosa? Wasze powstanie potrzebne mi było najpierw dlatego, że chciałam zdobyć te holki. Dopiero później do zajęcia uwagi cesarstwa.

Alida, w samej rzeczy, zdawała się odzyskiwać zwykłą werwę.

— Śliczna panienko — powiedziała — chciałaś zwiać stąd, osłabiając nas w decydującym momencie? I jeszcze kradnąc statki? — No. Tak właśnie chciałam zrobić.

Alida odetchnęła głęboko.

— No proszę... Nie powiem „wredna zdzira”, bo rzucisz się na mnie.

— Odpowiedziałabym: suka... Zajęłam Doronę, by usłyszeć, że tak naprawdę zwyciężał Ahagaden, czego dowodem są zdobyte żaglowce.

— Hmm... — rzekła z zadowoleniem Alida. — Ale, ale... Odchodzimy od tematu?

— Najpierw mi powiedz, co za ludzi ma Ahagaden? Tylko szczerze, dzisiaj kłamstwa nie będą nam potrzebne.

— Zbieranina, jak i cała reszta: piraci, wyrzuceni z wojska żołnierze, portowi rabusie... Ale opłacani ze szkatuły powstania.

— Czyli z tego, co ukradłaś Trybunałowi, a więc cesarzowi.

— I z tego, co dali ci garyjscy durnie, tacy jak Ganedorr. „Święta sprawa wyzwolenia Garry”.

— Czekaj, więc Ahagaden ma...

— Samych najemników. Ochotnicy zostali na lądzie. To ci, których dzisiaj pozwoliłaś wyróżnić.

— Czyli topornicy Ahagadena pójdą wszędzie. Za złoto.

— Tak jak twoi.

— Ilu ich?

— Nie wiem dokładnie. Grubo ponad setka, ale na pewno nie dwie. Z tym że na tych statkach jest jeszcze trochę cesarskich, którzy przeszli do nas. No i majtkowie, rzecz jasna. Ale teraz, najśłodsza, chcę usłyszeć twoje odpowiedzi. Gdzie chcesz płynąć?

— Na Agary.

Alida stanęła jak wryta.

— Gdzie?

— Krzycz głośniej. Na Agary.

— Po co? Znasz te lądy? To dwie wyspy na końcu świata! Co tam masz?

— Nic tam nie mam... A znam je wystarczająco dobrze. Może ty znasz lepiej?

— Lepiej? Na Szerń, gniłam tam przez pół życia! Lerena zaniemówiła.

— Kpisz sobie ze mnie?

— Pracowałam dla Trybunału w Aheli. Ładnych parę lat temu.

Lerena poczuła, że ociera się o coś.

— Parę lat... temu?

— Osiem, dziesięć... Dość dawno.

— I byłaś tam dziwką? Tak jak w Dranie?

— Oczywiście, moja ty cnotliwa.

Lerena wspomniała nagle swoją rozmowę z Raladanem, czy też raczej jego opowieść... Wkrótce po tym, jak dowiedziała się, podsłuchując, że Ridareta jest córką Rapisa. „Dziwka Czystej Krwi... z Aheli...”.

— Słyszałam — mruknęła — że w Aheli roi się od dziwek...

— Tak? Może. Chcesz tam płynąć na dziwki? Lerena zrozumiała, że stara intrygantka za chwilę zmiarkuje, iż ją podpytują.

— Nie — powiedziała, odkładając na później uzyskanie pewności. — Po co miałabym szukać tak daleko? Po czym pokrótce przedstawiła blondynce swe plany.

*

Siedziały na chłodnej murawie, pod niewielkim laskiem.

— Widzisz więc — powiedziała Lerena — że naprawdę cię potrzebuję.

— Owszem. Tylko jak długo?

— Oj, długo... Zauważ, że ani przez chwilę nie mówiłam, że będziemy tam sobie równe. Agary są zbyt małe, byśmy mogły rządzić tam obie. Ale potrzebuję, i potrzebować będę, szpiegów. W Dartanie, w Armekcie, we wszystkich prowincjach... W samym Kirlanie. I na Agarach... Ktoś musi tym kierować, i to kierować sprawnie. Czemu nie ty?

— Chcesz tam stworzyć coś w rodzaju Trybunału?

— No, oczywiście.

— Komendantka szpiegów. W pirackim księstwie. I to mam być ja?

— O ile wiem, po wyzwoleniu Garry zamierzałaś objąć funkcję podobną.

— Podobną?! No nie, zaczynani się szczerze bawić... Jeśli nie widzisz różnic, to przepraszam i gorąco współczuję! Po pierwsze, Garra to nie jakieś Agary. Po drugie, mam tu majątek po swym nieodżałowanym małżonku...

— Ten majątek przepadł, wiesz świetnie.

— No to przepadł, poślubiłabym inny majątek, najwyżej. Ale po trzecie i najważniejsze, tu miał rządzić Ganedorr albo ktoś do niego podobny. Czy mam ci wyjaśniać, kto rządziłby takim Gadedorrem? Lecz na tych twoich Agarach... Przecież zdajesz sobie sprawę, jakie znaczenie ma dla mnie podrzędne stanowisko na takim... wygnaniu! Może ci pochlebi, jeśli przy tym powiem, że nie widzę, jak miałabym tobą kierować. Może znalazłabym kiedyś sposób, ale ty przecież wiesz świetnie, czego się po mnie spodziewać. Nie, moja ty dziewico. Oddam ci statki, oddam ci moich ludzi, pomogę zdobyć powstańczą szkatułę, czy też raczej to co z niej zostało, a wszystko po to tylko, by wylądować w morzu, jak tylko zobaczymy agarskie brzegi? Albo nawet wcześniej?

— Masz lepszy pomysł? Wiesz dobrze, że musisz stąd uciekać.

— Ale nie pod stryczek.

— Może zaryzykuj.

— Ryzykować? Z rozkoszą. Ryzykuję przez całe życie. Ale tu nie widzę żadnego ryzyka. Widzę tylko stryczek. Równie pewny jak to, że słońce wschodzi i zachodzi.

Lerena zamyśliła się.

— Ale widzę wyjście — rzekła niespodziewanie blondynka. — Może jest sposób, byś mi udzieliła wystarczających gwarancji... Najpierw jednak chcę się upewnić, czy wiesz co robisz. Jak ty widzisz to wszystko, najdroższa? Teraz? Rozumiem, że zaangażowanie imperium w wojnę z Garrą dałoby ci czas, potrzebny do umocnienia Agarów. Bardzo kruche to wszystko, powiedzmy jednak, że możliwe... Ale — teraz?

— Teraz, mając mniej czasu, mogłabym mieć większe siły. Razem z twoimi ludźmi, pół tysiąca samych żołnierzy. No i jaką flotę! Jeśli, zgodnie z moim planem, Ahagaden opanowałyby jeszcze parę okrętów... Sama przyznałaś, że jest to możliwe. Dodać do tego trzy, a jak dobrze pójdzie, to pięć moich żaglowców... Teraz policzmy naszych ludzi. Pół tysiąca, tak? No to zdobędziemy Drań i całe złoto, jakie jeszcze ma Ganedorr. Z tym złotem na wiosnę miałybyśmy piratów. Siedem, osiem okrętów. To razem prawie dwadzieścia. Skąd imperium weźmie flotę, która to przeważy? Cesarz będzie musiał, w pierwszym rzędzie, odbudować siły Garry. A potem? Agary muszą się tylko obronić. Wód przybrzeżnych strzec mogą liczne łodzie, które wesprą naszą flotę. Tanio i skutecznie.

Na takich łodziach szakale morza atakują kupieckie, uzbrojone kogi. A czy wiesz, jak się biją piraci? Mówię ci, że trzydziestu dużych żaglowców będzie trzeba, żeby odbić Agary! I to tylko wtedy, gdy przyplyną wszystkie naraz, bo jeśli najpierw pobijemy parę słabych eskadr... Myślisz, że imperium uzna, że warto? Jedna wojna, zaraz potem druga? Mnóstwo wpływowych ludzi w samym Kirlanie zacznie kręcić nosami, trzeba będzie umiejętnie podsycić antywojenne nastroje, złotem, nie wiem, czym jeszcze? Oto właśnie zadanie dla ciebie! Miałabym wyrzucić cię do morza? Taki skarb? Najbardziej zdradliwą, kłamliwą i jadowitą żmiję Szereru?

— Lubię cię słuchać.

Pomimo zgryźliwej treści Lerena posłyszała w głosie tamtej inny jeszcze ton... Zafascynowania. Więc jednak. Ciemności skryły uśmiech. Była pewna, że taki plan musi oszołomić swym rozmachem nawet Alidę. Szczególnie Alidę. Przegraną hazardzistkę.

— Będą głosy sprzeciwu w Kirlanie — powtórzyła. — Tam przecież chcą żyć sobie wygodnie, bogacić się, a tu cesarz zwiększy podatki, bo bez tego... Każda wojna to pieniądze, wydatki i wydatki! A już wojna morska? Tym bardziej, że co jest do zyskania? Dwie wyspy na końcu świata? Nawet zwycięstwo pociągnie za sobą straty w ludziach i okrętach, a więc nowe wydatki! A klęska?

— To porywające — rzekła z niejaką ironią Alida. — Ale jak długo zamierzasz opłacać swoich piratów? I wszystkich najemników? Skoro już o wydatkach mowa?

— Niedługo... Bardzo szybko nadejdzie jesień, a wtedy ci sami piraci będą chętnie oddawać złoto za przywilej bezpiecznego kotwiczenia w Aheli przez czas sztormów. Będą mieli swój port, a w nim tawerny, dziwki i wszystko, czego marynarz może chcieć. Minie jesień i nasi piraci będą darmo bronić, pazurami, swoich wysp! Gdzie można naprawić nadwerężony przez sztorm osprzęt, przetrwać jesień, uciec przed obławą, tanio kupić wieści o cennych ładunkach i wszelkich nieczystych interesach, na których da się zarobić. Wielorybnicy po staremu wytopią tran z wielorybów, a ja go kupię i zawiozę na Garrę, gdzie sprzedam, i to z zyskiem... To samo miedź. Odkupię, tanio, każdy łup piracki-i znów sprzedam. Czy to wiele trzeba, żeby otworzyć kupieckie kantory tu i tam? Poprowadzą je porządni ludzie, o bardzo czystych rękach... Znam się na

tym!

— Do licha — mruknęła Alida — to wszystko ma sens. Szkoda, że nie mogę wziąć udziału w zabawie... po twojej stronie.

— Mówiłaś o pewnych gwarancjach, które cię zadowolą?

— Zapomnij o tym. Przez chwilę trwała cisza.

— Nie masz wyboru — głos Lereny stal się zimny. — Myślisz, że opowiadam ci o wszystkich swoich planach po to tylko, by usłyszeć: „nie”? Zrobisz, czego zażądam. Zgodzisz się na wszystko, tu i teraz, albo...

Lerena wyjęła miecz.

— Tak — powiedziała z entuzjazmem Alida. — Zgadzam się, oczywiście, że się zgadzam! Ręczę honorem i podam ci rękę. Załatwione?

Lerena zaśmiała się prawie.

— Teraz ja powiem, że chcę gwarancji.

— Jakich? Jakich to gwarancji mogę ci udzielić, tu i teraz?

— Jakich... Myślisz, że przyszedłam powiedzieć ci o wszystkim, nie mając pewności, że dojdziemy do porozumienia?

— Kpisz? — zapytała zupełnie normalnym głosem Alida.

— Czy wyglądam na taką, co kpi z poważnych spraw? Muszę mieć te twoje okręty. I złoto Ganedorra. Będiesz ze mną tak długo, aż załatwimy wszystko. Po prostu nie rozstaniemy się, Alida.

— Nawet o tym nie myśl. Na Szerń, skąd biorą się na świecie takie głupie cipy? Czy ja zawsze muszę dostać jakieś dziecko za przeciwnika? To niesprawiedliwe. No, mała, wynocha stąd! — zakończyła z prawdziwą złością.

Lerena wyciągnęła miecz, odszukując w mroku kontur ciała tamtej. Dotknęła sztychem szyi.

— Powtórz to jeszcze raz. Nie chce mi się siedzieć tu przez całą noc.

— Ryzykuj — powiedziała głośno Alida. — Ona nie żartuje — dorzuciła z naciskiem.

Warknęła w ciemnościach ciężka. Siła uderzenia pocisku rzuciła Lerenę na ziemię. Krzyknęła, chwytając się za strzaskane ramię.

— Tu jestem! — zawyła Alida, przetaczając się po trawie.

Olbrzymia sylwetka wyrosła pośród bezksiężycowej nocy, zgrzytnął wyciągany miecz. Lerena poderwała się, z lewym ramieniem bezwładnym, prawą ręką gorączkowo szukając upuszczonej broni... Przeklęta moc Geerkoto wzbierała w niej powoli, zbyt powoli. Dłoń

zaciśnęła się na rękojeści miecza, dziewczyna poderwała się z kolan, ale w tej samej chwili załkało przecinane powietrze, targnęło nią coś, co było jak sama śmierć; ciemniejsze od nocy szczyty drzew przemknęły szybko, szerokim łukiem, zniknęły, jakaś czarna plama skoczyła na spotkanie, coraz bliższa, uderzyła w czoło chłodem; i krzyknął w niej ból, jakiego nigdy jeszcze nie czuła.

— Weź to... ze mnie!... — jęknęła niemal histerycznie Alida.

Olbrzym odrzucił miecz, pochwycił bezgłowe, drgające ciało pod pachy i odciągnął na bok. Podniosła się i przywarła do sługi, dygocząc.

— Już... już, pani... — mówił, dziwnie nieswoim głosem. Obejmowała go kurczowo, powoli dochodząc do siebie.

— Krew... — powiedziała chrapliwie. — Lepiej się... Cała.

— Nie chcę więcej takich zadań, pani. Najpierw stale traciłem was z oczu... a tutaj strzelałem na ślepo! Na Szerń, mogłem trafić ciebie, równie dobrze, jak ją... I niewiele przecież brakowało! Nigdy więcej, pani! Obiecuj. Gdybym... gdybym trafił ciebie... — głos mężczyzny załamał się.

Uścisnęła potężne ramie.

— Chodźmy stąd...

Zrobiła krok i krzyknęła, potykając się o coś... Olbrzym pochylił się z furją, wymacał owo COŚ, chwycił za włosy i ze wszystkich sił cisnął w las.

— Chcę, żebyś wiedziała, pani — zawołał z gniewem — że nigdy nie zabiłem z większą przyjemnością! Klnę się, pani, że w tej kobiecie było coś obrzydliwego!

— Chodźmy stąd! — powtórzyła, przyciskając dłonią łomoczące serce. — Naiwni głupcy to przekleństwo tego świata... Ale moje błogosławieństwo, na Szerń...

*

Do świtu ciało pod lasem zdążyło zeszywnieć. Niepotrzebna, bezmyślna machina, którą nie pokieruje żadna ślepa siła, bez względu na to, czy nazywać ją życiem, mocą, czy też jeszcze inaczej... Po cóż uruchamiać coś, co nie widzi, nie słyszy, nie myśli?

Dwadzieścia kroków w głębi lasu, pod gałęziami leszczyny, pierwsze spadające z drzew liście zaczepiały się w czymś, co przypominało kępę zeschniętej trawy... Poszarpane ostrzem, zlepione krwią włosy, kryły głowę niezwyklej dziewczyny, której nigdy nie dano życia. Pokaleczona twarz dotykała ziemi, a ubrudzone nią usta... poruszały się czasem, jakby

powtarzając jakieś imię, które jednak nie mogło zabrzmieć, bo nie było płuc, które udzieliłyby krtani powietrza... Lerena wciąż widziała... słyszała... i czuła.

Ciało pochowano dwa dni później. Głowy nikt specjalnie nie szukał, choć wystarczyło podążać ku miejscu, gdzie zlatywały się kruki. Ale dość było trupów do grzebania i bez tego.

Powstanie...

59.

— Jednak wciąż nie rozumiem — Ridareta nieufnie zmarszczyła nos — co z tą fortecą? Zupełnie się na tym nie znam, ale myślę, że otoczenie całego miasta i portu murami, jakimiś basztami i wszystkim tym, co potrzebne, żeby warownia miała jakieś znaczenie, to przedsięwzięcie na całe lata... Dziesięć? Dwadzieścia?

Tamenath pochylił się nad stołem, opierając mocno swe jedyne ramię na blacie.

— Czy wiecie, czym są Porzucone Przedmioty? Tak naprawdę? Raladan i dziewczyna wymienili spojrzenia.

— Przed wiekami — zaczął Przyjęty, sięgając po kubek z rumem.

— Szerń stworzyła Szerer. Były jakieś powody, dla których do tego doszło. Nie znamy tych powodów. Ale te powody, te przyczyny, są jedynym bogiem świata, bogiem, który rządzi takimi siłami jak Szerń. Tego boga-Przyczynę zwiemy Zapomnianym. Raladan skinął głową.

— Nie rozumiem — rzekł, na przekór gestowi.

— No i dobrze — uznał Tamenath. — Od rozumienia są tacy dziadkowie jak ja, a ty możesz mi wierzyć na słowo; jak nie, to idź pilnować żagli. Rozum powstał, jak się przypuszcza — podjął — tylko po to, by stać na straży równowagi świata. Stwórcą rozumu jest nie cała Szerń, a wydzielona z niej żywa część, po równo będąca istotą (bogiem) jak i czystą siłą sprawczą. Zwiemy ją Rongolo Rongoloa Kraf, czyli Wielki Największy Uśpiony, czy też lepiej: Nie-Czuwający. Wielki i Największy śpi sobie (albo raczej nie-czuwa) gdzieś w Bezimiennym Obszarze. Nikt nie wie, pod jaką postacią. Pracowity niestety (a może na szczęście) to on nie jest: budzi się raz na kilkaset lat i zaraz daje rozum kolejnemu zwierzęcemu gatunkowi. Dał już ludziom, kotom i sępom. Strach pomyśleć, że kiedyś może dać świniom albo czemuś innemu co jest smaczne.

Przyjęty przepił do młodych i zagryzł suszoną kiełbasą. Zęby miał mocne jak koń. Ridareta, krótko znająca olbrzymia, po raz setny tego dnia zerknęła na Raladana, jakby pytając, czy na pewno tak właśnie wygląda lah'agar, legendarny mędrzec-Przyjęty. Zawsze — podobnie jak tysiące

innych ludzi — uważała, że to koniecznie musi być białobrody, czcigodny starzec, świecący potęgą, dostojny i mówiący o Szerni z głębokim szacunkiem, wielkim zrozumieniem i powagą... Ten tutaj trąbił rum z kubka.

— Rongolo Rongoloa Kraf — mówił dalej z pełną gębą Tamenath — jest ojcem rozumu. By rozum mógł objąć świat, stworzony przez Szerń, musiał być na jej obraz i podobieństwo.

Tamenath pokiwał łysą głową.

— A nie jest Szerń bowiem, wyjąwszy wyklęte Pasma, odrzucone przecież, trwa w doskonałej równowadze. Gdy tymczasem rozum (rozum ludzki w szczególności) kształtuje świat różnie: lepiej, gorzej, ale równowagi w tym nie widać. Brak równowagi zawsze jest złem. Bajdy, które opowiadał ci garbus w tawernie — rzekł Tamenath do Raladana — brzmią ładnie, bo wychodzą naprzeciw ludzkiemu rozumowaniu. Ludzkiemu — podkreślił — bo już umysł kota postrzega świat nieco inaczej, bliższy jest mu podział na właściwe-niewłaściwe, niżli dobre-złe. Pasma Szerni nie są złe ani dobre. Raczej aktywne i pasywne, choć i to nie jest prawdą do końca. Akcja i reakcja. — Tamenath uniósł swój kubek i wyciągnął w stronę Raladana. — Stuknij. — Naczynia zderzyły się lekko, jak kielichy w dartańskim toaście. — Właśnie wam pokazałem, co dzieje się w łonie Szerni — wytłumaczył Przyjęty. Kolejno wskazał kubki.

— Ciemne Pasma i Jasne, ty uderzyłeś, obaj odczuliśmy uderzenie, akcja i reakcja, kubki zostały w miejscu, równowaga wyliczała.

Zmarszczył czoło, unosząc brwi.

— Który kubek zły, a który dobry? — zapytał z głupia frant.

— Nie ma więc zła ani dobra? — zdziwiła się Ridareta.

— W Szerni? Nie. A w świecie... Hm, tutaj nie przebiega to tak prosto. Przede wszystkim nie ma równowagi, a brak takowej zawsze jest złem. W przypadku Szerni matematyczne wzory przekrojowe, przekształcane naprzemiennie, pozwalają sprowadzić dowolną parę Pasm do poziomu prostego układu równań. Ale matematyczne modele Szerni konstruuje się w odniesieniu do stanu idealnego. Wobec świata są bezużyteczne, bo rozum poddaje się co najwyżej ujęciu statystycznemu. Matematyczna równowaga Szerni jest więc zaledwie fundamentem filozofii opisującej jej współistnienie ze światem. I koniec końców to właśnie z filozofii, nie z matematyki, wynikają Prawa Całości...

Zamilkł, bo ujrzał, że się zagalopował. Raladan spozierał nań spod oka, co miało chyba znaczyć: „gadaj zdrów”. Ridareta wtykała sobie w nos kosmyk włosów; kichnęła.

— Wróćmy do Porzuconych Przedmiotów — ciężko rzekł Tamenath. — Sporządzono je, by były odbiciem Pasm Szerni. Za ich pomocą można nie tylko budować modele, ale i czerpać z Pasm: albo Ciemnych, albo Jasnych, albo jednych i drugich, ale zawsze z tych tylko, których odbiciem jest dany Przedmiot. W Porzuconych Przedmiotach zapisane są zasady równowagi Szerni. Chyba jednak nie wszystkie. Rongoloa Kraf posługiwał się Przedmiotami tak jak cieśla narzędziami. Ale Kraf sam jest częścią Szerni... Poza nim nikt nie potrafi wykorzystać Przedmiotów zgodnie z przeznaczeniem i możliwościami. Powiedziałem przed chwilą, że nie wszystkie zasady równowagi Szerni ujęte są w Przedmiotach. Twierdzę tak (nie ja jeden) dlatego, iż rozum, a więc i świat, nie trwa w równowadze, pamiętacie. Coś tu jest wyraźnie sknoczone.

— Brakuje... dobra? — zagadnęła Ridareta.

— Brakuje aktywności — rzekł z naciskiem Tamenath. — Złem jest tylko brak równowagi. Nadmierna aktywność bądź pasywność burzy równowagę. Nadmiar dobra jest złem, tak samo jak niedobór.

Zapomniał, jak rozmawia się z ludźmi. Zrozumiał, że nie trafi do nich w ten sposób. Pojęcia, którymi operował, nic dla nich nie znaczyły. Zło i dobro — oto co im się wydawało ważne, precyzyjne i ścisłe. Zło i dobro takie, jakie postrzegali. Musiał zacząć mówić tym językiem, jeśli nie chciał gadać sam do siebie.

Przez chwilę zastanawiał się, jak właściwie ma mówić o przyczynach, podstawiając w ich miejsce — skutki...

— Oto, przyjaciele — spróbował. — Rozum, w samej rzeczy, zdaje się mieć większe możliwości czynienia dobra niż zła. Że z nich nie korzysta, to rzecz inna. Może dlatego, że zła jest za mało? Walczy się z nim. Zamiast pomnażać dobro — likwiduje się zło, bo pozornie łatwiej jest je wyplenić, niż utworzyć przeciwwagę dobra. Pojmujecie? Kara dla złoczyńcy, miast nagrody dla czyniącego dobro... Czy nagradza się, z urzędu, każdy dobry czyn? Czemu więc piętnuje się i ściga każdy zły uczynek? To chyba do niczego nie prowadzi, a na pewno nie ma nic wspólnego z równowagą. I być może dlatego Szerń pozwala, by

odrzucone Pasma przenikały do świata. Wyklęte Ciemne Pasma, aktywne — przypomniawszy. — Taka aktywność jest obca; więc niebezpieczna; więc zła dla Szereru. Powinna zostać utworzona przeciwwaga dobra. Tyle tylko, że mechanizmy rządzące Szernią nie zawsze sprawdzają się tutaj, pamiętamy — popukał palcem w stół. — Myślę więc, że zamiast tworzyć i nagradzać dobro, do czego rozum tak świetnie się nadaje, podjęta zostanie raczej walka ze złem. Oczywiście, mówiąc o tym wszystkim, bardzo całą rzecz uprościłem. Pomimo to, w ogólnym kształcie... — Pokiwał głową.

— Czy na pewno nie mylisz się, panie?

Tamenath długo badał wzrokiem jej skupioną twarz.

— W coś wierzyć trzeba — rzekł wreszcie. — Matematyka jest jedna dla wszystkich; zasady równowagi Szerni nie podlegają dyskusji. Ale filozofii jest wiele; nie ma jednej wspólnej dla wszystkich Przyjętych. Przedstawiłem wam swoją, w bardzo ogólnych zarysach. W coś wierzyć trzeba — powtórzył.

— Więc to wiara? Nie rozum?

— Wiara, ślicznotko. Wiara we własny rozum. Poruszyła wargami, jakby powtarzając za nim.

— Porzucone Przedmioty — przypomniawszy rzeczowy jak zwykle Raladan, którego rozprawy na temat dobra i zła zdawały się tyle akurat obchodzić, co wyrzucony za burtę stary but. — Porzucone Przedmioty są odbiciem Pasm Szerni. Czy są czymś jeszcze?

— Dorlan-Przyjęty — podjął Tamenath — wielki mędrzec Szereru, nazwał pewne... grupy cech Porzuconych Przedmiotów — właściwościami. Każdy Przedmiot ma właściwości. Pierwsza właściwość to możliwość nawiązania kontaktu, poprzez Przedmiot, z pewnymi Pasmami Szerni; mieszczą się tu także matematyczne cechy Przedmiotu... — urwał nagle i machnął ręką. — Dość tej matematyki. Teraz druga właściwość, najbardziej pożądana przez budowniczych zamków oraz błaznów fikających koziołki. — Tamenath skrzywił usta. — To specjalne cechy, przynależne tylko niektórym Przedmiotom. Powiem o nich za chwilę. I wreszcie właściwość trzecia, rzadko występująca: oto wpływ, jaki wywiera Porzucony Przedmiot na tego, kto go posiada. Tę właściwość mają tylko Geerkoto. Szczególnie zaś Rubin Córki Błyskawic.

Ridareta uniosła głowę.

— Mówisz o mnie — przypomniała z całkowitym spokojem.

— Nie, dziecko, bo nie jesteś Rubinem. Twoje życie jest życiem Rubinu, to prawda. Ale masz jeszcze rozum, a żaden Przedmiot go nie posiada. Niemniej, to bardzo dobrze, że twe życie i twój rozum znalazły wreszcie wspólny język.

W milczeniu rozważali to, co powiedział.

— Jestem obserwatorem — rzekł po chwili Przyjęty, jakby uprzedzając pytanie. — Obchodzą mnie Prawa Całości, bo dotyczą rozumu i życia, a rozum, jak powiedziałem, miał być na obraz i podobieństwo Szerni. Wiemy już, że nie jest to kopia wierna. Ale jednak. Jesteś, pięknotko, bardzo wdzięcznym polem obserwacji. Bo to, co zaszło w tobie, pokazuje, jak działa w Szerni mechanizm utrzymujący jej istotę w równowadze. Równowaga jest zwycięstwem. Zwyciężyłaś.

Znowu zaległa cisza.

— Nie rozumiem... — rzekli jednocześnie Raladan i Ridareta. Spojrzeli po sobie.

— Każda wojna, nawet zwycięska, pociąga za sobą straty... Przed wiekami Szerń, walcząc z obcą potęgą, Alerem, utraciła więcej Jasnych Pasm niż Ciemnych. Dla zachowania równowagi dwa Ciemne Pasma zostały wykluczone z istoty Szerni, te Pasma nie są już Szernią... ale jednak istnieją. I Szerń, zdaje się, korzysta z nich czasem, pozwala im wpływać na losy świata chociażby. I ty także miałaś swoje niepotrzebne Pasma. Różne uprzedzenia, wątpliwości... Odrzuciłaś je. Teraz będziesz niszczyć, zapewne... Lecz cóż z tego? Ważniejsze jest, że znalazłaś swoje dobro. Dobro, po prostu. No bo jakie może być? Każdy ma swoje własne, czasem wielu ma — wspólne. Ale jednego dobra, takiego dla wszystkich, nie ma i być nie może. Nie powinno. Przede wszystkim potrzebna jest równowaga. To ona jest dobrem największym. Walczyłaś ze skłonnością do czynienia zła, no i co z tego wyszło mądrego? Ten tutaj — wskazał Raladana — przez dziewięć lat się męczył, bo jakaś pomyłona dziewczyna uroiła sobie, że nie będzie wspierać swego opiekuna-pirata. No to narznął ludzi jak świń.

— Więc... czym jest moje dobro? — zapytała w napięciu.

— Choćby właśnie dobrem twego ojca. Powoli pokręciła głową.

— Nie tego cienia na Bezmiarach, który, będąc narzędziem odrzuconych Pasm, potrafił jednak przeciwstawić się im. Myślę, że

zapłacił za to tą namiastką życia, którą mu pozostawiono. Ale nie o nim mówię. Takim ojcem, co to użył swojego ogórka, i nic więcej, potrafi być każdy głupi... Mówię o twym ojcu — wskazał palcem milczącego Raladana — najprawdziwszym, jakiego mieć możesz, jeśli ojcostwem nazywać spełnianie ojcowskich obowiązków. Teraz zaprzecz, malutka. Powiedz, że nie oddasz życia za niego, kiedy będzie trzeba. No, powiedz.

Zaległa długa cisza. Raladan patrzył na swe splecione dłonie.

— Ten stary, łysy drań mówi prawdę — powiedziała poważnie Ridareta. — Chciałbyś mieć córkę, Raladan? Podniósł oczy, wzruszony.

— Mam ją od dziewięciu lat, Rida... Może naprawdę pora, by sobie to otwarcie powiedzieć...

Odchyliła głowę, spoglądając ku sufitowi.

— O, nareszcie... Nigdy nie wiedziałam, jak powiedzieć, byś zostawił to przekłete „pani”! — rzekła, obejmując go mocno. Tamenath, tłumiąc uśmiech, pociągał z kubka.

— Skończę — rzekł po chwili — i już sobie idę, będziecie mogli snuć te swoje parszywe, pirackie plany. Wieziemy wiele Przedmiotów. Ich „drugie właściwości” mogą posłużyć choćby do budowy zamku. No cóż... twierdze Przyjętych na Czarnym Wybrzeżu, moja własna wieża w końcu, powstają w sposób bardzo podobny. W Nienazwanym Obszarze trwa stale... coś jak łuna, bijąca od Pasm. Kto wie, jak wykorzystać moc owej łuny, ten nie musi wcale biegać z kufrem Geerkoto pod pachą. Jednak na Agarach tego, co nazwałem łuną, nie ma. Dlatego potrzebne będą same Przedmioty. Są wśród nich takie, które potęgują siłę mięśni. Są takie, co tną skały, i takie, co przeniosą kamień powietrzem. Płaska, czerwona muszla z otworem pośrodku, zwana Pierścieniem Ułudy, wyczaruje wam pięćdziesiąt kroków muru tam, gdzie go zabraknie. Oczywiście, będzie to mur z powietrza, ale nikt go nie odróżni od prawdziwego, dopóki nie dotknie. To półkoliste cudo, o które pytałeś — skinął do Raladana — to Wachlarz. Przeciągnij jego brzegiem po powierzchni dwóch kamiennych bloków i zetknij je potem, a już nie rozdzielisz. Potrzebna jest ogromna ostrożność, ten Przedmiot spaja trwale wszystko, czego dotknąć jego brzegiem, a co złączyć niedługo potem. Dajcie go głupcowi, a do końca życia będzie chodził ze złożonymi dłońmi... Ale człowiek uważny i mądry wzniesie, za pomocą Wachlarza, stołp do samego nieba, nie używając zaprawy. Mógłbym wymieniać długo. Są Przedmioty, które przydadzą

wam się bardzo, inne mniej, a niektóre wcale. Te ostatnie można sprzedać; za pomocą złota buduje się zamki równie szybko, jak za pomocą Porzuconych Przedmiotów... Nim rok minie, pewien jestem, iż powstanie warownia, której nikt łatwo nie zdobędzie. Tym bardziej, że — potarł w zamyśleniu podbródek, zerkając spod oka — lah'agar Tamenath będzie się nudził na tych całych Agarach. Drugie właściwości dobre są dla ludzi, którzy nic o Szerni nie wiedzą. Ale dla starego Tamenatha bardziej poręczny będzie Czarny Kamień (wieziemy go, a jakże), Geerkoto, Przedmiot niewiele słabszy od Srebrnego Pióra. Pomijając słodką prawdę, że cisnąwszy nim mocno, można na wylot przedziurawić okręt — pokiwał głową, bo zrobiło to na nich wrażenie — Przedmiot ten nie jest wcale kapryśny, łatwo za jego pomocą czerpać obficie z kilku Pasm. Ciemnych, oczywiście. Jest Formuła tych Pasm dotycząca... Jeśli znajdzie się na Agarach trochę ludzi niepotrzebnych, jeńców na przykład, uwolnię ich na parę tygodni od potrzeby snu, co pięknie wydłuży ich czas pracy... A jest wiele Formuł, przywołujących moc Pasm, których odbiciem jest Kamień...

— Dlaczego nikt dotąd nie użył Porzuconych Przedmiotów w ten sposób? — zapytała oszołomiona nieco Ridareta.

— Zdaje się, że Piór i Wachlarzy używano kiedyś przy budowie kilku fortec na armektańskiej Pomocnej Granicy. Z całą pewnością posłużyły też do wzniesienia dartańskiej Rollayny. Ale prawda jest taka, że Przedmiotów nie rozdają garściami. Trzeba po nie przyjść do Obszaru, znaleźć je... i wynieść. Nie każdemu pomagają w tym orki. I znudzeni, zgorzkniali Przyjęci.

— Orki? — Nie zrozumiała.

— A, to już nie mnie o to pytaj. — Tamenath przepił do Raladana. — Tyle, ile wieziecie w ładowni, wszyscy poszukiwacze przygód nie wyniosą z Obszaru przez lat dziesięć, albo i dwadzieścia, zresztą nie wiem ile. Trzy skrzynie... Mam czyste sumienie — rzekł jakby do siebie — nie przyłożyłem do tego ręki. No, najwyżej troszeczkę.

— A dlaczego Szerń obdarzyła Przedmioty takimi właściwościami, jakby stworzonymi dla ludzi? — pytała z ciekawością Ridareta.

Tamenath wzruszył ramionami.

— W Romogo-Koor Pasma dotykają świata. Zdaje się, że potęgi takie jak Szerń nie mogą istnieć w oderwaniu od lądów, które są dla nich

życiodajne. Ale jednocześnie na styku Szerni i świata coś się chyba psuje. Wygląda na to, że Strażnicy Obszaru nie tyle pilnują Porzuconych Przedmiotów, co używają ich do różnych napraw... To tylko domniemania. Ale chcę powiedzieć, że każdy Przedmiot ma tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy właściwości. A z tej liczby jedna, a czasem wręcz żadna, może być przydatna dla istoty żyjącej pod niebem Szereru... Równie dobrze mogłabyś pytać, dlaczego kamień stworzono specjalnie po to, żeby rzucić nim w psa.

— Ta ogromna wiedza, panie — rzekł nagle Raladan, dowodząc, że wbrew pozorom dość uważnie słuchał wywodów Przyjętego mogłaby przecież przydać się do czegoś. Wiem, panie, co to jest matematyka. Nie taka, o której mówiłeś... — zmarszczył brwi — ale liczby i proste wzory musi znać każdy dowódca okrętu. — Zrobił gest w kierunku małego stołu, gdzie leżały tablice deklinacji słonecznych, kwadrant i parę innych przyrządów. — Wiem, że można użyć nauki do... bardzo wielu rzeczy.

— Można, ale po co?

— No... chyba...

— Po co miałbym to robić? — uściślił Tamenath. — Dla sławy? Czy dla złota? A może dla uszczęśliwienia mieszkańców Szereru? Jak przed laty Lonard Davin, Garyjczyk któremu obrzydł płaszcz Przyjętego? Plany statków powietrznych i okrętów podwodnych... Skrzywił usta. — Powiesił się — podsumował — a jednego i drugiego jak nie było, tak nie ma. Dobrze chociaż, że malował wspaniałe portrety.

— Dlaczego, panie, zostałeś Przyjętym? — zapytał Raladan. W imię czego, właściwie, zgłębia się istotę Pasm Szerni? Czemu to ma służyć?

Starzec pokiwał głową.

— Czemu, bracie — odpowiedział pytaniem — zostałeś żeglarzem (zapomnijmy o twym pochodzeniu)? W imię czego właściwie kocha się słoną wodę? Czemu to niby ma służyć?

Popatrzyli po sobie.

60.

Na wszystkie morza... co to jest? — rzekł Raladan, zdumiony. Takiej eskadry nie widział nigdy dotąd. Może raz: wtedy gdy Demon zdobywał Barirrę. Ale teraz? Tutaj?

— Co takiego? — zapytała Ridareta. — Zwykle żaglowce.

— Zwykle żaglowce? Ten pierwszy to „Kaszalot” Brorroka, a na nim dziadek wszystkich piratów. Drugiego nie znam... ale trzeci, ta karawela z rejowym płótnem na fokmaszcie, to „Kołysanka” Kitara. Dwaj, najbardziej znani po Demonie, piraci Bezmiarów, defilują sobie wzdłuż Wysp Barrierowych, gdzie siedzą cesarskie eskadry! Jak świat światem, pirat przemykał tędy chyłkiem i nocami! Pamiętasz? To tutaj, niedaleko, przy Barrierowych właśnie, złapali nas wtedy Wyspiarze!

Potrząsając głową, patrzył na idące półwiatrem ku „Seili” żaglowce.

— Może powstanie... wybuchło wcześniej? — podsunęła.

— Jeśli nawet... Taki chytrus, jak Brorrok, nie zaniedbałby ostrożności w żadnym razie.

— Ma trzy statki. Duża siła.

— Ale żeby się zaraz z nią obnosić?

— Co robimy? Czekamy na nich? Raladan zmarszczył brwi.

Spotkanie na morzu, jak zawsze, wzbudziło zainteresowanie załogi. Niemal wszyscy byli na pokładzie, oglądając się na kapitana.

— Jest okazja dowiedzenia się czegoś... Ale z drugiej strony, wejść między trzy takie okręty, to prawie tyle, co położyć głowę pod topór — myślał głośno Raladan. — Bohed! — zawołał nagle, a gdy oficer podszedł, zarządził: — Kufry z Przedmiotami wstaw między paki z prowiantem, te z sucharami, wiesz. Nie mamy nic w ładowni, pamiętaj. Powiedz chłopcom, że byliśmy w Dartanie, w Nin Aye.

— Tak, kapitanie.

— Jeszcze jedno: statkiem dowodzi — wskazał Ridaretę — Piękna Larena. Zapamiętaj to dobrze. Wszyscy mają o tym pamiętać. Dziewczyna spojrzała pytająco.

— Pamiętasz twarze majtków, gdy cię zobaczyli? Wszystkie trzy jesteście takie same... Ty i twoje córki. Podobieństwo zawsze było duże, a

odkąd Rubin zaczął doskonalić waszą urodę, stałyście się niemal nie do odróżnienia. Brorrok zna Lerenę, ale jeśli wydasz mu się nawet trochę inna, pomyśli, że to ta opaska na oku. Straciłaś je niedawno, pamiętaj. Poradzisz sobie?

— Czy Brorrok nigdy nie słyszał o jednookiej córce Demona? — zagadnęła. — Swego czasu na Agarach było o tym głośno.

— Dziesięć lat... Już dawno włożono tę historię między bajki. Brorrok widział córkę Demona i miała dwoje oczu. Łatwiej uwierzy w to, że córka Rapisa straciła oko ostatnio niż w to, że córek Rapisa jest kilka i do tego są takie same... Poradzisz sobie?

— Bez obaw... A jak nie, to podpalę te łajby! Popatrzyl pytajaco.

— Umiem niejedno — powiedziała zarozumiale. — To nie zawsze jest proste, i nie zawsze przychodzi łatwo. Bardzo męczy... Ale dzisiaj jest dobry dzień. Bez problemów spalę im żagle.

Serce w nim urosło. Była taka, o jakiej zawsze marzył, by była: beztroska, zadowolona, zuchowata. Mógłbym pływać z tą dziewczyną po morzach zawsze i do końca życia. Znów prowadzić piracki żaglowiec przez nikomu nieznanne przesmyki, powierzać go prądom, zdolnym przemóc wiatr, pojawiać się nagle na kupieckich szlakach i przepadać bez wieści na całe miesiące... Chciał tego. Niczego już więcej, tyle by mu wystarczyło. Całe jego życie było morzem i walką.

Obserwując okręty zmierzające na przecięcie ich kursu, zaczął, niespodziewanie dla samego siebie, rozmowę.

— Nie mówiliśmy o tym dotąd... Tyle, co raz i drugi, mimochodem... Co z twymi córkami, pani?

— A co ma z nimi być? I nie mów do mnie „pani”, bo się wreszcie wścieknę.

Uśmiechnął się prawie.

— Teraz jednak „pani”. A nawet: kapitanie. Tak zwracałem się do Lereny... Nie obchodzą cię? Twoje córki?

— Raladan — powiedziała poważnie — a czy kiedykolwiek obchodziły mnie naprawdę? Jeśli coś rzeczywiście zyskałam dzięki temu, że noszę w sobie tę czerwoną moc, to tyle że przestałam się okłamywać... Stary miał rację, kiedy mówił, że odnalazłam swoje dobro. Różnorakie. Przecież ja zawsze chciałam być taka jak Demon. Ale ojca nie znałam, a wychowywała mnie matka. Kochałam ją. Ilekroć mówiłeś mi, że świat nie

jest czarno-biały, a po prostu szary, odpowiadała ci ona, nie ja. Słyszałeś jej słowa, a jeszcze bardziej jej myśli pragnienia. Czy dalej tłumaczyć, dlaczego tak się działo?

— Nie musisz.

— Wiec widzisz. Trzeba było długiej wojny i wielkiej potęgi, by uczynić mnie taką, jaką miałam być naprawdę. By pokruszyć przekłętą skorupę, w którą zakuto mnie wtedy, gdy nie mogłam i nie umiałam się bronić. Walczyłam z tym, co kazano mi widzieć czarne; wmówiono i nauczono, że czarne jest godne potępienia... Byłam jak wytresowany do walki niewolnik. Czy ci, którzy zabijają się nawzajem w Rollaynie, ku uciesze dartańskiego tłumu, czują do siebie nienawiść, są wrogo usposobieni do siebie z natury? Nie, po prostu nauczono ich walczyć z takimi, a nie z innymi przeciwnikami. Byłam niewolnicą przyuczoną do walki. Wyzwolono mnie jednak. Teraz mogę wybierać, z kim i dlaczego chcę walczyć. A nie jest to z całą pewnością to, z czym walczyłam dotąd. Wiem na pewno.

Odgarnęła włosy z czoła, takim samym ruchem, jak zwykła to czynić Riolata.

— Ale walczyć w ogóle chcę i zamierzam! — dodała. Z namysłem przytknęła mu palec do piersi.

— Szukam sojusznika — powiedziała ze śmiertelną powagą, podkreślając wagę słów energicznym kiwnięciem głowy. Pokręcił tylko głową, z uśmiechem.

— Nie bez powodu — podjęła — wypytywałam tyle o Agary... Myślę, Raladan, że to dobre. Na początek. A ty?

— Planujesz przymierze? Z nią?

— A czemuż by nie? Przynajmniej przez jakiś czas... Riolata zasiała, Lerena zbierze plony... a my je sprzedamy.

— Semena — poprawił.

— Co mnie obchodzi jej fałszywe imię? Chyba nie dla nas je przybrała.

— Tak, ale powiedziałaś: Lerena.

— No i co?

Spojrzał zdezorientowany.

— Lerena — rzekł z naciskiem raz jeszcze.

— No dobrze! — zirytowała się. — Złe wymawiam? Znam chyba

imię własnej córki, jakby nie było?

— Ale mówisz o jej siostrze, zdaje mi się, o Riolacie, tak? — też się zirytował. — Semena-Riolata! Patrzyła przez chwilę.

— Poczekaj, czy ty myślisz...? Ale... Raladan? Nie wiedziałeś? Ręce opadły mu bezwładnie, bo coś przeczuł...

— Czego? — rzekł tępo. — O czym?

— Oddałeś mnie w ręce Lereny! Nie Riolaty! Nawet przez chwilę nie myślałam, że nie wiesz! Fałszywe imię Semena służyło teraz Lerenie!

Oparł się o nadburcie.

— Na wszystkie morza... Nie mylisz się?

Spojrzała z prawdziwym zdumieniem i jeszcze — politowaniem.

— Kto je ma rozróżniać, jak nie ja? — zapytała. — Nie wierzysz mi?

— Byłaś wtedy... — zaczął.

— Obłąkana? Bzdura i bzdura! Mówiłam ci już, że pamiętam wszystko! Mam powtórzyć? Pamiętam wszystko, Raladan, nawet lodowaty śnieg z wodą na twarzy...! Każdy szczegół, jaki można pamiętać po kilku miesiącach! A czy mówimy o szczególe? Jeszcze raz powtarzam: Semena, którą widziałam, i Lereña — to ta sama osoba! Gdzie jest Riolata — nie wiem.

Wierzył. Oczywiście, że wierzył.

„Raladan, nie pytaj mnie o Lerenę. Może kiedyś ci powiem”.

„Cóż cię może obchodzi Lereña?”.

„Tak wiele dla ciebie znaczyła?”.

„Lereña żyje...”.

„Rum... Kiedyś Lereña mi mówiła, że to dobry sposób na rany”.

— Jak wiele — powiedział — jak wiele teraz rozumiem! Opuścił głowę.

— I jak mało... — dodał zaraz. ' Wskazała okręty.

— Pomówimy później — zauważyła przytomnie. — Teraz goście.

*

— „Seila” pod komendą Pięknej Lereny! — zawołał Raladan. Piękna wita kapitana Brorroka!

Na dryfującym w odległości pięćdziesięciu kroków holku podniósł się gwar. Ktoś parł do nadburcia, rozsuwając zamasyście tłum majtków. Słaby, lecz słyszalny głos rozbrzmiał zgrzytliwie:

— Do stu kurew, niech mnie spalą! Ślepy, co robisz na tym cacku?! A

gdzie to kapitanowa? Ridareta machnęła ręką.

— Powiedz mu, że uprałaś koszulę — mruknął Raladan. — I że statek jest czystszy niż jego... Nie dziw się, tylko powiedz.

— Kapitanie! Uprałam koszulę! A statek mam czystszy od twojego!

— Zaproś go...

— Zapraszam!

— Niech mnie...! — dobiegło od Brorroka. — Do... do jednej, wielkiej kurwy! Płynę, córcia! Płynę to zobaczyć! Na holku migiem opuszczono szalupę.

— Jak wejdzie na pokład, poznasz go od razu — mówił Raladan. — Ma dobrze ponad dziewięć krzyżyków. Jeśli będzie z nim rudzielec, to też go już widziałaś. Kiwnij mu głową. Brorrok pije mleko... No, mleko! — Skinął, widząc otwarte usta dziewczyny. — Nigdy rum. Możesz dać mu wodę, nie obrazi się. Powiedz mu, że nauczył cię, jak powinien wyglądać żaglowiec, tym go kupisz. Niewolników już nie wozisz. Zapamiętasz? Resztą zajmę się sam.

— Pije mleko... dać mu wodę... niewolników nie wożę... — powtarzała trochę rozbawiona, a trochę oszołomiona Ridareta. — Aha, i pokazał mi, jak wygląda żaglowiec. Tak, Raladan?

— Bardzo dobrze — pochwalił. Przywołał gestem Davarodena.

— Nie pchaj się w oczy z bronią. Idź do Przyjętego. Niech siedzi u siebie. Za bardzo zwraca uwagę.

— Tak, kapitanie.

— Nie „kapitanie”, na Szerń! Ona jest kapitanem, ja tylko pilotem!

Kusznik skinął głową.

Dowódca „Kaszalota” płynął ku „Seili”.

*

— O, córcia! — Brorrok wciąż nie mógł wyjść z podziwu. O, córcia! Siedzieli w kapitańskiej kajucie. Ridareta wzruszyła ramionami, z wielką powagą.

— Miałam piękny wzór do naśladowania — pokazała ręką Brorroka we własnej osobie. — Wspaniały statek... i godny tego statku kapitan.

Starego jakby kto na sto koni wsadził.

— O, córcia — powiedział raz jeszcze, krygując się niemal. Rozgniewał się nieoczekiwanie.

— Kto ci to, do stu kurew?! — wrzasnął, pokazując opaskę na oku.

— Cesarscy — mruknął Raladan. — Któż by?

— Ślepy... i ślepa — rzekł Brorrok, wyraźnie załamany. — Ale statek jak złoto! Nie to, że lepiej, jak u mnie... Ale jak złoto, mówię. Niech zdechnę w piwnicy!

— Cóż to się dzieje, kapitanie? — zagadnął Raladan. — Robicie piracką paradę wzdłuż Wysp Barrierowych?

— Piracką! Piracką, powiadasz! O, Ślepy... — obraził się Brorrok. — „Kaszalot”, do stu kurew, to okręt kaperski!

— Dlaczego: „ślepy”? — zdziwiła się Ridareta. Zaległa krótka cisza.

— Nie mówiłem? — zastanowił się Brorrok.

— Mówiłeś, kapitanie — rzekł Raladan, nie kryjąc niezadowolenia. — Ale ona ciągle nie wierzy... Ridareta pojęła, że palnęła głupstwo.

— O, do stu... To jej pokaż! Przez (ile to?) przez rok... czasu nie miałeś?

— Nikt mnie już tak nie nazywa. Niepotrzebnie przypominasz, kapitanie, to miano. A na popisy za stary już jestem... — bronił się Raladan.

— Za stary! Mówi, że za stary. — Brorrok w osłupieniu patrzył na Rudego. — Ubliżył mi. Słyszałeś? On jest stary. To ja... chyba trup!

Raladan wyciągnął rękę. Rudy, z lekkim uśmiechem, odwiązał z szyi fular. Raladan zawiązał sobie oczy, po czym wyjął nóż z pochwy przy pasie i następnie — zza cholew. Cisnął dwa jednocześnie, potem trzeci.

— To dlatego „Ślepy” — wyjaśnił, odsłaniając oczy. — Wierzysz już, pani?

Noże tkwiły w drzwiach — prawie równo jeden obok drugiego, każdy pośrodku innej deski.

— Już wierzę — powiedziała, z całkiem szczerym zdumieniem, Ridareta. — Nauczysz mnie tak?...

Raladan bezradnie wzniosł oczy ku powale.

— Ba!... — zaczął Brorrok, ale Raladan wpadł mu w słowo:

— Jesteś kaprem, kapitanie?

Stary patrzył przez moment, chwytając wątek.

— Kaprem — potwierdził. — Z listem kaperskim... — uderzył dłońmi po udach — wystawionym przez jego godność komendanta flot Armektu!

Raladan zaczął pojmować.

— Powstanie?

— Od miesiąca, niech mnie ugotują! — triumfował Brorrok. Wszystko, co garyjskie, dozwolone! Imperator odkupi od starego Brorroka każdy zdobyty okręt! Mogę zawijać — rozłożył ręce, trzęsąc się od chichotu — do portu na Barrierowych, do Talanty! Że też dożyłem takich dni! Teraz... teraz niech mnie utopia!

Palnął Rudego w plecy i byłby się przewrócił wraz z krzesłem, gdyby ten go nie przytrzymał. Stary pirat (kaper!) zaniósł się kaszlem.

— Niech mnie... utop... ią... — wycharczał, łapiąc powietrze.

— Co z tym powstaniem, kapitanie? — zapytał Raladan, gdy Brorrok wyparskał się i uspokoił nieco.

— Bili się na morzu, przy Garranach. Będzie dwa tygodnie nazad. Nikt, mówią, nie wygrał. Potem, mówią, buntownicy pobili się między sobą. Ktoś porwał jakieś okręty, poszedł z dymem port w Dranie. Cztery cesarskie eskadry płynęły do Bagby, z Armektu. Wielka Flota. Sam widziałem trzy karaki gwardii. Takie jak ojczulka, niech mu morze... — Kiwnął ku dziewczynie. — No i, do stu kurew — Brorrok rozparł się wygodnie — Armektancyki sprawdzili, że niby Bagba ciągle ich, i mieli tam płynąć. Wtedy doszły słuchy, że cała flota buntowników w rozsypce, ale specjalnie, w cztery strony świata, niby, poszła, zdobywać wyspy na Morzu Garyjskim, i Południowe, i Garrany... Ale inni gadali, że wcale nie, że płyną do Lla i nawet na Morze Zamknięte, spalić Lida Aye i Tarwelar, niby. Cesarscy zgłupieli: dwie eskadry poszły z powrotem, pilnować wejścia na Zamknięte i Llapmy, jedna na Morze Garyjskie, a gwardziści z tym, co zebrało się na Barrierowych, do Bagby! Znaczą się, wojny do jesieni nie skończą, bo to, widzi mi się, ciut mało, żeby odbić całą Garę. Ale wcześniej szniki chodziły po morzu, jak nigdy. Szniki, szkuty przybrzeżne, wszystko, co ma żagiel, nawet dartańskie galery. Tylko, do stu kurew, na tratwach nie pływali. I zdybali mnie! Myślałem, że jakaś obława, ale, Ślepy, co za obława z samymi sznikami? Szybkie to to, ale chłopca na pokładzie trzydziestu! Dałem się dogonić; jak sami śmierci szukają?! A oni, do stu kurew, poddają mi się! Strażnik, żywy, był na moim „Kaszalocie”! Brorrok przerwał, żeby patrzeć, jak bardzo się dziwią. — I żywy zlązł z niego! Bo oni pływali, żeby łapać na morzu wszystko: kupca, żołnierza, i starego Brorroka też! Dostałem list kaperski, podpisany przez dowódcę wszystkich ichnich flot, i życzenia

szczęścia od cesarza! Jeszcze nie wierzyłem! Ale jak przy Barrierowych spotkałem Kitarą? Z tym tutaj, kupcem, niech mnie zabatożą! Kitar sklecił eskadrę, szli we dwójkę do Garry! Kupczyzna miał paru z żelastwem do pilnowania towaru, usłyszał, że płacą za zdobyte statki, a że się wcześniej zrujnował, no to wziął list kaperski... i pływa kupiec z Kitarem! Ścierwo! — powiedział nagle. — W gardle mi zaschło, do pół setki... Ale żem się nagadał. Mleka pewno nie macie, co, córcia? A to daj wodę... i dolej rumu. Ale kapkę! Takie rzeczy się dzieją, że kapka... kapeczka... nie zaszkodzi! — wyjaśnił.

Raladan i Ridareta w milczeniu przetrawiali wieści. Stary ostrożnie sącył rozcieńczony trunek.

— I co kaper ma teraz zrobić, córcia? — Wychrypiał wreszcie. Zabrać wam to cacko? Dobrze mi zapłacą. Was nie ruszę, jeszcze na pokład wezmę... Ale statek oddajcie.

— To nie jest statek powstańczy — powiedziała Ridareta.

Brorrok zarechotał.

— A kto, niby, wie o tym? Statek to statek, córcia!

— Kapitanie — przypomniała uprzejmie — włazłeś nam w ręce.

— Piękna grozi? Staremu? — zgorszył się Brorrok. — Córcia, ja bym nawet goły tu przyszedł, jak by było co pokazać, to bym przyszedł, niech mnie... Ja, córcia, długo żyję i się ciebie nie boję! Tak to już jest jakoś, że każdemu droższe własne życie niż cudza śmierć... Ślepy, powiedz jej, o co chodzi staremu! Bo ja żem się już ozorem nakłaskał.

Raladan skinął głową.

— Kitar będzie abordażowa! tak czy owak — wyjaśnił. — Choćbyśmy nawet wyrzucili naszych gości za burtę. Możemy grozić do woli, Kitar i tak robi swoje. Tylko że wtedy, no, to już nas wyrznie.

— O, widzisz. — Brorrok z zadowoleniem przyglądał się dziewczynie. — Dawajcie statek. Biorę.

Ridareta spojrzała na Raladana, ale ten skrzywił się tylko i wzruszył lekko ramionami.

— Nie warto, kapitanie — rzekł prawie leniwie.

— A to czemu, co, Ślepy? Takiś pewny?

— Słyszałem — odparł wezwany — że na wiosnę jest jakaś robota. Brorrok nadstawił ucha.

— Hę? A ty skąd wiesz, co? hę?

— Słyszałem — rzekł jeszcze Raladan — że się opłaci. Brorrok popatrzył na Rudego.

— Wiesz coś o tym? — po czym, znów do Raladana: — Bo ja wiem tylko, że chcą mi zapłacić za jakąś awanturę. Wcale nie wiem, czy się opłaci.

— Opłaci się — rzekł Raladan, spoglądając na Ridaretę. — Pamiętasz Barirrę, kapitanie? Chodzi o to samo. Tylko teraz nie Demon ci zapłaci, a jego córka.

Pirat otworzył gębę.

— To ty, córcia, chciałaś dobić targu? Czemuś takich głupków słała po tawernach? Co? Córcia?

— Miałam głośno krzyczeć, że to ja? — zapytała Ridareta. — Jeszcze pokrzyczymy. Za pół roku.

— Za pół roku. — Brorrok zgiął się, przytłoczony wiadomością. Ale, czy ja tego dożyję? A tu mam twój stateczek i też mi się opłaci.

— Do podziału na trzech? Przecież teraz jeszcze tego kupca nie utopicie, dopiero potem, jak już nie będzie potrzebny... No to co? Opłaci się na trzech? Imperator nagle taki hojny?

Brorrok znowu popatrzył na Rudego.

— Ano, prawda... Rudy pokiwał głową.

— Będziesz żył jeszcze sto lat, kapitanie — rzekł poważnie Raladan. — Nie widzę, żebyś kładł się do grobu. A jak nawet nie sto, to jeszcze z tuzin na pewno... Zarobisz na wiosnę, i opłaci się. Bardziej jak interes z cesarzem.

— Ano... może... — zastanowił się kaper. — Ale, Ślepy, Kitar i ten kupczyk nie odpuszczą. Oni już liczą złoto, jakie za was dostaną.

— Powiedz im, kapitanie, jak jest. Też mogą zarobić. A złota... może trochę damy?

— Macie złoto? — zaciekawiał się stary.

— Kapitanie! — Raladan pokiwał głową. — Czy ja dam sobie co zabrać? Sam mnie uczyłeś, a potem Demon... Rozbierz ten żaglowiec na kawałki, a nie znajdziesz! Ale jeśli się dogadamy...

— Dawajcie! — rozwścieczył się stary. — Jazda! Spojrzał nagle chytrze.

— Tylko Kitar ma o tym nie wiedzieć... Co mu powiem, to powiem... Młody jest, jeszcze znajdzie dość złota dla siebie. Ridareta skinęła głową,

z nieznacznym uśmiechem.

— Nie, do tysiąca brudnych... Niech mnie utopia, nie ruszyłbym statku jego córki — zapewnił siebie i obecnych Brorrok.

61.

Pełnym wiatrem „Seila” szła ku Agarom. Raladan raz jeszcze wytłumaczył wszystko Ridarecie i Tamenathowi. Dzięki wieściom uzyskanym od Brorroka było jasne, że plan Semeny (Lereny!) powiódł się. W Doronie nie mieli czego szukać, należało wręcz omijać brzegi Garry.

Agary były zdobyte, nie dało się wątpić. Po pamiętnej zagładzie agarskiej eskadry Raladanowi wydawało się mocno wątpliwe, by w Aheli siły Floty Rezerwowej mogły być większe niż jeden średni żaglowiec i może jeszcze jakieś szniki... Stu ludzi? Najwyżej. I para legionistów w Arbie.

A zatem: Lerena miała Agary. Należało więc płynąć prosto do Aheli.

Ridaretę śmiertelnie nudziło snucie dalekosiężnych planów. Chciała działać, nie gadać bez końca; to było tak, jakby owe długie zmarnowane lata żądały, by je odrobić; Zostawiła wszystko na głowie Raladana i Tamenatha. W tym ostatnim coraz wyraźniej budził się awanturnik, niespokojny duch, grombelardzki kusznik. Olbrzym cisnął precz inkaust i swoje pergaminy, całymi dniami wiódł dysputy z Raladanem, kreślili jakieś plany twierdz, palcami po mapach wodzili eskadry, których jeszcze nie mieli... Wydawało się jej to wszystko co najmniej przedwczesne. Zresztą uważała, że męską rzeczą jest planować, a kobiecą działać. Miała ochotę walczyć; dowodzić setkami ludzi, prowadzić bitwy, palić — hej! palić!

Czuła mrowienie pod skórą... Potęga, którą dysponowała, nie lubiła trwać bezczynnie.

Nuda. Statek płynął i płynął, wachty zmieniały się regularnie, tamci dwaj gadali bez przerwy... Łaziła po pokładzie, raz i drugi wspięła się nawet na grotmaszt, była w ładowni, i na dziobie, i na rufie...

Nuda.

Od chwili, gdy uciekła z Rollayny, minęło sporo czasu; dość, by zdążyła zaobserwować u siebie szereg cech, których kiedyś nie było, lub zdawało się nie być... Przede wszystkim była aktywna, bierność męczyła ją i drażniła. Gdyby zapytała Raladana, ten odrzekłby bez wahania, że

upodobniła się, w jakiś sposób, do swych córek. Łatwo było to zresztą wytłumaczyć. No cóż — pierwsza córka Rapisa była teraz bardziej Lereña niżli Ridareta, która przez osiem bez mała lat, potrafiła tkwić poza światem, w zapomnianym domu pod lasem.

Krótką męską spódnica, jaką dał jej Raladan, miała może pewne zalety; cóż, kiedy złościła ją! Podobnie koszula i ten potworny serdak... Dobrze czuła się tylko w sukni. Ale zielona suknia, w której przemierzyła pół Dartanu, pieszo i konno, była teraz zwykłą ścierką, dziurawą, postrzępioną i tak brudną, że pomoc nie mogło żadne pranie. Raladan nie woził sukien na „Seili”. Ani żadnych klejnotów. Oto pirat, na Szerń... Miał złoto Lereña, to prawda (większą część zabrał Brorrok). Ale co można z tym zrobić? Wpiąć sobie potrójne sztuki złota w uszy? Czy zawiesić na szyi? Piękna jednooka kapryśnica zaczynała mieć dosyć prząsnej, morskiej wędrówki.

Zdawało się jednak, że Davaroden nie zauważyłby żadnych ozdób, nawet gdyby je miała i nosiła... Bardziej dla własnej satysfakcji, niż z rzeczywistej potrzeby, zadbała o fryzurę. Ułożyła ją bez zwierciadła (na „Seili” niczego takiego nie było), ale zwierciadło nie było potrzebne; oglądała swe odbicie przez rok, niemal bez przerwy, i znała na pamięć każdy kosmyk i każdy pukiel włosów.

Podobała mu się. I jak jeszcze... Ale on też się jej podobał. Był tęgi, zbyt tęgi może, ale dość wysoki, silny i bardzo męski... Dowodził kusznikami z pewnością siebie i spokojem, jakby urodził się tylko do tego i niczego więcej. Trafiało to do niej.

Oj, trafiało.

Miałyby ochotę podowodzić — nim.

— Zawsze z mieczem... — powiedziała, opierając się o nadburcie, dwa kroki od kusznika. — I zawsze w zbroi... Żołnierz jakich mało!

Spojrzał na nią, ogarnął wzrokiem mocny kok, z którego wypływała szeroka kita włosów, tańcząca za plecami w rytm podmuchów wiatru, i odparł, prawie zmieszany, niemal się tłumacząc:

— Służba, pani... Moja wachta trwa bez przerwy, kto ma być zawsze gotowy, jak nie dowódca pokładowych żołnierzy?

— Ale zbroja? — zapytała z uśmiechem. — Przecież, gdybyś wypadł za burtę, pociągnęłaby cię od razu na dno!

— Tak myślisz, pani? — Teraz on się uśmiechnął. — A ja ci mówię,

że pływałbym i w kolczudze, i w kirysie. Może niezbyt długo, ale jednak. Gdybym wypadł teraz, zdążyłabyś sprowadzić pomoc.

— Proszę! — powiedziała z uznaniem.

Odwróciła się ku morzu i patrzyła na czerwony zachód słońca.

— Kuznik — powiedziała wyraźnie, jakby smakując słowo. Kuznik... Mieczem też dobrze władasz, Dav?

— Dav... — Spojrzał spod oka. — Moja żona tak do mnie mówiła.

— Masz żonę? — zapytała z tak wyraźnym zawodem, że aż uniósł brwi... i znów się nieco stropił. Na krótko jednak.

— Miałem. Zwykła pomyłka. Oddała mi list rozwodowy. Milczała wyczekująco, najwyraźniej zainteresowana.

— Nie mogę jej nic zarzucić — rzekł szczerze. — Myślę, że po prostu żołnierz-obieżyświat nie był jej potrzebny. Nie takiego mężczyznę chciała.

— O? — zdziwiła się. — A ja myślałam... Urwała i wzruszyła ramieniem.

— Tak, pani?

— Pani... Czemu nie: Ridareta? — zapytała, naprawdę zalotnie. Bawiła się, widząc jego zakłopotanie.

— Myślę, że kapitan źle by widział taką poufałość.

— Kapitan! — oburzyła się. — Co ma kapitan do mężczyzn, którzy mi się... Urwała. Znowu rzucił krótkie spojrzenie.

— Wygadałam się? — stwierdziła raczej, niżli zapytała. — Zupełnie... nic nie wiem o mężczyznach, poza tym, że trzeba im się podobać — dodała naiwnie. — Wiem, głupie to uczesanie... — spochmurniała, sięgając ku włosom.

— Zostaw, pani! — zaprotestował aż nazbyt pośpiesznie. Przysunęła się nagle całkiem blisko.

— Dav... — powiedziała spłoszona, opierając palce o kirys przysłonięty tuniką. — Chodźmy do mnie. Przez chwilę jakby nie rozumiał.

— Jestem prostym żołnierzem, pani — rzekł wreszcie, właściwie bez związku.

— To fatalnie, bo ja jestem królową! — odparła z prawdziwą złością, odsuwając się i rozkładając ręce. — Co mówię, cesarzową nawet! Znowu będę siedziała cały wieczór sama. A dlaczego? Dlatego że temu tu,

prostemu żołnierzowi, kapitan zabronił podobać się kobietom!

Oparła ręce o nadburcie i znów spojrzała na morze.

— Ale kogo obchodzi jednooka dziewczyna... — powiedziała niegłęboko do siebie.

— Nie mów tak — zaprotestował żywo. — Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

Popatrzyła bez słowa.

Davaroden chciał jeszcze coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Nie był dzieckiem, swoje lata miał. Widział jasno, że dziewczyna zastawiła na niego pułapkę. Ale, właściwie, pochlebiało mu to. Była naprawdę piękna. Nieprawdopodobnie piękna. Wiedział, że troszkę traci głowę, ale tak naprawdę — czy było w tym coś złego? Prawda, że wszystko odbywało się jakoś tak... pośpiesznie; nie przywykł do kobiet mówiących mu wprost: „Podobasz mi się...”. Ale znowu: czy było w tym coś złego?

— Uwodzisz mnie, pani? — zapytał z lekkim uśmiechem.

— Zręcznie, prawda? — prychnęła ze złością.

Zajmowała pomieszczenie, w którym wcześniej rezydował Bohed. Po jej przybyciu na pokład Raladan wziął oficera do siebie. Kajuta była taka jak wszystkie oficerskie pomieszczenia na „Seili”: niewielka i raczej dość ciemna. Ale dwie latarnie, wiszące pod sufitem, dawały dość światła. Dość, by mógł ocenić, że ma przed sobą najwspanialej zbudowaną kobietę Szereru. W osłupieniu patrzył na piersi, których sutki wydawały się być twarde jak z kamienia; okrągłe biodra; doskonałą linię nóg... Przebiegając do pośłania, puknęła go pięścią w zbroję.

— Weźmiesz mnie w tej skorupie?

Położyła się, podkładając ramiona pod głowę.

— A może nadal masz służbę? To przynieś jeszcze kuszę. Tylko nie nakładaj bełtu, na Szerń... Może i chcę być przebita... lecz nie bełtem...

Odpasując miecz, pomyślał, że jednak dobrze, by Raladan nie dowiedział się o niczym. Miał jakieś... poczucie winy.

*

Była głęboka noc, gdy powoli dopinał rzemienie kirysu, Leżała na brzuchu, z przedramionami pod brodą; skrzyżowane w kostkach nogi kołysały się lekko nad okrągłymi pośladkami. Czy myślała o tym samym co on?

Czuł się fatalnie. To było niepotrzebne. Wyrzucał sobie brak

opanowania. Mając lat czterdzieści, trzeba umieć myśleć... Stary, a głupi — tak się czasem mawiało.

— Co było nie tak? — zapytała.

— Wszystko było nie tak — odpowiedział, zanim pomyślał, Co właściwie mówi. Zdał sobie natychmiast sprawę, że do licznych błędów popełnionych tego dnia dołożył następny... Ale w końcu, czy miało to jeszcze jakieś znaczenie? — Jesteś wspaniałą kobietą... Najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek oglądałem... — dorzucił, ale czuł i słyszał, jak fałszywie to brzmiało.

— Najpiękniejszą, jaką oglądałeś... — powtórzyła za nim. — Chyba rozumiem. Najpiękniejszą, ale nic więcej. Tak? Skinął głową, po prostu.

— Jestem zwyczajnym żołnierzem... — Obracał w dłoniach pas z mieczem. — Nie gwałci się marzeń — dorzucił niespodziewanie.

Kiedy indziej zastanowiłaby się może, jak pięknie potrafi czasem mówić ten „zwyczajny żołnierz”.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Brązowe włosy dokładnie kryły plecy dziewczyny — i najbardziej groźny, ponury rysunek, jaki widział w życiu. Słyszał, że takie tatuaże robiono w Dartanie. Wiedział, że była długo w Rollaynie.

Uniosła nagle dłonie i jednym ruchem zdjęła z twarzy opaskę. Cofnął się, prawdziwie przerażony. Ujrzał rzecz ohydną.

— Taka jestem naprawdę — powiedziała. — Najpiękniejsza na świecie, tak? Przełknął ślinę.

— Dlaczego mi to robisz? — zapytał.

— Co za różnica, dlaczego? Może chcę mieć z tej nocy trochę przyjemności? Powiedziałeś mi, co czujesz, no to ja ci pokazuję, jaka jestem. Szczerłość za szczerłość i prawda za prawdę... Nie podoba ci się moja twarz?

Zerwała się nagle.

— Raladan nie może dowiedzieć się o tym — rzekła z naciskiem. — Miałby do mnie żal...

— Nie dowie się — zapewnił.

— Nie dowie się — powtórzyła jak echo, nakładając na powrót opaskę. — Jestem pewna, że się nie dowie.

*

Raladan, półnagi, zderzył się z Tamenathem, opuszczającym w

ogromnym pośpiechu swą kajutę. W dłoni olbrzyma lśnił miecz.

Krzyk nie ustawał! Wpadli do kajuty dziewczyny.

Płonący jak pochodnia człowiek rzucał się po izbie, wyjąc jak zwierzę. Ogień trawił też ścianę, stół, pełgał po podłodze... Nim pojęli grozę sytuacji, Ridareta przebiegła wśród płomieni, wyrwała miecz z ręki Przyjętego, po czym rzuciła się ku żywej kuli ognia, uderzając ze wszystkich sił. Płomienisty tobół runął na podłogę, czerwonożłoty jęzor skoczył ku włosom dziewczyny... Tamenath krzyknął coś gardłowo, gęsta czerń, zimna jak lód, wybuchła w pomieszczeniu — i tak już zostało.

Usłyszeli jęk Ridarety. Tamenath rzekł coś jeszcze, jakieś krótkie słowo, i latarnie pod sufitem zapłonęły...

Raladan skoczył ku dziewczynie, stojącej nago pośrodku izby. Chwycił ją za ramiona, ogarniając wzrokiem, ale ogień chyba nie zrobił jej krzywdy, choć włosy na całym ciele miała mocno popalone i zapewne poparzone stopy...

Objął ją mocno.

— Nic ci nie jest?

Tamenath ciężko przyklęknął przy trupie. Twarz była straszliwie poparzona, podobnie ręce, zaś cała reszta... Mundurowa tunika spłonęła, pozostał kirys i kolczuga. Kusznik po prostu upiekł się w swojej zbroi... W przypalonej szyi ziała rana od miecza.

— Chciał mnie... — powiedziała głucho. — Próbował... Wykrztusiła coś niewyraźnie.

— Davaroden — rzekł krótko do kapitana Tamenath. — To Davaroden. Nie żyje, zarżnięty i upieczony.

Raladan mocniej zacisnął dłonie na nagich plecach dziewczyny.

— Niemożliwe... — powiedział ze zgrozą. — On? Nie mogę uwierzyć...

Dziewczyna, oddychając ciężko, opierała czoło o jego ramię.

— Kogo więc na tym świecie można być pewnym! — cisnął kapitan, odwracając głowę ku starcowi, ale nie wypuszczając z ramion Ridarety. — Miałem to ścierwo za przyjaciela! Miałem za...

Tamenath bez słowa zacisnął dłoń na kirysie kusznika. Pomimo przenikliwego zimna, jakie zawierała sprowadzona do ugaszenia ognia ciemność, zbroja wciąż jeszcze była ciepła.

Przyjęty wywłókł trupa na pokład, na oczach rosnącego zbiegowiska

załogi. Przerzucił ciało za burtę — bez wysiłku prawie po czym popatrzył na majtków i żołnierzy.

— Czy coś trzeba powiedzieć?

Po chwili jeden z marynarzy rzekł niegłośno.

— Morze wzięło...

Starzec odwrócił się i popatrzył w mrok nocy. Stał tak przez jakiś czas. A potem zobaczył żołnierza, tuż obok... Żołnierz niósł kuszę swego dowódcy — dar od Przyjętego. Spojrzał krótko i rzucił ją w fale, odwracając głowę.

Tamenath wyprostował plecy i powoli wrócił na miejsce pożaru. Stał w drzwiach, akurat w momencie, gdy Raladan obrócił dziewczynę plecami do siebie i odgarnął na bok falę włosów.

— Co to jest? — zapytał z nieopisanym zdumieniem.

Żółty, skrzydlaty wąż, wychylał się ponad fale, unosząc na grzbiecie nagą dziewczynę o rubinowym spojrzeniu... Wąż miał wyłupione oko, a rysunek wykonano w sposób tak mistrzowski, że Raladan odruchowo dotknął pleców dziewczyny, jakby chcąc się upewnić, czy krwawa rana nie jest rzeczywistą raną na ciele...

— Co to jest? — powtórzył, zniżając głos.

— Byłam w Rolaynie — odparła, jakby to wszystko wyjaśniało.

— Znajdź jej ubranie, zamiast stać i gadać — rzekł ostro Tamenath.
— Będziesz teraz oglądał obrazki? Widzisz przecież, że nic jej nie jest, a o tym tatuażu jeszcze zdążycie porozmawiać.

Raladan skinął tylko głową i wyszedł.

Obejrzała się na Przyjętego.

— Domyślam się, jak było — powiedział prosto z mostu, surowo. — Panuj nad sobą.

Jej spojrzenie załśniło czerwienią.

— Nie rozśmieszaj mnie tą swoją mocą, ślicznotko — osadził ją, prawie łagodnie. — Za pomocą Rubinów to ja mógłbym płoszyć mewy srające na dach mojej wieży... Pomyśl, co wyprawiasz! Oto kolejny dowód, że nie umiesz nad sobą panować. Spalisz sobie kiedyś nie tylko włosy. Załóżmy, że nie wiem, co tu zaszło, ale przemyśl dobrze tę swoją historię, bo Raladan prędzej czy później sam zacznie dumać, jak to było, że kusznik przyszedł cię gwałcić w pełnej zbroi... I jeśli mamy być przyjaciółmi, to obiecaj, że nie przysmażysz mi kiedyś tyłka, kiedy będę

spał. Patrzyła z niedowierzaniem.

— Nie potępiasz mnie? — zapytała zdziwiona, przechylając głowę.

— A za co? Za to, że obciążasz jedną szalę wagi? Po co tyle mówiłem o równowadze Szerni i świata, jeśli wciąż nie rozumiesz? Jeśli nie nagradzam dobra, to jakim prawem miałbym karać zło? Zresztą... zło i dobro! — Machnął ręką i wzruszył ramionami. — Wędzony boczek i kupa piachu...

Zrobił ruch, jakby chciał odejść, ale zatrzymał się jeszcze.

— Nie wiesz, jak mu powiedzieć o swoim imieniu, co? Cofnęła się o pół kroku i niemal przybladła.

— Skąd wiesz?

— Nie wiem. Ale myślę, że każdy lubi, by go nazywano jego własnym imieniem. Przyjdzie czas i na to... Riolathe. Później. Teraz to imię bardzo źle by mu się kojarzyło.

— Ale to imię...

— Odkąd wie, co oznacza, może je wymieniać nawet sto razy dziennie. Pokręcił głową.

— Ładna jesteś — rzekł z uznaniem, wychodząc. — Ale zdaje się, że Dartanki używają do depilacji gorącego wosku, nie ognia. Nie wiem, tak tylko słyszałem...

Uświadomiła sobie, że wciąż stoi nago.

62.

Z wpłynięciem do Aheli nie było żadnych problemów, chociaż kilka mil od wejścia do portu spotkali eskadrę holców, kręcącą się po morzu. Jednak samotny, niewielki żaglowiec, nie wzbudził — przynajmniej na razie — większego zainteresowania. Łatwo było zgadnąć dlaczego.

Tamenath widział Ahelę po raz pierwszy. Ridareta była raz w porcie, ale krótko. Natomiast Raladan, znający przystań dobrze, był teraz jej widokiem prawdziwie oszołomiony! Ale właściwie — czegoż innego mógł się spodziewać?

To było niczym port wojenny na Wyspach Barrierowych... Gdzie tam! W Talancie, na Barrierowych, stała eskadra Floty Głównej i druga — Rezerwowej, oraz parę małych okrętów. A tutaj? Niewielka przystań dosłownie zapchana była żaglowcami wszelkiego rodzaju. Stały holki, w których wprawne oko poznało okręty Floty Głównej Garry i Wysp; nieco dalej dwie kogi, jedna stara, jak świat, druga nowsza; jeszcze dalej małe szniki. Gdy „Seila” cumowała do nabrzeża, z portu wychodziła właśnie zgrabna karawela rejowa, z białymi żaglami na masztach głównych i czerwonym płótnem na bezanmaszcie. Ostatni, bonaventura bezan, niósł skośne płótno w barwach „małej floty Wysp”. Być może owa karawela była okrętem zdobytym tutaj, w Aheli.

Brak zainteresowania „Seilą” skończył się w momencie, gdy rzucono trap. Jak spod ziemi wyrósł oddział toporników w odstoniętych kirysach, a za nimi mniejsza grupka kuszników w granatowych tunikach.

— To wszystko najemnicy Lereny? — mruknęła Ridareta. — Ładne wojsko...

Dziesięciu żołnierzy pozostało na brzegu, pozostali weszli na pokład. Zaraz za nimi pojawił się przystojny, szczupły i ogorzały mężczyzna bez hełmu, ale w kolczudze i barwnej tunice.

— Co to za okręt? — zapytał donośnym, energicznym głosem, rozglądając się dokoła. — Kapitan?

Raladan zszedł na średni pokład. Ridareta i Tamenath podążyli za nim.

— Jesteś kapitanem tego statku, panie? — zagadnął mężczyzna,

mierząc Raladana spojrzeniem.

— Zdaje się, że już niedługo? — skrzywił się zapytany.

— Rekwiruję żaglowiec — potwierdził oficer, przyglądając się bacznie kapitanowi. Przeniósł wzrok na dziewczynę, po czym zamarł nagle.

— O, na wszystkie... — rzekł, cofając się odruchowo. Raladan obejrzał się na Ridaretę.

— Podobieństwo? — zapytał. — Wszystko zrozumiesz, panie... Ale nie do ciebie mamy sprawę, a do jej godności.

— Nie wątpię... — Mężczyzna wciąż zdawał się być oszołomiony. — Skoro żyjesz... — Spojrzał w twarz Ridarecie i zaraz odwrócił wzrok.

Odgarnęła włosy z czoła.

— Znasz mnie, panie? — zapytała zdziwiona. — Kim właściwie jesteś?

Oficer milczał.

— Nie pojmuję tej gry — rzekł wreszcie. Raladan i Ridareta także rozumieli coraz mniej.

— Kim jesteś, panie? — powtórzył za dziewczyną Raladan. Mężczyzna wskazał na Ridaretę, jakby chciał powiedzieć, że ona wie to świetnie, ale nagle wzruszył ramionami i powiedział sucho:

— Komendant wojskowy Aheli, Heren Ahagaden. Nic mi do waszej zabawy... Oczywiście, że zobaczycie się z jej wysokością. I to natychmiast.

Topornicy obsadzili już okręt. Zwrócił się ku nim i krzyknął jakieś imię. Jeden z żołnierzy podszedł niezwłocznie. Ahagaden zamienił z nim kilka cichych słów. Żołnierz zsalutował i natychmiast zbiegł po trapie. Zauważyli, że — z dużym pośpiechem zabrał gdzieś granatowych kuszników.

— Część przeszła do nas — rzekł z wyraźną kpina oficer. — Ale lepiej, byś nie widziała się z nimi, pani...

Raladan i Ridareta po raz dziesiąty wymienili spojrzenia.

— Czy możemy już iść? — zapytał Raladan, uznając, iż najprostszym sposobem wyjaśnienia wszystkiego będzie rozmowa z Lereną.

— Oczywiście. Proszę za mną.

— Co z moją załogą?

— Pozostanie na statku.

— Bohed! — zawołał Raladan. — Rządzisz do mojego powrotu!

— Tak, kapitanie! — padła odpowiedź.

Ahagaden uśmiechnął się półgębkiem, jakby na znak, że za wiele do rządzenia nie będzie, ale nie powiedział ani słowa. Gdy zeszli na ląd, skinął na ów oddziałek, który wcześniej pozostał na brzegu.

— Liczna eskorta... — zauważył Raladan. Po czym, zwróciwszy się do Ridarety i Tamenatha, dorzucił: — Czyżbym popadł w niełaskę?

Ahagaden szedł obok, co i rusz oglądając się na Ridaretę, jakby w obawie, że ta wbije mu nóż w plecy... Raladan zastanawiał się, czy ten człowiek (którego w życiu nie widział na oczy) mógł znać Ridaretę? Być może. Przecież była zakładniczką, wielu ludzi Lereny mogło zetknąć się z obłąkaną — wtedy — dziewczyną. Ale Ridareta twierdziła stanowczo, że pamięta wszystko z tamtego okresu. Powinna więc znać Ahagadena równie dobrze jak on ją. A nie znała z całą pewnością. Podczas gdy zachowanie oficera zdawało się dowodzić, iż jego kontakt z jednooką nie był, bynajmniej, powierzchowny. I wcale nie serdeczny...

„Na Szerń! — pomyślał nagle w natchnieniu Raladan. — On ją bierze za... Riolatę! Bliźniaczki znowu, jakimś sposobem, skrzyżowały swe drogi! Jak on to powiedział: skoro żyjesz... No, to znaczy, że siostrzyczki znowu wodziły się za łby!”.

Chciał o tym powiedzieć Ridarecie, ale zobaczył, że dziewczyna najwyraźniej myśli o tym samym. Kiwnęli głowami.

Od portu szli najpierw w stronę koszar, ale potem skręcili ku budynkowi, zajmowanemu w Aheli przez Trybunał Imperialny. Przed wejściem stali żołnierze: tarczownicy w pełnym oporządzeniu, przy toporach, z tarczami u nogi.

Milczący przez całą drogę Ahagaden odezwał się teraz:

— Zaraz wrócę. Cierpliwości... — Znów spojrzał kpiąco na Ridaretę.

Stali przy wejściu, w asyście żołnierzy. Raladan i Ridareta wymienili uwagi. Tamenath słuchał tylko, nie wtrącając nic od siebie, ale pojmując łatwo, w czym rzecz; wcześniej przecież Raladan opowiedział mu niemal całe swoje życie, a i Ridareta dorzuciła niejedno.

Potem zamilkli.

Raladan, zamyślony, spoglądał wokół. Wiele wspomnień łączyło go z tym miastem. Oto ulica, którą przed laty szedł w stronę koszar i z powrotem, czatując na Yarda... Gdyby zaś wrócić do portu i skręcić wcześniej w lewo — znalazłby łatwo starą tawernę „Pod Żaglami”... A

tam znowu, pośród najbogatszych domów miasta, stał ten, w którym spotkał jedyną szlachetnie urodzoną kobietę imperium, która umiała nosić warkocz... Złoty warkocz przy błękitnej sukni.

Pokręcił lekko głową. Sentymenty... Starzał się.

Ale to nie były zwykłe wspomnienia. Na Szerń, w końcu tu, na tych wyspach i w tym mieście tak naprawdę zaczęło się wszystko.

Pomyślał jeszcze o stu rzeczach: o cmentarzu, zwanym Przeklętym, o wysokim wielorybniku (Bedal? Began? — jak też miał na imię?...), o skąpym kupcu z Arby, o Yardzie (wiedział już, jak zginął naiwny, do ostatniej chwili, kapitan, Ridareta mówiła; ciekawe, co robił w Dranie?), o szarym urzędniku Trybunału, którego rozgniół powoli i starannie jak obrzydliwego robaka... Z zadumy wyrwał kapitana dopiero powrót Ahagadena.

— Proszę o broń — rzekł bez wstępów oficer.

Raladan wzruszył ramionami i wyjął nóż zza pasa (ale te w cholewach zostawił), Tamenath odpiął pas przewieszony przez plecy; najczęściej nosił miecz jak Grombelardczyk, na plecach właśnie. W ogóle prezentował się zupełnie inaczej niż na swojej wyspie. Przede wszystkim: odmłodził. Nie nosił już długiego płaszcza i nijakiej szaty, ubrany był w wysokie buty, takie jakie nosił Raladan, czarną, grubą spódnicę do kolan i sztywny, wiązany pod szyją kaftan z niedźwiedziej skóry — największy, jaki Raladan mu wynalazł. Lewy rękaw kaftana zatknięty był za pas, z tyłu, a prawy podwinięty, bo sporo za krótki. Potężne bary starego olbrzyma wypełniały kaftan całkiem szczelnie. Wyglądał na mędrca-Przyjętego akurat tak samo jak Ridareta na oskubane z piór pisklątko...

Ahagaden poprowadził.

Przed dużymi, dwuskrzydłowymi drzwiami, strzeżonymi przez wartowników, zatrzymał się.

— Tylko ty, pani — rzekł krótko.

Nim Tamenath i Raladan zdążyli zareagować, otworzył drzwi i wprowadził dziewczynę do pokoju. Drzwi zaraz zamknął za sobą.

Alida stała zupełnie nieruchomo, patrząc na jednooką. Za jej plecami tkwili żołnierze, z gotowymi do strzału kuszami. Ahagaden uprzedził, kogo prowadzi; jednak nie była w stanie uwierzyć.

Teraz jednak widziała...

Pierwsze wrażenie było piorunujące. Ale zaraz potem... Wiele dało się zarzucić Alidzie, ale na pewno nie brak spostrzegawczości.

— Na Szerń — powiedziała po chwili — nie, to nie ona!

Ahagaden zdumiał się.

Ale równie zdumiona — jeśli nie bardziej nawet — była Ridareta.

— Kim jesteś? — zapytała, mierząc blondynkę wzrokiem. — Co tu się dzieje, na wszystkie moce świata?

— To raczej... kim ty jesteś? — Alida nie została dłużna. — Jej siostrą? Nie, to zupełnie nieprawdopodobne! Nie mogę uwierzyć!

W tym samym momencie za drzwiami ktoś krzyknął, ich skrzydła rozwarły się, przyjmując potężne uderzenie... W następnej chwili do pokoju wpadł — wleciał właściwie! — żołnierz, którego wcześniej użyto jako tarana.

Raladan poczuł, że coś jest nie w porządku. Wiedział już, że Ridareta potrafi sobie radzić, ale nie zamierzał pozostawić jej sam na sam z ukochaną córeczką, która swego czasu potrafiła zatłuc marynarza, waląc jego głową o pokład... Wystarczyło, że raz oddał dziewczynę jako zakładniczkę.

Tamenath i kapitan „Seili” wtargnęli do pokoju, uzbrojeni już w halabardy. Ujrzeni dwie nieruchome kobiety, ogłupiałego Ahagadena i trzech żołnierzy, którzy najwyraźniej zapomnieli o trzymany kuszach... Raladan spojrział na Ridaretę, a potem na tamtą...

Niewysoka, ładna blondynka, z przerzuconym na gors błękitnej sukni warkoczem, cofnęła się o krok, opierając o stojącego za nią kusznika.

Raladan opuścił halabardę.

Alida, przekonana dotąd, że zemdleć z wrażenia nie sposób, przytrzymała się ramienia żołnierza. Nagle, odzyskawszy siły, ruszyła naprzód. Raladan, zrobiwszy dwa kroki w tył, potknął się o wrzuconego do pokoju wartownika. W następnej chwili Alida dopadła kapitana „Seili” i pchnęła oburącz w pierś. Omal się nie przewrócił; przeskoczył tyłem nogę leżącego i wpadł na ścianę. Odrzucił pospiesznie halabardę, jakby się bał, że kobieta wyrwie mu ją i poczęstuje żeleźcem...

— Gdzie byłeś? — zapytała bez sensu, wiedząc już że zachowuje się jak głupia...

Grzmotnęła go pięścią w pierś raz jeszcze, po czym jakoś bezradnie

tupnęła nogą, nie wiedząc ani co chce zrobić, ani co teraz zrobić powinna...

Raladan ochłonął. Ale niemądre pytanie kobiety wciąż brzmiało mu w uszach i... nie wiedział, jakim sposobem... było to tak, jakby wrócił do domu.

Nigdy nie miał domu.

Czując jakieś nieznane gorąco w piersi, wbrew sobie, nie wiedząc czemu odpowiedział równie bez sensu:

— Wróciłem...

Alida patrzyła mu w twarz. Zdumiona do granic możliwości Ridareta podobnie. Nagle spojrzały na siebie, potem znów na niego i jednocześnie zapytały, podejrzliwie, a nieufnie, wskazując się nawzajem:

— Kim jest ta kobieta?

Raladan otworzył usta. Nagle zaczął się śmiać. Jak miał odpowiedzieć? Jednym słowem?

Epilog

Kończył się piąty miesiąc jesieni...

— Wiem, co mówię. — Tamenath postukał palcami w stół. — Wiedza o sobie to klucz do potęgi. Zauważ: jedna z bliźniaczek od początku nosiła imię Rubinu, czyli imię swoje, właściwe i prawdziwe, druga zaś inne... Popatrz teraz, o ile potężniejsza była ta pierwsza.

— Do czasu.

— Ale jednak. To od niej zaczęło się wszystko. To imię jest jak hasło... A jeśli na dodatek wie się, co oznacza... To dlatego Ridareta marudzi teraz, by ją nazywać Riolatą. To wcale nie kaprys. Pełna wiedza o sobie to klucz do potęgi, powtarzam. Ty sam jakże się zmieniłeś, poznawszy prawdę o sobie. A pewno zmienisz się jeszcze bardziej...

— Zmieniłem się? — Raladan spojrzał zdumiony.

— Oczywiście, przyjacielu. Inaczej przyjmujesz prawdy.

— Nie, panie — zaprzeczył Raladan. — Istotnie, niewiele już może mnie zdziwić...

— Zobaczymy... — mruknął Tamenath.

—... ale tłumaczyłem kiedyś, dlaczego: bierze się to z doświadczeń, które w życiu nabyłem. I z niczego więcej. Jestem człowiekiem i chcę być tylko człowiekiem...

— Nie pytałeś nawet, jaką mocą obdarzyły cię Bezmiary.

— Nie pytałem i nie zapytam.

— Warto może jednak, byś wiedział. Żadną, bracie. Możesz liczyć na ich opiekę, nic więcej. Ale jesteś w wieku najlepszym dla mężczyzny: lat niespełna czterdziestu...

— Chciałbym mieć tyle, panie. — Raladan skrzywił usta w uśmiechu.

— Mam jednak... No cóż, nigdy chyba nie dowiem się, ile naprawdę. Na kilkanaście lat wyglądałem, gdy wyciągnięto mnie z morza. Trzeba by policzyć...

— Kiedy ty ostatnio widziałeś się w zwierciadle, przyjacielu? zagadnął starzec, przerywając niemal w pół słowa.

— A cóż to ma do rzeczy?

— Mówię ci, że masz lat czterdzieści, bo na tyle wyglądasz. A

wszędzie tam, gdzie dochodzi słońca morska bryza, życie nie jest ci potrzebne.

Raladan patrzył zdziwiony.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że martwić się o starość zaczniesz może za lat tysiąc, nie prędzej. Chyba że uciekniesz od morza. Raladan osłupiał.

— Co chcesz powiedzieć, panie?

— Co chcę, to powiadam! — uciał szorstko Tamenath. — Jesteś wieczny, jak twój ojciec, któremu życie dają Bezmiary, i jak one same! Razem z tą ślicznotką możecie przeżyć imperium i wszystko, co po nim nastąpi! W oczach innych ludzi (bo jesteście wszak ludźmi!) wasze trwanie to nieśmiertelność. Lecz pamiętaj — uniósł palec znacząco — że miecz jest mieczem, a ogień ogniem... Nic nie ożywi tego, czego nie ma. Znamy przykłady, nieprawdaż?

Raladan milczał, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć.

— Ten, co się niczemu nie dziwi! — kiwnął Tamenath łysą głową.

— Bo nie mogę tego pojąć! — padła odpowiedź. — Pół roku z okładem, na Szerń, a ty mi teraz mówisz, że jestem nieśmiertelny? Tamenath wcale nie poczuwał się do winy.

— A pytałeś? Podobno chcesz być zwyczajnym człowiekiem!

Raladan podszedł do wąskiego okna i wsparł się rękami o mur po obu jego stronach.

Patrzył na Ahełę.

Z wieży, w której siedzieli, dobrze było widać silny mur, obejmujący port i miasto; dalej piętrzyła się twierdza nadbrzeżna. Połączone z resztą umocnień baszty strzegły wejścia do portu; potężny łańcuch, którym były spięte, zwieszał się tuż nad falami.

— Jest ład, daleko na wschodzie — powiedział Raladan. — Zawsze chciałem tam płynąć... Ale wciąż życie wydawało mi się za krótkie, by pomieścić w nim wszystkie plany. Gdybyś mógł płynąć ze mną panie! — zawołał nagle, uderzając pięścią w ścianę.

— Narwaniec — ocenił Tamenath. — Dołożyć mu parę lat życia, to będzie zwiedzał Bezmiary.

Po czym dorzucił spokojnie, ale jakby przekornie:

— Wkrótce umrę.

— O, na wszystkie morza! — cisnął Raladan.

— Ponadto, hm, twoja żona...

— Ech, dziwka... — sarknął tamten. — Rogi już w drzwiach mi się nie mieszczą.

— Tak bardzo masz jej to za złe?

Raladan milczał przez chwilę, po czym nagle rzekł przez ramię, z uśmiechem:

— Może to i dziwne... ale nie. Poza tą jedną sprawą jest cała moja. Bez reszty. Wolę tak niż odwrotnie.

Skrzypnęły drzwi. Obejrzeni się. Ridareta cisnęła na stół rękawice, odpięła od pasa miecz i też położyła na blacie. Zdjęła hełm, uwalniając burzę włosów.

— Jak szkolenie? — zagadnął Tamenath.

— Szkolenie... — mruknęła. — Te miejscowe cherlaki ledwie dźwigają kozły od hakownic. Ale znów doszło paru chętnych.

— W mieście drożyzna, a w wioskach głód — skwitował Raladan. — Długa ta jesień...

Ostatnio dokonał wyczynu, jakiego chyba nie znała historia Bezmiarów: popłynął przez sztormy do Dartanu. I wrócił... Z mąką, kaszą, fasolą. Twierdza Ahela żywiła teraz całą wyspę. Lecz wciąż martwili się o Małą Agarę. Tylko raz popłynęły tam szniki, w pogodny dzień. Ale dotąd nie wróciły. Czy żywność dotarła?

— Ahagaden — powiedziała. — Ten to zna się na rzeczy. Ale żołnierz! — dorzuciła takim tonem, że mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia i uśmiechy. — Muszę przyznać, że jakby postawić moich strzelców przeciw jego tarczownikom i kusznikom, jeden na jednego, to po walce nawet broje moich nie przydałyby się już na nic. A jeszcze ktoś mu pomaga! — Spojrzała oskarżycielsko na olbrzyma. — Kusznicy używają grombelardzkich komend!

— Więcej strzelaj — doradził Tamenath, powściągając uśmiech. — W końcu to ty dowodzisz całym wojskiem, nie Ahagaden... Zabierz mu paru dobrych dziesiętników. Jeśli chcesz mieć z piechoty ognistej doborowe wojsko...

— Strzelanie... Mamy mało prochu. Nie mogę pukać ot, tak sobie. Kto wie, co będzie, jak jesień się skończy? Imperium dalej jest tam, gdzie było.

Potrząsnęła głową.

— A twoja śliczna? — zapytała po chwili, patrząc na Raladana. — Nikt nie wie, gdzie? Jak zwykle?

— Bardzo blisko — rzekła Alida, stając w drzwiach. — Znowu kazałaś tłuc batem żołnierza... Hamuj się! Za bardzo cię to podnieca.

— Jej wysokość księżna Alida, pani na Agarach — rzekła Ridareta, ignorując wymówkę. Złożyła ukłon, z dłonią przy piersi. Lubiły się właściwie, ale też kochały drażnić nawzajem.

— Mam dla ciebie ogiera — oznajmiła złośliwie Alida. — Wyżyj się na nim. Bez bata.

— Ognisty?

— Może ognisty, skąd mogę wiedzieć? Jeśli nawet ognisty, to na pewno nie dla mnie. Czy może być bardziej ognisty niż mój pan i małżonek?

Raladan popatrzył w sufit i znów odwrócił się ku oknu, zatykając dłonie za pas.

— Nasz przyjaciel — rzekł po chwili — kładzie się do grobu. Można już wybierać miejsce na Przeklętym.

Spojrzały z niepokojem na starca. Przez ostatnie miesiące olbrzym stał się prawie ojcem całej trójki.

— Wcale nie — zaprzeczył teraz. — Mówiłem tylko, że umrę. Raladan wzruszył ramionami. Kobiety wymieniły spojrzenia.

— Twierdza prawie skończona — ciągnął starzec — pora płacić mistrzowi murarskiemu. Raladan odwrócił się znowu.

— Złotem? — rzekł z niedowierzaniem. — Na Szerń, nie ma takiej ilości...

— Młokos. Bezczelny młokos — skwitował olbrzym, kręcąc głową. — Po co złoto starcowi? Chcę tego, co w moim wieku ma wartość...

Patrzyli wyczekująco.

— Życia. Waszego życia.

Wstał ciężko i podszedł do Raladana, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Nie całego przecież... Ale mam syna, księżę. W pewien sposób przywróciliście mnie światu — wyznał. — Chcę wrócić do Grombelardu. Gdybym potrzebował pomocy, to czy znajdę ją tutaj, na Agarach? Chcę odnaleźć swego syna — wyjaśnił. — Dla samotnego człowieka może to być zadanie zbyt trudne. Gdybym potrzebował pomocy? W prywatnej swojej sprawie? — zapytał raz jeszcze.

Patrzyli, zdumieni.

— Masz moje słowo, panie — rzekł z ogromną powagą Raladan. — Powinieneś żądać, nie pytać.

— Ale, najdalej za pół roku, umrę...

— Co to za bzdura? — rozłościła się Ridareta. — Umrze i umrze!

— Wiem, co mówię, pięknotko. Teraz jednak pora, bym powiedział, co postanowiłem: oto odrzucę, po raz drugi w swym życiu, szary płaszcz Przyjętego. I bez żalu... Żaden ze mnie mędrzec, winienem być tym, czym mój syn.

Słuchali w skupieniu.

— Nawet, gdybym chciał uparcie trwać u boku Szemi, ona sama na to nie pozwoli, po tym, co uczynię. Twoja historia, Rubinku — zwrócił się do Ridarety — uczy niejednego... Pozazdrościłem wam nieśmiertelności. Bo on też — wskazał Raladana — jest na to skazany. Powiedziałem mu dzisiaj.

Alida i Ridareta szeroko otwały oczy.

Tamenath położył na stole duży rubin.

— Geerkoto — rzekł krótko. — Kiepski ze mnie lah'agar, ale poradzę sobie chyba z tym kamykiem... Będzie musiał zastąpić moje stare życie.

Zrozumieli po drugiej chwili.

— O, na wszystkie morza — zdumiał się Raladan.

— To możliwe? — zapytała Ridareta. — Można sprawić to celowo? Rozmyślnie?

Alida odwróciła spojrzenie, milcząc.

— Ale, panie — rzekł po wielu chwilach Raladan — potrzebny będzie jeszcze jeden Rubin. Może być całkiem mały.

Tamenath bez słowa pokazał drugi klejnot. I uśmiechnął się.

Złotowłosa księżna powoli uniosła oczy.

— Chcesz mnie... na wieczność? — zapytała zdumiona, oglądając małżonka, niczym jakieś dziwo.

Potwierdził, z krzywym uśmiechem.

— Zawsze mogę uciec po raz drugi — dorzucił. — Nawet z tych całych Agarów. Nieźle pływam.

Objęła go.

— Tylko spróbuj.

— Lecz to wszystko nie jest takie proste — rzekł Tamenath. Człowiek nie jest istotą powołaną do nieśmiertelności, ani nawet długowieczności. Wy zaś zakładacie dynastię nieśmiertelnych... Jak liczne potomstwo mieć chcecie? Czy potrzebny będzie wkrótce trzeci Rubin, dla twojego wybrańca, pięknotko? Trzeba myśleć o tym wszystkim już dzisiaj. I powiem jeszcze, że nieśmiertelność może być ciężarem ponad siły. Czy na pewno sprostamy?

— Pomyślmy o tym, jak już nam się znudzi — rzekła Ridareta. — Ale to brzmi... jak jakaś baśń!

Pokręciła głową, wybuchając śmiechem. Spoważniała zaraz.

— Czy to wszystko — zwróciła się do Tamenatha, popadając dla odmiany w zadumę — zdarzyło się, bo tak chciały Prawa Całości? Milczał przez dobrą chwilę.

— Nie wiem. Może... A ma to dla was jakieś znaczenie?

Strona redakcyjna

Copyright © by Feliks W. Kres

Skład i korekta: Paweł Dembowski i Karolina Mosur

Ilustracja na okładce: Christian Mølsted

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Mapa: Maria Łepkowska

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-937597-7-4

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Mapa](#)

[Prolog](#)

[Część pierwsza. Demon Walki](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[Część druga. Siostry](#)

[21.](#)

[22.](#)

[23.](#)

[24.](#)

[25.](#)

[26.](#)

[27.](#)

28.

29.

30.

31.

32.

33.

34.

35.

36.

37.

38.

39.

Część trzecia. Rubin Córki Błyskawic

40.

41.

42.

43.

44.

45.

46.

47.

48.

49.

50.

51.

52.

53.

54.

55.

56.

57.

58.

59.

60.

61.

62.

[Epilog](#)

[Strona redakcyjna](#)